

F. SCOTT FITZGERALD

Piękni i przeklęci



Tytułowi „piękni i przekłęci” — Gloria i Anthony — to młoda para z „dobrego towarzystwa”, rozpoczynająca w szczęściu i bogactwie wspólne życie, które z czasem staje się jałowe, powoli przemieniając się w koszmar nalogu i nienawiści.

Powieść F. Scotta Fitzgeralda (1896–1940) *Piękni i przekłęci* powstała między błyskotliwym debiutem pisarza — *Po tej stronie raju* (1920), a najgłośniejszym dziełem — *Wielkim Gatsbyem* (1925). Pojawiają się w niej motywy obecne w całej jego późniejszej twórczości, interesująco, wręcz proroczo przetworzone wątki autobiograficzne splecione z ironicznym wizerunkiem amerykańskich wyższych sfer z początków dwudziestego stulecia.



WYDAWNICTWO
LITERACKIE
www.wl.net.pl

ISBN 83-08-03043-2



9 788308 030431 >

F. Scott Fitzgerald

Piękni i przekleści

Przełożył Jan Rybicki

Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *The Beautiful and Damned*

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Literackie,

Kraków 1996

Okładkę i strony tytułowe projektował

Robert Oleś

Redaktor

Barbara Sławomirska

Redaktor techniczny

Henryka Salawa

ISBN 83-08-03043-2

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie 2000

31-147 Kraków,

ul. Długa 1

<http://www.wl.net.pl>

e-mail: handel@wl.interkom.pl

Bezpłatna linia informacyjna 0-800 42 10 40

Druk i oprawa:

Drukarnia Kolejowa

Kraków Sp, z o.o

31-505 Kraków,

ul. Bosacka 6

tel./fax (012) 421-08-20

Motto:

*Zwycięzca staje się niewolnikiem swych łupów
(Anthony Patch)*

*Shane'owi Leslie, George'owi Jeanowi
Nathanowi, Maxwellowi Perkinsowi – podziękowanie
za pomoc i słowa otuchy*

Księga pierwsza

1. Anthony Patch

W roku 1913 Anthony Patch miał dwadzieścia pięć lat. Ironia, ów Duch Święty naszych czasów, zstąpiła na niego, przynajmniej teoretycznie, dwa lata wcześniej. Było to dla niego niby ostatnie muśnięcie szmatką glansowanego buta, ostatni ruch szczotki nad ubraniem, intelektualne „No, gotowe!” — choć w chwili, gdy rozpoczyna się ta opowieść, Anthony znajduje się dopiero w stadium ironii w pełni świadomej. Poznacie go w okresie, gdy często zastanawia się, czy przypadkiem nie jest osobą pozbawioną wszelkiego honoru i na dodatek lekko nienormalną — na powierzchni jego świata unosi się wtedy jakaś obrzydliwa, wstydliva maź, lśniaca jak plama ropy na powierzchni morza — a między tymi okresami zdarzają mu się chwile, kiedy uważa, że jest młodzieńcem prawdziwie wybitnym, wyrafinowanym do szpiku kości, a w dodatku doskonale przystosowanym do otoczenia i wartym sto razy więcej od wszystkich swych znajomych.

Zdrowy ten stan ducha sprawiał, że Anthony był człowiekiem wesołym, przyjemnym, pociągającym dla wszystkich kobiet i inteligentnych mężczyzn. Dawał mu przeświadczenie, że któregoś dnia dokona czegoś — nic wielkiego, nic, co przyniosłoby mu powszechny rozgłos — co potrafią docenić wybrani, i co zapewni mu potem, po tej drugiej stronie, miejsce w nieokreślonym i niesprecyzowanym niebie, gdzieś pośrodku między śmiercią a nieśmiertelnością. Ale do chwili, w której będzie musiał zdobyć się na ten wysiłek, pozostanie po prostu Anthonym Patchem — nie portretem w złoconych ramach, a człowiekiem z krwi i kości, o wybitnej,

dynamicznej osobowości, o wyrobionych poglądach, nieco gardzącym otoczeniem, działającym z wewnątrz na zewnątrz — człowiekiem świadomym, że honor nie istnieje, a jednak honorowym, człowiekiem, który przejrzał całą sofistykę odwagi, a jednak odważnym.

Szanowany obywatel i jego zdolny syn

Pozycję społeczną Anthony'ego określał fakt, iż był wnukiem Adama J. Patcha; za oceanem odpowiadałoby to mniej więcej posiadaniu w rodowodzie krzyżowców. I nie mogło być inaczej: bo choć nie tak uważają w Wirginii czy Bostonie, arystokracja oparta na pieniądzu, i tylko na pieniądzu, za najważniejszą cechę wyróżniającą uznaje właśnie bogactwo.

Sam zaś Adam J. Patch, przezywany przez znajomych „Na Prawo Patrz”, na początku roku 1861 opuścił ojcowską farmę pod Tarrytown, by przyłączyć się do jednego z nowojorskich pułków kawalerii. Z wojny wrócił w randze majora, przypuścił szarżę na Wall Street, gdzie z wielkim hukiem i hałasem, przy aplauzie jednych a złej woli drugich, zarobił na czysto jakieś siedemdziesiąt pięć milionów dolarów.

Zajęciom tym poświęcał swą energię aż do wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, kiedy wyraźnie pod wpływem postępującej sklerozy zdecydował, że odtąd interesować go będzie jedynie moralna naprawa świata: zaczął nawracać bliźnich. Inspirując się sławną działalnością Anthony'ego Comstocka — którego imię nadano potem jego wnukowi — przypuścił całą serię ataków na pijaństwo, literaturę, prostytucję, malarstwo, farmakologię i teatr. Ten pełzający rozkład, który w ostatecznym rozrachunku oszczędza tylko nielicznych, sprawił, iż z furią rzucił się były kawalerzysta na wszelkie przyczyny zepsucia świata. Z fotela w swym gabinecie w rodzinnej posiadłości kierował kampanią przeciwko potężnemu a hipotetycznemu wrogowi — nieprawości. Przez piętnaście lat tej wojny dał się poznać jako wściekły monoman, uciążliwy i nieznośny nudziarz. W roku, w którym zaczyna się ta opowieść, zaczynał już tracić zapał, bo kampania nie przynosiła spodziewanych skutków. Z rokiem 1895 coraz częściej mieszał się 1861; myśli majora Patcha

krażyły teraz głównie wokół wojny domowej, trochę wokół niezjącej żony i syna, a już najmniej wokół wnuka, Anthony'ego.

Na samym początku swej wielkiej kariery życiowej Adam Patch poślubił trzydziestoletnią, anemiczną Alicję Withers, która wniosła mu w posagu sto tysięcy dolarów i doskonale stosunki w nowojorskich kręgach bankierskich. Natychmiast, choć dość niechętnie, powiła mu syna, po czym, jakby wyczyn ten pochłonął wszystkie jej siły, na zawsze skryła się w mrocznych otchłaniach pokoju dziecięcego. Chłopiec, Adam Ulysses Patch, został niestrudzonym bywalcem klubów, arbitrem elegancji i poskramiaczem tandemów, a w zadziwiająco wczesnym wieku dwudziestu sześciu lat rozpoczął już pisanie wspomnień, którym nadał tytuł „Własne obserwacje z nowojorskich kręgów towarzyskich”. Na samą wieść o powstawaniu tak sensacyjnego dzieła wydawcy zaczęli prześcigać się w ofertach, ale gdy po śmierci Adama Ulyssesa okazało się, że styl wspomnień jest okropnie rozwlekły, sama książka zaś — bezbrzeżnie nudna, nigdy nie ukazała się drukiem.

Ten Chesterfield z Piątej Alei ożenił się w wieku dwudziestu dwóch lat, a jego żoną została Henrietta Lebrune, „kontralt sfer towarzyskich z Bostonu”. Jedyne dziecko tego związku ochrzczono na życzenie dziadka imieniem Anthony Comstock Patch. Gdy poszedł na studia do Harvardu, „Comstock” zniknął z jego miana, spoczął w piekielnej otchłani zapomnienia i nigdy już o nim nie słyszano.

Młody Anthony posiadał jedno wspólne zdjęcie ojca i matki — na które spoglądał w dzieciństwie tak często, że w końcu nabyło bezosobowych cech innych mebli; jednak każdy, kto znalazł się w jego pokoju, z zainteresowaniem przyglądał się fotografii. Przedstawiała ona typowego dandysa lat dziewięćdziesiątych, szczupłego, przystojnego, górującego nad wysoką, ciemnowłosą damą z mufką i tiurniurą. Między nimi stoi mały chłopczyk o brązowych loczkach, w aksamitnym ubranku à la „Mały Lord”. To Anthony w wieku pięciu lat, a więc w roku, w którym zmarła jego matka.

Wspomnienia o „kontralcie sfer towarzyskich z Bostonu” miały mgliste i śpiewne. Matka jego śpiewała, śpiewała, śpiewała w pokoju muzycznym ich domu przy Washington Square, czasem wśród rozproszonych wokół niej gości — mężczyźni siedzieli z założonymi

rękami, karkołomnie balansując na krawędzi sof i otoman, kobiety zaś, z rękami na kolanach, od czasu do czasu szeptały coś na ucho mężczyznom, a zawsze bardzo żywo klaskały i gruchały z zachwytem po każdej pieśni. Często śpiewała samemu Anthony'emu — po włosku, francusku i w tym dziwnym a „straszliwym narzeczu, jakiego w jej mniemaniu używali Murzyni z Południa.

Znacznie żywsze były wspomnienia o eleganckim Ulyssesie, pierwszym człowieku w Ameryce, który podwijał klapy fraka. Gdy Henrietta Lebrune Patch „przeniosła się do innego chóru”, jak to od czasu do czasu stwierdzał swym chrapliwym głosem wdowiec, ojciec i syn zamieszkali u dziadka w Tarrytown; Ulysses przychodził codziennie do pokoju zabaw Anthony'ego i przemawiał okrągłymi, miłymi zdaniem, czasem nawet przez całą godzinę. Wiecznie zapowiadał małemu Anthony'emu, że „już wkrótce, już całkiem niedługo” wybiorą się razem na polowanie, na ryby albo do Atlantic City, ale żadnej z tych obietnic nigdy nie spełnił. Kiedy wreszcie pojechali — Anthony miał wtedy jedenaście lat — odwiedzili Anglię i Szwajcarię, i tam, w najlepszym hotelu w Lucernie, ojciec zmarł nagle, pocąc się, jęcząc i wołając głośno „Powietrza, powietrza!” Przerażonego, zrozpaczonego i kompletnie zagubionego Anthony'ego przywieziono z powrotem do Ameryki; odtąd już zawsze towarzyszyła mu lekka melancholia.

Przeszłość i osobowość bohatera

W wieku lat jedenastu poznał groźbę śmierci. W ciągu sześciu bardzo ważnych lat dziecinnych zmarli jego rodzice; babka zaś gasła niepostrzeżenie aż do pewnego dnia, gdy po raz pierwszy, od kiedy weszła do tej rodziny, zapanowała niepodzielnie w salonie swego domu. Życie było więc dla Anthony'ego ciągłą walką ze śmiercią, czyhającą za każdym rogiem. W ucieczce przed swą hipochondryczną wyobraźnią przyzwyczał się czytać w łóżku — to go uspokajało. Czytał aż do znużenia; często zasypiał przy zapalonym świetle, z twarzą wtuloną w karty książki.

Aż do czternastego roku życia jego ulubionym hobby było zbieranie znaczków; miał zadziwiającą jak na chłopca kolekcję —

dziadkowi wydawało się, zupełnie bez powodu, że chłopak uczy się w ten sposób geografii. Dzięki temu Anthony mógł korespondować z kilkoma naraz sklepami filatelistycznymi; niemal codziennie w poczcie znajdowały się nowe klasery — było coś fascynująco tajemniczego w ustawicznym przekładaniu znaczków z jednego albumu do drugiego. Znaczkę były jego największym szczęściem; każdego, kto przerywał mu z nimi zabawę, obrzucał niecierpliwym, gniewnym spojrzeniem. Znaczkę pochłaniały całe kieszonkowe; często nie spał długo w noc, bez wytchnienia napawając się ich różnorodnością i wielobarwnym przepychem.

W wieku szesnastu lat był chłopcem zamkniętym w sobie, zupełnie nie amerykańskim; rówieśnicy wprawiali go w pełne szacunek oszołomienie. Dwa poprzednie lata spędził w Europie pod opieką guwernera, który w końcu przekonał go, że trzeba iść do Harvardu; uczelnia ta „da mu świetny start w życiu”, dobrze mu zrobi, zdobędzie tam wielu niezliczonych, oddanych przyjaciół. No i Anthony poszedł do Harvardu — cóż innego można było z nim zrobić?

Przez jakiś czas ten szczupły, ciemnowłosy chłopiec, średniego wzrostu, o nieśmiałych, delikatnych ustach, żył sobie z dala od wszelkiego życia towarzyskiego w wysokim pokoju w Beck Hall. Kieszonkowe otrzymywał hojne. Zaczął tworzyć własny księgozbiór — u wędrownego bukinisty nabył kilka egzemplarzy pierwszych wydań Swinburne'a, Mereditha i Hardy'ego oraz pożółkły i kompletnie nieczytelny, odręczny list Keatsa; wkrótce odkrył, że przepłacił, i to bardzo słono. Powoli przedzierał się w wykwintnego dandysa, posiadacza dość wzruszającej kolekcji jedwabnych piżam, ozdobionych brokatem szlafroków i krawatów tak ekstrawaganczkich, że wręcz nie nadających się do noszenia; w tych to skrywanym przed całym światem strojach paradował przed lustrem u siebie lub wyciągał się w jedwabkach na szelongu we wnęce okna i patrzył na podwórze, niewyraźnie wyczuwając przez szyby przelewającą się i bardzo bliską wrzawę, w której, jak mu się wydawało, nigdy nie miał znaleźć swojego miejsca.

Tym bardziej więc zdziwiło go spostrzeżenie, poczynione w ostatnim roku studiów, że mimo tego samotnictwa ma jednak pewną pozycję w swej grupie. Dowiedział się, że uważany jest za

postać dość romantyczną, za uczonego, wręcz — erudyte. Pierwszą reakcją było rozbawienie, drugą — cicha satysfakcja. Zaczął brać udział w spotkaniach towarzyskich, najpierw nieśmiało, potem coraz częściej. Dostał się do najbardziej ekskluzywnych stowarzyszeń studenckich. Nie stronił od alkoholu, ale nie bez przesady i zawsze kierując się jak najlepszymi tradycjami. Mówiono potem o nim, że gdyby nie poszedł na studia w tak młodym wieku, mógłby naprawdę „zostać kimś”. W roku 1909, gdy skończył Harvard, miał zaledwie dwadzieścia lat.

I znów wyjazd za granicę — tym razem do Rzymu, gdzie bawił się na przemian to architekturą, to malarstwem, gdzie zaczął uczyć się gry na skrzypcach i gdzie spłodził cały szereg okropnych, włoskich sonetów, stylizowanych na rozmyślania trzynastowiecznego mnicha o radościach życia zakonnego. Bliscy znajomi z Harvardu wkrótce dowiedzieli się, że jest w Rzymie, więc ci z nich, którzy gościli w tym roku w Europie, prędzej czy później zjawiali się u niego, by wspólnie odkrywać to miasto starsze nie tylko od renesansu, lecz nawet od republiki. Na przykład taki Maury Noble z Filadelfii mieszkał u niego przez całe dwa miesiące; razem mieli okazję przekonać się o szczególnym wdzięku kobiet rasy romańskiej i o tym, jak cudownie jest być młodym i wolnym wśród zabytków bardzo starej, ale też pełnej wolności kultury. Odwiedzało go wielu znajomych dziadka; gdyby tylko chciał, mógłby obracać się w rzymskich kręgach dyplomatycznych. Przekonywał się, że życie towarzyskie pociąga go coraz bardziej, choć na jego zachowanie wciąż wywierała wpływ długa samotność wieku dorastania i nieśmiałość będąca jej rezultatem.

Do Ameryki powrócił w roku 1912 na wieść o jednej z nagłych chorób dziadka i po okropnie męczącej rozmowie z zawsze w końcu zdrowiejącym starcem postanowił aż do jego śmierci odroczyć ostateczną decyzję osiedlenia się za granicą. Po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie odpowiednie mieszkanie na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, gdzie zamieszkał, wydawać by się mogło, na stałe.

W roku 1913 proces dostosowywania się Anthony'ego Patcha do świata zewnętrznego dobiega końca. Fizycznie jest znacznie bardziej interesujący niż w czasach studiów, bo choć nadal przesadnie

szczerzy, jest teraz znacznie szerszy w ramionach; jego smagława twarz zatraciła przerażony wyraz z pierwszego roku na Harvardzie. Starannie ukrywał swe skłonności do pedanterii, ale i tak sływał z nienaganności wyglądu — znajomi twierdzili, że nigdy nie widzieli, by choćby jeden włos odstawał mu od gładko zaczesanej fryzury. Nos był zbyt ostry, usta, jedno z tych nieszczęsnych luster nastroju, w chwilach smutku wyginały się w dół; za to oczy miał niebieskie, pełne wdzięku, rozjarzone żywą inteligencją lub przymrużone z melancholijnym nieco humorem.

Choć należał do mężczyzn, którym do aryjskiego ideału nie dostaje symetrii rysów, uważano go na ogół za przystojnego — był też bardzo czysty, tak na pierwszy rzut oka, jak w rzeczywistości, ową czystością zapożyczoną od piękna.

Nienaganne mieszkanko

Anthony zawsze miał wrażenie, że Piąta i Szósta Aleja tworzą jakby gigantyczną drabinę, ciągnącą się od Washington Square po Central Park. Gdy jechał do centrum, do domu, na górnym piętrze autobusu, zawsze miał wrażenie, że wciąga się oburącz na zdradliwe szczeble, z których ostatnim była Pięćdziesiąta Druga Ulica, jego ulica; gdy autobus ostro hamował na przystanku, Anthony, schodząc na chodnik po stromych, metalowych stopniach, czuł coś na kształt ulgi.

Potem musiał już tylko przejść parę kroków Pięćdziesiątą Drugą, mijając zamożną rodzinę przyciężkawych kamienic z piaskowca, i już za chwilę chronił się pod wysokim sufitem salonu. Tu już było lepiej. Tu przecież zaczynało się prawdziwe życie. Tu spał, tu jadł, tu czytał, tu przyjmował gości.

Sam dom zbudowano z ciemnego materiału, pod koniec lat dziewięćdziesiątych. W odpowiedzi na rosnący popyt na małe mieszkania każde piętro zostało gruntownie przebudowane i wynajmowane oddzielnie. Z wszystkich czterech właśnie to na pierwszym piętrze, zajmowane przez Anthony'ego, było najbardziej efektowne.

Salon miał piękny, wysoki strop i trzy wielkie okna, z przyjemnym widokiem na Pięćdziesiątą Drugą Ulicę. Urządzony był w

sposób wymykający się zaklasyfikowaniu go do jakiegokolwiek określonego stylu; nie był ani napuszony, ani przepełniony, ani zbyt pusty, ani zniewieściał. Nie pachniał ani dymem, ani kadzidłem — był tylko wysoki i bladoniebieski. Znajdowała się tam przepaścista kanapa z mięciutkiej, brązowej skóry, kusząca senną mgiełką. Był wysoki parawan, zdobny chińskimi wzorami, przedstawiający głównie geometrycznych, czarno-złotych rybaków i myśliwych. Tworzył on jakby narożną alkowę dla obszernego fotela, nad którym stała na straży pomarańczowa lampa. Był i kominek, a w nim opalona do czerni tarcza herbowa.

Przechodząc przez jadalnię, wspaniałą, choć w tym mieszkaniu jedynie potencjalną, jako że Anthony jadał w domu tylko śniadania, i dość długi korytarz, dochodziło się do serca, do rdzenia: do sypialni i łazienki.

Oba te pomieszczenia były olbrzymie. W pierwszym wysokość stropu sprawiała, że nawet wielkie łóżko z baldachimem wyglądało na mniejsze niż w rzeczywistości. Egzotyczny dywan ze szkarłatnego pluszu był niczym runo dla bosych stóp Anthony'ego. Natomiast w przeciwieństwie do tej dostojnej komnaty łazienka była wesoła, jasna, przyjemna, wręcz żartobliwa. Na każdej ze ścian wisiało w ramach po jednym zdjęciu czterech ówczesnych piękności scenicznych: Julia Sanderson jako „Słoneczna dziewczyna”, Ina Claire jako „Kwakierka”, Bullie Burke jako „Uwaga, świeżo malowane” i Hazel Dawn jako „Różowa Dama”. Między Billie a Hazel widniał oleodruk przedstawiający śnieżny krajobraz oświetlony zimnym, groźnym słońcem — według Anthony'ego symbol zimnego tuszu.

Wanna, wyposażona w przemyślną podpórkę na książkę, była wielka i głęboka. Znajdująca się obok szafa w ścianie pękała w szwach od bielizny, którą można by odzielić trzech mężczyzn, i całej gamy krawatów. Na podłodze żadnych tam szmacianych chodniczków, ale gęsty dywan, podobnie jak jego bliźniak z sypialni istny cud miękkości, który zdawał się masować mokłą stopę zstępującą z wanny...

Słowem, łazienka iście czarodziejska — łatwo było domyślić się, że tu właśnie ubiera się Anthony, że to tu układa swą nienaganną fryzurę, że właściwie robi tu wszystko poza spaniem i jedzeniem. Ta łazienka była jego chlubą. Czuł, że gdyby miał ukochaną,

powiesiłby jej portret dokładnie naprzeciw wanny, by, nurzając się w gorącej kąpeli, móc spoglądać na nią w górę i zmysłowo kontemplować jej piękno.

Na tapczanie siedzi leń...

Mieszkanie utrzymywał w czystości angielski służący o zadziwiająco, teatralnie niemal pasującym do niego nazwisku Bounds; jedyną wadą tego jegomościa był fakt, że nie nosił sztywnego kołnierzyka. Niedopatrzenie to zostałoby natychmiast skorygowane, gdyby był Boundsem samego tylko Anthony'ego. Niestety, Bounds należał równocześnie do dwóch innych dżentelmenów z sąsiedztwa, a na własność Anthony'ego przechodził jedynie między ósmą a jedenastą przed południem. Pojawiał się równo z pocztą, po czym przygotowywał śniadanie. O dziewiątej trzydzieści pociągał za brzeg koldry Anthony'ego i wymawiał kilka zwięzłych słów — Anthony nigdy nie pamiętał, co to było; podejrzewał, że nic miłego. Potem Bounds podawał mu śniadanie na stoliku brydżowym w salonie, słał łóżko i zapytawszy z niejaką wrogością, czy jest coś jeszcze do zrobienia, usuwał się z mieszkania.

Przed południem, przynajmniej raz na tydzień, Anthony udawał się do swego maklera. Dochody młodzieńca wynosiły nieco poniżej siedmiu tysięcy rocznie, procent od sumy odziedziczonej po matce. Dziadek, który nigdy nie dawał jego ojcu nic poza dość sporym kieszonkowym, uważał, że kwota ta powinna wystarczyć Anthony'emu. Tylko na każde Boże Narodzenie wysyłał mu akcje za pięćset dolarów, które Anthony zawsze starał się sprzedać; był wiecznie „spłukany”.

Owe odwiedziny u maklera bywały czasem towarzyskimi niemal spotkaniami, kiedy indziej znów poważnymi dyskusjami na temat ryzyka związanego z inwestowaniem na osiem procent i zawsze sprawiały Anthony'emu wielką przyjemność. Miał wrażenie, że wielki budynek banku łączy go nierozzerwalnie ze światem wielkich fortun, którego solidarność tak podziwiał, i że on sam wkracza dzięki niemu w hierarchię finansjery. Ludzie, kłębiący się po korytarzach tej budowli, dawali mu poczucie bezpieczeństwa podobne temu, które czerpał z rozmyślań o pieniądzach dziadka —

a nawet jeszcze większe, bo majątek dziadka był jakby pożyczką płatną na żądanie, wystawioną sumieniu Anthony'ego Patcha przez los, podczas gdy pieniądze, które tak regularnie odwiedzał w mieście, miał dzięki — jak mu się zdawało — niezwykłym i przemożnym aktom woli; one zresztą były jakby bardziej, jakby dosadniej — pieniędzmi.

Jednak mimo wszelkich trudności, jakie musiał przezwyciężać, by zmieścić się z wydatkami w dochodach, Anthony uważał, że ma tyle, ile trzeba. Nadejdzie oczywiście ten upragniony dzień, gdy będzie miał miliony; tymczasem usprawiedliwiał swe istnienie teoretycznym tworzeniem pracy o papieżach renesansu. Miało to związek z rozmową, którą odbył z dziadkiem bezpośrednio po powrocie z Rzymu.

Powracając z Włoch żywił nadzieję, że dziadek już nie żyje, ale gdy zatelefonował z portu i dowiedział się, że starszy pan znów czuje się nieźle, następnego dnia, ukrywszy rozczarowanie, wyruszył do Tarrytown. Po pięciu milach taksówka, którą wziął na stacji, wjechała w wykwintnie utrzymaną alejkę wijącą się między prawdziwym labiryntem murów i siatek drucianych, zagrządzających drogę do posiadłości — w okolicy mówiono, że te środki ostrożności były nieodzowne, bo gdyby do władzy doszli socjaliści, pierwszą osobą, którą by zamordowali, byłby oczywiście stary „Na Prawo Patrz”.

Anthony spóźnił się; czcigodny filantrop oczekiwał go na przeszklonej werandzie, przeglądając po raz drugi poranne gazety. Jego sekretarz, Edward Shuttleworth — który przed swym cudownym nawróceniem był hazardzistą, właścicielem prawdziwego saloonu i gorliwym rozpustnikiem — wprowadził Anthony'ego do środka, wskazując swego zbawiciela i dobroczyńcę, jakby prezentował bezcenny skarb.

Z powagą uściśniły sobie dłonie.

— Tak się cieszę, że dziadzio czuje się lepiej — powiedział Anthony.

Starszy Patch sprawiał wrażenie, jakby nie widzieli się zaledwie od tygodnia. Wyciągnął z kieszonki zegarek.

— Cóż to, pociąg znowu się spóźnił? — zapytał niewinnie.

Był zirytowany, że musiał czekać na wnuka. Na stare lata ubzdurał sobie, że on sam w młodości był we wszystkim bardzo skrupulatny, że na każde spotkanie przychodził punktualnie — i że

to właśnie było bezpośrednią i główną przyczyną powodzenia w życiu.

— W tym miesiącu ciągle się spóźnia — zauważył tonem łagodnej wymówki, a potem westchnął głęboko. — Siadaj.

Anthony przyglądał się dziadkowi ze skrywanym podziwem, który zawsze odczuwał na jego widok. Że ten słaby, mało inteligentny starzec posiadał taką moc; że wbrew sensacyjnym doniesieniom prasy brukowej, ludzi w tym kraju, których dusz nie mógłby kupić w ten czy inny sposób, można by policzyć na palcach — było to równie niewiarygodne jak to, że kiedyś był różowutkim niemowlęciem.

Siedemdziesiąt pięć lat jego życia było jakby czarodziejskim miechem kowalskim: pierwsze ćwierćwiecze natchnęło go pełnią życia, ostatnie — wyssało je zeń do szczętu, wysuszyło policzki, pierś, ręce i nogi. Czas zabierał mu zęby, jeden po drugim, otoczył oczy ciemnosinymi workami, wyskubał włosy, gdzieniegdzie przemalowując je tu z szarego na biały, tam z różu na żółć, bawiąc się kolorami jak okrutne dziecko. A potem, przez duszę i ciało, zaatakował mózg. Rzucił na niego nocne poty, napady płaczu i bezzasadny lęk, rozszczepiając żywotną dotąd normalność na łatwo wierność i podejrzliwość. Jego zapal przetworzył się w dziesiątki łagodnych, lecz uciążliwych obsesji; dotychczasową energię zastąpiły humory rozpieszczonego dziecka, a żądzę władzy — żalodne, naiwne pragnienie stworzenia raj tu, na ziemi.

Po wymianie grzeczności Anthony wyczuł, że oczekuje się od niego przedstawienia planów na przyszłość — i niemal natychmiast poznał po błysku w oku starca, że nieostrożnością byłoby informować go teraz o zamiarze osiedlenia się za granicą. Miał nadzieję, że Shuttleworth będzie na tyle taktowny, że wyjdzie z pokoju — nie znosił tego człowieka — ale sekretarz zasiadł jak gdyby nigdy nic w fotelu na biegunach i spoglądał na obu Patchów spod przymrużonych powiek.

— Teraz, kiedy wreszcie wróciłeś, powinieneś się czymś zająć — odezwał się cicho dziadek. — Coś osiągnąć.

Anthony odczekał, aż starzec wypowie frazes: „by zostawić po sobie jakiś ślad na tym świecie”, po czym zaproponował nieśmiało:

— Myślałem sobie, że chyba najwięcej mógłbym osiągnąć pisząc...

Adam Patch skrzywił się na myśl o tym, że miałby znosić w rodzinie długowłosego poetę i pewnie ze trzy jego kochanki.

— ...o historii — dokończył Anthony.

— O historii? Ale o czym? o wojnie domowej? o rewolucji?

— Nie, dziadziu, myślałem raczej o historii średniowiecza. — W tej samej chwili narodził się pomysł nowatorskiego ujęcia dziejów papieży renesansu, ale bynajmniej nie zmartwił się, że powiedział „średniowiecze”.

— O średniowieczu? A czemu nie o własnym kraju? O czymś, co znasz?

— No cóż, tak długo byłem za granicą...

— Po co akurat o średniowieczu, o tych, jak je nazywano, mrocznych wiekach? Nikt nie ma pojęcia, co się wtedy działo, bo i kogo to obchodzi. To było tak dawno. — Jeszcze przez kilka minut mówił o bezużyteczności takiej wiedzy, nie oszczędzając naturalnie hiszpańskiej inkwizycji i „klasztornego zepsucia”. A potem:

— Uważasz, że będziesz mógł pracować w Nowym Jorku, jeśli w ogóle zamierzasz pracować? — W tym ostatnim zdaniu zabrzmiał już lekki, niewyczuwalny niemal cynizm.

— Ależ jak najbardziej, dziadziu.

— Kiedy skończysz?

— Widzisz, dziadziu, muszę właśnie ustalić sobie jakiś plan, no i muszę przedtem wiele przeczytać.

— Wydawało mi się, że już dość się naczytałeś.

Rozmowa dociągnęła się z trudem do dość raptownego końca, gdy Anthony wstał, zerknął na zegarek i zauważył, że po południu musi spotkać się z maklerem. Początkowo zamierzał zostać u dziadka przez kilka dni, ale opadło go teraz zmęczenie i rozdrażnienie ciężkim rejssem, a poza tym nie miał ochoty wysłuchiwać tych cierpkich, choć jakże subtelnych uwag. Obiecał wrócić za parę dni.

A jednak właśnie dzięki spotkaniu z dziadkiem zaczął myśleć o pracy jako o czymś, czym może wypełnić sobie życie. Przez rok, który minął od tej rozmowy, sporządził kilka spisów bibliografii, wymyślał tytuły rozdziałów i nawet rozplanował sobie pracę, ale dotąd nie napisał ani jednej linijki; nie wyglądało też, by kiedykolwiek miał coś napisać. Nie robił nic — iw całkowitej niezgodności z logiką wielce go to bawiło.

Popołudnie

Był październik roku 1913, połowa przyjemnego tygodnia. Po skrzyżowaniach błędziło słońce; wszystko działo się tak ospale, że opadające liście zdawały się wisieć w powietrzu jak duchy. Przyjemnie było siedzieć leniwie przy otwartym oknie i kończyć rozdział „Erewhon”. Przyjemnie było, około piątej, ziewnąć, rzucić książkę na stół i powędrować hallem do łazienki, mrucząc pod nosem.

Do... ciebie... pię-kna pa-ni

podśpiewywał odkręcając kurki.

Wznoszę... oczy;

Do... ciebie... pię-kna pa-ni

Woła... serce... me...

Śpiewał coraz głośniej, by nie dać się zagłuszyć narastającemu szumowi wody lejącej się do wanny. Gdy jego wzrok padł na zdjęcie Hazel Dawn, przyłożył do ramienia wymaginowane skrzypce i zaczął pieścić je lekko nieistniejącym smyczkiem, naśladując zza zamkniętych warg dźwięk instrumentu. Po chwili dłonie zaprzestały swych rytmicznych gestów i powędrowały ku guzikom koszuli. Rozebrał się, przybrał postawę atlety i nie bez satysfakcji oglądnał się w lustrze, a potem dotknął stopą wody, by sprawdzić, czy ma odpowiednią temperaturę. Odkręcił bardziej jeden z kurków, po czym, sapnąwszy parę razy z gorąca, wsunął się do wanny.

Przyzwyczajwszy się do temperatury wody popadł w stan błogiego, sennego zadowolenia. Gdy skończy kąpiel, ubierze się powoli i pójdzie Piątą Aleją do „Ritza”, gdzie umówił się na kolację z najczęstszymi towarzyszami zabaw, Dickiem Caramellem i Maurym Noblem. Potem razem z Maurym pójda do teatru — Caramel wróci pewnie do domu i będzie dalej pracował nad książką, którą powinien już wkrótce skończyć.

Anthony pomyślał z ulgą, że *on* bynajmniej nie ma zamiaru pracować. Trudno o coś bardziej odrażającego niż pomysł, że miałby zasiąść do pracy i szukać nie tylko słów, którymi mógłby ubrać

swe myśli, ale przede wszystkim myśli wartych przelania na papier.

Wychynawszy z wanny wytarł się z pedantyczną dokładnością pucybuta. Potem powędrował do sypialni i pogwizdując dziwaczną, nieokreśloną melodię, przechadzał się po pokoju zapinając guziki, poprawiając strój i rozkoszując stopy ciepłem grubego dywanu.

Zapałił papierosa, wyrzucił zapalną przez otwarty lufcik, a potem nagle stanął jak wryty, trzymając papieros na parę cali od ust — które rozchyliły się lekko. Utkwił wzrok w jaskrawej plamce na poddaszu po przeciwnej stronie ulicy, kilka domów dalej.

Plamką tą była dziewczyna w czerwonym negliżu, niewątpliwie jedwabnym, susząca włosy na wciąż gorącym, choć popołudniowym słońcu. Gwizd zamarł w nieruchomym powietrzu; ostrożnie zbliżył się jeszcze o krok do okna, tknięty nagłym przecuciem piękna. Na kamiennym parapecie leżała obok niej poduszka tego samego koloru, co jej strój, na której opierała obie ręce patrząc w dół na słoneczną ulicę, skąd dobiegały Anthony'ego głosy bawiących się dzieci.

Przyglądał się jej tak przez kilka minut. Budziło się w nim coś, czego nie można by wytłumaczyć li tylko ciepłą wonią popołudnia czy triumfalną żywością czerwieni. Przeświadczenie o jej pięknie nie ustępowało; potem zrozumiał nagle, że wynika ono z oddalenia, choć nie było to owo subtelne i mgliste oddalenie dusz, a zwykle, fizyczne. Dzieliło ich jesienne powietrze, dachy i stłumione głosy. A mimo to, przez całą, nie całkiem wytłumaczalną chwilę, która stanęła w miejscu na przekór całemu czasowi, jego uczucia nigdy nie były bliższe zachwytowi, bliższe niż przy jakimkolwiek doznany dotąd pocałunku.

Dokończył garderoby, wyszukał wśród swej kolekcji czarną muszkę i zawiązał ją precyzyjnie przed trzyczęściowym lustrem w łazience. Potem, ulegając przemożnemu impulsowi, szybkim krokiem wszedł do sypialni i znów wyrzwał przez okno. Kobieta stała teraz; odrzuciła włosy do tyłu, więc widział wyraźnie, że ma co najmniej trzydzieści pięć lat, jest gruba i bardzo nieszczegółnej urody. Cmoknął z niezadowoleniem, wrócił do łazienki i poprawił przedziałek.

Do... ciebie... piękna pani

podśpiewywał pod nosem,

Wznoszę... oczy...

Wreszcie, ostatni raz musnąwszy fryzurę, co zmieniło ją w jednolitą, lśniąca powłokę, wyszedł z łazienki, opuścił mieszkanie i podążył Piątą Aleją do hotelu „Ritz-Carlton”.

Trzej panowie

Jest siódma. Anthony i jego przyjaciel Maury Noble siedzą przy stoliku w kącie na chłodnym dachu restauracji. Maury Noble przypomina wielkiego, szczupłego, okazałego kocura. Ma wąskie, pełne niegasnących iskierek oczy; gładkie włosy wyglądają, jakby ulizała je jakaś gigantyczna kotka. Za uniwersyteckich czasów Anthony'ego Maury był uważany za najwybitniejszą postać w grupie, najbardziej błyskotliwą, najoryginalniejszą — był elegancki, spokojny, słowem — jeden z wybranych.

Tego to człowieka uważa Anthony za swego najlepszego przyjaciela; jedyne go znajomego, którego podziwia, jedyne, któremu zazdrości, i to bardziej, niż przyznałby to nawet przed samym sobą.

Obaj cieszą się z tego spotkania. Z oczu ich bije wzajemna życzliwość, gdy rozkoszują się w pełni spotkaniem po krótkiej rozłące. Ze swej obecności czerpią uspokojenie i na nowo umocnioną pogodę ducha; Maury Noble, z tą ładną i absurdalnie kocią twarzą, zdaje się niemal mruczeć jak zadowolony kot. A Anthony, zazwyczaj nerwowy i niezdolny usiedzieć na miejscu — teraz czuje spokój.

Rozmawiają krótkimi, urywanymi zdaniami — takimi, jakimi potrafią porozumiewać się mężczyźni albo przed trzydziestką, albo będący w stanie wielkiego napięcia.

ANTHONY: Siódma. Gdzież ten Caramel się podziewał (niecierpliwie) Skończyłyby wreszcie tę swoją powieść. Zawsze tyle czekam na niego o głodzie...

MAURY: Ostatnio wymyślił nowy tytuł. „Diabelska kochanka”, niezłe, co?

ANTHONY: (z zainteresowaniem) „Diabelska kochanka”? Aha, „kobieta zawyła”, i tak dalej? Tak, niezłe, całkiem niezłe, no nie?

MAURY: Nawet świetne. Która to?

ANTHONY: Siódma.

MAURY: (Zwężając oczy — nie nieprzyjemnie, ale by wyrazić lekką dezaprobatę). Wkurzył mnie ostatnio.

ANTHONY: Czym?

MAURY: Tym swoim ciągłym robieniem notatek.

ANTHONY: Mnie też to wkurza. Zdaje się, że wczoraj wieczór powiedziałem coś, co mu pasowało do książki, ale zapomniał, co to było, więc zrobił mi piekło, że ja też nie pamiętam. Mówi: „Nie możesz się skoncentrować?” A ja na to: „Nie nudź. Jak mam pamiętać?”

(Maury śmieje się bezgłośnie, ironicznie i aprobująco rozszerzając wargi.)

MAURY: Dick wcale nie musi być bardziej spostrzegawczy niż inni. On tylko znacznie więcej od wszystkich zapisuje.

ANTHONY: To piękny talent...

MAURY: A, tak, piękny!

ANTHONY: I ta energia, ambitna, świetnie kontrolowana energia. I jaki on jest zabawny, ogromnie porywający i ekscytujący. Jak z nim jestem, często nie wiem, co mam robić.

MAURY: Tak, tak.

(Cisza, a po chwili:)

ANTHONY: (Jego szczupła, zwykle nieco niepewna twarz wyraża teraz głębokie przekonanie). Ale ta energia nie jest wieczna. Kiedyś, stopniowo, rozwieje się, wraz z nią ten cały piękny talent. Pozostanie tylko cień człowieka, cień drażliwego człowieka, egoisty i gaduły.

MAURY: (śmiejąc się) Siedzimy tu sobie i przekonujemy się nawzajem, że mały Dick wie mniej niż my. A ja założę się, że on z kolei uważa, że jest lepszy — wiesz: że umysł twórczy wart jest więcej niż umysł krytyczny, i tak dalej.

ANTHONY: A, tak. Tylko że on nie ma racji. Bo on ma tendencję do głupiego entuzjazmowania się byle czym. Gdyby nie to, że pasjonuje się realizmem, a przez to musi udawać cynika, byłby...

byłby łatwowierny jak ministrant. Przecież to idealista. Tak, tak. On uważa, że to nieprawda, bo odrzucił wiarę. A pamiętasz, jaki był na studiach? Łykał każdego autora po kolei, jednego po drugim, ze wszystkim: z poglądami, techniką i postaciami; każdego, Chestertona, Shawa, Wellsa, jak leci...

MAURY: (Nadal myśląc o swej poprzedniej wypowiedzi). Pamiętam.

ANTHONY: Tak było. Przecież to typowy bałwochwalca. Weźmy, na przykład, sztukę...

MAURY: Zamówmy wreszcie. On chyba...

ANTHONY: Pewnie, zamawiamy. Mówilem mu przecież...

MAURY: O, idzie. Patrz, wpadnie na tego kelnera. (Podnosi do góry palec, jakby był to miękki, przyjazny pazur). No, jesteś, Caramel.

NOWY GŁOS: (gwałtownie) Cześć, Maury. Cześć, Anthony Comstock Patch. Jak się miewa wnuk starego Adama? Debiutantki dalej za tobą szaleją, co?

RICHARD CAMEL jest niskim blondynem; w wieku trzydziestu pięciu lat będzie zupełnie łysy. Ma żółtawe oczy — jedno jest uderzająco przejrzyste, drugie zaś mętne jak błotnisty staw — i czoło wypukłe, takie, z jakim zwykle przedstawia się w komiksach niemowlęta. Wypukły jest też w innych miejscach, na przykład w brzuchu; jego słowa również sprawiają wrażenie, jakby wypukłe formowały się na jego ustach; od nich zarażają się tą wypukłością nawet kieszenie jego fraka, bo muszą się w nich pomieścić pomięte rozkłady jazdy, programy i najprzeróżniejsze świstki — na nich to sporządza notatki, marszcząc brwi i uciszając otoczenie wolną, lewą ręką.

Dochodzi do stołu i wita się z ANTHONY'EM i MAURY'EM. Jest jednym z tych ludzi, którzy zawsze ściskają innym dłonie na powitanie, nawet tym, z którymi rozstali się godzinę wcześniej.

ANTHONY: Cześć, Caramel. Fajnie, że jesteś. Właśnie nie mamy się z kogo pośmiać.

MAURY: Spóźniłeś się. Gonileś listonosza? Bo myśmy właśnie roztrząsali twój charakter.

DICK: (Wpatrując się w ANTHONY'ego jaśniejszym okiem). Co ty powiedziałeś? Powtórz, to zapiszę. Dziś po południu wyciąłem trzy tysiące słów z Części Pierwszej.

MAURY: Szlachetny esteto! A ja tu wlewałem w siebie alkohol.

DICK: Nie wątpię, nie wątpię. Założę się, że siedzicie tu od godziny i gadacie o gorzale.

ANTHONY: Ale nam, mój gołowąsie, nie urywa się film.

MAURY: My nigdy nie bierzemy do siebie przygodnie napotkanych pań.

ANTHONY: I ogólnie rzecz biorąc wydawane przez nas przyjęcia charakteryzują się pewną wykwintnością.

DICK: Nie ma chyba głupszych facetów od tych, którzy chwalać się, że mają mocne głowy! Wiecie, co was gubi? Obaj należycie do osiemnastego wieku. Stara angielska, szlachecka szkoła: pić po cichu, aż nie spadnie się pod stół, bez najmniejszej przyjemności. „Bo to nie uchodzi”.

ANTHONY: To chyba z szóstego rozdziału, co?

DICK: Idziecie do teatru?

MAURY: A tak. Zamierzamy spędzić ten wieczór na poważnych rozmyślaniach nad jednym z kluczowych problemów życia. Sztuczka nazywa się zwięźle „Kobieta”. Chyba będzie na co popatrzeć.

ANTHONY: O Boże? To to? Już wolę iść jeszcze raz do „Folies”.

MAURY: Ja już mam ich dość. Byłem tam trzy razy. (do DICKA) Za pierwszym razem wyszedłem po pierwszym akcie i znalazłem fantastyczny bar. A potem, jak wróciliśmy, okazało się, że nie do tego teatru.

ANTHONY: I długo użeraliśmy się z jakąś młodą parą, którą podejrzewaliśmy, że zajęła nasze miejsca.

DICK: (niby do siebie) Myślę, że kiedy napiszę jeszcze jedną powieść, a potem sztukę, to zabiorę się za musical.

MAURY: Wiem, wiem, z tak intelektualnymi tekstami, że nikt nie będzie ich słuchał. Wszyscy krytycy będą stękać i wzdychać do Gilberta i Sullivana, ja zaś nadal będę błyszczał jako błyskotliwie bezsensowna postać w bezsensownym świecie.

DICK: (pompatycznie) Sztuka nie jest bezsensowna.

MAURY: Sama w sobie jest. Nie jest o tyle, o ile stara się uczynić życie mniej bezsensownym.

ANTHONY: Innymi słowy, Dick, występujesz w wielkim teatrze, ale pełnym jedynie duchów.

MAURY: Co nie znaczy, że nie masz się starać.

ANTHONY: (Do MAURY'ego) Nie zgadzam się. Po co w ogóle pisać, jeśli życie nie ma sensu? Przecież bez sensu są też wszelkie próby nadania mu sensu.

DICK: No, cóż, nawet jeżeli tak jest, bądź porządnym pragmatykiem i daj nieszczęsnym ludziom prawo do chęci życia. Naprawdę chcesz, żeby wszyscy uwierzyli w te nędzne sofizmaty?

ANTHONY: Tak. Chyba tak.

MAURY: Bzdura! Według mnie wszyscy obywatele Stanów Zjednoczonych — poza tysiącem wybranych — powinni zostać zmuszeni do życia zgodnie z jakimś bardzo surowym kodeksem moralnym, na przykład rzymsko-katolickim. Ja nie mam nic przeciwko konwencjonalnemu pojęciu moralności. Nie lubię natomiast podrzędnych heretyków, którzy bezmyślnie powtarzają to, co wymyślili lepsi od nich i przybierają pozę moralnej swobody, na którą absolutnie nie zasługiwali swą inteligencją.

(Tu podano zupeł. Wszystko, co jeszcze mógł powiedzieć MAURY, zostało stracone na wieki.)

Wieczorem

Potem udali się do konika i za dość wygórowaną cenę zakupili bilety na premierę nowego musicalu pod tytułem „Wielkie szaleństwo”. Postali przez chwilę przed foyer, by przyglądać się wejściu publiczności, a było na co patrzeć. Były narzutki z jedwabiów wszystkich możliwych kolorów, i futra; klejnoty zwieszające się z rąk, szyj i uszu, białych i różowych, i niezliczone rozbłyśki niezliczonych jedwabnych kapeluszy; i buty: złote, brązowe, czerwone i czarne lakierki; i wysokie, jakby ubite fryzury mnóstwa kobiet, i śliskie, wilgotne włosy elegantów. A przede wszystkim było falujące powoli, rozgadane, chichoczące, parujące i wesołe morze ludzi, wlewające się błyszczącym strumieniem w sztuczne jezioro śmiechu...

Po przedstawieniu rozdzielili się. Maury poszedł na dancinę do „Sherry'ego”, Anthony zaś ruszył do domu, do łóżka.

Powoli przepychał się przez wieczorny tłum na Times Square, z okazji wyścigów zaprzęgów i jego tysięcznych parafernali nie spodziewanie wypiękniały, rozjaśniony i świątecznie intymny.

Wokół wirowały jak w kalejdoskopie twarze; dziewczęta, brzydkie, brzydkie jak noc — za tłuste albo za chude — unosiły się jednak w tym jesiennym powietrzu niby na własnych, żarliwych oddechach. Pomyślał, że tu, mimo całej swej wulgarności, są delikatnie, subtelnie tajemnicze. On sam oddychał ostrożnie, wciągając do płuc zapach perfum i wcale przyjemną woń palonych wokół licznych papierosów. Napotkał wzrok ciemnowłosej, pięknej dziewczyny siedzącej samotnie w taksówce. Oczy jej mówiły w półświecie o nocy i fiołkach; przez chwilę poczuł na nowo podniecenie tą na wpół już zapomnianą, odległą, na którą patrzył po południu.

Minęło go dwóch młodych Żydów. Rozmawiali głośno i z głupkowato lekceważącym wyrazem twarzy rozglądali się na wszystkie strony, wyciągając szyje. Ubrani byli w owe przesadnie obcisłe garnitury, prawie modne w tamtych czasach; ich dwustronne kołnierzyki były nacięte na jabłku Adama; na nogach szare kamasze, na trzciniowych laskach — szare rękawiczki.

Minęła go też oszołomiona starsza pani, niesiona niczym koszyk między dwoma mężczyznami, którzy głośnymi okrzykami zwracali jej uwagę na cuda Times Square, a robili to tak szybko, że starsza pani, nie chcąc wyróżniać żadnego ze swych towarzyszy, odwracała głowę to w jedną, to w drugą stronę jak podrzucany wiatrem strzępek skórki pomarańczowej. Anthony'ego dobiegły urywki ich rozmowy.

— Mamo, to Astor!

— Popatrz! Widzisz ten neon o wyścigach...

— Byliśmy tam dzisiaj. Nie, tam!

— O Boże!

— Nie zamartwiaj się tak, bo schudniesz jak dziesięciocentówka! — To modne tego roku powiedzenie usłyszał z rozmowy przechodzącej obok pary.

— No i tłumaczę mu znowu...

Szum mknących tuż obok taksówek i śmiech, śmiech chrapliwy jak krakanie wron, nie kończący się, głośny, i dobiegający z podziemi huk metra, zaś ponad tym wszystkim wirowanie światła, narastanie i gaśnięcie światła, światła rozsypujących się w perły, układających się wciąż w coraz to inne, błyszczące linie, koła i przedziwne, groteskowe figury, jakby C2arami wymalowane na niebie.

Z ulgą skręcił w ciszę, jak ciemny wiatr wiejącą z przecznicy, minął bar, na którego wystawie obracało się na elektrycznym różnie kilkanaście kurcząt. Od drzwi zaleciał go gorący, drożdżowy, różowy zapach. Obok apteka, z daleka woniejąca lekarstwami i rozlaną oranżadą, na które nakładał się przyjemnie zapach stoiska kosmetycznego. Jeszcze dalej chińska pralnia, mimo późnej pory otwarta, parująca, tamująca dech w piersiach, pachnąca jakby żółto stertami porządnie złożonej bielizny. Przygnębiło go to wszystko; dotarłszy do Szóstej Alei zatrzymał się w narożnym sklepiku tytoniowym, z którego wyszedł już w lepszym humorze — sklepik był wesoły, ludzki, spowity niebieską mgiełką, poczuciem luksusu...

W mieszkaniu, siedząc w ciemności przy otwartym oknie, zapalił ostatniego papierosa. Po raz pierwszy od roku czuł, że dobrze mu w Nowym Jorku. Jest w tym mieście niewątpliwie jakaś ostrość, cecha niemalże rodem z Południa. Ale jest tu też samotnie. On, który dorastał w samotności, ostatnio uczył się jej unikać. W ciągu ostatnich kilku miesięcy starał się zawsze, gdy nie był z nikim umówiony, iść do któregoś ze swych klubów i tam szukać towarzystwa. O tak, jest tu samotność...

Jego papieros, którego dym obrebiał wąskie fałdy na zasłonach lekką, białawą mgiełką, świecił aż do chwili, gdy zegar na wieży kościoła Św. Anny wybił pierwszą swym kłótliwym, eleganckim dźwiękiem. Za najbliższą przecznicą odegrała werbel kolejka napowietrzna; wychyliwszy się przez okno zobaczyłby, jak przemyka po ciemnym zakręcie niczym rozgniewany orzeł. Przypomniała się mu przeczytana ostatnio powieść fantastyczna, w której powietrzne pociągi zrzucały bomby na miasta i przez chwilę wyobrażał sobie, że Washington Square wypowiedział wojnę Central Park i że ciągnące teraz na północ wagoniki wiozą nagłą śmierć. Ale wraz z oddalaniem się kolejki wizja rozwiała się, odgłos werbli najpierw ucichł niemal całkiem, a potem zmienił się w dalekie krakanie orła.

Z Piątej Alei dobiegały dzwonki i nieprzerwany, stłumiony jęk klaksonów, ale na ulicy Anthony'ego było cicho, on sam zaś — chroniony przed wszelkimi niebezpieczeństwami, jakie niesie życie, przez drzwi, długi hall i sypialnię-strażniczkę. Tak, bezpiecznie, bezpiecznie! Świecąca w okno łukowa latarnia uliczna była mu teraz niczym księżyc, tylko że jaśniejsza i znacznie piękniejsza.

Retrospekcja: w raju

Piękno, które rodzi się na nowo co sto lat, siedziało w czymś na kształt poczekalni na dworze, przez którą hulał biały wiatr, a czasem przemykała pośpiesznie zagubiona gwiazdka. Gwiazdy mrugały do niego przyjaźnie, a wiatr bez przerwy rozwiewał jego miękkie włosy. Piękno było niezrozumiałe, bo duch i dusza stanowiły w nim jedno — było ową jednością, której poszukiwali przez wieki wszyscy filozofowie. W tej wietrzno-gwiazdnej poczekalni siedziało już sto lat, wpatrzone w siebie, spokojne.

Wreszcie dowiedziało się, że czas znów się narodzić. Westchnęło i wdało się w długą rozmowę z głosem białego wiatru, rozmowę, która trwała wiele godzin; ja zaś mogę przytoczyć tylko jej fragmenty.

PIĘKNO: (Wargi nie poruszają się wcale, oczy zaś, jak zawsze, zwrócone są w głąb siebie). Dokąd teraz?

GŁOS: Do nowego kraju, do raju, gdzie cię jeszcze nie było.

PIĘKNO: (niezadowolone) To okropne, że za każdym razem muszę przyzwyczajać się do nowej kultury. Na jak długo?

GŁOS: Na piętnaście lat.

PIĘKNO: Jak się nazywa ten kraj?

GŁOS: To najzasobniejsza, najpiękniejsza kraina na ziemi... Kraina, której najwięksi mędrcy nie są wiele mądrzejsi od największych głupców; kraj, którego władcy myślą jak małe dzieci, a prawodawcy wierzą w Świętego Mikołaja; gdzie brzydkie kobiety władają silnymi mężczyznami...

PIĘKNO: (ze zdumieniem) Co?

GŁOS: (z wielkim smutkiem) O tak, to prawdziwie smutny widok. Kobiety o tłustych karkach i bezkształtnych nosach chodzą bezwstydnie po świecie i mówią: „Rób to!” i „Rób tamto!”, a wszyscy mężczyźni, nawet ci najzamożniejsi, słuchają ich bez słowa; nazywają je „żonami”.

PIĘKNO: Przecież to niemożliwe! Mogłoby zrozumieć posłuszeństwo względem kobiet pełnych wdzięku, ale grubych? kości-
stych? o zapadłych policzkach?

GŁOS: A jednak to prawda.

PIĘKNO: A ja? Jak ja będę tam żyć?

GŁOS: Nie będzie ci łatwo.

PIĘKNO: (Po chwili niezadowolonego milczenia). A czemu nie wolno mi zamiast tego udać się do starych krajów, do kraju winorośli i ludzi o miękkich słowach, albo do kraju morza i statków?

GŁOS: Ci będą mieli wkrótce co innego do roboty.

PIĘKNO: Ach, tak...

GŁOS: Twoje ziemskie życie będzie zawierać się, jak zawsze, między jednym a drugim spojrzeniem w zwierciadło świata.

PIĘKNO: Kim będę? Powiedz!

GŁOS: Najpierw planowano, że tym razem pojedziesz jako aktorka filmowa, ale potem uznano, że mimo wszystko nie byłoby to właściwe. Na te piętnaście lat wcielisz się w coś, co nazywa się „dziewczyną z wyższych sfer”.

PIĘKNO: A co to takiego?

(W wietrze słychać nowy dźwięk, jakby GŁOS drapał się w głowę).

GŁOS: (po dłuższej chwili) To jakby lewa arystokratka.

PIĘKNO: „Lewa”? A co to znaczy?

GŁOS: Tego dowiesz się już w tej krainie. Tam wiele rzeczy jest „lewych”. I ty wiele będziesz robić „lewych” rzeczy.

PIĘKNO: (pogodnie) To brzmi tak jakoś wulgarnie.

GŁOS: Bo jest wulgarnie, i to bardziej, niż ci się zdaje. Przez te piętnaście lat będą nazywać cię „ragtime kid”, „jazz-baby” i „baby vamp”. Będziesz tańczyć nowe tańce, ani bardziej, ani mniej wdzięcznie niż te stare.

PIĘKNO: (szepcem) Czy otrzymam zapłatę?

GŁOS: Tak, jak zwykle — w miłości.

PIĘKNO: (Ze śmiechem, który tylko na chwilę zaburza bezruch warg). A czy polubię, że będą mnie nazywać jazz-baby?

GŁOS: (z powagą) Jeszcze jak...

(Tu dialog ten się kończy. PIĘKNO wciąż siedzi bez słowa, a gwiazdy zatrzymują się przed nim w zachwycie; a wiatr, biały, porywisty, przelewa się w jego włosach.)

Działo się na siedem lat przed tym, gdy ANTHONY siedział przy frontowych oknach swego mieszkania, wsłuchując się w dzwony kościoła.)

2. Portret nimfy

Miesiąc później na Nowy Jork nasunął się chłód, przynosząc listopad, finał rozgrywek futbolowych i głośny szelest futer na Piątej Alei. Przyniósł też miastu napięcie i z trudem hamowane podniecenie — Anthony znajdował teraz w poczcie co rano przynajmniej jedno zaproszenie. Trzy tuziny cnotliwych kobiet z najlepszego towarzystwa ogłaszało wszem i wobec swą zdolność, by nie rzecz ochotę, rodzenia dzieci trzem tuzinom milionerów. Pięć tuzinów cnotliwych kobiet z towarzystwa już nie tak świetnego głosiło wszem i wobec nie tylko ową zdolność, lecz w dodatku ogromną, niczym nie skrywaną ambicję względem tych pierwszych trzech tuzinów, zapraszanych, rzecz jasna, na każde z dziewięćdziesięciu sześciu przyjęć — wraz z całą grupą przyjaciół i znajomych rodziny młodej damy, studentów i pełnych zapału młodych parweniuszy. Potem był jeszcze trzeci garnitur, podmiejski, od przedmieść Newark i Jersey po zgorzkniałe Connecticut i zupełnie już nie do przyjęcia części Long Island, i istniejące na pewno jeszcze niższe sfery, aż po najniższe warstwy miasta: od Riverside po Bronx młode Żydówki wchodziły w świat dorosłych Żydów, licząc na obiecującego, młodego maklera czy jubilera i kosztowny ślub; dziewczęta irlandzkie kierowały swe spojrzenia, po raz pierwszy legalnie, ku towarzystwu młodych, przekupnych polityków, pobożnych przedsiębiorców pogrzebowych i wyrośniętych ministrantów.

Oczywiście morowym powietrzem owego „wchodzenia w świat” zaraziło się całe miasto — pracujące dziewczęta, biedne brzydula pakujące mydło w fabrykach i sprzedające stroje w wielkich

magazynach. Marzyły, że być może w spektakularnym podnieceniu tej zimy i im dostanie się na własność tak upragniony męzczyzna — podobnie w tłumie rozbawionych ludzi świętujących na ulicy wzrastają szanse kieszonkowca. Zaczynały dymić kominy, w dusznych dotąd otchłaniach metra zrobiło się chłodniej. Wystawiano nowe sztuki z nowymi aktorkami, wydawcy wydawali nowe książki, mistrzowie tańca wymyślali nowe tańce. A linie kolejowe wymyślały nowe rozkłady jazdy z nowymi błędami zamiast starych, do których pasażerowie już zdążyli się przyzwyczaić...

Miasto budziło się do życia!

Pewnego popołudnia, idąc Czterdziestą Drugą pod stalowoszarą niebem, Anthony natknął się niespodziewanie na Richarda Caramela, który wychodził właśnie od fryzjera w hotelu „Metropolitan”. Był pierwszy naprawdę zimny dzień, a Caramel miał na sobie kozuch do kolan, podobny do tych, które od dawna nosili robotnicy na Środkowym Zachodzie, a które właśnie zaczynały być powszechnie aprobowane przez modę. Na głowie miał miękki kapelusz w dyskretnie ciemnobrązowym kolorze, spod którego lśniło jak topaz jego jasne oko. Z entuzjazmem zatrzymał Anthony'ego, klepiąc go po ramionach nie tyle z radości, co dla rozgrzewki, a potem, dokonawszy nieodzownego uścisku dłoni, wybuchnął dźwiękiem.

— Zimno jak diabli... Boże, pracowałem jak szatan cały dzień, aż w pokoju zrobiło się tak zimno, że bałem się, czy nie dostanę zapalenia płuc. Ta cholerna gospodyni oszczędza na węglu. Pół godziny darłem się na nią, nim raczyła pofatygować się do mnie na górę. Wtedy zaczęła się tłumaczyć. Boże!

Najpierw dostałem szału, ale potem zauważyłem, że w sumie to, co mówi, jest całkiem interesujące, więc notowałem. No wiesz, tak, żeby mnie nie widziała, żeby myślała, że piszę sobie ot tak, machinalnie...

Chwycił Anthony'ego za ramię i poprowadził energicznie ku Madison Avenue.

— Dokąd idziemy?

— Donikąd.

— No to po co? — zapytał Anthony.

Zatrzymali się i popatrzyli na siebie; Anthony zastanawiał się, czy i jego twarz jest na mrozie tak odpychająca jak Dicka, którego

nos stał się szkarłatny, wypukłe czoło — sine, a żółte, jakby nie do pary oczy — zaczerwienione, załzawione. Po chwili znów ruszyli przed siebie.

— Ostatnio nieźle mi idzie z książką. — Dick wpatrywał się w chodnik i mówił do niego z wielkim przekonaniem. — Ale co jakiś czas muszę wyjść z domu choćby na chwilę. — Rzucił Anthony'emu usprawiedliwiające spojrzenie, jakby szukając zachęty. — Muszę z kimś pogadać. Chyba mało kto myśli, to znaczy siada i rozmyśla o czymś, snuje wątek myśli. Ja myślę albo pisząc, albo rozmawiając.

Od czegoś trzeba zacząć, czegoś bronić, czemuś przeczyć, prawda?

W odpowiedzi Anthony mruknął coś pod nosem i delikatnie oswobodził rękę.

— Mogę cię ponieść, Dick, tylko ten kozuch...

— Chodzi mi o to — ciągnął z powagą Richard Caramel — że gdy się pisze, w pierwszym akapicie zawsze umieszcza się myśl, którą się zniszczy lub rozwinie. W rozmowie znowu masz zawsze ostatnią wypowiedź rozmówcy, ale gdy się rozmyśla, no cóż, przecież myśli następują jedna po drugiej jak obrazy w latarni magicznej, i każda nowa wypiera poprzednią.

Minęli Ulicę Czterdziestą Piątą i lekko zwolnili. Obaj zapalili papierosy, wydychając w powietrze ogromne kłęby dymu i zmrożonego powietrza.

— Przejdźmy się do „Plaza”, wstąpimy tam na ajerkoniak — zaproponował Anthony. — Dobrze ci to robi. Wywietrzą ci się płuca z tej obrzydliwej nikotyny. No, chodź, pozwolę ci całą drogę opowiadać o książce.

— No, jeśli ma cię to znudzić... Bez łaski. — Słowa te padły pośpiesznie, a choć usiłował niczego po sobie nie okazać, na twarzy Dicka pojawił się niepewny grymas. Anthony poczuł, że musi zaprzeczyć.

— Znudzić? Ależ skąd!

W „Plaza”... — zaczął Dick, ale Anthony natychmiast mu przerwał. Przeciągnął się i wydał cichy okrzyk radości.

— Ale pogoda, co? — zawołał. — Czuję się, jakbym miał dziesięć lat. A raczej tak, jak powinienem był się czuć, gdy miałem dziesięć lat. To cholernie męczące! Boże! W jednej chwili wydaje mi się, że cały świat do mnie należy, a zaraz potem, że cały świat kpi sobie ze mnie. Ale dzisiaj ja tu rządę i wszystko jest okej. Nawet Nicość jest okej!

— W „Plaza” mieszka moja kuzynka. Fajna dziewczyna. Możemy ją odwiedzić. Zawsze spędza tu zimę, przynajmniej ostatnio, razem z rodzicami.

— Nie wiedziałem, że masz rodzinę w Nowym Jorku.

— Ma na imię Gloria. Pochodzi z moich stron, z Kansas City. Jej matka to praktykująca bilfistka, ojciec nudny, ale džentelmen w każdym calu.

— Co oni robią? Piszą?

— Próbują. Stary zawsze mówi mi, że właśnie spotkał kogoś, kto mógłby być świetną postacią w powieści, a potem opowiada o jakimś swoim znajomym kretynie i mówi: „O, to dla ciebie temat! Opisz go! Każdy to chętnie przeczyta”. I w kółko nudzi o Japonii albo o Paryżu: „Może napiszesz coś o tym? Przecież to świetne miejsce akcji!”

— A ona? — zapytał od niechcienia Anthony. — Ta Gloria... Jak ma na nazwisko?

— Gilbert. Musiałeś o niej słyszeć. Gloria Gilbert. Chodzi na bale uniwersyteckie, no wiesz, i tak dalej.

— Tak, słyszałem to nazwisko.

— Ładna. I to bardzo.

Doszli do Pięćdziesiątej i skręcili w stronę Alei.

— Zwykle nie przepadam za towarzystwem młodych dziewcząt — powiedział Anthony, zmarszczywszy brwi.

Nie była to szczerza prawda. O ile miał wrażenie, że przeciętna debiutantka spędzała wszystkie godziny dnia na rozmowie o tym, co na najbliższą godzinę zgotował jej wielki świat, o tyle fascynowała go każda dziewczyna, która wykorzystywała swą urodę w sposób bardziej bezpośredni.

— Gloria jest bardzo miła. Nie ma ani kropli oleju w głowie.

Anthony parsknął śmiechem.

— Chcesz powiedzieć, że nie lubi pleść tych literackich bzdur.

— Nieprawda!

— Dick, przecież wiem, jakie dziewczyny są według ciebie inteligentne. Takie, które z zapalem siadają z tobą po kątach i z zapalem rozmawiają o życiu. Takie, które w wieku szesnastu lat rozprawiły z całą powagą o tym, czy wolno się całować, albo czy to niemoralne, że studenci pierwszego roku piją piwo.

Richard Caramel poczuł się dotknięty. Wykrzywiona złością twarz stała się podobna do pomiętej kartki papieru.

— Nie... — zaczął, ale Anthony znów przerwał mu bezceremonialnie.

— A właśnie że tak; takie, które właśnie teraz siedzą gdzieś po kątach i konferują o najnowszym Dantem Skandynawii w angielskim tłumaczeniu.

Dick obrócił się do niego. Cała jego postać jakby się skurczyła. Jego pytanie zabrzmiało niemal błagalnie.

— Co się z wami dzieje, z tobą i z Maurym? Czasem zachowujecie się, jakbyście uważali mnie za kogoś gorszego od siebie.

Anthony zmieszał się, ale, zmarznięty i trochę niespokojny, uznał, że najlepszą obroną jest atak.

— Tu nie chodzi o to, czy jesteś inteligentny, czy nie, Dick.

— Jak to, nie!?! — rozgniewał się Dick. — Co przez to rozumiesz? A dlaczego nie?

— Być może wiesz za dużo, by to wyrazić pisaniem.

— Bzdura.

— Wcale nie — nalegał Anthony. — Bardzo łatwo mogę sobie wyobrazić kogoś, kto wie zbyt wiele, by wypowiedzieć to swym talentem. Przypuśćmy, na przykład, że jestem od ciebie mądrzejszy, ale mniej utalentowany. Przez to nigdy nie napisałbym ani słowa. Ty za to, wręcz przeciwnie, miałbyś i jednego, i drugiego w sam raz.

— Zupełnie nie wiem, co masz na myśli — poskarżył się żałośnie Dick. Z tego żalu na nowo uwydatniły się wszystkie jego wypukłości. Wpatrywał się w Anthony'ego jak sroka w kość, przez co zderzał się co chwila z jakimś przechodniem, a każdy obdarzał go wściekłym, pełnym wyrzutu spojrzeniem.

— Chodzi mi o to, że talent Wellsa poradziłby sobie z inteligencją choćby takiego Spencera. Ale talent niższego rzędu tylko wtedy tworzy dobre rzeczy, jeżeli pisze o ideach niższego rzędu. A im węższy punkt widzenia, tym zabawniej.

Dick zastanawiał się przez chwilę, jak zareagować, niepewny, jak bardzo krytyczne są uwagi Anthony'ego. Ale Anthony, z tak charakterystyczną dla siebie łatwością, ciągnął dalej z błyskiem ciemnych oczu w chudej twarzy, z uniesioną głową, uniesionym głosem; uniesienie udzieliło się całej jego postaci.

— Przypuśćmy, że jestem dumny, rozsądny, mądry, istny Rzymianin. Cóż z tego, skoro może nie udać mi się to, co uda się komuś gorszemu. Ten ktoś może posłużyć się naśladownictwem, tu coś upiększyć, tam się pozachwycać, albo mówić same rzeczy konstruktywne. Tymczasem moje hipotetyczne „ja” jest zbyt dumne, by naśladować, zbyt rozsądne, by się zachwycać, zbyt wyrafinowane, by wierzyć w Utopię, zbyt rzymskie, by nadmiernie upiększać.

— Czyli, według ciebie, artysta nie kieruje się inteligencją?

— Właśnie. Artysta stara się tylko jak najlepiej naśladować wybrany styl, czerpiąc tematy ze swej własnej interpretacji świata. Ale przecież każdy pisarz pisze dlatego, że nie umie inaczej żyć. Nie wmawiaj mi, że wierzysz w to całe „boskie posłanie artysty”.

— Przede wszystkim nie jestem przyzwyczajony, że ktoś nazywa mnie artystą.

— Dick — powiedział Anthony zupełnie innym tonem. — Chciałbym cię przepraszyć.

— Za co?

— Za ten mój wybuch. Naprawdę bardzo mi głupio. Mówiłem po to tylko, żeby coś powiedzieć.

— Zawsze wiedziałem, że w głębi ducha jesteś zwykłym filistrem.

Zapadał już skrzypiący od chłodu zmierzch, gdy znaleźli się pod białą fasadą hotelu „Plaza” i powoli smakowali pienisto-żółtą gęstość ajerkoniaku. Anthony przyglądał się towarzyszowi. Twarz Richarda Caramela powoli osiągała zwykłą barwę: czerwień ustępowała z nosa, siność z czoła. Spojrzał bokiem w lustro i z zadowoleniem stwierdził, że jego własna skóra w ogóle nie zmieniła zabarwienia. Wręcz przeciwnie — czuł na policzkach lekki blask; uznał, że nigdy nie był przystojniejszy.

— Ja mam dość — powiedział Dick tonem kończącego trening sportowca. — Teraz chcę iść na górę odwiedzić Gilbertów. Idziesz, czy nie?

— Idę, pewnie, że idę. Chyba że zamierzasz rzucić mnie na pożarcie rodzicom, a sam zaszyć się w jakimś kąciку z Dorą.

— Z Glorią, nie z Dorą.

Recepcjonista zapowiedział ich przez telefon. Wyjechali na dziesiąte piętro, przeszli krętym korytarzem i zastukali do apartamentu 1088. Drzwi otworzyła im dama w średnim wieku — pani Gilbert we własnej osobie.

— Witam panów. — Mówiła konwencjonalną amerykańszczyzną wielkich dam. — Tak się cieszę, że panowie przyszli...

Dick spiesznie przedstawił przyjaciela.

— Pan Pac? Ależ proszę do środka, płaszcze proszę rzucić tutaj. — Wskazała im krzesło; gdy odezwała się ponownie, mówiła już inaczej: z pełnym wyższości śmiechem, przerywanym co chwila leciutkimi sapnięciami. — Jak miło, jak cudownie. Richard, nie byłeś u nas już tak długo, tak, tak! — Te ostatnie monosylaby grały rolę częściowo odpowiedzi, częściowo pauz, w reakcji na nieokreślone próby Dicka nawiązania rozmowy. — No, proszę siadać! Opowiedz, co porabiałeś.

Nie wiedzieli, co robić z rękami, stali i co chwila kłaniali się lekko, uśmiechali się raz po raz bezradnie i niezbyt mądrze, zastanawiając się rozpaczliwie, czy pani domu zdecyduje się wreszcie usiąść; kiedy to nastąpiło, z ulgą osunęli się na fotele, by odbyć przyjemną wizytę.

— Musiałeś być pewnie bardzo zajęty, i tak dalej. — Pani Gilbert uśmiechnęła się dość dwuznacznie. Frazes „i tak dalej” powtarzał się odtąd w większości jej co bardziej kulawych zdań.

Używała też dwóch innych, równie natrętnych: „tak przynajmniej wygląda to z mojego punktu widzenia” i „jasne jak słońce” — stosowane na przemian nadawały jej wypowiedziom charakter ogólnej refleksji nad życiem, jakby brała pod uwagę wszystkie przyczyny i po namyśle wybierała tę najważniejszą.

Anthony zauważył, że twarz Richarda Caramela wróciła już do normy. Czoło i policzki miały zwykły kolor skóry, nos był teraz dyskretnie niepozorny. Wpatrywał się w ciotkę jasnym, żółtym okiem, traktując ją z tą wyszukaną i przesadną atencją, jaką młodzi ludzie otaczają zazwyczaj wszystkie kobiety, które przestały się dla nich liczyć.

— Czy pan również pisuje, panie Pac?... No cóż, w takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wspólnie pławić się w blasku chwały Richarda. — Uprzejmy wybuch śmiechu zainicjowany przez panią Gilbert.

— Gloria wyszła — powiedziała, jakby wygłaszając aksjomat, na którym zamierzała oprzeć jakieś twierdzenie. — Gdzieś na tańce. Ciągłe nie ma jej w domu. Tyle razy pytam się jej, jak ona to wytrzymuje. Tańczy całe popołudnia i wieczory, chyba do reszty zmarnieje. Jej ojciec bardzo się tym martwi.

Przenosiła uśmiech z jednego na drugiego. Uśmiechnęli się obaj.

Pani Gilbert, jak zauważył Anthony, składała się z szeregu pół-okręgów i parabol, podobnie jak te sylwetki, które zdolni ludzie potrafią wyczarowywać na maszynie do pisania: głowa, ramiona, biust, uda i stopy były oszalałającym nagromadzeniem krągłości. Była czysta i zadbana, o włosach nienaturalnie soczystej szarości; jej duża twarz skrywała niebieskie, ogorzałe oczy, a zdobna była drobnymi, białym meszkiem nad górną wargą.

— Zawsze mówiłam — zwróciła się do Anthony'ego — że Richard to bardzo staroświecka dusza.

W niezręcznym milczeniu, które nastąpiło po tej uwadze, Anthony zastanawiał się, czy nie zaryzykować jakiegoś kalamburu — na przykład, że Dick wiele w życiu przeszedł.

— Wszyscy mamy dusze należące do różnych epok — ciągnęła promiennie pani Gilbert. — Tak przynajmniej wygląda to z mojego punktu widzenia.

— Być może — przytaknął Anthony, jakby zainteresował się tym „punktem widzenia”. Radosny głosik trajkotał dalej:

— Gloria na przykład ma duszę bardzo młodą, nieodpowiedzialną i tak dalej. Żadnego poczucia odpowiedzialności.

— Ale co za temperament! — Richard był bardzo uprzejmy. — Odpowiedzialność wszystko by tu popsula. Gloria jest na to za ładna.

— No cóż — wyznała pani Gilbert. — Wiem jedno: nigdy nie ma jej w domu...

Przytaczaną z naganą liczbę wyjść Glorii zagłuszył zgrzyt klamki u drzwi, które otwarły się, by wpuścić pana Gilberta.

Był to niski mężczyzna z wąsem spoczywającym jak mały, biały obłoczek pod niezbyt charakterystycznym nosem. Pan Gilbert osiągnął już ten etap życia, na którym jego wartość jako osoby z towarzystwa była czarnym, nieodwracalnym minusem. Przekonania zastępowały mu powszechnie dwadzieścia lat wcześniej złudzenia, a światopogląd z trudem nadążał za artykułami wstępnymi w dziennikach. Po ukończeniu małego, lecz przerażającego uniwersytetu na Zachodzie, zaczął pracować w celuloidzie, a że zajęcie wymagało jedynie minimalnej dozy inteligencji, przez kilka lat powodziło mu się całkiem nieźle — dokładnie rzecz biorąc, do roku 1911,

gdy zaczął podpisywać dość mgliste umowy z przemysłem filmowym. Rok później przemysł filmowy postanowił go połączyć, przez co teraz karkołomnie balansował, można rzec, na języczku u wagi. Tymczasem pozwolono mu kierować Associated Mid western Film Materials Company; polegało to głównie na tym, że sześć miesięcy każdego roku spędzał w Nowym Jorku, a pozostałe dzielił między Kansas City i St. Louis. Naiwnie wierzył, że wkrótce wszystko się ułoży — a wiarą tą zaraził i żonę, i córkę.

Z Glorii nie był zbyt zadowolony: wracała późno do domu, nigdy nic nie jadła, zawsze wpadała w jakieś tarapaty, a kiedyś, gdy ją rozzłościł, użyła względem niego słów, o których znajomość nawet jej nie podejrzewał. Z żoną radził sobie trochę lepiej. Pokonał ją po piętnastu latach ustawicznej wojny podjazdowej, wojny wartogłowego optymizmu z dobrze zorganizowaną nudą; zwycięstwo zapewnił sobie liczbą powtarzanych do znudzenia „tak”, którymi potrafił zatruć każdą rozmowę.

— Tak-tak-tak-tak — mówił. — Tak-tak-tak-tak. Zaraz, zaraz... To było chyba latem — zaraz, zaraz — dziewięćdziesiątego pierwszego albo drugiego... Tak-tak-tak-tak...

Piętnaście lat „tak” zmusiło panią Gilbert do kapitulacji; następne piętnaście lat tych niczego nie potwierdzających potwierdzeń, połączonych z popiołem strąconym z trzydziestu dwóch tysięcy cygar, zniszczyło ją całkowicie. Poddała się mężowi ostatecznie i nieodwołalnie, tysiącokrotnie bardziej niż za pierwszym razem — słuchała tego, co mówi. Wmawiała sobie, że lata te nauczyły ją wyrozumiałości, gdy w rzeczywistości zabiły w niej resztki odwagi moralnej.

Teraz zapoznawała męża z Anthonym.

— Pan Pac — powiedziała.

Dwaj mężczyźni, młody i stary, dotknęli się wzajemnie; dłoń Gilberta była miękka, bezkształtna, jak wyciśnięty grejpfrut. Potem dopiero mąż przywitał się z żoną, dodając, że na dworze zrobiło się jeszcze zimniej; opowiedział o swej wędrówce aż na Czterdziątą Czwartą w poszukiwaniu jakiegoś dziennika z Kansas City. Chciał wrócić autobusem, ale zbyt by przemarzł, tak, tak, tak, tak, przemarzł.

Pani Gilbert dodała tej przygodzie smaczku podziwiając jego dzielność w walce z mroźnym żywiołem.

— Zuch z ciebie! — zawołała z uwielbieniem. — Zuch! Ja za nic w świecie nie wyściubiłabym nosa na zewnątrz!

Pan Gilbert z prawdziwie męską obojętnością pominął milczeniem podziw, jaki wzbudził w żonie. Zwrócił się za to do młodszych mężczyzn i triumfalnie pokonał ich obu na polu walki z chłodem. Richard Caramel musiał przypominać sobie, jak wygląda listopad w Kansas, ale gdy tylko pozwolono mu zająć się tym tematem, został on umiejętnie pociągnięty z powrotem, niczym przynęta, przez gospodarza, który bawił się nim, pieścił, rozwijał i wreszcie uśmiercił.

Z dużym powodzeniem omówiono następnie odwieczną kwestię, że gdzieś dni są ciepłe, a noce przyjemne; potem określono co do mili odległość między dwiema miejscowościami, nieostrożnie wspomnianymi przez Dicka, leżącymi na jakiejś zapomnianej linii kolejowej. Anthony patrzył teraz bez przerwy w gospodarza i zaczął myśleć o niebieskich migdałach. Po chwili dotarły do niego uśmiechnięte słowa pani Gilbert.

— Zdaje mi się, że tutejszy mróz jest jakby wilgotniejszy — przenika mnie do szpiku kości.

Ponieważ identyczną uwagę miał właśnie na końcu języka jej małżonek, trudno mu się dziwić, że dość gwałtownie zmienił temat rozmowy.

— A gdzie Gloria?

— Zaraz wróci.

— Czy zna pan moją córkę, panie...?

— Jeszcze nie miałem przyjemności. Dick wiele mi o niej opowiadał.

— Gloria i Dick są kuzynami.

— Ach, tak? — Anthony uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem. Nie był przyzwyczajony do dłuższego towarzystwa osób starszych od siebie; usta powoli drętwiały mu od udawanej wesołości. Jak to miło pomyśleć, że Gloria i Dick są spokrewnieni! W ciągu następnej minuty udało mu się posłać przyjacielowi cierpiętnicze spojrzenie.

Richard Caramel wyraził żal, że muszą już iść. Pani Gilbert było strasznie przykro. Pan Gilbert uważał, że to wielka szkoda. Pani Gilbert wysiliła się na jeszcze jeden koncept — cieszy się, że przyszli, nawet jeżeli podejmowała ich tylko starsza pani, tak stara, że

już nie da się z nią poflirtować. Anthony i Dick uznali widocznie to za świetny dowcip, bo obaj zaśmiali się w jeden takt na trzy czwarte.

Czy odwiedzą ich wkrótce?

— Ależ oczywiście.

Gloria będzie strasznie zawiedziona, że nie zobaczyła się z nimi!

— Do widzenia...

— Do widzenia... Uśmiechy! Uśmiechy! Bum!

Dwaj niepokieszeni młodzi ludzie idą korytarzem dziesiątego piętra hotelu „Plaza” w stronę windy.

Nogi młodej damy

Za pociągającą indolencją Maury'ego Noble'a, jego rozkojarzeniem i łagodnym kpiarstwem kryła się zadziwiająca i nieustępliwa świadomość celu w życiu. Już na uniwersytecie określił dokładnie, że po studiach zamierza poświęcić pierwsze trzy lata na podróż, a drugie trzy na całkowite nieróbstwo — potem zaś zamierza jak najszybciej zostać prawdziwym Krezusem.

Trzy lata przeznaczone na podróż miał już za sobą. Objechał całą kulę ziemską z taką gorliwością i ciekawością, że każdą inną osobę z miejsca oskarżono by o pedanterię, pozbawioną nawet spontaniczności, o przeistoczenie w chodzącego baedekera; w przypadku Maury'ego jednak mówiono o tajemniczej, a ważnej misji — jakby Maury Noble miał zostać owym od dawna zapowiadany Antychrystem, zmuszonym dawnym proroctwem zjeździć cały świat i przypatrzeć się miliardom ludzi, którzy w tym świecie rozmnażali się, płakali i zabijali.

Po powrocie do Ameryki wyruszył z tym samym entuzjazmem na innego rodzaju poszukiwanie — przyjemności. On, który dotąd nie pił naraz więcej niż parę koktajli czy kieliszków wina, nauczył się pić tak, jakby uczył się greki — bo tak jak greka miało mu to otworzyć drogę do ogromnego bogactwa nowych doznań, nowych

stanów psychicznych, nowych reakcji, i radosnych, i smutnych.

Pędził żywot poddający się ezoterycznej tylko spekulacji. Zajmował trzy pokoje w garsonierze na Czterdziestej Czwartej, ale trudno było go tam zastać. Telefonistka otrzymała jak najbardziej stanowcze instrukcje, by nie łączyć nikogo, kto najpierw nie poda swego nazwiska. Miała też listę paru osób, dla których nigdy nie było go w domu, i paru takich, dla których zawsze był. Na pierwszych miejscach tej drugiej listy znajdowali się Anthony Patch i Richard Caramel.

Matka Maury'ego mieszkała u swego żonatego syna w Filadelfii, gdzie i Maury zwykle spędzał weekendy, więc w pewien sobotni wieczór, gdy Anthony, snując się po zimnych ulicach w napadzie straszliwej nudy, wstąpił do Molton Arms, z radością dowiedział się, że pan Maury Noble jest jednak u siebie.

Nuda zniknęła, zanim jeszcze dojechał windą na właściwe piętro. Jak dobrze, jak wspaniale było przygotowywać się do rozmowy z Maurem, który tak samo ucieszy się na jego widok. Popatrzą na siebie z głęboką sympatią, którą skrywać będą gdzieś w głębi oczu dobrodusznym pokpiwaniem. Gdyby było lato, wyszliby razem, by z rozpiętymi kołnierzykami leniwie i długo sączyć koktajle i oglądać jakiś średnio zabawny występ kabaretowy. Ale na dworze panował teraz mróz, zza rogów wysokich domów wypadał wiatr, a grudzień był niemal za progiem; o wiele lepiej spędzić wieczór w przytłumionym świetle lamp, nad jednym albo i dwoma szklaneczkami burbona czy kieliszkiem koniaku z zapasów Maury'ego; na ścianach, niczym ozdoby, błyszczą będą książki — i podobny do wielkiego kota Maury, siedzący w swym ulubionym fotelu i emanujący stamtąd boskim bezwładem.

Oto i on! Pokój zamknął się wokół Anthony'ego, rozgrzewając go swym ciepłem. A ciepło tego potężnego, przekonywającego umysłu, tego temperamentu, niemal orientalnego w swej niewzruszoności, rozgrzewało niespokojną duszę Anthony'ego i przynosiło jej ukojenie, ukojenie, które porównać można jedynie z tym, które daje głupia kobieta. Trzeba albo rozumieć wszystko, albo brać wszystko, jakim jest. Ucichł listopadowy wiatr; mosiężne kandelabry na kominku lśniły jak świece na ołtarzu.

— Cóż to zatrzymało cię dziś w mieście? — Anthony wyciągnął się na kanapie, w której zapadł się pod własnym ciężarem; łokieć wsparł na poduszkach.

— Siedzę tu od godziny. Najpierw byłem na wieczorku tańecznym i tak się zasiedziałem, że uciekł mi pociąg do Filadelfii.

— To dziwne, że chciało ci się zostać tak długo — z zaciekawieniem skomentował Anthony.

— Właśnie. A ty?

— Byłem z Geraldine, tą małą hostessą od Keitha. Opowiadałem ci o niej.

— Aha!

— Przyszła do mnie o trzeciej, siedziała do piątej. Dziwna jest — tak kompletnie głupia, że aż rozczulająca.

Maury milczał.

— Co najdziwniejsze — ciągnął wobec tego Anthony — przynajmniej względem mnie, i z tego, co wiem, Geraldine to chodząca cnota.

Tę dziewczynę o nieokreślonych, koczowniczych zwyczajach poznał przed miesiącem. Dostał ją w spadku po kimś innym i stwierdził, że go bawi, że polubił jej czyste, jakby nierealne pocałunki, którymi obdarzyła go w trzeci wieczór ich znajomości, gdy jechali taksówką przez Central Park. Miała jakąś rodzinę, jakąś ciotkę i wuja, u których mieszkała gdzieś w labiryncie ulic o numerach powyżej setki. Była niezłym kompanem, poufałym, dość bliskim, dającym ukojenie. Na więcej Anthony nie miał dość odwagi — nie z powodu jakichkolwiek skrupułów moralnych, lecz z obawy przed związkiem, który mógłby w jakikolwiek sposób zaburzyć jego, jak mu się zdawało, coraz przyjemniejsze życie.

— Dwie rzeczy są w niej cudowne — opowiadał dalej Maury'emu. — Po pierwsze jakoś tak spuszcza włosy na oczy, a potem rozdmuchuje je na wszystkie strony, a po drugie mówi „Chybaś zwario-o-ował!”, gdy powiem coś, czego nie pojmuje. To fascynujące. Gdy jestem z nią, potrafię całymi godzinami siedzieć całkowicie zauroczony maniakalnymi objawami, jakie wynajduje w mojej wyobraźni.

Maury poruszył się w fotelu i przemówił:

— To zadziwiające, że ktoś może rozumieć tak mało, a równocześnie dawać sobie radę w cywilizacji tak skomplikowanej jak

nasza. Taka kobieta bierze świat dokładnie takim, jakim jest. Nie ma pojęcia o niczym, ani o Rousseau, ani o tym, jak bariery celne wpływają na to, ile musi płacić za kolację. Jest jakby żywcem przeniesiona z epoki kamiennej, jest jak średniowieczny łucznik, któremu kazano stanąć do pojedynku na pistolety. Cała historia mogłaby nie istnieć — ona nawet by nie zauważyła.

— Chciałbym, żeby Richard coś o niej napisał.

— Anthony, nie chcesz chyba powiedzieć, że aż warto o niej pisać?

— Tak jak i o każdej — ziewnął. — Wiesz, myślałem sobie dziś, jak bardzo wierzę w Dicka. Jeśli tylko ograniczy się do pisania o ludziach, nie o ideach, jeśli tylko czerpać będzie inspirację z życia, nie ze sztuki, jeżeli dalej będzie rozwijał się tak, jak dotąd, to zostanie kiedyś wielkim człowiekiem.

— Przecież ostatnio zaczął używać czarnego notesu. To chyba oznaka, że stara się być bliższy życiu.

Anthony uniósł się na łokciu i odpowiedział z zapalem:

— Tak, stara się, jak wszyscy pisarze z wyjątkiem tych najgorszych, ale przecież większość z nich i tak żywi się przetrwonioną papką. Zdarzenia czy postacie może i biorą z życia, ale pisarz zwykle przedstawia je tak, jak to było w ostatniej książce, którą akurat przeczytał. O, spotka gdzieś kapitana statku i myśli: „To oryginalna postać”. A tak naprawdę widzi tylko podobieństwo między tym kapitanem a ostatnim bohaterem Dany, czy kto tam pisze w naszych czasach o kapitanach statków. I Dick oczywiście potrafi wykreować każdą postać, i to całkiem barwną, ale czy potrafiłby precyzyjnie opisać własną siostrę?

To znaczyło, że przynajmniej przez następne pół godziny będą rozmawiać o literaturze.

— Klasyka — mówił Anthony — to udane książki, którym udało się przeżyć reakcję następnego okresu czy pokolenia. Jeśli tak, to przetrwają, jak styl w architekturze. W miejsce płynącego z mody poklasku uzyskały swego rodzaju nobilitację...

Po chwili jednak temat ten przestał ich interesować, tym bardziej że obu młodych ludzi nie interesowały szczegóły, lecz generalia. Anthony ostatnio odkrywał Samuela Butlera i skrzętnie

zapisywał w swym notesie skrzydlate aforyzmy wielkiego człowieka, które uważał za kwintesencję krytyki. Maury, którego umysł dojrzał szybciej pod wpływem konsekwentnie realizowanych zamierzeń, wydawał się być z tej dwójki mądrzejszym, ale nie różnili się wiele pod względem czystej inteligencji. Z literatury pięknej przeszli na to, co robili tego dnia.

— U kogo dziś byłeś?

— U Abercrombie'ch.

— I czemu tak się zasiedziałeś? Może poznałeś jakąś słodką debiutantkę?

— Owszem.

— Naprawdę? — Anthony zdziwił się tak, że aż podniósł głos.

— No, może nie tak całkiem debiutantkę. Opowiadała mi, że swój debiut odbyła dwa sezony temu w Kansas City.

— Cóż to, czyżby jakieś popluczyny...?

— O nie — odparł Maury z pewnym rozbawieniem. — Tego bym o niej nie powiedział. Wyglądała... wyglądała na najmłodszą z dziewcząt na sali.

— Ale nie nazbyt młoda, by spóźnić się przez nią na pociąg.

— Bardzo młoda, mówię ci. I bardzo piękna.

Anthony parsknął śmiechem.

— Maury, chyba zacząłeś już drugie dzieciństwo. Jak to: piękna?

Maury patrzył przed siebie bezradnie.

— No cóż, nie potrafię jej opisać — mogę powiedzieć jedno: jest piękna. Taka... szalenie żywa. Cały czas żuła gumę.

— Co?!

— To jakby namiastka nałogu. Jest dość nerwowa. Powiedziała, że zawsze żuje gumę, gdy idzie na takie spotkania, bo musi na nich długo stać w jednym miejscu.

— O czym rozmawialiście, o Bergsonie? o bilfizmie? o tym, czy one-step jest niemoralny?

Maury'ego bynajmniej nie zbiło to z tropu; tego kota głaskać można było i z włosom, i pod włos.

— Rzeczywiście rozmawialiśmy o bilfizmie. Zdaje się, że jej mama jest bilfistką. Ale przede wszystkim rozmawialiśmy o nogach.

Anthony nie posiadał się z radości.

— O Boże! O czyich?

— Jej. To znaczy, ona wiele o nich mówiła, jakby były jej ulubionym bibelotem. Tak wiele, że miałem wielką ochotę przypatrzeć się im.

— To kim ona jest? Tancerką?

— Nie, okazało się, że to jakaś kuzynka Dicka.

Anthony usiadł na kanapie tak gwałtownie, że poduszka, uwolniona nagle od jego ciężaru, stanęła dęba jak żywe stworzenie i zeskoczyła na podłogę.

— I nazywa się Gloria Gilbert? — zawołał.

— Tak. Prawda, że niesamowita?

— Nie mam zielonego pojęcia, ale wnosząc z tego, jakim okropnym nudziarzem jest jej ojciec...

— No cóż — przerwał mu ze stuprocentowym przekonaniem Maury — nawet jeśli jej rodzina jest smętna jak zawodowi żalobnicy, uważam, że to autentyczna i oryginalna dziewczyna. Na pierwszy rzut oka jedna z tych, które spotyka się na komersach w Yale — a jednak zupełnie inna, krańcowo inna.

— No, opowiadaj dalej! — zachęcił go Anthony. — Jak Dick powiedział mi, że nie ma ani kropli oleju w głowie, zaraz wiedziałem, że będzie świetna.

— Tak powiedział?

— Zaklinał się — powtórzył Anthony, znów parszcząc śmiechem.

— Wiesz, według niego rozum u kobiety to...

— Wiem, wiem — przerwał z zapalem Anthony. — Stek bzdur na temat literatury.

— No właśnie. Według Dicka kobiety inteligentne to takie, które uważają, że upadek moralny, z roku na rok zaznaczający się w naszym kraju, to coś albo bardzo dobrego, albo bardzo złego. I albo noszą pince-nez, albo stale przybierają jakieś pozy. A ta opowiadała o swoich nogach. I o skórze, też swojej. Cały czas albo o swoich nogach albo o swojej skórze! Opowiedziała mi dokładnie, jak chce zwykle opalić się latem i do jakiego stopnia jej się to udaje.

— A ty siedziałeś oczarowany jej niskim altem?

— Jej niskim altem?! Skąd, jej opalenizną! Nie mogłem opędzić się od myśli o opaleniznie. Zacząłem przypominać sobie, jaki

kolor osiągnąłem, kiedy opalałem się ostatni raz, jakieś dwa lata temu. Dawniej opalałem się całkiem nieźle. Na lekki brąz, jeśli pamiętam.

Anthony na powrót ułożył się na poduszkach, osłabły ze śmiechu.

— No, Maury, wzięło cię! Maury, ratownik z Connecticut, Maury, człowiek w skórze kasztana. Ekstra! Spadkobierczyni wielkiej fortuny ucieka z ratownikiem, urzeczona jego cudowną opalenizną! Okazało się później, że w jego żyłach płynie tasmańska krew!

Maury westchnął. Wstał, podszedł do okna i otworzył żaluzję.

— Ale śnieg...

Anthony, wciąż śmiejąc się w duchu, nic nie powiedział.

— Znowu zima. — Dobiegający od okna głos Maury'ego był teraz niemal szeptem. — Starzejemy się, Anthony. Rany boskie, przecież ja mam już dwadzieścia siedem lat! Za trzy lata będę miał trzydzieści; na studiach mówiliśmy o kimś takim, że jest w średnim wieku!

Anthony milczał przez chwilę.

— To prawda, Maury — zgodził się wreszcie. — A pierwszą oznaką wielce rozwiązłej i stetryczalej starości jest to, że spędziłeś dzisiejsze popołudnie na rozmowie o opaleniznie i nogach młodej damy.

Maury zaciągnął żaluzję z gwałtownym trzaskiem.

— Ty idioto! — krzyknął. — I ty to mówisz! Tkwią tu, mój młody Anthony, jak będę tkwił jeszcze przez jedno albo i więcej pokoleń, przyglądając się, jak takie wesołki jak ty, Dick i Gloria Gilbert mijają mnie tańcząc, śpiewając, kochając i nienawidząc się nawzajem, i wzruszając się, wiecznie się wzruszając. A mnie wzrusza tylko jedno: mój własny brak uczuć. Będę siedział, a przede mną defilować będą kolejne zimy — żeby jakiś Caramel miał co notować — a ty, Dick i Gloria będziecie wciąż wzruszać się wiecznie, tańczyć wokół mnie, śpiewać... Ale gdy was już nie będzie, ja nadal będę mówił coś, co notować będą inni, nowi Dickowie, będę wysłuchiwał rozczarowań, cynizmów i uczuć nowych Anthonych — a tak, i rozmawiał z nowymi Gloriami o opaleniznie z lat, które nadejdą.

Ogień w kominku przygasał. Maury odszedł od okna, wsunął pogrzebacz w żar i dorzucił kilka szczap. Potem powrócił na fotel. Mówił jakby resztkami sił; jego głos z trudem przebijał się przez trzask rozbudzonego na nowo ognia, który, żółty i czerwony, pełzał po korze drewna.

— Bo przecież to ty, Anthony, jesteś młody i bardzo romantyczny. To ty jesteś nieskończenie bardziej wrażliwy, to ty nieskończenie bardziej obawiasz się, że twój spokój zostanie zakłócony. A ja staram się i staram, by się wzruszyć, by przestać na chwilę być sobą — i nic. Nic.

— A swoją drogą — zamruczał po kolejnej, dłuższej przerwie — w tej małej i jej głupiej opaleniznie było coś odwiecznie starego — starego jak ja.

Rozterki

Anthony obrócił się sennie na swym wielkim łożu, witając na kołdrze plamę chłodnego słońca, poprzecinaną pasemkami cienia rzucanego przez ołowiane szyby okna. Pokój był pełen poranka. Rzeźbiona skrzynia w rogu, stara i nieprzenikniona szafa były jak mroczne symbole nieczulej materii; tylko przemijający dywan zachęcał do stąpienia nań jego przemijające stopy, zaś Bounds, potwornie nie *comme il faut* w tym miękkim kołnierzyku, składał się z czegoś równie nietrwałego jak wydychana przezeń zmrożona mgielka. Stał tuż przy łożku, z ręką wciąż opuszczoną ku kołdrze, i niewzruszenie wpatrywał się w chlebobawcę.

— Bams! — wymamrotał zaspany bóg. — T-ty, Bams?

— Tak, to ja, sir.

Anthony poruszył głową, zmusił powieki do uniesienia się na całą wysokość, po czym zamrugnął nimi triumfalnie.

— Bounds.

— Tak, sir?

— Czy mógłbyś — a-a-o-o Boże! — Anthony ziewnął straszliwie, aż wszystko, co miał w mózgu rozsypało się w proch i pył. Zaczął jeszcze raz.

— Czy mógłbyś przyjść dziś koło czwartej, podać herbatę, kanapki i coś tam jeszcze?

— Tak, sir.

Anthony z trudem pozbiierał resztki natchnienia.

— Więc kanapki — powtórzył bezradnie. — Może z serem, z dżemem, z kurczakiem i oliwkami. I nie rób mi śniadania.

Ten wysiłek umysłowy osłabił go do reszty. Znużony przymknął oczy, pozwolił głowie opaść bezwładnie na poduszki, pośpiesznie rezygnując z odzyskanej dopiero co władzy nad mięśniami. Z jakiegoś zakamarka jego umysłu wypełzło mgliste, lecz bezlitosne widmo poprzedniej nocy — tym razem jednak była to tylko nie kończąca się rozmowa z Richardem Caramelem, który odwiedził go o północy; wypili cztery butelki piwa przegryzane suchą skórką chleba. Anthony miał okazję wysłuchać pierwszej części „Diabelskiej kochanki”.

Zdawało się mu, że upłynęły całe godziny, nim znów usłyszał głos. Anthony nie zareagował, bo sen znów spowijał go swym całunem, okrywał go całego, wciskał się w najdalsze komórki mózgu.

Nagle ocknął się i zapytał: — Co?

— Na ile, sir? — To ciągle był ten sam Bounds, stojący cierpliwie i bez ruchu w nogach łoża, Bounds, dzielący swe nienaganne maniery i naganny kołnierzyk między trzech dżentelmenów.

— Co na ile?

— Wydaje mi się, sir, iż byłoby pożądanym wiedzieć, ile osób dziś pana odwiedzi. Muszę określić liczbę kanapek, sir.

— Dwoje — wychrypiał Anthony.

Bounds powiedział: — Dziękuję, sir. — I odszedł, dźwigając ten haniebny, pełen wyrzutu, miękki kołnierzyk — pełen wyrzutu względem każdego z trzech dżentelmenów, z których każdy wymagał od niego tylko jednej trzeciej.

Trwało długo, nim Anthony zwlókł się z łóżka i naciągnął na swą szczupłą, przyjemną figurę mieniący się brązem i błękitem szlafrok. Ostatnie ziewnięcie dopadło go w drzwiach łazienki, gdzie, włączwszy światło (pomieszczenie to nie miało okien), przyglądał się sobie z wielkim zainteresowaniem. Co za żalosne widziadło, pomyślał, jak zwykle rano, bo sen czynił jego skórę nie-naturalnie bladą. Zapalił papierosa i przejrzał najpierw pocztę, potem poranną „Tribune”.

Godzinę później, ogolony już i ubrany, siedział przy biurku nad

małą kartką papieru, którą wyciągnął z portfela. Była zapisana ledwo czytelnymi notatkami: „Howland — 17. Fryzjer. Rachunek od Riversa? Księgarnia”.

Pod tym ostatnim zapiskiem: „Gotówka w banku: 690 (przekreślone), 612 (przekreślone), 607”.

I wreszcie na samym dole, pośpiesznym pismem: „Dick i Gloria, podwieczorek”.

Ta ostatnia notatka sprawiła mu wyraźną satysfakcję. Jego dzień, zazwyczaj galaretowaty, bezkształtny, bezkręgowy stwór, dzisiaj przybierał przynajmniej jakiś mezozoiczny kształt. Zmierzał pewnie, wręcz pośpiesznie, ku jakiemuś punktowi kulminacyjnemu, jak sztuka teatralna, jak — dzień. Drżał na myśl o chwili, w której kręgosłup dnia załame się, gdy wreszcie pozna tę dziewczynę, porozmawia z nią, ukłonem odprowadzi jej śmiech do drzwi i znów pozostanie sam na sam ze smętnymi fusami w filiżankach i narastającą nieświeżością nie zjedzonych kanapek.

Dni Anthony'ego były ostatnio coraz bardziej bezbarwne. Poczucie to nie opuszczało go ani na chwilę; czasami wydawało mu się, że wszystko zaczęło się od rozmowy, jaką odbył miesiąc wcześniej z Maurym Noblem. To absurd, że coś tak małostkowego, tak kołtuńskiego, jak owo poczucie pustki, przygniata go takim ciężarem; trudno jednak kryć, że jakaś przemożna, brutalna siła kazała mu trzy tygodnie temu odwiedzić bibliotekę publiczną, z której, za okazaniem karty Richarda Caramela, wypożyczył kilka dzieł o włoskim renesansie. Trudno też nie zrozumieć, o czym świadczyła ich obecność na stole w tym samym położeniu, w której zostały przyniesione, dziennie kosztująca Anthony'ego dwanaście centów kary za przetrzymanie: ich płótno i skóra krzyczały wniebogłose o jego zdradzie. Anthony przeżył kilka bitych godzin ostrej, wstrząsającej paniki.

Oczywiście na usprawiedliwienie mógłby przytoczyć, przede wszystkim, Bezsens Życia. Doradcami i ministrami, paziami i giermkami, lokajami i kamerdynerami tego wielkiego chana był tysiąc lśniących na półkach książek, mieszkanie, w którym się znajdowały, i cały majątek, który przejdzie w jego posiadanie, gdy stary wreszcie udławi się swą moralnością. Dzięki Bogu nie pociągał go świat niebezpiecznych debiutantek i głupich Geraldin — wolały już naśladować koci bezruch Maury'ego i dumnie dźwigać nagromadzoną mądrość liczonych skrupulatnie pokoleń.

Ale po przeciwnej stronie było coś, co jego mózg z uporem analizował i przypominał niczym jakiś natrętny kompleks, a co z logiką skonfrontowane i logiką wdeptane w błoto kazało mu udać się przez miękkie, późnolistopadowe blocko do biblioteki, w której i tak nie znalazł większości z tego, czego szukał. Anthony'ego wolno analizować tylko tak, jak on analizował sam siebie; pójść dalej byłoby oczywiście arogancją. Czuł w sobie rosnącą grozę i samotność. Przerażała go perspektywa samotnego spożywania posiłków; z dwojga złego wolał jadać z ludźmi, których nie cierpiał. Podróże, niegdyś tak pełne wdzięku, teraz wydawały się czymś nie do zniesienia, bezbarwne, bezprzedmiotowe, pogoń za złudzeniami, za cieniem zaledwie własnych mrzonek.

...Jeśli rzeczywiście jestem z natury słaby, myślał, potrzebna mi praca i jeszcze raz praca. Dręczyło go, że jest w gruncie rzeczy miernotą, idącą po najmniejszej linii oporu, że brak mu tak poży Maury'ego, jak entuzjazmu Dicka. Tragedią było niczego nie pragnąć — ale on przecież w końcu czegoś pragnął. Chwilami wydawało mu się, że wie, co to jest — że zna ścieżkę nadziei, która poprowadzi go aż do złowieszczej a nieuchronnej starości.

Po koktajlach i obiedzie w University Club Anthony poczuł się znacznie lepiej. Spotkał tam dwóch kolegów z grupy z Harvardu; w kontraście z szarą przyciężkawością ich gadaniny jego życie nabrało barw. Obaj byli już żonaci; gdy pili kawę, jeden z nich opisał którąś ze swych pozamałżeńskich przygód; drugi słuchał tego z ironicznym, lecz i pełnym zrozumienia uśmiechem. Anthony pomyślał, że oto ma przed sobą dwóch Gilbertów w stadium embrionalnym; gdy zaczną powtarzać „tak” jeszcze cztery razy częściej, gdy zgorzknieją przez dwadzieścia lat, staną się przestarzałymi, zepsutymi maszynami, bez wartości, bez prawdziwej mądrości, opiekuńczo prowadzonymi ku ostatecznej starości przez kobiety, które zniszczą.

O, nie, on sam jest inny, myślał maszerując po długim dywanie w hallu, przystając na chwilę przed oknem, by wyjrzeć na zabieganą ulicę. On jest przecież błyskotliwym, czarującym Anthonym Patchem, on nosi w sobie dziedzictwo wielu lat i wielu ludzi. Teraz świat należy do niego — a ta przemożna ironia, której tak się obawia, czyha na niego niemal za każdym rogiem.

Naszły go znów chłopięce marzenia. Widział się w nich jako jeden z wielkich tego świata; dzięki pieniądzom dziadka może być wszystkim, Talleyrandem, Metternichem. Przejrzystość umysłu, wyrafinowanie, wszechstronna inteligencja, dojrzałe już i ujęte w karby celu w życiu — gdy go odnajdzie — sprawią, że będzie miał co robić. Tutaj jednak marzenia urywały się — na pracy: na próżno usiłował wyobrazić sobie siebie w Kongresie, nurzającego się w tym nieprawdopodobnym chlewie wraz z ograniczonymi, świńskimi ryjami polityków, które widywał czasem na rysunkach w niedzielnych wydaniach gazet, tych wywyższonych proletariuszy, bezwstydnie zalewających naród sztubackimi ideami! Tych małych ludzi z ambicjami wprost z podręczników, którym zdaje się w swej miernocie, że wznieśli się ponad miernotę w pozbawione blasku i romantyzmu niebo demokracji — a najlepsi spośród nich, owi samolubni, cyniczni mędrzy na samej górze tej drabiny, zadowalały się dyrygowaniem tym chórem białych krawatów i drucianych guzików fałszywie wyjącego ów zadziwiający hymn, hymn o bogactwie — które jest nagrodą za cnotę i równocześnie dowodem występku — ku czci Boga, Konstytucji i Gór Skalistych!

Metternich! Talleyrand!

Gdy wrócił do mieszkania, szarość powróciła. Koktajle już nie działały, zsyłając jedynie senność, otumanienie i zły humor. On miałby być Talleyrandem? Na samą myśl o tym czuł gorycz. On, Anthony Patch, bez żadnych osiągnięć, pozbawiony odwagi, pozbawiony siły, by choćby stawić czoło rzeczywistości? On, ten pretensjonalny głupiec, trawiący życie na przyrządzaniu koktajli i oplakujący przy tym, ale tylko w skrytości ducha, swój niedojrzały, z góry skazany na pożarcie idealizm? On, karmiący się dotąd najwykwintniejszymi smakami duszy, pragnął teraz najbardziej starych odpadków. Był pusty, pusty jak stara butelka...

Zabrzączał dzwonek. Anthony zerwał się na równe nogi i podniósł do ucha słuchawkę domofonu. Usłyszał w niej żartobliwie nienaturalny głos Richarda Caramela:

— A teraz panna Gloria Gilbert!

Piękna pani

— Dzień dobry — powiedział, z uśmiechem otwierając im drzwi.

Dick skłonił się.

— Glorio, pozwól przedstawić sobie Anthony'ego.

— Ach! — zawołała, wyciągając ku gospodarzowi drobną, skrytą w rękawicze dłoń.

Pod futrem miała błękitną suknię, z sztywno pomarszczoną koronką wokół szyi.

— Proszę pozwolić zaopiekować się pani płaszczem.

Anthony wyciągnął ręce do przodu. Opadła na nie brunatna masa futra.

— Dziękuję.

— No i co o niej myślisz, Anthony? — bez śladu delikatności zapytał Richard Caramel. — Piękna, co?

— Ach! — zawołała wojowniczo dziewczyna, zupełnie przy tym nie zakłopotana.

Była zachwycająca i promieniejąca światłem. Nie dało się ogarnąć jej piękna jednym spojrzeniem, zbyt wielki sprawiało ból. Włosy, pełne niebiańskiego przepychu, wesoło rozjaśniały zimową barwę pokoju.

Anthony krążył wokół jak magik, podkreślając podobną do wielkiego grzyba lampę aż do pomarańczowej glorii. Podsycony na nowo ogień rozpląmniał miedziane wilki w kominku...

— Zamarzałam na kość — zamruczała niedbale Gloria, rozglądając się po pokoju oczyma o najdelikatniejszym, przeźroczystym, niebieskawym odcieniu bieli. — Jaki miły ogień! Znaleźliśmy miejsce, gdzie można było stanąć na takiej żelaznej kracie, spod której nawiewało ciepłe powietrze, ale Dickowi nie chciało się tam ze mną stać. Mówiłam mu, żeby sobie poszedł i pozwolił mi rozkoszować się tym szczęściem.

Zabrzmiało to dość banalnie. Mówiła, jakby dla samej przyjemności mówienia, lekko i bez wysiłku. Anthony, siedząc na jednym z krańców kanapy, przyglądał się jej profilowi na tle światła lampy: cudownej regularności noska i górnej wargi, leciutko wysuniętemu podbródkowi, cudownie podtrzymywanemu na dość krótkiej szyi.

Na zdjęciach musiała wyglądać nieskończenie klasycznie, niemal chłodno, ale jej połyskliwe włosy i rumiane, a zarazem delikatne policzki wprost tryskały życiem. Anthony nigdy nie widział kogoś takiego.

— ...I pomyśleć, że nazywa się pan tak wspaniale! Jak nikt! — mówiła wciąż jakby do siebie; spojrzenie jej spoczęło na nim na chwilę, po czym pomknęło dalej, ku włoskim kinkietom, przyklepionym do ścian jak świetliste, złote żółwie, ku nie kończącym się rzędom książek i wreszcie ku kuzynowi. — Anthony Patch. Tylko że pana wygląd trochę do tego nie pasuje. Powinien pan przypominać konia, z taką długą, wąską twarzą — no i powinien pan ubierać się w kratę.

— Tak, ale to dotyczy samego „Patcha”. A jak powinien wyglądać „Anthony”?

— Tak, pan wygląda jak Anthony — zapewniła go z powagą — jemu zaś wydało się, że w ogóle na niego nie patrzy. — Jest pan majestatyczny — ciągnęła — i pełen powagi.

Anthony pozwolił sobie na zażenowany uśmiech.

— Tylko że mi najbardziej podoba się połączenie imienia i nazwiska, które zaczyna się na tę samą literę — mówiła dalej. — Wszystkie, poza moim. Moje jest zbyt kwieciste. Ale znałam kiedyś dwie dziewczyny nazwiskiem Jinks. Pomyślcie, co by było, gdyby nie nazwano ich Judy Jinks i Jerry Jinks? Rozkoszne, prawda? — Dziecinne wargi rozchyliły się, czekając na odpowiedź.

— W następnym pokoleniu — zaproponował Dick — wszystkie dzieci będą miały na imię albo Peter, albo Barbara, bo teraz tak nazywają się wszystkie co bardziej pikantne postacie literackie.

Anthony podchwycił wieszczy ton.

— A Gladys i Eleanor, ulubione wśród ostatniego pokolenia bohaterek, obecnie u szczytu powodzenia towarzyskiego, zostaną przekazane najbliższemu pokoleniu sprzedawczyń...

— Usuwając w cień Ellę i Stellę — wtrącił Dick.

— I Pearl, i Jewel — dodała z zapalem Gloria. — I jeszcze Earla, Elmera i Minnie.

— A wtedy pojawię się ja — zauważył Dick — i nadam zapomniane imię Jewel jakiejś sympatycznej, atrakcyjnej postaci, i w ten sposób znów zrobi ono karierę.

Głos jej podjął wątek i snuł go dalej, z lekko rosnącymi na wprost

żartobliwymi nutkami przy końcach zdań — jakby w oczekiwaniu, że ktoś zechce przerwać — i z krótkimi przerwami na wybuchy cienistego śmiechu.

Dick mówił jej, że lokaj Anthony'ego nazywa się Bounds — ona uważa, że to wspaniałe! Dick popełnił dość żalorny kalambur o Boundsie, który robi Patch-worki; jest tylko jedna rzecz żalorniej-sza niż kalambur, powiedziała: po każdym kalamburze zawsze znajdzie się ktoś, kto rzuca jego autorowi spojrzenie pełne udawanego wyrzutu.

— Skąd pani pochodzi? — zapytał w pewnej chwili Anthony. Wiedział, ale jej piękno zupełnie go otumaniło.

— Z Kansas City, z Missouri.

— Miała debiut dokładnie wtedy, gdy zakazano tam palenia papierosów.

— A zakazano? Czuję w tym rękę mojego świętego dziadzia.

— On, zdaje się, chce nawrócić świat, prawda?

— Wstyd mi za niego.

— Mnie też — wyznała. — Nie cierpię takich ludzi, a najbar-dziej tych, którzy usiłują nawrócić mnie.

— Dużo ich pani poznała?

— Całe dziesiątki. Wiecznie powtarzają: „Ależ, Glorio, jeśli nadal będziesz tyle paliła, popsujesz sobie tę śliczną cerę!” i „Och, Glorio, czy nie czas, żebyś się ustatkowała, wyszła za mąż?”

Anthony energicznie potakiwał, dziwiąc się w duchu, że znaleźli się ludzie, którzy ośmielili się mówić w ten sposób do takiej osóbkii.

— A oprócz tego — ciągnęła — są też nawracacze bardziej sub-telni. Tacy, co opowiadają o strasznych plotkach, które rzekomo o mnie krążą, i o tym, jak im zaprzeczali.

Teraz dopiero przekonał się, że oczy jej są szare, bardzo spokoj-ne i niewzruszone; gdy wzrok ich spoczął na nim, zrozumiał wresz-cie, co Maury miał na myśli mówiąc, że jest bardzo młoda i bardzo stara zarazem. Mówiła wyłącznie o sobie, jak bardzo rozkoszne, ale rozpieszczone dziecko, a jej uwagi o sympatiach i antypatiach były szczere i spontaniczne.

— Muszę wyznać — rzekł Anthony z powagą — że nawet ja słyszałem coś o pani.

Natychmiast stała się czujna. Wyprostowała się, a te oczy, o szarości i wieczności granitowej skały, patrzyły mu teraz prosto w twarz.

— Proszę mi powiedzieć. Uwierzę. Zawsze wierzę we wszystko, co o mnie mówią. Wy też?

— Oczywiście! — zgodzili się obaj chórem.

— Więc proszę mi powiedzieć.

— Nie wiem, czy powinienem — Anthony postanowił podrożyć się z nią przez chwilę. Mimo woli uśmiechnął się. Była tak wyraźnie zaciekawiona, tak zabawnie zajęta wyłącznie sobą...

— Jemu pewnie chodzi o twoje przezwisko.

— Jakie przezwisko? — grzecznie zdziwił się Anthony.

Przez chwilę była jakby onieśmielona — a potem zaśmiała się, rzuciła do tyłu na poduszki i wznosząc oczy w górę odpowiedziała:

— Gloria Od-Morza-Do-Morza. — Głos jej był pełen śmiechu, śmiechu równie nieokreślonego, co wciąż zmienne cienie, grające odbłaskiem ognia i lampy w jej włosach.

Anthony wciąż nie rozumiał.

— Co to znaczy?

— To ja. Tak mnie nazwało kilku głuptasów.

— Nie rozumiesz, Anthony — tłumaczył Dick. — Bo tak głośno było o niej w całym kraju. Prawda, że to właśnie słyszałeś? Przechwają ją tak od dawna, od czasu, kiedy skończyła siedemnaście lat.

W oczach Anthony'ego pojawił się smutek i rozbawienie.

— A cóż to za Matuzalema tyś mi tu przyprowadził, Caramel?

Puściła tę uwagę mimo uszu — chyba niezbyt przypadła jej do gustu, bo powróciła do głównego wątku.

— No więc co pan o mnie słyszał?

— Chodziło o pani wygląd.

— A... — Była jakby zawiedziona. — Tylko tyle?

— Chodziło o pani opaleniznę.

— Opaleniznę? — Teraz ona nic nie rozumiała. Dłoń jej powędrowała ku szyi i pozostała tam przez chwilę, jakby chciała nią wyczuć zmianę barwy własnej skóry.

— Czy pamięta pani Maury'ego Noble'a? Poznała go pani mniej więcej miesiąc temu. Zrobiła pani na nim wielkie wrażenie.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Pamiętam go. Miał do mnie zatelefonować. Nie zatelefonował.

— Jestem pewny, że nie śmiał.

Na zewnątrz było teraz całkiem ciemno. Anthony dziwił się, że jego mieszkanie kiedykolwiek wydawało mu się szare. Przecież wszystko tu jest takie ciepłe, takie przyjazne: książki, obrazy na ścianach, poczciwy Bounds, dyskretnie podający z cienia podwieczorek, i troje sympatycznych, interesujących ludzi, przy wesołym ogniu roztaczających wokół siebie śmiech.

Niezadowolenie

W czwartek popołudniem Gloria i Anthony wybrali się na podwieczorek do grill-baru w hotelu „Plaza”. Jej obsyty futerkiem kostiumik był szary — „bo do szarego trzeba się mocno umalować”, jak zaraz wyjaśniła — a na głowie sterczał zawadiacko mały toczeł, spod którego wyskakiwały triumfalnie złote fale włosów. W lepszym świetle całe jej zachowanie wydawało się Anthony’emu znacznie spokojniejsze, ona sama zaś — znacznie młodsza, niespełna osiemnastoletnia; jej sylwetka, ściśnięta wąską sukienką, była zadziwiająco szczupła i zwinna, palce zaś, ani „artystyczne”, ani serdelkowate, przypominały raczej małe paluszki dziecka.

Gdy weszli na salę, orkiestra właśnie wydawała z siebie wstępne zawodzenia maczicy, melodię pełną trzasku kastanietów i naiwnie omdlałych harmonii skrzypcowych, dziwnie pasującą do tego zimowego grill-baru, pękającego w szwach od podekscytowanego tłumu studentów, radujących się nadciągającymi feriami. Gloria starannie zlustrowała wszystkie wolne stoliki i ku pewnemu niezadowoleniu Anthony’ego ostentacyjnie poprowadziła go okrężną drogą ku dwuosobowemu stolikowi na przeciwległym krańcu sali. Dotarłszy do niego, znów przystanąła: czy ma usiąść po lewej, czy po prawej? Piękne oczy i usta spoważniały przy tych rozważaniach; Anthony myślał tymczasem, jak naiwny jest każdy jej gest; uważa, że cały świat do niej należy, że może brać, co chce, i dawać, co chce — że życie polega na ciągłym wybieraniu coraz to nowych prezentów z jakiegoś wora bez dna.

Z roztargnieniem przyglądała się przez chwilę tańczącym, rzucając szeptem uwagi o sunących w pobliżu parach.

— O, jaka ładna dziewczyna, ta w niebieskim! — A gdy Anthony posłusznie odwrócił głowę: — Tam! Nie, z tyłu, tam!

— Rzeczywiście — przytaknął dość bezradnie.

— Nie, nie na nią pan patrzył.

— Wolę patrzeć na panią.

— Wiem, ale ona naprawdę była ładna. Tylko że miała za duże kostki.

— Tak? — zapytał obojętnie.

Od tańczącej opodal pary dobiegł ich dziewczęcy głos, wołający:

— Cześć, Gloria! Hej, Gloria!

— Cześć.

— Kto to? — zapytał.

— Nie mam pojęcia. — Zauważyła w tłumie inną twarz. — Cześć, Muriel! — Potem do Anthony'ego: — A to Muriel Kane. Przyznam, że ona jest atrakcyjna. Tylko nie bardzo.

Anthony zachichotał z aprobatą.

— Atrakcyjna, ale nie bardzo — powtórzył.

Uśmiechnęła się z nagłym zainteresowaniem.

— Co pana w tym śmieszy? — Głos jej był przesadnie przejęty.

— Bo to śmieszne.

— Chce pan potańczyć?

— A pani?

— Trochę. Ale lepiej posiedzmy — zdecydowała.

— I porozmawiajmy o pani? Bo pani uwielbia rozmawiać o sobie, prawda?

— Prawda — zaśmiała się, przyłapaną na próżności.

— Sądzę, że pani autobiografia przeszłaby do klasyki.

— Dick twierdzi, że nie byłoby o czym pisać.

— Dick! — zawołał. — A cóż on wie o pani?

— Nic. Ale mówi, że biografia każdej kobiety zaczyna się od pierwszego prawdziwego pocałunku, a kończy z ostatnim dzieckiem na ręku.

— On mówi tylko w oparciu o swoją książkę.

— Twierdzi, że kobiety niekochane nie mają biografii, ale historie.

Anthony znów się zaśmiał.

— Nie twierdzi pani chyba, że jest pani niekochana!

— Ma pan rację.

— No, to dlaczego nie ma pani biografii? Czyżby jeszcze nie było tego pierwszego prawdziwego pocałunku? — Ledwie wypowiedział te słowa, gwałtownie wciągnął powietrze, jakby chciał je cofnąć. Przecież to jeszcze maleństwo!

— Nie rozumiem, co to znaczy „prawdziwy”? — sprzeciwiła się.

— Gdybym wiedział, ile ma pani lat...

— Dwadzieścia — powiedziała patrząc mu poważnie w oczy.

— A ile by mi pan dał?

— Około osiemnastu.

— To mogę mieć osiemnaście. Nie cierpię mieć dwudziestu dwóch lat. Tego właśnie nie cierpię najbardziej na świecie.

— Czego? Tego, że ma pani dwadzieścia dwa lata?

— Nie. Starzenia się i tak dalej. Małżeństwa.

— Nie chce pani wyjść za mąż?

— Nie chcę brać na siebie tej odpowiedzialności i zajmować się bandą dzieci.

Widać było wyraźnie, że nie wątpi w słuszność wszystkiego, co mówi. Z zapartym tchem czekał na jej następną uwagę, licząc, że powie coś jeszcze na ten temat. Uśmiechała się, niewesoło, choć przyjemnie; po chwili w przestrzeń między nimi padło te kilka słów.

— Szkoda, że nie mam gumy.

— W tej chwili służę. — Skinął na kelnera i wysłał go do kiosku.

— Czy będzie to panu przeszkadzać? Ja po prostu uwielbiam gumę. Wszyscy żartują sobie ze mnie, bo zawsze mam ją w ustach, gdy tylko taty nie ma w pobliżu.

— Ależ skąd. Co to za dzieciaki? — zapytał nagle. — Czy pani zna ich wszystkich?

— No... Nie, ale są z... no, zewsząd. Pan nigdy tu nie przychodzi?

— Bardzo rzadko. Nie przepadam za „grzecznymi dziewczynkami”.

Natychmiast poczuł, że słucha go bardzo uważnie. Stanowczo odwróciła się plecami do tańczących, rozparła się w krześle i zapytała:

— A czym się pan zajmuje?

Dzięki koktajlom Anthony ucieszył się z tego pytania. Miał ochotę mówić, chciał przy tym wyrzeć wrażenie na tej dziewczynie, bo utrzymać jej uwagę było tak bardzo syzyfowym trudem — myśli jej wędrowały tu i tam, zatrzymując się w najbardziej niespodziewanych chwilach, pomijając to, co najmniej oczywiście oczywiste. Anthony chciał przybrać właściwą pozę, chciał ukazać się jej nagle w nowych, heroicznych barwach. Chciał wyrwać ją z obojętności, którą przejawiała względem wszystkiego poza sobą.

— Niczym — zaczął, uświadamiając sobie równocześnie, że słowa te nie zabrzmiały tak lekko, jak chciał. — Niczym, bo nie umiem robić nic, co warte byłoby tego zachodu.

— No więc? — A więc nie tylko nie zdziwił jej, lecz i nawet nie zaciekał, choć zrozumiała przecież, co mówi — jeżeli cokolwiek z tego warto było rozumieć.

— Nie lubi pani leniwych mężczyzn?

Pokręciła głową.

— Lubię, jeśli potrafią leniuchować z wdziękiem. Czy to możliwe dla Amerykanina?

— A czemuż by nie? — zapytał zbity z tropu.

Ale ona była już myślami gdzie indziej, i to bardzo daleko.

— Mój tata jest na mnie wściekły — zauważyła z tą samą obojętnością.

— Za co? Ale ja chcę dowiedzieć się, dlaczego Amerykanin miałby nie umieć leniuchować z gracją? — Teraz był już bardziej przekonujący. — Dziwi mnie to. Bo... bo... nie rozumiem, dlaczego uważa się, że każdy młody człowiek musi codziennie jeździć do centrum, przez dwadzieścia najlepszych swoich lat poświęcać codziennie dziesięć godzin pracy nudnej, beznadziejnej, a co najgorsze — nie bezinteresownej.

Urwał. Patrzyła na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Cekał, by zgodziła się z nim lub zaprzeczyła, ale ona nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

— Czy pani nigdy nie wyraża swojego zdania? — zapytał z pewnym zniecierpliwieniem.

Pokręciła głową. Mówiąc znów przyglądała się tancerzom.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia, co sama mam robić i co powinni robić inni...

Poczuł się zagubiony; nie wiedział już, co o niej myśleć. Nigdy dotąd nie pragnął bardziej wyrazić tego, co czuje — i nigdy nie przychodziło mu to z większym trudem.

— No cóż — wyznał przeprasząc — ja oczywiście też nie, ale...

— Kiedy myślę o ludziach — ciągnęła — to tylko o tym, czy są w porządku, czy ich lubię. Nie przeszkadza mi, jeśli nic nie robią. Po co? Prawdę mówiąc dziwię się, że ktoś w ogóle coś robi.

— A pani nie chce nic robić?

— Ja? Ja chcę spać.

Oniemiał na chwilę, zupełnie jakby zrozumiał to dosłownie.

— Spać?

— Tak jakby. Po prostu, chcę nie robić nic. Chcę za to, żeby parę osób wokół mnie jednak coś robiło, bo dzięki temu czuję się bezpieczna — i chcę, żeby inni też nic nie robili, bo dzięki temu mogą być przyjemni i towarzyscy. Ale nie chcę zmieniać ludzi czy niepokoić się z ich powodu.

— Jest pani małą, zdeterminowaną deterministką — zaśmiał się Anthony. — I cały świat do pani należy, tak?

— No... — zawahała się; podniosła oczy w górę i zaraz je opuściła — a nie? Przynajmniej dopóki jestem... młoda.

Przed tym ostatnim słowem zrobiła krótką pauzę. Anthony domyślił się, że w rzeczywistości chciała użyć innego; bez wątpienia na końcu języka miała słowo „piękna”.

Oczy jej rozjaśniły się, więc czekał, by coś dodała. Tak czy inaczej udało mu się rozwiązać jej język; pochylił się ku niej, by nie uронić ani słowa.

Ale ona powiedziała tylko:

— Zatańczmy!

Adoracja

To zimowe popołudnie w hotelu „Plaza” było pierwszą z całego szeregu „randek”, na które umawiał się z nią Anthony w owe rozmazane i ekscytujące dni przed Bożym Narodzeniem. Najczęściej była zajęta. Dużo czasu zajęło mu ustalenie, który z poziomów nowojorskiego życia towarzyskiego tak bardzo ją angażował, a i tak

nie miało to większego znaczenia. Chodziła na półpubliczne bale dobroczynne w wielkich hotelach; kilkakrotnie spotkał ją na bankietach u Sherry'ego, a kiedyś, gdy czekał, aż przygotuje się do wyjścia, usłyszał od pani Gilbert, *à propos* licznych „wyjść” córki, zadziwiająco wypełniony program na święta, w tym kilkanaście balów, na które i Anthony otrzymał zaproszenia.

Kilkakrotnie umawiał się z Glorią na lunch lub podwieczorek; te pierwsze odbywały się zazwyczaj pośpiesznie i, przynajmniej z punktu widzenia Anthony'ego, niezadowolająco: Gloria była senna i obojętna, niezdolna skoncentrować się nad czymkolwiek i nadążać za tokiem rozmowy. Gdy po dwóch równie mało wesołych spotkaniach oskarżył ją, że dostają mu się same ochłapy dnia, roześmiała się i przez trzy dni z rzędu spotykali się na podwieczorkach, te zaś były nieskończenie przyjemniejsze.

Pewnego niedzielnego popołudnia przed samym Bożym Narodzeniem zastał ją dopiero co uspokojoną po ważnej a tajemniczej kłótni; poinformowała go na wpół gniewnie, na wpół z rozbawieniem, że właśnie wyrzuciła kogoś z apartamentu — Anthony zaczął błyskawicznie przeglądać w myśli listę ewentualnych kandydatów — że ten ktoś wydaje na jej cześć małe przyjęcie, ale ona oczywiście nie ma najmniejszego zamiaru iść na nie. Anthony natychmiast zaprosił ją na kolację.

— Może coś obejrzymy? — zaproponowała w windzie. — Poszłabym na jakąś rewie, a pan?

Jednak gdy zapytali na dole, w recepcji, okazało się, że w tę niedzielę mają do wyboru tylko dwa „koncerty”.

— One są zawsze takie same. — Gloria była niepokieszona. — Same ograne kawałki. Chodźmy gdzieś!

By zdusić w sobie niejasny wyrzut sumienia, że może powinien był wcześniej pomyśleć o czymś, co by się jej podobało, Anthony zrobił minę pewnego siebie znawcy.

— Pójdziemy do jakiegoś dobrego kabaretu.

— Byłam już we wszystkich.

— No, to znajdziemy jeszcze jeden.

Widać było, że dziewczyna jest w fatalnym humorze. Szare oczy były teraz jak z granitu. Gdy nic nie mówiła, patrzyła wprost przed siebie, jakby widziała coś wysoce nieprzyjemnego.

— No to chodźmy wreszcie.

Ruszył za nią, zgrabnął nawet w spowijającym ją od stóp do głów futrze, do taksówki. Zachowując się, jakby wiedział dokładnie, dokąd jada, kazał kierowcy jechać na Broadway, a tam skręcić na południe. Wykonał kilka prób nawiązania rozmowy, ale Gloria zakula się w nieprzenikloną zbroję milczenia; jeśli odpowiadała, czyniła to tak pośpiesznie, jakby nieświadomie dostosowywała się do zimnego mroku panującego wewnątrz taksówki. Wreszcie poddał się i, popadłszy w podobny nastrój, pogrążył się w ciemności na drugim krańcu taksówki.

Anthony minął kilkanaście przecznic na Broadwayu. Jego wzrok przyciągnął wielki, nie znany mu dotąd neon, którego okazałe żółte litery układały się w napis „Marathon”, zdobny neonowymi liśćmi i kwiatami, gasnącymi i rozjaśniającymi się na przemian nad mokrym, lśniącym asfaltem. Pochylił się ku szybce odgradzającej ich od kierowcy i zastukał. Już po chwili rozmawiał z kolorowym portierem: Tak, to kabaret, świetny kabaret, „nima lepszego w całym mieście!”

— To co?

Gloria westchnęła, wyrzuciła papierosa przez otwarte drzwi samochodu i poszła za nim. Przeszli pod krzykliwym neonem, przez szerokie drzwi, i wyjechali duszną windą na górę, do tego nie opiewanego dotąd przez poetów pałacu rozkoszy.

Wesołe mieszkanka wielkich bogaczy i wielkich biedaków, wielkich elegantów i wielkich przestępców, nie mówiąc już o bardzo ostatnio eksploatowanej wielkiej cyganerii, ukazują się pełnym podziwu licealistkom z takich miejscowości, jak Augusta w stanie Georgia czy Redwing, Minnesota, nie tylko na ilustrowanych, fascynujących stronicach niedzielnych dodatków teatralnych, lecz również za pośrednictwem zgorszonych i zaniepokojonych oczu Ruperta Hughesa i innych kronikarzy szaleńczego tempa życia w Ameryce. Jednak penetracja Broadwayu przez Harlem, wybryki wynudzonych i szaleństwa ludzi dotąd szacownych znane są tylko zamkniętemu kręgowi wtajemniczonych.

Wystarczy zwykła plotka, by w lokalu, którego nazwę wymienia się przyciszonym głosem, gromadziły się w sobotnie i niedzielne

wieczory klasy moralnie niższe: mali, niespokojni ludzie, pierwotory karykatur postaci „Konsumenta” i „Widza”. Idą tam upewniwszy się co do trzech rzeczy: że jest tanio, że siliuje się tam naśladować, przygnębiająco, mechanicznie i tandetnie, błyskotliwą wesolość kawiarni w dzielnicy teatrów, i że — ta cecha jest najważniejsza — że można tam wziąć „porządną dziewczynę”; to zaś oznacza, oczywiście, że wszyscy są tam równie nieszkodliwi, nieśmiali i nieciekawi z powodu braku pieniędzy i wyobraźni.

To tam w niedzielne wieczory gromadzą się łatwowierni, sentymentalni, źle opłacani, przepracowani ludzie, pracujący w tych wszystkich dwuczłonowych zawodach: biegli księgowi, sprzedawcy biletów, kierownicy biur, sprzedawcy obwoźni, zaś przede wszystkim drobni urzędnicy — pocztowi, kolejowi, giełdowi, bankowi... Prowadzą ze sobą rozchichotane, żałośnie pretensjonalne kobiety, które tyją wraz z nimi, rodzą im za dużo dzieci i bezradnie dryfują wraz z nimi po otchłaniach codziennej orki i zawiedzionych nadziei.

Te tandetne kabareciki nazywają się zwykle tak, jak wagony sypialne; „Marathon”! Nie dla nich pikantne aluzje zapożyczone z paryskich kawiarenek: tutaj przecież porządni ludzie przyprowadzają swe porządne kobiety, które chętnie wierzą swej wygłodniałej wyobraźni, że jest tu całkiem wesoło i przyjemnie, a nawet — choć tylko odrobinę — nieprzyzwoicie. To jest życie! Po nas choćby popop!

Ludzie bezdomni!

Anthony i Gloria usiedli i zaczęli rozglądać się wokół siebie. Przy sąsiednim stoliku do czteroosobowej grupki dosiadało się właśnie troje ludzi: dwaj mężczyźni i dziewczyna, którzy, widać, spóźnili się na umówione spotkanie — a dziewczyna była istnym studium amerykańskiej socjologii. Niektórych mężczyzn przy stoliku spotykała po raz pierwszy — i zgrywała się wprost okropnie. Udawała gestami, słowami i ledwie zauważalnymi ruchami powiek, że należy do trochę lepszego towarzystwa niż to, z którym jest w tej chwili, że jeszcze niedawno była i wkrótce znów będzie w wyższych, bardziej wyszukanych sferach. Była wyrafinowana niemal do bólu; obsypany fiołkami, zeszłoroczny kapelusik był właśnie tak tęsknie pretensjonalny i namacalnie niemal sztuczny jak ona sama.

Anthony i Gloria patrzyli zafascynowani, jak dziewczyna siada i stwarza wrażenie, że jej obecność jest dla innych wielkim zaszczytem. Dla mnie, zdawały się mówić jej oczy, jest to niemal jak rozdawanie jałmużny — wszystko to zaś skrywane za cienką woalką skromnych uśmiezków i półprzepraszających spojrzeń.

...A pozostałe kobiety z tym większym zapalem starały się utrzymać pozory, że i one, choć znajdują się w tej sferze, bynajmniej do niej nie należą. Nie do tego przywykły; wpadły tu tylko, bo było po drodze... Pretensją tą tchnął każdy stolik. Kto wie? Rzeczywiście ludzie ci wiecznie wpadali z jednej klasy w drugą: kobiety często wychodziły za mąż znacznie lepiej, niż mogły się spodziewać, mężczyźni wzbogacali się z dnia na dzień, wymyśliwszy dostatecznie bezsensowną kampanię reklamową albo nowy, niebiański wafel do lodów. Tymczasem spotykali się tu, by coś zjeść, przymykając oczy na oszczędność, widoczną w rzadko zmienianych obrusach, w zblazowaniu wykonawców, a przede wszystkim w niestaranności i poufałości kelnerów. Jedno było pewne: kelnerzy nie czuli żadnego respektu przed klientelą lokalu. Zdawało się, że któryś z nich za chwilę przysiadzie się do stolika...

— Czy pani to przeszkadza? — zapytał Anthony.

Twarz Glorii rozjaśniła się pierwszym tego wieczoru uśmiechem.

— Jestem zachwycona — powiedziała szczerze. Trudno było jej nie wierzyć. Szare oczy wędrowały to tu, to tam, sennie, bezczynnie lub czujnie przyglądając się każdej grupce ludzi, przechodząc na kolejne z nieskrywaną radością, Anthony'emu zaś ujawniały się poszczególne zalety jej profilu, cudownie żywy wyraz ust i jedyna w swoim rodzaju wytworność wyglądu, sylwetki i manier, która czyniła z niej jeden jedyny klejnot czystej wody wśród całej sterty tanich imitacji. Na widok jej radości cudowne uczucie oślepiło go, chwyciło za gardło, napięło nerwy jak struny. W całej sali zaległa cisza. Niestaranne skrzypce i saksofony, piskliwe zawodzenia jakiegoś dziecka, dobiegające od jednego z sąsiednich stolików, głos właścicielki fiołkowego kapelusza — wszystko to powoli odpłynęło w dal i w głąb, jak ciemne odbicia na lśniącej podłodze, i wydało mu się, że są teraz sami, gdzieś daleko od innych, gdzieś, gdzie jest cicho i spokojnie. Świeżość jej policzków musiała pochodzić z krainy delikatnych, nieodkrytych cieni; dłoń, błyszcząca

na poplamionym obrusie, była muszlą znaną w dalekim, dziko dziewiczym morzu...

A potem wrażenie to pękło jak bańka mydlana; sala, jej odgłosy, twarze, ruch, na nowo ustawiły się wokół niego; oślepiające światło lamp stało się rzeczywiste i groźne; wrócił oddech, oddech, który poruszał ich ciała w równym rytmie wraz z setką tych nieszkodliwych stworzeń, wieczne, bezsensowne granie i współgranie, rzucać i wciąganie słów i zdań — to wszystko gwałtownie napało na jego zmysły i wreszcie dotarł do niego jej głos, tak chłodny jak porzucony przed chwilą sen.

— Tu jest moje miejsce — szepnęła. — Jestem taka jak oni.

Przez chwilę brzmiało to jak sardoniczny, zbędny paradoks, rzucony mu w twarz z tych nieprzebranych otchłani, jakie wokół siebie wytworzyła. Była teraz jak w transie; nie odwracała oczu od skrzypka o wybitnie semickich rysach, który kołysał ramionami w takt najspokojniejszego fokstrota tego roku:

Coś tam gra

Tra-ta-ta-ta-ta-ta

Coś ci w uszach gra...

Znów odezwała się, znów z samego środka kręgu swej przemożnej iluzji. Było to coś, co wstrząsnęło nim do głębi, coś, co zabrzmiało jak bluźnierstwo w ustach dziecka.

— Jestem taka, jak oni, jak te lampiony, te girlandy z bibuły i to, co gra ta orkiestra.

— Oszalałaś! — wybuchnął.

Pokręciła jasną główką.

— Wcale nie. Naprawdę taka jestem... Nie zauważyłeś tego?... Nie znasz mnie. — Zawahała się i znów spojrzała na niego, spojrzała mu nagle prosto w oczy, jakby zdumiona jego obecnością. — Jest we mnie coś... tandetnego. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale to... to tak, jak to wszystko tutaj, te jaskrawe kolory, ta krzykliwa trywialność. Czuję, że tu jest moje miejsce. Ci ludzie potrafiliby mnie docenić, przyjąć mnie taką, jaka jestem, ci mężczyźni potrafiliby zakochać się we mnie i mnie podziwiać, bo ci, których spotykam, ci inteligentni, tylko mnie analizują, tylko wmawiają mi, że jestem

taka, dlatego, że to... albo inna, dlatego, że tamto.

Przez chwilę Anthony pragnął namalować ją taką, jaka była teraz, jakby lada chwila miała zniknąć na zawsze.

— O czym myślałeś? — zapytała.

— O niczym. O tym, że marny ze mnie realista — powiedział. A potem: — Tylko romantycy utrwalali to, co warto utrwalić.

W wyrafinowanym do ostatnich granic umyśle Anthony'ego zaczęło rodzić się przecucie — ale przecucie ani atawistyczne, ani mgliste, ani fizyczne — przecucie zapamiętane z wielu poprzednich pokoleń miłości, że mówiąc, patrząc mu w oczy i kręcąc swą śliczną główką Gloria wzrusza go tak, jak nikt dotąd — nikt i nigdy. To, co spowijało jej duszę, nabrało nagle znaczenia — i nic więcej. Była słońcem, promiennym, wschodzącym słońcem, nabierającym światła, gromadzącym je w sobie na całą wieczność, by nagle wyrzucić je z siebie jednym spojrzeniem, urywkiem zdania, wprost w tę jego cząstkę, która zdolna jest pokochać wszystko, co piękne i złudne.

3. Znacznik pocałunku

Richard Caramel chciał zostać pisarzem jeszcze w czasach studenckich, gdy był redaktorem „the Harvard Crimson”. Potem jednak, na ostatnim roku, zaraził się naiwną wiarą, że są ludzie z góry przeznaczeni do służby innym; ludzie ci, idąc w świat, mają dokonać czegoś — nie wiadomo czego — co zapewni im albo nagrodę w niebie, albo przynajmniej osobistą satysfakcję, że zabiegali w życiu o jak największe szczęście jak najliczniejszych.

Duch ten od dawna gościł na uniwersytetach amerykańskich. Zwykle zaczyna się od niedojrzałości i naiwnego entuzjazmu pierwszego roku studiów — często zresztą jeszcze w szkole przygotowawczej. Po uczelniach krążą dostatnio odziani kaznodzieje, znani z żarliwych nauczania, strasząc poczciwe owieczki, tępiąc zaś rozbudzanie dociekliwości intelektualnej — jak w każdej szkole — sięją wokół przekonanie o grzeszności wszystkich i wszystkiego, od przestępstw dzieciństwa po wszechobecne zagrożenie ze strony „kobiet”. Na wykłady te chodzą źli chłopcy, by pośmiać się i pożartować, i chłopcy nieśmiali, by łykać te pigułki, które nie zaszkodziłyby na pewno gospodyniom wiejskim i pobożnym aptekarzom, ale dla „przyszłych przywódców rodzaju ludzkiego” mogą być dość niebezpieczne.

Ośmiornicy tej udało się owinąć chwytną mackę wokół Richarda Caramela. Rok po dyplomie „powołanie” pchnęło go do nowojorskich slumsów, gdzie niepokoił zdezorientowanych Włochów jako sekretarz „Towarzystwa Ratowania Młodych Imigrantów”. Wytrzymał rok; później monotonia tej pracy zaczęła go nużyć.

A „młodzi imigranci” przyjeżdżali i przyjeżdżali bez końca — Włosi, Polacy, Skandynawowie, Czesi, Ormianie — przywożąc te same grzechy, te same odrażające twarze i wciąż te same wonie, choć te ostatnie według Richarda nasilały się i mnożyły z miesiąca na miesiąc. Nie przestając zapewne dalej uznawać piękna samej idei, równocześnie doszedł do ostatecznych wniosków co do własnego udziału w tej działalności. Każdy inny sympatyczny młody człowiek, ożywiony duchem tej nowoczesnej krucjaty, potrafi zrobić dla tych odpadków Europy przynajmniej tyle, co on, Richard. Nadzedł czas, by zostać pisarzem.

Mieszkał dotąd w śródmiejskim domu YMCA, ale od czasu, gdy opuścił „służbę”, przeniósł się do elegantszej dzielnicy i natychmiast zatrudnił jako reporter w „The Sun”. Pracował tam rok, pisząc coś od przypadku do przypadku, bez większego powodzenia, aż do czasu, gdy pewien nieszczęśliwy incydent na zawsze przerwał jego karierę dziennikarską. Pewnego lutowego popołudnia otrzymał zadanie napisania o defiladzie Szwadronu A. Ponieważ zanosilo się na porządną śnieżycę, zamiast na defiladę ułożył się do snu w miłym ciepłym kominku, a po przebudzeniu spędził piękny artykuł o tętnie końskich kopyt, tłumionych przez śnieg... a potem złożył go w redakcji. Następnego ranka złamane szpalty znalazły się na biurku redaktora odpowiedzialnego z odręcznym dopiskiem: „Zwolnić tego, co to napisał”. Okazało się, że Szwadron A też nie chciał narażać się na śnieżycę — i przesunął defiladę na następny dzień.

W tydzień później Richard Caramel rozpoczął pracę nad „Diabelską kochanką”...

W styczniu, tym poniedziałku wszystkich miesięcy, nos Richarda nie tracił ani na chwilę sinawego zabarwienia, zabarwienia sardonicznego, przywodzącego na myśl ognie piekielne liżące ciało potępionego grzesznika. Książka była już prawie gotowa, ale im bardziej gotowa, tym bardziej wymagająca; przytłaczała go i zniechęcała, a jej cień nie opuszczał go ani na krok. Swymi nadziejami, przechwałkami i wątpliwościami dzielił się nie tylko z Anthonym i Maurym, ale z każdym, kto tylko zechciał go wysłuchać. Odwiedzał

grzecznych, choć zdumionych wydawców, dyskutował z przypadkowymi ludźmi spotykanymi w Harvard Club; Anthony twierdził, że przylapano Richarda na tym, że pewnego niedzielnego wieczoru w zimnych, ponurych otchłaniach którejś ze stacji metra w Harle- mie, rozważał przeróbki rozdziału drugiego z odczytanym kontrolerem. Zaś jego najnowszą powiernicą była pani Gilbert; trawił z nią całe godziny na rozmowach, w których krzyżowały się ze sobą bil- fizm i literatura.

— Szekspir był bilfistą — zapewniała go z nie schodzącym z ust uśmiechem. — Tak, tak, był, to dowiedzione.

Przez chwilę Dick nie wiedział, co powiedzieć.

— Wystarczy przeczytać „Hamleta”.

— No cóż, żył w bardziej łatwowiernych, to jest bardziej reli- gijnych czasach...

Ale pani Gilbert chciała wszystko albo nic:

— Tak, ale wiesz, bilfizm nie jest religią, to nauka o wszyst- kich religiach. — Wypowiedziawszy to ulubione wyznanie swej wiary, uśmiechnęła się wyzywająco. W tym układzie słów było coś, co tak silnie oddziaływało na jej umysł, że nie wymagało już żad- nych definicji. Niewykluczone, że zaakceptowałaby każdą ideologię określoną tą magiczną formułą — będącą może nie tyle formułą, co *reductio ad absurdum* wszystkich formuł.

Dopiero po chwili, ale za to spektakularnie, do głosu dochodził Dick.

— Słyszała pani o nowej fali w poezji. Ach, nie? To po prostu cała grupa młodych poetów, którzy zrywają ze starymi formami i tworzą wiele dobrych rzeczy. No więc chodzi mi o to, że moja książka rozpocznie podobną nową falę w prozie, jej renesans.

— Jestem tego pewna — uśmiechnęła się promiennie pani Gilbert. — Całkowicie pewna. W zeszły wtorek byłam u Jenny Mar- tin, tej chiromantki, wiesz, za którą wszyscy tak teraz szaleją. Po- wiedziałam jej, że mój siostrzeniec pracuje nad powieścią, a ona na to, że z radością może mi zakomunikować, iż książka odniesie zu- pełnie niesłychany sukces. A przecież ona ani cię nie zna, ani nawet o tobie nie słyszała — nie wie nawet, jak się nazywasz.

Wydawszy z siebie odpowiednie dźwięki, by wyrazić zdumienie tym nadprzyrodzonym zjawiskiem, Dick potraktował temat pani Gilbert tak, jakby był policjantem, zatrzymującym ruch na skrzyżowaniu, by przepuścić przez ulicę to, co sam chciał powiedzieć.

— Wciągnęło mnie, ciociu — zapewnił ją. — Naprawdę mnie wciągnęło. Wszyscy mi dokuczają z tego powodu... Oczywiście wiem, że to tylko tak, dla żartów, więc nie przejmuję się zbytnio. Trzeba umieć sobie z tym radzić. Ale to tak, jakby wisiał nade mną wyrok — zakończył ponuro.

— Zawsze mówiłam, że jesteś staroświecki.

— Być może, być może. — Dick doszedł do stanu, w którym nie walczył już, tylko poddawał się. Rzeczywiście musi być staroświecki, pomyślał z przekorą, tak staroświecki, że aż zmurszały. Mimo to ciągle powtarzanie tego zwrotu żenowało go i wstrząsało nieprzyjemnym dreszczem. Zmienił temat.

— A gdzie moja wspańska kuzynka Gloria?

— Właśnie z kimś gdzieś wychodzi.

Dick milczał przez chwilę zamyślony, potem zaś wykrzywił twarz w uśmiechu, który szybko przeszedł w zmarszczenie brwi.

— Mój przyjaciel Anthony Patch jest chyba w niej zakochany.

Pani Gilbert wzdrygnęła się, uśmiechnęła się o pół sekundy za późno i scenicznym szeptem wyrzuciła z siebie: — Naprawdę?

— Tak mi się zdaje — poprawił się z powagą Dick. — Nigdy dotąd nie spotykał się tak często z żadną inną dziewczyną.

— No cóż — powiedziała z wystudiowaną niedbałością pani Gilbert — Gloria nigdy nie zwierza mi się z niczego. Jest bardzo skryta. Mówiąc między nami — ostrożnie pochyliła się do przodu, by tylko niebiosa i jej siostrzeniec usłyszeli to wyznanie — mówiąc między nami, niczego nie pragnę bardziej, by wreszcie się ustakowała.

Dick wstał i z rękami nienaturalnie wsuniętymi w rozepchane kieszenie zaczął przechadzać się po pokoju — drobny, żywy, młody, już zaokrąglający się człowiek.

— Nie twierdzą, że mam rację — zapewnił typowo hotelową grafikę na ścianie, która odwzajemniła mu się pełnym godności uśmiechem. — Nie mówię nic takiego, o czym powinna dowiedzieć

się Gloria. Ale wydaje mi się, że mój Szalony Anthony jest nią zajęty, i to bardzo. Bez przerwy o niej mówi; to zwykle zły znak.

— Gloria jest jeszcze taka młoda — zaczęła pani Gilbert, ale siostreniec przerwał jej pośpiesznie:

— Gloria byłaby głupia, gdyby za niego nie wyszła. — Urwał i popatrzył na nią. Twarz jego była teraz niby plan bitwy zmarszczek i dołeczków, jakby tym napięciem chciał osłabić brutalną szczerłość swoich słów. — Ciociu, Gloria jest szalona. Dzika i szalona. Nie wiem, jak do tego doszło, ale ostatnio poznała bardzo dziwnych ludzi. A ci mężczyźni, z którymi widuje się w Nowym Jorku, są... — przerwał, by zaczerpnąć tchu.

— Tak-tak-tak — wtrąciła pani Gilbert; wysiłek, na jaki się zdobyła, by ukryć rozsadzające ją zainteresowanie, był bardzo anemiczny.

— No cóż — ciągnął z powagą Richard Caramel. — Co tu kryć, mężczyźni, z którymi się pokazywała, i towarzystwa, w których ją widywano, były dotąd bez zarzutu. Ale ostatnio jest inaczej.

Pani Gilbert szybko zamrugła oczyma — jej pierś zafalowała, zapelniła się — przez chwilę nic nie mówiła, a potem słowa popłynęły z niej strumieniem.

Wiedziała o tym, krzyczała szeptem; tak, matki zawsze wiedzą wszystko. Ale co ma robić? Zna przecież Glorię. Zna ją przecież dość dobrze, by wiedzieć, jak beznadziejne byłyby wszelkie perswazje. Gloria jest taka rozpieszczona, po prostu do szpiku kości. Była karmiona piersią jeszcze w wieku trzech lat, chociaż pewnie równie dobrze mogłaby ssać patyczki. Zresztą, kto wie, może to dzięki temu jest taka zdrowa, taka twarda. A potem, ledwie skończyła dwanaście lat, zawsze było wokół niej tylu chłopców, że aż trudno było się dopchać. W wieku szesnastu lat zaczęła chodzić na bale w szkołach przygotowawczych, potem na uniwersytetach... Cały czas tylko chłopcy, chłopcy i chłopcy. Najpierw, zanim skończyła osiemnaście lat, było ich tak wielu, że nie wyróżniała żadnego, ale potem i to się zmieniło.

Wie, że przez trzy lata miała cały szereg romansów — razem było ich kilkanaście, czasem ze studentami, czasem ze świeżo upieczonymi absolwentami — a trwały średnio po kilka miesięcy, w trakcie których były jeszcze inne krótkie przygody.

Parę razy trwały jednak dłużej i za każdym razem matka miała nadzieję, że dojdzie do zaręczyn, ale wtedy zawsze pojawiał się ktoś nowy — ktoś nowy...

Gloria była dla nich po prostu okrutna! Tylko jeden potrafił zachować się z jaką taką godnością; był to zresztą jeszcze dzieciak, młody Carter Kirby z Kansas City, był zresztą tak zarozumiały, że kiedyś uniósł się honorem i zaraz wyjechał do Europy razem ze swym ojcem. Ale inni byli po prostu zrozpaczeni. Żaden nie potrafił dostrzec, że Gloria ma już go dość, a ona nikomu nie robiła scen. Dalej wydzwaniali do domu, pisali listy, usiłowali się z nią zobaczyć, jeździli za nią po całym kraju. Niektórzy zwierzali się nawet jej, pani Gilbert, i ze łzami w oczach przysięgali, że nie przeżyją rozstania — co prawda przynajmniej dwaj z nich już się poženili — ale Gloria była nieubłagana. A pan Carstairs do dziś co tydzień przysyła jej kwiaty, których Glorii nie chce się już nawet odsyłać.

Kilka razy, przynajmniej dwa, wiedziała, że musiało dojść do cichych zaręczyn — z Tudorem Bairdem i tym młodym Holcomem w Pasadenie. Jest o tym przekonana, bo — tylko niech to pozostanie tajemnicą — weszła niespodziewanie do pokoju, gdzie Gloria zachowywała się, jak by to powiedzieć, jakby była co najmniej zaręczona. Oczywiście nie poruszała potem tego tematu, po pierwsze z wrodzonej delikatności, po drugie dlatego, że za każdym razem była pewna, że w ciągu kilku tygodni dowie się o wszystkim oficjalnie. Ale nigdy do tego nie doszło, a na horyzoncie znów pojawiał się ktoś nowy.

Co się działo! Młodzi mężczyźni, nerwowym krokiem maszerujący tam i z powrotem po bibliotece, jak tygrysy w klatce! Spoglądający na siebie spod oka w hallu, gdy jeden kończył wizytę, a drugi zaczynał! Te odkładane ze złością słuchawki! I ci, co grozili, że wyjadą do Ameryki Południowej!... Albo pisali takie żalodne listy! (Dick żywił pewne podejrzenia, że pani Gilbert знаła treść niektórych z nich).

...A Gloria płakała i śmiała się, żałowała i cieszyła się, odkochiwała się i zakochiwała, smutna, nerwowa, chłodna, ze złością zwracała prezenty, wymieniała zdjęcia w ramkach „na wieczną pamiątkę”, brała gorącą kąpiel i zaczynała od nowa — z kim innym.

I tak trwał ten stan rzeczy; wydawać by się mogło, że tak będzie zawsze. Gloria była niewzruszona, niezmienna, niezwyczężona. Nagle, jak grom z jasnego nieba, powiadomiła matkę, że studenci ją nudzą i że przestaje chodzić na bale uniwersyteckie.

Tu coś zaczęło się zmieniać — nie tyle w jej zwyczajach, bo chodziła na tańce i „randki” równie często, co przedtem — ale było to już coś innego. Przedtem dużą rolę grała w tym jej duma, jej pycha. Była przecież prawdopodobnie najbardziej rozchwytywaną młodą pięknnością w całej Ameryce, słynną Glorią Gilbert z Kansas City! Wykorzystywała to zresztą bez najmniejszych skrupułów — bawiła się świetnie w tłumie adoratorów tym, że wyróżniają ją najatrakcyjniejsi mężczyźni, zapiekłą zazdrością innych dziewcząt, niestworzonymi, by nie rzec skandalicznymi, i — na szczęście, nie omieszkała dodać matka z wyraźną ulgą — całkowicie zmyślonymi plotkami na temat jej osoby; jak ta, na przykład, że którejś nocy poszła kąpać się w uczelnianym basenie Yale ubrana w szyfonową suknię wieczorową.

A potem czerpana z powodzenia rozkosz — czerpana z próżnością tak wielką, że niemal męską — przeszła w zubożenie. Gloria zamykała się we własnej skorupie; ona, królująca dotąd na niezliczonych przyjęciach, jak magnes przyciągająca zachwycone spojrzenia mężczyzn na niezliczonych balach, sprawiała wrażenie, że nic ją to już nie obchodzi. Adoratorów odrzucała z miejsca, niemal ze złością, a spotykała się bez cienia przyjemności z najbardziej obojętnymi mężczyznami. Bezustannie nie zjawiała się na umówione „randki”, lecz teraz nie z chłodnego przeświadczenia, że nikt nie będzie robił jej wyrzutów, że obrażony przez nią mężczyzna i tak wróci jak pies — ale z pozbawionej nawet pogardy czy dumy obojętności. Już nie urządzała mężczyznom dzikich awantur; prędzej już ziewała przy nich, i to wcale nie ostentacyjnie. Matce wydawało się — i to było najdziwniejsze — że staje się zimna jak lód.

Richard Caramel słuchał. Z początku stał, ale gdy tyrada ciotki zaczęła rozrastać się do monstrualnych rozmiarów — tu bowiem została przytoczona z pominięciem wszelkich dygresji na temat duchowej niedojrzałości Glorii i osobistych rozterek pani Gilbert — przysunął sobie krzesło i przykładowie wysłuchał suto zakropionej łzami i bezradną żalnością historii całego życia Glorii. Gdy doszła do

opowieści o ostatnim roku, opowieści pełnej niedopałków papierosów zostawianych po całym Nowym Jorku w małych popielniczkach podpisanych „Midnight Frolic” i „Justine Johnson's Little Club”, zaczął kiwać potakująco głową, najpierw powoli, potem coraz szybciej; gdy pani Gilbert kończyła mówić w rytmie staccato, głowa jej słuchacza podskakiwała już w górę i w dół jak głowa ze psutej lalki, wyrażając — właściwie wszystko.

Pod pewnym względem przeszłość Glorii nie była dla niego niczym nowym. Interesował się nią już wcześniej z czysto zawodowego punktu widzenia, gdyż zamierzał napisać kiedyś o niej książkę. Tym razem jednak była to sprawa rodzinna. Szczególnie chciał dowiedzieć się, kim jest ów Joseph Bleockman, z którym widział ją kilkakrotnie; on i te dwie dziewczyny, z którymi trzyma, „ta” Rachael Jerryl i „ta” panna Kane — bo już na pewno panna Kane nie była osobą, o przyjaźń z którą można by podejrzewać Glorię!

Ale okazja minęła. Pani Gilbert, wspiąwszy się na kulminacyjny punkt opowieści, równie szybko rzuciła się w dół, ku jej rozwiązaniu. Oczy jej były teraz jak błękit nieba widziany przez dwie okrągłe, czerwone okienne futryny. Wargi jej drżały.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się, wpuszczając do pokoju Glorię i dwie wspomniane młode damy. Dwie młode kobiety.

— No proszę!

— Dzień dobry pani!

Następuje prezentacja panien Kane i Jerryl panu Richardowi Caramelowi — To Dick. (Śmiech).

— Tyle o panu słyszałam — mówi panna Kane wydając odgłos, będący połączeniem chichotu z okrzykiem.

— Dzień dobry — mówi nieśmiało panna Jerryl.

Richard Caramel stara się poruszać tak, jakby miał lepszą figurę niż w rzeczywistości. Jest rozdarty między typową dla siebie serdecznością i własną oceną tych dziewcząt, które są według niego dość pospolite — bez wątpienia zupełnie nie pasowały do *image* słynnej szkoły Farmover. Gloria znika tymczasem w swej sypialni.

— Proszę siadać — mówi rozpromieniona pani Gilbert, która zdążyła już przyjść do siebie. — Ależ proszę zdjąć płaszcze. — Dick obawia się, że znowu powie, iż ma staroświecką duszę, ale zapomina

o tym, dokonując sumiennego, pisarskiego oglądu obu młodych kobiet.

Muriel Kane pochodzi ze świeżo wzbogaconej rodziny z East Orange. Jest nie tyle mała, co niska; karkołomnie oscyluje między „przy kości” a „gruba”. Włosy ma czarne, kunsztownie ufryzowane. To, w połączeniu z ładnymi, dość krowimi oczyma i przesadnie czerwonymi ustami sprawia, że przypomina Thedę Bara, znaną aktorkę filmową (Muriel tak długo wmawiano, że jest „wampem”, iż w końcu w to uwierzyła). Muriel żywi nadzieję, że budzi w ludziach strach i za wszelką cenę stara się podsycać to wrażenie. Wydaje się, że wciąż wymachuje czerwoną flagą, którą zawsze nosi przy sobie, energicznie, błagalnie — niestety, nie na wiele się to zdaje. Jest zawsze „na czasie”, zna najnowsze przeboje, piosenki „na czasie”; gdy którąś z nich puścić na gramofonie, wstaje, kołysze ramionami, pstryka w palce, a nawet, gdy nic nie gra, sama akompaniuje sobie murmurando.

„Na czasie” jest również jej sposób mówienia. — Co mi tam — mawia. — Jak się będę zamartwiać, stracę dobrą figurę. — I jeszcze: — Gdy słyszę ten kawałek, nogi robią, co chcą. Och, *baby!*

Paznokcie ma za długie i zbyt ozdobne, nienaturalnie różowe; stroje zbyt obcisłe, zbyt modne, zbyt jaskrawe; oczy zbyt łobuzerskie; uśmiech zbyt nieśmiały. Jest żałośnie niemal przesadna, od stóp do głów.

Druga z dziewcząt, doskonale ubrana Żydówka o ciemnych włosach i cudownej, mlecznobladej cerze, jest znacznie subtelniejsza. Sprawia wrażenie nieśmiałej i nieco nieprzytomnej, a te dwie cechy uwydatniają jeszcze otaczający ją delikatny wdzięk. Jej rodzina, gorliwi członkowie kościoła episkopalnego, posiada trzy eleganckie salony mody przy Piątej Alei, a mieszka w cudownym apartamencie na Riverside Drive. Dick zauważył po chwili, że dziewczyna usiłuje naśladować Glorię — to dziwne, pomyślał, że ludzie najczęściej starają się naśladować tych, którzy są nie do naśladowania.

— Ale był ubaw! — woła z entuzjazmem Muriel. — W autobusie tuż za nami siedziała jakaś wariatka. Kompletnie szurnięta! Cały czas mówiła do siebie o tym, co komuś czy czemuś zrobi. Myślałam, że umrę ze strachu, ale Gloria za nic nie chciała wysiąść wcześniej.

Pani Gilbert otwiera usta z odpowiednio zdumionym wyrazem twarzy.

— Naprawdę?

— Kompletna wariatka, daję słowo. Całe szczęście, że nic nam nie zrobiła. A jaka wstrętna. Boże! Facet, który siedział naprzeciw, powiedział, że taka twarz nadaje się tylko dla pielęgniarki w zakładzie dla niewidomych, więc my w śmiech, a wtedy on chciał nas poderwać.

W tej samej chwili Gloria wysunęła się ze swej sypialni; wszystkie oczy jak na komendę zwróciły się na nią. Obie pozostałe dziewczyny natychmiast zwały się z tłem, stały się niezauważalne — i nikt jakoś nie odczuwał ich braku.

— Rozmawialiśmy o tobie z cicią — powiedział szybko Dick.

— No cóż... — rzuciła Gloria.

Chwila milczenia. Potem Muriel zwróciła się do Dicka.

— Pan jest wielkim pisarzem, prawda?

— Jestem pisarzem — potwierdził z zakłopotaniem Dick.

— Zawsze powtarzam — powiedziała z zapalem Muriel — że gdybym miała kiedyś czas, żeby spisać wszystkie moje przeżycia, powstałaby cudowna książka.

Rachael zachichotała współczująco; ukłon Richarda Caramela był isticie królewski. Muriel ciągnęła:

— Nie wyobrażam sobie tylko, bym mogła tak po prostu usiąść i zacząć pisać. A co dopiero wierszem! Boże, ja przecież nie umiem sklecić choćby jednego rymu. Ale co się będę martwić!

Richard Caramel z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Gloria żuła jakąś okropną gumę i ponuro wyglądała przez okno. Pani Gilbert odchrząknęła i uśmiechnęła się szeroko.

— Bo, widzi pani — zaczęła mentorskim tonem — pani nie jest staroświecka, tak jak Richard.

Staroświecki Richard odetchnął z ulgą — a więc stało się, nie musi już się obawiać!

Potem, jakby rozmyślała nad tym przez ostatnie pięć minut, Gloria oznajmiła nagle:

— Zapraszam was na przyjęcie.

— Ojej, naprawdę możemy przyjść? — zawołała Muriel z żartobliwą śmiałością.

— Na kolację. Na siedem osób: Muriel, Rachael i ja, ty, Dick, Anthony i ten facet nazwiskiem Noble — spodobał mi się — i Bleockman.

Muriel i Rachael wyrażały swój entuzjazm kocim mručeniem. Pani Gilbert uśmiechała się promiennie i mrugała oczyma. Siłąc się na obojętność Dick wtrącił pytanie:

— Gloria, co to za facet ten Bleockman?

Wyczuwając w jego głosie akcent wrogości, Gloria odwróciła się do niego.

— Joseph Bleockman? Pracuje w filmie. Jest wiceprezesem „Films Par Excellence”. Ma dużo wspólnych interesów z tatą.

— Aha.

— To co, przyjdziecie?

Wszyscy zapewnili, że przyjdą. Ustalono termin na następny tydzień. Dick wstał, poprawił kapelusz, płaszcz i szalik, i uśmiechnął się ogólnie do wszystkich.

— Pa, pa — Muriel wesoło pomachała mu ręką. — Niech pan kiedy do mnie wpadnie.

Richard Caramel spłonął za nią rumieńcem.

Smutny koniec rycerza O'Keefe'a

Był poniedziałek. Anthony zabrał Geraldine Burke na obiad do Beaux Arts, a potem do siebie do mieszkania. Tam wytoczył stół na kółkach, na którym przechowywał swe zapasy alkoholu, jako środek pobudzający wybierając wermut, dżin i absynt.

Geraldine, hostessa od „Keitha”, zajmowała go od kilku miesięcy. Miała tak niewielkie wymagania, że ją polubił; od czasu zeszłorocznej, godnej ubolewania przygody z pewną debutantką, gdy przekonał się na własnej skórze, że już po kilku pocałunkach wszyscy spodziewają się oświadczeń, unikał raczej dziewcząt z własnej sfery. Bardzo łatwo było spojrzeć krytycznie na ich niedoskonałości — ale do dziewczyny, która jest hostesą u Keitha, można było podchodzić z zupełnie innym nastawieniem. U zaufanej służby da się tolerować cechy, które byłyby niewybaczalne u dalekiego

choćby znajomego na tym samym poziomie społecznym.

Geraldine, zwinęta w kłębek w nogach szezlonga, przyglądała mu się przez wąskie, lekko skośne oczy.

— Ty pijesz bez przerwy, co? — powiedziała nagle.

— No, chyba tak — odpowiedział z pewnym zdumieniem Anthony. — A ty nie?

— Nie. Czasem na przyjęciach, wiesz, raz na tydzień, a i wtedy tylko parę drinków. A ty i twoi kumple pijecie cały czas. Jak tak dalej pójdzie, zniszczysz sobie zdrowie.

Anthony wzruszył się trochę.

— To miło, że tak się o mnie troszczysz.

— Bo się troszczę.

— Ja wcale nie piję tak dużo — tłumaczył. — Miesiąc temu przez trzy tygodnie nie wziąłem do ust ani kropli. A naprawdę upijam się gdzieś tylko raz na tydzień.

— Ale codziennie sobie coś popijasz, a masz dopiero dwadzieścia pięć lat. Czy w tobie nie ma ani krzty ambicji? Pomyśl, co będziesz miał czterdziestkę!

— Jestem szczerze przekonany, że tego nie dożyję.

Cmoknęła.

— Chybaś zwario-o-owa! — zaciągnęła, podczas gdy on przyrządzał kolejny koktajl; a potem: — Czy Adam Patch to jakiś twój krewny?

— Tak, to mój dziadzio.

— Naprawdę? — Była wyraźnie podekscytowana.

— Naprawdę.

— Coś takiego! Wiesz, mój tata pracował kiedyś u niego.

— To dziwny staruch.

— Sympatyczny? — zapytała.

— No cóż, w życiu prywatnym rzadko bywa nieprzyjemny bez powodu.

— Opowiedz o nim swojej dziewczynie.

— Hm. — Anthony zastanawiał się przez chwilę. — Jest cały pokurczony i ma resztki siwych włosów, które zawsze wyglądają, jakby poszarpał je wiatr. I przywiązuje wielką wagę do moralności.

— Zrobił wiele dobrego — powiedziała z wielką powagą Geraldine.

— Bzdura! — zachnął się Anthony. — To bigot o ptasim mózdzku.

Ale ona myślała już o czym innym.

— Czemu nie mieszkasz u niego?

— A czemu nie na parafii u metodystów?

— Chybaś zwario-o-ował!

I znów cmoknęła, by wyrazić dezaprobatę. Anthony myślał, jak w głębi duszy głęboko porządna jest ta sierotka, i że pozostanie taką nawet wtedy, gdy nadejdzie nieuchronna fala, która uniesie ją daleko od brzegów konwencjonalnej moralności.

— Nie cierpisz go?

— Nie wiem. Nigdy go nie lubiłem, to prawda. Nigdy nie lubimy tych, którzy robią coś za nas.

— A on? On też cię nie cierpi?

— Moja droga Geraldine — zaprotestował Anthony, żartobliwie marszcząc brwi. — Napij się lepiej, dobrze? Na pewno go de-nerwuję. Wystarczy, że zapalę papierosa, by wchodził do pokoju węsząc po kątach. Jest ograniczony, nudny i dość obłudny. Pewnie bym ci tego wszystkiego nie mówił, gdyby nie te parę drinków, ale co tam...

Geraldine wyraźnie to zaciekawilo. Trzymała nietkniętą szklan-kę między palcem a kciukiem i wpatrywała się w niego wzrokiem nie pozbawionym podziwu.

— Jak to obłudny?

— No — zniecierpliwil się Anthony. — Może i nie jest obłud-ny. W każdym razie mamy odmienne gusta i dlatego właśnie, przynajmniej z mojego punktu widzenia, jest mało interesujący.

— Hm. — Wyglądało, że na jakiś czas zaspokoila swoją cieka-wość. Z powrotem opadła na kanapę i drobnymi łydkami pociąga-ła swój koktajl.

— Dziwny z ciebie facet — zauważyła w zamyśleniu. — I żadna nie chce za ciebie wyjść, chociaż twój dziadek jest taki bogaty?

— Żadna, ale jakoś się tym nie przejmuję. Zresztą ja i tak nie zamierzam się żenić.

Zbyła to wzruszeniem ramion.

— Któregoś dnia zakochasz się naprawdę. Wiem, wiem. — Z przekonaniem pokiwała głową.

— Nie ma nic głupszego niż przesadna pewność siebie. To właśnie zgubiło rycerza O'Keefe'a.

— A kto to był?

— To wytwór mojej twórczej wyobraźni.

— Zwario-o-owa! — szepnęła miło, wspinając się na tę niezgrabną drabinkę sznurową, prowadzącą na jego — wyższy — poziom umysłowy. Wyczuwała podświadomie, że w ten sposób niweluje tę różnicę i sprowadza w dół każdego, kto umknął swą wyobraźnią na niedostępne dla niej szczyty.

— Wcale nie! — zaprzeczył Anthony. — Nie, nie, Geraldine. Z rycerzem O'Keefe nie baw się w psychiatrę. Jeżeli obawiasz się, że nie potrafisz go zrozumieć, w ogóle ci o nim nie opowiem. Poza tym na twoim miejscu zastanowiłbym się dobrze; wiesz, z jego reputacją...

— Zrozumiem, zrozumiem, jeśli tylko będzie to miało jakiś sens. — Geraldine była teraz nieco rozdrażniona.

— W takim razie powiem ci, że wiele było zajmujących zdarzeń w życiu rycerza O'Keefe'a.

— No więc?

— Pomyślałem o nim dlatego, i dlatego opowiadam ci o nim, że zafascynował mnie jego przedwczesny koniec. Nie lubię zaczynać od końca, ale nie ma rady; zdaje się, że rycerz O'Keefe wszedł w życie tyłem.

— Ale kto to? To on umarł?

— Owszem! A było to tak Rycerz O'Keefe był Irlandczykiem, Geraldine, Irlandczykiem na wpół z kart powieści, no wiesz, taki nieujarzmiony, z nieco pretensjonalnym irlandzkim akcentem i „rudawymi włosy”. Pod koniec czasów rycerskich wygnano go z Zielonej Wyspy, więc, oczywiście, udał się przez morze do Francji. A musisz wiedzieć, Geraldine, że rycerz O'Keefe miał, podobnie jak ja, jedną słabostkę: odznaczał się bowiem niezwykłą czułością na wdzięki kobiece. Był nie tylko sentymentalny, lecz i romantyczny, w dodatku próżny, poządlivy, lekko ślepy na jedno oko i całkiem ślepy na drugie. Oczywiście, samiec wędrujący po świecie w tym stanie jest równie bezbronny co bezzębny lew. W rezultacie przez dwadzieścia lat rycerza unieszczęśliwiały kolejne kobiety, które nienawidziły go, wykorzystywały, nudziły, drażniły, przyprawiały o mdłości, wyłudzały od niego pieniądze, robiły z niego głupca — słowem, kochały się w nim.

Cierpiał z tego powodu, a że byt nasz rycerz człowiekiem przenikliwym — poza ową jedną słabością — postanowił wreszcie, by raz na zawsze pozbyć się tej bolączki. W tym celu udał się do słynnego opactwa w Szampanii pod wezwaniem — no cóż, nieco anachronicznym — Świętego Woltera. Reguła Świętego Woltera zakazywała mnichom przebywania na najniższym piętrze opactwa; całe życie trawili na modlitwie i rozmyślaniach w jednej z czterech wież nazwanych od czterech zasad reguły: Ubóstwo, Czystość, Posłuszeństwo i Milczenie.

W dzień, w którym przyszło rycerzowi pożegnać się ze światem doczesnym, był on wielce szczęśliwy. Wszystkie swe greckie księgi oddał gospodyni, miecz w złotej pochwie przesłał królowi Francji, a wszystkie pamiątki z Irlandii darował pewnemu młodemu hugenotowi, sprzedawcy ryb ze swego miasteczka.

Potem udał się konno do Świętego Woltera, na progu opactwa zabił konia, a ścierwo wręczył w darze bratu kucharzowi.

Już po południu tego samego dnia poczuł się po raz pierwszy wolnym — wolnym od lubieżności. Do opactwa nie mogła wejść żadna kobieta; żaden mnich nie miał prawa schodzić niżej pierwszego piętra. Gdy więc wspinał się po krętych schodach, prowadzących do jego celi na samym szczycie Wieży Czystości, przystanął na chwilę przy otwartym oknie, pięćdziesiąt stóp nad biegnącą w dole drogą. Jaki piękny ten świat, który opuszczam, pomyślał, jaki piękny jest ten słoneczny deszcz, padający na ciągnące się w dal pola, kępy drzew i spokojne, zielone winnice, rozlewające się na wiele mil wokół. Wsparty łokciami o parapet wpatrzył się w wijącą się drogę.

I zdarzyło się, że właśnie wtedy tą samą drogą przechodziła obok opactwa szesnastoletnia dziewczyna wiejska imieniem Thérèse. Pięć minut wcześniej cieniutki skrawek wstążki, utrzymujący pończoszkę na jej kształtnej lewej nodze przetaił się i zerwał. Będąc dziewczęciem rzadko spotykanej skromności zastanawiała się przez chwilę, czyby nie zaczekać z poprawieniem stroju na powrót do domu, ale po chwili myśl o tym stała się tak uciążliwa, że nie mogła już dłużej wytrzymać. I tak się stało, że gdy mijała Wieżę Czystości, zatrzymała się i zgrabnie podciągnęła spódnicę — jak

najmniej, trzeba to przyznać — by poprawić podwiązkę.

A na szczycie wieży najnowszy nabytek starożytnego opactwa pod wezwaniem Świętego Woltera aż wychylił się z okna, jakby pociągnięty gigantyczną, wszechmocną dłońią. Wychylał się coraz dalej i dalej, aż tu nagle jeden z kamieni wyrwał się pod jego ciężarem z zaprawy z cichym, miękkim dźwiękiem — i rycerz O'Keefe, najpierw głową w dół, potem do góry i wreszcie w pełnym, spektakularnym obrocie, poleciał ku twardej ziemi i wiecznemu potępieniu.

Thérèse była tak wstrząśnięta tym, co się wydarzyło, że pędem uciekła do domu i przez następne dziesięć lat godzinie dziennie modliła się potajemnie za duszę mnicha, który owego feralnego, niedzielnego popołudnia złamał równocześnie i kark, i śluby.

Zaś rycerz O'Keefe — podejrzewano samobójstwo — nie został pochowany w poświęconej ziemi, lecz porzucony po prostu na pobliskim polu, gdzie niewątpliwie znacznie poprawił jakość gleby, i to na wiele lat. Taki był smutny koniec wielce dzielnego szlachcica. No i co ty na to, Geraldine?

Ale Geraldine dawno już go nie słuchała; teraz potrafiła tylko uśmiechnąć się szelmowsko, pogrozić mu palcem i powtórzyć swe wyświechtane powiedzenie.

— Zwario-o-owa! — zawołała. — Chybaś zwario-o-owa!

Miła jest ta jego szczupła twarz, pomyślała, i oczy ma takie łagodne. Lubiała go, bo był pewny siebie, ale nie zarozumiały, i za to, że w odróżnieniu od innych mężczyzn, których spotykała w teatrze, nie cierpiał wyróżniać się czymkolwiek. Ale ta dziwaczna, bezsensowna opowieść! Przynajmniej to o tej pończosze było niezłe!

Po piątym drinku pocałował ją; następna godzina minęła na śmiechach, figlarnych pieścizotach i na wpół tylko pohamowanym wybuchu namiętności. O wpół do piątej oznajmiła, że jest umówiona, więc poszła do łazienki poprawić włosy. Nie pozwoliła przywołać sobie taksówki; wychodząc zatrzymała się na chwilę w drzwiach.

— Ożenisz się, ożenisz — nalegała. — Zobaczysz.

Anthony zabawiał się podrzucaniem starej piłeczki tenisowej. Odbił ją kilkakrotnie o podłogę i wreszcie zauważył dość cierpko:

— Straszny z ciebie głuptas, Geraldine.
Uśmiechnęła się prowokująco.
— Ach tak? Założysz się?
— To też byłoby głupie.
— Ach tak? No to założę się, że nim minie rok, będziesz już
żonaty.

Anthony coraz silniej odbijał piłeczkę. To jeden z tych dni, myślała, kiedy jest naprawdę przystojny; w ciemnych oczach zwykłą dlań melancholię zastąpiła jakaś dziwna moc.

— Geraldine — odezwał się wreszcie. — Po pierwsze, nie znam nikogo, z kim chciałbym się ożenić; po drugie, nie mam dość pieniędzy, by utrzymywać dwie osoby; po trzecie, jestem przeciwny zawieraniu związków małżeńskich przez osoby mego pokroju; a po czwarte odczuwam wstręt na samą myśl.

Ale Geraldine tylko przymrużyła chytrze oczy, cmoknęła po swojemu i powiedziała, że musi już iść. Robiło się późno.

— Odwiedź mnie wkrótce — przypomniała mu, gdy całował ją na pożegnanie. — Wiesz, nie byłeś u mnie już ze trzy tygodnie.

— Na pewno odwiedzę — obiecał gorąco.

Zamknął za nią drzwi i wróciwszy do pokoju stał przez chwilę zamyślony, wciąż ściskając w dłoni piłeczkę. Czuł, że zbliża się jeden z tych napadów samotności, w czasie których włóczył się po ulicach lub siedział przy biurku, beczynny, przygnębiony, gryząc ołówek. Zagłębiony w siebie nie doznawał ulgi, pragnął coś z siebie dać — i nie mógł, czuł nieustanny i jałowy przebieg czasu, a jedyną pociechą mogła być świadomość, że wszelkie wysiłki i osiągnięcia są równie bezwartościowe.

Poruszony, myślał głośno, krzycząc prawie, bo było mu źle:

— Ani myślę się żenić, do diabła!

Nagle z całych sił rzucił piłeczkę przez pokój, o mało nie tłukąc lampy; piłeczka odbiła się kilkakrotnie od ścian i wreszcie opadła na podłogę.

Neony i księżyc

Na swoje przyjęcie Gloria wybrała stolik w „Cascades” w hotelu „Biltmore”, a gdy tuż po ósmej w hallu zebrali się panowie, oczy wszystkich kierowały się na „tego Bleockmana”. Był to nieco otyły,

czerstwy, około trzydziestopięcioletni Żyd o wyrazistej twarzy, gładkich, piaskowożółtych włosach i ugrzecznionym stylu bycia. Nie spiesząc się podszedł do trzech młodszych mężczyzn, stojących razem i palących papierosy w oczekiwaniu na damy, po czym przedstawił się im z nieco zbytnią pewnością siebie — mimo to należy wątpić, czy wyczuł w ich przyjęciu lekki, ironiczny chłód; w każdym razie nie dal tego po sobie poznać.

— Czy jest pan może spokrewniony z Adamem Patchem? — zapytał Anthony'ego, wypuszczając z nozdrzy wąskie smużki dymu. Anthony potwierdził z leciutkim uśmieszkiem.

— Wspaniały człowiek — z przekonaniem wyrecytował Bleockman. — I wielki Amerykanin.

— Tak — zgodził się Anthony. — Wielki, niewątpliwie.

Nie cierpię takich nedorobionych facetów, pomyślał bez cienia sympatii. Wygląda, jakby trzeba było wsadzić go jeszcze na chwilę do piekarnika.

Bleockman zerknął na zegarek.

— Mogłyby już przyjść...

Anthony czekał bez tchu; wiedział, że Bleockman powie teraz:

— Ale wiemy — szeroki uśmiech — jak to jest z kobietami.

Trzej młodszy mężczyźni skinęli głowami. Bleockman rozglądał się obojętnie wokół, krytycznie przyglądał się sufitowi, a potem opuścił wzrok niżej. Wyrazem twarzy przypominał częściowo farmera ze Środkowego Zachodu, oceniającego plony na własnym polu, a częściowo aktora, zastanawiającego się, czy ludzie zwracają na niego uwagę — to połączenie stanowi najczęstszy sposób zachowania wszystkich porządnych Amerykanów. Dokończywszy obserwacji szybko odwrócił się z powrotem do tak powściągliwie traktującej go trójki i postanowił zadać im cios w samo serce.

— Po studiach?... Pewnie po Harvardzie? Zdaje się, że chłopcy z Princeton dołożyli wam ostatnio w hokeja.

Miał pecha: kolejne pudło. Jego rozmówcy skończyli studia już trzy lata temu i interesowali się już tylko co ważniejszymi meczami futbolowymi. Problematyczne, czy pan Bleockman wyczuł atmosferę cynizmu, jaką został otoczony po niepowodzeniu tej wycieczki, gdyż...

Pojawiły się: Gloria, Muriel, Rachael. Gloria rzuciła zdawkowe „cześć”, które jak echo powtórzyły pozostałe panie i we trójkę zniknęły w garderobie.

Po chwili w jej drzwiach ukazała się bardzo pięknie rozebrana Muriel i zaczęła skradać się ku nim. Była w swym żywiole: hebanowe włosy ulizane prosto do tyłu, oczy uczernione, natrętna, silna woń perfum. Jak tylko mogła, pozowała na wampa — okrutną uwodzicielkę, pozbawioną skrupułów, niewzruszoną zdobywczynię męskich serc. Wysiłkiem, z jakim usiłowała wyrzucić to wrażenie, od pierwszego wejrzenia zafascynowała Maury'ego — kobieta o szerokich udach, która udaje lamparcią zwinność! Gdy czekali dodatkowe trzy minuty na Glorię — i już wyłącznie z grzeczności na Rachael — Maury nie mógł wprost oderwać wzroku od Muriel. Ona zaś odwracała głowę, zakrywała oczy powiekami i zagryzała dolną wargę w zadziwiającej imitacji zawstydzenia. Co chwila opierała dłonie na biodrach i kołysała się w takt muzyki, wciąż powtarzając:

- Świetny ten ragtime, co? Jak go słyszę, ręce robią, co chcą. Bleockman uprzejmie zaklaskał.
- Powinna pani występować na scenie.
- Chętnie! — wykrzyknęła Muriel. — Będzie mnie pan sponsorował?
- Pewnie!

Ze skromnością, z którą było jej bardzo do twarzy, Muriel zaprzestała uwodzicielskich ruchów i zwróciła się do Maury'ego, „na czym był” w tym sezonie. Zinterpretował to jako pytanie o świat dramatu, więc nastąpiła zabawna wymiana tytułów. Brzmiało to mniej więcej tak:

MURIEL: Czy był pan na „Cierniu w moim sercu”?

MAURY: Nie, nie byłem.

MURIEL: (z zapalem) Świetne! Musi pan to koniecznie zobaczyć.

MAURY: A czy była pani na „Omarze”?

MURIEL: Nie, ale słyszałam, że jest świetny. Muszę to koniecznie zobaczyć. A był pan na „Piękna i gorąca”?

MAURY: (z nadzieją w głosie) Tak.

MURIEL: Nie podobało mi się. Nędzne.

MAURY: (słabo) Tak, ma pani rację.

MURIEL: Ale za to wczoraj byłam na „W granicach prawa” i całkiem mi się podobało. A był pan na „Kawiarence”...?

Trwało to, dopóki nie wyczerpali całego nowojorskiego repertuaru. Tymczasem Dick zwrócił się do Bleockmana, zdecydowany wykorzystać, jak tylko się da, tę niezbyt zresztą obiecującą okazję.

— Słyszałem, że teraz właściwie każda nowa powieść kupowana jest na pniu przez film.

— Tak jest. Oczywiście w filmie liczy się przede wszystkim wartka akcja.

— No tak, oczywiście.

— A wiele powieści to same dialogi i mnóstwo psychologii, no i te nas raczej nie interesują, bo trudno sprawić, by coś takiego wyglądało interesująco na ekranie.

— A więc przede wszystkim akcja — genialnie wydedukował Richard.

— Tak jest. Akcja przede wszystkim... — Urwał i odwrócił wzrok w inną stronę. Jego nagle milczenie udzieliło się innym, zupełnie jakby nagle ostrzegawczo uniósł w górę palec. Z garderoby wysunęła się Gloria, a za nią Rachael.

W trakcie kolacji okazało się, że Bleockman nie tańczy; gdy inni szli na parkiet, spędzał czas przyglądając się im ze znudzonym pobłażaniem dorosłego w otoczeniu dzieci. Joseph Bleockman był człowiekiem pełnym godności i dumy. Urodził się w Monachium, a swą amerykańską karierę rozpoczął jako sprzedawca orzeszków w wędrownym cyrku. W wieku osiemnastu lat robił wstawki reklamowe w dodatkach; potem już tylko nimi zarządzał; wkrótce został właścicielem podrzędnej rewii. A gdy film wyszedł z fazy ciekawostki technicznej stając się obiecującą gałęzią przemysłu, Bleockman miał dwadzieścia sześć lat, wielkie ambicje, trochę funduszy, wielki apetyt na pieniądze i dobrą znajomość praw rządzących show-businessem. Od tego czasu upłynęło dziewięć lat. Przemysł filmowy wyniósł go na szczyty, których nie udało się osiągnąć dziesiątkom ludzi o większych zdolnościach finansowych, o większej wyobraźni i bardziej praktycznych... teraz zaś siedział i kontemlował tę nieśmiertelną Glorię, dla której młody Stuart Holcome przeniósł się z Nowego Jorku aż do Pasadeny... Przyglądał się jej ze świadomością, że za chwilę przestanie tańczyć i znów zajmie miejsce po jego lewej ręce.

Mogłaby się pospieszyć, pomyślał. Ostrygi czekają już od kilku minut.

Gloria tańczyła z Anthonym, który przy stole zajmował miejsce po jej lewej ręce. Prowadził ją wciąż po tej samej części parkietu; gdyby na sali byli panowie bez partnerek, byłoby to dyskretnym komplementem dla dziewczyny, gdyż oznaczałoby: „Niech nikt nie próbuje się wtrącać, do cholery!” Intymność była bardzo wyczuwalna.

— Trzeba przyznać — zaczął, zerkając na nią w dół — że wyglądasz dziś wprost wspaniale.

Popatrzyła mu w oczy ponad dzielącą ich odległością sześciu cali.

— Dziękuję... Anthony.

— Prawdę mówiąc, jesteś piękna nie do wytrzymania — dodał, tym razem już bez uśmiechu.

— A ty jesteś czarujący.

— No i proszę — zaśmiał się. — W gruncie rzeczy nie mamy nic przeciwko sobie.

— A zwykle jest inaczej? — Szybko pochwyciła znaczenie tej uwagi, jak zawsze, gdy ktoś czynił jakąkolwiek, nawet najcieńszą, aluzję do jej osoby.

Anthony zamilkł na chwilę; gdy znów się odezwał, tym razem ciszej, w głosie jego nie było już prawie przekory.

— Czy ksiądz może mieć coś przeciw papieżowi?

— Nie mam pojęcia, ale w życiu nie słyszałam równie niejącego komplementu.

— Poczekaj, może uda się mi zdobyć na coś mocniejszego.

— Tylko się nie przemęczaj. Lepiej popatrz na Muriel! Tutaj, tuż obok.

Anthony oglądwał się ukradkiem. Muriel opierała swój błyszczący policzek o klapę fraka Maury'ego Noble'a, a upudrowane lewe ramię owinęła wokół szyi partnera. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że za chwilę chwyci go dłonią za kark. Wywracała wlepionymi w sufit oczyma, kręciła biodrami i nie przestawała nucić podczas tańca. W pierwszej chwili wydawało się, że to, co śpiewa, jest tłumaczeniem tekstu na jakiś obcy język, ale wkrótce okazało się, że próbuje wypełnić rytm piosenki jedynymi słowami, jakie знаła — słowami z tytułu...

*He's a rag-picker
A rag-picker
A rag-time picking man,
Rag-picking, picking, pick, pick
Rag-pick, pick, pick.*

...i tak dalej, aż słowa stawały się coraz dziwniejsze i dziksze. Pochwyciwszy rozbawione spojrzenia Anthony'ego i Glorii odpowiedziała lekkim uśmiechem i półprzymknięciem powiek, dając do zrozumienia, że muzyka przesycająca jej duszę wprawia ją w ekstatyczny i niezwykle uwodzicielski trans.

Muzyka umilkła. Powrócili do stolika. Na ich widok osamotniony, lecz pełen godności Bleockman uniósł się i obdarzył każde z nich tak ujmującym uśmiechem, jakby chciał ucisnąć im dłonie i pogratulować wspaniałego występu.

— Blockhead* nigdy nie tańczy! Pewnie dlatego, że ma drewnianą nogę — zauważyła na cały głos Gloria. Trzej młodszy mężczyźni aż wzdrygnęli się, a twarz przedmiotu tej uwagi wykrzywiła się w widocznym gniewie.

Blockhead (ang.) — tępak (przyp. tłum.)

Był to jedyny cień ciążący na znajomości Bleockmana z Glorią: bezustannie żartowała z jego nazwiska. Najpierw nazywała go Blok, a potem jeszcze gorzej, bo „Blockhead”. Z ironią w głosie poprosił, by mówiła mu po imieniu. Kilka razy pod rząd nawet o tym pamiętała, ale prędzej czy później znów wymykał się jej, skruszonej, lecz dławiącej się śmiechem, ten „Blockhead”.

Było to smutne i bezmyślne.

— Coś mi mówi, że pan Bleockman uważa nas za ludzi zupełnie niepoważnych — westchnęła Muriel, machając w jego kierunku balansowaną na łyżeczce ostrygą.

— Taką ma minę — zaszemrała Rachael. Anthony usiłował przypomnieć sobie, czy do tej pory coś powiedziała. Chyba nie. Rzeczywiście, zdanie to było pierwszym, jakie wypowiedziała tego wieczoru.

Bleockman odchrząknął i niespodziewanie odezwał się głośno i dobitnie:

— Ależ skąd! Gdy przemawia mężczyzna, mówi przez niego tylko tradycja najwyżej kilku tysięcy lat. Kobieta za to jest niezwykle wyrazieliwą całej historii.

W ciszy, która zaległa po tym zdumiewającym stwierdzeniu, Anthony zadławił się nagle polykaną akurat ostrygą i ukrył twarz w serwecie. Rachael wybuchnęła mało przekonywającym, dość zdziwionym śmiechem, w który włączyli się po chwili Dick i Maury, obaj czerwoni na twarzy od powstrzymanego wybuchu radości.

Boże, pomyślał Anthony, przecież to napis z jednego z jego filmów. Nauczył się go na pamięć!

Tylko Gloria nie wydała z siebie dźwięku. Spojrzała na Bleockmana z niemym wyrzutem.

— Na miłość boską! A gdzie ty to usłyszał?

Bleockman popatrzył na nią, niepewny jej intencji. Po chwili jednak opanował się i wywołał na twarz obojętny i wyrozumiały uśmiech intelektualisty otoczonego rozhukaną, gruboskórnią smarkaterią.

Z kuchni przyniesiono zupę, lecz w tej samej chwili lider orkiestry powrócił z baru, gdzie stopniowo nabierał barwy piwa. I zupa zdążyła wystygnać, bo wszyscy poszli tańczyć do ballady „Wszystko w domu, tylko nie ma żony”.

Potem pojawił się szampan, przy którym towarzystwo znacznie się rozluźniło. Mężczyźni, prócz Richarda Caramela, pili zdrowo, Gloria i Muriel zadowolily się jednym kieliszkiem, Rachael Jerryl nie piła w ogóle. Tańczyli wszystko poza walcami — później tylko Gloria wolała siedzieć przy stoliku z papierosem w dłoni; w oczach jej widać było to rozleniwienie, to zainteresowanie, w zależności od tego, czy słuchała Bleockmana, czy wypatrywała ładnych kobiet wśród tańczących. Kilka razy Anthony zastanawiał się, co takiego może jej opowiadać Bleockman; producent żuł koniec cygara, a po kolacji rozluźnił się tak bardzo, że pozwalał sobie na gwałtowne ruchy.

Nadeszła dziesiąta. Gloria i Anthony zaczynali właśnie kolejny taniec. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu towarzystwa przy ich stole, powiedziała cicho:

— Poprowadź mnie do drzwi. Chcę wyskoczyć na chwilę do kiosku.

Anthony posłusznie poprowadził ją przez tłum we wskazanym kierunku; w hallu opuściła go na chwilę, by pojawić się z narzuconym na ramiona płaszczem.

— Muszę kupić sobie gumę do żucia — powiedziała z żartobliwą skruchą. — Nigdy nie zgadniesz, dlaczego. Po prostu, jeśli nie będę miała gumy, zacznę obgryzać paznokcie. — Westchnęła i mówiła dalej, gdy weszli do pustej windy: — Gryzłam je dziś cały dzień. Coś mnie gryzie. O, przepraszam za tę grę słów, to niechcący, same tak mi się ułożyły. No wiesz, jestem Gloria Gilbert, kobieta-komik.

Dotarliszy na parter udali, że nie dostrzegają hotelowego stoiska ze słodyczami, zeszli szerokimi schodami frontowymi i znaleźli wreszcie kiosk na Grand Central Station. Gloria kupiła sobie gumę, choć przedtem dokładnie zlustrowała cały wybór kosmetyków. A potem, jakby pod wpływem jakiegoś wspólnego impulsu, ruszyli bez słowa, pod rękę, nie w kierunku, z którego przyszli, lecz ku Czterdziestej Trzeciej Ulicy.

Noc parowała odwilżą. Było niemal ciepło: tak że unoszący się tuż nad chodnikiem powiew był dla Anthony'ego wizją niespodziewanej, hiacyntowej wiosny. W górze, na niebieskim prostokącie nieba, i wokół nich, w pieszczocie drgającego powietrza, złudzenie nadchodzącej wiosny niesło wytchnienie od pozostawionej za plecami atmosfery dusznej od ludzkich wyziewów; i była chwila ciszy, w której szum ruchu ulicznego i płynącej rynsztokami wody wydawały się ulotnym wspomnieniem muzyki, do której przed chwilą tańczyli. Anthony, gdy przemówił, czuł pewność, że jego słowa płyną z czegoś, co namiętnie i bez tchu rodziło się teraz w ich sercach.

— Może trochę się przejedziemy? — zaproponował patrząc przed siebie.

O, Glorio, Glorio!

Jakaś taksówka rozdziawiła przed nimi drzwi. Gdy odpływała niczym łódź po oceanie-labiryncie, gubiąc się wśród nierozkwitniętych, nocnych kształtów wielkich budowli, wśród to cichnących, to głośniejszych nawoływań i klaksonów, Anthony otoczył dziewczynę ramieniem, przyciągnął ją do siebie i ucałował wilgotne, dziecięce usta.

Nie powiedziała nic. Zwróciła ku niemu twarz, bladą w smugach i plamach światła, mrugających niby światło księżyca zza liści.

Oczy jej były teraz jak lśniące zmarszczki na białej twarzy; włosy rzucały na czoło wymowny, obcy cień. Nie ma, nie może tu być miłości, najmniejszego nawet jej śladu. Piękno jej było jak podmuch wilgotnego wiatru, jak wilgotna miękkość jej warg.

— W tym świetle wyglądasz jak cudowny ptak — szepnęła.

I były milczenia szmerzące jak dźwięk, i cisza, która mogła rozprysnąć się w każdej chwili, która mogła uciec na powrót w zapomnienie na pierwszy ruch jego ramienia, i poczucie, że tkwi w jego objęciu jak cienkie niczym pajęczyna piórko, przyniesione nocnym wiatrem. Anthony zaśmiał się, bezgłośnie i z triumfem, unosząc twarz w górę, oddalając się od niej — częściowo, by wyrzucić z siebie przepelniającą go radość, częściowo dlatego, by, zobaczywszy wyraz jego twarzy, nie naruszyła doskonałego bezruchu swych rysów. Pocałunek ten był jak kwiat uniesiony do warg, niewysłowiony, niemal nie zapamiętany; jakby jej piękno emanowało sobą, osiadało i zaraz topniało w jego sercu.

...Budynki i ich zlewające się cienie zostały za nimi; teraz byli w Parku, a po dłuższej chwili za oknem zaczęło przesuwać się majestatycznie wielkie, białe widmo Metropolitan Museum, odbijając echem warkot limuzyny.

— Glorio! Glorio!

Otworzyła oczy, rozpoznając go spośród tłumów tysięcy lat; wszystko, cokolwiek by czuła, wszystkie słowa, które chciałaby wypowiedzieć, brzmiałyby słabo przy mocy jej milczenia, słabego z kolei przy potędze jej piękna — i jej szczupłego, chłodnego ciała, przytulonego do jego boku.

— Każ zwracać— szepnęła. — I niech z powrotem jedzie bardzo szybko...

Tymczasem w restauracji zrobiło się bardzo gorąco. Stół, zaśmiecony serwetami i popielniczkami, wyglądał staro i nieświeżo. Anthony i Gloria weszli w przerwę między tańcami. Muriel Kane spojrzała na nich z dołu wyjątkowo łobuzersko.

— A gdzie wyście się podziewali?

— Musiałam zatelefonować do mamy — odpowiedziała spokojnie Gloria. — Obiecałam jej. Straciliśmy jakiś taniec?

Potem nastąpił incydent, który, choć sam w sobie drobny, dał Anthony'emu do myślenia na wiele lat: Joseph Bleockman odchylił się na krzesło i rzucił mu osobliwe spojrzenie, w którym dziwnie i nierozzerwalnie spletały się bardzo różne uczucia. Powrót Glorii powitał jedynie lekkim uniesieniem się z krzesła i natychmiast powrócił do przerwanej rozmowy z Richardem Caramelem; dyskutowali o wpływie literatury na film.

Magia

Nagły i niespodziewany cud nocy blednie wraz z powolną śmiercią ostatnich gwiazd i przedwczesnym porodem pierwszych gazeciarzy. Płomień jej kryje się w jakimś odległym a platonicznym ogniu; żelazo straciło swą gorącą biel, węgiel swój żar.

Po półkach biblioteczeki Anthony'ego, wypełniającej jedną, długą ścianę, skradał się chłodny, beczelny ołówek słońca, dotykając z oziębłą dezaprobatą Teresę Francuską, Ann-Superwoman, Jenny z Orient Ballet i Czarodziejkę Zulejkę — i Córę, chłopkę z Indiany. Potem zeskoczył o półkę niżej, w głąb czasu, zatrzymując się z żalem na wiecznie wzywanych cieniach Heleny, Thaïs, Salome i Kleopatry.

Anthony, ogolony już i wykąpany, siedział w swym najgrubiej wyścielanym fotelu i wpatrywał się w wędrowca, dopóki ten, wraz z nieprzerwanym wschodem słońca, nie spoczął na chwilę, błyszcząc, na jedwabnej krawędzi dywanu — i zgasł.

Była dziesiąta. „Sunday Times”, rozrzucony u stóp Anthony'ego, głosił rysunkiem i artykułem wstępnym, rubryką towarzyską i stroną sportową, że w ciągu ostatniego tygodnia cały świat z wielkim zapalem zajmował się zmierzaniem do wielkiego, choć niezbyt określonego celu. W tym czasie Anthony raz odwiedził dziadka, dwa razy — swego maklera, trzy razy — krawca, a w ostatniej godzinie ostatniego dnia tygodnia całował bardzo piękną i czarującą dziewczynę.

Gdy dotarł do domu, jego wyobraźnia pękała od przenikających go do głębi, nie znanych mu dotąd marzeń. Nagle nie miał już żadnych pytań, żadnych wiecznych, nie rozstrzygniętych problemów. Jego doznania nie były teraz ani psychiczne, ani fizyczne, ani

wynikające z połączenia obu; pochłaniała go bez reszty miłość życia. Z chęcią godził się żyć tylko jednym jedynym uczuciem.

Wiedział teraz — zupełnie obiektywnie, niemal bezosobowo — że żadna kobieta na świecie nie może równać się z Glorią. Była tak głęboko sobą, tak bezmiernie szczerą — tego był pewien. Te kilkanaście uczennic i debiutantek, młodych mężatek, sierot i zagubionych duszyczek, które znał, było w najbardziej pogardliwym tego słowa znaczeniu samicami, prośnymi maciorami, wciąż jeszcze zalatującymi jaskinią i pokojem dzieciennym.

Nie uważał przy tym, że w jakikolwiek sposób Gloria poddaje się jego woli czy że mile łechce jego próżność — jeśli nie liczyć satysfakcji, jaką sprawiała mu przyjemność czerpana przez nią z jego obecności. Nie miał najmniejszego powodu sądzić, że niczego, co mu dała, nie dawała też innym. I tak właśnie być powinno; ewentualność, że w wyniku jednego zaledwie wieczoru miał narodzić się jakiś głębszy związek, była nie tylko odległa, lecz wręcz odstręczająca. Gloria zresztą natychmiast zbagatelizowała całe zdarzenie, posługując się kłamstwem, wypowiedzianym z całym przekonaniem. Oto dwoje młodych ludzi, którzy mają dość wyobraźni, by odróżnić zabawę od rzeczywistości — którzy już samą obojętnością, z jaką zetknęli się i rozeszli, głoszą wszem i wobec, że nie ma w nich cierpienia.

Anthony przepowiedział sobie to wszystko w duchu — a potem podszedł do telefonu i poprosił o połączenie z hotelem „Plaza”.

Glorii nie było w hotelu, a matka nie wiedziała ani gdzie poszła, ani kiedy wróci.

Tu właśnie zaczęły ujawniać się pierwsze niedoskonałości takiego postawienia sprawy. Nieobecność Glorii była bezduszna, niemal nieprzyzwoita. Anthony zaczął podejrzewać, że wyszedłszy Gloria zaintrygowała go, a przez to uzyskała nad nim swoistą przewagę. Gdy wróci, zostanie notatkę, że telefonował, i uśmiechnie się — oczywiście bardzo dyskretnie! Powinien był przynajmniej odczekać parę godzin, by zaznaczyć, że cały incydent uznaje za coś naturalnego. Rzeczywiście, postąpił jak osioł! Gotowa jeszcze pomyśleć sobie, że on uważa się za kogoś darzonego szczególnymi

względami; że najzwyczajsze zdarzenie pod słońcem wywołało u niego napływ jakże niezdarnej poufałości!

Tu przypomniał sobie swego portiera, któremu w poprzednim miesiącu wygłosił dość niejasny wykład o tym, że wszyscy ludzie są braćmi, a ten odwiedził go następnego dnia — kierując się oczywiście tym spoufaleniem — i na pół godziny rozgościł się na parapacie okna w mieszkaniu Anthony'ego, zadręczając gospodarza serdeczną rozmową. Anthony zastanawiał się ze zgrozą, czy Gloria nie pomyśli sobie o nim dokładnie tego, co on myślał o tym nieszczęśniku. O nim — Anthonym Patchu! O zgrozo!

Nawet przez myśl by mu nie przeszło, że jest bierny, że poddaje się wpływowi sił znacznie silniejszych i zupełnie niezależnych od Glorii, że może grać rolę czulej kliszy fotograficznej. A przecież może tak właśnie było: może jakiś gigantyczny fotograf skierował swój aparat na Glorię i — pstryk! — biedna klisza, jak wszystkie byty ograniczona w swej naturze, ukaże to, co zostało na niej nawświetlone.

Ale Anthony, leżąc na tapczanie i wlepiając wzrok w pomarańczową lampę, bezustannie przesuwał palcami wśród ciemnych włosów i ubierał godziny w zdarzenia. Teraz ona pewnie chodzi po sklepach, zręcznie przesuwając się wśród futer i aksamitów, podczas gdy jej suknia wesoło szeleści w świetle jedwabnych szelestów, beznamiętnego, perlistego śmiechu i zapachu tyłu zabitych, lecz wciąż jeszcze żywych kwiatów. Wokół niej gromadzą się niczym dworki owe Minnie, Pearl, Jewel i Jenny, przynosząc zwiewne ulotności żorżety, delikatnego szyfonu, by odbijał echem pastel jej policzków, mlecznobiałej koronki, by spoczęła w bladym nieładzie na jej szyi — w adamaszek oblekano wówczas tylko księży i kanapy, zaś o tkaninie z Samarkandy pamiętali już tylko romantyczni poeci.

Po chwili odejdzie gdzie indziej, na sto sposobów przekrzywiając głowę pod setką kapeluszy, na próżno poszukując sztucznych wiśni, które dorównywałyby czerwieni jej wargom, lub piór, wdzięcznych jak jej zwinne ciało.

Potem będzie już południe; pośpieszy Piątą Aleją niczym nordycki Ganimedes, modnie kołysząc futrem w rytm kroków; policzki — czerwienieją jej od muśnięć wiatru, oddech — cudowna mgiełka

w ogarniającym ją zewsząd powietrzu, i wreszcie otworzą się bramy „Ritza”, tłum rozstąpi się, pięćdziesiąt par męskich oczu wzdrzgnie się i wlepi w nią, a mężowie wszystkich tych komicznych, otyłych kobiet na nowo odzyskają swe marzenia.

Pierwsza. Widelcem usidla serce rozkochanego karczocho, gdy tymczasem jej towarzysz zachłystuje się lepkimi, wilgotnymi zdaniemami oczarowanego mężczyzny.

Czwarta. Drobne stopy poruszają się w takt melodii, twarz jej wyróżnia się w tłumie, partner — szczęśliwy jak pieszczone szczenię, szalony jak niezapomniany kapelusznik z „Alicji w krainie czarów”... Potem — potem powoli nasuwa się na wszystko noc, neony wylewają swe światło na mokry asfalt. Kto wie? Nie widziały więcej niż on, więc chcą choć na oślep odtworzyć kremowo-cienisty obraz zapamiętany w tej ucichłej nagle Alei poprzedniej nocy. I, kto wie, może im się uda? Na tysiącach ulicznych rogów rozdziawi się tysiąc taksówek, ale tylko dla niego będą one oznaczać ten na zawsze utracony pocałunek. Tysięczne wcielenia Thaïs będą zatrzymywać taksówki i zwracać w górę twarz ku miłości. A ich bladeść będzie dziewicza i piękna, a ich pocałunek niewinny jak księżycowa Diana...

Zerwał się na równe nogi. To bardzo niestosowne, że jej nie ma! Zrozumiał wreszcie, czego chce — całować ją znów, odnaleźć spokój w jej wszechmocnym bezruchu. Bo ona jest kresem wszelkiego niepokoju, wszelkiego niedosytu.

Anthony ubrał się, wyszedł — powinien to zrobić już dawno — i udał się do Richarda Caramela, by wysłuchać ostatecznej wersji ostatniego rozdziału „Diabelskiej kochanki”. Do Glorii zatelefonował dopiero o szóstej, ale w domu zastał ją dopiero po ósmej, a wtedy — o najstraszliwsze z rozczarowań! — umówiła się z nim dopiero na wtorek. Słuchawkę odłożył z taką siłą, że na podłogę posypały się kawałki gutaperki.

Czarna magia

We wtorek był siarczysty mróz. Zjawił się u niej o ponurej godzinie drugiej; gdy podała mu dłoń, był zdezorientowany; nie wiedział już, czy rzeczywiście kiedykolwiek ją całował. To było

niemal niewiarygodne — zaczynał wątpić, czy ona w ogóle to pamięta.

— W niedzielę telefonowałem do ciebie trzy razy — oznajmił.

— Naprawdę?

W głosie jej było zdziwienie i zaniepokojenie. W duchu przeklinał się za to wyznanie. Powinien był się domyślić, że jej duma nie potrzebuje tak mizernych triumfów. Ale nie odgadł prawdy: Gloria, która nigdy nie musiała martwić się brakiem adoratorów, rzadko stosowała chytne podstępny, owo wędkarskie popuszczanie i podciąganie żyłki, zwyczajne zabiegi jej płci. Wystarczyło, że mężczyzna podobał się jej, a jeśli miała wrażenie, że go kocha — rybę wyciągano, ostatecznie i bezwzględnie, na brzeg, zachowując zawsze niezniszczalny wdzięk.

— Tak bardzo chciałem się z tobą zobaczyć — powiedział po prostu. — Muszę z tobą pogadać, pogadać na serio, gdzieś, gdzie moglibyśmy być sami. Dobrze?

— O co ci chodzi?

Serce podeszło mu do gardła. Wyczuł, że Gloria wie.

— No, nie przy podwieczorku — powiedział.

— Dobrze, ale nie dzisiaj. Dzisiaj muszę się trochę poruszać. Chodźmy na spacer!

Mróz był przejmujący, przenikliwy. Cała wściekła nienawiść lutego znajdowała ujście w lodowatym, beznadziejnym wietrze, okrutnie wyrabującym sobie drogę przez Central Park i Piątą Aleję. Nie dało się rozmawiać; skupiony na przedzieraniu się przez przykry chłód przestał zwracać uwagę na to, co dzieje się wokół, do tego stopnia, że gdy skręcał w Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicę, zorientował się, że jest sam. Rozejrzał się wokół. Stała jakieś czterdzieści stóp z tyłu, bez ruchu, z twarzą ukrytą do połowy za kołnierzem futra, wstrząsana — złością, śmiechem? — tego nie wiedział. Pośpiesznie wrócił do niej.

— Nie chciałabym przeszkadzać ci w twoim spacerze! — zawołała.

— Strasznie cię przepraszam — odpowiedział zmieszany. — Szedłem za szybko?

— Zimno mi — oznajmiła. — Chcę wracać do domu. A ty rzeczywiście chodzisz zbyt szybko.

— Strasznie cię przepraszam.

Ruszyli razem w kierunku hotelu. Żałował, że nie widzi jej twarzy.

— Mężczyźni zwykle nie zamyślają się aż tak bardzo, gdy są ze mną.

— Przepraszam.

— To było nawet całkiem ciekawe.

— Ale dziś trochę jednak za zimno na spacer — rzucił dziarsko, by ukryć rozdrażnienie.

Nie odpowiedziała. Zastanawiał się, czy pożegna się z nim już przy wejściu do hotelu. Weszła jednak do środka, bez słowa, i skierowała się do windy, przy której rzekła krótko:

— To lepiej już chodź do mnie na górę.

Zawahał się na ułamek sekundy.

— Może przyjdę kiedy indziej?

— Jak chcesz. — Szepnęła to zupełnie od niechcenia. Jej główną troską stało się teraz poprawienie paru kosmyków, których niesforność odkryła w lustrze windy. Policzki jej lśniły, oczy rzucały skry — nigdy przedtem nie wyglądała tak ślicznie, tak wykwintnie, tak pociągająco.

Czując do siebie wstręt szedł o pół kroku za nią korytarzem dziesiątego piętra; został w salonie, ona poszła zrzucić futro. Coś było nie tak — we własnych oczach utracił jakąś cząstkę godności; poniósł druzgocącą klęskę w nie zamierzonej, lecz decydującej bitwie.

Jednak nim wróciła, udało mu się wytłumaczyć samemu sobie swe postępowanie. W końcu zrobił, co chciał: chciał wejść z nią na górę, i wszedł. Mimo to późniejsze wypadki tego popołudnia miały swój początek w uszczerbku na honorze, jakiego doznał w windzie; tak bardzo był zdezorientowany, że gdy Gloria weszła do salonu, nieświadomie najeżył się na jej widok.

— Gloria, co to za jeden, ten Bleockman?

— To współnik taty.

— Dziwaczny facet!

— On też za tobą nie przepada — powiedziała z niespodziewanym uśmiechem.

Anthony zaśmiał się.

— Miło mi, że zwraca na mnie uwagę. Na pewno uważa mnie za... — Urwał i dopowiedział: — Kocha się w tobie?

— Nie wiem.
— Akurat — nalegał. — Oczywiście, że się kocha. Pamiętam, jak na mnie spojrział, gdy wróciliśmy do stolika. Gdybyś nie wymyśliła tego kłamstwa o telefonie, pewnie napuściłby na mnie bandę filmowych goryli.
— Wydaje ci się. Zresztą potem opowiedziałam mu, jak było.
— Powiedziałas mu!?
— Bo mnie zapytał.
— Nie powiem, żebym był zachwycony — zaprotestował Anthony.

Gloria znów się zaśmiała.

— Naprawdę?
— Przecież to nie jego interes.
— I właśnie dlatego mu powiedziałam.

Anthony zagryzł wargę w bezgłośniejszą złości.

— Dlaczego miałabym go okłamywać? — zapytała wprost. — Nie mam powodu wstydzić się tego, co robię. Tak się złożyło, że chciał wiedzieć, czy się z tobą całowałam, więc zaspokoiliam jego ciekawość prostym i zwykłym „tak”. A że jest na swój sposób delikatny, więc zaraz zmienił temat.

— Ale zdążył ci powiedzieć, że mnie nie cierpi.

— Martwi cię to? Cóż, jeśli musisz do końca zgłębić tę fascynującą sprawę, to wcale tego nie powiedział. Po prostu wiem, że cię nie cierpi, i już.

— Wcale mnie to nie mar...

— Skończmy już! — zawołała. — Nudzi mnie ta rozmowa!

Ogromnym wysiłkiem woli Anthony przytaknął i pozwolił na zmianę tematu. Wkrótce wciągnęła ich odwieczna zabawa w pytania i odpowiedzi o przeszłość obojga; stopniowo zapalali się coraz bardziej, odkrywając stare, niezapomniane podobieństwa gustów i myśli. Dowiadywali się o sobie więcej, niż mówili — ale oboje udawali, że nie dostrzegają, czy raczej nie słyszą tych głębszych podtekstów.

Tak rodzi się zażyłość. Najpierw każde z nas ukazuje się w jak najlepszym świetle — śliczny, gotowy produkt retuszowany błagaj półprawdą i humorem. Potem trzeba dodać więcej szczegółów, więc maluje się drugi portret, potem jeszcze trzeci — tu już znikają te najlepsze rysy — i wreszcie prawda wychodzi na jaw: połączone

plaszczyny tych kilku obrazów zdradzają nas bezlitośnie; malujemy dalej, ale tego, co tworzymy, nikt już nie kupi. Zostaje tylko pokrzepiać się nadzieją, że nasze żony, dzieci i współpracownicy zadowolą się tymi pierwszymi, pochlebianymi portretami.

— Wydaje mi się — mówił z zapalem Anthony — że nie ma nic gorszego, niż nie mieć ani potrzeb, ani ambicji. To prawda, oczywiście, że głupio byłoby, gdybym rozczulał się nad sobą, ale czasem zazdroszczę Dickowi.

Potraktował jej milczenie jako zachętę — w jej przypadku równało się to niemal świadomemu ciągnięciu za język.

— ...Dawniej istniało wiele zajęć dla dżentelmena bez obciążeń, zajęć bardziej konstruktywnych niż zadymianie powietrza wokół czy zabawa cudzymi pieniędzmi. Jest oczywiście nauka, i czasem żałuję, że nie studiowałem dłużej, na przykład na politechnice w Bostonie. Ale teraz? Teraz musiałbym ze dwa lata ślęczyć nad podstawami fizyki i chemii.

Ziewnęła.

— Mówiłam ci już, że nie mam pojęcia, co mają robić inni — powiedziała niezbyt miło; jej obojętność odnowiła w nim urazę.

— Czy ty naprawdę interesujesz się tylko sobą?

— Naprawdę.

Spojrzał na nią gniewnie; cała przyjemność z tej rozmowy zniknęła gdzieś i przepadła. Cały dzień była skora do gniewu i mściwa; przez chwilę wydawało mu się, że nienawidzi jej zaskorupiałego egoizmu. Markotnie wpatrzył się w ogień.

I wtedy stało się coś dziwnego. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła, a na widok tego uśmiechu opadła zeń cała złość i urazona próżność — zupełnie tak, jakby jego nastroje stanowiły tylko drobne zmarszczki na jej humorze; jakby w jego piersi nie mogło już narodzić się żadne uczucie, jeśli nie zostało wyciągnięte przez nią na powierzchnię wszechmocną, wszechpotężną liną.

Zbliżył się do niej i ująwszy za rękę, pociągnął delikatnie ku sobie, aż oparła się wspólnie o jego ramię. Pocałował ją; uśmiechnęła się.

— Glorio — wyszeptał cichutko. I znów roztoczyła wokół czar, subtelny, przenikliwy jak krople rozlanych perfum, nieodparty, słodki.

Potem, następnego dnia, jak i wiele lat później, na próżno usiłował przypomnieć sobie, co właściwie wydarzyło się owego popołudnia. Czy ją wzruszył? Czy mówiła coś, czy zupełnie nic, gdy trzymał ją w ramionach? Ile przyjemności znalazła w jego pocałunkach? I czy przez ten cały czas zatraciła się choć trochę?

Bo gdy chodzi o niego, nie było żadnych wątpliwości. Wstał i w czystej rozkoszy przemierzał pokój tam i z powrotem — że w ogóle istnieje taka dziewczyna, że spoczywa, wtulona w kąć kanapy, jak jaskółka, dopiero co osiadła po szybkim, doskonałym locie, spoglądając na niego nieprzeniknionym wzrokiem. I znów przystawał, i za każdym razem, z początku na wpół wstydliwie, otaczał ją ramieniem i szukał pocałunku.

Mówił jej, jaka jest fascynująca, że nigdy dotąd nie znalazł kogoś takiego; błagał ją — pół żartem, pół serio — by go wypędziła, bo nie chce się zakochać; nie chce jej odwiedzać — że i tak myśli o niej prześladować go w dzień i w nocy.

Jakie to wszystko było romantyczne! Bo w rzeczywistości czuł nie strach i smutek, lecz tylko głęboką rozkosz w przebywaniu z nią, która w cudowny sposób barwiła wypowiedane banały — ckliwość przemalowywała na smutek, pozę na mądrość. A i tak miał do niej przecież wrócić — na wieki. I powinien o tym wiedzieć!

— To wszystko. Było wspaniale znać cię, było przedziwnie, cudownie. Ale nic z tego nie będzie... — Gdy to mówił, czuł w sercu ową tkliwość, którą wielu myli ze szczerością.

Potem pamiętał jedną jedyną odpowiedź na któreś ze swych wielu pytań. Zapamiętał to w tej formie — choć może nieświadomie sam ubrał to w tak skrzydlate słowa:

— Kobieta musi umieć pięknie i romantycznie pocałować mężczyznę, nie pragnąc przy tym wcale zostać ani jego żoną, ani kochanką.

Jak zwykle, gdy z nią przebywał, stopniowo wydawała się coraz starsza, aż wreszcie w jej oczach pojawiały się myśli tak odwieczne, że niewypowiadalne w słowach.

Minęła cała godzina. Ogień w kominku wciąż unosił się w maleńkich ekstazach, jakby słodkie były jego ostatnie chwile. Zrobiła się piąta i zegar na kominku dał o sobie znać. Wtedy, jakby te nieśmiałe, blaszane uderzenia obudziły w nim jakąś brutalną wrażliwość, przypominając o bezustannym opadaniu płatków z kwiatu

dnia, Anthony postawił ją gwałtownie na nogi i przycisnął do siebie, bezradną i bez tchu, w pocałunku, który nie był tym razem ani zabawą, ani hołdem.

Ale ręce jej opadły do boków. Wyswobodziła się w jednej chwili.

— Nie! — powiedziała spokojnie. — Nie chcę.

Usiadła na przeciwległym krańcu kanapy, wpatrując się wprost przed siebie. Nad oczyma pojawiła się gniewna zmarszczka. Anthony zapadł w poduszki tuż obok niej i nakrył jej dłoń — bezwładną, bez życia — swoją.

— Co się stało? — Uczynił ruch, jakby chciał ją objąć, ale odsunęła się.

— Nie chcę — powtórzyła.

— Bardzo mi przykro — powiedział z lekkim zniecierpliwieniem. — Ja... Nie wiedziałem, że robisz takie subtelne rozgraniczenia.

Nie odpowiedziała.

— Nie pocałujesz mnie, Glorio?

— Nie chcę. — Miał wrażenie, że nie poruszyła się od wielu godzin.

— To dość nagła zmiana, co? — Zaczynał być coraz bardziej zły.

— Tak? — Nie sprawiała wrażenia zbyt zainteresowanej, zupełnie, jakby patrzyła teraz na kogoś innego.

— To może lepiej pójdę.

Bez odpowiedzi. Wstał i patrzył na nią ze złością, lecz i niepewnie. Znowu usiadł.

— Glorio, Glorio, naprawdę mnie nie pocałujesz?

— Nie. — Jej usta, wypowiadając to słowo, ledwo drgnęły.

Jeszcze raz wstał, tym razem mniej zdecydowanie.

— To idę. Cisza.

— Dobrze, a więc idę.

Zdawał sobie sprawę, jak mało jest oryginalny; czuł, że cała atmosfera tej rozmowy zaczyna go przytłaczać. Pragnął z całych sił, by coś powiedziała, by krzyknęła na niego, zrobiła mu awanturę — wszystko byłoby lepsze niż to straszne, chłodne milczenie. Przeklinał się w myślach, przezywał słabym głupcem; chciał wzruszyć ją,

zranić, widzieć, jak krzywi się z bólu. Bezradnie i niechcący znów zrobił błąd.

— Jeżeli masz już dość moich pocałunków, idę.

Zobaczył, że usta jej wykrzywiły się lekko, i opuściły go resztki godności. Wreszcie przemówiła:

— Coś mi się zdaje, że już to mówiłeś parę razy.

Natychmiast rozejrzał się wokół, dostrzegł na krześle swój kapelusz i płaszcz, walczył z nimi przez krótką, żenującą chwilę. Popatrzawszy potem na kanapę zobaczył, że nie odwróciła się za nim, że nawet się nie poruszyła. Drżącym głosem rzucił „Do widzenia”, natychmiast tego pożałował i szybko, lecz bez krztyny godności wyszedł z pokoju.

Przez dłuższą chwilę Gloria siedziała bez słowa; patrzyła przed siebie, dumna, nieobecna. Potem oczy jej zamglily się nieco; zamierający ogień usłyszał trzy półgłosem wypowiedziane słowa:

— Do widzenia, kretynie!

Popłoch

Mężczyzna ten otrzymał właśnie najsilniejszy cios w życiu. Wiedział nareszcie, czego chce, ale dowiedziawszy się tego, miał wrażenie, że utracił to na zawsze. Dotarł do domu kompletnie przygnębiony, rzucił się na fotel nawet nie zdejmując płaszcza i siedział tak ponad godzinę, podczas gdy umysł jego błądził po bezowocnych a smętnych drogach egotyzmu. Pokazała mu drzwi! To właśnie pogłębiało jeszcze jego rozpacz. Zamiast chwycić ją i utrzymać siłą, aż podda się biernie jego żądzy, zamiast podporządkować sobie jej wolę siłą własnej woli, odszedł pokonany i bezsilny spod jej drzwi, z opadłymi kącikami ust, jak zbity pies, przepętniony rozpaczą i złością. W jednej chwili lubiła go bardzo — ach, niemal kochała — a w drugiej był jej już obojętny, niemiły, więc upokorzony.

Nie czynił sobie wiele wyrzutów — trochę, oczywiście, ale dominowały w nim teraz znacznie silniejsze uczucia. Nie tyle kochał Glorię, co szalał za nią. Nie mogąc z nią być, całować ją, obejmować, zgodną i uległą, niczego już nie pragnął od życia. Po owych trzech minutach doskonałej, niewzruszonej obojętności dziewczyna

nie zajmowała już ważnej, lecz wcale nie wyjątkowej pozycji w jego umyśle — teraz stała się jego *idée fixe*. I choć myśli jego krążyły jak oszalałe między potężnym pragnieniem jej pocałunków a równie potężną chęcią zadania jej bólu i upokorzenia, gdzieś na dnie mózgu hołubił wyższe uczucie — pragnienie, by pojąć tę zwycięską istotę, która ukazała się mu w ciągu tych trzech minut. Gloria jest piękna, ale jeszcze bardziej niż piękna jest bezlitosna. A on musi okiełznać siłę, która go odepchnęła.

Ale w tej chwili Anthony nie był zdolny do takiej analizy. Cała trzeźwość umysłu, cała ironiczna pewność siebie — gdzieś zniknęły. Nie tylko tego wieczoru, lecz na całe następne dni i tygodnie książki stały się dla niego tylko częścią umeblowania; przyjaciele — ludźmi poruszającymi się po jakimś mglistym, odległym świecie, od którego pragnął uciec; bo świat ten był zimny, targany ostrym wiatrem, kiedy on przez jedną ulotną chwilę widział wewnątrz ciepłego domu, oświetlonego przytulnym blaskiem ognia w kominku.

Okolo północy poczuł głód. Zszedł na dół, na Ulicę Pięćdziesiątą Drugą; mróz był taki, że aż oslepiął; wilgoć zamarzała Anthony'emu na rzęsach i w kącikach warg. Wszystko utonęło w płynącej z północy szarudze, osiadającej na wąskiej, ponurej ulicy, po której chodniku, potykając się co chwila, przemykały się pod wyjący wiatr czarne, okutane w płaszcze postacie, ostrożnie wysuwając do przodu stopy, jakby poruszały się na nartach. Anthony skręcił ku Szóstej Alei; był tak pogrążony we własnych myślach, że nawet nie zauważył, że kilku przechodniów gapi się na niego z zaciekawieniem. Płaszcz powiewał mu na wietrze, który, dziki i bezlitosny jak śmierć, przenikał go na wskroś.

...Po chwili usłyszał głos kelnerki, grubej kelnerki w okularach o ciemnych oprawkach, z których zwisał długi czarny łańcuszek.

— Słucham!

Uznał, że kobieta niepotrzebnie podnosi głos. Obrzucił ją nieprzychylnym spojrzeniem.

— Zamawiasz pan czy nie?

— Oczywiście, że tak — odezwał się urażony.

— No bo już trzeci raz się pytam. Tu nie poczekalnia.

Zerknął na wielki zegar ścienny i zauważył ze zdumieniem, że jest już po drugiej. Znajdował się gdzieś w okolicach Ulicy Trzydziestej; po chwili odszukał wzrokiem i przetłumaczył białe półkole liter na szklanej witrynie. Wewnątrz siedziało paru smętnych i na wpół zamarniętych nocnych Marków.

— Proszę mi podać jaja na bekonie i kawę.

Kelnerka rzuciła mu ostatnie, zde gustowane spojrzenie i ruszyła do kuchni, śmieszna intelektualistka w okularach z łańcuszkiem.

Boże! Pocałunki Glorii były jak kwiaty. Wspominał — jakby minęło już wiele lat — świeżość jej głosu, cudowne kształty jej ciała, lśniąca pod suknią, i twarz, fiołkową w świetle lamp ulicznych — w świetle lamp.

Znów chwycił go za serce żal, dodając do bólu i tęsknoty jakby grozę. Utracił ją na zawsze. To prawda — czysta, niezaprzeczalna. Ale oto pojawiła się nowa, straszliwa myśl — Bleockman! Co teraz będzie? Bogaty, w średnim wieku — akurat na tyle, by spełniać zachcianki i tolerować wybryki młodej, pięknej żony, by nosić ją tak, jak, być może, chce być noszona, czyli jak jaskrawy kwiat w butonierce. Wyczuwał, że bawiła się kiedyś myślą wyjścia za Bleockmana; było całkiem możliwe, że rozczarowanie nim, Anthonym, popchnie ją wprost w ramiona tego człowieka.

Myśl ta doprowadzała go do dziecinnego niemal szału. Pragnął zabić Bleockmana, pragnął, by za swą odrażającą bezczelność zapłacił na torturach. Powtarzał to sobie w kółko z zaciśniętymi zębami, a w oczach odprawiała się prawdziwa orgia nienawiści i strachu.

Ale zza oparów ohydnej zazdrości wyłaniała się inna prawda: Anthony wreszcie się zakochał, głęboko i prawdziwie, tak jak tylko mężczyzna może kochać kobietę.

Przy jego łokciu pojawiła się kawa, która jeszcze przez jakiś czas wydychała w górę malejącą smużkę pary. Kierownik nocnej zmiany spojrział zza biurka na samotną postać, siedzącą bez ruchu przy ostatnim stoliku, westchnął i ruszył w jej kierunku, gdy wskazówka godzinna znalazła się na cyfrze 3.

Mądrość

Minął jeszcze jeden dzień, a z nim pierwszy szok. Anthony zaczął myśleć normalnie. Jestem zakochany — krzyczał do siebie z pasją. Wszystko, co jeszcze tydzień wcześniej wydawało się nieprzebytymi przeszkodami: skromne dochody, pragnienie niezależnego życia, niechęć do obarczania się odpowiedzialnością — w ciągu czterdziestu godzin stało się najdrobniejszym pyłkiem na wietrze jego zauroczenia. Jeżeli nie ożeni się z Glorią, reszta życia będzie tylko nędzną parodią młodości. Jeśli chciał zachować nadzieję, musiał zmusić się, by nadal spotykać się z ludźmi, by trwać, choć całe jego istnienie było teraz myśleniem o Glorii. Rozpaczliwie, uparcie budował więc z własnych marzeń tę nadzieję — nadzieję, oczywiście, żałośnie słabą nadzieję załamującą się i niknącą po dziesięć razy na dzień, nadzieję, matkę głupich, a mimo wszystko nadzieję, która coraz bardziej wzmacniała jego poczucie godności.

Rodziły się w nim okruchy mądrości, własne, prawdziwe widzenie świata, niedostępne mu dotąd w pozbawionej wysiłku egzystencji.

Pamięć jest krótka — pomyślał.

Bardzo krótka. Sędzia ma właśnie wydać wyrok, wystarczy jeden jego gest, by oskarżony stał się pogardzanym przez cały świat skazańcem, ale jeśli wyrok jest uniewinniający, po roku wszystko pójdzie w zapomnienie. „Rzeczywiście, miał kiedyś jakieś kłopoty, ale zdaje się, że była to zwykła formalność”. Tak, tak, pamięć bywa bardzo krótka!

Anthony spotkał się dotąd z Glorią kilkanaście razy, ogółem może dwadzieścia kilka godzin. A gdyby tak przez miesiąc nie odwiedzać jej, nie zabiegać o spotkanie czy rozmowę i unikać wszystkich miejsc, w których mogła się pojawić? Czy nie jest możliwe — tym bardziej, że nigdy go nie kochała — że po tym czasie bieg zdarzeń wymaże wspomnienie o nim z jej świadomości, a wraz ze wspomnieniem — jego winę i upokorzenie? Zapomni, bo wokół będą inni. Twarz wykrzywiła mu się w bólu. Właśnie — inni! Dwa miesiące... — O Boże! Może wystarczą trzy tygodnie, może tylko dwa...

Tak myślał drugiego wieczoru po katastrofie, gdy szedł spać;

rzucił się na łóżko i leżał tak, drżąc lekko, wpatrując się w skraj baldachimu.

Dwa tygodnie — nie, to byłoby jeszcze gorsze. Po zaledwie dwóch tygodniach podszedłby do niej, czując dokładnie to samo, co teraz, ubezwłasnowolniony, niepewny; byłby wciąż mężczyzną, który pozwolił sobie na zbyt wiele, a potem, tak krótko, jakby była to zaledwie chwila — albo cała wieczność — szlochał w ukryciu. Tak, dwa tygodnie to za krótko. Wszystko, co czuł do niej tamtego popołudnia, musi mieć czas stępić się, opaść. Musi dać jej czas, by całe zdarzenie zatarło się w jej pamięci, a potem czas, by stopniowo znów zaczęła o nim myśleć, choćby najbardziej mgliście; wtedy, oprócz jego upokorzenia, pamiętać też będzie jego wdzięk.

Wreszcie zdecydował się na sześć tygodni i zaznaczył cały ten okres na kalendarzu — miał skończyć się dziewiątego kwietnia. Doskonale. Dziewiątego kwietnia zatelefonuje do niej i zapyta, czy mógłby ją odwiedzić. Ale przedtem — cisza.

Gdy już podjął tę decyzję, poczuł się trochę lepiej. Wykonał wreszcie krok w kierunku wskazanym mu przez nadzieję; zdawał też sobie sprawę, że im mniej będzie o niej myślał, tym lepsze wywrze na niej wrażenie, gdy się spotkają.

Minęła jeszcze godzina — zapadł w głęboki sen.

Przerwa w zyciorysie

Mimo to — choć z wpływem dni przemijała w jego oczach gloria jej włosów, choć po rocznej rozłące mogłaby całkiem odejść w zapomnienie — owe sześć tygodni składało się z wielu straszliwych dni. Obawiał się nawet Dicka i Maury'ego, wmówiwszy sobie, że muszą o wszystkim wiedzieć — ale gdy się spotykali, to nie Anthony był w centrum uwagi, lecz Richard Caramel: „Diabelską kochankę” przyjęto i natychmiast podpisano do druku. Anthony czuł, że ich traci; nie pragnął, tak jak dawniej, poczucia ciepła i bezpieczeństwa, jakie znajdował w towarzystwie Maury'ego jeszcze w listopadzie. To wszystko dać mu mogła teraz tylko jedna osoba na świecie: Gloria. Powodzenie Dicka cieszyło go, ale bardzo powierzchniowo, nie więcej niż go martwiło — oznaczało przecież, że świat idzie naprzód, że pisze, czyta, wydaje, że żyje. A on pragnął, by świat czekał bez ruchu, bez dechu, aż Gloria zapomni.

Dwa spotkania

Największą przyjemność znajdował w towarzystwie Geraldine. Raz zabrał ją na kolację i do teatru, kilka razy podejmował u siebie. Gdy była z nim, pochłaniała go całkowicie, nie tak, jak Gloria, lecz uspokajając w nim tę erotyczną wrażliwość, która drżała o Glorię. Geraldine mógł całować, jak chciał. Dla niej pocałunek był po prostu pocałunkiem, którym trzeba cieszyć się, póki trwa. Dla Geraldine wszystko było dokładnie zaszufadkowane: pocałunek to pocałunek, dalej — to już coś zupełnie innego; pocałunek — tak, dalej — nie.

Po upływie połowy wyznaczonego okresu w dwa kolejne dni nastąpiły dwa wydarzenia, które zakłóciły rosnący dotąd spokój Anthony'ego i na powrót wytrąciły go z równowagi.

Po pierwsze — natknął się jednak na Glorię. Spotkanie było bardzo krótkie. Pozdrowili się, ale żadne z nich nie słyszało, co mówi drugie. Gdy się rozstali, Anthony trzykrotnie przeczytał tę samą kolumnę w „The Sun” i nie zrozumiał ani jednego zdania.

A przecież Szósta Aleja wydawała mu się tak bezpieczna! Porzuciwszy swego fryzjera z hotelu „Plaza”, przeszedł któregoś dnia za róg, by się ogolić; oczekując na swoją kolej zdjął płaszcz, zdjął marynarkę i rozpiąwszy kołnierzyk pod szyją, stanął przy samej witrynie. Dzień ten był oazą na zimnej pustyni marca; chodnik wesoślił się tłumem spacerujących czcicieli słońca. Przeciągnęła w akşamitach krępa kobieta o przesadnie wymasowanych, a i tak obwisłych policzkach, z naprężającym smycz pudlem, co w całości przypominało widok holownika pilotującego wielki statek pasażerski. Idący tuż za nią mężczyzna w prążkowanym, granatowym garniturze, jakimś okrężnym ruchem stawiający stopy w białych kamaszach, uśmiechnął się drwiąco na ten widok, a napotkawszy wzrok Anthony'ego, mrugnął do niego przez szybę. Anthony zaśmiał się; ludzie byli teraz dla niego pozbawionymi wdzięku, bezsensownymi zjawami, groteskowo krągłymi w zbudowanym przez siebie, prostokątnym świecie. Budzili w nim takie same uczucia jak te dziwaczne, potworniaste ryby, zamieszkujące ezoteryczny, zielony świat akwariów.

Wzrok jego padł na dwoje innych spacerowiczów — i w tej samej, przerażającej chwili dziewczyna przeistoczyła się w Glorię.

Oślupiał. Tamtych dwoje podeszło bliżej. Dostrzegła go. Oczy jej rozszerzyły się. Uśmiechnęła się uprzejmie. Poruszyła wargami. Nie dzieliło go od niej więcej niż pięć stóp.

— Dzień dobry — wymamrotał bezwiednie.

Gloria — szczęśliwa, piękna i młoda — i do tego z mężczyzną, którego dotąd nie widział na oczy!

W tej samej chwili opróżnił się fotel fryzjera i wtedy właśnie przeczytał tę samą kolumnę trzy razy pod rząd, nie rozumiawszy ani słowa.

Drugi incydent zdarzył się następnego dnia. Około siódmej wieczorem wszedł do pewnego baru na Manhattanie i stanął twarzą w twarz z Bleockmanem. Tak się złożyło, że w niemal pustym barze znalazł się tuż obok niego, nim się rozpoznali. Nie mieli wyjścia — musieli nawiązać rozmowę.

— Witam pana — odezwał się całkiem uprzejmie Bleockman.

Anthony uścisnął wyciągniętą ku niemu dłoń i wymienił kilka frazesów na temat pływów rtęci.

— Często pan tu przychodzi? — zapytał Bleockman.

— Nie, bardzo rzadko. — Wołał przemilczeć, że do tej pory jego ulubiony bar był w „Plaza”.

— To całkiem przyjemny bar. Jeden z najlepszych w całym mieście.

Anthony skinął głową. Bleockman wychylił swoją szklankę i ujął w dłoń laseczkę. Był w stroju wieczorowym.

— No, muszę już iść. Jestem umówiony na kolację z panną Gilbert.

Parą niebieskich oczu spojrzała na Bleockmana śmierć. Nawet gdyby oznajmił swemu rozmówcy, że zamierza go zamordować, jeszcze by go tak nie przeraził. Anthony chyba aż poczerwieniał, tak rozszalały się w nim wszystkie nerwy. Najwyższym wysiłkiem woli przywołał na twarz sztywny — jakże sztywny! — uśmiech i pożegnał się grzecznie. Ale tej nocy nie zasnął przed czwartą, na wół oszalały z żalu, obawy i straszliwych podejrzeń.

Słabość

Któregoś dnia — był to już piąty tydzień — zatelefonował do niej. Siedział w domu i usiłował czytać „L'éducation sentimentale”; jakiś fragment tej książki popędził jego myśli tam, dokąd zawsze biegly puszczone wolno, jak konie z daleka czujące własną stajnię. Z przyspieszonym z nagłą oddechem podszedł do telefonu. Gdy podawał telefonistce numer, wydało się mu, że jego głos załamuje się jak uczniakowi, że w centrali na pewno słychać łomot jego serca. Odgłos podnoszonej po drugiej stronie słuchawki zabrzmiał jak trąba archanioła, zaś „Halo-o-o?” pani Gilbert, lejące się jak syrop klonowy do szklanego naczynia, miało w sobie dziwne akcenty grozy.

- Gloria nie czuje się najlepiej. Położyła się, śpi. A kto mówi?
- Nikt! — krzyknął.

W dzikim popłochu rzucił słuchawkę na widełki, a sam, zlany zimnym potem nieprzytomnej ulgi, opadł na fotel.

Serenada

Pierwszą rzeczą, którą jej powiedział, było: „O, ostrzygłaś się na krótko!”, na co ona odparła: „Tak, prawda, że wyglądam cudownie?”

Fryzura ta nie była jeszcze wtedy w modzie, ani wtedy, ani przez następne pięć czy sześć lat; w tamtych czasach świadczyła o niemałej odwadze.

— Dziś jest tak słonecznie — powiedział poważnie. — Nie masz ochoty na mały spacer?

Nałożyła cienki płaszcz i śliczny, wesoły, niebieski kapelusik à la Napoleon. Poszli razem Aleją aż do zoo, gdzie, jak przystało, podziwiali rozłożystość słonia i numer kołnierzyka żyrafy, ale do małp nie zaszli, bo Gloria nie znosiła ich smrodu.

Potem wrócili ku „Plaza”, rozmawiając o wszystkim i o niczym, ale radując się wiosną rozśpiewaną w powietrzu i ciepłym balsamem, zalewającym z nagłą rozzłocone miasto. Na prawo był Park, a po lewej wielka bryła granitu i marmuru mrucała w kółko bezładne słowa milionera wszystkim, którzy chcieli słuchać:

„Pracowałem, oszczędzałem, byłem sprytniejszy niż inni, a teraz siedzę tu sobie, do licha, do licha!”

Na Piątą Aleję wyległy już co najnowsze i najpiękniejsze modele samochodów, a na wprost wyrastał hotel „Plaza”, wyjątkowo dziś biały i piękny. Zwinna, leniwa Gloria szła o włos przed Anthonym, wylewając z siebie zdawkowe, również leniwe uwagi, które, nim dotarły do jego uszu, unosiły się przez chwilę w roziskrzonym powietrzu.

— Och! — wykrzyknęła w pewnej chwili. — Chcę jechać na południe, do Hot Springs! Chcę wydostać się na świeże powietrze, tarzać się po świeżej trawie, zapomnieć na zawsze o zimie.

— I tak przecież to robisz!

— Chcę słyszeć drozdy, chcę słyszeć, jak okropnie hałasują miliony drozdów. Dość lubię ptaki.

— Wszystkie kobiety to ptaki — zaryzykował.

— A ja jakim jestem? — rzuciła szybko, z ciekawością.

— Może jaskółką, a może rajskim ptakiem. Oczywiście większość kobiet to wróble — widzisz ten rząd niań, o, tam? To właśnie wróble. A może kawki? Na pewno znasz też dziewczyny-kanarki i dziewczyny-drozdy.

— I łabędzie, i papugi. A wszystkie starsze kobiety to albo jastrzębie, albo sowy.

— A ja kim jestem? Myszołowem?

Zaśmiała się i pokręciła głową.

— Och, nie! Nie uważasz, że ty wcale nie jesteś ptakiem?

Ty jesteś chartem rosyjskim.

Anthony pamiętał, że te psy są białe i wiecznie jakby wygłodzone. Że jednak fotografowano je zazwyczaj w towarzystwie książąt i księżniczek, więc postanowił uznać to za komplement.

— Dick jest foksterierem, małym, psotnym foksterierem — ciągnęła.

— A Maury kotem. — W tej samej chwili uświadomił sobie, jak bardzo Bleockman przypomina mu krępego, nieprzyjemnego wieprza, ale dyskretnie zachował to dla siebie.

Potem, gdy się zegnali, Anthony zapytał, kiedy ją znów zobaczy.

— Czy ty nigdy nie umawiasz się na dłuższy czas naprzód? — błagał — choćby na tydzień. Mogłoby być chyba całkiem przyjemnie spędzić razem cały dzień, i przed południem, i po południu.

— Rzeczywiście, czemu nie? — Zastanawiała się przez chwilę. — Za tydzień, w niedzielę.

— Świetnie. Zaplanuję wszystko co do minuty.

I tak też zrobił. Wiedział nawet dokładnie, co zdarzy się w ciągu dwóch godzin, gdy będzie u niego na podwieczorku: że poczciwy Bounds zostawi otwarte okna, by wpuścić do mieszkania świeży wiaterek — ale i ogień w kominku, gdyby w powietrzu był chłód — że wielkie, zimne wazon, które kupi specjalnie na tę okazję, zapelnia się kwiatami. A oni zasiądą na kanapce.

I gdy nadszedł ten dzień, oni zasiedli na kanapce. Po chwili Anthony pocałował ją, bo przyszło mu to zupełnie naturalnie; odnalazł na jej wargach śpiącą jeszcze słodycz; zrozumiał, że wcale się nie rozstawali. Ogień płonął jasno, a przenikający przez zasłony wietrzyk dmuchał łagodną rzeźkością, obietnicą maja i nowego, letniego świata. Dusza Anthony'ego dostroiła się do zaledwie słyszalnej muzyki; słyszał z daleka dźwięki gitar i wody, pluskającej przy ciepłym, śródziemnomorskim brzegu — bo w tej chwili był młody, jak nigdy później, i bardziej zwycięski niż sama śmierć.

Godzina szósta podkraśla się zbyt wcześnie i zbyt wcześnie uderzyła w kłótlive dzwony kościoła Świętej Anny. W gęstniejącym mroku podążyli spacerem ku Alei, gdzie przechodnie, jak wypuszczeni na wolność więźniowie, szli wreszcie, po tak długiej zimie, sprężystym, wesołym krokiem, a górne piętra autobusów zapelnily się dobrotliwymi królami, sklepy zaś — delikatnymi, cienkimi, miękkimi ubiorami na lato, niezwykle lato, rozkoszne, obiecujące lato, które było dla miłości tym, czym zima dla pieniędzy. Na rogach życie śpiewem zamawiało sobie wystawną kolację! Życie rozdawało koktajle wprost na ulicy! W tłumie nawet najstarsze kobiety czuły się tak, jakby mogły bez wysiłku wygrać bieg na sto metrów!

Leżąc w łóżku, przy zgaszonych światłach, w chłodnym pokoju, wypełnionym po brzegi księżycową poświatą, Anthony bawił się każdą chwilą minionego dnia jak dziecko, rozkoszujące się po

kolei każdym z wyśnionych prezentów gwiazdkowych. Powiedział jej, niemal w trakcie pocałunku, że ją kocha, a ona uśmiechnęła się, przytuliła się do niego i patrząc mu w oczy szepnęła: „To dobrze”. W jej zachowaniu było coś nowego, nowy napływ czysto fizycznego pociągu do niego, jakieś dziwne napięcie uczuciowe — to wystarczyło, by na samo wspomnienie zaciskał dłonie i tracił oddech. Nigdy dotąd nie czuł się jej bliższy. Krzyczał w zachwycie na cały pokój, że ją kocha.

Zatelefonował do niej następnego dnia rano — już bez wahania, bez niepewności — ale w oszałamiającym podnieceniu, które podwoiło się i potroiło, gdy usłyszał jej głos:

- Dzień dobry... Glorio.
- Dzień dobry.
- Chciałem ci tylko to powiedzieć... kochanie.
- To dobrze.
- Tak chciałbym się z tobą zobaczyć.
- Zobaczymy się przecież, już jutro wieczorem.
- To taki kawał czasu, prawda?
- Tak... — W głosie jej słychać było lekki zawód. Dłoń Anthony'ego zacisnęła się na słuchawce.
- To może przyjdę już dziś? — Postawił wszystko na jedną kartę w obliczu tego cudownego, wspaniałego, niemal szeptem wypowiedzianego „tak”.
- Ale jestem umówiona.
- Aha...
- Ale może... może uda mi się z tego wykręcić.
- Ach! — Okrzyk, chóry anielskie! — Glorio?
- Tak?
- Kocham cię. Znowu pauza, potem:
- To... To dobrze.

Szczęście, zauważył kiedyś Maury Noble, to zwykle pierwsza godzina po ulżeniu jakiejś szczególnie ciężkiej niedoli. Trzeba jednak było widzieć twarz Anthony'ego, gdy tego wieczoru kroczył korytarzem dziesiątego piętra hotelu „Plaza”! Jego ciemne oczy błyszczały, a ten uśmiech... Nigdy nie był przystojniejszy niż wtedy, gdy zmierzał ku jednej z tych nieśmiertelnych chwil, których światło, raz zapamiętane, wystarcza na całe lata.

Zastukał, usłyszał „Proszę” i wszedł. Gloria, ubrana w prostą różową suknię, wykrochmaloną i świeżą jak kwiat, stała po drugiej stronie pokoju, bez ruchu, wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczyma.

Gdy zamknął za sobą drzwi, wydała cichy okrzyk i szybko przemknęła przez dzielącą ich przestrzeń, unosząc ramiona w przedwczesnej pieszczocie. W zwycięskim, nierozzerwalnym uścisku, który nastąpił, bezlitośnie rozgnietli sztywne fałdy jej sukni.

Księga druga

1. Godzina szczęścia

Po dwóch tygodniach Anthony i Gloria zaczęli lubować się w „rzeczowych dyskusjach”, jak nazywali spotkania, w czasie których, pod przykrywką surowego realizmu, wędrowali w niegasnącej, księżycowej poświacie.

— Nie aż tak, jak ja ciebie — upierał się krytyk literacki. — Gdybyś kochała mnie naprawdę, chciałabyś, by wszyscy o tym wiedzieli.

— Przecież chcę — oburzała się. — Chcę stać na rogu, jak sprzedawca hotdogów, i informować przechodniów.

— To wymień wszystkie powody, dla których wychodzisz za mnie.

— No, bo jesteś taki czyściutki, szalowo czyściutki, zupełnie tak jak ja. Bo, wiesz, ludzie są czyści na dwa sposoby. Jedni, jak Dick, są czyści jak wypolerowana patelnia. A ty i ja jesteśmy czyści jak strumyki, jak wiatr. Ja zawsze poznam na pierwszy rzut oka, czy ktoś jest czysty, a jeśli tak, to jak.

— Jesteśmy bliźniakami.

Rozkoszna myśl!

— Mama mówi — zawahała się — mama mówi, że czasem dwie dusze stworzone są razem i kochają się w sobie nawzajem jeszcze przed urodzeniem.

Bilfizm nigdy jeszcze nie zdobył sobie wyznawcy równie łatwo... Po chwili Anthony uniósł głowę i bezgłośnie zaśmiał się w sufit. Gdy opuścił wzrok, zauważył, że Gloria się gniewa.

— Dlaczego się śmiejesz? — zawołała. — To już trzeci raz. Ja nie widzę nic śmiesznego w tym, co czujemy do siebie. Pewnie,

lubię się powyglupiać i lubię, gdy ty się wyglupiasz, ale nie cierpię tego, gdy jesteście sami.

— Przepraszam.

— Och, nie przepraszaj! Jeśli nie potrafisz wymyślić nic lepszego, to przynajmniej siedź cicho!

— Kocham cię.

— Nic mnie to nie obchodzi.

Nastąpiła chwila milczenia. Anthony był przygnębiony...

Po chwili Gloria szepnęła:

— Przepraszam, że byłam taka niedobra.

— Wcale nie, to moja wina.

Zapanował pokój — a następne chwile były tym słodsze, tym wyrazistsze, tym bardziej wzruszające. To oni grali główne role, tu, przed tą dwuosobową publicznością; autentyczność ich aktorstwa płynęła z pasji, z jaką oddawali się tej grze. Oto wreszcie kwintesencja autoekspresji — choć można przypuszczać, że ich miłość wyrażała głównie Głorię, nie Anthony'ego; bywało, że czuł się jak niechętnie tolerowany gość na wydawanym przez nią samą przyjęciu.

Powiadomienie jej matki przyszło im z wielkim zażenowaniem. Pani Gilbert siedziała wtłoczona w niewielki fotel, słuchając z napięciem i koncentracją, co wyrażało się częstym mruganiem powiek. I tak wiedziała, co się święci — Gloria od trzech tygodni spotykała się tylko z Anthonyem — i nie mogła nie zauważyć zmiany w zachowaniu córki. Były przecież liściki, były rozmowy telefoniczne, których połowy — dyskretniej, lecz i tak dość czulej — musiała nasłuchiwać, bo któraż matka...

...Mimo to elegancko wyraziła zdumienie i głośno oznajmiła swą radość; radość jej była autentyczna, podobnie jak radość geranium kwitnącego w skrzynkach w oknach i dorożkarzy, gdy kochankowie szukali romantycznej intymności w ich dwukołowych powozach — tych rozkosznych cackach — i statecznych jadłospisów restauracyjnych, na których pisali „wiesz, że ja też”, podsuwając je sobie wzajemnie.

Ale między jednym pocałunkiem a drugim Anthony i jego ukochana kłócili się bezustannie.

— Glorio — wołał — pozwól mi wreszcie wytłumaczyć!

— Nic nie tłumacz. Pocałuj mnie.

— Nie, to nie jest w porządku. Jeżeli zraniłem twoje uczucia, powinniśmy o tym porozmawiać. Tobie wydaje się, że jak mnie pocałujesz, to zaraz o wszystkim zapomnę!

— Ale ja nie chcę klócić się z tobą. Uważam, że to cudowne, że my właśnie potrafimy pocałować się i zapomnieć; klócić się będziemy dopiero wtedy, gdy nam to nie wystarczy.

Za którymś razem zwiewna pajęczyna takiej kłótni rozrosła się tak, że Anthony wstał i wcisnął się w płaszcz — przez chwilę zanosilo się na powtórkę sceny z lutego; widząc jednak, jak bardzo jest poruszona, zachował i godność, i dumę, a po chwili Gloria szlochala już w jego ramionach, rozżalona jak mała, przestraszona dziewczynka.

Tymczasem odkrywali się wzajemnie, nieświadomie, badając swe odmienne reakcje i uniki, swe antypatie, uprzedzenia i nie zamierzone nawiązania do przeszłości. Dziewczyna była tak dumna, że wręcz niezdolna do zazdrości, co nieco drażniło zazdrosnego do szaleństwa Anthony'ego. By obudzić w niej choćby iskierkę tego uczucia, opowiadał jej najróżniejsze epizody z własnego życia — wszystko na próżno. Teraz należał do niej — zamierzchła przeszłość bynajmniej jej nie interesowała.

— Och, Anthony — mówiła — zawsze, gdy jestem dla ciebie niedobra, tak mi potem przykro... Dałabym sobie rękę uciąć, żeby oszczędzić ci najmniejszej nawet przykrości.

W tej chwili, z oczyma pełnymi łez, nie zdawała sobie sprawy, że to, co mówi, to iluzja. Anthony miał jednak świadomość, że są dni, kiedy celowo usiłują się zranić, i że znajdują w tym niemal rozkosz. Fascynowała go nieustannie; czasem bliska i czarująca, gorąco pragnąca nieodgadnionego, transcendentalnego zbliżenia, czasem — milcząca i zimna, pozornie niewzruszona myślą o miłości ani czymkolwiek, na co mógłby ją zaklinać. Często znajdował przyczyny tej niezrozumiałej a groźnej obojętności w takim czy innym niedomaganiu — Gloria skarżyła się na nie dopiero wtedy, gdy przechodziły — lub w zawinionej przez siebie nieuwadze czy zadufaniu, albo w niezbyt udanym daniu przy kolacji; ale nawet wtedy sposób, w jaki wytwarzała wokół siebie ten dystans, miał w sobie coś z tajemnicy, tajemnicy płynącej z dwudziestu dwóch lat niczym nie zmąconej dumy.

— Dlaczego lubisz Muriel? — spytał któregoś dnia.
— Wcale jej tak nie lubię.
— To czemu wszędzie z nią chodzisz?
— A z kim mam chodzić? Z nimi dwiema nie ma większych kłopotów. Wierzą prawie we wszystko, co im mówię... Zresztą Rachael całkiem lubię. Jest miłutka, taka śliczniutka, taka wylizana, prawda? Miałam inne przyjaciółki — w Kansas City i w szkole — ale były to właściwie tylko koleżanki; widywałam się z nimi chyba tylko dlatego, że chłopcy brali nas razem na tańce. Potem, kiedy to się skończyło, w ogóle mnie nie interesowały. Teraz większość z nich wyszła za mąż. Nie liczyły się, nie były dla mnie nikim szczególnym.

— Wolisz mężczyzn, prawda?

— O, tak. Zresztą myślę po męsku.

— Myślisz podobnie jak ja. Ani po męsku, ani po kobiecemu.

Później opowiedziała mu o początkach swej przyjaźni z Bleockmanem. Któregoś dnia Gloria była z Rachael na obiedzie w „Delmonico” i tam natknęły się na jej ojca i Bleockmana; z ciekawości przyłączyły się do nich. Całkiem się jej spodobał. Miał tak niewielkie wymagania, że odpoczywała przy nim po młodszych mężczyznach. Pobłażał jej i śmiał się, czy rozumiał ją, czy nie. Spotkała się z nim kilka razy, mimo otwartej dezaprobaty rodziców; po miesiącu oświadczył się, proponując wszystko, od willi we Włoszech po błyskotliwą karierę filmową. Roześmiała mu się w twarz — i on też się roześmiał.

Ale nie skapitulował i do czasu pojawienia się Anthony'ego robił ciągle postępy na tym polu. Traktowała go całkiem dobrze — poza ciągłym przezywaniem — zdając sobie sprawę, że Bleockman asekuruje ją przez cały czas jej spacerów po linie, gotów w każdej chwili pochwycić ją, gdyby spadła.

Powiadomiła go o swych planach na dzień przed ogłoszeniem zaręczyn. Cios był ciężki. Choć nie oświeciła Anthony'ego co do szczegółów, dała mu do zrozumienia, że Bleockman długo usiłował przekonać ją, by jeszcze się zastanowiła. Anthony domyślał się, że rozmowa musiała skończyć się dość burzliwie; Gloria, chłodna i niewzruszona, wpołleżająca na jednym z krańców kanapy; Joseph Bleockman z firmy „Films par Excellence”, chodzący tam i z powrotem po dywanie z przymrużonymi oczyma i zwieszoną głową.

Glorii zrobiło się go żal, ale uznała, że lepiej tego po sobie nie okazywać. W ostatnim wybuchu współczucia usiłowała sprawić, by ją znienawidził. Jednak Anthony, wiedząc, że mężczyzn najbardziej pociąga w Glorii właśnie jej obojętność, zdawał sobie sprawę, jak daremny był to wysiłek. Potem często myślał o Bleockmanie, całkiem obojętnie, aż wreszcie zapomniał o nim na dobre.

Pełnia młodości

Któregoś popołudnia znaleźli dwa wolne miejsca z przodu na zalanym słońcem dachu autobusu i spędzili całe godziny jeżdżąc od gasnącego Square wzdłuż zabrudzonej rzeki; potem, gdy zagubione promyki zaczęły umykać z wiodących ku zachodowi ulic, popłynęli ku z nagłą obrzmiałej Alei, ciemniejącej już od złowieszczych pszczoł, wyfruwających z domów towarowych. Ruch uliczny zatkały był wielkim, bezkształtnym korkiem; stado czterech autobusów tworzyło nad tym wszystkim jakby podwyższenie, na którym oczekiwali jęku gwizdka policjanta.

— Popatrz, jakie to świetne! — zawołała Gloria.

Przejeżdżał przed nimi wóz młynarza, zupełnie biały od mąki, powożony przez podobnie upudrowanego pajaca, a ciągniony przez dwa konie: jednego białego, drugiego zupełnie czarnego.

— Szkoda! — zmartwiła się. — Gdyby oba konie były białe, wyglądałoby tak ślicznie po zmroku. Jak mi tu teraz dobrze!

Anthony pokręcił głową na znak niezgody.

— A mnie się wydaje, że to miasto to kawał oszusta. Bez przerw starą się osiągnąć tę wielką, imponującą wytworność, którą mi się przypisuje. Stara się być romantycznie metropolitalne.

— Nieprawda. Właśnie, że jest imponujące.

— Tylko chwilami. A w rzeczywistości to niezbyt wyrafinowane, nienaturalne przedstawienie. Ma swoje gwiazdy, otoczone chmarą agentów, kruche, nietrwałe dekoracje i, trzeba przyznać, największą armię statystów, jaką kiedykolwiek zgromadzono... — Urwał, zaśmiał się i dodał: — Technicznie może doskonale, ale nieprzekonywujące.

— Ci policjanci muszą chyba uważać wszystkich innych ludzi za skończonych głupców — powiedziała w zamyśleniu Gloria, patrząc, jak rosła, ale tchórzliwa dama holowana jest na drugą stronę ulicy. — Policjanci stykają się przecież tylko z ludźmi przestraszonymi, zdezorientowanymi albo niedołączonymi. Zresztą rzeczywiście wszyscy ludzie są tacy — dodała. A potem: — Lepiej już wysiądźmy. Obiecałam mamie, że zjem dziś wcześniej kolację i położę się spać. Mówi, że wyglądam na przemęczoną, do licha.

— Szkoda, że nie jesteśmy jeszcze małżeństwem — szepnął całkiem rozsądnie. — Wtedy nie będziemy musieli mówić sobie dobranoc i w ogóle będziemy robić, co nam się spodoba.

— Ale będzie fajnie! Wiesz co, musimy dużo podróżować. Chcę jechać nad Morze Śródziemne, do Włoch. A potem, powiedzmy na rok, mogłabym spróbować dostać się do teatru.

— Świetny pomysł. Napiszę dla ciebie sztukę.

— Ale będzie fajnie! A ja zagram w niej główną rolę. A kiedyś, gdy już będziemy mieć więcej pieniędzy — o śmierci starego Adama napomykali zawsze bardzo taktownie — zbudujemy sobie wspólnie pałac.

— Tak, z własnym basenem.

— Z mnóstwem basenów. I z własnymi rzekami. Chciałabym, żebyśmy to mieli już teraz.

Dziwnym zbiegiem okoliczności on również o tym myślał. Zanurzili się w ciemny, falujący tłum i wypłynawszy na jego powierzchnię dopiero w chłodnych ulicach pięćdziesiątych szli sobie spacerkiem do domu, romantycznie nastroszeni do siebie... oboje wędrowali po beznamietnym ogrodzie ze znaną w sennych marzeniach zjawą.

Szczęśliwe dni, jak łódzie spływające leniwymi rzekami; wiosenne wieczory, pełne żalostnej melancholii, sprawiającej, że przeszłość stawała się piękna i gorzka, bo miłości poprzednich lat musiały zginąć wraz z zapomnianymi melodiami poprzednich sezonów. Najbardziej chwytają ich za serce te chwile, gdy oddzielała ich jakaś sztucznie wzniesiona bariera: w teatrze dłonie ich skradały się ku sobie, łączyły się i oddawały sobie wzajem delikatne uściski w długiej ciemności; w zatłoczonych salonach układali wargi w nie wypowiedziane słowa, które tylko oni mogli odczytać — nieświadomi, że nie czynią nic nowego, że idą w ślady nieskończonych

pokoleń, ale rozumiejąc mgliście, że o ile prawda jest celem życia, jego środkiem jest szczęście, którym trzeba się cieszyć w każdym, krótkim a ulotnym momencie. A potem, pewnej czarownej nocy, maj przemienił się w czerwiec. Jeszcze szesnaście dni... piętnaście... czternaście...

Trzy wykroczenia

Tuż przed ogłoszeniem zaręczyn Anthony wyjechał do Tarrytown, do dziadka, który, nieco bardziej postarzały i posiwiały — czas płatał mu już ostatnie figle — przyjął wiadomość z głębokim cynizmem.

— Ach, a więc się żenisz, czy tak? — Powiedział to z tak podejrzanym spokojem i tak długo kiwał głową, że Anthony mocno podupadł na duchu. Nie znając dokładnie intencji dziadka, spodziewał się jednak otrzymać znaczną część jego pieniędzy. Znaczną część straci oczywiście na rzecz różnych organizacji dobroczynnych, bo dzieło naprawy świata domaga się dalszych ofiar.

— A czy w takim razie zamierzasz wreszcie wziąć się do pracy?

— Ależ dziadziu... — Zbity z tropu, Anthony usiłował zyskać na czasie. — Ależ ja już pracuję. Wiesz przecież, dziadziu...

— Miałem na myśli pracę z prawdziwego zdarzenia — Adam Patch nie dał się oszukać.

— Dziadziu, zawodu jeszcze nie wybrałem, ale przecież daję sobie jakoś radę — zapewniał gorąco Anthony.

Starzec zamknął oczy i zastanawiał się przez chwilę. Potem, niemal przepraszająco, zapytał:

— Ile odkładasz na rok?

— Jak dotąd nic, ale...

— Więc ledwo sam wiążesz koniec z końcem, a teraz uważasz, że jakimś cudem starczy to dla dwojga?

— Gloria ma trochę swoich pieniędzy. Na stroje wystarczy.

— Ile?

Anthony nie widział w tym pytaniu nic niestosownego, więc odpowiedział.

— Około pięciuset dolarów miesięcznie.

— Czyli jakieś siedem i pół tysiąca rocznie. — Potem spokojniej: — Rzeczywiście, powinno wystarczyć. O ile oczywiście będziesz rozsądny, a nie wiem, czy można na to liczyć.

— No właśnie. — Trudno było wysłuchać tego kazania, więc następne słowa Anthony wypowiedział z urażoną dumą. — Doskonale dam sobie radę. Dziadziu, ty jesteś chyba przekonany, że do niczego się nie nadaję. Tak czy inaczej przyjechałem tu tylko po to, by powiadomić cię, że żenię się w czerwcu. Do widzenia, dziadziu. — Po czym odwrócił się i ruszył ku drzwiom, nieświadomy, że właśnie w tej chwili, być może po raz pierwszy w życiu, zrobił na dziadku dobre wrażenie.

— Czekaj! — zawołał Adam Patch. — Muszę z tobą porozmawiać.

Anthony obrócił się na pięcie.

— Słucham, dziadziu?

— Siadaj. Zostań na noc.

Nieco udobruchany, Anthony wrócił na miejsce.

— Bardzo mi przykro, dziadziu, ale wieczorem jestem umówiony z Gloria.

— A jak ma na nazwisko?

— Gloria Gilbert.

— Z Nowego Jorku? Znasz jej rodziców?

— Pochodzi ze Środkowego Zachodu.

— Co robi jej ojciec?

— Prowadzi jakąś celuloidową korporację, trust, czy coś takiego. Są z Kansas City.

— Ślub będzie tam?

— Ależ nie. Planowaliśmy, że pobierzemy się w Nowym Jorku, wiesz, dziadziu, taki cichy ślub...

— A może chciałbyś tutaj?

Anthony zawahał się. Sam pomysł nie wydawał mu się zbyt pociągający, lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że nie byłoby źle, gdyby stary wziął sobie do serca sprawę jego małżeństwa. Poza tym Anthony był jednak trochę wzruszony tą propozycją.

— To bardzo miło z twojej strony, dziadziu, ale czy nie byłby to dla ciebie zbyt wielki kłopot?

— Jeden więcej, jeden mniej... Ślub twojego ojca też się tu odbył, tylko że w starym domu.

— Tak? Byłem pewny, że rodzice pobrali się w Bostonie.

Adam Patch zastanawiał się przez chwilę.

— Rzeczywiście, masz rację. To było w Bostonie.

Anthony zawstydział się, że go poprawił i szybko pokrył to słowami.

— No cóż, porozmawiam o tym z Glorią. Osobiście bardzo bym się cieszył, ale, wiesz, ostateczna decyzja należy do jej rodziców.

Dziadek westchnął ciężko, przymknął oczy i zagłębił się w fotelu.

— Śpieszy się wam, co? — zapytał innym tonem.

— No, znowu nie tak bardzo.

— Zastanawiam się — zaczął Adam Patch, wyglądając przez okno na delikatne gałązki bzu, ocierające się o szyby. — Zastanawiam się, czy ty myślisz czasem o życiu wiecznym.

— No... czasem...

— A ja bardzo wiele. — Oczy miał jakby niewidzące, ale głos pewny i wyraźny. — Dziś siedziałem tu sobie i myślałem o tym, co nas wszystkich czeka, i ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie pewne popołudnie prawie sześćdziesiąt pięć lat temu, gdy bawiłem się z moją małą siostrzyczką, Annie, dokładnie tam, gdzie teraz jest altana. — Wskazał na długi ogród; w oczach stanęły mu łzy, głos drżał ze wzruszenia.

— I pomyślałem sobie... i stwierdziłem, że powinieneś więcej myśleć o życiu wiecznym. Powinieneś... ustatkować się — urwał, jakby szukając odpowiedniego określenia — powinieneś być bardziej przedsiębiorczy... przecież...

Nagle wyraz jego twarzy zmienił się, jakby zamknęły się w nim z trzaskiem jakieś siłda; gdy kończył to zdanie, w głosie nie było już ani śladu poprzedniej miękkości.

— Przecież ja byłem tylko dwa lata starszy od ciebie — wychrypiał z chytrym uśmieszkiem — gdy puściłem z torbami trzech właścicieli firmy Wren and Hunt.

Anthony aż drgnął z zażenowania.

— No to do widzenia — dodał niespodziewanie dziadek — bo spóźnisz się na pociąg.

Anthony opuszczał dom dziwnie podniesiony na duchu, choć wbrew sobie było mu jakby trochę żal starego, nie dlatego, że za swoje pieniądze dziadek nie mógł kupić sobie „ani młodości, ani strawności”, ale z powodu propozycji, by ślub odbył się w rodzinnej posiadłości — i dlatego, że dziadek nie pamiętał już tego, co przecież pamiętać powinien: gdzie żenił się jego syn.

Richard Caramel, któremu przypadła w udziale rola jednego z dżurków, w ostatnich tygodniach przed uroczystością stał się dla Anthony'ego i Glorii źródłem wielu zgryzot, gdyż wciąż wysuwał się na pierwszy plan. W kwietniu ukazała się „Diabelska kochanka”, co zakłóciło spokojny przebieg ich romansu — podobnie jak zakłócało przebieg wszystkiego, z czym do czynienia miał autor tej książki. Było to dzieło bardzo oryginalne i dość rozwlekłe, a opisywało żywot Don Juana nowojorskich slumsów. Jak już wcześniej twierdzili Maury i Anthony, do których po ukazaniu się powieści dołączyli co bardziej przychylni z krytyków, nie było w Ameryce pisarza, który z taką mocą potrafiłby oddać atawistyczne i mało subtelne reakcje tej części społeczeństwa.

Sprzedaż najpierw wahała się przez chwilę, potem ruszyła z kopyta. Co tydzień pojawiały się nowe dodruki, najpierw małe, potem coraz większe. Rzecznik Armii Zbawienia oskarżył powieść o „cyniczne przekłamania” w opisie odnowy moralnej, dokonującej się w podziemiu. Chytry agenci reklamowi rozprzestrzeniaли pozbawione podstaw plotki, jakoby pewna znana osobistość zamierzała wytoczyć autorowi sprawę o oszczerstwo, odczytawszy w jednym z głównych bohaterów książki parodię własnej postaci. Powieść nie została przyjęta na stan biblioteki publicznej w Byrlington w stanie Iowa, a pewien publicysta ze Środkowego Zachodu insynuował w swojej kolumnie, że Richard Caramel przebywa na leczeniu odwykowym w stanie *delirium tremens*.

I nie był wcale daleki od prawdy: autor dzieła rzeczywiście żył teraz w stanie przyjemnego szaleństwa. Gdy rozmawiał, trzy

czwarte tych rozmów dotyczyło jego książki — musiał koniecznie dowiedzieć się, czy wszyscy słyszeli już „ostatnie notowania”; odwiedzał księgarnie i donośnym głosem zamawiał sobie kilka egzemplarzy po to tylko, by nacieszyć się ewentualnym błyskiem rozpoznania w oku sprzedawców czy klientów. Wiedział, w których częściach kraju książka sprzedaje się najlepiej, i to co do miasta; ile egzemplarzy „zeszło” z każdego dodruku, a gdy spotykał kogoś, kto jeszcze książki nie czytał lub, co zdarzało się aż za często, kto nawet o niej nie słyszał, popadał w głęboką depresję.

Nic więc dziwnego, że Anthony i Gloria wspólnie uznali w swej zazdrości, że Dickowi woda sodowa tak uderzyła do głowy, że stał się nudny jak flaki z olejem. Ku wielkiej irytacji autora Gloria chwaliła się wszem wobec, że nie czytała „Diabelskiej kochanki” i że jej nie przeczyta, dopóki nie ustanie cały hałas wokół tej książki. I tak zresztą nie miałyby na to czasu, bo zaczęły nadchodzić prezenty — najpierw cienką strużką, potem istną lawiną — od bibelotów od dawno zapomnianych przyjaciół rodziny po zdjęcia zapomnianych ubogich krewnych.

Maury obdarował ich wykwintnym „kompletem do drinków”, składającym się ze srebrnych pucharków, shakera i przeróżnych otwieraczy do butelek. Dick zdobył się na coś znacznie mniej oryginalnego: serwis do herbaty od Tiffany'ego. Joseph Bleockman przysłał prosty a wspaniały zegar podróżny, do którego dołączył własny bilet wizytowy. Wśród prezentów znalazła się nawet papierośnica od Boundsa, która wzruszyła Anthony'ego do łez — zresztą nie tylko on z osób bezpośrednio związanych z tą całopalną ofiarą składaną na ołtarzu konwenansu znajdował się na granicy hysterii. W apartamencie Gilbertów wydzielono osobny pokój na prezenty, który pękał w szwach od darów przysyłanych przez kolegów z Harvardu i współników dziadka Anthony'ego, upominków od koleżanek Glorii z Farmover i żalonych trofeów po jej dawnych adoratorach — te które pojawiły się najpóźniej, a wszystkie były opatrzone subtelnymi, melancholijnymi bilecikami, zawsze starannie wsuniętymi do środka, zaczynającymi się od „Nie spodziewałem się, że...” „Oczywiście życzę ci wiele szczęścia...” czy wręcz „W chwili, gdy otrzymasz ten podarunek, będę już w drodze do...”

Jednak najhojniejszy dar najbardziej rozczarował Anthony'ego. Był nim czek na pięć tysięcy dolarów — tyle tylko wydusił z siebie Adam Patch.

Reszcie prezentów Anthony pozostał całkowicie obojętny; podejrzewał, że ich otrzymanie obliguje ich do odnotowywania wszelkich zmian stanu cywilnego znajomych przez najbliższe pół wieku. Za to Gloria cieszyła się jak dziecko każdym nowym upominkiem; rozrywała papier, którym były owinięte, z łapczywością psa szukającego kości, z zapartym tchem chwytając wstążkę czy skrawek metalu i wreszcie wydobywała przedmiot na światło dzienne i poddawała krytycznemu oglądowi, a na jej pozbawionej uśmiechu twarzy malowały się jedynie zachwyt i ciekawość.

— Anthony, patrz! Ładne, co?

Odpowiedź przychodziła jednak dopiero po godzinie, gdy opisywała mu z najdrobniejszymi szczegółami swą reakcję na prezent: czy lepszy byłby mniejszy, czy większy, czy była to dla niej niespodzianka, a jeśli tak, to jak wielka.

Pani Gilbert po raz setny urządzała ich hipotetyczny dom, rozmieszczając prezenty po poszczególnych pokojach, selekcyjnie jako „gorszy zegar” czy „sztućce na co dzień” i przyprowadzając o pasy Anthony'ego i Glorię na wpół tylko żartobliwymi uwagami na temat „pokoju dzieciennego”. Mile przyjęła prezent od starego Adama i uważała odtąd, że jest to człowiek bardzo staroświecki, najbardziej staroświecki ze wszystkich, z jakimi się spotkała. A że Adam Patch nie potrafił odgadnąć do końca, czy pani Gilbert chodzi o jego postępującą starość, czy o jej własną ułomność psychiczną, nie był zbyt zadowolony z tego określenia i w rozmowach z Anthonym nie nazywał jego przyszłej teściowej inaczej niż „ta stara”, jakby była postacią w komedii, którą oglądał już kilka razy. Podobnie nie potrafił zdecydować się, co właściwie myśli o narzeczonej jedynego wnuka. Wydawała mu się pociągająca, ale, jak sama zwierzyła się Anthony'emu, uznał, że jest niepoważna, więc obawiał się mieć o niej zbyt pochlebne zdanie.

Pięć dni! Na trawniku w Tarrytown wznoszą już drewniany podium na tańce. Cztery! Wycarterowano specjalny pociąg, który ma przywieźć gości z Nowego Jorku, a potem ich tam odwieźć. Trzy!...

Pamiętnik

Miała na sobie niebieską, jedwabną piżamę. Stała przy łóżku, z jedną dłonią na wyłączniku, gotowa pogрузić pokój w ciemności, gdy nagle zmieniła zamiar i otwarty szufladę biurka wyjęła z niej mały, czarny notesik — pamiętnik. Wypełniała go regularnie, po linijce co dzień, przez siedem lat. Wiele z wykonanych ołówkiem zapisków było niemal nieczytelnych, a dotyczyły wspomnień o dawno zapomnianych wieczorach i popołudniach; nie był to zresztą żaden sekretny pamiętnik, choć zaczynał się od sakramentalnej formułki „Piszę to z myślą o mych dzieciach”. Mimo to, gdy przewracała strony, wydało się jej, że z każdej karty patrzą na nią oczy niezliczonych mężczyzn, których nazwiska dawno już wykreśliła i z pamiętnika, i z pamięci. Z jednym z nich pojechała pierwszy raz w życiu do New Haven — to było w roku 1908; miała wtedy szesnaście lat, w Yale nosiło się wówczas marynarki wutowane na ramionach; jaka była wtedy dumna, że „Snajper” Michaud zalecał się do niej cały wieczór. Westchnęła, wspominając „dorosłą” jedwabną suknię, którą tak pyszniła się wtedy, i orkiestrę, grającą „Yamaya, my yama man!” i „Jungle-Town”. To już tyle lat!... Te wszystkie nazwiska: Eltyng Reardon, Jim Parsons, „Kudłacz” McGregor, Kenneth Cowan, „Wytrzeszcz” Fry (lubiła go za to, że był taki brzydki), Carter Kirby — ten przysłał jej prezent, i Tudor Baird też; i Marty Reffer, pierwszy mężczyzna, w którym kochała się dłużej niż jeden dzień, i Stuart Holcome, który uciekł z nią swym samochodem, a potem usiłował zmusić do ślubu. I Larry Fenwick, którego zawsze podziwiała, bo któregoś wieczoru oświadczył jej, że jeśli go nie pocałuje, niech wynosi się z samochodu i wraca do domu na piechotę. Niezła kolekcja!

...I jaka już nieaktualna. Teraz, zakochana, bo ten wieczny romans miał być syntezą wszelkich dotychczasowych romansów, żalowała jednak tych mężczyzn, tych księżyców, tych wzruszeń i tych pocałunków. Przeszłość, jej przeszłość, była tak radosna, przeżyła tyle szalenie radosnych chwil...

Obracała stronę po stronie, a wzrok jej przemykał się po wpisach z ostatnich czterech miesięcy. Te najświeższe czytała już uważnie.

1. kwietnia. — Zdaję sobie sprawę, że Bill Carstairs znienawidził mnie za to, jaka byłam dla niego niemila, ale czasem ten jego sentymentalizm doprowadza mnie do szalu.

Jechaliśmy do „Rockyear Country Club”. Księżyc tak cudownie świecił przez gałęzie drzew. Moja srebrna suknia chyba już się kończy. Czy to nie dziwne, że tak łatwo zapomniałam o tych innych wieczorach w Rockyear — na przykład z Kennethem Cowanem; jaka ja byłam w nim wtedy zakochana!

3. kwietnia. — Po dwóch godzinach Schroedera (podobno jest milionerem) uznałam, że męczące jest takie uparte trzymanie się ciągle tego samego, szczególnie, jeśli chodzi o mężczyzn. Uważam, że ludzie traktują to wszystko zbyt poważnie. Obiecałam sobie, że od tego czasu będę myślała tylko o tym, by się dobrze bawić. A rozmawialiśmy o „miłości” — jakie to banalne! Z iloma już rozmawiałam o miłości?

11. kwietnia. — No i pojawił się Patch, we własnej osobie! A przecież miesiąc temu, gdy postanowił mnie porzucić, wyszedł stąd wściekły i obrażony. Stopniowo zaczynam tracić wiarę, że istnieje na świecie choćby jeden mężczyzna, którego potrafiłabym na zawsze do siebie zrazić.

20. kwietnia. — Cały dzień z Anthonym. Może kiedyś wyjdę za niego. Chyba podoba mi się to, co mówi — pobudza we mnie całą oryginalność, na jaką mnie stać. Około dziesiątej przyjechał Blockhead swoim nowym samochodem, przejechaliśmy się po Riverside Drive. Dziś był bardzo miły i taki wyrozumiały. Zauważył, że nie mam ochoty na rozmowy, więc nie odezwał się przez całą drogę.

21. kwietnia. — Obudziłam się i myślałam o Anthonym, no i proszę: zaraz zatelefonował. Był taki słodki, że odwołałam dla niego wieczorne spotkanie. Czuję dzisiaj, że złamałabym dla niego wszystko, w tym także dziesięć przykazań i własny kark. Przyjdzie o ósmej. Ubiore się na różowo, w coś bardzo świeżego i bardzo wykrochmalonego...

Na chwilę przestała czytać, wspominając, jak po jego odejściu rozbierała się w płynącym z okien, drżącym, kwietniowym powietrzu. Ale nie czuła chłodu; rozgrzewały ją płonące w sercu głębokie banały.

Następnym wpisem następował po kilku dniach przerwy:

24. kwietnia. — Chcę wyjść za Anthony'ego, bo mężowie zwykle zaraz stają się „mężami”, a ja chcę mieć za męża kochanka.

Istnieją cztery główne typy mężów:

1. Mąż, który wieczorem chce zawsze być w domu, nie ma żadnych wad i pracuje, by utrzymać rodzinę. Absolutnie nie do przyjęcia!

2. Atawistyczny pan i władca; trzeba dbać wyłącznie o jego przyjemność. Taki mąż uważa, że każda ładna kobieta jest „płytką”: niedorozwinięty paw.

3. Potem jest jeszcze mąż-adorator, czczący żonę jak bóstwo, zapominający przy niej o bożym świecie. Żoną takiego człowieka może być tylko doskonała aktorka. Boże!

Jakie to musi być męczące — być uważaną za wzór cnót wszelkich!

4. No i Anthony — namiętny kochanek, ale do czasu, na tyle mądry, by wiedzieć, kiedy wszystko ma swój kres, że w ogóle wszystko ma swój kres. Jego chcę za męża.

Głupie te baby, które męczą się w bezbarwnych małżeństwach! Małżeństwo nie jest po to, by stanowić tło; małżeństwo potrzebuje tła. Moje małżeństwo będzie niezwykle. Nie będzie, nie może być tłem — będzie przedstawieniem, wielkim, żywym, wspinałym przedstawieniem, a jego sceną będzie cały świat. Nie zamierzam poświęcać życia dla potomności. W końcu moim nie chcianym dzieciom jestem winna akurat tyle, ile własnemu pokoleniu. Co za los — rozrosnąć się jak jakaś obrzydliwa dynia, stracić wszelkie zainteresowanie sobą, myśleć wyłącznie o mleku i owsiance, o nianiach i pieluchach... Kochane małżeństwa, jesteście o tyle piękniejsze, gdy pozostajecie tylko w marzeniach i tam fruwacie sobie (wszystkie takie małżeństwa fruwają) na tych złotych, złociutkich skrzydełkach...

Ale takie dzieci, biedactwa, nie mają wiele wspólnego z małżeństwem.

7. czerwca. — Problem moralny: czy miałam prawo tak rozkochać w sobie Bleockmana? Bo tak przecież było. Dzisiaj był taki smutny, ale jakie to było rozkoszne! Dobrze się złożyło, że coś mnie drapało w gardle i w nosie, więc i o łyzy nie było trudno. Ale teraz Bleockman to przeszłość, przeszłość pochowana już w mojej obfitej lawendzie.

8. czerwca. — Od dzisiaj przestaję żuć. Może jakoś mi się uda — byle tylko nie namawiał mnie do jedzenia!

To, co robimy z Anthonym, to puszczenie baniek mydlanych. Szczególnie piękne puszczałyśmy dzisiaj; gdy te pękną, zrobimy nowe, tak samo wielkie, tak samo piękne — aż zabraknie nam wody i mydła.

Na tym pamiętnik się kończył. Wzrok jej powędrował ku górze strony, na 8, czerwca w 1912,1910,1907... Pierwszy wpis pochodził jeszcze spod tłustej, krągłej łapki szesnastolatki — było tam imię i nazwisko, Bob Lamar, i jakieś słowo, którego nie mogła odczytać. A potem nagle przypomniała sobie, co to było — i oczy jej zamglily się łzami. Te wyblakłe gryzmoły — to przecież pamiątka po jej pierwszym w życiu pocałunku — wyblakłe, jak tamto rozkoszne popołudnie na zalanej deszczem werandzie. Wydawało się jej, że pamięta, co któreś z nich powiedziało — a jednak nie pamiętała. Łzy płynęły teraz jedna za drugą, ledwo widziała stronę pamiętnika. Wmawiała sobie, że płacze o to, że pamięta tylko deszcz, mokre kwiaty w ogrodzie i zapach wilgotnej trawy.

...Po chwili znalazła ołówek i trzymając go niepewnie, określiła trzy równoległe linie pod ostatnią notatką. A potem napisała wielkimi literami słowo FINIS, odłożyła pamiętnik do szuflady i wsunęła się do łóżka.

Tchnienie jaskini

Wróciwszy do siebie z wieczoru kawalerskiego, Anthony uderzył dłonią w wyłącznik światła i położył się do łóżka, czując się dziwnie bezosobowo i krucho, jak czekająca na serwantce

porcelana. Noc była ciepła — nawet nie potrzebował koca — a przez szeroko otwarte okna dobiegały go ulotne, letnie, tętniące oczekiwaniem odgłosy. Rozmyślał o latach młodości, które zostawił za sobą, młodości pustej i barwnej, przeżytej w tanim, chwiejnym cynizmie, czerpanym z zapisków ludzi, którzy dawno już obrócili się w proch. Teraz już wiedział: teraz miał coś więcej, związek dusz jego i Glorii; z tego ognia i świeżości właśnie kroi się martwe piękno.

Z nocy do jego wysokościennego pokoju dochodził uporczywie ten efemeryczny, rozplywający się w powietrzu dźwięk, coś, co wielkie miasto podrzucało i łapało, jak bawiące się piłką dziecko. W Harlemie, w Bronxie, w Gramercy Park i nad wodą, w małych salonach i na wysypanych żwirem, zalanych księżycem dachach, wydobywał się ten dźwięk z piersi tysięcy kochanków, wystrzeliwał w powietrze drobnymi odłamkami. W granatowej, letniej ciemności grało nim całe miasto, wyrzucając go z siebie i przywołując z powrotem, obiecując, że już, już, za chwilę życie będzie cudowne jak w kinie, obiecując szczęście — i dając je tą właśnie obietnicą. Dawało miłości nadzieję na przetrwanie — cóż można więcej?

W pewnej chwili w tym cichym, nocnym wołaniu zabrzmiała fałszywie nowa nuta: dźwięk ten dobiegał z nie dalej niż stu stóp za tylnym oknem, a był nim kobiecy śmiech. Najpierw cichy, nieprzerwany, jękliwy — na pewno jakaś służąca ze swym chłopcem, pomyślał Anthony — potem rósł w siłę aż do hysterii — teraz przypominał mu nerwowy chichot pewnej dziewczyny, którą widział kiedyś w jakimś wodewilu. Po chwili śmiech ucichł czy oddalił się po to tylko, by zaraz wybuchnąć na nowo, przeplatany słowami — ordynarnym żartem, którego zupełnie niezrozumiałe strzępy dolaływały do uszu Anthony'ego. Znowu przygasał na moment; wtedy słyhać było basowy pomruk słów mężczyzny, a potem od nowa — i tak bez końca, wpierw denerwująco, potem dziwnie i strasznie. Anthony otrząsnął się, wstał z łóżka i podszedł do okna. Śmiech, zduszony i napięty, wzniósł się akurat aż do krzyku — i zamilkł, pozostawiając po sobie ciszę, pustą i pełną grozy jak inna cisza, ta ogromna, zawieszona nad miastem. Anthony odczekał jeszcze chwilę przy oknie, potem wrócił do łóżka.

Był dziwnie nieswój. Choć z całych sił starał się zdusić to w sobie,

zwierzęcość tego niepoahowanego śmiechu dręczyła jego wyobraźnię i po raz pierwszy od czterech miesięcy obudziła w nim dawną niechęć do wszystkiego, co niesie ze sobą życie. Pokój zaczął go dusić. Pragnął wyrwać się z niego na chłodny, porywisty wiatr, na całe mile od miast, i tam żyć w błogim spokoju w najodleglejszych zakątkach własnego umysłu. Życie to ten dobiegający z zewnątrz dźwięk, ten obrzydliwie powracający, samiczy dźwięk.

— O Boże! — zawołał i gwałtownie wciągnął powietrze.

I wtuliwszy twarz w poduszki na próżno usiłował skupić się na szczegółach następnego dnia.

Poranek

W szarym świetle przekonał się, że jest dopiero piąta. Był zły, że obudził się tak wcześnie — nie będzie wyglądał dobrze na ślubie. Zazdrościł Glorii, która zawsze mogła ukryć zmęczenie pod staranym makijażem.

W łazience oglądął się skrupulatnie w lustrze; zauważył, że jest niezwykle blade — poranna bladeść jego cery uwydatniła kilka niedoskonałości: przez noc podbródek pokrył się drobną szczecina — uznał, że wygląda na zmęczonego, jakby chorego, ogólnie rzecz biorąc — niezbyt pociągająco.

Na stole leżało kilka przedmiotów, które sprawdził dotykem nagle dziwnie niezręcznych palców: bilety do Kalifornii, książeczkę czeków podróży, zegarek, nastawiony co do pół minuty, klucz do mieszkania (nie zapomnieć dać go Maury'emu) i to, co najważniejsze: pierścionek, platynowy z drobnymi szmaragdami — tak chciała Gloria, mówiła, że na ślub zawsze chciała dostać pierścionek ze szmaragdami.

Był to trzeci prezent, jaki jej dał: najpierw był pierścionek zaręczynowy, potem mała złota papierośnica. Teraz będzie dawał jej wiele: stroje, biżuterię, przyjaciół, przyjemności. Myśl, że odtąd to on będzie płacił za każdy jej posiłek, wydała mu się absurdalna. To będzie kosztowało; zastanawiał się, czy dobrze obliczył wszystkie wydatki na podróż poślubną, czy nie powinien był zrealizować większego czeku. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Ale wkrótce przytłaczająca bliskość ślubu przegnała z jego umysłu wszystkie te drobnostki. Nadszedł wreszcie dzień jeszcze sześć miesięcy temu ani oczekiwany, ani przewidywany, a teraz wpadający żółtym światłem we wschodnie okno i tańczący na dywanie, jakby słońce śmiało się z własnego, starego, po tysiackroć powtarzanego żartu.

Anthony też zaśmiał się — krótko, nerwowo.

— Boże! — mruknął. — Zupełnie, jakbym już był żonaty!

Druźbowie

Sześciu młodzieńców, zebranych w bibliotece domu ADAMA PATCHA, ma coraz lepsze humory, a to za sprawą bardzo wytrawnego mumma, ustawionego dyskretnie wśród regałów w wiaderkach z lodem.

MŁODZIENIEC PIERWSZY: Niech to diabli! Obiecuję wam, w następnej książce opiszę taką scenę ślubu, że im w pięty pójdzie!

MŁODZIENIEC DRUGI: Niedawno poznałem jedną debiutantkę, która uważała, że twoja książka jest mocna. Dziewczyny zwykle ryczą przed tą żalostną uroczyością.

MŁODZIENIEC TRZECI: A gdzie Anthony?

MŁODZIENIEC CZWARTY: Chodzi tam i z powrotem po ogrodzie i mruczy coś do siebie.

MŁODZIENIEC DRUGI: Boże! Widzieliście tego pastora? Ale miał zęby, co?

MŁODZIENIEC PIĄTY: Jak prawdziwe. Że też ludzie godzą się nosić złote!

MŁODZIENIEC SZÓSTY: Podobno lubią. Mój dentysta opowiadał mi, że przyszła kiedyś do niego jedna baba i kazała założyć sobie dwie złote koronki. Zupełnie bez powodu, bo oba zęby były całkiem zdrowe.

MŁODZIENIEC CZWARTY: Słyszałem, że wydałeś książkę, Dicky. Gratuluję!

DICK: (sztywno) Dziękuję.

MŁODZIENIEC CZWARTY: (niewinnie) A co to jest? Wspomnienia ze studiów?

DICK: (jeszcze sztywniej) Nie, bynajmniej.

MŁODZIENIEC CZWARTY: A, to szkoda! Od paru lat nie wyszło nic ciekawego o Harvardzie.

DICK: (z urazą) To czemu sam czegoś nie napiszesz?

MŁODZIENIEC TRZECI: Zdaje się, że ten packard, który właśnie wjechał w bramę, wiezie całą bandę gości.

MŁODZIENIEC SZÓSTY: No, to trzeba otworzyć na ich cześć parę nowych butelek.

MŁODZIENIEC TRZECI: Nic mnie w życiu nie zdziwiło bardziej niż to, że stary wyprawia oblewane wesele. Wiecie, że on ma fioła na punkcie prohibicji?

MŁODZIENIEC CZWARTY: A niech to szlag trafi! Wiedziałem, że czegoś zapomnę. Byłem pewien, że mam go w marynarce!

DICK: Ale co?

MŁODZIENIEC CZWARTY: A niech to szlag! A niech to szlag!

MŁODZIENIEC SZÓSTY: No, co się stało?

DICK: (złośliwie) Zapomniał wątku swojej książki o Harvardzie.

MŁODZIENIEC CZWARTY: Właśnie że nie. Niech to szlag trafi, zapomniałem prezentu! Zapomniałem kupić prezentu mojemu kumpłowi, Anthony'emu. Odkładałem to i odkładałem i w końcu na śmierć zapomniałem. A niech to szlag! Co oni sobie pomyślą?

MŁODZIENIEC SZÓSTY: (żartobliwie) A, to dlatego wesele tak się opóźnia!

MŁODZIENIEC CZWARTY: (Spogląda nerwowo na zegarek, śmiech). A niech to szlag trafi! Ale ze mnie dupa!

MŁODZIENIEC DRUGI: Jak wam się podoba ta druhna, której wydaje się, że jest Norą Bayes? Cały czas gadała, że wolałaby, żeby w kościele grali ragtimy. Nazywa się tak jakoś... Haines... albo Hampton...

DICK: (Pospiesznie wysilając wyobraźnię). Nie Hampton, tylko Kane, Muriel Kane. Zdaje się, że Gloria ma względem niej jakiś dług wdzięczności. Muriel wyratowała ją kiedyś od utonięcia, czy coś takiego.

MŁODZIENIEC DRUGI: E, ona chyba nie potrafiłaby przestać kręcić pupą na tyle długo, by utrzymać się na powierzchni wody.

Dolej mi jeszcze, dobrze? Przed chwilą miałem ze starym długą rozmowę o pogodzie.

MAURY: Z kim? Ze starym Adamem?

MŁODZIENIEC DRUGI: Nie, z ojcem panny młodej. On chyba pracuje w prognozie pogody.

DICK: Otis, uważaj, to mój wuj.

OTIS: No cóż, żadna praca nie hańbi. (Śmiech).

MŁODZIENIEC SZÓSTY: To panna młoda jest twoją kuzynką?

DICK: Tak, Cable.

CABLE: Jest piękna, nie ma dwóch zdań. Zupełnie niepodobna do ciebie, Dicky. Założę się, że stary Anthony chodzi przy niej jak w zegarku.

MAURY: Dlaczego zawsze, gdy mówi się o panu młodym, dodaje się „stary”? Myślałem, że małżeństwo jest błędem młodości.

DICK: Rzekł Maury, zawodowy cynik.

MAURY: O, odezwał się intelektualny szarlatan!

MŁODZIENIEC PIĄTY: Słyszysz, Otis, oto dysputa ludzi uczonych. Słuchaj i ucz się!

DICK: Sam jesteś szarlatan! Co ty wiesz?

MAURY: A ty?

DICK: No, zapytaj mnie o cokolwiek. Z dowolnej dziedziny.

MAURY: Proszę bardzo. Jaka jest fundamentalna zasada biologii?

DICK: Przecież ty też tego nie wiesz.

MAURY: Bez uników!

DICK: Bo ja wiem... Może dobór naturalny?

MAURY: Pudło.

DICK: Poddaję się.

MAURY: To, że ontogeneza jest podsumowaniem filogenezy.

MŁODZIENIEC PIĄTY: Jeden zero!

MAURY: Czekaj, zadam ci jeszcze jedno. Jaki jest wpływ myszy na wielkość zbiorów koniczyny? (Śmiech).

MŁODZIENIEC CZWARTY: I co mają szczury do Dekalogu?

MAURY: Zamknij się, głąbie. Naprawdę jest związek.

DICK: No to jaki?

MAURY: (Chwila namysłu; z coraz mniejszą pewnością). Zaraz, zaraz... Nie pamiętam dokładnie... Pszczoły jedzą koniczynę...

MŁODZIENIEC CZWARTY: A koniczyna je myszy! Ha, ha!

MAURY: (marszcząc brwi) Zaraz, niech się zastanowię...

DICK: (prostując się w fotelu) Słuchajcie!

(W sąsiednim pokoju wybucha chór głosów. Młodzieńcy wstają; ich dłonie wędrują ku węzłom krawatów).

DICK: (ciężko) No, czas na nas. Zdaje się, że teraz będzie zdjęcie pamiątkowe. Nie, to chyba później...

OTIS: Otis, ty bierzesz tę druhnę od ragtima.

MŁODZIENIEC CZWARTY: Że też nie wysłałem tego prezentu.

MAURY: Dajcie mi jeszcze chwilkę. Przypomnę sobie to o tych myszach.

OTIS: Miesiąc temu robiłem za drużbę staremu Charliemu McIntyre, i...

(Suną powoli ku drzwiom. Tymczasem chór głosów staje się istną kakofonią, a próbne, wstępne dźwięki organów Adama Patcha przechodzą w przeciągły, pobożny jęk).

Anthony

W plecy jego zakietu wbijał się wzrok pięciuset oczu, a słońce lśniło na niestosownie burzujskich zębach duchownego. Anthony z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Gloria mówiła coś donośnym, dumnym głosem, on zaś usiłował uświadomić sobie, że to już na zawsze, że każda sekunda ma teraz znaczenie, że jego życie rozdziela się właśnie na dwie odrębne części, że oto zmienia się postać świata. Usiłował przywrócić z powrotem tę niepohamowaną radość, którą czuł dziesięć tygodni wcześniej. Na próżno; nie czuł nic, nawet porannego zdenerwowania — czuł, że wszystko się skończyło. I te złote zęby! Zastanawiał się, czy pastor też jest żonaty i czy mógłby sam sobie udzielić ślubu...

Jednak gdy wziął Głorię w ramiona, wszystkie uczucia obudziły się w nim na nowo. Krew znów popłynęła w żyłach. Przytłoczyło go

rozleniwiające, przyjemne zadowolenie, niosące ze sobą poczucie odpowiedzialności i własności. Od tej chwili był już człowiekiem żonatym.

Gloria

Tak wiele tak różnych uczuć, że zlewają się wszystkie w jedną, nierozzerwalną całość! Chciało się jej płakać — dlatego, że dziesięć stóp z tyłu płakała mama, i że promienie czerwcowego słońca tak pięknie wlewają się przez okna. W tej chwili była niezdolna do świadomego postrzegania tego, co się działo wokół; pozostało tylko ubarwione dzikim, szalonym podnieceniem poczucie stawania się tego, co najważniejsze — i wiary, gwałtownej, pełnej pasji, płonącej w jej duszy jak modlitwa, że już, za chwilę, będzie na zawsze, nieodwołalnie — bezpieczna.

Gdy któregoś dnia, późnym wieczorem, przyjechali do Santa Barbara, nocny recepcjonista hotelu „Lafcadio” nie wpuścił ich do środka, twierdząc, że nie są małżeństwem.

Recepcjonista dostrzegł bowiem piękno Glorii; był przekonany, że osoba tak piękna jak ona musi być niemoralna.

„Con amore”

Pierwsze pół roku — podróż na zachód, wielomiesięczne leniuchowanie na kalifornijskim wybrzeżu i szary dom niedaleko Greenwich, w którym mieszkali aż do czasu, gdy wiejski krajobraz zaczął przytłaczać ich późnojesienną nudą — te dni i miejsca były świadkiem cudownych chwil. Zapierający dech w piersiach narzeczeński romans ustąpił najpierw pasji jeszcze bliższego związku; zapierający dech w piersiach romans przelał się na innych zakochanych — któregoś dnia Anthony i Gloria rozejrzeli się wokół siebie i stwierdzili, że zniknął, nie wiedzieć jak. Gdyby w czasie tego pierwszego romansu jedno straciło drugie, utracona miłość pozostałaby na wieki owym mglistym a nie spełnionym

pożądaniem. „Ale czar musi biec dalej, a zakochani pozostają...

Romans przeminął, powróciła młodość. Nadszedł dzień, w którym Gloria stwierdziła, że inni mężczyźni wcale już jej nie nudzą; dzień, w którym Anthony zauważył, że znów chętnie porozmawiałby z Dickiem do późnej nocy o tych niewyobrażalnych abstrakcjach, które kiedyś stanowiły ich wspólny świat. Oboje wiedzieli, że najlepsze chwile miłości mają już za sobą — ale trwali przy tym, co im pozostało. I miłość trwała, w tych długich, nocnych rozmowach, w tych nierealnych godzinach, gdy umysł wyostrza się i wysubtelnia, aż materią życia stają się senne marzenia — w tej głębokiej, intymnej życzliwości, jaką czuli teraz względem siebie, i we wspólnym śmiechu ze wspólnych żartów, w podziwie i w smutku.

Był to więc przede wszystkim czas poznania. Znajdowali w sobie nawzajem tak wiele, tak różnych, tak splątanych cech, tak w dodatku upiękuszonych miłością, że było to nie tyle poznanie, co postrzeganie zupełnie osobnych zjawisk — przyjętych do wiadomości i zaraz zapomnianych. Anthony przekonał się, że żyje z bezwzględnie samolubną dziewczyną o straszliwie napiętych nerwach; Gloria już po miesiącu wiedziała, że jej mąż to skończony tchórz w obliczu każdego z miliona widm stwarzanych przez jego wyobraźnię. Postrzegała to jednak sporadycznie, bo jego tchórzostwo objawiało się nagle, było aż haniebnie widoczne, a potem bladło i znikowało, jakby istniało wyłącznie w jej umyśle. Reagowała na nie inaczej, niż zwykle przypisuje się to jej płci — nie budziło w niej bowiem ani odrazy, ani przedwczesnych uczuć macierzyńskich. Sama niemal całkowicie pozbawiona lęku fizycznego nie mogła zrozumieć tej cechy swego męża — więc wołała myśleć o tym, co w jej oczach nobilitowało ten strach: że choć w szoku i w napięciu Anthony rzeczywiście zachowuje się jak tchórz, nie brak mu pełnej fantazji brawury, ta zaś, w tych rzadkich chwilach, gdy się objawiała, budziła w niej niemal podziw i dumę, co podtrzymywało go na duchu, gdy wiedział, że jest obserwowany.

Ta cecha jego charakteru ujawniła się najpierw w kilkunastu zdarzeniach, które mogły świadczyć tylko o zwykłej nerwowości: w Chicago, gdy ostrzegał kierowcę taksówki, by nie jechał zbyt szybko; gdy odmówił zabrania Glorii do pewnego podejrzanego baru,

o zobaczeniu którego od dawna marzyła — w tych przypadkach nasuwało się zresztą inne, zwykle wytłumaczenie, że chodziło mu o jej bezpieczeństwo — a mimo to połączenie wszystkich tych oznak nieco ją zaniepokoiło. Podejrzenie zmieniło się w pewność po czymś, co zaszło w tydzień po ślubie w pewnym hotelu w San Francisco.

Było już po północy. W pokoju panowały egipskie ciemności. Gloria powoli zapadała w drzemkę, a słysząc równy oddech Anthony'ego przypuszczała, że on już śpi. Nagle zobaczyła, że podnosi się na łokciu i wpatruje się w okno.

— Co się stało, najdroższy? — szepnęła.

— Nic. — Opadł na poduszkę i odwrócił się ku niej. — Nic, najdroższa żono.

— Nie nazywaj mnie „żoną”. Jestem twoją kochanką. Żona to takie obrzydliwe słowo. „Stała kochanka” to i bardziej namacalne, i przyjemniejsze... Chodź, obejmę cię — dodała w nagłym przypływie czułości. — Tak dobrze mi się śpi, gdy cię obejmuję.

Obejmowanie przez Głorię miało dokładnie ustalone znaczenie. Anthony musiał wsunąć rękę pod jej ramię, złączyć obie dłonie i ułożyć się tak, by jak najbardziej przypominać trójboczną kołyskę, bo tylko tak spało się jej wygodnie. Anthony, który rzucał się we śnie, a ręce cierpły mu po półgodzinie takiego leżenia, czekał, aż Gloria uśnie, po czym delikatnie odsuwał ją na jej stronę łóżka i, nareszcie wolny, związał się w swe zwykle węzły.

Gloria, osiągnąwszy błogostan emocjonalny, ponownie zapadła w sen. Podróżny zegar od Bleockmana odtykał pięć minut; cisza zawisła nad całym pokojem, nad obcymi, bezosobowymi meblami, pod na wpół przytłaczającym sufitem, który niepostrzeżenie zlewał się po obu stronach z niewidocznymi ścianami. A potem nagle coś uderzyło o okno, coś odegrało głośne staccato w cichym, zdławionym powietrzu.

Anthony jednym susem wyskoczył z łóżka i stanął obok, cały drżący.

— Kto tam? — zawołał przerażony.

Gloria leżała bez ruchu, całkowicie przebudzona, porażona nie tyle odgłosem zza okna, co widokiem napiętej jak struna,

nie śmiejącej odetchnąć postaci, której głos pobiegł od łóżka w tę złowrogą ciemność.

Dźwięk umilkł; pokój był cichy jak przedtem — a w chwilę później Anthony wlewał potok słów w słuchawkę telefonu.

— Przed chwilą ktoś usiłował dostać się do naszego pokoju!... Ktoś jest za oknem! — Teraz Anthony był już stanowczy, lekko przerażony. — Dobrze! Szybko! — Odłożył słuchawkę i stał bez ruchu.

...Za drzwiami rozległy się pośpieszne odgłosy stóp, pukanie — Anthony poszedł otworzyć, wpuszczając podekscytowanego recepcjonistę na czele trzech chłopców hotelowych, ciekawie spozierających zza pleców do środka pokoju. Recepcjonista trzymał w palcach, jak broń, mokre pióro; jeden z chłopców chwycił książkę telefoniczną i przypatrywał się jej z ogłupiałą miną. W tej samej chwili pojawił się też detektyw hotelowy i cała czwórka jak jeden mąż wpadła do pokoju.

Ktoś włączył światło. Gloria otuliła się prześcieradłem i skryła przed intruzami, zamykając oczy, by nie dopuścić do siebie grozy tego niespodziewanego wtargnięcia. Jej wstrząśnięta świadomość rejestrowała tylko jedno: że jej Anthony robi z siebie głupca.

...Recepcjonista mówił teraz od okna, tonem na wpół służącego, na wpół nauczyciela strofującego ucznia.

— Nikogo tam nie ma — oświadczył z przekonaniem. — O rany, nie ma jak. Z okna jest przecież z pięćdziesiąt stóp w dół. To wiatr tak uderzał okiennicą, proszę pana.

— Aha.

Zrobiło się go jej żal. Teraz pragnęła tylko jednego: pocieszyć go i czule wziąć znów w swe ramiona, powiedzieć tamtym, by już sobie poszli, bo to, co wyraża ich obecność, jest obrzydliwe. Ale ze wstydu nie była zdolna unieść głowy. Usłyszała urwane zdanie, jakieś przeprosiny, uprzejme przeczenia recepcjonisty i krótki chichot nie mogącego się powstrzymać chłopca hotelowego.

— Cały wieczór byłem jak na szpilkach — mówił Anthony. — A ten hałas był taki nagły, musiałem już chyba zasypiać.

— Pewnie, rozumiem — odpowiedział taktownie recepcjonista. — Wiem, jak to jest.

Wreszcie drzwi zamknęły się, zgasło światło, Anthony cicho przeszedł przez pokój i wsunął się do łóżka. Gloria, udając, że mocno śpi, westchnęła cichutko i przytuliła się do niego.

— Co to było, kochanie?

— Nic — odpowiedział wciąż jeszcze drżącym głosem. — Wydawało mi się, że ktoś jest za oknem, więc wyjrzałem, ale nikogo nie zobaczyłem, a hałas nie ustawał, więc zatelefonowałem na dół. Przepraszam, jeśli cię obudziłem, ale jestem dziś okropnie nerwowy.

Na to kłamstwo wzdrygnęła się wewnętrznie — on wcale nie otwierał okna, on nawet do niego nie podszedł. Stał przecież przy łóżku i zaraz z przerażeniem chwycił za słuchawkę.

— Aha — powiedziała, a potem: — Jestem taka zaspana.

Przez godzinę leżeli obok siebie, ale nie mogli zasnąć. Gloria zaciskała oczy tak mocno, że na tle głębokiego fioletu tworzyły się wirujące, niebieskie księżycy; Anthony wpatrywał się ślepo w ciemność nad głową.

Po kilku tygodniach cały incydent stopniowo się wyjaśnił, a wspomnienie wywoływało już tylko żarty i śmiech. Stało się niemal tradycją, że gdy obezwładniający strach tamtej nocy znów chwycił Anthony'ego za gardło, Gloria obejmowała go i szeptała półśpiwem:

— Obronię mojego Anthony'ego. Nikt mi go nie skrzywdzi!

On śmiał się wtedy, jakby był to żart, ale Glorii już to wcale nie bawiło. Z początku czuła zawód, a później z trudem powstrzymaną złość.

Właśnie powstrzymywanie złości Glorii, wywołanej czy to brakiem ciepłej wody, czy sprzeczki z mężem, stało się podstawowym, codziennym zadaniem Anthony'ego. Wszystko musiało być zrobione dokładnie tak, jak chciała, i by to osiągnąć posługiwała się w tym samym stopniu milczeniem, naciskiem, ustępstwem i siłą. W złości i towarzyszących jej okrutnych odruchach ujawniał się szczególnie jej nieskrępowany egotyzm. Z powodu swej śmiałości, swego „rozpuszczenia”, swej przerażającej a chwalebnej niezależności osądu i wreszcie swej pewności siebie, z którą stwierdzała, że nigdy jeszcze nie widziała piękniejszej od niej kobiety, Gloria stała się konsekwentną, praktykującą wyznawczynią Nietzschego — oczywiście, nie bez głębokiego uczucia.

Na przykład jej zółdek. Była przyzwyczajona do pewnych potraw i w pełni przekonana, że nic innego nie może jeść. A więc wczesnym przedpołudniem musiała zjeść kanapkę z pomidorem i popić ją lemoniadą, a potem lekki lunch: nadziewany pomidor. Wyboru dokonywała ze stałej listy kilkunastu dań, ale to nie wystarczało: nawet one musiały być przygotowane w jeden określony sposób. Jedną z najbardziej przykrych chwil pierwszych dwóch tygodni małżeństwa przeżyli w Los Angeles, gdzie Bogu ducha winny kelner miał nieszczęście przynieść jej pomidor faszerowany sałatką z kurczaka, a nie z selera.

— Zawsze tak tu podajemy, proszę pani — wiał się pod gniewnym spojrzeniem szarych oczu.

Gloria nawet nie zaszczyciła go odpowiedzią, ale gdy odwrócił się dyskretnie, obiema piąstkami uderzyła w stół, aż zadzwoniła porcelana i sztućce.

— Biedna Gloria! — zaśmiał się nieostrożnie Anthony. — Nie zawsze można mieć to, na co się ma ochotę, prawda?

— Nie będę jadła byle czego! — Rozzłościła się na dobre.

— Zawołam go z powrotem.

— Nie chcę! Przecież to kretyn!

— Ale to nie jego wina. Albo odeślij tego pomidora, albo rozchmurz się i zjedz.

— Zamknij się! — rzuciła tylko.

— A co ja jestem tu winien?

— Och, nie wiem — jęknęła — ale po prostu nie mogę tego zjeść.

Anthony poczuł się bezsilny.

— To chodźmy gdzie indziej — zaproponował.

— Nie chcę. Mam dość ciągnięcia mnie po Bóg wie ilu kawiarniach, gdzie nie można dostać nic, co by dało się zjeść.

— A kiedyż to ciągałem cię po Bóg wie ilu kawiarniach?

— Na pewno tak by się skończyło w tym mieście — upierała się Gloria, stosując dość pokrętną logikę.

Anthony, kompletnie zagubiony, usiłował chwycić się innego sposobu.

— A może spróbujesz, jak to smakuje? Może nie jest takie złe...

— Ja-nie-znoszę-kurczaka!

Wzięła do ręki widelec i z obrzydzeniem wbiła go w pomidora; Anthony nie zdziwiłby się, gdyby za chwilę zaczęła rzucać nadzieieniem na wszystkie strony. Był pewien, że nigdy dotąd nie widział jej w takiej złości — przez chwilę wyczuwał w niej nienawiść skierowaną na całe otoczenie, również na siebie — Gloria w gniewie była teraz całkowicie nieprzystępna.

A potem ku swemu zdumieniu zobaczył, że ostrożnie unosi widelec do ust i kosztuje sałatki. Nie rozchmurzyła się, więc wpatrywał się w nią z niepokojem, nic nie mówiąc, wstrzymując oddech. Nabrała kolejną porcję na widelec — już po chwili jadła z apetytem. Anthony z trudem powstrzymał się od śmiechu, a gdy po chwili odważył się przemówić, nie miało to żadnego związku z sałatką z kurczaka.

Incydent ten i jemu podobne powtarzały się, niczym żałosna fuga, przez pierwszy rok ich małżeństwa; po każdym z nich Anthony nie wiedział, co z sobą począć, był zirytowany i przygnębiony. Jeszcze bardziej zaniepokoiło go kolejne starcie, dotyczące oddawania rzeczy do pralni, gdyż zakończyło się jego sromotną klęską.

Pewnego popołudnia w Coronado, gdzie zatrzymali się najdłużej w czasie swej podróży, Gloria przygotowywała się starannie do pójścia na podwieczorek. Anthony, który siedział dotąd na dole, gdzie nasłuchiwał ostatnich plotek na temat wojny w Europie, wszedł do pokoju, ucałował jej upudrowany kark i podszedł do szafy. Powyciągał i wsunął z powrotem wszystkie szuflady, ale niewątpliwie nie znalazł tam tego, czego szukał, gdyż odwrócił się do Nie Ukończonego Arcydzieła.

— Gloria, masz czystą chustkę do nosa? — zapytał.

Gloria pokręciła złotą główką.

— Ani jednej. Sama używam jednej z twoich.

— Chyba już ostatniej — zaśmiał się sucho.

— Naprawdę? — Nałożyła na wargi wyraźną, ale bardzo delikatną szminkę.

— Czy pranie wróciło?

— Nie mam pojęcia.

Anthony zawahał się — a potem, tknięty nagłą myślą, otworzył drzwi schowka. Podejrzenia okazały się słuszne. Wewnątrz wisiał na haczyku niebieski worek, stanowiący wyposażenie apartamentu. Był pełen odzieży — sam ją tam włożył. Za to na

podłodze leżała zastraszająca ilość damskiej konfekcji: bielizna, pończochy, suknie, koszule nocne, piżamy, w większości ledwo używane, w całości zaś należące do tej samej kategorii: pranie Glorii.

Nie zamknął drzwi.

— Gloria!

— Co?

Pracowała właśnie nad linią warg, poprawiając ją według jakiejś tajemniczej perspektywy; dłoń, operująca kredką do ust, nie drgnęła ani na milimetr, wzrok ani na chwilę nie oderwał się od lustra. Był to istny triumf koncentracji.

— Czy ty nigdy jeszcze nie wysyłałaś rzeczy do prania?

— A co, są tam?

— Oczywiście.

— No to nie.

— Glorio — zaczął Anthony, siadając na łóżku i usiłując napotkać jej odbity w lustrze wzrok — niezłe z ciebie ziółko! Od chwili wyjazdu z Nowego Jorku zawsze ja się tym zajmowałem, więc już ponad tydzień temu obiecałaś, że teraz twoja kolej. Przecież wystarczy, byś wepchnęła do tej torby swoje brudy i zadzwoniła po pokojówkę.

— Ojej, taka awantura o głupie pranie! — zawołała Gloria, rozdrażniona. — Dobrze, zajmę się tym.

— Wcale nie robię awantury. Chętnie ci pomogę, ale w tej chwili zabrakło nam chustek do nosa, więc chyba czas coś zrobić.

Anthony'emu wydawało się, że to, co mówi, jest nieodparcie logiczne, ale na Glorii nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Odłożyła kosmetyki i jak gdyby nic podsunęła mu swe plecy.

— Zapnij — poprosiła. — Anthony, kochanie, po prostu zapomniałam. Naprawdę miałam to zrobić i dziś już to zrobię. Nie gniewaj się na swoją ukochaną.

Cóż mógł uczynić Anthony? Posadził ją na swych kolanach i scałował z ust trochę szminki.

— Nie gniewam się — szepnęła z promiennym, wielkodusznym uśmiechem. — Możesz psuć mi makijaż, kiedy tylko chcesz.

Zeszli na podwieczorek. W pobliskim sklepie galanteryjnym kupili chusteczki i zapomnieli o całej sprawie.

Ale dwa dni później Anthony zajrzał do schowka i zobaczył prawie pusty worek i wesołą, żywo ubarwioną, a rozrosłą do zadziwiających rozmiarów stertę odzieży na podłodze.

— Gloria! — krzyknął.

— Ojej... — W głosie jej brzmiała nie udawana rozpacz. Anthony, zrezygnowany, podszedł do telefonu i wezwał pokojówkę.

— Ty chyba wyobrażasz sobie — powiedział zniecierpliwiony — że będę obsługiwał cię jak jakiś francuski lokaj.

Zaśmiała się tak zaraźliwie, że Anthony uśmiechnął się nieostrożnie. Nieszczęsny! W jakiś dziwny sposób jego uśmiech uczynił ją panią sytuacji — z miną urażonej niewinności ruszyła do schowka i zaczęła gwałtownie wpychać pranie do worka. Anthony patrzył na nią, wstydząc się za siebie.

— Proszę! — powiedziała tonem sugerującym, że brutalny nadzorca kazał jej zedrzeć do krwi biedne paluszki.

Mimo wszystko wydawało się mu, że ta lekcja pokazowa zakończy całą sprawę, ale był to dopiero początek. Co pewien czas pojawiały się przerażające sterty brudnej bielizny, jeszcze częściej brakowało chustek do nosa, nie mówiąc już o skarpetach, koszulach, o wszystkim. Wreszcie Anthony przekonał się, że ma do wyboru albo sam zajmować się wysyłką prania, albo narażać się na coraz przykrejsze utarczki słowne z Gloria.

Gloria i generał Lee

Wracając na Wschód zatrzymali się na dwa dni w Waszyngtonie, stąpając niechętnie w tamtejszej atmosferze ostrego, rażącego światła, przestrzeni bez swobody, pompy bez splendoru — miasto zrobiło na nich wrażenie bladego i skrępowanego. Drugiego dnia odbyli katastrofalną w skutkach wycieczkę do dawnej rezydencji generała Lee w Arlington.

Wiozący ich tam autobus wypełniony był po brzegi spoconymi, niezamożnymi ludźmi; Anthony, który zdążył już dobrze poznać swą żonę, wiedział, że nadciąga burza. Wybuchła przy zoo, gdzie cała wycieczka zatrzymała się na dziesięć minut. Otóż zoo miało jakoby śmierdziec małpami. Anthony zbył to śmiechem, ale Gloria rzuciła gromy na te biedne zwierzęta, nie przepuszczając też w

swej złości wszystkim pasażerom autobusu i ich spoconemu potomstwu, które natychmiast rzuciło się w kierunku menażerii.

Wreszcie autobus dojechał do Arlington. Tam czekały już inne autobusy; rój kobiet i dzieci zaczął natychmiast siać za sobą skorupki po orzeszkach ziemnych w salach po generale Lee i kłębił się w tej, w której wielki żołnierz brał ślub. Na ścianie sali estetyczny napis obwieszczał wielkimi, czerwonymi literami „Toaleta damska”. Tego było już Glorii dość.

— To przecież okropne — powiedziała z wściekłością — wpuszczać tu tych ludzi! I jeszcze zachęcać ich do tego, urządzając takie muzea.

— No cóż — zaproponował Anthony — gdyby nie muzeum, to wszystko dawno by przepadło.

— No i co z tego? — wykrzyknęła, gdy wyszli na szeroką, wspartą na kolumnkach werandę. — Myślisz, że zostało tu jeszcze coś z roku 1860? Tu wszystko jest z 1914.

— To nie chcesz, żeby zachowały się stare rzeczy?

— Anthony, przecież to i tak się nie uda. Wszystko, co piękne, rośnie, aż osiągnie pewną wysokość, a potem wędnie, opada i gnije, a wtedy ulatują zeń wszystkie wspomnienia. I tak, jak każda epoka wędnie w naszej pamięci, powinny też zwiędnąć pamiętki po niej, a dzięki temu zachowają się one na chwilę w paru sercach takich jak moje, które potrafią je zrozumieć. Na przykład ten cmentarz w Tarrytown. Przecież i tam kretynom, którzy wyłożyli pieniądze na „konserwację”, udało się go zepsuć. Nie ma już Sennej Dziury, Washington Irving nie żyje, jego książki z roku na rok popadają w zapomnienie — więc trzeba zapomnieć i o tym cmentarzu, jak należałoby zapomnieć o wszystkim. Zachowywanie jakiejś epoki przez ciągle odgrzebywanie pamiętek po niej to jak sztuczne utrzymywanie przy życiu konającego.

— Czyli według ciebie wraz z przemijającym czasem powinny przeminąć też budowle?

— Oczywiście! Czy ceniłbyś tak bardzo ten swój list Keatsa, gdyby ktoś podretuszował jego podpis, żeby był dłużej widoczny? Właśnie dlatego, że tak cenię przeszłość, chcę, żeby ten dom pamiętał o przepychu, jakiego zaznał w czasach, gdy był piękny i młody; chcę, żeby schody skrzypiały, jak skrzypiały kiedyś pod

stopami kobiet w krynolinach i mężczyzn w wysokich butach z ostrogami. A oni zrobili z niego tlenioną i uróżowaną babę po sześćdziesiątce. On nie ma prawa wyglądać teraz tak, jak wygląda. Mógłby choć od czasu do czasu pozwolić, by odpadła mu ta czy inna cegła, i przez to pokazać po sobie, że tęskni za generałem. Ileż z tych... tych zwierząt — wskazała ręką za siebie — wyniesie cokolwiek z tych opowieści, przewodników i odnowy zabytków? A iluż z nich, którzy wiedzą w najlepszym razie, że podziw wyraża się półgłosem i chodzeniem na palcach, przyjechałoby tutaj, gdyby łączyło się to z jakimkolwiek wysiłkiem? Ja chcę wachać magnolie, a nie orzeszki ziemne, chcę, żeby moje buty deptały po tym samym zwierze, co buty generała Lee. Nie ma piękna bez wzruszenia, a wzruszenia bez poczucia, że wszystko przemija: ludzie, nazwiska, książki, domy — że to wszystko obróci się w proch... że jest śmiertelne...

Obok nich pojawił się mały chłopiec. Wymachując garścią skórek bananowych z dumą rzucił nimi w stronę rzeki Potomac.

Uczucie

Anthony i Gloria wrócili do Nowego Jorku, akurat gdy upadło Liège. Sześć tygodni spędzonych w podróży poślubnej wydawało się im teraz cudownie szczęśliwe. Przekonali się, co większość młodych par odkrywa w mniejszym lub większym stopniu, a mianowicie, że posiadają wiele wspólnych *idée fixe*, zainteresowań i dziwacznych pomysłów; było im razem bardzo dobrze.

Ale z najwyższym trudem udawało im się zachowywać umiar w rozmowach. Wszelkie dyskusje i kłótnie działały na Glorię przynębiająco. Całe życie przebywała dotąd w towarzystwie ludzi pośledniejszych umysłowo lub mężczyzn, którzy, zastraszeni jej niemal wrogą pięknnością, nie śmieli się jej sprzeciwiać; nie więc dziwnego, że irytowała się, gdy Anthony zaczął wychodzić ze stanu, w który była dla niego ostateczną i nieomylną wyrocznią.

Zrazu nie zorientował się, że wynikało to częściowo z jej „kobiecego” wykształcenia, częściowo z urody, więc chętnie widział w tym przykład dziwacznego, lecz wyraźnego ograniczenia całej jej płci.

Szczególnie drażnił go jej brak poczucia sprawiedliwości. Potem zauważył jednak, że jeśli coś ją zainteresowało, to on nudził się tym czymś szybciej, nie ona. Nie, brakowało mu w niej czegoś innego: owego pedantycznego poczucia celu, poczucia porządku i dokładności, widzenia życia jako układanki o tajemniczo powiązanych kawałkach; później dopiero zrozumiał, że taka cecha byłaby w niej całkowicie absurdalna.

Ze wszystkiego, co ich łączyło, bezsprzecznie najsilniejsza była niesamowita niemal wspólnota serc. W dniu, w którym opuszczali hotel w Coronado, Gloria usiadła nagle na jednym z łóżek, obok zapakowanej do połowy walizki, i wybuchnęła żalonym płaczem.

— Kochanie... — W jednej chwili był przy niej, tulił ją w ramionach. — Co się stało, moje kochanie? Powiedz.

— Już wyjeżdżamy — szlochała. — Och, Anthony, to pierwsze miejsce, w którym żyliśmy razem. Te nasze dwa łóżeczka, jedno obok drugiego, zawsze będą na nas czekać, a my już nigdy do nich nie wrócimy.

Darła mu serce na strzępy, jak zawsze. Zalała go fala uczuć, napłynęła do oczu.

— Ależ, Glorio, wyjeżdżamy do innego pokoju. I tam będą dwa łóżeczka, a my będziemy razem przez całe życie.

Niskim, lekko zachrypniętym głosem lały się z niej słowa.

— Ale do tego już nigdy nie wrócimy, do tych tutaj.

Za każdym razem, gdy gdzieś wyjeżdżamy, przenosimy się, zmieniamy te pokoje, coś ginie na zawsze, coś tracimy. Nie da się tak dokładnie odtworzyć wszystkiego, a tutaj... tutaj byłam taka twoja...

Tulił ją do piersi z całych sił, dostrzegając — nie umniejszało to w jego oczach jej uczucia — jak inteligentnie wybrała chwilę, by zaspokoić choćby potrzebę wypłakania się: Gloria-próżniak, pieścicielka własnych marzeń, czerpiąca wzruszenie z wartych zapamiętania wydarzeń życia i młodości.

Później, tego samego dnia, gdy wrócił z dworca, gdzie kupował bilety, zastał ją śpiącą na jednym z „łóżeczek”, z ręką obejmującą jakiś czarny przedmiot, którego nie rozpoznał w pierwszej chwili. Podszedł bliżej i wtedy przekonał się, że to jeden z jej butów, i to

ani szczególnie nowy, ani czysty, choć przyciskała doń swą zapłakaną twarz — i zrozumiał to, co tak szlachetnie miała na myśli. Niemal rozkoszą było obudzić ją i zobaczyć jej uśmiech na jego widok, uśmiech niepewny, lecz świadomy subtelności własnej wyobraźni.

Nie oceniając, czy jest to warte wiele, czy nic, Anthony czuł, że to właśnie jest miłość — albo coś bardzo do niej podobne.

Szary dom

Życie traci swój rozpęd po dwudziestce; ktoś, dla kogo te same rzeczy znaczą tyle samo w wieku lat trzydziestu, co dziesięć lat wcześniej, jest doprawdy osobą bardzo prostolinijną. Trzydziestolletni kataryniarz jest już tylko mniej lub bardziej wyniszczonym człowiekiem kręcącym katarynką — ale kiedyś był prawdziwym kataryniarzem! Nieomylnie piętno człowieczeństwa kładzie się na wszystkim, co piękne i idealne, a postrzegane w idealnej chwale tylko w młodości. Olśniewający bal, rozświetlony lekkim jak mgiełka, romantycznym śmiechem, ukazuje spod swych jedwabi nagi szkielet, dzieło rąk — wiecznych rąk! — ludzkich; najtragiczniejsza nawet i najbardziej uduchowiona sztuka teatralna staje się sekwencją mów, nad którymi o wilgotnej, fioletowej porze poci się wieczny plagiator, a odgrywanymi przez ludzi nękanych bólem, strachem i ludzkim uczuciem.

To samo musiało więc spotkać Głorię i Anthony'ego w pierwszym roku ich małżeństwa; szary dom przytrafił im się wtedy właśnie, gdy kataryniarz rozpoczynał powoli swą nieuniknioną metamorfozę. Ona miała lat dwadzieścia trzy, on — dwadzieścia sześć.

Szary dom miał być z początku wiejskim domkiem wprost z jakiegoś romansu pasterskiego. Przez pierwsze dwa tygodnie po powrocie z Kalifornii gnieździł się dość niecierpliwie w mieszkaniu Anthony'ego, w dusznej atmosferze otwartych walizek, natrętnych gości i wiecznych worków na pranie. Z przyjaciółmi rozważali ogromny problem swej własnej przyszłości. Dick i Maury siedzieli w fotelach, potakując poważnie, niemal w zamyśleniu, podczas

gdy Anthony wyliczał, co „powinni” robić i gdzie mieszkać.

— Gdyby nie ta cholerna wojna, zabrałbym Głorię za granicę — narzekał — no i chciałbym mieć dom na wsi, oczywiście nie za daleko od Nowego Jorku, gdzie mógłbym pisać — albo robić to, na co się zdecyduję.

Gloria śmiała się.

— Czyż on nie jest słodki? — zapytała Maury'ego. — „Robić to, na co się zdecyduję!” A co ja będę robić, jeżeli on pójdzie do pracy? Maury, jeżeli Anthony pójdzie do pracy, czy będziesz dotrzymywał mi towarzystwa?

— No, przecież nie tak od razu — wtrącił pośpiesznie Anthony.

Istniało między nimi mgliste postanowienie, że któregoś, nie określonego jeszcze dnia, Anthony poświęci się bliżej nie określonej służbie w dyplomacji, a księżęta i premierzy będą mu zazdrościć pięknej żony.

— No cóż — powiedziała bezradnie Gloria. — Sama nie wiem. Mówimy o tym, mówimy, i nic z tego nie wynika, pytamy wszystkich naszych przyjaciół, a oni odpowiadają nam tak, jak my chcemy. Tak bym chciała, żeby ktoś się nami zajął.

— To może wyprowadzicie się do Greenwich albo gdzie indziej? — zaproponował Richard Caramel.

— O, to by było niezłe. — Gloria rozpromieniła się. — Myślisz, że można by tam kupić dom?

Dick wzruszył ramionami, Maury zaśmiał się.

— Jesteście przezabawni! — powiedział. — W życiu nie spotkałem osób równie niepraktycznych! Na pierwszą uwagę o domu chcielibyście, żebyśmy wyciągnęli z kieszeni wielkie stopy zdjęć, ukazujących wszelkie style domków wiejskich.

— Właśnie tego nie chcę — jęknęła Gloria. — Dusznego, gorącego wiejskiego domku, sąsiadów z mnóstwem bachorów, których tata kosi trawę w koszuli z krótkim rękawem...

— Gloria, na miłość boską — przerwał Maury — przecież nikt nie chce zamknąć was w jakiejś wiejskiej chałupie. Kto tu w ogóle mówi o wiejskich domkach? Ale nie da się znaleźć domu, jeśli się go nie szuka.

- Ale gdzie? Łatwo ci powiedzieć: „szukać”, ale gdzie? Maury z godnością zatoczył łuk swą kocią łapą.
- Wszędzie. Wszędzie na wsi. A wsi jest tyle...
- Piękne dzięki.
- Słuchajcie! — Richard Caramel wprowadził do rozmowy swe żółte, łobuzerskie oko. — Cały kłopot polega na tym, że jesteście kompletnie niezorganizowani. Co wy w ogóle wiecie o stanie Nowy Jork? Zamknij się, Anthony, ja rozmawiam z Glorią.
- Jak to? — zaczęła z wielką pewnością siebie. — Byłam na paru przyjęciach w Portchester i w Connecticut — no, tak, ale to już nie w stanie Nowy Jork. Morristown zresztą też nie — dodała z senną niekonsekwencją.
- Odpowiedział jej wybuch śmiechu.
- O Boże — zawołał Dick. — „Morristown też nie!” Glorio, Santa Barbara też nie. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Na początek, jeśli nie ma się fortuny, nie ma co nawet myśleć o Newport, Southampton czy Tuxedo. To nie wchodzi w grę.
- Wszyscy poważnie skinęli głowami.
- A w dodatku ja osobiście nie cierpię New Jersey. Potem są oczywiście nowojorskie przedmieścia, a potem Tuxedo.
- Tam jest za zimno — rzekła krótko Gloria. — Jechałam tam kiedyś samochodem.
- No to wydaje mi się, że między Nowym Jorkiem a Greenwich jest mnóstwo małych miasteczek, takich jak Rye, gdzie moglibyście kupić sobie mały, szary domek z...
- Gloria aż podskoczyła z radości. Po raz pierwszy od powrotu na Wschód wiedziała, czego chce.
- Tak! — zawołała. — Och, tak! Właśnie: mały, szary domek, z czymś białym dookoła i całe mnóstwo klonów, takich brązowo-złoty, jak październikowy pejzaż w galerii. Gdzie on jest?
- Niestety, właśnie zgubiłem moją listę małych, szarych domków, otoczonych klonami, ale mogę jej poszukać. A tymczasem weźcie kartkę papieru i zapiszcie na niej siedem miasteczek, które wchodzi w grę, i od dziś codziennie jedźcie do jednego z nich.

— O rany! — zaprotestowała Gloria, w jednej chwili zniechęcając się do rozmowy. — Czy nie moglibyście nas w tym wyręczyć? Ja tak nie znoszę pociągów.

— To wynajmijcie samochód i...

Gloria ziewnęła.

— Nudzi mi się. Już o niczym innym nie rozmawiamy, tylko o tym, gdzie mamy mieszkać.

— Moja cudowna żona nie lubi przemęczać się myśleniem — zauważył ironicznie Anthony. — Musi teraz zjeść kanapkę z pomidorem, by uspokoić swe zszargane nerwy. Chodźmy na podwieczerek.

Nieszczęśliwą konsekwencją tej rozmowy było, że wzięli sobie do serca radę Dicka i dwa dni później pojechali do Rye, gdzie wędrowali z poirytowanym pośrednikiem, zagubieni i zdeorientowani jak dzieci we mgle. Pokazywano im domy za sto miesięcznie, ściśle przylegające do innych domów za sto miesięcznie; pokazywano im domy na uboczu, względem których natychmiast zaczęli pałać gwałtowną nienawiścią, mimo to że posłusznie czynili załość pragnieniu agenta, by popatrzeć „na ten piec, wspaniały, co?” i na zamasyście wstrząsane framugi drzwi, na ostukiwane ściany — co miało zapewne służyć za dowód, że dom nie zawali się od razu, choć mogły na to wskazywać jego ogólny stan. Zaglądali przez okna do wnętrz urządzonych albo „biurowo” — kanciastymi fotelami i twardymi jak skała kanapami — albo „domowo” — melancholijnymi rupieciami z dawnych lat: tu skrzyżowane rakiety tenisowe, tam przygnębiające gibsonowskie dziewczęta. Z wyrzutami sumienia patrzyli też na nieliczne naprawdę ładne domy, godne, wyniosłe, chłodne — ale za trzysta miesięcznie. Wylewnie podziękowali agentowi i czym prędzej wynieśli się z Rye.

Na dodatek w drodze powrotnej do Nowego Jorku, w zatłoczonym pociągu, musieli znosić bliskie sąsiedztwo jakiegoś spływającego potem Latynosa, którego ostatnie posiłki z pewnością składały się wyłącznie z czosnku. Z ulgą, niemal z histerią, dotarli wreszcie do mieszkania; Gloria popędziła do nieskazitelnej łazienki na gorącą kąpiel. Przez cały następny tydzień byli niezdolni do poszukiwań przyszłej siedziby.

Wreszcie sprawa rozwiązała się sama, i to w sposób niespodziewanie romantyczny. Pewnego dnia Anthony wbiegł do salonu wprost rozpalony „nową ideą”.

— Mam! — wykrzyknął, szczęśliwy jak kot, który właśnie złapał mysz. — Kupimy samochód!

— Ojej! Nie mamy dość kłopotów ze sobą?

— Może pozwolisz mi wyjaśnić, dobrze? Po prostu, zostawimy wszystkie rzeczy u Dicka, wrzucimy tylko parę walizek do samochodu, tego, który kupimy — a i tak musimy go kupić, jeżeli chcemy mieszkać poza miastem — i po prostu pojedziemy przed siebie, w stronę New Haven. Zobaczysz, gdy tylko będziemy za przedmieściami Nowego Jorku, zaraz czynsze spadną, a wtedy weźmiemy po prostu pierwszy dom, który nam się spodoba.

Częstym, uspokajającym użyciem zwrotu „po prostu” udało mu się obudzić ją z letargu, wręcz wprawić w entuzjazm, a przemierzanie pokoju wielkimi krokami miało być wyrazem niespożytej i niepowstrzymanej energii.

— Jutro kupujemy samochód.

Życie, z trudem nadążając za siedmiomilowymi butami wyobraźni, wyprowadziło ich tydzień później w tanim, ale za to lśniącym, nowiutkim wozie sportowym za miasto; jechali najpierw chaotycznym, niezrozumiałym Bronxem, a potem rozległą, mroczną okolicą, składającą się na przemian z zielonkawych ugorów i przedmieść kipiących życiem nędzy. Wyjechali z Nowego Jorku o jedenastej; było już dobrze po gorącym, rozpromienionym południu, gdy pędzili przez Pelham.

— To mają być miasteczka? — szydziła Gloria. — To przecież kawały miasta rzucone bez sensu na pustkowie. Założę się, że wszyscy mężczyźni mają tutaj przyciemnione wąsy, bo za szybko piją poranną kawę.

— A w pociągu do centrum grają w bezika.

— Jak się gra w bezika?

— Nie traktuj wszystkiego tak dosłownie. Skąd mam wiedzieć? Po prostu wydaje mi się, że tacy ludzie muszą grać w bezika.

— To taka ładna nazwa: bezik. Taka jakby pieszczotliwa... Daj, teraz ja poprowadzę.

Anthony spojrzął na nią podejrzliwie.

— Umiesz prowadzić? Słowo?

— Nauczyłam się, jak miałam czternaście lat.

Ostrożnie zjechał na pobocze, zatrzymał wóz. Zamienili się miejscami. Potem rozległ się straszliwy zgrzyt: to Gloria włączyła pierwszy bieg, śmiejąc się przy tym w sposób, który przerażonemu Anthony'emu wydał się w jak najgorszym guście.

— Jedziemy! — wrzasnęła. — Hura!

Ich głowy skoczyły do tyłu, jak marionetki na wspólnym sznurku, samochód zaś rzucił się do przodu i z hukiem ominął stojący na poboczu wóz mleczarza, którego kierowca zerwał się i miotał za nimi przekleństwa. Zgodnie z pamiętającą najodleglejsze czasy tradycją ruchu kołowego Anthony odpowiedział kilkoma krótkimi stwierdzeniami na temat ludzi dostarczających mleko. Zaraz urwał jednak i zwrócił się ku Glorii z rosnącym przekonaniem, że popełnił straszliwy błąd pozwalając, by przejęła kierownicę w swoje ręce i że jego żona to kierowca ekscentryczny i niesłuchanie nieostrożny.

— Pamiętaj — napomniął ją nerwowo. — W salonie mówili, żeby przez pierwsze pięć tysięcy mil nie jeździć szybciej niż dwadzieścia na godzinę.

Skinęła głową, ale pragnąc zapewne jak najszybciej pokonać ten magiczny dystans, nieco dodała gazu. Po chwili Anthony spróbował znowu.

— Nie widziałas tego ograniczenia? Chcesz, żeby nas złapali?

— O, Boże — krzyknęła zniecierpliwiona. — Czy ty zawsze musisz tak przesadzać?!

— Ja tylko nie chcę, żebyśmy poszli do więzienia.

— A któż chce cię tam wsadzić? Jaki ty jesteś namolny! To samo było wczoraj, z moim syropem na kaszel.

— Przecież to dla twojego dobra.

— Aha! Zupełnie, jakbym mieszkała z mamą.

— No wiesz!

W polu widzenia znalazł się na chwilę samotny policjant.

— Widzisz? — zapytał Anthony.

— Ja chyba zwariuję z tobą! I co, zamknął nas?

— Jak zamknie, będzie za późno — błyskotliwie odparował Anthony.

Jej odpowiedź była pogardliwa, niemal urażona.

— To stare pudło i tak nie wyciągnie więcej niż trzydzieści pięć.

— Wcale nie jest stare.

— Jest, duchem.

Jeszcze tego samego popołudnia samochód utworzył wraz z workami na pranie i apetytem Glorii świętą trójkę ich sprzeczek. Anthony zwracał jej uwagę na wszystko: na przejazdy kolejowe, na nadjeżdżające z przeciwka samochody; w końcu uparł się, że odbierze jej kierownicę; między Larchmont i Rye wściekła i obrażona Gloria nie odezwała się do niego ani słowem.

I może właśnie dzięki temu milczeniu zmaterializował się z niebytu wymarzony, szary dom, bo tuż za Rye Anthony poddał się i znów oddał Glorii kierownicę. Tym razem błagał ją o ostrożność już tylko wzrokiem; Gloria poweselała i obiecała, że się poprawi. Że jednak uparty omnibus nie chciał zjechać przed nią z szyn, Gloria uciekła w boczną uliczkę — i tego popołudnia już nie odnalazła z powrotem głównej drogi. Ulica, która, jak im się wydawało, miała lada chwila wyprowadzić ich na szosę, okazała się czymś zupełnie innym, gdy przejechali zaledwie pięć mil od Cos Cob. Asfalt przeszedł w żwir, żwir w błoto — poza tym droga zwęziła się, wyhodowała wzdłuż siebie szpaler klonów, przez które prześwitywało słońce, chylące się ku zachodowi, nieprzerwanie eksperymentujące z wzorami cienia na wysokiej trawie.

— No to teraz zgubiliśmy się na dobre — jęknął Anthony.

— Przeczytaj ten drogowskaz!

— „Marietta — 5 mil”. Co to za jakaś Marietta?

— Nie mam pojęcia, ale zobaczymy. Tutaj i tak nie zawrócimy, a w ten sposób może dojedziemy do szosy.

Na drodze pojawiły się coraz liczniejsze koleiny i niebezpieczne kamienie. Za przednią szybą wyrosły trzy farmy, potem szybko zniknęły z tyłu. Wreszcie pojawiło się miasteczko: gromadka bezbarwnych dachów otaczająca białą, wysoką wieżę kościelną.

A potem Gloria, nie mogąc zdecydować się, jak zaparkować, przejechała przez hydrant i z okropnym trzaskiem oderwała od podwozia wał korbowy.

Gdy miejscowy pośrednik handlu nieruchomościami pokazywał im szary dom, było już ciemno. Dom stał tuż za miasteczkiem, nieco na zachód; rysował się na tle ciepło błękitnego płaszcza nieba, którego guzikami były maleńkie gwiazdy. Szary dom stał w tym miejscu już wtedy, gdy każda kobieta trzymająca w domu kota była najprawdopodobniej czarownicą; gdy wielkiemu patriocie Paulowi Revere ani śniło się podburzać przeciw królowi swych kupieckich ziomków i spokojnie parzył się własnym rzemiosłem, czyli odlewał sztuczne zęby; gdy nasi przodkowie tłumnie porzucali tego warchoła Waszyngtona. Od tamtych czasów dom podparto w miejscu, gdzie ściany zaczynały się rysować, wewnątrz położono nowe tynki i znacznie przebudowano, dodano kuchnię i boczną werandę, ale poza tą kuchnię właśnie, którą jakieś dobroduszne chamidło zadasyło czerwoną blachą, nadal panował niepodzielnie styl kolonialny.

— Jak to się stało, że trafili państwo właśnie tu, do Marietty?

— Pośrednik zadał to pytanie tonem, któremu bardzo niedaleko było do podejrzliwości. Prowadził ich właśnie przez cztery obszerne, przestronne sypialnie.

— Zepsuł się nam samochód — wyjaśniła natychmiast Gloria.

— Wjechałam na hydrant i właśnie gdy holowali nas do warsztatu, zobaczyliśmy pana szyld.

Pośrednik pokręcił głową z niedowierzaniem dla tak nieodpowiedzialnej spontaniczności; decyzja nie poprzedzona wielomiesięcznymi rozważaniami wydała mu się wręcz niemoralna.

Jeszcze tego samego wieczora podpisali umowę, a potem samochodem pośrednika wrócili szczęśliwi do sennej, walącej się gospody, jedynej w Marietcie — tak zrujnowanej, że pozbawionej nawet przygodnej grzeszności i towarzyszącej im wesołości typowych, przydrożnych saloonów. Pół nocy spędzili snując plany na życie w szarym domu. Anthony ruszy tam nareszcie ze swą pracą historyczną, czym wkupi się w łaski swego cynicznego dziadka... Gdy tylko samochód będzie naprawiony, przejadą się po okolicy i wstąpią do najbliższego, „naprawdę sympatycznego” klubu, gdzie Gloria będzie grywać w golfa „albo w coś innego”, by nie przeszkadzać Anthony'emu w pracy. Takie pomysły rodziły się oczywiście

wyłącznie w umyśle Anthony'ego, bo Gloria była przekonana, że pragnie tylko czytać, marzyć i być karmiona kanapkami z pomidorem i pojoną lemoniadą przez nieokreślonego, lecz niewątpliwie angielskiego służącego. Po każdym ukończonym akapicie Anthony przychodziłby ucałować ją, leniwie wyciągniętą w hamaku... W hamaku! W rytm jego wyimaginowanego kołysania rodziły się nowe marzenia; wiatr kołysał opromienione słońcem, falujące zboże, pokryta kurzem droga ciemniała nagle piegami cichej, letniej ulewy...

A goście — tu już doszło do dłuższej dyskusji, w której oboje starali się ze wszystkich sił zachowywać dojrzałe i przewidujące. Anthony uważał, że muszą kogoś zapraszać, przynajmniej co któryś weekend, „żeby była jakaś odmiana”. Twierdzenie to dało początek ożywionej i wielce sentymentalnej rozmowie na temat: czy Anthony'emu rzeczywiście potrzebna jakaś odmiana od Glorii. Im bardziej ją zapewniał, że nie, tym uparciej wątpiła w to, co mówi... Wreszcie jednak powrócili do nieodzownego, monotonnego: „I co? I co będziemy robili?”

— Może kupimy psa? — zaproponował Anthony.

— Psa? Nie. Ale chciałabym kotka. — Bardzo szczegółowo i z wielkim entuzjazmem zaczęła roztrząsać dzieje, obyczaje i gusta kota, którego kiedyś miała. Anthony szybko uznał, że była to osobistość wybitnie nieprzyjemna, wyjątkowo mało pociągająca i całkowicie pozbawiona lojalności.

Potem zasnęli, by obudzić się na godzinę przed świtem, a szary dom unosił się w chwale przed ich olśnionymi oczami.

Dusza Glorii

Tej jesieni szary dom powitał ich przyplływem uczuć, które sfałszowały nieco jego cyniczny, dostojny wygląd. Bo choć trwały wojny o worki z praniem, o apetyt Glorii, o skłonności Anthony'ego do pośepnych rozważań i jego wyimaginowaną „nerwowość”, zdarzały się też okresy niespodziewanej wprost szczęśliwości. Przytuleni do siebie na werandzie oczekiwali na księżyc, by wylał się na srebrną połąć pól, przeskoczył przez gęsty las i rzucił im do stóp fale swego blasku. W takim świetle twarz Glorii spowijała się przejmującą,

zamyśloną bielą; odrobina wysiłku — i z obojga opadały zasłony konwencji, i jedno odnajdywało w drugim kwintesencję miłości tego czerwca, który już przeminął.

Którejś nocy, gdy leżała z głową na jego sercu, a żarzące się końce ich papierosów wędrowały jak błędne ognie ponad kopułą pogrążonego w ciemności łóżka, po raz pierwszy i urywkowo opowiadała o mężczyznach, którzy przez krótkie chwile karmili się kiedyś jej pięknem.

— Myślisz czasem o nich? — zapytał.

— Rzadko. Tylko wtedy, gdy zdarzy się coś, co któregoś z nich przypomni.

— A co pamiętasz najlepiej? Ich pocałunki?

— Różnie... Mężczyźni robią się przy kobietach tacy inni.

— Jak to?

— Zupełnie inni, i nie da się tego wyrazić. Zdarzało się, że mężczyźni o ustalonej reputacji byli przy mnie zupełnie inni. Brutale byli czuli, nieciekawi — zdumiewająco lojalni i mili, a ludzie honoru zachowywali się bardzo niehonorowo.

— Na przykład?

— Na przykład taki Percy Wolcott z Cornell. Znany był na całej uczelni, wspinały sportsmen, wyratował kiedyś cały tłum ludzi z pożaru, czy coś takiego. A ja szybko przekonałam się, że w rzeczywistości jest głupi, i to niebezpiecznie głupi.

— Dlaczego niebezpiecznie?

— Zdaje się, że miał okropnie naiwną receptę na kobietę, „która będzie godna zostać jego żoną”; złościło mnie to od samego początku. On musiał mieć dziewczynę, która nigdy przedtem z nikim się nie całowała, która uwielbia siedzieć w domu nad robótką i schlebiać jego męskiej dumie. Mogę się założyć, że jeżeli w końcu znalazł taką idiotkę, to zaraz zaczął zabawiać się na boku z inną, bardziej przedsiębiorczą panienką.

— Żał mi takiej żony.

— A mnie nie. Pomyśl sobie, jaka musiałaby być z niej kretynka, żeby tego od razu nie zauważyć. On należy do tych mężczyzn, którym się wydaje, że dobre maniery względem kobiety

polegają na niedostarczaniu jej żadnych pokus. I choć może miał dużo dobrych chęci, był w tym wszystkim okropnie średniowieczny.

— A jaki był dla ciebie?

— Zaraz do tego dojdę. Jak ci już mówiłam — mówiłam? — był bardzo przystojny: wielkie, brązowe, uczciwe oczy i uśmiech z tych, które gwarantują, że serce, jakie się za nim kryje, jest z dwudziestokaratowego złota. Byłam młoda i naiwna, więc uwierzyłam w to, i któregoś wieczoru, gdy odwoził mnie z jakiegoś balu w Hot Springs, pocałowałam się z nim bardzo namiętnie. Pamiętam, że to w ogóle był piękny tydzień — drzewa wyglądały, jakby obrastały całą dolinę zieloną szczecinką, a w październikowe poranki unosiły się z nich opary — jakby ktoś rozpałił tam wielkie ognisko, by pobrzązować drzewa...

— No a twój idealista? — przerwał ten opis Anthony.

— Po tym pocałunku uznał chyba, że może dostać jeszcze więcej, że już nie musi mnie tak „szanować”.

— No i co zrobił?

— Nic. Nie zdążył. Zepchnęłam go szesnaście stóp w dół po nasypie.

— Nic mu się nie stało? — zaśmiał się Anthony.

— Miał złamaną rękę i zwichniętą nogę w kostce. Potem rozpowiadał o tym po całym Hot Springs. Gdy tylko zrosła mu się ręka, bił się z nim nawet o to taki jeden, Barley, i połamał mu ją na nowo. Ale była awantura! Percy zagroził, że wniesie sprawę do sądu, i zaraz ktoś puścił plotkę, że widział Barleya — on pochodził z Georgii — jak kupował w mieście spluwę. Ale wtedy mama znowu wywozła mnie na Północ — opierałam się, jak mogłam — i nie wiem, jak to się wszystko skończyło — chociaż Barleya spotkałam kiedyś w hallu u Vanderbilta.

Anthony śmiał się głośno i długo.

— Ale kariera! Pewnie powinienem być wściekły, że całowałaś się z tyloma facetami, ale jakoś nie bardzo mi to przeszkadza.

Usiadła na łóżku.

— To dziwne, ale jestem przekonana, że to wszystko nie pozostawiło na mnie żadnego śladu, no wiesz, żadnego tam piętna rozwiązłości — chociaż kiedyś jeden taki powiedział mi z całą powagą,

że nie odpowiada mu, iż jestem publiczną szklanką przy saturatorze.

— Miał tupet.

— Zaśmiałam się tylko i powiedziałam, żeby myślał o mnie jako o kielichu miłości, który przechodzi z rąk do rąk, co wcale nie umniejsza jego wartości.

— Naprawdę mi to jakoś nie przeszkadza, choć oczywiście martwiłoby mnie, gdyby było coś więcej. Ty zresztą jesteś fizycznie niezdolna do zazdrości, chyba że chodziłoby o urażoną godność. Dlaczego ciebie w ogóle nie interesuje, co ja robiłem, zanim cię poznałem? Nie wolałabyś, żebym był stuprocentowym niewiniątkiem?

— Wszystko zależy od tego, co wtedy czułeś. Ja całowałam się, bo albo on był przystojny, albo księżyc ładnie świecił, albo dlatego, że byłam w sentymentalnym nastroju, albo trochę wzruszona. Ale nic więcej — nie czułam nic więcej. Ty za to zadrećczałbyś się do końca życia.

— Czyli nigdy nie całowałaś się z innymi tak jak ze mną?

— Nigdy — stwierdziła po prostu. — Już ci mówiłam, czego to mężczyźni nie robią... Wie o tym każda dziewczyna, która jakoś wygląda... Widzisz — ciągnęła — nie ma dla mnie znaczenia, z iloma kobietami byłeś przede mną, jeśli chodziło tylko o rozkosz fizyczną, ale wydaje mi się, że nie mogłabym znieść myśli o tym, że żyłeś z jakąś przez dłuższy czas, albo nawet że chciałeś kiedyś ożenić się z inną dziewczyną. Bo jest tu pewna różnica; pozostałyby ci te wszystkie drobne, intymne wspomnienia i psułyby świeżość, czyli to, co w miłości najcenniejsze.

Rozkochany przyciągnął jej głowę ku swojej, na poduszkę.

— Och, kochanie — szepnęła — czy ja mogę pamiętać coś poza twoimi cudownymi pocałunkami?

A wtedy Gloria, tonem niewiniątka:

— Anthony, czy mi się zdaje, czy ktoś mówił, że chce mu się pić?

Anthony zaśmiał się i z na poły rozbawionym, na poły zakłopotanym uśmiechem wysunął się z łóżka.

— Z odrobiną lodu — dodała. — Podasz mi, kochanie?

Gloria używała słowa „odrobinka” zawsze, gdy o coś prosiła, przez co sprawiała wrażenie, że prośba jest łatwiejsza do

spełnienia. Ale Anthony znów się zaśmiał: czy zechce kostkę, czy całą bryłę lodu, i tak musi zejść na dół, do kuchni... W hallu dogo- nił go jeszcze jej głos: — I odrobinę herbatnika z odrobiną mar- molady...

— O, Jezu! — westchnął z zachwytem. — Co za cudowna dziewczyna! Ma klasę!

— Jak będziemy mieć dzidziusia — zaczęła kiedyś; już wcze- śniej uzgodniono, że nastąpi to po trzech latach małżeństwa — chciałam, żeby wyglądał jak ty.

— Tylko żeby nogi miał inne — dodał zawstydzony.

— Właśnie, nogi musi mieć nie twoje, tylko moje. Ale reszta twoja.

— Nos też?

Gloria zawahała się.

— No, nos też niech będzie mój. Ale oczy musi mieć twoje; za to moje usta i w ogóle kształt twarzy. I wiesz co? Byłoby ładnie, gdyby miał też moje włosy.

— Moja droga, przywłaszczyłaś sobie już całe dziecko.

— To nieumyślnie — powiedziała przepraszająco, lecz beztro- sko.

— To żeby choć szyję miał moją — prosił, z uwagą przypatru- jąc się sobie w lustrze. — Zawsze mówiłaś, że podoba ci się moja szyja, bo nie widać tak bardzo jabłka Adama, a poza tym twoja jest za krótka.

— Coś takiego! — oburzyła się, również odwracając się do lu- stra. — Jest w sam raz. Nigdy chyba nie widziałam ładniejszej.

— A właśnie, że jest za krótka — powtórzył złośliwie.

— Za krótka? — Jej głos wyrażał gniew i zdumienie. — Za krótka? Chyba oszalałeś! — Wyciągnęła ją i skurczyła, by przeko- nać samą siebie o jej żyrafiej niemal długości. — Czy to nazywasz krótką szyją?

— Nigdy chyba nie widziałem krótszej.

Po raz pierwszy od wielu tygodni z oczu Glorii polały się łzy, a spojrzenie, jakie mu rzuciła, było pełne nie udawanego bólu.

— Och, Anthony...

— O Boże, Glorio! — Zdumiony podszedł do niej i chwycił jej łokcie w swe dłonie. — Nie płacz! Proszę! Nie znasz się na żartach? Glorio, popatrz na mnie! Kochanie, przecież ty masz najdłuższą szyję na świecie. Słowo honoru!

Łzy natychmiast wyschły, pojawił się uśmiech.

— To czemu mówisz, że nie? Lepiej już porozmawiajmy o dziecku.

Anthony zaczął chodzić po pokoju, jakby przygotowywał się do publicznej debaty.

— Krótko mówiąc, moglibyśmy mieć dwoje dzieci, całkowicie odmiennych i logicznie zróżnicowanych; takie, które byłoby połączeniem naszych najlepszych cech, czyli twojego ciała, moich oczu, mojego rozumu, twojej inteligencji, i takie, które miałyby z nas to, co najgorsze: moje ciało, twoje usposobienie i mój brak zdecydowania.

— Bardziej podoba mi się to drugie — powiedziała.

— A mnie marzyłyby się dwa komplety trojaczków, co rok prorok, a potem mały eksperyment z szóstką chłopców...

— O, ja biedna!

— ...Każdego kształciłbym w innym kraju, w innego rodzaju szkole, a gdy mieliby dwadzieścia trzy lata, zebrałbym ich wszystkich, żeby przekonać się, co z nich wyrosło.

— Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że szyje będą mieli po mnie — upierała się Gloria.

Koniec rozdziału

Samochód wreszcie naprawiono, ten zaś, jakby z zemsty, na nowo zaczął wywoływać ciągle kłótnie. Dokąd jechać? Czy Gloria nie prowadzi zbyt szybko? Te dwa pytania były źródłem wielodniowych dąsów. Jeździli do miasteczek położonych wzdłuż głównej drogi, do Rye, Portchester i Greenwich, odwiedzili kilkanaście znajomych par, głównie znajomych Glorii, którzy akurat znajdowali się w różnych stadiach rodzenia i opieki nad niemowlętami, przez co nudzili ją śmiertelnie. Przez całą godzinę po każdej z takich wizyt Gloria nerwowo gryzła palce i odbijała swą złość na Anthonym.

— Nie cierpię bab — krzyczała. — O czym ja mam z nimi rozmawiać, poza tym idiotycznym „proszę pani, proszę pani”. Mam

rozpływać się nad dziesięcioma bachorami, które tak naprawdę przyprawiają mnie o mdłości? A w dodatku każda z tych dziewczyn jest albo potwornie podejrzliwa i zazdrosna o męża, jeśli jest miły, albo zaczyna się nim nudzić, jeśli nie jest.

— Czy wobec tego nie będziesz już odwiedzać żadnych kobiet?

— Nie wiem. Wydają mi się zawsze takie... takie nie domyte. Z paroma wyjątkami. Constance Shaw, no wiesz, ta, która jest teraz panią Merriam... Była u nas w zeszły wtorek — ona chyba jedna jedyna z nich... jest taka wysoka, świeża, majestatyczna.

— Ja tam nie lubię wysokich kobiet.

Choć wzięli udział w kilku balach wydawanych w okolicznych klubach, uznali, że sezon jesienny już się kończy i postanowili więcej nie „bywać”, nawet jeśli mieliby na to ochotę. Anthony nie cierpiał grać w golfa, Gloria lubiła, ale nie bardzo, a choć świetnie bawiła się, gdy pewnego wieczoru na jakimś przyjęciu zalecał się do niej gorąco cały tłum studentów, i cieszyła się, że Anthony jest tak dumny z jej urody, zauważyła też, że pani domu, niejaka pani Granby, nie była zbyt zadowolona, że w zalotach brał również udział jej mąż, kolega Anthony'ego ze studiów, Alec. Państwo Granby rzeczywiście już potem do nich nie zatelefonowali; Gloria śmiała się z tego, ale była nieco rozdrażniona.

— Wiesz — tłumaczyła Anthony'emu — gdybym nie była męczatką, pewnie w ogóle nie zwróciłaby na to uwagi, ale w młodości naoglądała się za dużo filmów i uważa mnie za wampa. Najgorsze jest to, że uspokojenie kogoś takiego wymaga wysiłku, do którego jestem zupełnie niezdolna... 1 jeszcze ci milutcy smarkacze, wywracający nade mną oczami, i te ich głupiutkie komplementy! Chyba dorosłej, Anthony.

W Marietcie życie towarzyskie właściwie nie istniało. Miasteczko otaczał wprawdzie sześciokąt wiejskich posiadłości, ale należały one do starców, których widywało się jedynie na tylnych siedzeniach limuzyn, zdążających na stację, wiozących te porośnięte siwą szczecinią kloce i ich równie wiekowe i jeszcze potężniejsze żony. Mieszkańcy miasteczka byli szczególnie mało interesujący — przeważały stare panny, dla których świat kończył się na uroczystościach szkolnych, o duszach tak bezbarwnych jak groźna biel

trzech kościołów. Jedynym autochtonem, z którym Gloria i Anthony nawiązali bliższy kontakt, była Szwedka o szerokich udach i ramionach, ich dochodząca służąca. Szwedka była milcząca i pracowita. Któregoś dnia Gloria zastała ją w kuchni, siedzącą przy stole i gorzko płaczącą; od tego czasu czuła przed nią niczym nie uzasadniony strach i nawet przestała narzekać na jedzenie. Szwedka tylko temu nie wyznaniem i nieodgadnionemu nieszczęściu mogła zawdzięczać, że pozostała u nich na dłużej.

Niespodzianką dla Anthony'ego była skłonność Glorii do ulegania przecuciom i jej napady mglistej wiary w rzeczy nadprzyrodzone. Może jakiś kompleks, odpowiednio naukowo sublimowany przez lata spędzone z matką-bilfistką, a może wrodzona nadwrażliwość, czyniły ją tak wyczułoną na wszystko, co wiązało się z metafizyką; całkowicie pozbawiona łatwości w obcowaniu z żywymi, każde niezwykle wydarzenie chętnie przypisywała kapryśnym wpływom umarłych. Rozpaczliwe pojękiwania starego domu w wietrzne noce, które dla Anthony'ego były odgłosami włamywaczy, skradającymi się ku nim z odbezpieczonymi rewolwerami, według Glorii świadczyły o obecności złych, niespokojnych duchów zmarłych pokoleń, pokutujących za grzechy, których nie da się odpokutować w tej starej, romantycznej siedzibie. Jednej nocy, po dwóch szybko następujących po sobie uderzeniach gdzieś na parterze — Anthony, choć przerażony, dzielnie zszedł na dół i sprawdził, czy wszystko w porządku — czuwali niemal do samego rana, przepytując się nawzajem z historii powszechnej.

W październiku przyjechała do nich na dwa tygodnie Muriel. Gloria odbyła z nią przedtem rozmowę międzymiastową, zakończoną przez pannę Kane charakterystycznym „Cu-do-o-ownie! Kaźcie bić w dzwony!” Przywiozła ze sobą kilkanaście najnowszych przebojów.

— Tu, na wsi, przydałby się wam jakiś gramofon — oznajmiła — choćby taki mały wie, wcale niedrogi. Gdy poczujecie się samotnie, włączacie go i macie u siebie Caruso albo Ala Jolsona.

Anthony przeraził się nie na żarty, gdy wyznała mu, że „jest pierwszym inteligentnym mężczyzną, jakiego poznała” i że „ma już tak dość powierzchownych ludzi”. Anthony dziwił się, że ktokolwiek

może zakochać się w takiej kobiecie, ale przypuszczał, że i ona potrafi stać się czuła i obiecująca.

Za to Gloria, popisująca się swą miłością do Anthony'ego, mruzczała z zadowolenia jak kotka.

Wreszcie pojawił się Richard Caramel, który spędził u nich rozgadany i dla Glorii nieznośnie literacki weekend; gawędził z Anthonyem do późna w noc, podczas gdy Gloria dawno już spała dziecinnym snem w sypialni na piętrze.

— Cały ten mój sukces był bardzo zabawny — mówił Dick. — Jeszcze tuż przed ukazaniem się książki próbowałem na próżno sprzedać tu i tam parę opowiadań. A potem, gdy książka już się ukazała, wyglądziłem trochę trzy z nich i zaraz kupiło je to samo czasopismo, które je przedtem odrzuciło. Teraz piszę jedno po drugim, bo wydawca ma mi zapłacić dopiero zimą.

— Tylko uważaj, żeby zwycięzca nie stał się niewolnikiem łupów.

— Aha, żeby nie pisać byle czego? — Zamyślił się. — Że świadomie „leję wodę”? Nie, tego nie robię, ale rzeczywiście piszę teraz jakby śmielej, szybciej, i nie zastanawiam się nad tym tak bardzo. Może dlatego, że nie mam teraz z kim rozmawiać, od kiedy ty się ożeniłeś, a Maury przeniósł się do Filadelfii. Nie mam już tej siły, tej ambicji. Wiesz, tak bywa, gdy sukces przyjdzie za wcześnie.

— Nie martwi cię to?

— Martwi, i to bardzo. Miewam napady czegoś, co nazywam zatwardzeniem, bo naprawdę trochę je przypomina. To takie uczucie przeraźliwego, pisarskiego skrępowania, które nachodzi mnie, gdy zmuszam się do pisania. Zresztą dni, w których wydaje mi się, że nie umiem pisać, wcale nie są najgorsze; najgorzej jest wtedy, gdy myślę sobie, czy w ogóle warto pisać; no wiesz, czy przypadkiem nie jestem jakimś napuszonym bufonem.

— Z przyjemnością słucham, gdy mówisz takie rzeczy — powiedział Anthony z odcieniem swej dawnej, obraźliwej wyższości. — Obawiałem się trochę, czy przypadkiem nie zgłupiałeś z nadmiaru powodzenia. Czytałem ten kretyński wywiad...

Dick przerwał mu z bolesnym wyrazem twarzy.

— Dobry Boże! Tylko mi o tym nie wspominaj. Zrobiła go pewna młoda dama — młoda dama pozostająca pod wielkim wrażeniem mojego talentu. Co chwila powtarzała, że to, co piszę, jest „mocne”. Straciłem głowę i nagadalem mnóstwo dziwnych rzeczy. Niektóre były zresztą całkiem niegłupie, co?

— Owszem. Na przykład to, że mądry pisarz pisze dla młodych ludzi z własnego pokolenia, dla krytyka z następnego i dla nauczycieli wszystkich kolejnych.

— W niektóre rzeczy, jakie wtedy powiedziałem, nawet sam wierzę — przyznał z bladym uśmiechem Richard Caramel. — Błędem było tylko to, że się z tym ujawnilem.

W listopadzie przenieśli się do mieszkania Anthony'ego, z którego wyruszali triumfalnie na mecze footballowe między Yale a Harvardem i Harvardem a Princeton, na lodowisko St. Nicholas, do wszystkich teatrów, na wszelakie rozrywki — od małych, sztywnych wieczorków po wielkie bale, ukochane przez Głorię, wydawane w tych nielicznych, wykwintnie anglomańskich domach, w których gigantyczni kamerdynerzy kierowali ruchem lokajów w upudrowanych perukach. Anthony i Gloria zamierzali wyjechać za granicę zaraz na początku następnego roku, albo gdy tylko skończy się wojna. Anthony ukończył nawet chestertonowski esej o dwunastym wieku, wstęp do przyszłej książki, a Gloria prowadziła szeroko zakrojone badania nad futrami z rosyjskich soboli — i zima nadchodziła sobie miło i spokojnie, gdy w połowie grudnia bilfistyczny demiurg uznał nagle, że dusza pani Gilbert dość się już zestarzała w jej obecnym wcieleniu. W efekcie Anthony musiał zawieźć bezradną, rozhisteryzowaną Głorię do Kansas City, gdzie, jak to ludzkość ma w zwyczaju, złożyli zmarłej ostatni, straszliwy, wstrząsający hołd.

Ojciec Glorii był wtedy po raz pierwszy i ostatni w życiu postacią prawdziwie patetyczną. Kobieta, którą wytresował, by obsługiwała jego ciało i czciła jego umysł, teraz, jak na ironię, opuściła go na zawsze — właśnie teraz, gdy już nie mógł jej utrzymywać. Na zawsze skończyły się czasy, gdy mógł bezkarnie nudzić i terroryzować drugą istotę ludzką.

2. Biesiada

Gloria uspiła umysł Anthony'ego. Ona, zdawałoby się, najmądrzejsza i najlepsza z wszystkich kobiet świata, stała się ciężką, błyszczącą kotarą, która zasłoniła mu słońce. Jego przekonania w ciągu pierwszych lat małżeństwa nosiły niezniszczalne piętno Glorii; słońce oglądał teraz już tylko przez wzór na kotarze.

Na kolejne lato przyjechali do Marietty jakby znużeni. Złotą, osłabiającą wiosnę spędzili na wybrzeżu kalifornijskim, podróżując to z jednymi, to z drugimi znajomymi, wędrując od Pasadeny po Coronado, od Coronado po Santa Barbara, bez celu — jeśli nie liczyć zachcianek Glorii, by tańczyć do innej muzyki i odkrywać coraz to nowe odcienie barw morza. Z Pacyfiku podnosiły się na ich powitanie dzikie skały i równie barbarzyńskie hotele, zbudowane po to, by pod wieczór mogli drzemać sobie na leniwym bazarze w trzciniowych koszach, uświetnionym strojami polo z Southampton, Lake Forest, Newport i Palm Beach. I jak fale spotykają się, pluszcza i lśnią w najbardziej nawet zacisznych zatokach, tak Gloria i Anthony dołączali to do jednej, to do drugiej grupki, wraz z nimi przenosząc się z miejsca na miejsce, mrucząc bez końca o dziwnych, niematerialnych radościach, czekających wiecznie już za najbliższą górą, za najbliższą rzeką.

Była to prosta, zdrowa klasa próżniaków — najlepsi z mężczyzn byli jeszcze studentami, mało nawet irytującymi, wiecni kandydaci do eterycznie rozciągających się na cały świat najlepszych klubów; kobiety — nadzwyczajnej piękności, delikatnie atletyczne,

jako panie domu nieco głupawe, ale za to czarujące i niezmiernie dekoracyjne jako goście. W balsamiczne popołudnia tańczyły z gracją i powagą ulubione tańce, z godnością uzyskując efekt, który potem tak straszliwie niezgrabnie imitowały stenotypistki i chórzystki w całej Ameryce. Czy to nie ironia, że właśnie Amerykanki miały dojść do niekwestionowanego mistrzostwa w tej samotnej i zdeklasowanej gałęzi sztuki?

Przetańczywszy i przebaraszkowawszy tak obficie wypełnioną wiosnę, Anthony i Gloria zorientowali się nagle, że wydali za dużo i że na jakiś czas muszą wycofać się z takiego życia; jak mówili, Anthony musiał teraz myśleć o „pracy”. Nim się obejrzel, byli już z powrotem w szarym domu, tym razem bardziej świadomi, że byli tu już przed nimi inni kochankowie, że inne imiona wywoływano ponad balustradkami, że inne pary siadały na werandzie, spoglądając na szarozielone pola i, dalej, na czarną ścianę lasów.

Anthony był wciąż taki sam, choć może mniej spokojny; odzywał dopiero po kilku whisky z wodą sodową; względem Glorii był lekko, niemal niepostrzeżenie apatyczny. Za to Gloria — Gloria miała w sierpniu ukończyć dwadzieścia cztery lata, przez co wpadała w rozkoszną, lecz całkowicie szczerą panikę. Za sześć lat przekroczy trzydziestkę! Gdyby była mniej zakochana w Anthony, poczucie upływu czasu wyraziłoby się obudzonym na nowo zainteresowaniem innymi mężczyznami, świadomym pragnieniem wydobycia z każdego potencjalnego kochanka, który popatrzy na nią spod przymrużonych powiek nad lśniącym stołem, najbardziej choćby przemijającego promyka romantyczności. Któregoś dnia powiedziała Anthony'emu:

— Czuję się tak, że najchętniej brałabym wszystko, co bym tylko chciała. Całe życie tak myślałam. Tak się jednak składa, że teraz chcę tylko ciebie, więc nie ma już miejsca na inne pragnienia.

Jechali wtedy na wschód przez spaloną słońcem, opustoszałą Indianę; Gloria uniosła głowę znad któregoś z jej ulubionych czasopism filmowych i rozmowa, dotąd zupełnie zwyczajna, nagle stała się bardzo poważna.

Anthony z marszem na czole wyglądał przez okno. Na skrzyżowaniu szosy z polną drogą pojawił się, jakby spod ziemi, chłop na wozie; obracał w ustach słomkę i wydawał się być tym samym,

którego mijali już kilka razy, milczącym, złośliwym symbolem. Anthony spojrział na Glorię i jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

— Martwisz mnie — zaprotestował. — Mogę sobie wyobrazić, że w pewnych okolicznościach mógłbym chwilowo pożądać innej kobiety, ale nie żebym miał ją osiąść.

— Ja tego tak nie odczuwam, Anthony. Nie chcę się dręczyć opieraniem się pokusom. Ja ich nie mam, bo pragnę tylko ciebie.

— Ale kiedy pomyślę sobie, że mogłabyś, ot, tak, zainteresować się kimś innym...

— Nie bądźże idiotą, Anthony! — wykrzyknęła. — Nie byłoby żadnego „ot, tak”. I ja nie mogę sobie tego wyobrazić, rozumiesz?

Było to równoznaczne z definitywnym zakończeniem rozmowy. Po prostu: nieustający podziw ze strony Anthony'ego sprawiał, że w jego towarzystwie czuła się najlepiej. Lubiała go — kochała go. Lato zaczęło się podobnie jak poprzednie.

W ich gospodarstwie zaszła jednak jedna zasadnicza zmiana: lodowata Skandynawka, której ascetyczna kuchnia i ironiczny styl podawania do stołu tak przygnębiały Glorię, została zastąpiona niezwykle sprawnym Japończykiem. Zwał się Tanalahaka, ale, jak sam wyznał, przychodzi na każde wezwanie zaczynające się od dwóch sylab „Tana”.

Tana był zadziwiająco mały nawet jak na Japończyka i w sposób dość naiwny pragnął uchodzić za światowca. Już pierwszego dnia po pojawieniu się z referencjami „R. Gugimoniki, Japońska Agencja Pośrednictwa Pracy, Na Której Możesz Polegać”, poprosił Anthony'ego do swego pokoju, by pokazać mu skarby zamknięte w kufrze. Do skarbów tych należała spora kolekcja japońskich pocztówek; Tanalahaka pragnął opowiedzieć o nich swemu nowemu pracodawcy, i o wszystkich razem, i o każdej z osobna, i to bardzo kwiecicie; wśród nich było też i kilka czysto pornograficznych, produkcji niewątpliwie amerykańskiej, choć producent skromnie nie zamieścił na odwrocie ani nazwy swej firmy, ani nawet rubryk na adres. Potem Japończyk wyjął z kufra kilka przedmiotów zrobionych własnoręcznie: parę spodni i dwa zestawy solidnej, jedwabnej bielizny, w zaufaniu informując równocześnie Anthony'ego, do czego mianowicie ma mu służyć ten drugi szczegół

garderoby. Kolejnym eksponatem była niezła kopia portretu Abrahama Lincolna, którego twarzy nadał w swojej wersji wygląd zdecydowanie japoński, i wreszcie flet, również wykonany własnoręcznie, choć zepsuty; zresztą wkrótce sam go naprawi.

Po tych uprzejmościach, które Anthony przypisywał japońskiemu pochodzeniu rozmówcy, łamaną angielszczyzną Tana wygłosił przemówienie na temat stosunków pracodawcy i pracownika, z którego Anthony dowiedział się, że Japończyk pracował przedtem w większych gospodarstwach, lecz zawsze w końcu kłócił się z resztą służących, bo nie byli uczciwi. Słowo „uczciwi” też przysporzyło im wiele radości, co jednak omal nie skończyło się kłótnią, ponieważ Anthony z uporem twierdził, że w ustach Tany brzmi ono „uciwi”, i usiłował nauczyć go poprawnej wymowy.

Wreszcie po trzech kwadransach Anthony odzyskał wolność — oraz uzyskał zapewnienie, że odbędą jeszcze wiele takich sympatycznych rozmów, w których Tana opowie mu, „jak to jest w mojej kraju”.

Tak Tana zadebiutował w szarym domu — i słowa dotrzymał. Sumienny i uczciwy, był jednak przede wszystkim straszonym nudziarzem. Nie potrafił okiełznać języka; czasem, gdy mówił, mówił i nie mógł skończyć, w jego brązowych oczkach pojawiał się wyraz bólu.

W niedzielne i poniedziałkowe popołudnia czytywał gazetowe komiksy. Kiedyś rozśmieszyła go historyjka o japońskim kamerdynerze, choć uważał, że jej bohater, dla Anthony'ego stuprocentowy Azjata, wygląda zbyt amerykańsko. Problem z komiksami polegał na tym, że gdy z pomocą Anthony'ego przepchnął się przez podpisy pod trzema ostatnimi obrazkami, chłonąc ich treść z koncentracją godną „Krytyki” Kanta, zapominał, o co chodziło na początku.

W połowie czerwca Anthony i Gloria obchodzili pierwszą rocznicę ślubu. Uczcili to umówieniem się na „randkę”. Anthony zapukał do drzwi, a ona podbiegła otworzyć. Potem siedzieli obok siebie na kanapie, wspominając wszystkie czułe przydomki, które wtedy wymyślali, nowe kombinacje odwiecznych, czułych słówek; tylko że po tej „randce” nie było już równie czulego pożegnania i towarzyszącej temu ekstazy żalu.

Później, ale też jeszcze w czerwcu, Głorię ogarnęła zgroza, odrzucając jej duszę o pół pokolenia w tył. Potem zgroza powoli wyblakła, wtapiając się w tę nieprzebytą ciemność, która ją zrodziła, i bezlitośnie zabierając resztki młodości.

Z niezwyklej wycuciem tragizmu wybrała na swą scenę stację kolejową na zapadłej wsi pod Portchester. Peron stacji leżał cały dzień nagi jak preria, wystawiony na żar zakurzonego, żółtego słońca i spojrzenia tego najgorszego gatunku ludzi — mieszkańców podmiejskich wsi, zarażonych jej tanią elegancją, lecz równocześnie pozbawionych jej ogłady. Świadcami wydarzenia było kilkunastu takich właśnie wieśniaków o przekrwionych oczach, smutnych jak strachy na wróble. To, co zobaczyli, przemknęło przez ich ciemne, nie rozumiejące umysły, a uznali to albo za chamski dowcip, albo, w najlepszym razie, za „ciężki wstyd”. A tymczasem tam, na peronie, świat utracił część swego światła.

Owego upalnego letniego popołudnia Anthony siedział nad karką szkockiej whisky z Erikiem Merriamem, a Gloria i Constance Merriam kąpały się w wodzie i w słońcu w Beach Club; Constance pod pasiastą markizą klubu, Gloria, zmysłowo wyciągnięta na miękkim, gorącym piasku, opalała swe elektryzujące nogi. Później cała czwórka zabawiała się, bez większego przekonania, nieprzekonywającymi kanapkami; wreszcie Gloria wstała i trąciła męża końcem parasolki.

— Musimy iść, kochanie.

— Już? — Spojrzał na nią niechętnie. W tej chwili nic nie wydawało mu się ważniejsze niż to leniwe wylegiwanie się na cienistej werandzie, popijanie rozcieńczonej whisky i słuchanie nie kończących się wspomnień gospodarza o skutkach jakiejś dawno już zapomnianej kampanii politycznej.

— Naprawdę musimy już iść — powtórzyła Gloria. — Weźmiemy taksówkę na stację... Chodź, Anthony! — To zabrzmiało już niemal jak rozkaz.

— No, jak to... — Merriam, któremu przerwała w pół słowa, wygłaszał uprzejmy sprzeciw i prowokacyjnie nalewał gościowi kolejną porcję whisky z wodą sodową, która powinna starczyć na co najmniej dziesięć minut. Jednak gdy Gloria rzuciła jeszcze bardziej gniewne: „Naprawdę musimy!”, Anthony wstał, jednym haustem wychylił szklanke i ceremonialnie uklonił się pani domu.

— Wygląda na to, że rzeczywiście „musimy” — powiedział mało przyjemnym głosem.

Już po chwili szedł w ślad za Glorią alejką ogrodową wśród wysokich różanych krzewów; jej parasolka prześlizgiwała się lekko po rozkwitłych czerwcem liściach. Gdy dotarli do drogi, Anthony pomyślał sobie, że zachowała się bardzo nieładnie. Z urażoną naiwnością uważał, że Gloria nie miała prawa przerwać mu tak niewinną, nieszkodliwą igraszkę. Whisky uspokoiła i zarazem rozjaśniła kłębiący się w jego głowie zamęt. Przypomniało mu się teraz, że nie po raz pierwszy spotyka się z takim zachowaniem Glorii. Czy zawsze musi wyrzekać się wszelkich przyjemności na pierwsze dotknięcie parasolki, na pierwsze zmrużenie jej oczu? Niechęć zaczęła rodzić w nim złą wolę, która uniosła się w nim jak pęcherzyk powietrza. Szedł za nią bez słowa, przewrotnie tłumiąc w sobie chęć czynienia jej wymówek. Taksówkę znaleźli przed gospodą; w milczeniu dojechali na stację...

I nagle Anthony wiedział już, czego chce — chce narzucić swą wolę tej chłodnej nieczulej dziewczynie, jednym wspaniałym posunięciem uzyskać nad nią pełnię władzy — tego tylko pragnął.

— Przejedźmy się do Barnesów — powiedział nie patrząc na nią. — Nie chce mi się jeszcze wracać do domu.

Letni domek pani Barnes, z domu Rachael Jerryl, znajdował się kilka mil za Redgate.

— Byliśmy u nich przedwczoraj — rzuciła krótko.

— Na pewno się ucieszą. — Uznał, że to nie dość mocne, więc zebrał się w sobie i dodał z uporem: — Mam ochotę ich odwiedzić. Nie chcę jeszcze wracać do domu.

— A ja nie chcę do nich jechać.

Nagle popatrzyli na siebie.

— Anthony — powiedziała poirytowana — jest przecież niedziela i na pewno mają kogoś na kolacji. Nie mam pojęcia, po co mamy wpraszać się do nich o tej porze...

— To czemu nie zostaliśmy u Merriamsów? — wybuchnął. — Czemu musieliśmy wracać, choć było z nimi tak miło? Przecież zapraszali nas na kolację.

— Zapraszali, bo tak wypadało. Dawaj pieniądze, idę po bilety.

— Nie dam! Nie mam najmniejszej ochoty na jazdę tym przekłętym, dusznym pociągiem.

Gloria tupnęła nogą.

— Anthony, zachowujesz się, jakbyś za dużo wypił!

— Wręcz przeciwnie, jestem całkowicie trzeźwy.

Ale zaczynał mówić nieco chrapliwie, więc wiedziała, że to ona ma rację.

— Jeżeli jesteś trzeźwy, to dasz mi pieniądze.

Ale było już za późno na takie argumenty. Opanowała go teraz już tylko jedna myśl — że Gloria jest egoistką, że zawsze nią była i będzie, jeśli, i to właśnie teraz, nie pokaże jej, kto tu naprawdę rządzi. Lepsza sposobność już się nie nadarzy, bo tym razem pozbawiła go przyjemności wyłącznie dla kaprysu. Jego determinacja zaczęła graniczyć z zapiekłą, wściekłą nienawiścią.

— Nie wsiądę do pociągu. — Jego głos drżał nieco z gniewu. — Jedziemy do Barnesów.

— Ja nie jadę! — krzyknęła. — Ty możesz sobie jechać, ale ja wracam do domu.

— No to wracaj.

Bez słowa odwróciła się i ruszyła ku kasie; równocześnie przypomniał sobie, że Gloria ma jednak trochę pieniędzy, a więc nie odniesie nad nią takiego zwycięstwa, na jakie liczył, którego pragnął. Postąpił za nią i chwycił ją za rękę.

— Słuchaj no! — wymamrotał. — Nie puszczę cię samej!

— A właśnie, że tak! Anthony, daj spokój! — Usiłowała mu się wyrwać, ale on jeszcze zacieśnił uścisk.

Popatrzył na nią zwięzonymi złością oczyma.

— Puść! — Jej krzyk był teraz niemal wściekły, ale Anthony czerpał z niego dziwną, choć nieco niepewną dumę.

— Wracam do domu, rozumiesz? Proszę mnie puścić!

— Nie puszczę.

Teraz paliła go wzrokiem.

— Chcesz mi tu zrobić scenę?

— Powiedziałem ci, że nie pojedziesz! Mam dość twojego wiecznego samolubstwa!

— Ja chcę po prostu wrócić do domu. — Po policzkach Glorii stoczyły się dwie łzy gniewu.

— Tym razem będzie tak, jak ja chcę.

Jej ciało wyprostowało się powoli; głowa odchyliła się w tył z bezbrzeżną pogardą.

— Nienawidzę cię! — Te cicho wypowiedziane słowa sączyły się z jej ust jak jad. — Puść mnie! Nienawidzę cię! — Znów usiłowała się wyrwać, ale on trzymał ją teraz za obie ręce. — Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Widząc ją w takiej furii znów utracił pewność siebie, ale czuł, że zabrnął już zbyt daleko, by się poddać. Wydało mu się, że zawsze poddawał się jej woli, i że z tego właśnie powodu Gloria pogardza nim w duchu. Trudno, teraz go może nienawidzi, ale wkrótce będzie go podziwiać za męską siłę.

Zbliżający się pociąg wydał z siebie ostrzegawczy ryk, który melodramatycznie toczył się ku nim po niebiesko lśniących szynach. Gloria szarpnęła się gwałtownie, chcąc wyswobodzić ręce z jego uchwytu; na jej ustach pojawiły się słowa starsze niż Księga Rodzaju.

— Och, ty draniu! — szlochała. — Och, ty draniu! Nienawidzę cię, ty draniu! Ty...

Inni oczekujący pasażerowie zaczęli już odwracać się ku nim i spoglądać spod oka; dał się już słyszeć stukot kół pociągu, który zaraz przeszedł w głośny hałas. Gloria zdwoiła wysiłki, a potem, nagle zrezygnowana, stała już drżąca tylko i o rozognionych oczach, bezradna w swym upokorzeniu, a pociąg z hukiem wtoczył się na stację.

Przez klęby pary i zgrzyt hamulców dobiegł jej głos:

— Gdyby tu był choć jeden mężczyzna, nie mógłbyś tak się zachowywać! Nie mógłbyś! Ty tchórze! Ty tchórze, och, ty tchórze!

Anthony, sam drżący, stał bez słowa i trzymał ją z całych sił, świadomy wpatrzonych w siebie dziesiątek twarzy, dziwnie obojętnych, jak senne zjawy. Potem z dzwonek wykrystalizował się metaliczny szczęk, świdrujący aż do bólu; dym, ulatujący z komina lokomotywy, powoli przyspieszał swój lot ku niebu, i wreszcie znów chwila huku i szarej pary, i łańcuszek twarzy ruszył z miejsca i odbiegł, i rozpląnął się w dali — i nagle znów było tylko słońce błyszczące na szynach i oddalający się blaszany stukot pociągu. Puścił ją. Zwyciężył.

Teraz, jeśli chce, może się nawet zaśmiać. Wyszedł z tej próby obronną ręką, przemocą narzucił jej swą wolę. A po zwycięstwie czas na wielkoduszność.

— Wynajmiemy samochód i wrócimy do Marietty — powiedział zupełnie spokojnie.

W odpowiedzi Gloria chwyciła jego dłoń obiema rękami i uniósłszy ją do ust ugryzła go z całych sił w kciuk. Nawet nie poczuł bólu, a na widok krwi machinalnie przewiązał ranę chusteczką. Pewnie i to było częścią zwycięstwa — nic dziwnego, że ona tak reaguje na własną klęskę — więc nie było nawet o czym myśleć.

Szlochała teraz, prawie bez łez, gorzko i rozpaczliwie.

— Nie jadę! Nie jadę! Nie zmusisz mnie! Zabiłeś... zabiłeś całą miłość, jaką do ciebie czułam, całą miłość i cały szacunek. To, co we mnie pozostało, prędzej umrze, niż da się stąd ruszyć. Och, gdybym mogła przypuszczać, że ty, właśnie ty, kiedyś podniesiesz na mnie rękę...

— Pojedziesz ze mną — przerwał jej brutalnie — choćbym miał cię nieść.

Odwrócił się, skinął na taksówkę i kazał kierowcy jechać do Marietty. Kierowca wysiadł i otworzył im drzwi samochodu. Anthony popatrzył na żonę i rzucił przez zaciśnięte zęby:

— Wsiądziesz sama czy mam cię wsadzić?

Tłumiąc w sobie okrzyk bezmiernego cierpienia i rozpaczy poddała się i wsiadła do samochodu.

Przez całą drogę w gęstniejącą ciemność zachodu siedziała skulona po swojej stronie siedzenia, od czasu do czasu przerywając milczenie jedynie suchym, pojedynczym szlochem. Anthony wyglądał przez okno, a jego umysł rozważał tępo zmieniającą się powoli ocenę tego, co zaszło. Coś było nie w porządku — ten ostatni okrzyk Glorii uderzył w jego duszy strunę, która, choć już przebrzmiała, napełniała go dziwnym niepokojem. Był przekonany, że ma rację — a mimo to była w tej chwili taka żałosna, złamana i załamana, i upokorzona ponad swe siły. Rękawy kostiumu podarte, parasol zostawiony na peronie. Przypomniał sobie, jak dumna była z tego kostiumu jeszcze tego samego dnia rano, gdy wyjeżdżali z domu... Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie widział ich ktoś z ich znajomych, a ponad wszystkim innym powracały jej słowa:

— To, co we mnie pozostało, prędzej umrze...

Z minuty na minutę rosła w nim dziwna obawa. To, co wtedy powiedziała, tak dobrze pasowało do tej Glorii wtulonej w najdalejszy kąt samochodu, Glorii pozbawionej dumy, Glorii, jakiej dotąd nie znał. Sam zadawał sobie pytanie, czy to w ogóle możliwe. Bo o ile nie wierzył, by mogła przestać go kochać — to oczywiście nie do pomyślenia — powątpiewał, czy Gloria bez swej arogancji, swej niezależności, swej dziewiczej pewności siebie i odwagi może być dziewczyną jego glorii, pełną radości życia, bezcennym skarbem, czarującą, bo niewysłowienie i triumfalnie autentyczną.

Nawet wtedy był jeszcze bardzo pijany, tak pijany, że nawet nie zdawał sobie sprawy ze swego stanu. Gdy dotarli wreszcie do szarego domu, poszedł do siebie, gdzie, wciąż pasując się bezradnie i ponuro z tym, co uczynił, zapadł na łożku w ciężki sen.

Minęła już pierwsza i w hallu panowała niespotykana cisza, gdy Gloria, w pełni rozbudzona i niezdolna zmrużyć oka, podeszła do drzwi jego pokoju i pchnęła je na oścież. Anthony był wieczorem zbyt pijany, by choćby otworzyć okno, więc w pokoju unosił się gęsty zaduch whisky. Przez chwilę stała nad jego łóżkiem — szczupła, nieskończenie wdzięczna w chłopięcej, jedwabnej pidżamie — a w następnej chwili już tuliła się do niego gwałtownie i namiętnie, prawie go budząc, zraszając jego szyję gorącymi łzami.

— Och, Anthony! — wołała w uniesieniu. — Och, kochanie, sam nie wiesz, co zrobiłeś!

Za to rano, skoro świt, przyszedł do niej, klęknął przy łożku i płakał jak dziecko, jakby to jemu złamano serce.

— Wczoraj wydawało mi się — mówiła potem z powagą, bawiąc się jego włosami — że ta część mnie, którą kochałeś, ta, którą warto było znać, cała moja duma i ogień, znikną na zawsze. Wiedziałam, że to, co we mnie pozostało, nigdy nie przestanie cię kochać, ale już nie tak samo.

Mimo to już wtedy zdawał sobie sprawę, że czas przyniesie jej zapomnienie, że życie rzadko uderza wprost, częściej — zaciera ślady. Potem już nigdy nie wracali do tego zdarzenia, a zadana

wówczas głęboka rana zagoiła się wraz z dłonią Anthony'ego. Jeśli więc ktoś odniósł zwycięstwo, przypadło ono czemuś silniejszemu od nich obojga; zwycięstwo i mądrość przypadło jakiejś potężniejszej, mrocznej sile.

Nietzscheański incydent

Niezależność Glorii, podobnie jak wszystkie prawdziwe i głębokie cechy, pojawiła się całkowicie nieświadomie; potem jednak, gdy zafascynowany swym odkryciem Anthony zwrócił jej na to uwagę, stała się jakby niepisanym kodeksem postępowania. Słuchając jej, można by mniemać, że całą swą energię i żywotność wkłada w gwałtowną afirmację swej negatywnej zasady życiowej: „Niczym się nie przejmować”.

— Nikim i niczym — mawiała — poza sobą, no i oczywiście Anthonyem. To podstawowa reguła życia, a zresztą nawet gdyby nią nie była, postępowałabym tak samo. Nikt nigdy nie zrobiłby niczego dla mnie, gdyby nie sprawiało mu to przyjemności, więc ja też nic nie zrobię dla nikogo.

Ostatni raz wymówiła te słowa na werandzie u jednej z najmilszych pań w Marietcie, po czym krzyknęła cicho i dziwnie i zemdlna padła na podłogę werandy.

Gospodyni docuciła ją i odwiozła do domu. W głowie kochanej Glorii zakiełkowało podejrzenie, czy przypadkiem nie spodziewa się dziecka.

Leżała na dole, na długim szezlongu. Z okien ciepło wymykał się dzień, ocierając się o późne róże wijące się wokół kolumnienek ganku.

— Ciągle myślę tylko o jednym: jak bardzo cię kocham — szlochała. — Moje ciało podoba mi się tylko dlatego, że podoba się tobie. A teraz to moje — twoje — ciało zbrzydni i zatraci swój kształt. Nie zniosę tego, Anthony. Wcale nie chodzi mi o ból, nie boję się bólu.

Pocieszał ją rozpaczliwie, lecz nadaremnie. Ciągnęła:

— A potem może się zdarzyć, że pozostaną mi grube uda, że będę blada, bez tej świeżości, że moje włosy stracą swój połysk.

Chodził tam i z powrotem po pokoju z rękami w kieszeniach, pytając:

— Czy to już pewne?

— Nie wiem. Nigdy nie znosiłam ginekologów, czy jak ich tam zwą. Myślałam sobie, że kiedyś może będę miała dziecko, ale nie tak zaraz.

— No to, na Boga, nie leż tak i nie zamartwiaj się na śmierć.

Szlochanie ustało. Wraz z ogarniającym pokój mrokiem zapadło uspokajające milczenie.

— Zapal światło — poprosiła płacząco. — Dni wydają mi się teraz takie krótkie. Gdy byłam mała, w czerwcu zawsze były dłuższe.

Światła zablęsnęły; miało się wrażenie, jakby za drzwiami i oknami opadła nagle i bezszelestnie granatowa kurtyna z najmięszszego jedwabiu. Bładość Glorii, jej bezruch, pozbawiony teraz i smutku, i radości, wzruszyły Anthony'ego.

— Chcesz, żebym urodziła? — zapytała obojętnie.

— Wszystko mi jedno. To znaczy, nie mówię ani tak, ani nie. Jeżeli urodzisz, pewnie będę się cieszył. A nie — też dobrze.

— Sam nie wiesz, czego chcesz!

— Przecież to ty musisz wiedzieć, czego chcesz.

Popatrzyła na niego z pogardą i nawet nie zaszczyciła go odpowiedzią.

— Można by pomyśleć, że to okropne nieszczęście przydarzyło się tylko tobie jednej na całym świecie.

— No i co z tego! — krzyknęła gniewnie. — Inne nie traktują tego jak nieszczęścia, bo jest to jedyny cel w ich życiu, bo tylko do tego się nadają. Ale dla mnie to naprawdę nieszczęście.

— Słuchaj, Glorio. Cokolwiek postanowisz, będzie dobrze, ale, na miłość boską, nie rób z tego takiej tragedii.

— Daj mi spokój, dobrze? — Szlochanie powróciło.

Wymienili spojrzenia pozbawione konkretnego znaczenia, choć wielce wymowne. Potem Anthony zdjął z półki książkę i opadł na fotel.

Po półgodzinie głos jej dobiegł z pełnej napięcia ciszy wypełniającej pokój, unoszącej się w powietrzu jak zapach kadzidła.

— Jutro wybiorę się do Constance Merriam.

- Dobrze. A ja pojedę do Tarrytown odwiedzić dziadzia.
- Bo widzisz — dodała — nie chodzi wcale o to, że boję się te- go czy czegoś innego. Ja po prostu jestem wierna sobie, no, wiesz.
- Wiem, wiem — przytaknął.

Praktyczni mężczyźni

Adam Patch, przepelniony pobożną nienawiścią do Niemców, żywił się teraz głównie wieściami z frontu. Na ścianach jego domu rozpościerały się pokłute szpilkami mapy; na stołach piętrzyły się stosy atlasów, przemieszane z „Reportażami fotograficznymi z wojny”, oficjalną propagandą i „Własnymi wrażeniami” korespondentów wojennych i anonimowych rekrutów. Podczas samej tylko wizyty Anthony'ego sekretarz jego dziadka, Edward Shuttleworth, niegdyś „Cudotwórca ginu” baru „U Pata” w Hoboken, a obecnie surowy Katon, przynosił dodatki nadzwyczajne. Starzec rzucał się na każdą gazetę z niespożytą furią, wydzierając szpalty, które uznawał za godne zatrzymania, i wpychając je do i tak już pękających w szwach teczek.

— No, a ty czym się zajmujesz — zapytał pobłażliwie wnuka.
— Pewnie niczym, co? Tak właśnie myślałem. Przez całe lato zastanawiałem się, czy by nie pojechać cię odwiedzić.

— Piszę. Nie pamiętasz tego eseju, który ci przysłałem, tego, który sprzedałem potem do „The Florentine”?

— Eseju? Nie przysłałeś mi żadnego eseju.

— Ależ tak. Przecież rozmawialiśmy o tym.

Adam Patch z pokorą pokręcił głową.

— Nie, nie. Nie przysłałeś mi żadnego eseju. Może wydawało ci się, że mi go posyłasz, ale ja nic takiego nie dostałem.

— Ależ dziadziu, przecież go czytałeś — nalegał Anthony niemal w rozpacz. — Czytałeś go i nawet dość skrytykowałeś.

Starszy pan wreszcie przypomniał sobie, ale dał to po sobie poznać jedynie wpółotwarceniem ust, w których ukazały się dwa rzędy poszarzałych dziąseł. Taksując Anthony'ego nieprzyjaznym spojrzeniem zastanawiał się, czy przyznać się do pomyłki, czy nadal trwać w uporze.

— A więc piszesz — powiedział szybko. — A może pojechałbyś do Europy pisać o tych Niemcach? O czymś, co dzieje się naprawdę, coś, co przynajmniej ktoś by przeczytał.

— Nie każdy może być korespondentem wojennym — oponował Anthony. — Trzeba mieć gazetę, która kupi to, co się pisze, a mnie nie stać, żeby pojechać na własny koszt i bawić się w wolnego strzelca.

— Ja ci to załatwię — zaproponował niespodziewanie dziadek. — Powiedz tylko, o którą gazetę ci chodzi, a już ja to załatwię.

Anthony przeraził się — a równocześnie miał wielką ochotę zgodzić się.

— No... nie wiem...

Musiałby zostawić Glorię, której całe życie kręciło się wokół niego, wciągając go i zamykając w sobie. Gloria też miała swoje kłopoty. Nie, to niewykonalne — a jednak: już widział się w mundurze khaki, wspartego, jak wszyscy korespondenci wojenni, na ciężkiej lasce, z teczką pod pachą, starającego się jak najbardziej przypominać wyglądem Anglika. — Chciałbym dobrze to przemyśleć — wyznał. — Jestem ci bardzo wdzięczny. Przemyślę to i dam ci znać.

Przemyślał to bardzo intensywnie przez całą drogę do Nowego Jorku. Nagle doznał olśnienia, które przytrafia się wszystkim mężczyznom zdominowanym przez silną, ukochaną kobietę: wizja świata mężczyzn silniejszych, z twardszej szkoły, zmagających się z abstrakcją myśli i wojny. W takim świecie ramiona Glorii wspominałby tylko jak gorący uścisk przygodnej kochanki, wybranej z chłodnym wyrachowaniem i szybko zapomnianej...

Te nie znane mu dotąd duchy kłębiły się wokół, gdy na Grand Central Station przesiadał się na pociąg do Marietty. Wagon był zatłoczony; udało mu się zdobyć ostatnie wolne miejsce i dopiero po dłuższej chwili rzucił spojrzenie na sąsiada. Ujrzał ciężki zaros szczęki i nosa, zaokrąglony podbródek i małe, jakby opuchnięte oczy. Rozpoznał Josepha Bleockmana.

Równocześnie unieśli się z miejsc, lekko zażenowani, i wymieniili uścisk dłoni, a potem, jakby na zakończenie rytuału, obaj zaśmiali się lekko.

— No — zaczął całkowicie pozbawiony natchnienia Anthony.
— Kopę lat... — Natychmiast tego pożałował, chciał dodać: „Nie wiedziałem, że mieszka pan w tych stronach”, ale Bleockman był szybszy.

— Jak miewa się pańska żona? — zapytał.

— Doskonale? A pan?

— Wybornie. — Jego ton podkreślał jeszcze sens tego słowa.

Anthony'emu wydało się, że przez ten rok Bleockman stał się nieporównanie bardziej dystyngowany. Zniknęło gdzieś wrażenie wiecznego przemęczenia, teraz był już dżentelmenem w każdym calu. Nie nosił już swoich dawnych krzykliwych krawatów, zastąpił je ciemnymi, solidnymi, a prawej dłoni, niegdyś udekorowanej dwoma wielkimi sygnetami, nie zdobił nawet surowy połysk manicure.

Dystyngowana była też cała jego osobowość. Nie udawał już doświadczonego podróżnika, czego najgorszym przejawem byłoby rzucanie pikantnych żartów w wagonowej palarni. Wydawało się, że doskonała pozycja finansowa wykształciła w nim chłód, podobnie jak słaba pozycja towarzyska — rezerwę. Niezależnie jednak od tego, skąd u Bleockmana wzięło się przekonanie o własnej wartości, Anthony nie potrafił już czuć się wiele lepszym od niego.

— Pamięta pan Caramela, Richarda Caramela? Zdaje się, że poznaliście się kiedyś.

— Pamiętam. Pisał wtedy książkę.

— Tak, i nawet potem sprzedał ją do kina. Dali ją do przerebienia scenarzyście, jakiemuś Jordanowi. No więc Dick dostaje regularnie wycinki z prasy z artykułami na temat filmu i jest wściekły, bo połowa krytyków pisze o „potędze wyrazu «Diabelskiej kochanki» Williama Jordana”, ani słowem nie wspominając o moim starym Dicku. Mogłoby się zdawać, że to ten Jordan od początku wszystko wymyślił i napisał.

Bleockman ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Zwykle określa się w umowie, że w płatnych reklamach używa się nazwiska autora oryginału, a nie scenarzysty. A Caramel dalej pisze?

— Pisze, pisze, i to dużo. Opowiadania.

— No to świetnie, to świetnie... Często jeździ pan tym pociągiem?

- Mniej więcej raz na tydzień. Mieszkamy w Marietcie.
- Tak? No, proszę! Ja też mieszkam koło Cos Cob. Całkiem niedawno kupiłem tam dom. Czyli dzieli nas zaledwie pięć mil...
- Musi pan nas kiedy odwiedzić. — Sam Anthony zdziwił się swą uprzejmością. — Jestem pewny, że Gloria bardzo ucieszy się ze spotkania ze starym znajomym. Wszyscy panu powiedzą, gdzie mieszkamy — to nasz drugi rok w Marietcie.
- Dziękuję. — A potem, jakby odwdzięczając się grzecnością za grzeczność: — A jak się miewa pański dziadek?
- Ostatnio całkiem nieźle. Właśnie od niego wracam.
- To wielki człowiek — powiedział surowo Bleockman. — Doskonały przykład dobrego Amerykanina.

Triumf letargu

Po powrocie Anthony znalazł żonę pogrążoną w odmętach hamaka, zmysłowo rozkoszującą się lemoniadą i kanapką z pomidorem, prowadzącą na pozór beztroską pogawędkę z Taną; pogawędka dotyczyła oczywiście jednego z ulubionych tematów Tany.

— W mojej kraju — zaczynał jak zwykle — ludzi... cały czas... jedzą ryż... bo nie mają. A jak nie ma, się nie je. — Gdyby jego narodowości nie zdradzał w tak oczywisty sposób wygląd, można by pomyśleć, że wiedzę o ojczyźnie czerpał z amerykańskiej szkoły podstawowej.

Gdy wreszcie udało się zatamować potok wymowy Azjaty i odejść do kuchni, Anthony popatrzył pytająco na Głorię:

- Wszystko w porządku — oznajmiła z szerokim uśmiechem.
- Jestem tym jeszcze bardziej zdziwiona niż ty.
- Nie ma wątpliwości?
- Nie ma. Żadnych!

Cieszyli się wspólnie, na nowo weseli dawną nieodpowiedzialnością. Potem powiedział jej o propozycji wyjazdu, o tym, że aż wstyd mu odmówić.

- A co ty o tym sądzisz? Szczerze?
- No wiesz, Anthony! — W jej oczach pojawiło się zaskoczenie. — Naprawdę chcesz jechać? Beze mnie?

Zrezygnowany opuścił ręce — pytanie żony uświadomiło mu jednak, że i tak jest już za późno, że jej słodkie ramiona nie wypuszczą go z tego duszącego uścisku, że wszystkie decyzje podjął już dawno i raz na zawsze rok temu, w pokoju hotelu „Plaza”. Takie marzenia, jak teraz to o wojnie, były już dla niego anachronizmem.

— Ależ, Glorio — Zrozumiał, więc skłamał. — Oczywiście, że nie bez ciebie. Myślałem, że może mogłabyś pojechać jako siostra miłosierdzia czy coś takiego. — Zastanawiał się tępo, czy dziadka dałoby się przekonać do tego pomysłu.

Widząc jej uśmiech na nowo odkrył, jaka jest piękna — zachwycająca dziewczyna o cudownej świeżości i nieskończonej szlachetnych oczach. Jego pomysł chwyciła w dłonie z rozkosznym natężeniem, unosząc go w górę niczym słońce, przez nią samą stworzone, kąpiąc się w jego promieniach, już teraz tworząc zadziwiające streszczenie ich wspólnej, szalonej, wojennej przygody.

Po kolacji, nasycona tematem, ziewnęła szeroko; rozmowa nudziła ją, chciała tylko czytać „Penroda”, leżąc na szezlongu, gdzie też zasnęła około północy. Za to Anthony, gdy tylko, jakże romantycznie, zaniósł ją do sypialni, długo jeszcze rozmyślał o minionym dniu, lekko urażony, lekko niezadowolony.

— Powiedz, co ja mam robić — zaczął przy śniadaniu. — Jesteśmy małżeństwem od roku i od roku tylko się czymś zamartwiamy; nie potrafimy nawet być dobrymi leniuchami.

— O, tak, musisz znaleźć sobie jakieś zajęcie — przyznała, będąc akurat w dobrym humorze, skora do pogawędki. Nie po raz pierwszy rozmawiali na ten temat, ale że w rozmowach tych dominował zwykle Anthony, Gloria starała się ich unikać.

— Nie chodzi wcale o to, że mam jakieś moralne zasady co do pracy — ciągnął — ale dziadzio może i umrzeć jutro, i żyć jeszcze przez dziesięć następnych lat. My tymczasem żyjemy ponad stan, a jedyne, czym możemy się poszczycić, to samochód, który bardziej pasowałby do jakiegoś wieśniaka, i parę ciuchów. Płacimy za mieszkanie, w którym mieszkaliśmy przez zaledwie trzy miesiące, i mamy mały, stary dom na jakimś zabitym deskami pustkowiu. Często nudzimy się, ale ty nie chcesz poznać żadnych nowych ludzi. Wolisz obracać się ciągle wśród tych samych znajomych, którzy przez całe lato snują się po Kalifornii w sportowych strojach

i czekają, aż powymierają ich rodziny.

— Zmienileś się, i to bardzo — zauważyła Gloria. — Kiedyś mówiłeś, że nie widzisz powodu, żeby Amerykanin nie miał prawa leniuchować sobie z godnością.

— No tak, do diabła, ale wtedy nie byłem jeszcze żonaty. Poza tym mózg pracował mi wtedy na najwyższych obrotach, a teraz, choć ledwo się kręci, i tak nic z tego nie wynika. Wiesz, myślę sobie, że gdybym cię nie poznał, doszedłbym do czegoś. Bo z tobą próżniactwo jest takie przyjemne...

— Ach, więc to wszystko moja wina...

— Wiesz, że nie o to mi chodzi. Ale z drugiej strony mam już dwadzieścia siedem lat, a...

— Och — przerwała niecierpliwie — jakie to męczące! Mówisz, jakbym ci zawadzała, jakbym przeszkadzała ci w...

— Czy nie mogę już powiedzieć tego, co myślę, pomówić z tobą...

— Myślałam, że jesteś na tyle silny, że będziesz potrafił sam...

— ...o tym bez...

— ...rozwiązywać swoje problemy, a nie przrzucać ich na mnie. Praca? Tyle o niej mówisz, ale na tym się kończy. Pewnie, przydałoby się, żebyś miał dla mnie więcej forsy, ale czy narzekam? Kocham cię tak samo, czy pracujesz, czy nie. — Jej ostatnie słowa spadły miękko jak miękki śnieg na twardą ziemię, ale w tej chwili nie słuchali się już nawzajem, bo uwagę obojga zaprzętała chęć uściślenia i udoskonalenia własnego stanowiska w tej rozmowie.

— Przecież ja pracuję. — Anthony postąpił bardzo nierozsądnie, rzucając do boju ostatnie odwody. Gloria zaśmiała się, trochę wesoło, trochę pogardliwie: złościły ją te wymówki, ale podziwiała jego beztróskę. Nie miała mu za złe, że w gruncie rzeczy jest niezdolnym do najmniejszego wysiłku próżniakiem, kierującym się zasadą, że i tak nie warto nic robić — jeśli nie usiłował tego ukryć.

— Pracujesz! — powtórzyła. — Nie kręć, biedaku! Pracujesz! Z wielkim hałasem ustawiasz sobie rzeczy na biurku, i lampę, i strugasz ołówki, i „Glorio, przestań śpiewać!”, i „Glorio, nie wpuszczaj do mnie tego przekłętą Tany”, i „Chodź, przeczytam ci pierwsze

zdanie”, i „Dzisiaj będę pracował do późna w nocy, więc nie czekaj na mnie”, i mnóstwo kawy i herbaty. I na tym koniec. Mija godzina i przestają słyszeć skrzypienie ołówka, bo na pewno zdjąłeś z półki książkę, żeby coś „sprawdzić”, a potem zaczynasz czytać, a potem ziewniesz raz czy dwa — i już do łóżeczka, w którym ciągle obracasz się z boku na bok, ale nie możesz zasnąć, bo wyżłopałeś tyle kawy... I za jakieś dwa tygodnie znów to samo.

Anthony z trudem usiłował zachować nędzne resztki godności.

— Chyba lekko przesadzasz. Wiesz doskonale, że sprzedałem jeden esej „The Florentine”, i że, jeśli wziąć pod uwagę nakład „The Florentine”, artykuł cieszył się dużym powodzeniem. I wiesz przecież, że gdy go kończyłem, siedziałem nad nim do piątej rano.

Zamilkła, popuszczając mu nieco linki — jeśli nie połknął haczyka, to na pewno zainteresował się już przynętą.

— A poza tym — zakończył niepewnie — naprawdę chciałbym zostać korespondentem wojennym.

Ale Gloria też tego chciała. Oboje byli pełni dobrych chęci, nawet entuzjazmu, i zapewniali się o tym nawzajem. Wieczór zakończył się więc potężnym akordem miłości, lenistwa, wiary w coraz gorsze zdrowie Adama Patcha — ale przede wszystkim miłości.

— Anthony! — zawołała Gloria z ganeczku na piętrze pewnego popołudnia w tydzień później. — Ktoś do nas jedzie!

Anthony, wylegujący się w hamaku na nakrapianej słońcem południowej werandzie, ruszył dookoła domu. Na podjeździe, jak wielki, ponury żuk, przycupnął imponujących rozmiarów zagraniczny samochód. Wychylał się z niego mężczyzna w miękkim jedwabnym garniturze i czapce z tego samego materiału.

— Dzień dobry panu. Pomyślałem, że wpadnę do was na chwilę.

Był to Bleockman — jak zawsze, nieco bardziej dystyngowany, nieco bardziej subtelny, nieco bardziej przekonująco swobodny.

— Tak się cieszę. — Anthony uniósł głowę ku zakrytemu bluszczem okienku na piętrze: — Glooria! Mamy gości!

— Jestem w wannie — odpowiedziała uprzejmie.

Obaj panowie uśmiechem skwitowali wszechpotężną siłę jej alibi.

— Zaraz zejdzie. Chodźmy tam, na werandę. Napije się pan? Gloria zawsze spędza w wannie prawie pół dnia.

— W takim razie szkoda, że nie mieszkanie nad samym morzem.

— Nie stać nas.

Że uwaga ta pochodziła z ust wnuka Adama Patcha, Bleockman uznał ją za formę żartu. Po pełnym kwadransie, wypełnionym pięknymi i błyskotliwymi uwagami, pojawiła się Gloria, świeża jak poranek, w żółtej wykrochmalonej sukience, wnosząc na werandę nastrój i ożywienie.

— Chciałabym zrobić furorę w filmie — oznajmiła. — Podobno Mary Pickford zarabia rocznie z milion dolarów.

— Ma pani wszelkie szanse po temu — powiedział Bleockman. — Wydaje mi się, że jest pani bardzo fotogeniczna.

— Anthony, pozwolisz? Jeżeli nie będę grała w drastycznych scenach?

Rozmowa potoczyła się dalej, a Anthony myślał sobie o tym, że przecież kiedyś ta dziewczyna była dla nich obu najbardziej podniecającą, a zarazem najbardziej kojącą osobą, jaką znali — a teraz siedzą sobie tutaj jak nadmiernie naoliwione maszyny, bez walki, bez obaw i bez radości, pokryte grubą warstwą emalii figurki, czujące się bezpiecznie — tak bezpiecznie, że nic już ich nie cieszy — w świecie, którego jedna połowa właśnie w tej chwili pławi się w koszmarze śmierci i wojny, tępych uczuć i szlachetnego bestialstwa.

Za chwilę zawoła Tanę i zaczną wlewać w siebie radosną, delikatną truciznę, która na chwilę przywróci im przyjemne podekscytowanie dzieciństwa, czasów, gdy każda twarz w tłumie przywodziła na myśl wspaniałe, ważne sprawy, wiodące ku nieokreślonymu, lecz wspaniałemu szczytnemu celowi... Życie to tylko letnie popołudnie: lekki wiaterek, bawiący się koronkowym kołnierzykiem Glorii, powolna, upalna senność werandy... Są tacy niewzruszeni, tak dalecy od wszelkiej romantycznej nieuchronności działania. Nawet

urodzie Glorii potrzeba dzikości, ostrości, śmierci...

— ...W każdy dzień powszedni — mówił Bleockman do Glorii.
— Proszę, to moja wizytówka. Nakręcą na próbę jakieś trzysta stóp
taśmy i wtedy zaraz będzie wiadomo.

— To może w środę

— Doskonale. Proszę do mnie zatelefonować, to pójdziemy
razem...

Już stał, już pośpiesznie żegnał się z nimi, już jego auto stało się
tumanem kurzu na drodze. Anthony popatrzył na żonę ze zdumie-
niem.

— Ależ, Glorio!

— Anthony, nie masz chyba nic przeciwko temu, że pójdę na
próbne zdjęcia? To przecież tylko próba! I tak muszę jechać w śro-
dę do miasta.

— Ale to nonsens! Po co ci to? Po co masz włączyć się od stu-
dia do studia z tłumem marnych aktoreczek?

— A Mary Pickford też się włączy od studia do studia?

— Nie każdy może być Mary Pickford.

— Ale dlaczego w ogóle masz coś przeciwko temu, że bym
spróbowała?

— Bo tak. Bo nie cierpię aktorów.

— Nie nudź. Myślisz, że to takie przyjemne bez końca wylegi-
wać się tu, na tej cholernej werandzie?

— Jeśli mnie kochasz...

— Oczywiście, że cię Kocham — zniecierpliwiła się, równocze-
śnie wynajdując nową linię obrony. — Po prostu żal mi ciebie, że
tak się męczysz, nie mogąc zabrać się do pracy. Może jeśli ja będę
miała przez jakiś czas coś do roboty, i ciebie to zmobilizuje.

— Chcesz rozrywki, i tyle.

— A nawet jeśli tak, to co w tym złego? To chyba całkiem na-
turalne!

— Wiedz tylko, że jeśli ty pójdziesz do filmu, to ja jadę do Eu-
ropy.

— No to jedź! Ja cię nie zatrzymuję!

I by mu to ostatecznie udowodnić, rozplynęła się w łzach me-
lancholii. Wspólnie wezwali na pomoc armie uczucia — słowa,
pocałunki, pieszczoty — każde brało na siebie winę, ale nic nie

osiągnęli. Nie mogli nic osiągnąć. Wreszcie, w przyływie gigantycznej miłości, każde usiadło przy swym biurku i napisało list: Anthony do dziadka, Gloria do Josepha Bleockmana. Letarg triumfował.

Pewnego dnia na początku czerwca Anthony powrócił z popołudniowego pobytu w Nowym Jorku. Wchodząc do domu zawołał Glorię. Nie otrzymawszy odpowiedzi uznał, że widocznie śpi, więc ruszył do kuchni, by posilić się kanapką, zawsze zostawianą mu na noc. Zastał tam Tanę siedzącego przy stole nad przedziwną zbieraniną przeróżnych rupieci — pudełek po cygarach, noży, ołówków, nakrętek od słoików — i nad kawałkami papieru pokrytymi skomplikowanymi rysunkami i schematami.

— A cóż ty wyprawiasz, do diabła? — zapytał Anthony z ciekawością.

Tana uśmiechnął się grzecznie.

— Pokażę paa — zawołał z entuzjazmem. — Powiem...

— Budujesz psią budę!

— Nie, paa. — Znów uśmiech. — Maszyna do pisanie.

— Maszynę do pisania?

— Tak, paa. Myślę, cała czas myślę, leżę łóżko i myślę o maszynie do pisanie.

— Aha, więc postanowiłeś sam ją skonstruować?

— Paa poczeka, ja powiem.

Anthony żuł kanapkę, opierając się o zlew. Tana kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, jakby sprawdzając ich funkcjonowanie. Wreszcie zaczął pośpiesznie:

— Myślę... maszyna do pisanie... ma dużo, oj dużo dużo dużo takich... Oj, dużo dużo dużo dużo...

— Rozumiem. Dużo klawiszów.

— Nie? Tak — klawiszy! Dużo dużo dużo dużo litel. Takich...

a... b... c...

— No, tak...

— Paa poczeka, ja powiem. — Twarz wykrzywiła mu się w ogromnym wysiłku, z jakim szukał właściwych słów: — Myślę... dużo słów... tak samo kończy. Jest „chować”, „pracować”...

— No tak. Bardzo dużo.

— To ja... zrobi... szybka maszyna. Nie tyle litel...
— Świetny pomysł, Tana. Będzie się szybciej pisać. Zdobędziesz majątek. Przyciska się klawisz i już jest „ować”. Mam nadzieję, że ci się uda.

Tana zaśmiał się lekceważąco.

— Paa poczeka, ja powiem...

— A gdzie pani?

— Wyszła. Paa poczeka, ja powiem... — Znów wykrzywił twarz. — Moja maszyna...

— Gdzie ona jest?

— Tutaj. Tu ją robię. — Wskazał bałagan na stole.

— Nie, gdzie pani?

— Wyszła — uspokoił go Tana. — Mówiła, wróci piąta.

— Poszła do wsi?

— Nie. Jeszcze przed obiadem. Z panem Bleockmanem.

Anthony wzdrygnął się.

— Z Bleockmanem?

— Wróci piąta.

Anthony wyszedł z kuchni bez słowa; w ślad za nim pobiegło smętne „ja powiem” Tany. A więc to tak bawi się Gloria! Zaciskał pięści; wystarczyła chwila, by wprowadzić się w stan świętego oburzenia. Podszedł do drzwi i wyrzwał na zewnątrz: nie widać było ani jednego samochodu, a wskazówki zegarka pokazywały cztery minuty po piątej. Wściekle popędził na koniec podjazdu — aż do odległego o milę zakrętu droga była pusta... zaraz... nie, to tylko jakiś chłopski grat. Potem, bez cienia godności usiłując zachować godność, równie szybko ruszył z powrotem pod opiekuńcze skrzydła domu.

Chodząc tam i z powrotem po salonie rozpoczął generalną próbę gniewnej przemowy, jaką zamierzał ją powitać...

— A więc to tak wygląda twoja miłość! — chciał zacząć.

Nie, to zbyt przypomina jakiś ograny przebój. Musi być pełen godności, smutku, urazy. Na przykład... — A więc to ty w ten sposób zabawiasz się, gdy ja muszę załatwiać tysiące spraw, tłukąc się po całym mieście w tym upale. Trudno się dziwić, że potem nie jestem w stanie napisać ani słowa! Trudno się dziwić, że nie mogę ani na chwilę spuścić cię z oka! — Zaczynał się rozgrzewać. — Powiem ci — ciągnął. — Powiem... — Urwał, bo w słowach tych

usłyszał coś znajomego; przecież to samo powtarzał dziś Tana: „Ja powiem”.

Mimo to Anthony ani się nie zaśmiał, ani nie pomyślał, że jest śmieszny. W jego przerażonej wyobraźni była już szósta, siódma, ósma — a Glorii ciągle nie ma! Pewnie Bleockman, zauważywszy, jaka jest znudzona i nieszczęśliwa, przekonał ją, by uciekła z nim do Kalifornii...

...Przed domem rozległ się hałas, radosne „Hej, hej, Anthony!” Wstał cały drżący, w duchu szczęśliwy, że widzi ją na dróźnie. Z tyłu kroczył Bleockman z czapką w dłoni.

— Kochanie! — zawołała. — Byliśmy na wspaniałej przejażdżce po całym stanie!

— Muszę wracać do domu — powiedział niemal natychmiast Bleockman. — Szkoda, że nie zastałem was obojga.

— Tak mi przykro — odpowiedział sucho Anthony.

Bleockman odjechał. Anthony zawahał się. Obawa ustąpiła z jego serca, ale nadal był przekonany, że powinien wystąpić z jakimś protestem. Decyzję pomogła mu podjąć Gloria.

— Wiedziałam, że nie miałbyś nic przeciwko temu. Przyjechał tuż przed obiadem, powiedział, że ma coś do załatwienia w Garrison, i czybym z nim nie pojechała. Anthony, on był taki samotny! I dał mi prowadzić przez całą drogę!

Anthony zobojętniał nagle i opadł na krzesło. Poczul się nagle straszliwie zmęczony, znużony wszystkim i niczym, udreńczony dźwiganiem na sobie ciężaru spraw całego świata, którego wcale nie chciał brać na swoje barki. Zawsze był słaby i zagubiony; należą do ludzi, którzy, choć z ust ich płyną okrągłe zdania, nigdy nie potrafią wysłowić się do końca, dziedziczył tylko jedno: wielką tradycję ludzkich niepowodzeń — to, i przecucie śmierci.

— Chyba już mi wszystko jedno — odpowiedział.

W tych sprawach trzeba być wyrozumiałym, tym bardziej względem Glorii, tak młodej i tak pięknej — ale jego męczyło już, że nie potrafi tego zrozumieć.

Zima

Przewróciła się na wznak i przez chwilę leżała bez ruchu w wielkim łożu, przyglądając się, jak lutowe słońce z trudem sączy się do pokoju przez ołowiowe szyby. Przez chwilę nie wiedziała ani gdzie jest, ani co wydarzyło się poprzedniego dnia; a potem pamięć wróciła na swoje miejsce jak wahadło i zaczęła wystukiwać swą opowieść, za każdym ruchem sypiąc coraz większymi okruchami czasu — i Gloria zmartwychwstała.

Słyszała teraz ciężki oddech śpiącego obok Anthony'ego; czuła whisky i dym papierosowy. Zauważyła, że w ogóle nie panuje nad mięśniami; przy każdym ruchu ciężar ciała nie rozkładał się, jak zwykle, na wszystkie członki — był straszliwym wysiłkiem systemu nerwowego, jakby musiała sama hipnotyzować się, by wykonać coś, co niewykonalne...

Poszła do łazienki, myła zęby, starając się pozbyć tego obrzydliwego posmaku w ustach; potem, z powrotem w sypialni, usłyszała zgrzyt klucza w zamku frontowych drzwi — to Bounds.

— Anthony, obudź się! — powiedziała ostro.

Wsunęła się obok niego do łóżka i zamknęła oczy.

Niemal ostatnią rzeczą, którą pamiętała, była rozmowa z Lacy-mi. Pani Lacy powiedziała: „Czy na pewno nie trzeba państwu wezwać taksówki?”, na co Anthony odpowiedział, że chyba jakoś dowlecze się do Piątej. Potem oboje usiłowali się uklonić, co było błędem, bo bezsensownie wpadli w cały batalion pustych butelek na mleko, ustawionych tuż pod drzwiami; musiało ich tu być z dwadzieścia, stojących w ciemności z rozdziawionymi gębami. Nadal nie potrafiła wytłumaczyć sobie tych butelek. Może zwabiły je te śpiewy u Lacych — przybiegły i stały tam, nasłuchując w zadziwieniu. No, jakoś w końcu dali sobie radę, choć przez chwilę wydawało się jej, że już nigdy nie wstaną, tak toczyły się na wszystkie strony te złośliwe stworzenia...

I nawet taksówkę znaleźli. — Mam zepsuty licznik, ale to będzie z półtora dolara — oznajmił kierowca. — No — Anthony na to — a ja jestem młody Packy McFarland i tak ci przyłożę, że się nie pobierasz... — Nie skończył, bo taksówkarz odjechał — bez nich. Musieli jednak złapać inną taksówkę, bo w końcu jakoś znaleźli się w mieszkaniu...

— Która godzina? — Anthony siedział sztywno w łóżku i patrzył na nią jak sowa.

Było to pytanie czysto retoryczne, gdyż Gloria nie potrafiła znaleźć jednego choćby powodu, dla którego miałyby znać godzinę.

— Jezu, jak ja się czuję! — wymamrotał Anthony. Rozluźnił się i opadł na poduszkę. — Niech mnie ktoś dobije! Przybywaj, kostucho!

— Anthony, jak trafiliśmy do domu?

— Przyjechaliśmy taksówką.

— Aha! — Po chwili: — I to ty położyłeś mnie do łóżka?

— Nie wiem. Wydawało mi się, że to ty mnie położyłaś. Jaki to dziś dzień?

— Wtorek.

— Wtorek? Oby, bo jeśli jest środa, to muszę wstawać i iść do tej głupiej roboty. Pomyśleć, że trzeba być w mieście o dziewiątej czy jakiejś równie pogańskiej porze.

— Zapytaj Boundsa — zaproponowała Gloria słabym głosem.

— Bounds! — zawołał.

Bounds, nienaganny, trzeźwy, postać wprost ze świata, który, jak im się zdawało, całkowicie opuścili w ciągu tych ostatnich dwu dni, przemaszerował drobnymi kroczkami przez korytarz i pojawił się w półmroku drzwi.

— Jaki dziś dzień, Bounds?

— Wydaje mi się, sir, że mamy dziś dwudziesty drugi dzień lutego.

— Ale jaki to dzień tygodnia?

— Wtorek, sir.

— Dzięki.

Chwila ciszy.

— Czy mam podać śniadanie, sir?

— Tak. Aha, Bounds, jeszcze przed śniadaniem przynieś tu dzbanek z wodą, bo trochę chce mi się pić, i postaw go przy łóżku.

— Tak jest, sir.

I z tą samą, trzeźwą godnością Bounds wycofał się do kuchni.

— To dziś urodziny Lincolna — przypomniał sobie bez większego entuzjazmu Anthony. — Albo dzień Świętego Walentego, albo jeszcze coś. Kiedy zaczęło się to szaleństwo?

— W sobotę wieczór.

— Po kościele? — zapytał złośliwie.

— Goniliśmy się po całym mieście powozami. Maury usiadł na koźle, nie pamiętasz? Potem przyszliśmy do domu, a Maury chciał nas poczęstować bekonem. Wyszedł z kuchni ze spalonymi resztkami kilku plastrów, wmawiając nam, że są „przysłowiowo wysmażone na chrupko”.

Oboje zaśmiali się, spontanicznie, choć z pewnym wysiłkiem. Leżąc obok siebie przypominali sobie łańcuch wydarzeń, w wyniku których przeżywali teraz ten okrutny poranek.

W Nowym Jorku mieszkali od niemal czterech miesięcy, bo w domku na wsi pod koniec października zrobiło się za zimno. W tym roku zrezygnowali z Kalifornii, częściowo z powodu braku funduszy, częściowo w nadziei, że ta nie kończąca się wojna, z uporem wkraczająca w swój drugi już rok, skończy się w zimie, a wtedy mogliby wreszcie pojechać za granicę. Ostatnio ich dochody straciły dotychczasową elastyczność; nie dało się już naciągać ich na tyle, by pokrywały wszystkie wesołe kaprysy i sympatyczne wybryki, a Anthony spędzał wiele pełnych rozmyślań, lecz bezproduktywnych godzin nad gęsto zapisanym notesem, sporządzając wspaniałe zestawienia, pozostawiające spore rezerwy na „rozrywki, wyjazdy itp.”, i usiłując określić; choćby w przybliżeniu, dawniejsze wydatki.

Wspominał czasy „szaleństw” ze swymi dwoma najbliższymi przyjaciółmi, gdy to on i Maury płacili lwią część rachunków. To oni kupowali bilety do teatru, to oni najczęściej brali udział w szlachetnym wyścigu o to, kto stawia kolację. Tak wypadalo, bo Dicka, z jego naiwnością i zadziwiającym zapasem opowieści na temat własnej osoby, traktowali, jakby był młodszy, jakby był ich wesołkiem, błaznem obu ich królewskich mości. Teraz było inaczej. Teraz to Dick zawsze miał pieniądze, teraz to Anthony bawił ich, jak mógł — z wyjątkiem szalonych, suto podlanych winem i mocno drenujących kieszeń „szaleństw” — i to Anthony miał rano poważną minę, przyznając rację zde gustowanej i pełnej pogardy Glorii, „że następnym razem muszą być rozsądniejsi”.

W ciągu dwóch lat, które minęły od ukazania się „Diabelskiej kochanki”, Dick zarobił ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, z czego większość ostatnio, gdy zarobki prozaików wzrosły niepomniernie wskutek nieopanowanego głodu kina. Za każde opowiadanie płacono mu teraz po siedemset dolarów, co dla tak młodego człowieka stanowiło bardzo poważną sumę — nie skończył jeszcze trzydziestu lat — a na każdej, w której znalazło się dość akcji (czyli pocałunków, strzelanin i ofiar), by zainteresować kino, zarabiał dodatkowy tysiąc. Opowiadania jego były różne; w każdym było dość życia i trochę niezłej techniki pisarskiej, ale żadne nie dorównywało oryginalnością „Diabelskiej kochance”; kilka z nich Anthony uważał za wręcz prostackie. Dick twierdził surowo, że napisał je, by dotrzeć do „szerszego czytelnika”. Czyż wszyscy autorzy, który na trwale zadomowili się na literackim Parnasie, od Szekspira po Marka Twaina, nie znajdowali czytelników tak wśród wybranych, jak i wśród mas?

I choć Anthony z Maurym głośno protestowali, Gloria powtarzała mu, by nie przejmował się niczym i starał się zarobić jak najwięcej, bo przecież i tak tylko to się liczy...

Maury, nieco grubszy, nieco spokojniejszy i bardziej wyrozumiały niż dawniej, znalazł pracę w Filadelfii. Do Nowego Jorku przyjeżdżał raz czy dwa razy na miesiąc, a wtedy we czwórkę podążali utartymi ścieżkami od kolacji po teatr, stamtąd do tego czy innego nocnego klubu; czasem, za namową wiecznie niesytej wrażeń Glorii — do jednej z piwnic Greenwich Village, osławionych dzięki gwałtownej a krótkotrwałej modzie na „nowy ruch poetycki”.

W styczniu, wygłosiwszy wiele monologów pod adresem niezbyt nimi zachwyconej żony, Anthony postanowił „znaleźć sobie coś do roboty”, przynajmniej na tę zimę. Chciał sprawić tym przyjemność dziadkowi i, do pewnego stopnia, przekonać się, czy i on sam miałby z tego jakąś przyjemność. Po paru na wpół towarzyskich rozmowach zrozumiał, że pracodawcy nie są jakoś zainteresowani zatrudnieniem młodego człowieka, który „chce spróbować przez kilka miesięcy”. Jako wnuka Adama Patcha przyjmowano go wszędzie z największą uprzejmością, ale dziadek nie liczył się już w tym świecie — dni jego największej sławy, najpierw jako „wyzyskiwacza”, później zaś zbawcy ludzi, minęły wraz z wycofaniem się

przezeń z interesów. Niektórzy z młodszych rozmówców byli niemal pewni, że Adam Patch nie żyje już od kilku lat.

W końcu Anthony udał się po radę do dziadka; ten uznał, że Anthony powinien zająć się maklerstwem. Wnuk przyjął radę niechętnie, ale postanowił jej usłuchać: Zręczna operacja pieniądzem, i to w dużych ilościach, jest zawsze choć trochę fascynująca, podczas gdy od wszelkich działań związanych z wytwarzaniem czegoś wiało nudą. Anthony zastanawiał się jeszcze nad dziennikarstwem, ale uznał, że godziny pracy nie są dostosowane do potrzeb człowieka żonatego. Przez jakiś czas pieścił w wyobraźni przyjemne wizje objęcia posady redaktora w jakimś błyskotliwym czasopiśmie opiniotwórczym, takim amerykańskim „*Mercure de France*”, a może producenta komedii satyrycznych i paryskiej rewii muzycznej, ale dostępu do tych stanowisk najwyraźniej strzegły tajemnice zawodowe, obejmowali zaś je ci, którzy dotarli do nich podejrzanymi szlakami pisarstwa lub aktorstwa. Zdobyć pracę w czasopiśmie było niemożliwe bez doświadczenia w dziennikarstwie.

W końcu więc z listem polecającym od dziadka w dłoni Anthony przekroczył próg typowej, amerykańskiej świątyni pieniądza, w której jako najwyższy kapłan zasiadał prezes firmy Wilson, Hiemer & Hardy — i zdobył posadę. Miał rozpocząć pracę dwudziestego trzeciego lutego.

Właśnie dla uczczenia tego wielkiego zdarzenia zaplanowano te dwudniowe uroczystości; jak twierdził sam zainteresowany, gdy zacznie pracę, w dni powszednie będzie musiał chodzić wcześniej spać. Maury Noble i tak był w Nowym Jorku (przyjechał zobaczyć się z kimś na Wall Street, co mu się zresztą nie udało), a uczestnictwo Richarda Caramela zostało pozyskane częściowo perswazją, częściowo oszustwem. W poniedziałek po południu zaszczylicili swą obecnością bardzo ekskluzywne i mocno podlane alkoholem wesele, ale apogeum osiągnęli dopiero wieczorem: Gloria, przekroczywszy swój zwykły limit czterech koktajli, w dodatku starannie rozmieszczonych w czasie, ciągnęła ich za sobą niczym najweselsza i najbardziej rozradowana bachantka, z jaką kiedykolwiek mieli do czynienia, wykazując przy tym zadziwiająco znajomość baletowych pas i wyśpiewując piosenki, których, jak sama wyznała, została

w niewinnym wieku siedemnastu lat nauczona przez kucharkę rodziców. Występy te powtarzała przez całą noc z tak szczerym zadowoleniem, że Anthony nie tylko nie miał jej tego za złe, lecz wręcz cieszył się nowym źródłem zabawy. Wydarzyło się wiele innych, godnych zapamiętania rzeczy — jak na przykład długa rozmowa między Maurym a ciągnionym przezeń na sznurku, zmarłym krabem, z którego Maury usiłował wydobyć zapewnienie, że skorupiak jest obznajmiony z dwumianem Newtona, czy też wspomniany już przedtem wyścig dwóch dorożek, którego widownią były stateczne, imponujące cienie Piątej Alei, a który zakończył się zawilą ucieczką w ciemność Central Parku. Na koniec Anthony i Gloria złożyli wizytę znanemu z hulaszczego trybu życia młodemu małżeństwu, państwu Lacym, wizytę, która zakończyła się owym spektakularnym upadkiem na butelki po mleku.

Teraz zaś jest rano — czas podliczyć wydatki poniesione tu i tam w klubach, sklepach, restauracjach; czas wywietrzyć wilgotny zaduch wina i dymu papierosowego z wysokiego, błękitnego salonu, zamieść rozbite szkło i czyścić poplamione obicia foteli i kanap; obrzucić Boundsa garniturami i sukniami do czyszczenia; i wreszcie czas wyprowadzić stłamszone, rozgorączkowane ciało na przenikliwy, lutowy chłód, by życie mogło toczyć się dalej, a firma Wilson, Hiemer & Hardy — otrzymać następnego dnia, o dziewiątej rano, nowego pracownika w osobie rzeńskiego młodzieńca.

— A pamiętasz — zawołał Anthony z łazienki — jak Maury wysiadł na rogu Sto Dziesiątej Ulicy i udawał policjanta kierującego ruchem, jak przepuszczał jedne samochody, a zatrzymywał inne? Myśleli chyba, że to tajniak.

Każde takie wspomnienie wywoływało u nich salwy nieopanowanego śmiechu — ich nadszarpnięte nerwy reagowały równie ostro na wesołość, co na smutek.

Dzień włókł się leniwie. Anthony, jadąc do swego maklera, by sprzedać kolejną akcję, zorientował się, że ma w kieszeni wszystkiego dwa dolary. Wiedział, że tyle właśnie będzie go kosztowała taksówka, ale tego akurat dnia nie miał najmniejszej ochoty gnieść się w metrze. Wsiądzie, gdy taksometr dojdzie do dwóch dolarów, i resztę drogi odbędzie piechotą.

Zaczął po swojemu śnić na jawie... Że taksometr idzie za szybko, bo kierowca okazał się oszustem. Anthony ze spokojem jedzie

do końca, a tam wręcza kierowcy tyle, ile mu się należy i ani centa więcej... Taksówkarz chce się bić, ale Anthony powala go jednym, wspinałym uderzeniem. Kierowca podnosi się, ale Anthony robi unik i nokautuje przeciwnika ciosem w skroń.

...Wiozą go na kolegium. Sędzia skazuje go na pięć dolarów grzywny, ale Anthony nie ma już pieniędzy. Czy kolegium przyjmuje czeki? No tak, ale kolegium nie może sprawdzić jego tożsamości... Chyba, żeby zatelefonować do domu...

Wykręcają numer. Tak, tu pani Patch, ale skąd ma mieć pewność, że to rzeczywiście chodzi o jej męża? Niech policjant zapyta ją, czy pamięta te butelki po mleku...

Szybko pochylił się do przodu i zastukał w szybkę, dzielącą go od niedoszedłego przeciwnika. Dojechali dopiero na most brooklyński, ale taksometr wskazywał już dolar osiemdziesiąt, a Anthony za nic w świecie nie pozbawiłby kierowcy dziesięcioprocentowego napiwku.

Później, już po południu, wrócił do mieszkania. Gloria też wychodziła — na zakupy, a teraz spała skulona w rogu kanapy, jeszcze we śnie z całych sił obejmując swój sprawunek. Twarz miała spokojną, jak mała dziewczynka, a to, co tak czule przyciskała do piersi, okazało się dziecinną laleczką — działającą na jej wzburzone, dziecinne serduszko jak najłagodniejszy, kojący balsam.

Los

Ostatnie „szaleństwo”, a szczególnie udział w nim Glorii, sprawiło, że w stylu ich życia zaszła wyraźna zmiana. „Nie przejmuj się”, dotąd jedynie ulubione powiedzenie Glorii, z dnia na dzień urosło do rangi ideologii usprawiedliwiającej wszystko, na co akurat mieli ochotę, niezależnie od wszelkich możliwych konsekwencji: niczego nie żałować, nie uronić ani jednej łzy, postępować względem siebie zgodnie z ustalonym kodeksem honorowym i za wszelką cenę, z uporem, zabiegać o własną przyjemność.

— Anthony, kto ma troszczyć się o nas, jak nie my sami — powiedziała któregoś dnia. — Byłoby nawet głupio udawać, że

czuję jakieś zobowiązania względem świata, a jeśli chodzi o to, co inni sobie o mnie pomyślą, to po prostu nic a nic mnie to nie obchodzi. Już gdy byłam mała i chodziłam na kursy tańca, ciągle krytykowały mnie mamusie innych dziewczynek, które nie miały takiego powodzenia jak ja, więc przyzwyczyłam się, że krytyka to taka pełna zawiści pochwała.

Było to wkrótce po przyjęciu w „Boul Mich”, gdzie Constance Merriam widziała Głorię w wielce rozbawionym, czteroosobowym towarzystwie. Constance Merriam, „stara koleżanka ze szkoły”, zaprosiła ją następnego dnia na obiad po to tylko, by powiedzieć Głorii, w jak okropnym było to guście.

— A ja na to, że nie wiem, o co jej chodzi — opowiadała potem Gloria Anthony'emu. — Eric Merriam to trochę łagodniejsza wersja Percy'ego Wolcotta — pamiętasz, tego z Palm Springs, o którym ci opowiadałam. On uważa, że okazuje Constance szacunek tym, że gdy tylko zostają zaproszeni na przyjęcie, na którym zapowiada się dobra zabawa, zostawia ją w domu z szyciem, dzieckiem, książką i innymi nieszkodliwymi rozrywkami.

— Powiedziałaś jej to?

— Oczywiście. I dodałam, że naprawdę chodzi jej o to, że ja bawiłam się lepiej niż ona.

Anthony był zachwycony; zachwycony i dumny, że jego Gloria zawsze, na każdym przyjęciu, potrafi przyćmić swym blaskiem inne kobiety, że mężczyźni tak chętnie bawią się z nią, nie pragnąc przy tym więcej, niż tylko cieszyć się jej pięknem i ciepłem jej żywotności.

Owe „przyjęcia” stawały się stopniowo ich głównym źródłem rozrywki. Choć nadal się kochali, choć wciąż byli sobą zajęci, wyczuwali wraz ze zbliżaniem się wiosny, że nudzą się zostając wieczorem w domu; książki przestały dla nich istnieć, zagubił się gdzieś czar samotności — woleli ziewać z nudów na głupiej komedii muzycznej albo iść na kolację z najmniej interesującymi z ich znajomych i bronić się koktajlami przed coraz mniej interesującymi rozmowami. Młodszy od nich małżonkowie, ich dawniejsi znajomi ze szkół i college'u, i najróżniejszego pochodzenia kawalerowie, instynktownie kojarzyli Anthony'ego i Głorię z zabawą i rozrywką, więc nie było niemal dnia bez telefonu, bez „co robicie dziś wieczorem?” Mężatki z reguły obawiały się Głorii — tego, jak bez

trudu znajduje się w centrum uwagi, jak niewinnie, ale i tak niepokojąco zyskuje sobie sympatię ich mężów — wszystko to sprawiało, że ich postawa względem Glorii nacechowana była głęboką nieufnością — tym bardziej, że bardzo niechętnie zaprzyjaźniała się z kobietami.

Zgodnie z tym, co ustalono, owej środy Anthony zjawił się w imponujących biurach firmy Wilson, Hiemer & Hardy, by wysłuchać licznych, ale za to mało konkretnych wskazówek swego energicznego rówieśnika, młodego człowieka nazwiskiem Kahler, o głowie zdobnej w wyzywająco żółtą falkę, który z dumą przedstawił się jako sekretarz — jakby chciał dać do zrozumienia, że tytuł ten jest hołdem dla jego wyjątkowych zdolności.

— Przekona się pan, że mamy tu dwa gatunki ludzi — mówił. — Tacy, którzy zostają sekretarzami albo skarbnikami, a do folderów naszej firmy trafiają jeszcze przed trzydziestką, i tacy, którzy trafiają na te stanowiska w wieku czterdziestu pięciu lat. Ci ostatni pozostaną na nich już do końca życia.

— A ci pierwsi? — zapytał grzecznie Anthony.

— O, ci idą w górę, o, tu — rzekł wskazując na listę wiceprezesów. — Albo nawet zostają prezesami, sekretarzami generalnymi czy skarbnikami.

— A ci tutaj?

— Ci? Ach, to zwykli członkowie rady, ludzie z kapitałem.

— Rozumiem.

— Niektórzy sądzą — mówił dalej Kahler — że kariera zależy od wykształcenia. Nie mają racji.

— Rozumiem.

— Ja sam ukończyłem Buckleigh w jedenastym, ale gdy tylko znalazłem się na Wall Street, przekonałem się, że te wszystkie dyrdymałki nie przydadzą mi się na nic. Prawdę mówiąc, musiałem o nich jak najszybciej zapomnieć.

Anthony zaczął zastanawiać się, jakich to dyrdymałek mogło w roku 1911 uczyć Buckleigh, nie ciesząc się wówczas zbyt dobrą opinią — do końca rozmowy prześladowało go wrażenie, że chodzi o szydełkowanie albo robótki na drutach.

— Widzi pan tego, o, tam? — Kahler wskazał na młodo wyglądającego mężczyznę o włosach pokrytych dystygowaną

siwizną, siedzącego za biurkiem otoczonym mahoniową balustradką. — To pan Ellinger, nasz pierwszy wiceprezes. Był wszędzie, widział wszystko, jest świetnie wykształcony.

Anthony na próżno usiłował uchwycić swym umysłem romantyzm świata finansów; w panu Ellingerze widział tylko jednego z nabywców pięknie oprawnych w skórę „Dzieł wszystkich” Thackeraya, Balzaka, Hugo i Gibbona, ustawionych szeregiem na ścianach wielkich księgarń.

Przez cały wilgotny i nieciekawo marzec Anthony przygotowywał się do zawodu. Całkowity brak entuzjazmu sprawiał, że w otaczającym go chaosie i pośpiechu widział tylko bezowocne i samowystarczalne dążenie ku jakiemuś niezrozumiałemu celowi, określone jedynie przez konkurencję: panów Fricka i Carnegie z Piątej Alei. Całkowicie niedorzeczna wydawała mu się myśl, że wszyscy ci onieśmielający wiceprezesi i członkowie rady mogli być ojcami jego własnych, jakże sympatycznych kolegów z Harvardu.

Obiady jadał w stołówce pracowniczej na górnym piętrze budynku, z niejasnym podejrzeniem, że czyni mu się łaskę; przez cały pierwszy tydzień zastanawiał się, czy rzeczywiście wszyscy otaczający go młodzi urzędnicy, niektórzy z nich całkiem bystrzy i nienagannie ubrani, świeżo po studiach, żyją wyłącznie szaloną nadzieją dostania się na ten wąski pasek tektury, nim odejdą w katastrofalną przepaść trzydziestu lat. Rozmowy, wplątane w rytm codziennej pracy, były wciąż takie same: w jaki sposób wzbogacił się pan Wilmer, jaką metodą posłużył się pan Hiemer, a jakimi środkami osiągnął ten sam cel pan Hardy. Z zapartym tchem powtarzano stare jak świat przypowieści o fortunach, które, stawiając wszystko na jedną kartę, zdobyli na Wall Street „jakiś rzeźnik”, „jakiś barman” czy wręcz „jakiś zafajdany chłopiec na posyłki, niech go szlag!”, a zaraz potem mówiono o obecnej grze na giełdzie, o tym, czy lepiej trochę zaryzykować i mieć sto tysięcy rocznie, czy też zadowolić się dwudziestoma. Poprzedniego roku jeden z sekretarzy firmy zainwestował wszystko, co miał, w Bethlehem Steel. Historia jego zdobytego z dnia na dzień bogactwa, jego z taką dumą złożonej w styczniu rezygnacji i triumfalnego pałacu, jaki budował sobie teraz w Kalifornii, była chyba ulubionym tematem wszystkich pracowników, zaś nazwisko szczęśliwca nabrało magicznego wręcz

znaczenia, uosabiając aspiracje wszystkich prawdziwych Amerykanów. Opowiadano, jak to jeden z wiceprezesów radził mu, żeby, na Boga, pozbył się akcji, ale on nie, wytrzymał aż do końca, a nawet jeszcze dokupywał w dogrywkach — „no i proszę, jak na tym wyszedł!”

I takie chyba jest życie — czyjeś wspaniałe powołanie, oślepiające innych, a zarazem pozwalające im żyć z nędznej pensji i ze świadomością statystycznego nieprawdopodobieństwa własnego sukcesu.

Anthony był przerażony. Czuł, że by zrobić tu karierę, musi pozwolić, by myśl o niej zawładnęła nim i ograniczyła mu umysł; że podstawową cechą ludzi, którzy docierają tu aż na szczyt, jest wiara, że ich interesy to najważniejsza rzecz w życiu. Wśród ludzi o tych samych możliwościach startu liczyła się pewność siebie i oportunizm, nie zaś umiejętności zawodowe; widać było od razu, że specjaliści są w tym świecie na samym dole — i tam ich też trzymano.

Anthony nie wytrzymał w swym postanowieniu, by w dni powszednie siedzieć wieczorem w domu, więc w rezultacie przychodził do pracy z przeraźliwym, otepiałym bólem głowy, zaś w uszach dźwięczał mu jak echo piekielny jazgot koszmaru zatłoczonego porannego metra.

Wreszcie rzucił tę pracę, i to z dnia na dzień. Pewnego poniedziałku po prostu został w łóżku, a późnym wieczorem tego samego dnia, pod wpływem przytrafiającego mu się od czasu do czasu napadu rozpacz, napisał i wysłał list do pana Wilsona, wyznając, że nie nadaje się do pracy w jego firmie. Gloria, wróciwszy z teatru, w którym towarzyszył jej Dick, zastała męża na szezlongu, w milczeniu wpatrującego się w sufit; nigdy jeszcze za czasów ich małżeństwa nie był tak zrozpaczony i zniechęcony.

Miała nadzieję, że będzie użalał się nad sobą, bo wtedy mogłaby czynić mu ostre wymówki — jego postępowanie mocno ją zezłościło — ale on leżał tylko, z tak żalną miną, że, rozczulona, klęknęła przy nim i gładząc go po włosach tłumaczyła, że to nic, że liczy się tylko ich wzajemna miłość. Powrócił nastrój pierwszego roku małżeństwa; Anthony, za dotknięciem jej chłodnej dłoni, na dźwięk jej głosu, cichutko szepczącego mu do ucha, pocieszył się znacznie i

zaczął snuć nowe plany na przyszłość. W duchu żałował nawet, że tak pośpiesznie złożył wymówienie.

— Nawet jeśli wydaje ci się teraz, że wszystko sprzysięgło się przeciw tobie — powiedziała wtedy Gloria — ważne jest, jak jest naprawdę.

W połowie kwietnia nadszedł z Marietty list od pośrednika, namawiający ich, by na jeszcze jeden rok odnowili wynajem szarego domu za nieco podwyższony czynsz. Do listu dołączona była gotowa do podpisania umowa. I list, i umowa cały tydzień przeleżały nie tknięte na biurku Anthony'ego. Nie mieli najmniejszej ochoty wracać do Marietty, mieli już dość tej miejscowości, wystarczająco wynudzili się tam poprzedniego lata. W dodatku ich samochód stał się z czasem kupą hipochondrycznego złomu, a na nowy absolutnie nie było ich stać.

Jednak pod wpływem kolejnego, tym razem czterodniowego szaleństwa, w którym uczestniczyło w sumie kilkanaście osób, podpisali umowę — o zgrozo, podpisali ją i wysłali, a gdy tylko to uczynili, wydało im się, że szary dom, tym razem otwarcie już złowieszczy, oblizal się i obnażył białe kły, gotów pożreć ich w każdej chwili.

— Anthony, gdzie umowa? — zawołała Gloria tej niedzieli, gdy, otrzeźwiali i chorzy trzeźwością, powrócili wreszcie do rzeczywistości. — Gdzieś ty ją zostawił? Przecież była tutaj!

Nagle przypomniała sobie wszystko: przyjęcie, jakie, będąc u szczytu rozbawienia, naprędce u siebie zaaranżowali; ich salon, wypełniony mężczyznami, nie zwracającymi już uwagi na gospodarzy, i przechwałki Anthony'ego, że szary dom to istna perła oryginalności i spokoju, że stoi tak na uboczu, że można hałasować, ile dusza zapagnie. A potem Dick, który bywał u nich, wrzasnął z entuzjazmem, że nigdy nie widział miłszego domku, i że skończeni z nich idioci, jeśli nie wynajmą go na jeszcze jedno lato. Bez trudu sami wyperswadowali sobie, że miasto zmieni się na lato w upalną pustynię, a powietrze w Mariecie to czysta ambrozja. Anthony chwycił umowę do ręki i wymachiwał nią na wszystkie strony; Gloria zgodziła się bez namysłu; wszyscy goście gratulowali decyzji im i sobie nawzajem, ściskając się i solennie obiecując odwiedziny...

— Anthony — krzyknęła — przecież myśmy ją wysłali!

— Co?

— Umowę!
— Jak to, do diabła?
— Och, Anthony! — W głosie jej brzmiała niepoohamowana rozpacz. Własnymi rękami wzniesli dla siebie więzienie na całe lato, na całą wieczność, zadając tym samym ostateczny cios swej wypłacalności. Anthony łudził się jeszcze, że może uda się dogadać z pośrednikiem. Nie było już ich stać na płacenie dwóch czynszów, więc wyjazd do Marietty oznaczał konieczność pozbycia się mieszkania Anthony'ego, tego nienagannego mieszkanka ze wspaniałą łazienką i pokojami, do których kupował te wspaniałe meble i zasłony — jedyne domu, jaki kiedykolwiek miał — mieszkanka pełnego wspomnień czterech barwnych lat.

Ale z pośrednikiem nie udało się dogadać. Zrezygnowani, nie powtarzając nawet nieodłącznego „nie przejmuj się” Glorii, powrócili do domu, który, jak zdążyli się przekonać, nie miał względów ani dla młodości, ani dla miłości, że było w nim miejsce tylko na surowe, niewysłowione wspomnienia, którymi nie mogli i nie chcieli się dzielić.

Złowrogie lato

Tego lata dom budził grozę. Przybyła wraz z nimi i spowiła wszystko ciemnym całunem, najpierw na parterze, potem stopniowo rozprzestrzeniając się coraz wyżej, aż wreszcie sięgając do ich snów. Anthony i Gloria zniechęceni tę samotność we dwoje. Jej sypialnia, niegdyś tak różowa, tak młodzieńcza, tak delikatna, tak pasująca do pastelowej bielizny, porzucanej w rozkosznym nieładzie na krzesłach i łóżku, teraz, zdawało się, szeptała szelestem zasłon:

— Ach, piękna, młoda damo, nie ty pierwsza blakłaś tu i brzydłaś pod słońcami lata... przed tym lustrem całe pokolenia niekochanych kobiet stroiły się dla swych wiejskich kochanków, ale na próżno... Do pokoju tego wchodziła już młodość w akwarelowych błękitach, wychodziła zaś zeń w szarych woskach rozpacz, a tam gdzie teraz stoi to łóżko, leżało już przed tobą wiele dziewcząt, śląc w ciemność fale smutku.

Wreszcie Gloria stchórzyła i pod pretekstem nieszczelnej żaluzji,

wpuszczającej komary, wyniosła stamtąd wszystkie swoje ubrania i kosmetyki, oznajmiając, że przenosi się do męża. W tak porzuconym pokoju lokowano teraz niewrażliwych gości, zaś państwo domu używali pokoju Anthony'ego jako wspólnej sypialni i garderoby, co Gloria uważała za dobre, jakby już obecność męża zabijała niepokojące cienie przeszłości, unoszące się wśród ścian.

Rozróżnianie „dobra” i „zła”, najpierw bardzo wczesnie wypędzone z życia ich obojga, powróciło teraz w zupełnie innej formie. Gloria uparła się, że wszyscy, których zapraszają do siebie, do szarego domu, muszą być dobrzy — w przypadku kobiet oznaczało to, że muszą być albo prostolinijne i bez zarzutu, albo silne i pewne siebie. Gloria, wiecznie sceptyczna względem swej własnej płci, sądziła teraz kobiety względem kryterium czystości. Nieczystość mogła oznaczać wiele cech naraz: brak dumy, miałość ducha i, przede wszystkim, z daleka wyczuwalną rozwiązłość.

— Kobiety psują się łatwiej — mawiała — znacznie łatwiej niż mężczyźni. Jeżeli dziewczyna nie jest bardzo młoda i dzielna, nie potrafi stoczyć się bez jakiejś historycznej zwierzęcości, takiej chytrej, obrzydliwej zwierzęcości. Mężczyźni są inni, i chyba właśnie dlatego jednym z najbardziej powszechnych bohaterów romansów jest mężczyzna, który po rycersku idzie sobie do diabła.

Z natury lubiła wielu mężczyzn, najbardziej tych, którzy czcili ją otwarcie i zapewniali jej ciągłą rozrywkę — ale często pod wpływem intuicji mówiła Anthony'emu, że ten czy inny z jego przyjaciół wykorzystuje go i że lepiej się z nim nie zadawać. Anthony zwykle protestował, broniąc oskarżonego, ale wiedział z doświadczenia, że Gloria zwykle ma rację — o czym najboleśniej przekonywał się w restauracjach, porzucony przez współbiesiadników, twarzą w twarz ze słonym rachunkiem za całe towarzystwo.

Bardziej z obawy przed samotnością niż z zamilowania do bawienia gości i wszystkich płynących stąd niewygód, zapewniali dom przyjezdnymi tak w weekendy, jak nieraz w ciągu tygodnia. Przyjęcia weekendowe były zawsze takie same: po przyjeździe trojga czy czworga zaproszonych gości otwierano butelki, po czym następowała radosna kolacja, po niej zaś — przejażdżka do klubu w Cradle Beach, do którego należeli, gdyż był niedrogi, wesoły, choć może

niezbyt modny, a za to zupełnie niezbędny na takie właśnie okazje. Ponadto nikogo tam nie obchodziło, jak kto się zachowuje, więc jeśli tylko państwo Patch i ich goście zachowywali się w miarę spokojnie, nie miało znaczenia, że towarzyska dyktatura Cradle Beach widzi, jak Gloria wlewa w siebie jeden koktajl po drugim.

Sobota kończyła się najczęściej wspaniałym chaosem — niezadko temu czy innemu gościowi trzeba było pomóc dowlec się do łóżka. Niedziela przynosiła nowojorskie gazety i spokojny poranek, przeznaczony na ratowanie zdrowia na werandzie, a po południu wylewnie żegnano tych z gości, którzy musieli wracać do miasta, i równie wylewnie powracano do koktajli z tymi, którzy zostawali na jeszcze jedną, huczną, nawet jeśli nie szalenie wesołą, noc.

Wiorny Tana, z natury pedagog, z zawodu złota rączka, powrócił do szarego domu wraz z państwem i stał się dla co częstszych gości prawdziwą tradycją. Maury Noble oświadczył któregoś popołudnia, że prawdziwe nazwisko Tany brzmi Tannenbaum, i że jest on niemieckim agentem, siejącym teutońską propagandę w całym okręgu Westchester; od tego czasu zdumiony Azjata zaczął otrzymywać tajemnicze listy zaadresowane do porucznika Emila Tannenbauma, zawierające kilka niezrozumiałych zdań, podpisanych Sztab, zdobnych w dwie kolumny pseudojapońskich znaków. Anthony, bez cienia uśmiechu, wręczał te przesyłki adresatowi, ten zaś jeszcze wiele godzin później siedział w kuchni próbując je odcyfrować i ze zdumieniem stwierdzał, że pionowy rząd hieroglifów wcale nie przypomina japońskiego pisma.

Gloria serdecznie znienawidziła go od czasu, gdy wróciwszy niespodziewanie z miasteczka, zastała go wylegującego się w najlepszym w łóżku Anthony'ego i ślamazarnie literującego gazetę. Zresztą cała służba instynktownie lubiła Anthony'ego, a nie znosiła Glorii; Tana nie stanowił wyjątku. Bał się jej jednak jak ognia, zaś swą antypatię objawiał wyłącznie w chwilach szczególnie złego humoru, subtelnie zwracając się do Anthony'ego z uwagami, które przeznaczone były dla niej:

— Co pani Pats zjeść na kolację? — mówił, patrząc na pana domu, albo użalał się na straszliwe samolubstwo „merykańskich

ludziów” w taki sposób, że nie było żadnych wątpliwości, o których „ludziów” chodzi.

Mimo to nie śmieli go zwolnić — taki krok był dla ich bezwładu czymś odrażającym. Znosili więc Tanę tak, jak znosi się złą pogodę, chorobę i szacowną wolę Bożą — jak znosili wszystko, nawet siebie.

W ciemności

Któregoś dusznego popołudnia pod koniec lipca Richard Caramel zatelefonował z Nowego Jorku, że właśnie wybiera się do nich wraz z Maury i jeszcze jednym znajomym. Pojawili się około piątej, na lekkim rauszu, w towarzystwie niskiego, krępego mężczyzny w wieku trzydziestu pięciu lat, którego przedstawili jako Joe Hulla, „najwspanialszego faceta, jakiego kiedykolwiek poznali Anthony i Gloria”.

Joe Hull miał żółtą brodę, bezustannie przedzierającą się przez jego skórę, i niski głos oscylujący między głębokim basem a chrapliwym szeptem. Anthony, wynosząc na piętro walizkę Maury'ego, wszedł za nim do pokoju i starannie zamknął drzwi.

— Co to za jeden? — zapytał.

Maury zachichotał z entuzjazmem.

— Kto, Hull? To porządny gość.

— Tak, ale kto to jest?

— Hull? Po prostu, porządny facet. Prawdziwy książę. — Śmiał się coraz głośniej, potem zamilkł, przyjemnie, kocio uśmiechnięty. Anthony nie wiedział, czy też uśmiechnąć się, czy rozgniewać.

— Wygląda dość podejrzanie. Jest tak dziwacznie ubrany... — urwał. — Coś mi się zdaje, że znacie go dopiero od wczoraj.

— Bzdura — oznajmił Maury. — Coś ty, znam go od dziecka.

— Ale gdy po tym stwierdzeniu pozwolił sobie na kolejną serię chichotów, Anthony musiał zauważyć: — Akurat!

Potem, tuż przed kolacją, gdy Maury i Dick prowadzili głośną rozmowę, której, siedząc w milczeniu nad drinkiem, przysłuchiwał się Joe Hull, Gloria zaciągnęła Anthony'ego do jadalni:

— Nie podoba mi się ten Hull — powiedziała. — Czy on nie mógłby kąpać się w lazience Tany?

— Nie możemy przecież mu tego powiedzieć.

— Nie chcę, żeby kąpał się w naszej.

— Wygląda na takiego sobie, zwykłego faceta.

— Ale nosi takie białe buty, które wyglądają jak rękawiczki. Widać przez nie palce u stóp. Tfu! I kim on właściwie jest?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— W takim razie uważam, że to bezczelność przywozić go tutaj. My przecież nie prowadzimy przytułku!

— Byli już pijani, gdy do nas telefonowali. Maury mówił, że balują od wczoraj.

Gloria ze złością pokiwała głową i bez słowa wróciła na werandę. Anthony zauważył, że stara się zapomnieć o swych wątpliwościach i robi wszystko, by dobrze się bawić.

Dzień był istnie tropikalny. Nawet o głębokim zmierzchu z suchej drogi wstawały fale gorąca i drżały w powietrzu jak galareta. Niebo było jeszcze bezchmurne, ale daleko, za lasem, nad zatoką, wstawał już cichy, lecz uparty grzmot. Gdy Tana poprosił wszystkich do stołu, mężczyźni, za radą Glorii, pozbyli się marynarek i weszli do środka.

Maury zaintonował piosenkę, którą wykonali w pełnej harmonii przy pierwszym daniu. Miała zaledwie dwie linijki, a śpiewało się ją na popularną melodię „Daisy Dear”. Tekst był taki:

Ogarnia nas pani-i-i-ka

I moralny upa-a-a-dek!

Każde wykonanie dzieła witane było entuzjastycznymi, nie kończącymi się brawami.

— Gloria, uśmiechnij się! — rzucił w pewnej chwili Maury. — Coś nie masz dziś zbyt wesołej minki.

— Nic takiego — skłamała.

— Tannenbaum, chodźcie no tu! — zawołał przez ramię. — Nalałem wam drinka. Chodźcie no!

Gloria usiłowała go powstrzymać.

— Maury, nie, proszę!

— Czemu nie? Może za to zagra nam po kolacji na flecie? Masz, Tana, napij się.

Tana, głupawo uśmiechnięty, zaniósł kieliszek do kuchni. Po chwili Maury uraczył go jeszcze jednym.

— Gloria, uśmiechnij się! — zawołał. — Ludzie, do cholery, zróbcie coś, żeby się uśmiechnęła!

— Kochanie, napij się jeszcze — doradził Anthony.

— Tak, napij się!

— Gloria, uśmiechnij się — z pełną swobodą powtórzył Joe Hull.

Gloria skrzywiła się na tę poufałość i szybko rozejrzała się dookoła, czy ktoś jeszcze to zauważył. Te słowa, padające tak łatwo z ust człowieka, do którego powzięła natychmiastową niechęć, były dla niej czymś obrzydliwym. Po chwili zauważyła, że tym razem kolejnego drinka wręcza Tanie Hull. Gniew jej jeszcze się spotęgował, zapewne pod wpływem wypitego alkoholu.

— ...a kiedyś — opowiadał tymczasem Maury — poszliśmy we dwóch z Peterem Granbym do łaźni tureckiej w Bostonie, gdzieś około drugiej w nocy. Nie było tam żywego ducha, tylko sam właściciel, więc wepchnęliśmy go do jakiejś kabiny i zamknęliśmy go na klucz. A potem przyszedł jakiś facet, chciał wziąć kąpiel turecką. Rozumiecie, facet myślał, że my tam pracujemy! Więc złapaliśmy go za frak i tak, jak stał, we wszystkim, co miał na sobie, wrzuciliśmy go do basenu. Potem wyciągnęliśmy go na stół do masażu i tłukliśmy go, aż posiniał.

A on cały czas pisał: „Nie tak ostro, chłopcy, błagam...”

Czy to naprawdę Maury? Gdyby historyjkę tę opowiadał ktośkolwiek inny, byłaby szczerze ubawiona, ale żeby Maury, to uosobienie, ta apoteoza taktu i powściągliwości...

Ogarnia nas pani-i-i-ka

I moralny...

Resztę piosenki zagłuszył huk gromu; Gloria zadrżała i próbowała wychylić kieliszek do dna, ale już pierwszy łyk przyprawił ją o mdłości, więc zrezygnowała. Kolacja skończyła się, wszyscy przeszli do salonu, objuczeni kilkoma butelkami i karafkami. Ktoś zamknął drzwi, gdyż na zewnątrz zerwał się wiatr, więc już po chwili w dusznym powietrzu zaczęły kłębić się okrągłe macki dymu z cygar.

— Poruczniku Tannenbaum! — To znów ten odmieniony Maury. — Przynieście flet!

Anthony i Maury popędzili do kuchni; Richard Caramel włączył gramofon i podszedł do Glorii.

— Zatańczysz ze swym sławnym kuzynem?

— Nie mam ochoty.

— To będę cię nosił.

Z miną, jakby czynił coś niezwykle ważnego, podniósł ją swymi drobnymi, tłustymi rączkami i zaczął z całą powagą skakać po pokoju.

— Dick, postaw mnie! Kręci mi się w głowie! — nalegała.

Rzucił ją na szezlong, aż odbiła się od sprężystego materaca, i pobiegł do kuchni, wołając: „Tana! Tana!”

Nagle poczuła, że obejmują ją inne ramiona, że ktoś znów unosi ją w górę. To Joe Hull usiłował po pijanemu naśladować Dicka.

— Proszę mnie postawić na ziemię! — powiedziała ostro.

Jego melancholijno-pijacki śmiech i widok tej zarośniętej, żółtej szczęki tak blisko jej twarzy wzbudziły w niej nieznośne obrzydzenie.

— Natychmiast!

— „Ogarnia nas...” — zaczął, ale nie udało się mu dokończyć, bo w tej samej chwili dłoń Glorii wyładowała na jego policzku. Odruchowo puścił ją; upadła na ziemię, uderzając po drodze w stolik...

A w pokoju zrobiło się nagle pełno od mężczyzn i dymu. Tana, w białym kaftanie, zataczał się, podtrzymywany przez Maury'ego, z całych sił dąc w swój flet, grając na nim niesamowitą melodię, którą Anthony zaraz ochrzcił „japońską piosenką kolejową”. Joe Hull znalazł gdzieś pudełko świeczek i zonglował nimi, wrzeszcząc: „Jedna mniej!”, gdy nie udało się mu którejś pochwycić, a Dick tańczył samotnie po pokoju, wywijając piruety. Glorii wydało się, że wszystko, co znajduje się w salonie, galopuje groteskowym, czterowymiarowym kołem przez przecinające się, mglisto niebieskie płaszczyzny.

Nad dom niespodzianie nadciągnęła burza; gdy wewnątrz cisnęły na chwilę odgłosy hulanki, słychać było, jak wysokie krzewy ocierają się o ściany, jak deszcz huczy na blaszanym dachu kuchni. Błyskawice zapalały się i nie gasły, wydając z siebie gęste krople

grzmotów, jak kapiące z rozgrzanego do białości pieca hutniczego płaty surówki. Gloria dostrzegła, że zacinający deszcz pada do środka przez trzy otwarte okna, ale nie miała sił, by podejść i je zamknąć...

Znalazła się w hallu. Wychodząc z salonu rzuciła: „Dobranoc”, ale nikt jej nie usłyszał, nikt nie zwracał na nią uwagi. Przez chwilę zdawało się jej, że coś spojrzęło na nią w dół zza poręczy schodów na piętrze, ale nie chciała, nie mogła wrócić do salonu — lepszy już obłąd niż obłąd tego hałasu... Na górze, w pokoju, na próżno po omacku szukała wyłącznika lampy; po chwili światło błyskawicy, które zalało cały pokój, ukazało go jej jak na dłoni, ale potem znów zapadła nieprzebyta ciemność i wyłącznik znów umknął jej palcom, więc zrzuciła suknię i halkę, i padła ciężko na suchą połowę zmoczonego deszczem łóżka.

Zamknęła oczy. Z dołu dobiegały przemieszane głosy pijących, zagłuszane co chwila przez brzęk tłuczonego szkła, a potem, coraz głośniejszy, fragment fałszywie i nierytmicznie śpiewanej piosenki...

Leżała tak przez ponad dwie godziny — tyle bowiem naliczyła gromadzonych potem okrucich czasu. Wreszcie poczuła i, co więcej, zrozumiała, że dobiegający dotąd z dołu hałas ucichł, że burza odsuwa się na zachód, wyrzucając z siebie resztki deszczu, padającego, równie ciężko i bez życia jak jej dusza, na błotniste pola. Potem były jeszcze ostatnie zabawy deszczu z wiatrem i w końcu zza okna słychać było tylko delikatny szmer kropel i lekkie pacnięcia mokrego bluszczu o parapet. Gloria była teraz na pograniczu snu i jawy — nie wiedziała, czego jest więcej, jawy czy snu — i męczyło ją pragnienie pozbycia się ciężaru, uciskającego ją w piersiach. Czowała, że jeśli uda się jej rozplakać, ciężar ustąpi, więc zacisnęła oczy i spróbowała, by wezbrało jej w gardle to coś... Na próżno...

Kap, kap, kap... To całkiem przyjemny dźwięk — taki wiosenny, jak w jej dzieciństwie chłodny deszcz, tworzący na podwórku wesołe błoto i podlewający ogródek, który „sama uprawiała dzieciinną motyką, łopatką i grabkami. Kap, kap... Jak wtedy, gdy deszcz zsuwał się z żółtego nieba, a ono rozstępowało się tuż przed zachodem i strzelało jednym świetlistym promieniem prosto w dół na mokre, zielone drzewa. Wszystko było takie chłodne, tak czyste i przejrzyste — a w samym środku świata jej mama, w środku tego

deszczu, ale sucha, niezagrożona, silna. Tak jej teraz potrzebuje, a jej nie ma, nie żyje, nie widać jej, nie można nawet dotknąć, i tak już na zawsze. I ten ciężar, który tak uciska, uciska... jak on strasznie uciska!

Zdrętwiała. Ktoś podszedł do drzwi i stał tam, przyglądając się jej w milczeniu, lekko kołysząc się na nogach. Widziała tę postać całkiem wyraźnie na tle jakiegoś nieokreślonego światła. I ta cisza, ta wielka, przytłaczająca cisza, nawet nie słysząc już tego kap... kap... kap... i tylko ta postać, chwiejąca się w drzwiach, nieodgadnione, lecz subtelne zagrożenie, ktoś obrzydliwy, mimo całego poloru, jak strupy po ospie pod warstwą pudru. Lecz jej znużone serce, bijące tak mocno, że aż drżały jej piersi, upewniło ją przynajmniej, że jest w niej jeszcze trochę życia, rozpaczliwie wstrząśniętego, wyczuwającego zagrożenie życia...

Minuta czy też szereg minut ciągnęły się w nieskończoność, aż znów płynna mgła pojawiła się przed jej oczyma usiłującymi z dziecinnym uporem przebić się przez mrok w kierunku drzwi. Zaraz potem wydawało się, że jakaś niewyobrażalna moc wyrwie ją życiu... ale wtedy postać w drzwiach — był to Hull, widziała, że to on — odwróciła się ostentacyjnie i, wciąż jeszcze lekko się zataczając, odeszła, jakby wessała ją ta sama, niewytlumaczalna światłość, która ją zrodziła.

Krew z powrotem napłynęła Glorii do kończyn, krew, a z krwią życie. W nagłym przyplwywie energii usiadła i przekręciła się tak, że stopy dotknęły podłogi. Wiedziała już, co musi zrobić, teraz, zaraz, zanim będzie za późno. Musi wydostać się na ten wilgotny chłód, jak najdalej stąd, musi poczuć na stopach mokre falowanie traw i mokrą świeżość na czole. Machinalnie, z trudem, naciągnęła ubranie, w ciemności porywając z półki pierwszy lepszy kapelusz. Musi wyjść z tego domu, gdzie mieszka to coś, co tak uciska jej łono, i co zmienia się w błędne, chwiejące się postacie w drzwiach.

W panice po omacku szukała płaszcza, trafiła na rękaw właśnie w chwili, gdy na schodach na dole usłyszała kroki Anthony'ego. Nie odważyła się poczekać; mogło się zdarzyć, że jej nie puści, bo Anthony był częścią tego ciężaru, częścią tego złowrogiego domu i rosnącej wokół domu nieprzejdanej ciemności...

Więc przez hall... po tylnych schodkach, a z sypialni, dopiero co opuszczonej, dobiega głos Anthony'ego:

— Glorio! Glorio!

Ale ona jest już przy kuchni, już wymyka się przez drzwi, prosto w noc. Sto kropel, spędzonych przez uderzenie wiatru ze zmokełego drzewa, rzuca się na nią, a ona z radością przyciska je do twarzy rozpalonymi dłońmi.

— Glorio! Glorio!

Głos jest nieskończenie odległy, stłumiony, a ściany, z których się dobywa, z których dopiero co się wydostała, sprawiają, że brzmi tak żałośnie... Gloria okrążyła dom i weszła na dróżkę prowadzącą do szosy; dotarła do niej niemal z radością i szła dalej ciągnącym się wzdłuż drogi trawiastym dywanem, ostrożnie poruszając się w gęstym mroku.

— Glorio!

Pobiegła przed siebie, potykając się o jakąś gałąź, wydartą drzewu przez wiatr. Głos dobiegał teraz z zewnątrz domu — Anthony, nie znalazłszy nikogo w sypialni, wyszedł na werandę. Ale ją ciągnęło przed siebie, to coś było tam, z Anthonym; ona musi uciekać dalej, byle dalej, pod tym niewyraźnym, groźnym niebem, przepchnąć się przez ciszę, gęstniejącą przed nią na kształt niemal materialnej bariery.

Przeszła ledwo widoczną drogą może z pół mili, minęła samotną, opuszczoną stodołę, która w pewnej chwili wyrosła jej na drodze jak zbójca, jedyny budynek między szarym domem i Marietta; potem, na skrzyżowaniu, skręciła w tę stronę, gdzie droga wchodziła w las, biegnąc między dwiema wysokimi ścianami liści i konarów, niemal stykających się ze sobą u góry. Zauważyła nagle wąski, poziomy pas srebra na szosie, jak błyszczący miecz, do połowy wryty w błoto. Podeszedłszy bliżej wydała okrzyk satysfakcji — była to wypełniona wodą koleina, wyżłobiona w drodze kołami wozów. Gloria spojrzała w górę, chmury rozdarły się — była pełnia.

— Glorio!

Wzdrygnęła się gwałtownie. Anthony był nie dalej jak dwieście stóp z tyłu.

— Glorio, poczekaj!

Zacisnęła usta, by nie krzyknąć, i przyspieszyła. Nie uszła jeszcze stu kroków i las zniknął, zsunąwszy się z nogi szosy jak

pończocha. O trzy minuty drogi przed sobą, zawieszona w wysokiej teraz, bezbrzeżnej przestrzeni, zobaczyła wąską plecionkę złamanych blasków i promieni, regularnie skupionych wokół jednego, niewidocznego punktu. Ni stąd, ni zowąd wiedziała już, dokąd iść. Nad rzeką unosiła się olbrzymia kaskada przewodów elektrycznych, przypominająca odnóża jeszcze potężniejszego pająka, którego okiem było małe, zielone światełko budki dróżnika, ciągnąca się mostem kolejowym w stronę stacji. Stacja! Tam znajdzie jakiś pociąg, który ją stąd zabierze.

— Glorio, to ja, Anthony! Glorio, nie będę cię zatrzymywał! Gdzie ty jesteś, na miłość boską!

Nie odpowiedziała. Pobiegła przed siebie, trzymając się wyższej strony drogi, przesadzając kałuże — bezwymiarowe stawy pełne cienkiego, nierzeczywistego złota. Skręciła ostro w lewo, w wąską drogę dla wozów, omijając coś wielkiego, leżącego na ziemi. Z któregoś z samotnych drzew zahukała żałośnie sowa — Gloria spojrzała w górę. Na wprost widziała już filary mostu kolejowego i wiodące nań schody. A za rzeką czekała już stacja.

Znów wzdrygnęła się, bo dobiegło ją melancholijne zawodzenie zbliżającego się pociągu; niemal natychmiast dobiegło ją też wołanie, niewyraźne teraz i odległe.

— Glorio! Glorio!

Anthony musiał pójść główną drogą. Zaśmiała się złośliwie, dumna ze swego sprytu, że mu się wymknęła; teraz może poczekać, aż pociąg odjedzie.

Znów ryk pociągu, tym razem bliżej, a potem, nagle i niezapowiedzianie, pojawiło się ciemne, okrągłe cielsko, wijące się na tle ciemniejszych cieni zalegających u dołu wysokiego nasypu. Nie wydając już z siebie żadnego głosu poza szelestem rozcinanego na dwoje wiatru i zegarowego stuku szyn, wtoczyło się na most — elektryczny pociąg. Dwa jaskrawe snopy niebieskiego światła słały znad lokomotywy jasny, iskrzący się walec, który, jak migotliwy płomień ustawionej przy katafalku lampki, zapalał na chwilę kolejne rzędy drzew, aż Gloria instynktownie odsunęła się na dalszą stronę drogi. Światło palilo wrzątkiem jak ciepła krew... Stukot złał się nagle w jeden, równy dźwięk, a potem, rozciągając się jak guma,

potwór przetoczył się przed Glorią na oślep i z hukiem runął na most, na wyścigi z błyszczącym promieniem światła, które rzucał w biegnącą obok, stateczną rzekę. Potem równie szybko skrócił się i zmalął, wessał w siebie własny głos, zostawiając tylko echo, ale i ono wkrótce zamarło na przeciwległym brzegu.

Nad mokrym światem znów zapadła cisza; powróciły pojedyncze krople, potem cały ich wielki rój obsypał Glorię deszczem, wybijając ją z otępienia, w które wprawił ją przejazd pociągu. Szybko zbiegła nad sam brzeg i zaczęła wdrapywać się na żelazne schody mostu, pomna, że zawsze miała na to ochotę, że teraz czeka ją jeszcze dodatkowa rozrywka przy przejściu przez wąską kładkę, ciągnącą się wzdłuż mostu przez rzekę.

Nareszcie! Poczula się znacznie lepiej. Była teraz na samym szczycie, skąd rozpościerał się widok na cały świat, na odkrywające się jeden za drugim, otwarte krajobrazy zalane zimnym, księżycowym światłem, tu i tam połatane i zszyte to wąskimi ściegami, to grubymi węzłami drzew. Po prawej, o pół mili w dół rzeki, ciągnącej się poza krąg światła jak lśniąca, śliska, ślimacza ścieżka, błyszczały rozproszone światła miasteczka. O niecałe sto, dwieście kroków, na końcu mostu, przycupnęła stacja, oznaczona jedną zobojętniałą latarnią. Ucisk w piersi ustąpił — wierzchołki drzew, na które patrzyła teraz z góry, kołysały młodziutkie światło gwiazd do nawiedzonego snu. Gloria uniosła ramiona. Tego właśnie cały czas pragnęła: stać, sama, gdzieś wysoko, gdzieś, gdzie chłodno.

— Glorio!

Jak przestraszone z nagłą dziecko popędziła kładką, podskakując co chwila, w ekstazie własnej, fizycznej lekkości. Teraz może przyjść — nie bała się już tego, ale najpierw ona musi znaleźć się na stacji, na tym polegała cała zabawa. Była szczęśliwa. Zerwała z głowy kapelusz, trzymała go kurczowo w dłoni; jej krótkie włosy skakały wokół uszu. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek jeszcze czuć się będzie tak młodo, ale to była jej noc, jej świat. Zbiegając z kładki zaśmiała się triumfalnie; wpadłszy na drewniany peron rzuciła się na ziemię, opierając plecy o żelazny słup zadaszienia.

— Tu jestem! — zawołała, promienna radością jak poranek. — Tu jestem, Anthony, kochany, ty biedaku, Anthony, martwiłeś się, co?

— Glorio! — Też był już na peronie, biegł ku niej. — Dobrze się czujesz? — Klęknął przy niej i wziął ją w ramiona

— Tak.

— Co się stało? Czemu uciekaś? — pytał niespokojnie.

— Musiałam... Coś... coś... — urwała, niepokój znów smagnał jej mózg. — Coś siadło na mnie, o, tu. — Przyłożyła dłoń do piersi. — Musiałam wyjść, musiałam przed tym uciec.

— Co to było, to coś?

— Nie wiem. Ten Hull...

— Naprzykrzał ci się?

— Przyszedł pod moje drzwi, kompletnie pijany. Nie tylko pijany, on chyba zwariował.

— Glorio, kochanie...

Ze zmęczeniem położyła mu głowę na ramieniu.

— Wracajmy — powiedział.

Wzdrygnęła się.

— Och, nie, nie chcę. Wróciłoby i znowu by mnie gniotło. — Podniosła głos do krzyku, który żałośnie zawisł w ciemności. — To coś...

— Już, już — uspokajał ją, tuląc do siebie. — Nie chcesz, to nie. A co byś chciała teraz robić?

— Chcę... chcę wydostać się stąd.

— Ale dokąd?

— Byle gdzie.

— Glorio, do licha — zawołał — ty ciągle jesteś wstawiona!

— Wcale nie. W ogóle się dziś nie wstawiłam. Poszłam do siebie, och, nie wiem, chyba już w pół godziny po kolacji... Aj!

Niechący dotknął jej prawego, obolałego ramienia.

— Boli mnie. Uderzyłam się o coś. Nie wiem... jakby ktoś mnie podniósł, a potem upuścił...

— Glorio, wracajmy do domu. Jest już późno i okropnie mokro.

— Nie mogę — jęknęła. — Och, Anthony, nie prosz mnie o to. Wrócę jutro. Ty idź do domu, a ja zaczekam tu na pociąg. Pójdę do jakiegoś hotelu...

— Pojadę z tobą.

— Nie, nie chcę. Chcę być sama, chce mi się spać. Och, jaka ja jestem śpiąca. A jutro, jak wywietrzysz dom z papierosów i whisky,

i wszystko będzie posprzątane, i jak już nie będzie tego Hulla... przyjadę jutro. Bo gdybym wróciła teraz, to coś... Och! — Zakryła oczy dłonią; Anthony wiedział już, że nie uda mu się jej przekonać.

— Gdy wychodziłaś, byłem całkiem trzeźwy — powiedział. — Dick zasnął na szezlongu, a ja dyskutowałem o czymś z Maury. A ten Hull gdzieś sobie polazł. Potem nagle zdałem sobie sprawę, że nie widziałem cię od dłuższego czasu, więc wyszedłem na górę...

Urwał, bo z mroku zabrzmiało gromkie: „Cześć!” Gloria zerwała się na równe nogi, Anthony poszedł za jej przykładem.

— To Maury! — zawołała zaniepokojona. — Jeśli jest z nim ten Hull, nie pozwól im się zbliżyć!

— Kto idzie? — zawołał Anthony.

— To tylko my, Dick i Maury — odpowiedziały uspokajająco dwa znajome głosy.

— A Hull?

— W łóżku. Miał już dość.

Na skraju peronu pojawiły się ich niewyraźne sylwetki.

— A cóż wy tu wyprawiacie, do licha? — na wpół rozspanym, na wpół zdumionym głosem pytał Richard Caramel.

— A wy?

Maury zaśmiał się.

— Nie mam pojęcia. Poszliśmy za wami i małośmy się nie pozabijali. Słyszałem, że drzesz się z werandy na Glorię, więc zbudziłem Caramela i wytłumaczyłem mu, nie bez trudności, że musimy ci pomóc jej szukać. Ale wlekliśmy się okropnie, bo on co chwila siadał na drodze i pytał, o co chodzi. Wytropiliśmy was dopiero idąc za przyjemną wonią whisky „Canadian Club”.

Pod niskim zadaszeniem stacyjnym zabrzmiał nerwowy śmiech.

— A naprawdę?

— No, więc szliśmy szosą i nagle zniknęliście nam z oczu. Musieliście skrócić na tę drogę dla wozów. Po chwili ktoś na nas zawołał, pytając, czy przypadkiem nie szukamy młodej dziewczyny. Okazało się, że to jakiś mały staruszek. Siedział na zwałonym drzewie, zupełnie jak w bajce. „Tu skróciła” — powiedział. — „O mało mnie nie rozdeptała, strasznie się jej gdziesik spieszyło,

a potem jeszcze przybiegł taki w krótkich portkach, i poleciał za nią, a mnie to rzucił”. I stary wymachiwał dolarówką.

— Biedaczek! — zawołała Gloria, wzruszona.

— Rzuciłem mu drugą, do kompletu, i poszliśmy dalej, chociaż bardzo chciał, żebyśmy zostali i wytłumaczyli, o co chodzi.

— Biedny staruszek — z żalem powtórzyła Gloria.

Dick ziewnął i opadł ciężko na jakąś skrzynię.

— Co teraz? — zapytał ze stoickim zrezygnowaniem w głosie.

— Gloria trochę się zdenerwowała — wyjaśnił Anthony. — Jedziemy najbliższym pociągiem do miasta.

Maury wyciągnął z kieszeni rozkład jazdy.

— Zapalcie zapalną.

Małeńki płomień wyskoczył z nieprzejrzystego tła, oświetlając cztery twarze wyglądające obco, groteskowo w nocy, na świeżym powietrzu.

— Zobaczmy... Druga... druga trzydzieści... Nie, to w dzień. O, cholera, następny jest dopiero o wpół do szóstej.

Anthony zawahał się.

— No, cóż — mruknął niepewnie. — Postanowiliśmy już, że zaczekamy. Najlepiej będzie, jeśli wy dwaj wróćcie trochę się przespać.

— Ty też idź, Anthony — nalegała Gloria. — Ty też musisz się wyspać, kochanie. Cały dzień byłeś taki blady...

— Też coś, głuptasku!

Dick ziewnął.

— No dobrze. Jeśli wy zostajecie, to my też.

Wyszedł spod daszku i popatrzył w niebo.

— No i mimo wszystko zrobiła się całkiem ładna noc. Dużo gwiazd, i to bardzo ładnych.

— Ja też chcę zobaczyć. — Gloria ruszyła ku Maury'emu, pozostali dwaj też poszli za nią. — Posiedźmy tutaj — zaproponowała. — Tu jest znacznie milej.

Anthony i Dick zrobili oparcie z jakiegoś długiego pudła; znaleźli też deskę, dość suchą, by Gloria miała na czym siedzieć. Anthony opadł na ziemię tuż przy niej, a Dick, z niejakim wysiłkiem, wciągnął się na stojącą opodal beczkę.

— Tana zasnął w hamaku na werandzie — zauważył. — Wnieśliśmy go do kuchni i położyliśmy przy piecu, żeby wysechł, bo był przemoczony do suchej nitki.

— Co za okropny człowieczek! — westchnęła Gloria.

— Jak się macie? — Z góry dobiegł nagle dźwięczny, donośny głos; gdy zdumieni spojrzeli w górę, zobaczyli, że Maury dostał się jakoś na dach szopy i siedział teraz, kiwając nogami, na jego krawędzi, niczym jakiś mroczny, fantastyczny maszkaron na tle jaśniejącego już nieba.

— To właśnie na takie okazje — zaczął cicho, a jego słowa płynęły w dół do słuchaczy niby z wielkiej wysokości — prawi ludzie tego kraju zdobią linie kolejowe tablicami, głoszącymi na czerwono-żółto „Czuj Chrystusa”, umieszczając je, jakże adekwatnie, tuż przy reklamach „Pij Gunter's Whisky”.

Zaśmiali się lekko; cała trójka patrzyła teraz w górę, na Maury'ego.

— Chyba opowiem wam teraz historię mej edukacji — ciągnął Maury. — Właśnie tu, pod tymi sardonicznymi konstelacjami.

— Tak! Tak! Prosimy!

— Naprawdę chcecie?

Czekali niecierpliwie, a on tymczasem posłał białemu, uśmiechniętemu księżycowi zamyślane ziewnięcie.

— A więc — zaczął — jako dziecko wiele modliłem się, na zapas błagając o wybaczenie popełnionych później niegodziwości. Któregoś roku zgromadziłem sobie tysiąc dziewięćset „Aniołów bożych”.

— Rzuć mi papierosa — poprosił ktoś.

Mała paczuszka sfrunęła na peron wraz ze stentorowym rozkazem:

— Cisza! Zaraz rozpoczną się moje wywnętrznienia, które trzymałem dla ciemności takiej właśnie ziemi, dla jasności takich właśnie niebios.

Na dole od papierosa do papierosa wędrowała zapalona zapalka. Głos podjął na nowo:

— Nauczyłem się oszukiwać bóstwo. Modliłem się natychmiast po każdej z mych zbrodni, aż zbrodnia i modlitwa stały się dla mnie jednym. Wierzyłem, że jeśli ktoś woła „O, Boże!”, gdy spada na niego sejf, jest to świadectwem głęboko zakorzenionej

wiary. Potem posłano mnie do szkół. Przez czternaście lat z pół setki oddanych sprawie ludzi pokazywało mi stare flinty, krzycząc: „Oto prawdziwa broń! Te nowe karabiny to imitacja, płytka, powierzchowna imitacja”. Potępiali jako niemoralne moje myśli i czytane przeze mnie książki; potem moda się zmieniła i potępiali je jako „sprytne”.

I tak, przedwcześnie dojrzały, odwróciłem się od profesorów, a zwróciłem ku poetom, słuchając lirycznego tenoru Swinburne'a, tenoru robusto Shelleya, Szekspira z jego pierwszym basem o wspaniałej skali, Tennysona z jego drugim basem i czasem falsetem, i Milтона z Marlowe'em, basso profundo. Nadstawiałem ucha na gadki Browninga, deklamacje Byrona i monotonne buczenie Wordswortha. To przynajmniej nikomu nie mogło zaszkodzić. Nauczyłem się więc trochę o pięknie — na ryłe, by wiedzieć, że nie ma ono nic wspólnego z prawdą — i przekonałem się, że nie istnieje żadna wielka tradycja literacka; że istnieje tylko tradycja tragicznej śmierci każdej literackiej tradycji...

Aż dorosłem i opadło ze mnie piękno smakowitych złudzeń. Umysł mój tężał, wzrok wyostrzał się żałośnie. Życie podniosło się jak morze wokół mojej wyspy — zacząłem pływać.

Dokonało się to niepostrzeżenie — to coś czekało, ukryte we mnie, już od dłuższego czasu. Tę samą straszliwą, niedostrzegalną pułapkę zastawia na każdego. Jak to się objawiło u mnie? Nie, nie próbowałem uwieść żony dozorczy ani nie pędziłem nago przez miasto, głośno oznajmiając swoją męskość; bo nie czyni tego żądza, lecz szaty, w jakie żądza się stroi. Ja po prostu zacząłem się nudzić — to wszystko. Nuda, która bywa często przykrywką żywotności, stała się podświadomym bodźcem wszelkich mych działań. Rozumiecie? Zostawiłem za sobą piękno, byłem dorosły. — Urwał. — Koniec okresu szkolnego. Początek części drugiej.

Trzy spokojnie ruchliwe punkciki wskazywały miejsce, w którym tkwili słuchacze. Gloria na wpół siedziała teraz, na wpół leżała na kolanach Anthony'ego; obejmował ją tak mocno, że czuła bicie jego serca. Richard Caramel poruszał się co chwila na swej beczce i stękał cicho.

— Dorosłem więc w tym świecie jazzu i natychmiast popadłem w stan słyszalnego niemal zamętu. Życie stanęło nade mną

jak zepsuta nauczycielka, cenzurując moje uporządkowane myśli, ja zaś, w błędnej wierze w inteligencję, brnąłem dalej. Czytałem Smitha, który wyśmiewa dobroczynność, który twierdzi, że najwyższą formą autoekspresji jest pogarda — ale sam Smith rozprawiał się z dobroczynnością za to, że zaciemnia obraz prawdy. Czytałem Jonesa, który równie pięknie rozprawił się z indywidualizmem — ale co to? Jones nadal mi zawadzał! Nie myślałem; byłem tylko polem bitewnym, na którym ścierały się myśli wielu ludzi, niby miodem i mlekiem płynący, lecz bezsilny kraj, po którym tam i z powrotem przewalają się obce potęgi.

Osiągałem wiek dojrzały pod wrażeniem, że gromadzę doświadczenie, które pozwoli mi uporządkować życie, że da mi szczęście. Co więcej, dokonałem czegoś mało oryginalnego: każdy problem życiowy rozwiązałem w myśli na długo przed tym, gdy się pojawił — a mimo to byłem potem tak samo pobity i zdeorientowany.

Ale po kilku kęsach tego dania miałem dość. Ot co, pomyślałem, gromadzenie doświadczeń to gra nie warta świeczki. Doświadczenie nie jest czymś, co przyjemnie zdarza się biernemu „ja” — to mur, o który rozbija się „ja” czynne. Spowiłem się więc w niewzruszony, jak mi się zdawało, sceptycyzm i uznałem, że oto zakończyła się moja nauka. Ale było już za późno. Broniąc się przed nawiązywaniem nowych związków z tragiczną, skazaną na śmierć ludzkością, przepadłem tak jak inni. Walkę z miłością zamieniłem na walkę z samotnością, walkę z życiem na walkę ze śmiercią.

Urwał, by podkreślić znaczenie tego ostatniego stwierdzenia; po chwili ziewnął i ciągnął dalej:

— Wydaje mi się, że początkiem drugiego etapu mojej nauki było bolesne niezadowolenie, że wbrew sobie mogę zostać użyty w jakimś nieodgadnionym celu, celu, którego nie znałem i poznać nie mogłem — jeżeli w ogóle był w tym wszystkim jakiś cel. Wybór był trudny. Nauczycielka zdawała się mówić: „Będziemy grać w piłkę i tylko w piłkę. Nie chcesz grać w piłkę, to w ogóle nie będziesz się bawił...”

Co miałem robić? Przerwy w szkole są tak krótkie!

Wiecie, wiedziałem, że nie pozostaje nam nawet pociecha kariery self-made mena. Myślicie, że skwapliwie podchwyciłem ten pesymizm, że kurczowo uchwyciłem się go jako oznaki rozkosznej,

pewnej siebie wyższości, jak coś w sumie nie więcej przygnębiające niż, powiedzmy, spędzony przed kominkiem szary, jesienny dzień? — Otóż nie, ja byłem na to zbyt gorący, zbyt żywy.

Bo wydawało mi się, że przed człowiekiem nie stoi żaden cel. Człowiek zaczyna żalosną, bezsensowną walkę z naturą — z naturą, która boskim, czarodziejskim zrządzeniem losu sama ukształtowała nas tak, że możemy teraz wygrać jej pięścią. To ona wymyśliła, jak pozbywać się z gatunku osobników gorszych, dzięki czemu reszta może z tym większą siłą spełniać jej wyższe — czy raczej, powiedzmy, zabawniejsze — choć wciąż nie uzmysłowione i przypadkowe zachcianki. A my, napędzani najwspanialszymi darami oświaty, usiłujemy jej w tym przeszkadzać. Widziałem w naszym kraju, że czarni zaczynają mieszać się z białymi, że w Europie ma miejsce katastrofa ekonomiczna, której jedynym celem jest ocalenie paru chorych i fatalnie rządzonych narodów od władzy, która jedna potrafiłaby zagwarantować im dobrobyt.

My potrafimy tylko zasłaniać się Chrystusem, co nie pogardzał trędowatym, więc teraz plemię trędowatego stało się solą ziemi. Jeśli ktoś potrafi wyciągnąć z tego jakąś naukę, niech mówi.

— Życie i tak może nauczyć tylko jednego — przerwała Gloria, nie przecząc Maury'emu, a jakby melancholijnie zgadzając się z nim.

— Czego? — zapytał ostro Maury.

— Że nie potrafi nauczyć niczego.

Po krótkiej chwili milczenia Maury odezwał się ponownie:

— Nasza Gloria, ta piękna, bezlitosna młoda dama, pierwsza popatrzyła na świat z tym prostym wyrachowaniem, które ja ze wszystkich sił pragnąłem zdobyć, którego Anthony nigdy nie zdobędzie, którego Dick nigdy do końca nie zrozumie.

Z beczki dobiegł pomruk niezadowolenia. Anthony, którego oczy zdążyły już przyzwyczaić się do ciemności, wyraźnie dostrzegł błysk w żółtym oku Richarda Caramela i urazę, malującą się na jego twarzy; Dick zawołał:

— Oszalałeś! Nawet według ciebie trochę doświadczenia dałyby mi same dobre chęci.

— Dobre chęci? — wrzasnął Maury. — By przebić się przez mrok politycznego idealizmu jakąś dziką, rozpaczliwą szarżą ku prawdzie? Dzień w dzień wysiadując beczynn timer na twardym krzesle, jak najdalej od życia, wpatrując się w szczyt jakiejś wieży, tkwiący wśród drzew, usiłując na zawsze i ostatecznie oddzielić to, co poznawalne, od tego, co nieprzeniknione? Usiłując schwycić w dłonie okruch terażniejszości i tchnąć weń blask własnej duszy, nadrabiając w ten sposób to, co posiadał w życiu, a utracił przelany na papier czy płótno? Całymi latami biedząc się w laboratorium, pełnym zębatych kół czy probówek nad jedną jotą czegoś, co można od biedy nazwać prawdą...

— A ty? Próbowałeś?

Maury ucichł, a gdy wreszcie odpowiedział, w jego głosie było zmęczenie, gorzka nuta, która brzmiała przez chwilę w tych trzech umysłach, nim jak bańka mydlana wleciała w górę, ku księżycowi.

— Ja nie — powiedział cicho. — Ja urodziłem się zmęczony — ale za to z tym macierzyńskim instynktem, darem takich właśnie kobiet, jak Gloria... I mimo tego całego mojego gadania i słuchania, i całego mojego oczekiwania — na próżno — na wieczne uogólnienie, które, zdawałoby się, skrywa się za każdą dyskusją, każdą spekulacją, sam z siebie nie dałem nic, ani joty.

Z daleka zbliżał się do nich głęboki odgłos, który trwał już od kilku chwil, a teraz określił się żalonym rykiem, niby jakiejś gigantycznej krowy, i perlistymi kropkami reflektorów, które pojawiły się o pół mili od stacji. Pociąg, tym razem ciągnięty przez lokomotywę parową, huczącą, stękającą, przetoczywszy się przy nich z potworną skargą, obrzucił peron snopem iskier i popiołu.

— Ani joty! — Głos Maury'ego znów spadł na nich jakby z wielkiej wysokości. — Cóż to za słabe stworzenie, ta inteligencja! Te jej drobne kroczi, wahania, to w jedną stronę, to w drugą, te jej katastrofalne odwroty! Inteligencja jest jedynie narzędziem okoliczności. Są tacy, co mówią, że to inteligencja stworzyła świat; ależ skąd, to nawet nie inteligencja wymyśliła maszynę parową. Inteligencja to krótka linijka, którą próbujemy mierzyć bezgraniczne osiągnięcia Okoliczności.

Mógłbym cytować wam współczesnych filozofów, ale przecież skąd mamy wiedzieć, czy za pięćdziesiąt lat nie nastąpi całkowite zaprzeczenie tej abnegacji, która tak zaprzęta dzisiejszych intelektualistów, czy Chrystus nie zatriumfuje nad Anatolem France'em... — zawahał się, potem dodał: — Ale wszystko, co wiem — to jak ogromnie wiele sam dla siebie znacę, i konieczność przyznania się do tego przed sobą samym — mądra i piękna Gloria już urodziła się z tą wiedzą, z wiedzą o tym i o bolesnej niemożności jakiegokolwiek innej.

No cóż, zacząłem opowiadać wam o mojej nauce, prawda? Tylko że niczego się nie nauczyłem, nawet o sobie. W przeciwnym razie umarłbym nie otworzywszy ust, z nakrętką na piórze — jak wielu mądrych ludzi od... cóż, od fiaska w pewnej sprawie, zresztą bardzo dziwnej. Otóż kilku sceptyków, ludzi, którzy uważali się za bardzo dalekowzrocznych, tak jak wy i ja. Opowiem wam o nich zamiast modlitwy przed snem.

Pewnego razu wszyscy mędrzy i geniusze świata doszli do porozumienia, że nie wierzą w nic. Obawiali się jednak, i to spędzało im sen z powiek, że już w kilka lat po ich śmierci powstanie mnóstwo wierzeń, systemów i prorocत्व, i będą powoływać się na nich; na nich, którzy nigdy ani nie medytowali, ani nawet nie mieli tego zamiaru. Powiedzieli więc sobie:

„Zbierzmy się i sporządźmy wspólnie wielką księgę, która po wieki wieków wyśmiewać będzie ludzką łatwowierność. Przekonajmy naszych co bardziej śmiałych poetów, by pisali o rozkoszach ciała. Namówmy naszych co bardziej wścibskich dziennikarzy, by dostarczyli nam co pikantniejszych skandali. Dołączymy do tego najbardziej bzdurne plotki starych bab i wybierzemy najbardziej błyskotliwego satyryka, by z wszystkich bóstw czczonych kiedykolwiek przez człowieka sporządził nam takie, które byłoby od nich wszystkich wspanialsze, a równocześnie tak pełne ludzkiej słabości, by na całym świecie wywoływało tylko śmiech... Przypiszemy mu wszystkie anegdoty, próżności i złości, którym ulegać będzie dla własnej rozrywki, by ludzie czytali naszą księgę i rozważali ją, a wtedy bezsens zniknie ze świata.

Na koniec postarajmy się, by napisać księgę doskonałym stylem, aby po wieki wieków świadczyła o naszym głębokim sceptycyzmie i uniwersalnej ironii”.

I tak też uczynili, a potem umarli.

Ale księga żyła wiecznie, tak pięknie ją napisano, tak zadziwiająco wyobraźnią natchnęli ją ci mądrzy i genialni ludzie. Sami zapomnieli nadać jej imię, ale po ich śmierci księgę nazwano Biblią.

Zapadło milczenie; nikt się nie odezwał. Uśpiona w powietrzu ociężałość rzuciła na nich czar.

— Jak już mówiłem, zacząłem od historii mojej nauki. Ale teraz drinki przestały działać, noc prawie się kończy i zaraz wszędzie zacznie się straszny rwetes, na drzewach i w domach i w tych tam dwóch sklepikach za stacją, i przez kilka następnych godzin wszyscy będą biegać tu i tam... No cóż — zakończył ze śmiechem — dzięki Bogu my czworo możemy odejść na wieczny odpoczynek ze świadomością, że uczyniliśmy świat nieco lepszym, bo żyliśmy w nim.

Zerwał się lekki wiaterek, porywając delikatne smugi życia i rozpościerając je na niebie.

— Twoje uwagi są coraz bardziej niespójne i pozbawione sensu — powiedział sennie Anthony. — Spodziewałeś się cudu, który w tak idealnych warunkach stworzenia atmosfery filozoficznej biesiady natchnie cię, byś mówił rzeczy mądre i błyskotliwe, a tymczasem Gloria dała wyraz dalekowzrocznego *désintéressement*, bo zasnęła — co poznaję po tym, że udało się jej spocząć całym ciężarem na mym sfatygowanym ciele.

— Czy was znudziłem? — zapytał Maury, spoglądając w dół z pewnym niepokojem.

— Nie, ale nas zawiodłeś. Strzelałeś, gdzie popadnie, ale nic nie ustrzeeliłeś.

— To już zostawiam Dickowi — powiedział pośpiesznie Maury. — Ja mówię bez ładu, w luźno powiązanych fragmentach.

— Na mnie nie licz — wymamrotał Dick. — Mój umysł pełny jest rzeczy materialnych. Za bardzo tęsknię za gorącą kąpielą, że bym miał się martwić znaczeniem swojej twórczości albo tym, ilu spośród nas to postacie naprawdę żałosne.

Ranek objawił się gęstniejącą bielą na wschodzie, za rzeką, i coraz częstszym świergotem ptaków wśród pobliskich drzew.

— Za kwadrans piąta — westchnął Dick. — Jeszcze prawie godzina. Patrzcie! To już dwoje! — Wskazywał na Anthony'ego, którego powieki opadły ciężko. — Rodzina Patchów śpi...

Ale już po pięciu minutach, mimo coraz głośniejszych treli i świergotania, i jego głowa opadła w przód, kiwnęła dwa razy, trzy...

Czuwał tylko Maury Noble, siedząc na dachu stacji z otwartymi oczyma, wpatrując się w pełnym zmęczenia napięciu w odległe jądro poranka. Dumał o nierzeczywistości idei, o blednącej jasności istnienia i drobnych kłopotach, które chciwie wślizgiwały się w jego życie jak szczury w zburzony dom. Nikogo nie było mu teraz żal; w poniedziałek rano będzie praca, a potem dziewczyna z zupełnie innej sfery, dla której był wszystkim — to było jego sercu najbliższe. W wyobcowaniu rozjaśniającego się dnia wydało mu się czymś wręcz bezczelnym, że usiłował myśleć swym słabym, popsutym instrumentem.

Było słońce, lejące w dół wielkie, rozpalone bryły upału; było życie, pośpieszne, opryskliwe, unoszące się wokół nich niczym rój much, ciemne wydechy pary z lokomotywy, dźwięczne „Proszę wsiadać, drzwi zamykać!” i odgłos dzwonka. Maury zorientował się, że z pierwszego tego dnia pociągu do miasta wpatrują się weń zaciekawione oczy, usłyszał krótką sprzeczkę między Głorią a Anthonyem, czy ona może jechać do miasta sama; potem znowu hałas, Gloria odjechała, zaś trzech mężczyźni, bladzi jak duchy, stali samotnie na peronie, a drogą jechał na pudle ciężarówce usmolony węglarz, witający ochryplym śpiewem letni poranek.

3. Złamana lutnia

Siódma trzydzieści, sierpniowy wieczór. W szarym domu okna salonu są szeroko otwarte i cierpliwie wymieniają zbrukane oparami alkoholu i dymem powietrze na świeżą senność późnego, upalnego zmierzchu. W powietrzu unosi się zapach wędnących kwiatów, tak lekki, tak delikatny, jakby chciał dyskretnie wypomnieć latu, że się zasiedziało. Ale sierpień głośną wciąż tysiące świerszczy, brzęących wokół werandy, z których jeden włamał się do domu i z wielką pewnością siebie skrył się za regałem na książki, skąd co jakiś czas wrzeszczy o swym sprycie i niewzruszonej woli.

Sam salon jest w stanie kompletnego rozgardiaszu. Na stole stoi misa owoców, prawdziwych, choć wyglądających jak sztuczne. Wokół niej piętrzy się złowróżbna kolekcja karafek, kieliszków i przepełnionych popielniczek, z których wciąż jeszcze unoszą się w duszne powietrze chwiejne słupy dymu — brakuje tu tylko trupiej czaszki, by wszystko razem przypominało scenę z tego czcigodnego oleodruku, który niegdyś był nieodłącznym elementem każdej meliny, a który z rozkosznym a budującym uczuciem ukazywał uboczne skutki hedonizmu.

Po chwili dziarskie solo superswierszcza zostaje przerwane raczej niż uzupełnione przez nowy dźwięk — melancholijne zawołanie fletu, po którym błędzą czyjeś palce. Słyszać wyraźnie, że grający ćwiczy, a nie wykonuje utwór, gdyż od czasu do czasu zapętlona melodia urywa się i, po chwili niewyraźnych pomruków, rozpoczyna na nowo.

Tuż przed siódmą próbą do tych przyciszonych dysonansów dołącza się trzeci dźwięk: taksówka przed domem. Chwila ciszy, potem znów taksówka, której hałaśliwy odjazd zagłusza niemal chrzęst kroków na żwirowej alejce. W całym domu rozlega się ostrzegawczy wrzask dzwonka.

Z kuchni wychodzi drobny, zmęczony Japończyk, pośpiesznie zapinając biały kaftan. Otwiera frontowe drzwi i wpuszcza do środka przystojnego młodzieńca w wieku lat trzydziestu, odzianego w ubranie pełne dobrych chęci, typowe dla tych, którzy służą ludzkości. Dobre chęci są cechą dominującą jego osobowości; spojrzenie, jakim obrzuca pokój, jest mieszaniną ciekawości i pełnego determinacji optymizmu; gdy oczy jego zwracają się na Tanę, widać w nich ciężar nawrócenia bezbożnego Azjaty. Nazywa się FREDERICK E. PATMORE, jest kolegą z Harvardu ANTHONY'ego; z powodu nazwisk zawsze sadzano ich na zajęciach obok siebie. Zawiązała się więc między nimi cienka nić znajomości, ale nie widzieli się od czasów studiów.

Mimo to PATMORE wchodzi do salonu jak ktoś, kto został zaproszony. Tana odpowiada właśnie na jego pytanie.

TANA: (przymilnie uśmiechnięty) Pojechać na kolację, gospo-
da. Wróć za pół godzina. Nie ma od pół do szóstka.

PATMORE: (spoglądając na kieliszki stojące na stoliku) Mają gości?

TANA: Tak, gości. Pan Caramel, państwo Barnes, panna Kane, gości na noc.

PATMORE: Aha (ze zrozumieniem). Widzę, że odbywa się tu niezłe przyjęcie.

TANA: Nie rozumiem.

PATMORE: Przyjęcie.

TANA: Tak, oni pić. Oj, dużo, dużo, dużo pić.

PATMORE: (dyskretnie porzucając temat) Czy mi się zdawało, czy wchodząc do domu słyszałem jakąś muzykę?

TANA: (z nerwowym śmiechem) Tak, ja.

PATMORE: Pewnie któryś z tych japońskich instrumentów? (Niewątpliwie prenumeruje „National Geographic”).

TANA: Ja na fle-e-ecie, japońskim fle-e-ecie.

PATMORE: A co graliście? Coś japońskiego?

TANA: (jego brew marszczy się coraz bardziej) Piosenkę kolejową? Jak to się... piosenkę pociągową. Jak pociąg. Zaczyna

ta-a-ak, to znaczy gwizdek, pociąg rusza. Potem ta-a-ak, pociąg jedzie. Tak jedzie. Bardzo ładna piosenka, u mnie w Japonii. Dla dzieci.

PATMORE: Rzeczywiście, brzmi bardzo ładnie.

(Widać wyraźnie, że TANA tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymuje się od popędzenia na górę po swoje pocztówki, również te sześc, które kupił już w Ameryce).

TANA: Zrobić panu whisky z sodą?

PATMORE: Nie, dziękuję, nie piję. (Uśmiecha się).

(TANA znika w kuchni, zostawiając lekko uchylone drzwi. Przez szparę dobiega nagle melodia japońskiej piosenki kolejowej — tym razem jest to na pewno nie próba, lecz koncert, dziarski, pełen ducha.

Dzwoni telefon. TANA, zaabsorbowany swą wirtuozerią, nie zwraca nań uwagi, więc PATMORE podnosi słuchawkę).

PATMORE: Halo... Tak... Nie, nie ma go, ale ma wrócić za chwilę... Butterworth? Halo, nie dosłyszałem nazwiska... Halo... Halo... Halo... Halo! Ech!

(Telefon z uporem odmawia wydania z siebie nowych dźwięków. PATMORE odkłada słuchawkę.

W tym momencie znów odzywa się motyw taksówki, przynosząc drugiego młodego człowieka; niesie walizkę, drzwi frontowe otwiera nie używając dzwonka).

MAURY: (w hallu) Hej, Anthony! Hej, hej! (Wchodzi do dużego pokoju i spostrzega PATMORE'a). Witam.

PATMORE: (patrząc na niego z rosnącym napięciem) Czy to... Czy to Maury Noble?

MAURY: Tak jest. (Podchodzi z uśmiechem, wyciągając dłoń). Jak się masz, stary? Kopę lat!

(Twarz ta w jakiś sposób wiąże mu się z Harvardem, ale i tego nie jest pewien. Nazwiska nie pamięta, nawet jeśli kiedyś je znał. Na szczęście z wielkim wyczuciem i równie chwalebny miłosierdziem PATMORE zauważa to i taktownie wyjaśnia sytuację).

PATMORE: Zapomniałeś Freda Patmore'a? Chodziliśmy razem na wykłady starego wuja Roberta.

MAURY: Nie, nie zapomniałem, wuju... To znaczy, Fred. Fred był... To znaczy wuj był niezły gość, co?

PATMORE: (wesół kiwając głową raz po raz) Niesamowity dziadunio, niesamowity.

MAURY: (po chwili) Tak, tak. Gdzie Anthony?

PATMORE: Ten Japończyk powiedział, że są w jakiejś gospodzie, na kolacji, tak mi się zdaje.

MAURY: (Spogląda na zegarek). Dawno?

PATMORE: Chyba tak. Japończyk mówił, że zaraz wróca.

MAURY: To może napijmy się.

PATMORE: Dziękuję, nie piję. (Uśmiecha się).

MAURY: Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że ja się pocęstuję? (Ziewa, nalewając z butelki). Co robiłeś od skończenia studiów?

PATMORE: O, mnóstwo różnych rzeczy. Prowadzę bardzo aktywne życie. Włączyłem się to tu, to tam. (Z tonu można by wnosić, że oznacza to wszystko od polowań na lwy po zorganizowaną przestępczość).

MAURY: O, a byłeś w Europie?

PATMORE: Niestety nie.

MAURY: Przypuszczam, że prędzej czy później wszyscy tam wylądujemy.

PATMORE: Naprawdę tak sądzisz?

MAURY: Pewnie! Od dwóch lat słyszy się same sensacyjne historie, ludzie potrzebują odmiany, chcą się bawić.

PATMORE: Nie uważasz, że może chodzi tu o coś więcej? O ideały?

MAURY: To nie ma znaczenia. Ludzie po prostu chcą się rozrwać.

PATMORE: (w napięciu) To bardzo interesujące, co mówisz. Bo ja rozmawiałem z kimś, kto tam był...

(Następuje dłuższa przemowa, którą czytelnik może sam wypełnić frazesami typu „widzieć na własne oczy”, „wspaniała atmosfera Francji” i „ratować cywilizację”; Maury siedzi z przymkniętymi oczyma, zobojętniały, znudzony).

MAURY: (przy pierwszej nadarżającej się okazji) A propos, czy wiesz, że w tym właśnie domu działa niemiecki szpieg?

PATMORE: (z ostrożnym uśmiechem) Poważnie?

MAURY: Oczywiście. Uważam, że muszę cię ostrzec.

PATMORE: (już przekonany) Jakaś guwernantka?

MAURY: (szepcąc, wskazując kciukiem w stronę kuchni) Tana! To nie jest jego prawdziwe nazwisko. Zdaje się, że ciągle otrzymuje

listy na nazwisko porucznika Emila Tannenbauma.

PATMORE: (Śmiejąc się z serdeczną wyrozumiałością). Ale mnie nabrałeś!

MAURY: Może oskarżam go niesłusznie. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, co porabiasz.

PATMORE: Między innymi — piszę.

MAURY: Powieści?

PATMORE: Nie, nie całkiem...

MAURY: Czyli co? Taką literaturę, która jest częściowo zmyślona, a częściowo nie?

PATMORE: No... ja raczej ograniczam się do faktów. Działam trochę w pomocy społecznej.

MAURY: Aha!

(W jego oczach pojawia się natychmiast płomień podejrzania, jakby PATMORE wyjawiał, że jest kieszonkowcem-amatorem).

PATMORE: Teraz właśnie pracuję w Stamford, ale dopiero tydzień temu dowiedziałem się, że Anthony mieszka tak blisko.

(Przerywa im dobiegający z zewnątrz hałas, charakterystyczne odgłosy rozmów i śmiechu mieszanego towarzystwa. Do pokoju wchodzi razem ANTHONY, GLORIA, RICHARD CAMEL, MURIEL KANE, RACHAEL BARNES i jej mąż, RODMAN BARNES. Kłębią się wokół MAURY'ego, nielogicznie odpowiadając „Świetnie!” na jego ogólne „Cześć!”... Tymczasem Anthony podchodzi do drugiego z gości).

ANTHONY: Niech mnie diabli! Jak się masz! Tak się cieszę, że cię widzę!

PATMORE: Ja też, Anthony. Mam teraz kwaterę w Stamford, więc pomyślałem, że cię odwiedzę. (Szelmowsko): Kto cały czas walczy z szatanem, ma chyba prawo do paru godzin urlopu.

(ANTHONY wije się w bólach, usiłując przypomnieć sobie, jak on się nazywa. Po chwili pamięć rodzi fragment „Fred”, wokół którego ANTHONY pośpiesznie buduje zdanie „Tak się cieszę, Fred!” Równocześnie całe towarzystwo cichnie nieco, oczekując prezentacji. MAURY, zamiast pomóc, woli przyglądać się ze złośliwym rozbawieniem).

ANTHONY: (zdesperowany) Proszę państwa, pozwólcie przedstawić sobie — Freda.

MURIEL: (z ujmującą wesołością) Cześć, Fred!

(RICHARD CAMEL i PATMORE witają się wylewnie, po imieniu; PATMORE przypomina sobie DICKA jako jednego z tych kolegów z grupy, którzy nigdy nie zadali sobie trudu porozmawiania z nim, zaś DICK naiwnie wierzy, że PATMORE'a poznał jakiś czas temu u ANTHONY'ego.

Trzy panie idą na górę).

MAURY: (na stronie do DICKA) Nie widziałem Muriel od wesela Anthony'ego.

DICK: Teraz jest jeszcze lepsza. Jej najnowsze powiedzonko to „Ja sędzę!”

(ANTHONY przez chwilę męczy się z PATMORE'em i wreszcie usiłuje uogólnić rozmowę, proponując wszystkim coś do picia).

MAURY: Spisałem się z tą butelką. Zszedłem od „procent” do „whisky”. (Wskazuje na słowa na nalepce).

ANTHONY: (do PATMORE'a) Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawią się ci dwaj. Kiedyś pożegnałem się z nimi o piątej po południu, a oni wrócili już o drugiej nad ranem. Naprawdę! Zajeżdża przed drzwi ogromny, wynajęty samochód z Nowego Jorku, a oni gramolą się na zewnątrz, oczywiście pijani jak bele.

(W ekstazie tolerancji PATMORE przygląda się okładce książki, którą trzyma w dłoni. MAURY i DICK wymieniają spojrzenia).

DICK: (niewinnie do PATMORE'a) Pracujesz tu, w miasteczku?

PATMORE: Nie, w osiedlu Laird Street w Stamford. (Do ANTHONY'ego): Nie masz pojęcia, jaka bieda panuje w tych miasteczkach w Connecticut. Włosi, inni emigranci, przeważnie katolicy, więc trudno się z nimi dogadać.

ANTHONY: (grzecznie) Pewnie sporo przestępstw?

PATMORE: Nie tyle przestępstw, co ignorancji i brudu.

MAURY: Jestem za natychmiastowym skazywaniem na krzesło elektryczne wszystkich ignorantów i brudasów. Popieram przestępców — to oni nadają koloryt naszemu życiu. Kłopot tylko w tym, że gdyby karać za ignorancję, trzeba by zacząć od Pierwszych Rodzin, potem zabrać się za ludzi filmu, potem za Kongres i duchownych.

PATMORE: (z wymuszonym uśmiechem) Mówiłem o innej, znacznie bardziej fundamentalnej ignorancji — choćby naszego języka.

MAURY: (w zamyśleniu) Tak, to rzeczywiście problem. Nie mogą nawet śledzić najnowszych osiągnięć w poezji.

PATMORE: W dodatku człowiek przekonuje się, jak naprawdę jest źle, dopiero po paru miesiącach pracy w osiedlu. Jak powiedziała kiedyś moja sekretarka, brud za paznokciami widać dopiero, gdy umyje się ręce. Ale oczywiście jesteście już dość znani.

MAURY: (niegrzecznie) Jak by powiedziała twoja sekretarka, gdy wepchnie się papier w palenisko, pali się on przez chwilę jasnym płomieniem.

(W tej samej chwili GLORIA, ze świeżym makijażem, żadna podziwu i rozrywki, pojawia się na nowo w salonie; po niej dołączają do towarzystwa jej dwie przyjaciółki. Na chwilę rozmowa staje się jeszcze bardziej nieskładna. GLORIA odciaga ANTHONY'ego na stronę).

GLORIA: Anthony, proszę, nie pij za dużo.

ANTHONY: Czemu?

GLORIA: Po pijanemu robisz się taki prostopadły.

ANTHONY: O, Boże! A o cóż ci teraz chodzi?

GLORIA: (Po dłuższej chwili, podczas której patrzy mu chłodno w oczy): O kilka rzeczy. Po pierwsze, czemu zawsze upierasz się płacić za wszystko? Oni obaj mają więcej pieniędzy od ciebie!

ANTHONY: Ależ Glorio, przecież to ja ich zaprosiłem!

GLORIA: No to co? Nie widzę powodu, żebyś musiał zapłacić za tę butelkę szampana, którą rozwaliła Rachael Barnes. Dick chciał zapłacić za tę drugą taksówkę, a ty uparłeś się, że nie.

ANTHONY: Ależ Glorio...

GLORIA: (przedrzeźniając go) „Ależ Glorio!” Niestety zdarza się to trochę za często tego lata — zawsze, gdy poznasz jakąś ładną kobietę. Wchodzi ci to w zwyczaj, ale ja nie będę tego tolerować! Pamiętaj, że ja też mogę nabrać ochoty na skok w bok. (Potem, jakby coś sobie przypomniała): A czy ten, jak mu tam, Fred, to nie jest jakiś drugi Joe Hull?

ANTHONY: Wielkie nieba, nie! Pewnie przyjechał tu, żeby wydobyc trochę pieniędzy od dziadzia na jego owieczki.

(GLORIA opuszcza bardzo przygnębitego ANTHONY'ego i powraca do gości.

Okolo dziewiątej można już podzielić ich na dwie grupy: tych, którzy pili przez cały czas i tych, którzy pili mało lub wcale; do tych drugich należą BARNESOWIE, MURIEL i FREDERICK E. PATMORE).

MURIEL: Jaka szkoda, że nie mam talentu pisarskiego. Mam tyle pomysłów, a nigdy nie potrafię ich wyrazić.

DICK: Jak powiedział Goliat, rozumiał Dawida, ale nie potrafił się wyrazić. Filistyni natychmiast uznali to zdanie za własne motto.

MURIEL: Nic z tego nie rozumiem. Chyba głupieję na starość.

GLORIA: (Chwiejąc się niepewnie wśród gości jak rozweselony anioł). Jeśli ktoś jest głodny, na stole w jadalni są paszteciki.

MAURY: Nie znoszę tych wiktoriańskich nakryć, na których się je podaje.

MURIEL: (szalenie rozbawiona) Ja sądzę, że się wstawiłeś, Maury.

(Jej łono nadal jest brukiem, który wystawia na kopyta wielu przejeżdżających ogierów, w nadziei, że ich żelazne podkowy skrzyszają w mroku choćby iskierkę miłości...

Panowie BARNES i PATMORE prowadzą rozmowę na jakiś budujący temat; tak budujący, że BARNES usiłuje od pewnego czasu wymknąć się w nieco bardziej skażone powietrze otaczające środkową kanapę. Trudno odgadnąć, czy PATMORE pozostał w szarym domu z grzeczności, ciekawości czy po to, by w przyszłości opublikować pracę socjologiczną na temat dekadentyzmu w Ameryce).

MAURY: Fred, wydawało mi się, że jesteś bardzo tolerancyjny.

PATMORE: Tak, to prawda.

MURIEL: Ja też. Uważam, że każda religia jest dobra.

PATMORE: W każdej religii jest trochę dobra.

MURIEL: Ja jestem katoliczką, ale jak zawsze powtarzam, nie bardzo nad tym pracuję.

PATMORE: (w ogromnym przypiływie tolerancji) Religia katolicka to bardzo... bardzo wielka religia.

MAURY: No cóż, ktoś o tak tolerancyjnych poglądach powinien koniecznie zbadać rosnący wykres uczucia i optymizmu, jaki mieści się w tym oto koktajlu.

PATMORE: (Biorąc szklanekę z pewnym oporem). Dziękuję, spróbuję jednego.

MAURY: Jednego? Coś takiego! Mamy spotkanie rocznika tysięcy dziewięćset dziesięć, a ty nie chcesz być nawet na maleńkim rauszu. No wiesz!

*Za zdrowie króla Karola
Za zdrowie króla Karola
Niech puchar, który wznosisz...*

(PATMORE wtóruje mu pełnym głosem).

MAURY: Lej do pucharu, Frederick. Wiesz dobrze, że wszystko podległe jest temu, co gotuje dla nas natura, a tobie gotuje ona los wielkiego pijaka.

PATMORE: Jeżeli ktoś potrafi pić jak dżentelmen...

MAURY: A co to takiego?

ANTHONY: Ktoś, kto nie nosi szpilek pod kołnierzem marynarki.

MAURY: Bzdura! Pozycję społeczną człowieka określa ilość chleba w kanapce.

DICK: To ktoś, kto woli pierwsze wydanie książki od ostatniego wydania gazety.

RACHAEL: Ktoś, kto nigdy nie udaje narkomana.

MAURY: To Amerykanin, który potrafi wmówić angielskiemu kamerdynerowi, że sam też jest angielskim kamerdynerem.

MURIEL: Ktoś, kto pochodzi z dobrej rodziny, studiował w Yale, Harvardzie lub Princeton, ma pieniądze, dobrze tańczy, i tak dalej.

MAURY: Nareszcie — doskonała definicja! Kardynał Newman może się schować.

PATMORE: Wydaje mi się, że na ten problem należałoby spojrzeć nieco szerzej. Czy to nie Abraham Lincoln powiedział kiedyś, że dżentelmenem jest ten, kto nigdy nie zadaje cierpienia?

MAURY: O ile pamiętam, to stwierdzenie przypisuje się generałowi Ludendorffowi.

PATMORE: Żartujesz, prawda?

MAURY: Napij się jeszcze.

PATMORE: Nie powinienem pić. (Zniżając głos tak, by słyszał go tylko MAURY): Co byś powiedział, gdybym ci się przyznał, że to dopiero trzeci drink w moim życiu?

(DICK włącza gramofon, MURIEL wstaje i kiwa się to w jedną, to w drugą stronę, z łokciami na żebrach; jej przedramiona sterczą prostopadle, jak rybie płetwy).

MURIEL: Och, zwińmy dywan, potańczmy!

(Propozycję tę GLORIA i ANTHONY przyjmują z jękiem w duchu i skwaszonymi uśmiechami przyzwolenia).

MURIEL: No, leniuchy, jazda, wstawajcie, odsuńcie meble.

DICK: Poczekajcie, aż skończę drinka.

MAURY: (Konsekwentnie nie dając spokoju PATMORE'owi).
Wiesz co? Każdy z nas należy sobie i do dna, a potem tańczymy.

(Wszelkie protesty kruszą się o skałę nalegań MAURY'ego.)

MURIEL: Ale mi się kręci w głowie!

RACHAEL: (na stronie do ANTHONY'ego) Czy Gloria kazała ci trzymać się ode mnie z daleka?

ANTHONY: (zmieszany) Ależ skąd. Oczywiście, że nie.

(RACHAEL uśmiecha się do niego dziwnie. Dwa ostatnie lata dały jej jakąś twardą, starannie utrzymaną urodę).

MAURY: (wznosząc szklankę) Na pohybel demokracji i chrześcijaństwu!

MURIEL: No wiesz!

(Rzuca MAURY'emu pełne udawanego wyrzutu spojrzenie; pije do dna.

Za jej przykładem idą wszyscy, z większym lub mniejszym trudem.)

MURIEL: A teraz usuńcie wszystko z podłogi!

(Wygląda na to, że nie da się tego uniknąć, więc ANTHONY i GLORIA biorą udział w wielkim przesuwaniu stołów, piętrzeniu krzeseł, zwijaniu dywanów i tłuczeniu lamp. Po ułożeniu mebli w obrzydliwy stos po bokach pokoju w środku robi się wolny kwadrat o boku ośmiu stóp).

MURIEL: Muzyka!

MAURY: Tana wykona pieśń miłosną specjalisty chorób oka, ucha, nosa i gardła.

(Mimo pewnych kłopotów wynikających z tego, że TANA uda się już na spoczynek, dokonywane są przygotowania do występu. Ubrany w piżamę Japończyk z fletem w dłoni zostaje owinięty kocem elektrycznym i umieszczony na stojącym na jednym ze stołów krześle; przedstawia sobą absurdalny, groteskowy widok. PATMORE jest już wyraźnie wstawiony i tak tym zachwycony, że pogłębia jeszcze efekt udając komiksowe zataczanie i nawet pozwalając sobie na czkawkę).

PATMORE: (Do GLORII) Zatańczysz ze mną?

GLORIA: Ani myślę. Ja chcę tańczyć taniec łabędzia. Umiesz?

PATMORE: No pewnie. Wszystko umiem.

GLORIA: To w porządku. Ty zaczynasz od tej strony, a ja od tej.

MURIEL: Już!

(W jednej chwili wybucha wrzaskiem dom wariatów: TANA rzuca się w poskręcane labirynty swej piosenki kolejowej, jęśliwego gwizdu lokomotywy, zlewającego swe melancholijne takty z „Biedny motylku, co czekasz przy kwiatku”, płynącym z gramofonu. MURIEL tak osłabła ze śmiechu, że może już tylko wieszać się rozpaczliwie u szyi BARNESA, ten zaś, tańcząc ze złowróżbną sztywnością oficera, tupie bez cienia uśmiechu po ciasnym parkiecie. ANTHONY usiłuje dosłyszeć szept RACHAEL — ale tak, by nie zwróciło to uwagi GLORII...

Ale już za chwilę nastąpi incydent tak groteskowy, niewiarygodny, teatralny, że może zdarzyć się tylko w życiu, z dziwnym uporem naśladowującym najniższe formy literatury. PATMORE usiłował współzawodniczyć w tańcu z GLORIA; gdy hałas osiąga szczyt, zaczyna wirować w kółko, coraz mniej panując nad tym, co robi — potyka się, prostuje, znów potyka się i pada w stronę hallu... niemal wprost w ramiona starego ADAMA PATCHA, którego wejście zostało całkowicie zagłuszone przez piekielny hałas w salonie.

ADAM PATCH, wsparty na lasce, jest błądy jak ściana. Towarzyszy mu EDWARD SHUTTLEWORTH; to on, schwyciwszy PATMORE'a za ramię, zapobiegł jego upadkowi na czcigodnego filantropa.

Czas potrzebny, by na pokój spłynęła cisza jak potworny cień, „to około dwóch minut, choć jeszcze przez chwilę potem słychać trzaski gramofonu i pojedyncze nutki japońskiej piosenki kolejowej”, wydobywające się z fletu TANY. Z dziewięciorga obecnych tylko BARNES, PATMORE i TANA nie wiedzą, kim jest nowo przybyły; natomiast nikt z dziewięciorga nie wie, że właśnie tego ranka ADAM PATCH dokonał wpłaty pięćdziesięciu tysięcy dolarów na rzecz ogólnokrajowej prohibicji.

Przerwanie gęstniejącej ciszy przypada PATMORE'owi: ta niewiarygodna kwestia jest kulminacją największego w jego życiu wyuzdania).

PATMORE: (Czołgając się szybko na czworakach w stronę kuchni): Ja nie jestem gościem, ja tu tylko pracuję.

(Znów zapada milczenie — tym razem tak głębokie, tak przytłoczone nieznośnie zaraźliwym lękiem, że RACHAEL wyrывa się krótki, nerwowy chichot, a DICK orientuje się, że powtarza sobie w kółko wers ze Swinburne'a, groteskowo pasujący do tej sceny:

„Jeden błąd, posępny kwiat bezwonnego tchu”.

...Z ciszy wyłania się głos ANTHONY'ego, trzeźwy, napięty, tłumaczący coś ADAMOWI PATCHOWI; potem i on milknie).

SHUTTLEWORTH: (z pasją) Pański dziadek postanowił wybrać się na przejażdżkę, by zobaczyć wasz dom. Dzwoniłem z Rye, by nas zapowiedzieć.

(W następny fragment ciszy jakby znikąd dobiega cała seria drobnych westchnień. Twarz ANTHONY'ego jest kredowobiała, wargi GLORII rozchylone, oczy wlepione w starca — uważne, przeżarte. W pokoju nikt już się nie uśmiecha. Nikt? Bo czy zaciśnięte wargi ADAMA PATCHA nie drgnęły lekko, odsłaniając równe rzędy wąskich zębów? Wypowiada teraz dwa ciche, proste słowa).

ADAM PATCH: Wracamy, Shuttleworth...

(I to wszystko. Odwraca się, pomagając sobie laską przechodzi przez hall, przez drzwi frontowe; jego niepewne kroki chrzęszczą złowrogo na zwirowej ścieżce pod księżycem sierpnia).

Obrachunki

Po czymś takim byli jak dwie złote rybki w akwarium, z którego wylano wodę; nie mogli nawet podплыnąć do siebie.

W maju Gloria kończyła dwadzieścia sześć lat. Już przedtem mówiła, że chce w życiu jednego: być długo młoda i piękna, być wesoła i szczęśliwa, i jeszcze mieć pieniądze, i kochać. Małżeństwo jej trwało od ponad dwóch lat. Na początku były dni pogodnego szczęścia, gdy rozumieli się nawzajem, ukoronowane ekstazą posiadania i dumy. W przerwach trafiały się krótkie, sporadyczne napady nienawiści i zapomnienia, nie dłuższe niż jedno popołudnie. Tak było przez pół roku.

Potem pogoda ducha, zadowolenie, stały się mniej radosne, a bardziej szare — dawny szal, owa komunia serc, miłosna podnieta, powracały bardzo rzadko, przywołane najczęściej wybuchem zazdrości lub przymusową rozłąką. Teraz potrafiła nienawidzić Anthony'ego nawet i przez cały jeden dzień; irytował ją czasem i przez tydzień. Folgowali sobie teraz nie w czułości, lecz w wymówkach, traktowanych niemal jako rodzaj rozrywki; zdarzało się, że zasypiając usiłowali zapamiętać, kto gniewa się na kogo, kto ma rano wstać obrażony. Gdy dobiegał końca drugi rok, pojawiły się jeszcze dwa nowe elementy. Gloria przekonała się, że Anthony zdolny jest do całkowitej obojętności względem niej, obojętności przemijającej co prawda i w dużym stopniu bezwolnej, ale takiej, z której nie potrafiła już wyrwać go jednym szepniętym słowem czy szczególnym, intymnym uśmiechem. Były dni, kiedy jej pieszczoty zdawały się go dusić; była tego świadoma, choć nigdy do końca nie przyznała się przed sobą do tego.

Dopiero ostatnio odkryła, że mimo całego uwielbienia, jakie miała dla niego, mimo swej zazdrości, służalczości i dumy, głęboko nim pogardza — a pogarda ta niepostrzeżenie połączyła się w jedno z innymi uczuciami... Taka była jej miłość, ta żywotna, kobieca iluzja, która pokierowała nią pewnej kwietniowej nocy wiele miesięcy wcześniej.

Mimo to była ona dla Anthony'ego wszystkim. Gdyby ją utracił, byłby załamany, byłby człowiekiem do końca życia zamkniętym we wspomnieniach o niej. Rzadko znajdował przyjemność w dniu spędzonym wyłącznie z nią — poza nielicznymi okazjami wołał,

by był z nimi jeszcze ktoś trzeci. Czasem wydawało mu się, że oszałeje, jeśli nie zostanie na chwilę całkiem sam — kilka razy nienawdził jej z całego serca. Po pijanemu pozwalał sobie na krótkotrwałe fascynacje innymi kobietami — skrywany dotąd przejaw temperamentu empirycznego.

Tej wiosny, tego lata, wiele rozmyślali o szczęściu, jakie ich jeszcze czeka, o tym, jak będą podróżować z jednej krainy lata do drugiej, wracając wreszcie do wspaniałej posiadłości i, czemu nie, do sielankowej dzieciarni; o karierze w dyplomacji lub polityce, o tym, jak pięknych rzeczy w nich dokonają; o tym, gdy wreszcie jako siwowłosa (pięknie, jedwabście siwowłosa) para, skąpana w pogodnej glorii, cieszyć się będą podziwem burżuazji całego kraju... Te szczęśliwe czasy miały rozpocząć się „gdy tylko dostaniemy nasze pieniądze”; nadzieje swe pokładali właśnie w takich mrzonkach, a nie w zadowoleniu z obecnego życia, coraz mniej regularnego, coraz bardziej hulaszczego. W szare poranki, gdy nocne zabawy karły do rozmiarów pijatyk, pozbawionych i dowcipu, i godności, chętnie wyciągali z lamusa ów kłębek wspólnych marzeń i przeliczali je wspólnie, uśmiechając się do siebie i powtarzając, w sposób decydujący i ostateczny, ów krótki a szczery nietzscheanizm, owo Glorii buńczuczne „nie przejmuj się!”

Ale wyraźnie coś się psuło. Mieli kłopoty z pieniędzmi, coraz bardziej denerwujące i złowieszcze; uświadamiali sobie, że w zabawie nie potrafią już obejść się bez alkoholu — zjawisko nierzadkie wśród brytyjskiej arystokracji jakieś sto lat temu, ale dość niepokojące w kulturze coraz bardziej umiarkowanej, coraz bardziej oszczędnej. W dodatku czuli, że są jakby moralnie słabsi, nie tyle w czynach, co w subtelnych reakcjach na otaczającą ich cywilizację. W Glorii rodziło się coś, czego nigdy dotąd nie potrzebowała — szkielet, niepełny lecz wyraźny, jej najstraszliwszego wroga: sumienia. Gdy wreszcie przyznała się do tego przed samą sobą, rozpoczął się stały odpływ jej fizycznej odwagi.

I w końcu w ów sierpniowy poranek po nieoczekiwanej wizycie Adama Patcha obudzili się zmęczeni, targani nudnościami, zniechęceni do życia, zdolni do jednego tylko wszechogarniającego uczucia: strachu.

Strach

— No i co? — Anthony uniósł się na łóżku i popatrzył na nią z góry. Kąciki jego warg opadły rozpaczliwie w dół, głos miał napięty, głuchy.

W odpowiedzi podniosła dłoń do ust i zaczęła powoli i dokładnie obgryzać palec.

— No i wszystko diabli wzięli — powiedział po chwili; potem, że wciąż milczała, rozłościł się. — Nie możesz nic powiedzieć?

— A co mam powiedzieć, do licha?

— O czym myślisz?

— O niczym.

— To przestań obgryzać paznokcie.

Tu nastąpiła krótka, bezładna dyskusja o tym, czy ona myśli o czymś, czy nie. Anthony uważał, że powinna roztrząsać w duchu katastrofę z zeszłego wieczoru; milczenie jej traktował jako przeczucie odpowiedzialności na siebie. Ona z kolei nie uważała, by sytuacja wymagała słów— jedynie tego, by obgryzać paznokcie jak nerwowe dziecko.

— Muszę jakoś przeprosić dziadka — powiedział z niezbyt wielkim przekonaniem. Budzący się na nowo szacunek sprawił, że powiedział „dziadka”, nie „dziadzia”.

— Nic z tego — powiedziała gwałtownie. — Nie uda ci się. Nigdy. On nie przebaczy ci do końca życia.

— To możliwe — zgodził się żałośnie Anthony. — Ale... Gdybym zaczął pokutować i żałować za grzechy, wiesz...

— Wyglądał na ciężko chorego — przerwała. — Był bładny jak kreda.

— Bo jest ciężko chory. Mówiłem ci to już trzy miesiące temu.

— Szkoda, że nie umarł w zeszłym tygodniu! — powiedziała z gniewem. — Za grosz wyrozumiałości w tym starym durniu!

Żadne z nich nie zaśmiało się.

— Ale pozwól sobie powiedzieć — dodała cicho — że gdy następnym razem zobaczę, że zachowujesz się tak, jak wczoraj z Ra-chael Barnes, zostawię cię natychmiast! Nie zamierzam tego tolerować, rozumiesz?!

Anthony jęknął.

— Nie wygłupiaj się — zaprotestował. — Wiesz przecież, że dla mnie istniejesz tylko ty, tylko ty, najdroższa.

Ale próba czulej rozmowy żałośnie spelzła na niczym — w ich myśli znów wkradło się bezpośrednio niebezpieczeństwo.

— A gdybym tak pojechał do niego — poddał Anthony — i oznajmił, używając odpowiednich cytatów z Biblii, że zbyt długo kroczyłem drogą występku, ale wreszcie przejrzałem... — Urwał i popatrzył szelmowsko na żonę. — Może to by coś dało?

— Nie wiem.

Myślała już tylko o tym, czy goście będą na tyle delikatni, by ulotnić się zaraz po śniadaniu.

Anthony dopiero po tygodniu odważył się pojechać do Tarrytown. Sama myśl przejmowała go odrazą; pozostawiony sam sobie nigdy by się na to nie zdecydował — jednak w ciągu ostatnich trzech lat osłabła w nim nie tylko siła woli, lecz też odporność na perswazję. W końcu Glorii udało się zmusić go do wyjazdu. Powiedziała, że nawet niegłupio jest jechać dopiero po tygodniu, bo gniew dziadka mógł przez ten czas nieco ostygnąć, ale dalej opóźnić wyjazd byłoby błędem — gniew mógłby stać się zapiekły.

Pojechał więc, cały roztrzęsiony — na próżno. Adam Patch nie czuje się dobrze, oznajmił mu oburzony Shuttleworth, wydano ścisły zakaz jakichkolwiek odwiedzin. Front Anthony'go załamał się pod mściwym wzrokiem byłego barmana. Wrócił do taksówki niemal chyłkiem, odzyskując resztki godności osobistej dopiero na stacji; jak za lat chłopięcych cieszył się, że udało mu się uciec do wciąż jeszcze istniejących świetlistych, wymaginowanych pałaców pocieszenia.

W Marietcie czekała go za to pogarda Glorii. Czemu nie wszedł siłą? Ona by weszła!

Wspólnie ułożyli więc list, który po wielu poprawkach wreszcie wysłali; list zawierał przeprosiny i tłumaczenia zajścia sprzed tygodnia — same kłamstwa. Pozostał bez odpowiedzi.

Nadszedł wreszcie pewien wrześnieowy dzień, dzień smagany na przemian słońcem i deszczem, słońcem bez ciepła, deszczem bez świeżości. Tego dnia opuszczali na zawsze szary dom, świadka

pierwszych kwiatów ich miłości. W sypialni, w której dwa lata temu, odlegli i zadowoleni, wylegiwali się leniwie, nie myśląc, lecz marząc, teraz zaś pozbawionej umeblowania, piętrzyły się cztery kufry i trzy monstrialne skrzynie. Gloria w nowej, brązowej sukni, obszywanej futrem, siedziała w milczeniu na jednym z kufrów, zaś Anthony przechadzał się nerwowo tam i z powrotem, paląc papierosa, w oczekiwaniu na ciężarówkę, która miała zawieźć ich rzeczy do miasta.

— A to co? — zapytała wskazując na kilka albumów, leżących na jednej ze skrzyń.

— To mój stary zbiór znaczków — przyznał nieśmiało. — Zapomniałem spakować.

— Anthony, przecież to głupio tak je wszędzie wozić ze sobą.

— Bo wiesz, przeglądałem je na wiosnę, w dniu, kiedy wyprowadzaliśmy się z mieszkania, i postanowiłem nie oddawać ich do składu.

— A nie mógłbyś ich sprzedać? Czy nie mamy już i tak dość rupieci?

— Przepraszam — odpowiedział z pokorą.

Przed drzwi z okropnym zgrzytem zajechała ciężarówka. Gloria gniewnie pogroziła pięścią czterem ścianom.

— Cieszę się, że stąd wyjeżdżam — zawołała. — Naprawdę! O, Boże, jak ja znienawidziłam ten dom!

I tak błyskotliwa, piękna dama powróciła z mężem do Nowego Jorku. Już w pociągu pokłócili się — jej gorzkie słowa padały z tą samą częstotliwością, regularnością i nieuchronnością, z jaką za oknem pojawiały się perony mijanych stacji.

— Nie złość się — prosił żałośnie Anthony. — W końcu mamy tylko siebie.

— Zwykle nie mamy nawet tego — krzyknęła Gloria.

— Jak to? Kiedy?

— Wiele razy — począwszy od pewnego incydentu na peronie w Redgate.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Nie — przerwała chłodno. — Nie rozpamiętuję tego, ale było, minęło — i zabrało coś ze sobą.

Zamilkła nagle, a Anthony siedział w milczeniu, zmieszany, smutny. Ponure wizje oglądanych od strony kolei miasteczek Mamaroneck, Larchmont, Rye, Pelham Manor, następowały po sobie, przedzielone odcinkami niegościnnych, brzydkich pustaci, bez powodzenia udających wieś. Zorientował się po chwili, że wspomina ów letni poranek, w który wyruszyli z Nowego Jorku na poszukiwanie szczęścia. Może już wtedy nie liczyli, że je znajdą; ale sama wyprawa była przecież szczęśliwsza niż wszystko, czego mógł się odtąd spodziewać od życia. W życiu trzeba budować wokół siebie podpory — inaczej nastąpi katastrofa. Nie ma odpoczynku, nie ma spokoju. Nie da się żyć jedynie marzeniami, bo marzenia przekształcają się wtedy w fantastyczne koszmary żalu i niepewności.

Pelham! To w Pelham pokłócili się, bo Gloria uparła się, żeby usiąść za kierownicą. Gdy przydusiła drobną stopką pedał gazu, samochód dał susa przed siebie, a ich głowy skoczyły do tyłu jak marionetki, pociągnięte wspólnym sznurkiem.

Już Bronx — domy gęstniejące i lśniące w słońcu padającym teraz z rozłożystego, promiennego nieba tłumnymi karawanami światła wprost na ulice. To Nowy Jork, to może ich dom, miasto luksusu i tajemnic, wybujałych nadziei i egzotycznych snów. Tu, na przedmieściach, o chłodnym zachodzie, stanęły dęba groteskowe, zdobne w stiuki pałace, upozowane przez chwilę w godnej nierzezywistości; potem odsunęły się w dal, a w ich miejsce pojawiła się pokrętna płatanina Harlem River. Pociąg pędził w pogłębiającym się zmierzchu, mijając pół setki wesołych, spotniałych ulic górnego East Side, z których każda przemykała za oknem wagonu jak przestrzeń między szprychami jakiegoś gigantycznego koła, ujawniająca żywotną barwność dzieci biedoty, rojących się w gorączkowym ruchu jak mrówki w alejkach z czerwonego piasku. Z okien kamienic czynszowych wychylały się krągłe w kształtach i na twarzach matki, jak konstelacje tego nędznego nieba, kobiety jak ciemne klejnoty ze skażą, kobiety jak warzywa, kobiety jak wielkie wory odrażająco brudnej bielizny.

— Podobają mi się te ulice — zauważył na głos Anthony. — Zawsze wydaje mi się, że to przedstawienie na mój wyłączny użytek; że gdy tylko przejadę, wszyscy nagle przestaną skakać i śmiać się, posmutnieją, przypomną sobie o swej nędzy i ze zwieszonymi

głowami odejdą do domów. Za granicą często ma się takie odczucie, ale tu rzadko.

Na ruchliwej ulicy wysokich domów odczytał kilkanaście żydowskich nazwisk nad rzędem sklepów; w drzwiach każdego stał smagły człowieczek, spoglądający w napięciu na przechodniów — podejrzliwie, dumnie, jasno, chciwie, wyrozumiale. Nowy Jork — nie potrafił oddzielić go od powolnego pięcia się w górę tych ludzi — małe sklepiki, rozrastające się, potężniejące, przenoszące się do lepszych lokali, pilnowane sokolim wzrokiem, w mrówczej pracy rojące się jeden na drugim. Było to przedziwne, a gdy spojrzeć na to z właściwego punktu widzenia — wręcz przytłaczające.

W jego myśli wdarł się głos Glorii. To, co powiedziała, dziwnie pasowało do toku jego myśli:

— Ciekawe, gdzie był Bleockman tego lata.

Mieszkanie

Po pewności siebie lat młodzięcych następuje zawsze okres napiętych, nieznośnych złożoności. Dla zwykłego zjadacza chleba okres ten jest tak krótki, że niemal niedostrzegalny. Ludzie większego kalibru opierają się temu dłużej, usiłując zachować „niepraktyczne” idee uczciwości. Mimo to, gdy zbliża się trzydziestka, jest to już zadanie zbyt skomplikowane; to, co do tej pory było nieubłagane i nieodgadnione, staje się teraz odległe i szare. Przychodzi przyzwyczajenie, jak mrok nad poszarpany krajobraz, wygładzając jego nierówności, dopóki nie stanie się łagodny, monotony. Złożoność ta jest zbyt subtelna, zbyt różnorodna; wartości zmieniają się krańcowo wraz z każdą nową raną, zadaną naszej żywotności; stopniowo okazuje się, że przeszłość nie uczy nas niczego, co pozwoliłoby nam stawiać czoło przyszłości — i nagle nie jesteśmy już impulsywnymi, podatnymi na wpływy ludźmi, zainteresowanymi tym, co etycznie prawdziwe, na pewno prawdziwe; zastępujemy ideały uczciwości regułami postępowania, wolimy bezpieczeństwo od romantyzmu, całkiem nieświadomie stajemy się pragmatykami. Tylko nieliczni interesują się jeszcze niuansami stosunków międzyludzkich — a i ci nawet tylko w ściśle określonych godzinach.

Anthony Patch nie był już człowiekiem przygody umysłowej, ciekawości; stał się człowiekiem uprzedzeń i przesądów, ceniącym przede wszystkim spokój emocjonalny. Zmiana ta dokonała się stopniowo w ciągu ostatnich kilku lat, przyśpieszona przez szereg lęków, nękających jego umysł. Miał więc przede wszystkim uczucie pustki; dotąd uśpione w sercu, teraz rozbudzone przez sytuację majątkową. W chwilach, gdy opadały go te wątpliwości, prześladowała go myśl, że życie może rzeczywiście jest pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Zaraz po dwudziestce w przekonaniu o bezsensie wysiłku, o mądrej abnegacji, utrzymywały go podziwiane systemy filozoficzne i znajomość z Maury Noblem, później zaś — ze swoją żoną. Były jednak też chwile — na przykład tuż przed poznaniem Glorii lub wtedy, gdy dziadek chciał wysłać go do Europy jako korespondenta wojennego — gdy to wieczne niezadowolenie omal nie popchnęło go do uczynienia jakiegoś zdecydowanego, pozytywnego kroku.

Któregoś dnia, tuż przed ostatecznym wyjazdem z Marietty, przerzucając bez celu strony biuletynu absolwentów Harvardu, znalazł artykuł o tym, co przez ostatnie sześć lat porabiali koledzy z jego rocznika. Co prawda większość poświęciła się interesom, a kilku nawracało pogan Chin lub Ameryki na dość nieokreślone wyznania protestanckie, ale kilku, jak się okazało, pracowało z powodzeniem w zawodach, którym daleko było do synekury czy rutyny. Taki Calvin Boyd, na przykład, choć dopiero co ukończył szkołę medyczną, zdążył już opracować nowy sposób leczenia tyfusu, wyjechał za granicę i starał się walczyć z „cywilizacją” zaprowadzoną przez mocarstwa w Serbii; albo Eugene Bronson, którego artykuły w „The New Democracy” ugruntowały sławę człowieka o poglądach wyrastających ponad zwykle „bycie na czasie” i masową histerię; był też ktoś nazwiskiem Daly, zawieszony przez radę prawomyślnego uniwersytetu za propagowanie ideologii marksistowskiej: Anthony widział, jak jego rówieśnicy stają się osobistościami sztuki, nauki i polityki — był nawet Severance, napastnik uniwersyteckiej drużyny footballowej, który służąc w Legii Cudzoziemskiej z takim wdziękiem oddał życie w walkach nad Aisne.

Odłożył czasopismo i przez chwilę rozmyślał o tych różnych ludziach. W latach dawnej uczciwości do ostatka broniłby swej

postawy, postawy epikurejczyka w nirwanie; krzyczałby, że walczyć znaczy wierzyć, a wierzyć — ograniczać. Regularne uczęszczanie do kościoła, powodowane wizją nieśmiertelności, byłoby dla niego równie niemożliwe, jak zajęcie się interesami w branży skórzaney tylko dlatego, by w wolnej konkurencji znaleźć ucieczkę od smutku. Teraz jednak nie miał już tak subtelnych skrupułów. Tej jesieni, rozpoczynając dwudziesty dziewiąty rok życia, miał skłonność do zamykania umysłu na wiele spraw, do unikania głębszych medytacji nad tym, co skąd się bierze i z czego wynika; przede wszystkim zaś pragnął znaleźć schronienie przed światem i przed samym sobą. Nie cierpiał być sam, obawiał się, jak już powiedziano, zostawać sam na sam nawet z Glorią.

Z powodu otchłani, jaka otwarła się przed nim po wizycie dziadka, i wynikającej z niej odrazy dla dotychczasowego trybu życia, było nieuniknionym, że w tym z nagłą wrogim miście będzie szukał przyjaciół i otoczenia, w których czuł się kiedyś najlepiej i najbezpieczniej. Pierwszym krokiem była desperacka próba odzyskania dawnego mieszkania.

Wiosną 1912 podpisał czteroletnią umowę najmu za tysiąc siedemset dolarów rocznie, z możliwością przedłużenia. Okres najmu skończył się w maju poprzedniego roku. Zanim zamieszkał tam Anthony, mieszkanie miało jedynie wielkie możliwości — a i te były ledwie zauważalne; Anthony zauważył je jednak i wymógł na właścicielu zgodę wspólnego opłacenia zmian i ulepszeń. W ciągu tych czterech lat czynsze wzrosły, więc gdy ostatniej wiosny Anthony rozwiązał umowę z właścicielem, niejakim Sohenbergiem, ten orientował się już, że za mieszkanie w jego nowym, imponującym stanie może otrzymać znacznie wyższą cenę. Dlatego też gdy we wrześniu Anthony ponownie wyraził chęć zamieszkania w dawnym lokalu, usłyszał propozycję trzyletniej umowy z czynszem w wysokości dwóch i pół tysiąca rocznie. Anthony był oburzony; oznaczałoby to płacenie ponad jednej trzeciej ich łącznych dochodów. Argumenty, że to za jego pieniądze tak ulepszono mieszkanie, jakoś nie wzruszały właściciela.

Na próżno też usiłował wytargować dwa tysiące, choćby dwa tysiące dwieście, choć i na tyle nie było ich stać; Sohenberg był niewzruszony. Okazało się zaraz, że na mieszkanie ma już dwóch

chętnych, że teraz najbardziej poszukiwane są właśnie takie, że w interesie właściciela nie leży wcale dawać je panu Patchowi za pól darmo. Poza tym — dotąd o tym nie wspominał — zeszłej zimy kilku innych lokatorów kamienicy skarżyło się na hałas, na śpiewy i tańce do późna w noc, i tym podobne rzeczy.

Z wściekłością w duchu Anthony wrócił co tchu do hotelu „Ritz”, by zakomunikować Glorii o swym niepowodzeniu.

— Wiedziałam, że tak będzie — rozzłościła się — że pozwolił mu tak się traktować!

— A co ja miałem mu powiedzieć?

— Mogłeś mu wygarnąć, za kogo go uważasz. Ja nie dałabym tak sobą pomiatać. Nikt inny nie daje tak sobą pomiatać, tylko ty! Pozwalasz, żeby byle kto ci rozkazywał, oszukiwał cię, straszył i wykorzystywał, jakbyś był małym, głupim chłopczykiem. Mam tego dość!

— O Boże, Glorio, niepotrzebnie tak się złościś.

— Wiem, Anthony, ale taka z ciebie niedorajda!

— Może i jestem niedorajda, ale i tak nie stać nas na to mieszkanie; a tym bardziej na ten hotel.

— To ty uparłeś się, żeby tu się zatrzymać.

— Tak, bo wiedziałem, że w tanim hotelu będzie ci nieprzyjemnie.

— No pewnie, że nieprzyjemnie!

— Tak czy inaczej musimy znaleźć sobie jakieś mieszkanie.

— A na ile nas stać? — zapytała.

— No więc byłoby nas stać nawet i na to, gdybyśmy sprzedali jeszcze trochę akcji, ale wczoraj wieczór uzgodniliśmy, że dopóki nie znaję jakiejś stałej pracy...

— Och, przecież wiem to wszystko. Pytałam, na ile możemy sobie pozwolić, żeby wydawać tylko z naszych dochodów.

— Mówią, że na mieszkanie powinno się wydawać nie więcej niż jedną czwartą.

— A ile to jest, jedna czwarta?

— Sto pięćdziesiąt miesięcznie.

— To znaczy, że miesięcznie mamy tylko sześćset dolarów. —

W jej głosie pojawiło się nagle przygnębienie.

— No pewnie — rozgniewał się. — A co, wyobrażałaś sobie, że wydawaliśmy sobie grubo ponad dwanaście tysięcy rocznie nie naruszając kapitału?

— Wiedziałam, że pozbywamy się akcji, ale... Naprawdę tyle wydawaliśmy? Jak to się stało? — Była coraz bardziej zaniepokojona.

— Już pędzę popatrzeć do ksiąg, które prowadziliśmy tak skrupulatnie — odparł z ironią, po czym dodał: — Dwa czynsze naraz, przez większość czasu, stroje, podróże — przecież te dwa pobyty w Kalifornii musiały kosztować po około cztery tysiące. I jeszcze to cholerne auto — same wydatki od początku do końca. I przyjęcia, rozrywki, i to, i tamto...

Byli teraz oboje podenerwowani i niezwykle przygnębieni. Opowiadając o tym Glorii Anthony martwił się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy sam dokonał tego odkrycia.

— Musisz zacząć jakoś zarabiać — powiedziała nagle.

— Wiem.

— No i musisz jeszcze raz spróbować zobaczyć się z dziadkiem.

— Spróbuję.

— Kiedy?

— Jak się urządzimy.

Urządzili się tydzień później. Wynajęli małe mieszkanie na Pięćdziesiątej Siódmej, za sto pięćdziesiąt miesięcznie. Mieszkanko składało się z sypialni, salonu, małej kuchni i łazienki w wąskim domu z białego kamienia, a choć pokoje były o wiele za małe, by można w nich odpowiednio wyeksponować co lepsze z mebli Anthony'ego, były czyste, nowe i niebrzydkie na swój jasny, higieniczny sposób. Boundsa już nie było — pojechał służyć w armii brytyjskiej — więc w jego zastępstwie musieli tolerować raczej niż cieszyć się z obsługi chuderlawej, grubokościstej Irlandki, znienawidzonej przez Glorię za hymny pochwalne ku czci Sinn Fein, wygłaszane przy każdym śniadaniu. Przyrzekli sobie jednak nigdy nie zatrudniać Japończyków, a angielskich służących było teraz jak na lekarstwo. Podobnie jak Bounds, Irlandka przygotowywała tylko śniadanie; inne posiłki jadali w restauracjach i hotelach.

W końcu Anthony'ego ściągnęła do Tarrytown wiadomość, która ukazała się w kilku nowojorskich gazetach, że Adam Patch,

znany multimilioner, filantrop, szanowany pocieszyciel, poważnie zapadł na zdrowiu, a lekarze nie dają mu żadnych szans przeżycia.

Kotek

Anthony nie zobaczył się z dziadkiem. Lekarze zabronili mu jakiegokolwiek rozmów, oznajmił Shuttleworth, uprzejmie proponując, by Anthony zostawił wiadomość, którą on chętnie przekaze, gdy tylko stan zdrowia chorego na to pozwoli. Zachowanie sekretarza tylko utwierdziło Anthony'ego w melancholijnym przekonaniu, że wnuk marnotrawny byłby osobą niemile widzianą przy łożu chorego. W pewnej chwili w czasie tej rozmowy Anthony, przypominiawszy sobie wyraźne polecenia Glorii, uczynił ruch, jakby chciał wejść do dziadka mimo oporu Shuttlewortha, ale ten z uśmiechem tylko naprężył umięśnione ramiona. Anthony wiedział, że próba taka byłaby z góry skazana na niepowodzenie.

Rozżalony, że tak łatwo dał się zastraszyć, wrócił do Nowego Jorku, gdzie państwo Patchowie spędzili bardzo nerwowy tydzień. Któregoś wieczoru nastąpił incydent wskazujący, w jak wielkim żyli wtedy napięciu.

Wracając do domu z kolacji którąś z przecznic, Anthony zauważył nocnego kota skradającego się przy poręczy.

— Zawsze mam ochotę kopnąć kota — powiedział leniwie.

— A ja je lubię.

— Raz nawet ją zaspokoilem.

— Kiedy?

— Och, dawno temu, jeszcze zanim cię poznałem. To było któregoś wieczoru, w antrakcie jakiejś sztuki. Było zimno, tak jak dziś, a ja byłem lekko zawiany. Chyba po raz pierwszy w życiu — dodał. — Mały drań szukał pewnie miejsca do spania, a ja byłem w złym humorze, więc pomyślałem sobie, żeby go kopnąć...

— Och, biedny kotek! — zawołała Gloria, szczerze wzruszona. Anthony poczuł przypływ gawędziarskiej weny.

— Nie było to piękne — przyznał. — Ten mały zwierzak odwrócił się i popatrzył na mnie tak jakoś żałośnie, jakby w nadziei,

że podniosę go i będę dla niego dobry — naprawdę był to jeszcze całkiem młody kociak — a tutaj taka wielka noga łąduje mu na grzbiecie...

— Och! — okrzyk Glorii był pełen bólu.

— Noc była taka zimna — ciągnął przewrotnie, siłąc się na melancholijny ton. — On chyba pragnął czyjejs opieki, a spotkała go taka przykrość...

— Nagle urwał — Gloria zanosila się szlochom. Doszli właśnie do domu, a gdy weszli do mieszkania, Gloria rzuciła się na tapczan, płacząc tak, jakby zadał jej cios w samo serce.

— Biedny, mały kiciuś! — powtarzała żałośnie — biedny kiciuś. W taki mróz...

— Glorio...

— Nie zbliżaj się do mnie! Proszę, nie zbliżaj się. Zabijeś małego, puszystego kiciusia!

Wzruszony klęknął przy niej.

— Kochanie — powiedział. — Glorio, kochanie, to nieprawda, ja to wszystko zmyśliłem.

Nie wierzyła. W słowach, które dobierał, w szczegółach jego opowieści było coś, co sprawiło, że tej nocy płakała i zasnęła płacząc; płakała nad kotkiem, nad Anthonym, nad sobą, nad cierpieniem, goryczą i okrucieństwem świata.

Zgon amerykańskiego moralisty

Stary Adam zmarł w samym środku pewnej późnolistopadowej nocy z pobożnym komplementem pod adresem swego Boga na ustach; do końca obleżony przez pochlebców, zgasł schlebając Wszechmogącej Abstrakcji, którą, jak podejrzewał, mógł rozgniewać w bardziej lubieżnych chwilach swej młodości. Ogłoszono, że wypertraktował z bóstwem swego rodzaju zawieszenie broni; warunków nie ujawniono, ale przypuszczano, że jednym z nich było przekazanie znacznej ilości gotówki. Życiorys zmarłego ukazał się we wszystkich gazetach, a dwie z nich poświęciły krótkie artykuły wstępne wartości monetarnej wielkiego człowieka i roli, jaką odegrał w dramacie industrializmu, którego był rówieśnikiem. Ostrożnie wspominano o popieranym i sponsorowanym przez niego

dzielach naprawy świata. Wskrzyszono pamięć o Comstocku i Kantonie Surowym, ciągnąc je przez szpalty gazet niczym jakieś wychudłe widma.

Żadna z gazet nie zapomniała wspomnieć o jedynym żyjącym zstępnym, nowojorczyku Anthonym Comstocku Patchu.

Pogrzeb odbył się na rodzinnym cmentarzu w Tarrytown. W pierwszym powozie konduktu jechali Anthony z Glorią, zbyt zmarzwieni, by czuć się głupio; oboje starali się ze wszystkich sił wyczytać zapowiedź fortuny z twarzy wasali zmarłego, którzy byli przy nim do końca.

Dla przyzwoitości odczekali jeden, potwornie nerwowy tydzień, a potem Anthony, nie otrzymawszy żadnego zawiadomienia, zatelefonował do adwokata dziadka. Pana Bretta nie było — miał wrócić za godzinę. Anthony zostawił swój numer telefonu.

Był to ostatni dzień listopada, na zewnątrz panował chłód, pozbawione blasku słońce zaglądało smętnie do okien. Gdy czekali na telefon, udając przed sobą, że są pogrążeni w lekturze, atmosfera zdawała się być przesycona wymuszoną imitacją żalośnie złudnej nadziei. Po nieskończeniu długiej chwili telefon wreszcie zadzwonił, a Anthony, gwałtownie poderwawszy się z miejsca, podniósł słuchawkę.

— Halo... — Głos miał napięty, głuchy. — Tak, zostawiłem wiadomość. Przepraszam, z kim rozmawiam?... Tak... No, chodzi o ten zapis. Jestem tym oczywiście bardzo zainteresowany, a nie otrzymałem zawiadomienia, kiedy odbędzie się odczytanie testamentu, myślałem, że może nie ma pan mojego adresu... Co?... Tak...

Gloria opadła na kolana. Chwile milczenia między zdaniem, wypowiedzianym przez Anthony'ego, rozdzierały jej serce na strzępy. Spostrzegła, że bezradnie kręci wielkimi guzikami aksamitnej poduszki. Potem:

— To... to bardzo, bardzo dziwne... to bardzo dziwne... to bardzo dziwne. I tak zupełnie bez... hm... bez podania... hm... Przyczyn...?

Jego słaby głos dobiegał teraz jakby z daleka. Z jej ust wydobył się cichy odgłos, na wpół jęk, na wpół okrzyk.

— Tak, rozumiem... Dobrze, dziękuję... dziękuję...

Odgłos kładzionej na widełki słuchawki. Gloria nie śmiała odebrać wzroku od podłogi. Zobaczyła, że stopy Anthony'ego odcinają się czarnym konturem od plamy słońca na dywanie. Podniosła się i popatrzyła mu w twarz szarym, beznamiętnym spojrzeniem, nim otoczył ją ramionami.

— Kochanie — szepnął chrapliwie. — Wszystko się zgadza, niech go szlag trafi!

Nazajutrz

— Więc o kim mówi zapis? — zapytał mecenas Haight. — Widzi pan, na razie powiedział mi pan tak mało...

Mecenas Haight był wysoki, przygarbiony, o krzaczastych brwiach. Polecono go Anthony'emu jako prawnika sprytnego i upartego.

— Bo sam niewiele wiem — odparł Anthony. — Wykonawcą czy opiekunem spadku — nie wiem, jak to się nazywa — jest niejaki Shuttleworth, to był taki ulubieniec dziadka. On zarządza wszystkim poza bezpośrednimi darowiznami na cele dobroczynne i zapisami dla służby, i dla tych dwóch krewnych z Idaho.

— Czy to bliscy krewni?

— Najwyżej trzeciego czy czwartego stopnia. Ja nawet nigdy o nich nie słyszałem.

Haight ze zrozumieniem pokiwał głową .

— I zamierza pan zakwestionować któreś z postanowień testamentu?

— Chyba tak — zgodził się bezradnie Anthony. — Chcę, żeby zrobić tak, żeby było najlepiej... I chciałbym, żeby to pan mi poradził.

— Chce pan kwestionować autentyczność testamentu?

Anthony pokręcił głową.

— Poddaję się. Przecież ja nawet nie wiem, na czym to polega. Ja chcę po prostu dostać część spadku.

— Więc może trochę więcej szczegółów. Na przykład, czy wie pan, dlaczego został wydziedziczony?

— No... tak — zaczął Anthony. — Widzi pan, dziadek zawsze miał fioła na punkcie moralnej naprawy świata, i...

- Wiem — wtrącił bez cienia uśmiechu Haight.
- ...i zawsze uważał, że nic nie jestem wart. Chodziło o to, że nie chciałem poświęcić się interesom. Mimo to jestem pewien, że jeszcze zeszłego lata zamierzał mi coś zapisać. Mieliliśmy wtedy dom w Marietcie, i któregoś wieczoru dziadek wpadł na pomysł, żeby nas odwiedzić. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że mieliśmy tam akurat dość wesołe przyjęcie, a on zjawił się bez uprzedzenia. Gdy tylko zobaczył, co się dzieje, odwrócił się na pięcie i razem z tym Shuttleworthem wrócili bez słowa do Tarrytown. Od tego czasu nie odpowiadał na moje listy ani mnie nie przyjmował.
- Był, zdaje się, wielkim zwolennikiem prohibicji?
- Wszystkim, o czym tylko pomyśleć. Po prostu maniak religijny, i już.
- Na jak długo przed śmiercią sporządzono wydziedziczający pana testament?
- Niedawno. To znaczy w sierpniu.
- I uważa pan, że bezpośrednią przyczyną, dla której nie otrzymał pan większej części majątku, było niezadowolenie z powodu pana ostatnich postępów?
- Właśnie.
- Haight zamyślił się. Na jakiej podstawie zamierza Anthony obalać testament?
- No... jest zdaje się coś takiego jak zgubny wpływ?
- Działanie pod złym wpływem to tylko jedna z możliwości, ale najtrudniejsza. Trzeba by wykazać, że został wywarty nacisk, pod którego wpływem zmarły rozporządził majątkiem sprzecznie z własną wolą...
- No, a jeżeli ten Shuttleworth zaciągnął go do Marietty właśnie wtedy, gdy spodziewał się, że zostanie u nas... no... wie pan?
- Nie miałyby to żadnego znaczenia dla sprawy. Istnieje wyraźna różnica między radą a wpływem. Trzeba by wykazać, że sekretarz działał w złej wierze. Ja proponowałbym inną drogę. Testament automatycznie nie zostaje zatwierdzony w przypadku choroby psychicznej, alkoholizmu — Anthony tylko się uśmiechnął — i niedowładu umysłowego, również takiego, który jest wynikiem starości.
- Ale — sprzeciwił się Anthony — jego prywatny lekarz, zresztą jeden ze spadkobierców, zaświadczy, że dziadek był

całkowicie zdrowy na umyśle, i będzie mówił świętą prawdę. Prawdę mówiąc dziadek najprawdopodobniej zrobił z pieniędzmi dokładnie to, co chciał — to doskonale pasuje do wszystkiego, co robił w życiu...

— Widzi pan, brak pełnej władzy umysłowej to trochę tak, jak działanie pod złym wpływem — w obu przypadkach wychodzi się z założenia, że majątkiem rozporządzono niezgodnie z pierwotnym zamiarem. Najczęściej opiera się postępowanie na przymusie, na przemocy fizycznej.

Anthony pokręcił głową.

— Nie liczylibym na to, niestety. Ja dalej uważam, że najlepiej byłoby oprzeć się na działaniu pod złym wpływem.

Po dalszej dyskusji, tak pełnej fachowych terminów, że w większości dla Anthony'ego niezrozumiałej, postanowił on zaangażować Haighta. Ten zaproponował doprowadzenie do spotkania z Shuttleworthem, który wraz z firmą Wilson, Hiemer i Hardy był wykonawcą testamentu. Anthony miał wrócić po wiadomości jeszcze w tym samym tygodniu.

Okazało się, że majątek jest wart około czterdzieści milionów dolarów. Najwyższy z zapisów na rzecz osoby fizycznej wynosił milion, a przeznaczony był dla Shuttlewortha, który otrzymywał również pensję trzydziestu tysięcy dolarów rocznie za zarządzanie, praktycznie według własnego widzimisię, trzydziestomilionowym funduszem na przeróżne cele dobroczynne i organizacje naprawy moralnej. Pozostałe dziewięć milionów podzielono między dwóch krewnych z Idaho i dwudziestu kilku innych spadkobierców: znajomych, sekretarki, służbę i pracowników, którzy mieli kiedyś szczęście zasłużyć na aprobatę Adama Patcha.

Po upływie następnych dwóch tygodni mecenas Haight, za wynagrodzeniem ustalonym na piętnaście tysięcy dolarów, rozpoczął przygotowania do zakwestionowania ważności testamentu.

Zima goryczy

Nie minęły jeszcze dwa miesiące w ich małym mieszkanku na Pięćdziesiątej Siódmej, a ukazało ono im obojgu tę samą, charakterystyczną, nieokreśloną, lecz niemal dotykálną skazę, która

przesycała szary dom w Marietcie. W powietrzu wiecznie unosił się swąd papierosów — oboje palili bez przerwy; był wszędzie: w odzieży, kocach, zasłonach i zaśmieconych popiołem dywanach. Do tego dochodziła przykra woń skwaśniałego wina, z tym nieodłącznym wrażeniem utraconego piękna i wspomnianych z obrzydzeniem zabaw. Odór ten dochodził ze szczególną siłą z pewnego kompletu kieliszków na kredensie, a w salonie mahoniowy blat stołu upstrzony był białymi kółkami po stawianych tam szklankach i kieliszkach. Przyjęcia następowały tu jedno po drugim; zdarzało się, że goście coś tłukli, że chorowali w łazience Glorii, że rozlewali wino, że doprowadzali małą kuchnię do stanu straszliwego rozgardiaszu.

Wszystko to stało się nieodłączną częścią ich egzystencji. Mimo solennych, poniedziałkowych postanowień panowała między nimi niepisana umowa, że nadejście każdego weekendu zostanie uczczone taką czy inną hulaszczą zabawą. W sobotę nawet już na ten temat nie dyskutowali, lecz po prostu telefonowali do tych czy innych odpowiednio nieodpowiedzialnych znajomych, proponując spotkanie. Ci gromadzili się u nich, i dopiero wtedy Anthony wyciągał z kredensu karafki, mrużąc przy tym od niechcenia: „A, to ja też strzelę sobie jednego...”

I następowało kolejne, dwudniowe szaleństwo, po którym orientowali się zimowym porankiem, że byli najbardziej hałaśliwymi i rzucającymi się w oczy członkami najbardziej hałaśliwego i rzucającego się w oczy towarzystwa w klubach „Boul Mich” czy „Ramée”, czy w innych lokalach, znacznie łagodniej znoszących wesołość klientów. Potem orientowali się jeszcze, że w jakiś sposób znów udało się im „puścić” osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt dolarów — nigdy nie mieli pojęcia, jak to się stało, więc zwykli przypisywać to „skąpstwu” współbiedników.

W końcu co bardziej otwarci ze znajomych uznali, że trzeba ich nieco utemperować — i to jeszcze w lokalu — przewidując, że przy takim prowadzeniu się czeka ich smutny koniec: że Gloria straci urodę, a Anthony — zdrowie. Historia tak straszliwie przerwanej zabawy w Marietcie przedostała się oczywiście, i to z najdrobniejszymi szczegółami, do powszechnej wiadomości — jak to określiła Gloria, „Muriel wcale nie chce Powtórzyć każdemu, kogo spotka,

ale wydaje się jej, że osoba, której w danej chwili powtarza, jest właśnie tą jedyną” — i tak opowieść ta, odziana w bardzo przeźroczyste szaty dyskrecji, znalazła poczesne miejsce wśród co bardziej skandalicznych plotek Nowego Jorku. Cóż dopiero, gdy ogłoszono postanowienia testamentu Adama Patcha, a gazety doniosły o procesie, wytoczonym przez Anthony'ego; powód natychmiast okryty został bezmierną śmiesznością. Ze wszystkich stron słyszeli teraz plotki na swój temat, plotki oparte zwykle na więcej niż tylko krztynie prawdy, plotki ozdobione niewiarygodnymi a złowrogimi szczegółami.

Na pozór byli jednak tacy jak dawniej. Dwudziestosześcioletnia Gloria nadal była Głorią sprzed sześciu lat, o świeżej, jakby wilgotnej cerze wokół szczerze patrzących oczu, o włosach wciąż jeszcze pełnych dziecięcego przepychu, ciemniejących powoli od rozświetlonego słońcem złota pól pszenicy do złota głębokiego, rdzawego; o szczupłym ciele, przywodzącym jak zawsze na myśl nimfy płaszące po orfickich gajach. Gdy kroczyła przez hall hotelowy czy między rzędami foteli w kinie, wodziły za nią dziesiątki zafascynowanych męskich oczu. Mężczyźni błagali, by ich jej przedstawiono, popadali w chroniczny stan uwielbienia, zalecali się do niej całkiem jawnie — gdyż była wciąż przejawem doskonałego, niewiarygodnego piękna. Anthony również zyskał bardziej niż stracił na wyglądzie; jego twarz nabrała wyrazu nieuchwytnie tragicznego, romantycznie kłóącego się z nienaganną, starannie utrzymaną powierzchownością.

Na początku zimy, gdy wszystkie rozmowy koncentrowały się wokół prawdopodobieństwa przystąpienia Ameryki do wojny, a Anthony czynił rozpaczliwe, bo szczerze próby, by zacząć wreszcie pisać, w Nowym Jorku zjawiała się Muriel Kane i natychmiast przyszła ich odwiedzić. Ona również, jak Gloria, sprawiała wrażenie, że w ogóle się nie zmieniła. Dalej posługiwała się biegle najmodniejszym slangiem, tańczyła tylko najmodniejsze tańce, rozmawiała tylko o najnowszych przebojach i sztukach z wciąż tym samym zapałem, który ponosił ją w pierwszym roku jej nowojorskich wędrówek. Jak zawsze fałszywie skromna, jak zawsze ubrana nieukończenie ekstrawagancko, nosiła teraz jak Gloria krótką fryzurę.

— Przyjechałam na zimowy komers w New Haven — oznajmiła, dzieląc się z nimi swą słodką tajemnicą. Choć musiała być już

starsza od najstarszego studenta, zawsze jakoś udawało się jej zdobyć zaproszenie, w dość mglistej nadziei, że może właśnie na tym następnym przyjęciu zdarzy się wreszcie flirt, który zakończy się romantycznie — czyli przed ołtarzem.

— A teraz co porabiałaś? — zapytał rozbawiony, jak zawsze, Anthony.

— Byłam w Hot Springs. Ale było fajnie! Tylu chłopów!

— Muriel, zakochałaś się wreszcie?

— Jak to: „zakochałaś się”? — W tym sezonie takie było jej ulubione pytanie retoryczne. — Muszę wam coś powiedzieć — powiedziała, nagle zmieniając temat. — To pewnie nie mój interes, ale uważam, że czas, byście się ustatkowali.

— Jak to, przecież żyjemy sobie normalnie...

— Akurat! — rozżościła się. — Gdzie nie pójde, słyszę o waszych eskapadach. I pozwólcie sobie powiedzieć, że okropnie muszę was bronić.

— Nie rób sobie kłopotu — powiedziała chłodno Gloria.

— Ależ Glorio — odparła urażona. — Wiesz przecież, że jestem jedną z waszych najlepszych przyjaciółek.

Gloria milczała. Muriel mówiła dalej.

— Zdaje się, że nie chodzi już o to, żeby kobieta tyle piła, ale Gloria jest taka ładna, tyle osób zna ją z widzenia, że rzuca się w oczy...

— No więc co takiego znowu o nas słyszałaś? — zapytała Gloria; ciekawość wzięła górę nad godnością.

— Na przykład, że na tym przyjęciu w Marietcie Anthony zabił swojego dziadka.

Parchowie natychmiast zeszywnieli.

— No wiesz, to po prostu oburzające...

— Tak mówią — upierała się Muriel.

Anthony zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. — Coś takiego! — złościł się. — Ci sami ludzie, których zapraszamy, wrzeszczą o tym wszędzie, jak by to był jakiś świetny kawał, a potem wraca to do nas w takiej formie.

Gloria wplotła palec w niesforny, rudawy kosmyk. Muriel ssała woalkę, zastanawiając się nad następną uwagą.

— Przydałoby wam się dziecko.

Gloria ze znużeniem podniosła głowę.

— Nie stać nas.

— W slumsach wszyscy mają dzieci — powiedziała triumfalnie Muriel.

Anthony i Gloria uśmiechnęli się do siebie. Ich małżeństwo znalazło się w stadium gwałtownych kłótni, po których już nawet nie przepaszali się nawzajem, kłótni, które tliły się ciągle, czasem przygasając, czasem wybuchając na nowo, czasem gasnąc z czystej obojętności — ale odwiedziny Muriel chwilowo zbliżyły ich znów do siebie. Gdy ktoś z zewnątrz wspominał o oplakanej sytuacji, w jakiej się znaleźli, było to dla nich bodźcem, by wspólnie stawić czoło wrogiemu światu — ale impuls ten coraz rzadziej pojawiał się w nich samych.

Anthony uświadomił sobie kiedyś, że zaczyna porównywać swoje losy z życiem nocnego windziarza w ich kamienicy, bladego, szczeciną porośniętego sześćdziesięciolatka, sprawiającego wrażenie, że stworzony był do wyższych rzeczy. Zapewne właśnie dlatego udało mu się zdobyć tę pracę; był żalonym, zapadającym w pamięć uosobieniem życiowego niepowodzenia. Anthony przypomniał sobie bez cienia uśmiechu stary dowcip o karierze windziarza — raz na górze, raz na dole — było to w każdym razie życie ograniczone i nieskończenie nudne. Anthony, gdy wsiadał do windy, zawsze z zapartym tchem czekał na nieuniknione „No, to dziś będzie chyba trochę słonka”; myślał, ileż to słońca czy deszczu ma dla siebie ten starzec, zamknięty w ciasnej, małej klatce, w tym pozbawionym okien hallu w kolorze dymu.

Ta niepozorna postać opuściła świat, który traktował ją tak źle, w sposób bardzo tragiczny. Którejś nocy zjawili się trzej młodzi rewolwerowcy, związali go i porzucili na stercie węgla w piwnicy, podczas gdy sami obrabowali szatnię. Następnego ranka, gdy odnalazł go portier, windziarz omdlał już z zimna. Cztery dni później zmarł na zapalenie płuc.

Na jego miejsce przyjęto rezolutnego Murzyna z Martyniki, charakteryzującego się przedziwnym akcentem i opryskliwością; Anthony nie znosił obu tych cech. Śmierć starego windziarza miała na niego taki mniej więcej wpływ, jak opowiadanie o kotku na Glorię; rozpamiętując okrucieństwo życia w ogóle, coraz lepiej zauważał, jak gorzkie jest jego własne.

Zaczął pisać, tym razem naprawdę. Przedtem odwiedził Dicka, u którego przez godzinę wysłuchiwał w napięciu wszystkich

szczegółów procedury, którą dotychczas tak chętnie pogardzał. Potrzebował pieniędzy, i to bardzo — by płacić wszystkie rachunki, musiał teraz co miesiąc sprzedawać akcje. Dick był z nim szczerzy:

— Jeśli chodzi o artykuły na tematy literackie do nikomu nie znanych pisemek, nie starczyłoby wam nawet na czynsz. Oczywiście, jeśli ktoś ma dar humoru albo uda mu się trafić na jakąś wielką biografię, albo jeśli jest w czymś specjalistą, wtedy trafi na żyłą złota. Ale w twoim przypadku pozostaje tylko beletrystyka. Mówisz, że potrzebujesz pieniędzy od zaraz?

— No pewnie.

— Cóż, na powieści zarobiłbyś dopiero za jakieś półtora roku. Musisz zacząć od jakiegoś prościutkiego opowiadanka. Aha, pamiętaj, jeśli nie są naprawdę świetne, a chcesz na nich coś zarobić, najlepiej, żeby były pogodne, i w ogóle używaj najcięższej amunicji.

Anthony pomyślał o ostatnich dziełach Dicka, które ukazywały się regularnie w znanym miesięczniku. Opowiadały głównie o niewiarygodnych perypetiach całej warstwy społecznej, pełnej zupełnie bezbarwnych postaci, przedstawicieli, jak zapewniano, nowojorskiej śmietanki towarzyskiej; dotyczyły najczęściej bardzo konkretnie pojmowanej czystości bohaterki, z pseudosocjologicznymi akcentami dotyczącymi „szalonych hulanek warstwy najbogatszej”.

— Ale twoje... — zawołał na głos, niemal bezwolnie.

— Ja to co innego — odparł, ku jego wielkiemu zdziwieniu, Dick. — Widzisz, ja mam już ustaloną renomę, więc czytelnicy oczekuje ode mnie, że biorę na warsztat najmocniejsze rzeczy.

Anthony wzdrygnął się wewnętrznie; dzięki tej uwadze zrozumiał, jak bardzo zmienił się Richard Caramel. Czy on naprawdę uważa, że to, co popęlnia ostatnio, jest tej samej jakości, co pierwsza powieść?

Anthony wrócił do siebie i zabrał się do pracy. Wkrótce przekonał się, jak trudno być optymistą. Po kilku nieudanych próbach odwiedził bibliotekę publiczną i przez tydzień studiował stare numery popularnego czasopisma ilustrowanego, a potem, uzbrojony w tę wiedzę, ukończył z trudem pierwsze opowiadanie, które zatytułował „Dyktafon przeznaczenia”. Opierało się ono na nielicznych

już wrażeniach, jakie wyniósł z tych sześciu tygodni spędzonych poprzedniego roku na Wall Street. Była to promienna opowieść o gońcu biurowym, który zupełnie przypadkiem podśpiewywał sobie cudowną melodię do dyktafonu. Woskowy walec z zapisem głosu został odnaleziony przez brata szefa biura, znanego producenta musicali — i natychmiast zaginął. Większą część opowiadania zajęły perypetie związane z poszukiwaniem zguby, a kończyło się ono małżeństwem szlachetnego gońca (obecnie już znanego kompozytora) z panną Rooney, cnotliwą stenotypistką, będącą połączeniem Joanny d'Arc z siostrą miłosierdzia.

Wydawało mu się, że na takie właśnie utwory polują wszystkie czasopisma. Jego bohaterowie byli typowymi przedstawicielami różowo-błękitnego światka literatury, a umieścił ich w akcji tak cukierkowej, że nawet w Marietcie wszystkim zrobiłoby się niedobrze. Tekst wystukał na maszynie, z podwójną interlinią — według porad broszurki „Jak łatwo zostać wziętym pisarzem” autorstwa R. Meggsa Widdlestiena, który nawet hydraulika przekonałby o tym, że nie warto się pocić nad rurami, skoro po sześciu lekcjach można zarabiać i tysiąc dolarów miesięcznie.

Przeczytawszy więc swoje dzieło znudzonej Glorii i wydobywszy od niej odwieczną uwagę, że jest ono „i tak lepsze od tego, co wydała”, opatrzył je satyrycznym pseudonimem „Gilles de Sade”, dołączył wymaganą kopertę zwrotną i zaniósł na pocztę.

Po tak tytanicznym wysiłku twórczym postanowił odczekać z rozpoczęciem następnego dzieła, nim nie przekona się, co przyniesie mu pierwsze; Dick mówił mu coś nawet o dwustu dolarach. Jeżeli z jakiegoś powodu opowiadanie miałyby nie nadawać się do druku, list od redakcji na pewno wyjaśni, jakie zmiany należałoby wprowadzić.

— Nigdy jeszcze nie powstało nic równie koszmarnego — powtarzał.

Jak można było przypuszczać, redakcja była podobnego zdania, odsyłając maszynopis z dołączoną notką. Anthony odesłał pierwsze opowiadanie gdzie indziej i zasiadł do następnego. Praca nad nim zajęła trzy dni. Tym razem tytuł brzmiał „Otwarte drzwiczki”, a opowiadanie wykazywało wpływy okultyzmu: rozdzieloną parę połączyło na nowo medium z wodewilu.

Łącznie powstało ich sześć — sześć słabiutkich, żalonych prób pisarskich człowieka, który dotąd nigdy nie uczynił nic, by naprawdę zostać pisarzem. Ani jedno nie miało choćby iskry życia, wdzięku i radości, zaś dawały łącznie akurat tyle, co przeciętny artykuł w gazecie. Łącznie zgromadziły trzydzieści jeden — odmownych — komentarzy redakcyjnych, które pojawiały się niczym kamienie nagrobne dla paczuszek, które Anthony znajdował później pod drzwiami, rozciągnięte na podłodze jak zwłoki.

W połowie stycznia zmarł ojciec Glorii, więc znów musieli jechać do Kansas City. Smutna była to podróż, gdyż Gloria bez przerwy rozpamiętywała śmierć — nie ojca jednak, lecz matki. Po uporządkowaniu spraw Russela Gilberta odziedziczyli trzy tysiące dolarów i mnóstwo mebli, wszystkie oddane do magazynu, gdyż ostatnie dni ojciec Glorii spędził w małym hoteliku. Przy okazji tej śmierci Anthony poczynił względem żony nowe spostrzeżenie: ku jego zdumieniu, podczas podróży na wschód, okazała się bilfistką.

— No wiesz, Glorio — zawołał. — Nie chcesz mi wmówić, że wierzysz w te brednie?

— A czemuż by nie? — zapytała wyzywająco.

— Bo... bo to bzdury. Wiesz dobrze, że jesteś agnostyczką w pełnym znaczeniu tego słowa. Najpierw wyśmiewasz każdą ortodoksję chrześcijańską, a potem oświadczasz, że wierzysz w tę głupią reinkarnację.

— No to co? Dość nasłuchiłam się, jak ty i Maury i wszyscy, dla których umysłów mam choćby odrobinę szacunku, zgadzacie się, że życie nie ma sensu. I zawsze wydawało mi się, że jeśli mam się czegoś podświadomie nauczyć, to może wcale nie będzie takie bez sensu.

— Ale ty niczego się nie uczysz — jesteś zmęczona, to wszystko. A jeśli już koniecznie musisz mieć jakąś wiarę, żeby było ci lżej w życiu, to lepiej taką, która przemawia do innych ludzi, nie tylko do bandy histeryczek. Ktoś taki jak ty nie powinien przyjmować czegoś, czego nie da się jakoś udowodnić.

— Nie chodzi mi o prawdę, tylko o szczęście.

— Więc jeżeli masz choć odrobinę oleju w głowie, musisz umieć pogodzić jedno z drugim. Takimi śmieciami może mamić się byle prostaczek.

— Nic mnie to nie obchodzi. — Walczyła dzielnie. — Ja zresztą nie głoszę żadnej doktryny.

Tu dyskusja urwała się, ale Anthony kilkakrotnie do niej wracał. Irytowało go, że to dawne wierzenie, przejęte niewątpliwie od matki, może znów zacząć unosić głowę, przybierając odwieczną maskę prawdy wrodzonej.

Po kosztownym i nierozsądnym tygodniu w Hot Springs wrócili w marcu do Nowego Jorku, gdzie Anthony podjął na nowo próby literackie. Gdy okazało się, że nie uratuje ich literatura popularna, stali się jeszcze mniej ufni, jeszcze mniej dzielni. Toczyła się teraz między nimi nieustanna, skomplikowana walka. Wszelkie wysiłki ograniczenia wydatków spelzły na niczym siłą bezwładu, i wkrótce znów każdy pretekst był dobry, by „balować”. Gloria, w przyływie dobrego humoru, zaproponowała, żeby zebrać wszystko, co mają, i „pójść w dym” raz, a dobrze, póki jeszcze mają trochę pieniędzy — lepsze to niż widzieć, jak przeciekają im przez palce małymi, nie przynoszącymi satysfakcji strumyczkami.

— Glorio, ty lubisz się bawić tak samo jak ja.

— Mną się nie przejmuj, bo robię wszystko zgodnie z moją filozofią: użyć każdej chwili młodości, i póki co bawić się, jak tylko można najlepiej.

— A co potem?

— Potem będzie mi wszystko jedno.

— Wcale nie, zobaczysz.

— No, może nie — ale wtedy i tak nic na to nie poradzę. A przynajmniej do tej pory będę się dobrze bawiła.

— A właśnie, że dalej będziesz taka sama. W pewnym sensie to już się stało. Bawiliśmy się świetnie, aż zbudziliśmy лихо, i teraz za to płacimy.

Mimo to pieniądze płynęły dalej. Dwa dni zabawy, dwa dni melancholii — nieskończony, niezmienny niemal rytm. Próby wyrwania się z tego błędnego koła, jeśli następowały, zdarzały się tylko wtedy, gdy Anthony usiłował pracować; Gloria, znudzona i zdernerwowana, wylegiwała się całymi dniami w łóżku albo w roztarznieniu ssła palec. Po paru dniach takiego życia znów umawiali się z kimś i wtedy... Co tam! Wtedy już tylko szalona noc, jej blask, strach chował się gdzieś, a jego miejsce zastępowało przekonanie,

że życie, nawet jeśli nie ma sensu, jest za to nieskończenie romantyczne! Wino przydawało ich niepowodzeniom jakiejś szczególnej godności...

Tymczasem proces ciągnął się jak smoła, wśród nie kończących się przesłuchań świadków i gromadzenia dowodów. Wreszcie wstępne postępowanie zostało ukończone, a mecenas Haight nie widział powodu, dla którego do rozprawy nie miałyby dojść jeszcze przed początkiem lata.

Pod koniec marca pojawił się w Nowym Jorku Bleockman; wracał z Anglii po prawie rocznym pobycie związanym z interesami wytwórni „Films Par Excellence”. Proces jego wyrafinowania jeszcze się nie zakończył — ubierał się jeszcze trochę lepiej, przemawiał z jeszcze elegantszą intonacją, a w jego zachowaniu jeszcze trochę bardziej wyczuwało się przeświadczenie, że wszystko, co na świecie najlepsze, należy do niego w sposób niezaprzeczalny, a naturalny. Odwiedził ich w mieszkaniu, siedział tylko przez godzinę, podczas której opowiadał głównie o wojnie, i wyszedł umówiwszy się na następną wizytę. Za drugim razem Anthony'ego już nie zastał, ale później tego samego popołudnia męża wracającego do domu powitała niezwykle zajęta i podekscytowana Gloria.

— Anthony — zaczęła — czy nadal miałbyś coś przeciwko temu, bym zagrała w filmie?

Był całym sercem przeciwny temu pomysłowi. Oddalając się w ten sposób od niego, a choćby tylko tym grożąc, stawała się na nowo nie tyle cenna, co bezwzględnie potrzebna.

— Ależ, Glorio...!

— Bleockman powiedział, że mi to załatwi — tylko że teraz albo nigdy, bo biorą tylko młode. Pomyśl, ile bym zarabiała, Anthony!

— Ty — tak. Ale ja?

— To nie wiesz, że wszystko co moje, jest też twoje?

— Wiesz, jaki to zawód?! — wybuchnął pełen moralnej wyższości wstrzemięźliwy, spokojny Anthony. — Wiesz, jacy tam są ludzie?! Mam dość tego Bleockmana i tego jego wtrącania się w nie swoje sprawy! Nie cierpię tych teatralnych Wygłupów!

— Przecież to nie teatr, tylko coś całkiem innego.

— A co ja będę robił? Mam gonić za tobą po całej Ameryce? Żyć z tego, co zarobisz?

— To sam zarabiam.

Rozmowa ta przekształciła się w jedną z najstraszliwszych kłótni całego ich małżeństwa. Po pogodzeniu się i nieodłącznie następującym po tym okresie moralnego bezwładu Gloria przekonała się, że Anthony'emu udało się obrzydzić jej ten pomysł. Żadne z nich nie wspomniało ani słowem, że być może Bleockman nie działał z pobudek całkowicie bezinteresownych, ale oboje wiedzieli, że nie to było głównym powodem sprzeciwu Anthony'ego.

W kwietniu Ameryka wypowiedziała wojnę Niemcom. Wilson i jego administracja — tak pozbawiona wyrazu, że dziwnie przypominająca dwunastu apostołów— spuściła wreszcie ze smyczy przezornie głodzone psy wojny, a w prasie natychmiast pojawiły się histeryczne wrzaski przeciwko złowrogiej moralności, złowrogiej filozofii i złowrogiej muzyce, będących dziełem teutońskiego ducha. Ci, którzy uważali się za szczególnie tolerancyjnych, czynili jakże subtelne rozróżnienie: ich o histerię przyprawiał wyłącznie rząd Niemiec; innych wprawiono w stan krwiożerczej, nieprzyzwolonej gorączki. Każda nowa piosenka zawierająca słowa „matka” i „Kaiser” miała z góry gwarantowane powodzenie. Nareszcie wszyscy mieli o czym rozmawiać i niemal wszyscy świetnie się tym bawili, jakby przydzielono im role w poważnej, romantycznej sztuce.

Anthony, Maury i Dick wysłali podania o przyjęcie na szkolenie oficerskie; Maury i Dick czuli się teraz dziwnie podniesieni na duchu, czuli się jak rycerze bez skazy; jak sztubacy gawędzili między sobą o tym, że wojna to jedyna wymówka, i jedyny cel, istnienia arystokracji; mówili o nie istniejącej kaście oficerskiej, w ich mniemaniu złożonej głównie z co sympatyczniejszych absolwentów trzech czy czterech uniwersytetów ze wschodnich stanów. W blasku tego gigantycznego, czerwonego płomienia, rozlewającego się na cały kraj, Glorii nawet Anthony wydawał się teraz jakby wspólniejszy i wznioślejszy.

Żołnierzy dziesiątego pułku piechoty, przybyłych z Panamy do Nowego Jorku, ku ich wielkiemu zdziwieniu oprowadzali od baru do baru rozentuzjasmowani, patriotycznie nastawieni obywatele.

Po raz pierwszy od wielu lat zaczęto zauważać studentów West Point; wszyscy żyli w przeświadczeniu, że wszystko idzie świetnie, choć oczywiście nie tak świetnie, jak wkrótce, że wszyscy ludzie to porządni ludzie, że wszystkie rasy to porządne rasy — poza niemiecką, oczywiście — a wyrzutkom i kozłom ofiarnym każdej warstwy społecznej wystarczyło nałożyć mundur, by zasłużyć na przebaczenie, wiwaty i łzy rodzin, byłych przyjaciół i nieznajomych.

Niestety, jakiś drobny, skrupulatny doktorek wybałał, że ciśnienie krwi Anthony'ego nie jest takie, jak być powinno, i nie zakwalifikował go na szkolenie oficerskie.

Złamana lutnia

Ich trzecia rocznica ślubu minęła nie zauważona, nie odprawiona. Sezon rozpląnął się odwilżą, przetopił w jeszcze gorętsze lato, zagotował i wreszcie wyparował w upale. W czerwcu nastąpiła próba uprawomocnienia testamentu, po czym, na skutek zaskarżenia go przez mecenasa Haighta, sprawę odesłano do sądu. Wszystko przeciągnęło się aż do września — ze względów natury moralnej wystąpiły kłopoty z doborem bezstronnej ławy przysięgłych. Ku wielkiemu rozczarowaniu Anthony'ego sąd rozstrzygnął spór na korzyść testatora, na co Haight odpowiedział apelacją przeciwko Edwardowi Shuttleworthowi.

W ostatnich tchnieniach lata Anthony i Gloria rozmawiali o tym, co zrobią gdy dostaną te pieniądze, gdzie pojedą po wojnie, gdy znów będą „zgadzać się między sobą” — gdyż oboje wypatrywali z utęsknieniem chwili, gdy miłość, powstająca jak feniks z własnych popiołów, narodzi się na nowo w swej tajemniczej, niezgłębionej dziedzinie.

Powołano go do wojska na początku jesieni; lekarz komisji ani słowem nie wspomniał teraz o ciśnieniu krwi. Którejś nocy, zupełnie bezwolnie i bardzo smutnie Anthony powiedział Glorii, że ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej pragnie zginąć. Niestety! Jak zwykle, robiło się im nawzajem żal z niewłaściwych powodów i o niewłaściwym czasie...

Postanowili, że na razie Gloria nie przeniesie się na Południe, w miejsce stacjonowania jego jednostki, lecz pozostanie w Nowym

Jorku, żeby korzystać z mieszkania, oszczędzać i śledzić postępy procesu — przekazanego obecnie do sądu apelacyjnego, którego kalendarz, jak zapewnił ich mecenas Haight, „był bardzo zapchany”.

Niemal ostatnią rozmową, jaką odbyli, była bezsensowna kłótnia o podział dochodów — a wystarczyłoby słowo i jedno oddałoby wszystko drugiemu. W sposób typowy dla ich bezładnego, niezorganizowanego życia, w październikowy wieczór, gdy Anthony zgłosił się na Grand Central Station na pociąg do obozu, Gloria przybiegła tak późno, że zdążyła tylko uchwycić jego wzrok nad zatroskanymi głowami zgromadzonego tłumu. Ich spojrzenia błędziły w przyćmionym świetle peronów, nad ogarniętym histerią bezmiarrem, zbrukany żółtym szlochem i zapachami biednych kobiet. Na pewno myśleli w tej chwili o tym, co uczynili sobie nawzajem i każde na pewno oskarżało się o to, że w tej ponurej gęstwinie szukają się tak tragicznie i tak nadaremne — aż wreszcie byli już zbyt daleko, by nawzajem dostrzec swe łyzy.

Księga trzecia

1. Sprawa kultury

Prowadzony przeraźliwym nakazem płynącym z jakiegoś niewidzialnego źródła, Anthony przepychał się do środka wagonu. Myślał o tym, że oto po raz pierwszy od ponad trzech lat będzie z dala od Glorii na dłużej niż jedną noc, i w jakiś okrutny sposób pociągała go myśl, że tam, z tyłu, została ta czysta, śliczna dziewczyna.

Pomyślał, że doszli do najlepszego z możliwych porozumienia w sprawie pieniędzy: ona będzie miała trzysta pięćdziesiąt dolarów miesięcznie — nie za dużo, jeśli pamiętać, że ponad połowa pójdzie na czynsz — a on pięćdziesiąt, jako dodatek do żołdu. Nie potrzebował więcej: armia da mu jedzenie, ubranie i mieszkanie, a szeregowiec nie ma żadnych zobowiązań towarzyskich.

Wagon był zatłoczony i już duszny od ludzkich wyziewów. Należał do gatunku tak zwanych „turystycznych”, czyli tandetnych pulmanów o nagiej posadzce i ławkach, którym przydałoby się gruntowne czyszczenie. Mimo to Anthony odetchnął z ulgą; wyobrażał sobie mgliście, że podróż na Południe odbędzie w wagonie bydłowym, dzielonym przez osiem koni i czterdziestu ludzi. Opowieść o „*hommes 40, chevaux 8*” zdążył już usłyszeć tyle razy, że brzmiała dla niego groźnie i złowrogo.

Szedł zataczając się przejściem wzdłuż wagonu, z przewieszoną przez ramię wojskową torbą, przypominającą monstualną, niebieską kielbasę, nie mógł znaleźć ani jednego wolnego miejsca; po chwili jednak dostrzegł kawałek siennika zajmowanego w tej chwili przez nogi smagłego Sycylijczyka, który, z kapeluszem zsuniętym

na oczy, wyzywająco garbił się w kącie przedziału. Gdy Anthony stanął nad nim, Włoch popatrzył na niego groźnie, wyraźnie chcąc oneśmielić intruza; zapewne bronił się w ten sposób przed całym gigantycznym przedsięwzięciem, w które został wplątany. Na ostre „Można?” Anthony'ego bardzo powoli unosił nogi, jakby były wykonane z niezmiernie kruchego materiału, i z taką samą ostrożnością umieścił je na podłodze. Nie spuszczał oka z Anthony'ego, który tymczasem usiadł i rozpiął kurtkę munduru, wydaną mu dzień wcześniej w Camp Upton. Piła go pod pachami.

Zanim Anthony zdążył przyjrzeć się innym współpasażerom w swym przedziale, do wagonu wpadł młody podporucznik, który biegnąc wzdłuż przejścia wołał przerażająco nieprzyjemnie:

— Nie palić mi w tym wagonie! Nie palić! Żołnierze, nie palić!

Zniknął na drugim końcu wagonu, a ze wszystkich stron uniosły się chmurki protestów.

— A niech to!

— O rany!

— Nie palić?

— Ej, ty tam, wracaj!

— Co za pomysł!

Przez otwarte okna wyfrunęło parę papierosów, ale większość pozostała w wagonie, skrywana w dłoniach. Tu i tam rzucono w przestrzeń kilka uwag — buńczucznych, złośliwych, przesyconych wisielczym humorem — które wkrótce wtopiły się w przytłaczającą, wszechogarniającą ciszę.

Nagle odezwał się czwarty z żołnierzy w przedziale Anthony'ego.

— Wolność, cholera — powiedział z urazą. — Cholera, wszystko, tylko nie musieć lizać im dupy.

Anthony przyjrzał mu się. Był to wysoki Irlandczyk, o wyrazie twarzy ułożonym z obojętności i bezbrzeżnej pogardy. Jego wzrok padł na Anthony'ego, jakby spodziewał się odpowiedzi, potem na pozostałych. Otrzymawszy tylko wyzywające spojrzenie Włocha stęknął i hałaśliwie splunął na podłogę, w ten sposób pograżając się z godnością w milczeniu.

W kilka minut później drzwi wagonu znów się otworzyły i do środka wpłynął te sam podporucznik, niesiony swym oficjalnym zefirkiem, tym razem skandując inną nowinę:

— Dobra, żołnierze, można palić! Pomyliłem się, żołnierze! W porządku! Można palić! Pomyliłem się!

Tym razem Anthony zdążył przyjrzeć się oficerowi. Podporucznik był młody, chudy, już wyblakły; wyglądał jak własny wąs, jak wielki snop lśniącej słomy. Lekko cofnięty podbródek starał się ukryć straszliwy, a nie przekonujący mars na czole, spotykany w ciągu następnego roku na twarzach większości młodych oficerów.

Natychmiast wszyscy zapalili, nawet ci, którzy przedtem wcale nie mieli na to ochoty. Papieros Anthony'ego również dołączył do wszechobecnego teraz dymu, który zdawał się przetaczać tam i z powrotem po wagonie z każdym ruchem pociągu. Rozmowy, które ucichły między dwiema pamiętnymi odwiedzinami młodego oficera, teraz wybuchnęły na nowo; tu i tam zaczęły się eksperymenty nad uczynieniem z sienników w miarę wygodnych siedzeń; dwie partie gry w karty, rozpoczęte bez przekonania, wkrótce zgromadziły wokół siebie tłumek kibiców, obsiadających oparcia. W pewnej chwili do świadomości Anthony'ego przeniknął uporczywie nieprzyjemny dźwięk — to chrapał mały Sycylińczyk. Anthony'ego męczył widok tego żywotnego pierwotniaka, pozornie tylko kierującego się rozumem, zamkniętego w wagonie przez niezrozumiałą dla niego cywilizację, wiezionego nie wiadomo dokąd, nie wiadomo po co, nie wiadomo dlaczego. Anthony westchnął, rozpostarł gazetę — nie pamiętał, kiedy ją kupił — i zaczął czytać w słabym, żółtym świetle.

Dziesiąta ze stukotem kół pociągu przetoczyła się powoli w jedenastą; godziny wlokły się jedna za drugą coraz wolniej i wolniej. Co dziwne, również i pociąg zatrzymywał się gdzieś wśród mrocznego krajobrazu, od czasu do czasu drocząc się z zamkniętymi w nim ludźmi małymi szarpnięciami to w przód, to w tył, wygwizdując zgrzytliwe hymny w czarną październikową noc. Anthony przeczytał już gazetę od deski do deski, od artykułu wstępnego po komiksy i wiersze poświęcone wojnie, aż jego wzrok padł na krótki artykuł zatytułowany „Shakespeareville w stanie Kansas”. Otóż w

izbie handlowej miasteczka Shakespeareville odbyła się ostatnia entuzjastyczna debata, mająca rozstrzygnąć, czy żołnierzy amerykańskich nazywać się będzie „Sammies” czy „Walczący chrześcijanie”. Anthony odsunął gazetę ze wstrętem, ziewnął i pozwolił swym myślom uciec daleko przed siebie. Zastanawiał się, dlaczego Gloria spóźniła się i tym razem. Teraz wydało mu się, że było to tak dawno — w sercu uczuł ból złudnej samotności. Usiłował wyobrazić sobie, jak ona widzi swą nową sytuację, jakie miejsce zajmie on teraz w jej myślach. Ta myśl jeszcze bardziej go przygnębiła — otworzył gazetę i znów zaczął czytać.

Członkowie izby handlowej Shakespeareville opowiedzieli się w końcu za „Chłopcami wolności”.

Ciągnęli na Południe dwa dni i dwie noce, zatrzymując się co chwila, nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co — najczęściej wśród bezwodnych pustkowi — a potem pędząc przez wielkie miasta z pompatycznie udawanym pośpiechem. Kaprysy pociągu miały być dla Anthony’ego zapowiedzią kapryśków całej administracji wojskowej.

Podczas jednego z postojów na pustkowi z wagonu bagażowego przyniesiono im fasolkę po bretońsku, której z początku w ogóle nie chciał przełknąć — żywił się mleczną czekoladą, którą dostali na którejś z wiejskich stacji. Drugiego dnia jednak to, co rodziło się w wagonie bagażowym, zaczęło wydawać się zadziwiająco jadalne. Trzeciego ranka podróży rozniosła się plotka, że za godzinę znajdą się w miejscu przeznaczenia, w Camp Hooker.

W wagonie zrobiło się tymczasem straszliwie gorąco; wszyscy żołnierze dawno pościągali już kurtki mundurowe. Przez okna wpadało słońce, stare, znużone słońce, żółte jak pergamin, nienaturalnie rozciągnięte w ruchu. Próbowало świecić do wagonu triumfalnymi kwadratami, ale wychodziły z tego jedynie kanciaste plamy — było za to przerażająco nieruchome; tak, że wstrząśnięty Anthony przestał uważać siebie za oś, wokół której obracają się mijane z lekceważeniem tartaki, drzewa i słupy telegraficzne. Na zewnątrz słońce wygrywało tremolo na oliwkowych drogach i płowych polach bawełny, za którymi ciągnęła się poszarpana linia lasów, przerywana bryłami szarych skał. Na pierwszym planie

wyrastały co jakiś czas żalosne, dziurawe lepianki, a wśród nich — przedstawiciele leniwego lumpenproletariatu Południowej Karoliny, albo podążający gdzieś przed siebie Murzyn o gniewnych, przestraszonych oczach.

Potem lasy odsunęły się, a pociąg wjechał na szeroki, rozłożysty płaskowyż, przypominający wierzch pieczonego ciasta, ozdobionego zamiast lukrem, geometrycznymi figurami nie kończących się rzędów namiotów. Pociąg zatrzymał się niepewnie, słońce, słupy telegraficzne i drzewa gdzieś zniknęły, a wszechświat wpadł z powrotem w zwyczajność, której centrum znów zaczął stanowić Anthony Patch. Gdy zmęczeni, spoceni żołnierze wysypywali się z wagonów, Anthony poczuł ten niezapomniany zapach, który przenika na wskroś wszystkie stałe obozy wojskowe — swąd śmieci.

Camp Hooker był tworem zadziwiającym, spektakularnym, przypominającym osadę górniczą z czasów gorączki złota w drugim tygodniu swego istnienia. Składał się z drewnianych baraków i szarobiałych namiotów, połączonych siecią ulic i utwardzanych smołą placów apelowych, otoczonych drzewami. Tu i tam stały zielone domki Y.M.C.A., mało obiecujące oazy, zatekłe od mokrej flaneli, z nieczynnymi budkami telefonicznymi — a naprzeciw każdego z nich położona była zwykle tętniąca życiem kantyna, nieumiejętnie zarządzana przez oficera, który wyposażony w atrybut władzy, czyli w motocykl z przyczepą, z wydatną jego pomocą przemieniał swój „odcinek” w przyjemną, wesołą synekurę.

Po pokrytych pyłem drogach pędzili we wszystkie strony żołnierze z kwatermistrzostwa, również na motocyklach z przyczepami. Na wszystkie strony rozjeżdżali też generałowie w służbowych samochodach, od czasu do czasu zatrzymując się, by postawić na bacność nieuważnych podwładnych, by groźnie marszczyć brwi na widok kapitanów maszerujących na czele kompanii, by pompatycznie nadawać tempo cudownej zabawie w udawanie, która wszędzie dokoła święciła takie triumfy.

Pierwszy tydzień po przyjeździe do obozu wypełniły nie kończące się szczepienia i badania lekarskie; zaczęto też naukę podstaw musztry. Po każdym kolejnym dniu Anthony był rozpaczliwie zmęczony. W dodatku w magazynie dostał od powszechnie lubianego,

jowialnego sierżanta za małe buty, więc nogi miał tak spuchnięte, że ostatnie kilka godzin pod wieczór były prawdziwą męką. Po raz pierwszy w życiu, między obiadem a popołudniową musztrą, potrafił rzucić się na prycę i z każdą chwilą zapadać głębiej w bezdenne posłanie, natychmiast zasypiając, a wszystkie otaczające go głosy i śmiechy zlewały się w przyjemny, rozleniwiający, letni pomruk. Rano budził się zeszywniały, obolały, wydrążony wewnątrz niczym duch; spieszył zaraz, by napotkać inne duchy, rojące się w wyblakłych alejach obozu, podczas gdy chrapliwa, zapluwająca się trąbka darła się wprost w szare niebiosa.

Przydzielono go do formowanej dopiero kompanii piechoty w sile około stu ludzi. Po nieśmiertelnym śniadaniu złożonym z tłustego boczku, zimnych grzanek i owsianki, cała setka pędziła do latryn, które, choć obowiązywała w nich surowa dyscyplina, były zawsze odrażające, zupełnie jak toalety w tanich hotelikach. Potem wszyscy na plac apelowy, w bezładnym szeregu — utykający żołnierze po lewej stronie Anthony'ego groteskowo niweczył wszelkie jego próby utrzymania równego kroku, dowódcy plutonów albo gwałtownie silili się na gorliwość, by zrobić wrażenie na oficerach i rekrutach, albo kryli się tuż przy linii marszu, nie wychylając się i stroniąc od wszelkiej pracy.

Po dotarciu na plac natychmiast brano ich w obroty — zdejmowali koszule; zaczynała się gimnastyka. Było to jedyne z codziennych zajęć, które Anthony lubił naprawdę. Porucznik Kretching, prowadzący te psoty, był żyłasty, silnie umięśniony; Anthony wiernie naśladował każdy jego ruch w poczuciu, że robi coś pożytecznego dla samego siebie. Inni oficerowie i podoficerowie, złośliwi jak sztubacy, przechadzali się między rzędami ćwiczących, tu i tam zbierając się przy co słabszych nieszczęśnikach, dając im sprzeczne instrukcje i polecenia. Gdy odkryli jakiś szczególnie cherlawy, niedożywiony okaz, potrafili stać nad nim przez całe pół godziny, rzucając docinki i podśmiewając między sobą.

Szczególnie nieprzyjemny był pewien mały oficer nazwiskiem Hopkins, były podoficer zawodowy. Wojnę przyjął jako osobisty dar zemsty od bogów; wrzeszczał ciągle, że te „koty” nie doceniają wagi i odpowiedzialności „służby”. Uważał, że swą obecną, wysoką pozycję zawdzięcza niezłomnej skuteczności połączonej z darem

przewidywania — przy tym małpował każdego tyrana-oficera, pod którym dane mu było kiedyś służyć. Brwi miał wiecznie zmarszczone; przed wydaniem szeregowemu przepustki do miasta rozważał wnikliwie skutek, jaki mieć będzie ta nieobecność dla kompanii, dla armii, dla zawodu żołnierza na całym świecie.

Porucznik Kretching, nudny, flegmatyczny blondyn, pracowicie wprowadzał Anthony'ego w zagadnienia postawy zasadniczej, zwrotów w prawo, zwrotów w lewo, zwrotów w tył, postawy na „spocznij”. Miał jedną zasadniczą wadę: był zapominalski. Często, wyjaśniając nowy element musztry, trzymał przez pięć minut całą kompanię wyprężoną na baczność; w rezultacie instrukcje słyszały tylko środkowe rzędy, gdyż żołnierze po bokach zbyt byli zajęci wpatrywaniem się na wprost przed siebie.

Musztra trwała aż do południa; składał się na nią cały szereg zupełnie nie powiązanych ze sobą szczegółów, a choć Anthony widział jej związek z logiką wojny, i tak czuł się mocno poirytowany. Za największy bezsens uważał fakt, że te same zaburzenia ciśnienia krwi, które były nie do przyjęcia u oficera, w żaden sposób nie zakłócały pełnienia służby przez szeregowego. Czasem, wysłuchawszy długotrwałych pomstowań na nudny i wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi absurdalny temat „honorów” wojskowych, zaczynał podejrzewać, że ukrytym celem prowadzenia wojny jest danie szansy oficerom zawodowym — ludziom o mentalności i aspiracjach uczniów — wykazania się podczas prawdziwej, nie udawanej rzezi. A więc on, Anthony, został poświęcony dwudziestoletnim nadziejom jakiegoś Hopkinsa!

Spośród trzech żołnierzy, z którymi dzielił namiot — okrągły na twarzy kwakier z Tennessee, odmawiający służby w wojsku ze względów religijnych, wielki, zastraszonego Polak i pogardliwy Celt, sąsiad z pociągu — pierwsi dwaj spędzali wieczory na pisaniu nie kończących się listów do domu, podczas gdy Irlandczyk siedział u wejścia do namiotu, w kółko gwizdząc pod nosem kilka przenikliwych a monotonnych ptasich pieśni. Bardziej by uchronić się przed spędzeniem godziny w ich towarzystwie niż z chęci rozrywki, gdy tylko zniesiono kwarantannę, Anthony wziął przepustkę do miasta. Wsiadł do jednej z rozklekotanych taksówek, które tłoczyły się przed bramą, i zapłaciwszy pięć centów po godzinie znalazł się

przed hotelem „Stonewall” przy gorącej, sennej ulicy głównej.

W zachodzącym słońcu miasteczko było zdumiewająco ładne. Chodniki pełne były jaskrawo ubranych i przesadnie umalowanych dziewcząt, plotkujących między sobą niskimi, leniwymi głosami, taksówkarzy, zaczepiających mijanych oficerów niezmiennym „je-dziem, gdzie pan chcesz, panie poruczniku”, i nie kończącej się procesji obdartych, powłóczących nogami, służalczych Murzynów. Anthony, spacerując w ciepłym zmierzchu, po raz pierwszy od wielu lat czuł powolny, miłosny dech Południa, drżący w gorącej miękkości powietrza, w przenikliwym zastoju myśli i czasu.

Doszedł do następnej przecznicy, gdy nagle osadził go w miejscu groźny głos:

— Nie uczono was, że oficerom się salutuje?

Nie rozumiejąc popatrzył na mówiącego, krępego, czarnowłosego kapitana, przygważdżającego go na miejscu brązowymi, wyłupiastymi oczyma.

— Baczność! — Słowa zabrzmiały niemal jak huk gromu.

Wokół zebrała się już grupka gapiów. Miękkooka dziewczyna w liliowej sukience powiedziała coś z chichotem do koleżanki.

Anthony stanął na bacność.

— Numer waszego pułku i kompanii?

Anthony wyrecytował to, czego zdążono go już nauczyć.

— Na przyszłość, gdy spotkacie oficera, macie wyprostować się i zasalutować!

— Dobrze.

— Mówi się: „Tak jest”.

— Tak jest.

Krępy oficer mruknął coś pod nosem, obrócił się na pięcie i pomaszerował dalej ulicą. Po chwili poszedł też Anthony; miasteczko nie było już ani bezwolne, ani egzotyczne; zmierzch zatracił nagle cały swój czar. Nie rozglądał się dookoła, jak przedtem; zamknął się w sobie rozmyślając o swym żalonym położeniu. Nienawidził tego oficera, nienawidził każdego oficera — życie jest nie do wytrzymania.

Minął kolejną przecznicę i wtedy zauważył, że dziewczyna w liliowej sukience, która śmiała się z jego upokorzenia, idzie teraz z koleżanką jakieś dziesięć kroków przed nim. Kilkakrotnie już

odwracała się do tyłu i wpatrywała w niego z wesołym śmiechem w wielkich oczach, wyglądających, jakby były w tym samym kolorze, co sukienka.

Na rogu obie wyraźnie zwolniły; musi zdecydować, czy chce je zagadnąć, czy też udać, że ich nie dostrzega. Minął je, zawahał się, zwolnił. W tej samej chwili one znów zrównały się z nim, teraz już niemal zataczając się ze śmiechu — nie tak piskliwego, jak na Północy u aktorek w tej samej, znanej komedii, lecz miękkich, cichych jego kaskad, jakby właśnie opowiadały sobie subtelny żart, w czym grubiańsko im przeszkodził.

— Dzień dobry — powiedział.

Jej oczy były naprawdę miękkie jak cień. Fioletowe? A może to ich niebieska ciemność miesza się tak z szarymi barwami zmierzchu?

— Miły wieczór — ostrożnie zaczął Anthony.

— Pewnie — powiedziała druga z dziewcząt.

— Ale nie dla pana — westchnęła ta w sukience lila. Jej głos był częścią nocy, zupełnie jak leniwy wiaterek, bawiący się szerokim rondem jej kapelusza.

— Chciał się przed kimś popisać — pogardliwie zaśmiał się Anthony.

— Pewnie tak — zgodziła się.

Skręcili za róg i ruszyli niechętnie przecznicą, jakby ciągnięci liną, do której ich przywiązano. W tym miasteczku wydawało się rzeczą całkowicie naturalną tak skręcać sobie w przecznice, iść nie wiadomo dokąd, myśleć nie wiadomo o czym... Uliczka była ciemna, odgałęziając się niespodzianie w dzielnicę żywoplotów z dzikich róz i małych, cichych domków stojących z dala od ulicy.

— A dokąd to? — zapytał grzecznie.

— A tak, przed siebie. — Ta odpowiedź była usprawiedliwieniem, pytaniem i wyjaśnieniem zarazem.

— Mogę przejść się z wami?

— Pewnie tak.

Było korzystne, że mówiła innym akcentem. Anthony nie potrafił rozpoznać po mowie pozycji społecznej kogoś z Południa — w Nowym Jorku dziewczyna z niższych sfer byłaby hałaśliwa i nie do zaakceptowania, chyba że przez różowe okulary alkoholu.

Powoli skradała się ciemność. Nie rozmawiając wiele — Anthony rzucał od czasu do czasu zdawkowe, konwencjonalne pytania, obie dziewczęta odpowiadały z prowincjonalną oszczędnością słów i znaczeń — minęli jeszcze jeden róg, i jeszcze jeden. Wreszcie zatrzymali się pod latarnią.

— Ja tutaj mieszkam — powiedziała ta druga.

— A ja tam, przy tej przecznicy — dodała dziewczyna w liliowej sukience.

— Mogę panią odprowadzić?

— Do rogu, jeśli ma pan ochotę.

Druga dziewczyna cofnęła się o parę kroków. Anthony zdjął czapkę.

— Powinien pan zsalutować — zaśmiała się ta w sukience lila. — Wszyscy żołnierze salutują.

— Nauczę się — powiedział z powagą.

Druga z dziewcząt zaczęła: — No, to... — zawahała się, a potem dodała: — To wpadnij po mnie jutro, Kropeczko — i wyszła z żółtego koła rzucanego przez latarnię. Potem, znów w milczeniu, Anthony i dziewczyna w liliowej sukience poszli przed siebie do małego, koślawego domku, w którym mieszkała. Przed drewnianą furtką zawahała się przez chwilę.

— To... dziękuję.

— Musi pani wracać tak wcześnie?

— Raczej tak.

— Nie mogłaby pani jeszcze chwilę pospacerować?

Spojrzała na niego obojętnie.

— Nawet pana nie znam.

Anthony zaśmiał się.

— Na to nigdy nie jest za późno.

— Chyba lepiej pójdę już do domu.

— Myślałem, że może poszlibyśmy do kina.

— A, to chętnie.

— Potem panią odprowadzę. Akurat zdążę. W obozie mam być o jedenastej.

Było już tak ciemno, że ledwo ją widział. Była teraz sukienką, delikatnie powiewającą na wietrze, i dwojgiem przeźroczywych, nieustraszonych oczu...

— No, chodź... Kropeczko. Nie lubisz chodzić do kina?

Chodź.

Pokręciła głową.

— To nie wypada.

Podobała mu się; wiedział, że daje się prosić, by zrobić na nim lepsze wrażenie. Podszedł bliżej i ujął jej dłoń.

— Wrócimy przed dziesiątą, dobrze? Pójdziemy tylko do kina...

— Bo ja wiem...

Trzymając się za ręce wrócili do centrum mglistą, mroczną ulicą, na której murzyński gazeciarz wykrzykiwał tradycyjny zew miasteczkowych sprzedawców ulicznych, zew tak śpiewny jak muzyka.

Kropeczka

Romans Anthony'ego z Dorothy Raycroft był nieuniknioną konsekwencją jego rosnącego, osobistego zaniedbania. Związał się z nią nie dlatego, że pragnął posiadać coś, co go pociągało, ani kapitulując przed żywszą i bardziej od własnej pociągającą osobowością, jak to się stało cztery lata temu, gdy zakochał się w Glorii; po prostu, niezdolny do obiektywnego osądu, bezwolnie dał się ponieść losowi. Anthony nie potrafił powiedzieć „Nie!” ani mężczyźnie, ani kobiecie; tak amatorzy pożyczek jak kusicielki znajdowały w nim łatwą, bezrozumną ofiarę. Decyzje podejmował bardzo rzadko, a i wtedy były one zawsze na wpół histerycznymi odruchami, wykonywanymi w panicznym strachu przed jakimś dzikim, nieodwracalnym przebudzeniem.

Słabością, której w tym akurat przypadku folgował, była potrzeba podniety i zewnętrznego bodźca. Wydawało mu się, że po raz pierwszy od czterech lat może na nowo wyrazić się i zrozumieć. Ta dziewczyna dawała mu spokój; godziny spędzane wieczorami w jej towarzystwie koili chore i nieodmiennie bezproduktywne skurcze jego wyobraźni. Był teraz prawdziwym tchórzem, do cna zniewolonym przez setki beładnych a drapieżnych myśli, spuszczo-nych z łańcucha przez upadek jego autentycznego przywiązania do Glorii, tego głównego strażnika jego nieudolności.

Pierwszego wieczora, gdy stanęli znów przed furtką, pocałował Dorothy i umówił się z nią na następną sobotę. Potem wrócił do

obożu, gdzie przy zapalonym — wbrew regulaminowi — świetle napisał do Glorii długi, namiętny list, pełen sentymentalnych mroków, pełen zapamiętanej woni kwiatów, pełen prawdziwej i bezmiernej czułości — bo tego wszystkiego nauczył go na nowo dany i oddany pocałunek w obfitym, ciepłym blasku księżyca przed niepełną godziną.

Gdy nadszedł sobotni wieczór, spotkał się z Kropeczką przed wejściem do kina „Bijou”. Była ubrana tak jak w środę, w tę samą liliową sukienkę z najdelikatniejszej organdy, wyraźnie jednak wypranej od tego czasu i wykrochmalonej, bo świeżej i wyprasowanej. Dzielne światło potwierdziło jego wcześniejsze wrażenie, że dziewczyna jest śliczna na swój nieokreślony, niedoskonały sposób. Była czysta, o drobnych, nieregularnych, ale wyrazistych i konsekwentnych rysach. Była ciemnym, nietrwałym kwiatkiem — a mimo to wydawało się Anthony'emu, że wyczuwa w niej skłonność do duchowej rezerwy, potencjalną siłę czerpaną właśnie z tego biernego przyjmowania życia takim, jakie jest. Tu zresztą właśnie się mylił.

Dorothy Raycroft miała dziewiętnaście lat. Ojciec jej prowadził przed śmiercią mały, nie przynoszący większych zysków sklepik na rogu; umarł w dwa dni po tym, jak zdała maturę jako jedna z najgorszych w klasie. Już w szkole cieszyła się nie najlepszą reputacją. W rzeczywistości jej zachowanie na szkolnej wycieczce, które dało początek wszystkim plotkom, było jedynie nieco swobodne, nic więcej — bo w ścisłym tego słowa znaczeniu zachowała cześć jeszcze przez ponad rok. Chłopiec pracował w sklepie na Jackson Street; w dzień po incydencie niespodziewanie wyjechał do Nowego Jorku. Później okazało się, że wyjazd planował już od dawna, ale opóźnił go aż do skonsumowania swego miłosnego przedsięwzięcia.

Po jakimś czasie Dorothy zwierzyła się koleżance; już patrząc za nią, oddalającą się skąpaną w zakurzone słońcu senną uliczką, zrozumiała w przeblasku intuicji, że wraz z przyjaciółką idzie w świat jej opowieść. Mimo to była zadowolona, choć lekko rozgoryczona; przeszła wtedy niemal zwycięsko próbę charakteru odwracając się na pięcie i poznając innego mężczyznę w szczerym zamiarze

poszukiwania nowych przyjemności. Kropeczce po prostu przytrafiały się pewne rzeczy. Nie była słaba, bo żaden wewnętrzny głos nigdy nie mówił jej, że jest słaba; nie była silna, bo nie wiedziała, że czasem zachowuje się dzielnie. Nigdy z nikim ani nie walczyła, ani ulegała, ani szła na kompromis.

Nie miała poczucia humoru; zastępowało je w niej wesołe usposobienie, sprawiające, że przebywając w męskim towarzystwie śmiała się zawsze we właściwych momentach. Nie kierowała się żadnymi określonymi intencjami — choć czasem żałowała mgliście, że jej reputacja z góry pozbawia ją możliwości ustatkowania się. Nigdy nie została na niczym przyłapana; matkę interesowało jedynie, by co rano wyprawić ją do sklepu jubilerskiego, w którym zarabiała czternaście dolarów tygodniowo. A jednak niektórzy z chłopców, których znała ze szkoły, odwracali od niej wzrok, gdy spotykała ich spacerujących z „porządnyimi” dziewczętami; bolało ją to i zawsze wracała wtedy do domu, by się wyplakać.

Poza sprzedawcą z Jackson Street było jeszcze dwóch innych. Pierwszym był oficer marynarki, który zatrzymał się w miasteczku na jedną noc w pierwszych dniach wojny. Zanocewał tu czekając na przesiadkę; stał oparty o jeden z filarków werandy hotelu „Stonewall”, gdy minęła go po raz pierwszy. Oficer przedłużył swój pobyt w miasteczku do czterech dni. Wydawało się jej, że go kocha i na niego przelała pierwszą historię uczucia, które miało przypaść w udziale tchórzliwemu sprzedawcy. Wszystkiemu winien był mundur oficerski — w tamtych dniach było ich jeszcze tak mało. Marynarz wyjechał z mglistymi obietnicami na ustach; gdy tylko pociąg ruszył, dziękował Bogu, że nie przedstawił się jej swym prawdziwym nazwiskiem.

Przygnębienie rzuciło ją w ramiona Cyrusa Fieldinga, syna miejscowego kupca tekstylnego, który pewnego dnia zawołał na nią ze swego sportowego auta. Znała go od dawna z imienia; i on znałby ją już wcześniej, gdyby urodziła się w wyższej sferze — mógł poznać ją teraz, gdy zesłała jeszcze niżej. Po miesiącu wyjechał na ćwiczenia, nieco zaniepokojony tak intymnym związkiem, z niejaką ulgą przekonawszy się, że bardzo jej na nim nie zależy, i że Dorothy nie jest z tych, które wciągają ludzi w kłopoty. Kropeczka stworzyła sobie wokół niego romantyczną otoczkę, tłumacząc własnej

próżności, że tych wszystkich mężczyzn zabrała jej wojna. Wmawiała sobie, że gdyby nie to, pewnie wyszłaby za tego oficera. Mimo to czuła lekkie zaniepokojenie, że w ciągu ośmiu miesięcy przewinęło się przez jej życie aż trzech. Myślała bardziej ze strachem niż zdziwieniem w duszy, że może wkrótce skończyć jako jedna z tych „złych dziewcząt” z Jackson Street, którym jeszcze trzy lata wcześniej przyglądała się z taką fascynacją wraz z rozchichotanymi, żującymi gumę koleżankami.

Przez jakiś czas była więc nieco ostrożniejsza. Pozwalała się „podrywać”, pozwalała się całować, poddawała się też innym, śmielszym karesom, ale nikogo nie dodała do tamtej pierwszej trójki. Po paru miesiącach jednak siła jej postanowienia — czy raczej bolesna bezpośredniość obaw — mocno stęśniała; niecierpliwiło ją to senne, bezczasowe życie blaknących letnich miesięcy. Żołnierze, których tymczasem poznawała, byli albo znacznie gorsi, albo już mniej znacznie lepsi od niej — w tym przypadku chodziło im tylko o to, by ją wykorzystać; byli nieprzyjemnymi, pozbawionymi wdzięku Jankesami; roili się w miasteczku jak muchy... I wreszcie poznała Anthony'ego.

Tamtego pierwszego wieczoru był dla niej tylko nieszczęśliwą twarzą, głosem, który pozwolił jej jakoś spędzić czas, ale gdy w sobotę przyszła na umówione spotkanie, patrzyła nań już inaczej. Podobał się jej — nieświadomie czytała w jego twarzy każdą ze swych własnych tragedii.

Znów poszli do kina i znów wędrowali po cienistych, pachnących uliczkach, tym razem cały czas trzymając się za ręce, od czasu do czasu mówiąc do siebie półgłosem. Przeszli przez furtkę, podszli do małej werandy...

— Mogę tu zostać przez chwilę, dobrze?

— Cii... — szepnęła — musimy być bardzo cicho. Mama jeszcze nie śpi, tylko pewnie coś czyta. — Na potwierdzenie usłyszał z werandy lekki szelest jakby odwracanej kartki. Szpary żaluzji wysyłały poziome paski światła, padające cienko i równoległe na spódnicę Dorothy. Na ulicy było zupełnie cicho; tylko z jednego z domów naprzeciwko, na którego schodkach rozsiadło się kilka osób, płynęła od czasu do czasu cicha, kpiarska piosenka:

*When you wa-ake
You shall ha-ave
All the pretty little hawsiz*...*

Popularna kołysanka amerykańska; tu śpiewana z uderzającym dla Anthony'ego, południowym akcentem {hawsiz zamiast horses) (przyp. tłum.).

Potem, jakby od dawna czyhał na nich na sąsiednim dachu, przez bluszcz przedarł się nagle księżyc i w jednej chwili ubarwił twarz dziewczyny na kolor białych róż.

Anthony aż wzdrygnął się, tak żywo stanęło mu przed zamkniętymi oczyma to wspomnienie, ten obraz, wyraźny jak na ekranie — wspomnienie wiosennej, przemoczonej odwilżą nocy, beczasowej, na wpół zapomnianej zimy sprzed pięciu lat — innej twarzy, promiennej jak kwiat, wzniesionej ku światłom tak przeobrażającym jak gwiazdy...

Ach, ta piękna nielitościwa pani, żyjąca w jego duszy, objawiona mu w przelotnej, blednącej chwale „Ritz-Carltona”, w cieniu spojrzenia rzuconego z powozu w Lasku Bulońskim! Ale noce te były tylko częścią pieśni, zapamiętanej glorii... I tu znów pojawiały się leciutkie drgnienia powietrza, te złudzenia, ta wieczna terażniejszość obietnicy miłości.

— Och — szepnęła — kochasz mnie? Kochasz?

Czar prysł; niesione wiatrem odłamki gwiazd były już tylko światłem; dobiegający z drugiej strony ulicy śpiew przeszedł w monotonny jęk szarańczy w trawie. Westchnął niemal i pocałował ją w rozpalone usta, a jej ręce błędziły po jego ramionach.

Żołnierz

Tygodnie schły na wiór i rozwiewały się w proch i pył, a Anthony poznawał w swych wędrówkach cały obóz i jego otoczenie. Po raz pierwszy w życiu miał ciągły, osobisty kontakt z kelnerami, którym kiedyś dawał napiwki, kierowcami, którzy kiedyś witali go dotykając palcem daszka kaszketów, ze stolarzami,

hydraulikami, fryzjerami i rolnikami, których dotąd zauważał wyłącznie dzięki służalczości ich zawodowego oddania. Przez pierwsze dwa miesiące obozu nie rozmawiał z nikim dłużej niż dziesięć minut.

W dokumentach wojskowych przypisano mu zawód „student”; w pierwszym z wypełnianych formularzy określił się, nieco przedwcześnie, jako pisarz, ale gdy pytali go o zawód koledzy z kompanii, mówił najczęściej, że pracuje w banku — gdyby powiedział prawdę, że nic nie robi, byłby dla nich podejrzany jako przedstawiciel klas niepracujących.

Jego dowódca plutonu, „Tata” Donnelly, był to chuderlawy „stary wiarus”, wynędzniały od alkoholu. Dawniej prawie nie wychodził z aresztu jednostki, ale ostatnio, dzięki powszechnemu zapotrzebowaniu na instruktorów musztry, został wyniesiony do tak zaszczytnej szarży. Był jednym wielkim zlepkim lejów po pociskach — jego skóra przypominała do złudzenia owe zdjęcia lotnicze „pola bitwy pod —”. Raz na tydzień upijał się w miasteczku samogonem, spokojnie wracał do obozu i padał na pryczę, po czym po pobudce pojawiał się przed kompanią jeszcze bledszy i jeszcze bardziej podobny do śmiertelnej maski.

Donnelly hołubił zadziwiające złudzenia, że cały czas „robi w konia” państwo — przez osiemnaście lat służby otrzymywał minimalny żołd, a wkrótce miał przejść na emeryturę (tu zwykle mrugał porozumiewawczo) i otrzymywać zawrotną sumę pięćdziesięciu pięciu dolarów miesięcznie. Uważał to za doskonały żart, uczyniony przez niego wszystkim tym, którym służył za popychadło i przedmiot kpin od czasów spędzonego w Georgii dzieciństwa.

Na razie kompania miała tylko dwóch poruczników — Hopkinsa i powszechnie lubianego Kretchinga; ten drugi cieszył się opinią fajnego faceta i świetnego dowódcy jeszcze przez rok, aż do czasu, gdy zniknął wraz z przeznaczonymi na prowiant funduszami w wysokości tysiąca stu dolarów. A że był rzeczywiście dobrym żołnierzem, zatarł za sobą wszelkie ślady.

Na samym szczycie, niczym bóg tego krótkotrwałego, lecz samowystarczalnego mikrokosmosu, istniał kapitan Dunning, nerwowo, energiczny, tryskający entuzjazmem oficer rezerwy. Jego entuzjazm przybierał często formy materialne, ujawniając się jako

delikatna piana w kącikach ust. Jak wszyscy przełożeni, patrzył swym podwładnym prosto w twarz, nigdy inaczej, optymistycznie widząc w nich świetny oddział, godny tej świetnej wojny. Mimo licznych obaw i natłoku zajęć nigdy jeszcze nie bawił się tak dobrze.

Baptiste, mały Sycylijczyk z pociągu, „podpadł” mu kiedyś w drugim tygodniu musztry. Kapitan już kilka razy wcześniej przypominał swym żołnierzom, że na apelu porannym każdy ma być ogolony. Któregoś dnia wykryto niepokojące naruszenie tego przepisu — niewątpliwy rezultat niemieckich knowań: przez noc czterem żołnierzom znów zarosły twarze. Fakt, że trzech spośród nich prawie nie rozumiało po angielsku, sprawiał, że lekcja pogładowa była tym bardziej konieczna; kapitan Dunning posłał więc fryzjera-ochotnika po brzytwę, przy pomocy której, dla dobra demokracji, zdrapano zaraz na sucho z pół uncji zarostu z twarzy trzech Włochów i jednego Polaka.

Z zaświatów kosmosu kompanii pojawiał się czasem pułkownik, przyciężkawy, o groźnie wyszczerzonych zębach, który okrążał plac apelowy batalionów na pięknym, czarnym koniu. Był absolwentem West Point i udawał dżentelmena; miał tandetny umysł i tandetną żonę, a większość czasu spędzał w mieście, wykorzystując świetną pozycję towarzyską wojska w ostatnich czasach. Na samym końcu dopiero znajdował się generał, który poruszał się po obozie zawsze poprzedzany własnym sztandarem — tak surowym, tak wyniosłym, tak dumnym, że aż niezrozumiałym.

Grudzień. Chłodne wiatry nocą, wilgotne, zimne poranki na placu apelowym. Wraz z opadaniem upału Anthony coraz bardziej cieszył się, że żyje. Dziwnie odmłodzony na ciele, wyzbył się wszelkich obaw. Żył sobie teraz w zwierzęcym jakby zadowoleniu; nie dlatego wcale, by Gloria, czy też życie, które ona uosabiała, rzadziej gościło w jego myślach — po prostu z każdym dniem Gloria stawała się coraz mniej realna, coraz mniej wyraźna. Przez pierwszy tydzień pisali do siebie pełne uczucia, niemal histeryczne listy; potem, zgodnie z cichym, niepisanim porozumieniem, wymieniali listy dwa razy, wreszcie raz na tydzień. Pisała, że nudzi się jej, że

jeśli jego brygada pozostanie dłużej na Południu, przyjedzie tam do niego; że mecenas Haight zebrał, zdaje się, mocniejszy materiał, niż się spodziewał, ale wątpi, czy sprawa zdąży wejść na wokandę przed latem. Muriel jest w Nowym Jorku, pracuje w Czerwonym Krzyżu, razem często gdzieś wychodzą. Czy Anthony miałby coś przeciwko temu, gdyby i ona, Gloria, została pielęgniarką? Problem tylko w tym, że wtedy trzeba by kąpać Murzynów w alkoholu; to znacznie studziło patriotyczne zapędy Glorii. W mieście pełno żołnierzy, spotyka mnóstwo chłopaków, których nie widziała od lat...

Anthony nie chciał, żeby przyjechała. Tłumaczył sobie to na wiele sposobów — on potrzebuje odpocząć od niej, ona od niego; w miasteczku wynudzi się jak mops, a i tak widywać się mogliby najwyżej przez parę godzin dziennie. W duszy jednak obawiał się, że chodzi o coś innego: o to, jak bardzo pociągała go Dorothy; żył w strachu, by Gloria nie dowiedziała się przypadkiem o tym związku; już po dwóch tygodniach zaczął miewać napady żalu nad własną niewiernością — a mimo to nie potrafił przeciwstawić się temu, co pod koniec każdego dnia pchało go z namiotu do telefonu w Y.M.C.A.

— Kropeczka?

— Tak?

— Może uda mi się wyrwać dziś na chwilę.

— To dobrze.

— Czy zechcesz wsłuchiwać się w moją piękną wymowę przez kilka rozgwieżdżonych godzin?

— Ach, ty śmieszny... — Przez chwilę sływało na niego wspomnienie sprzed pięciu lat, wspomnienie Geraldine. Potem...

— Będę koło ósmej.

O siódmej wsiadał więc do taksówki i jechał do miasta, gdzie setki drobnych dziewczyn z Południa oczekiwało swych chłopców na zalanych księżycowym światłem werandach i ganeczkach. Jeszcze w drodze podniecała go myśl o jej tak wyczekiwanych pocałunkach, o zdziwionym spokoju wpatrzonych weń oczu; żadne inne oczy nie czciły go dotąd tak bezgranicznie. Z Glorią byli sobie równi, dawali więc i brali nie myśląc o wdzięczności czy obowiązku. Dla tej dziewczyny jego pieszczoty były bezcennym skarbem.

Plącząc cicho wyznała mu, że nie jest pierwszym mężczyzną w jej życiu, że był przedtem ktoś — Anthony rozumiał, że tamten romans zakończył się, nim jeszcze się rozpoczął.

I rzeczywiście tak było, przynajmniej z jej punktu widzenia. Zapomniała już o sprzedawcy, o oficerze, o synu kupca, zapomniała tamte uczucia — a więc zapomniała naprawdę. Pozostała jej jedynie świadomość, że ktoś posiadał ją kiedyś, w jakimś nieprzejrzystym, ciemnym życiu — zupełnie jakby dokonało się to przez sen.

Anthony jeździł do miasteczka niemal codziennie. Było teraz zbyt chłodno na wysiadanie na werandzie, więc matka Dorothy musiała oddać im w posiadanie maleńki salonik, zdobny dziesiątkami litografii w tandetnych ramkach, całymi milami girland i zagęszczonej, wieloletniej atmosfery okolic kuchni. Rozpalali kominek, a potem, radośnie i niestrudzenie, trudzili się miłością. Co wieczór, około dziesiątej, odprowadzała go do drzwi — jej czarne włosy w nieładzie, twarz blada, bez makijażu, jeszcze bledsza w świetle księżycy. Zwykle na zewnątrz było jasno i srebrnie, czasem delikatny, ciepły deszcz, zbyt leniwy, zdawało się, by osiągnąć ziemi.

- Powiedz, że mnie kochasz — szeptała.
- Ależ oczywiście, moje słodkie maleństwo.
- Ja jestem maleństwo? — To brzmiało niemal smutnie.
- Waśnie tak. Małe, kochane maleństwo.

Wiedziała co nieco o Glorii. Myślała o niej z bólem, bo wyobrażała ją sobie jako osobę dumną, nieprzystępną i zimną. Była pewna, że Gloria jest starsza od Anthony'ego i że w ich małżeństwie nie ma miłości. Czasami folgowala marzeniom, w których Anthony rozwodził się, by mogli się pobrać — ale nigdy nie wspomniała o tym Anthony'emu, sama nie wiedząc, dlaczego. Podobnie jak jego kompania, wierzyła, że jest urzędnikiem bankowym, że jest biedny, ale uczciwy. Mawiała:

— Gdybym miała dużo pieniędzy, kochanie, wszystko, co do grosza, oddałabym tobie... Żeby tak mieć z pięćdziesiąt tysięcy dolarów...

— No, owszem, to byłaby całkiem niezła sumka — zgadzał się Anthony. Akurat tego samego dnia dostał list od Glorii, która pisała: „Pewnie gdyby dało się *wycyganić* choćby milion, Haight mógłby to załatwić, ale trochę szkoda...”

— I moglibyśmy mieć samochód — wołała Kropeczka, kończąc ten triumfalny przegląd własnych, wymyślonych bogactw.

Wielkie święto

Kapitan Dunning schlebiał sobie, że jest wielkim znawcą ludzkich charakterów. W pół godziny po poznaniu kogoś natychmiast umieszczał go w jednej ze swych oryginalnych kategorii: świetny facet, dobry facet, sprytny gość, teoretyk, poeta i „do niczego”. Któregoś dnia na początku lutego nakazał wezwać Anthony'ego przed swoje oblicze.

— Patch — oznajmił — przyglądam się wam od paru tygodni. Anthony stał wyprostowany, bez ruchu.

— I wydaje mi się, że macie zadatki na dobrego żołnierza.

Poczekał, aż ciepło, wywołane oczywiście przez te słowa, ostygnie, a potem ciągnął dalej:

— Wojna nie jest dla dzieci — powiedział marszcząc brwi.

Anthony zgodził się z tym stwierdzeniem melancholijnym: — Tak jest.

— To męska sprawa, a nam potrzeba dobrych dowódców. — I wreszcie punkt kulminacyjny, szybko, pewnie, w napięciu: — Patch, zamierzam awansować was na kaprala.

W tym miejscu Anthony powinien był cofnąć się lekko, zdumiony spadającą nań łaską. Oto staje się jednym z ćwierć miliona podobnie wybranych, obdarzonych podobnym zaufaniem! Oto będzie mu wolno wykrzykiwać to wspaniałe, profesjonalne „Za mną!” do siedmiu innych, równie przestraszonych męczczyzn.

— Jesteście, zdaje się, człowiekiem wykształconym — mówił dalej kapitan Dunning.

— Tak jest.

— To dobrze, to dobrze. Wykształcenie to niezła rzecz, ale bez przesady. Sprawiajcie mi się tak dalej, to zrobię z was dobrego żołnierza.

I z tymi słowy, brzmiącymi wciąż w uszach, kapral Patch zasałtował, wykonał w tył zwrot i opuścił namiot.

Rozmowa ta, choć ubawiła Anthony'ego, dała mu jednak do myślenia, że życie mogłoby być jeszcze zabawniejsze, gdyby został sierżantem, czy nawet, dzięki trochę mniej wymagającej komisji lekarskiej, oficerem. Bynajmniej nie chodziło mu o mundur, będący zaprzeczeniem głoszonej wszem wobec „szykowności” armii; na przeglądy ubierano się nie po to, by wyglądać dobrze, lecz by nie wyglądać źle.

Ale gdy zima zbliżała się ku końcowi — ta krótka, bezśnieżna zima wilgotnych nocy i chłodnych, deszczowych dni — sam zdziwił się, jak szybko stał się elementem całego systemu. Teraz był żołnierzem, a każdy, kto nie był żołnierzem, był cywilem; świat dzielił się teraz na te dwie zasadnicze kategorie.

Spostrzegł, że wszystkie ostro zaznaczone warstwy społeczne, takie jak wojsko, zawsze dzielą ludzi na dwie grupy: takich jak oni — i tych innych. Dla duchownego istnieją więc przede wszystkim duchowni i świeccy, dla katolika — katolicy i niekatolicy, dla Murzyna — czarni i biali, dla więźnia — współwięźniowie i ludzie wolni, dla chorego — chorzy i zdrowi... I oto okazało się, że sam o tym nie wiedząc, całe życie był cywilem, świeckim, niekatolikiem, gojem, białym, wolnym i zdrowym...

Wraz z wlewaniem się żołnierzy amerykańskich we francuskie i brytyjskie okopy, Anthony coraz częściej znajdował nazwiska kolegów z Harvardu na publikowanych w „Army and Navy Journal” listach poległych; jednak mimo przelanego potu i krwi sytuacja na froncie nie zmieniała się ani o jotę, zaś Anthony nie widział końca wojny, przynajmniej w najbliższej przyszłości. W starych kronikach zawsze było tak, że prawe skrzydło jednej armii zwyciężało lewe skrzydło drugiej, podczas gdy lewe skrzydło tej pierwszej ponosiło klęskę z rąk prawego skrzydła nieprzyjaciela, po czym następowała ucieczka najemników. W tamtych czasach wszystko było takie proste, jakby z góry ułożone...

Gloria pisała, że czyta mnóstwo książek, i że to okropne, jak się zapuścili. Miała teraz tyle wolnego czasu, że spędzała go na wyobrażaniu sobie, jak wszystko mogło być inaczej. Wszystko wydawało się jej takie niepewne — a przecież zaledwie parę lat temu była pewna, że wszystkie sznurki trzyma pewnie w swej małej dłoni...

W czerwcu listy zaczęły być pisane jakby w pośpiechu, i dużo rzadziej, nie wspominała też ani słowem o przyjeździe na Południe.

Kłęska

Marzec był tam piękny jaśminem, żonkilami i plamami fiołków na rozgrzewającej się trawie. Anthony zapamiętał najlepiej pewne popołudnie tak pełne jakiegoś świeżego, czarownego przepychu, że leżąc w rowie strzeleckim i wskazując cele swym podopiecznym recytował fragmenty z „Atalanta w Kalydonie” nie rozumiejącemu z tego ani słowa Polakowi, a jego głos mieszał się z gwizdem, świstem i chrzęstem kul.

Gdy wiosny ogary...

Paf!

Ruszą po śladzie zimy...

Fiuuu!

Matki miesiący...

Ej, wy tam! Cel... pal!

W miasteczku ulice na nowo zapadły w senną niemoc, a Anthony i Kropeczka wspólnie błądzili po swych dawnych śladach z jesieni, aż Anthony poczuł leniwą więź z tym Południem — bardziej algierskim niż włoskim — którego zwiędłe ambicje zdawały się wracać, poprzez niezliczone pokolenia, ku jakiejś cieplej, pierwotnej nirwanie, beznadziejnie i beztrosko. Tu w każdym głosie brzmiała serdeczność i wyrozumiałość. „Życie płała nam wszystkim ten sam, cudowny, bolesny figiel”, zdawały się mówić swym zaśpiewem, pełnym skargi, miłym dla ucha, w minorowej, nigdy nie dokonanej tonacji.

Lubił chodzić do miasteczkowego fryzjera, który witał go nieodmiennie „Czołem, kapralu!”, bladego, wyniszczzonego młodzieńca, który golił go i bez końca manewrował nad jego niezaspokojoną

głową chłodną maszynką. Lubił dansing w „Johnston's Gardens”, gdzie tragiczny Murzyn grał na saksofonie tak tęsknie, tak boleśnie, aż jaskrawa sala zmieniała się w zakłęta dżunglę barbarzyńskich rytmów i oparów śmiechu, gdzie zapomnienie upływu czasu wśród cichych westchnień i czułych szeptów Dorothy było szczytem wszelkich aspiracji, wszelkiej rozkoszy.

Miała w swym charakterze odrobinę smutku, świadomej ucieczki przed życiem poza jego przyjemnymi drobiazgami. Fiołkowe oczy potrafiły całymi godzinami pozostawać bez wyrazu, gdy bezmyślnie i nieostrożnie wygrzewała się na słońcu jak kot. Był ciekaw, co też myśli sobie o nich jej bezbarwna matka, czy w swych napadach przemożnego cynizmu domyśla się ich związku.

W niedzielne popołudnia przechadzali się po polach i łąkach, przysiadając czasem na kępach suchego mchu na skraju lasu. To tu gromadziły się ptaki, bez i biały dereń, to tu lśniły chłodno i krystalicznie posiwiałe drzewa, niepomne czyhającego opodał, upojnego upału; to tu on mówił, milkł i znów mówił, wygłaszał swój senny monolog, bląhą rozmowę bez odpowiedzi.

Czerwiec zwał się na nich upałem. Kapitan Dunning otrzymał rozkaz przydzielenia jednego ze swych ludzi do nauki kowalstwa. Oddział zaczynał dopełniać się do stanu na czas wojny, każdy z weteranów zatrudniony był teraz przy nauce musztry, więc kapitan wybrał małego Włocha, Baptiste, bo na nim zależało mu najmniej. Baptiste nigdy w życiu nie miał nic do czynienia z końmi, a sprawę dodatkowo utrudniała jego strachliwość. Któregoś dnia pojawił się w sztabie kompanii i oświadczył kapitanowi, że umrze, jeśli nie zostanie zmieniony. Mówił, że konie ciągle go kopią, że nie nadaje się do tej pracy. Wreszcie upadł na kolana i błagał dowódcę mieszaniną łamanej angielszczyzny i literackiego włoskiego, by dał mu inne zajęcie; nie spał już od trzech dni, bo gdy tylko zasypiał, przez jego sny galopowały monstrualne ogiery.

Kapitan Dunning zbeształ pisarza kompanii (który wybuchnął śmiechem przy tej rozmowie) i powiedział Baptiste, że zrobi, co się

da. Potem jednak, gdy dobrze to przemyślał, doszedł do wniosku, że nikogo lepszego nie ma pod ręką. Tymczasem Baptiste szło coraz gorzej; konie wyczuwały chyba jego strach i wykorzystywały to bez najmniejszych skrępułów. Po dwóch tygodniach wielka, czarna klacz roztrzaskała małemu Włochowi czaszkę, gdy ten usiłował powstrzymać ją przed stawaniem dęba.

W połowie czerwca najpierw dotarły plotki, potem rozkazy dotyczące zmiany obozu. Brygada miała przenieść się do pustych kwater o sto mil dalej na południe, by tam zostać rozbudowana do dywizji. Z początku żołnierze mniemali, że idą na front, więc przez kilka wieczorów pod rząd między namiotami zbierały się podekscytowane grupki, wołające do siebie z przechwałką: „No pewnie że tak!” Gdy wreszcie prawda wyszła na jaw, została wpieryw potraktowana jako celowa dezinformacja; nikt nie chciał się pogodzić z tym, że jeszcze nie teraz „pójdą na Niemca”, że nie będą mogli zachwycać tym dziewcząt z miasteczka. Anthony krążył przez jakiś czas między jedną grupką a drugą, a potem wskoczył w taksówkę i pojechał oznajmić Kropeczce, że wyjeżdża.

Czekała na niego na ciemnej werandzie, ubrana w tanią, białą sukienkę, podkreślającą młodość i delikatność jej twarzy.

— Och — szepnęła. — Tak bardzo cię pragnęłam, kochanie. Cały dzień.

— Muszę ci coś powiedzieć.

Przyciągnęła go do siebie, by usiadł na bujanej kanapce, nie doślyszawszy w jego głosie zapowiedzi złych wieści.

— Powiedz.

— Za tydzień wyjeżdżamy.

Ręce, szukające jego ramion, zamarły w ciemnym powietrzu, podbródek uniósł się lekko w górę. Gdy przemówiła, w jej głosie nie było już delikatności.

— Do Francji.

— Nie. Jeszcze gorzej, do jakiejś zapadłej dziury w Mississippu.

Zamknęła oczy; dostrzegł, że powieki jej drżą.

— Moja kochana Kropeczko, życie jest takie ciężkie.

Płakała na jego ramieniu.

— Takie ciężkie, takie cholernie ciężkie — powtarzał nie wiedząc czemu. — Rani tylko ludzi i rani, aż wreszcie rani ich tak. że już tego nie czują. A to jest najgorsze ze wszystkiego.

Przeżrana, oszalała z bólu, przyciskała go do piersi.

— O Boże! — szeptała w rozpacz. — Nie możesz odjechać. Umrę, jeśli odjedziesz.

Nie potrafił dłużej traktować swego wyjazdu jako nieszczęście zwykłe, bezosobowe. Był jej zbyt bliski, by mówić więcej niż tylko „Biedna Kropeczka, biedna Kropeczka”.

— A co potem? — zapytała ze znużeniem.

— Jak to?

— Jesteś dla mnie wszystkim, po prostu. Gdybyś mi kazał, umarłabym za ciebie, wzięłabym nóż i zabiłabym się. Nie możesz mnie tu zostawić.

Jej ton przeraził go.

— Tak już jest — powiedział ostrożnie.

— To pojedę z tobą. — Łzy spływały jej po policzkach, a usta drżały w ekstazie rozpacz i lęku.

— Najśłodsza — szepnął sentymentalnie — najśłodsza, ukochana. Nie zdajesz sobie sprawy, że w ten sposób tylko odwleklibyśmy to, co nieuniknione? Za parę miesięcy i tak wyślą mnie do Francji...

Odchyliła się od niego i zaciskając pięści uniosła twarz ku niebu.

— Ja chcę umrzeć — powiedziała, jakby każdemu słowu nadając kształt na samym dnie serca.

— Kropeczko — szeptał zmieszany. — Zapomnisz. To, co utracone, staje się jeszcze droższe. Wiem o tym — bo kiedyś bardzo pragnąłem zdobyć coś i zdobyłem. Niczego innego nie pragnąłem, Kropeczko, ale gdy już to miałem, w moich dłoniach obróciło się w proch.

— W porządku.

Całkowicie zajęty sobą mówił dalej:

— Często myślę sobie, że gdybym tego nie zdobył, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Potrafiłbym może znaleźć coś w moim umyśle i cieszyć się tym, dzieląc się z innymi.

Mógłbym znaleźć zadowolenie w tej pracy, mógłbym czerpać² powodzenia choćby odrobinę słodkiej próżności. Wydaje mi się, że kiedyś mogłem mieć wszystko, co bym tylko chciał, oczywiście w

granicach rozsądku; ale przecież było to jedyne, czego naprawdę gorąco pragnąłem w całym swoim życiu. Boże! To właśnie nauczyło mnie, że nie można mieć wszystkiego, że nie należy mieć niczego, bo chęć posiadania to najgorszy z oszustów, to jak promień słońca, co skacze tu i tam po całym pokoju. Czasem zatrzymuje się i pozłaca jakiś banalny przedmiot, a my, biedni głupcy, usiłujemy go schwycić — ale wtedy promień przenosi się na coś innego, więc choć chwytamy to, na czym przed chwilą się zatrzymał, tracimy to, o co nam chodziło... — Urwał zmieszany. W trakcie jego przemowy Dorothy wstała; oczy już jej obeschły; zrywała z muru drobne listki bluszczu.

— Kropeczko...

— Odejdź — powiedziała zimno.

— Co? Dlaczego?

— Na słowach mi nie zależy. Jeśli to wszystko, co możesz mi dać, to lepiej odejdź.

— Ależ Kropeczko...

— Dla mnie to koniec świata, a dla ciebie tylko mnóstwo słów. Jak ty je ładnie składasz...

— Przepraszam. Ja mówiłem o tobie, Kropeczko.

— Idź stąd.

Ruszył w jej kierunku z wyciągniętymi ramionami, ale odepchnęła go.

— Ty nie chcesz, żebym pojechała z tobą — powiedziała powoli. — Może ściągniesz tam tę... tę dziewczynę... — Słowo „żona” nie przeszłoby jej przez usta. — Zresztą, czy ja wiem? Tak czy inaczej zdaje się, że już nie jesteś moim chłopakiem. Odejdź.

Przez chwilę, miotany sprzecznymi ostrzeżeniami i pragnieniami, miał wrażenie, że nadchodzi jedna z tych rzadkich chwil, gdy uczyni coś sam, z własnej woli. Zawahał się jednak — i runęła na niego fala znużenia. Za późno... wszystko za późno. Przez całe lata ogradzał się od świata chmurą marzeń, opierając swe decyzje na emocjach, pisanych palcem po wodzie. Ta drobna dziewczyna w białej sukience, prawie piękna w twardej symetrii swego pożądania, opanowywała go zupełnie. Ogień, szalejący w tym mrocznym, zranionym sercu zdawał się rozświecić ją jak płomień. Dzięki jakiejś głębokiej, niezgłębionej dumie stała się odległą, a przez to osiągnęła swój cel.

— Nie chciałem... Nie myśl, że mi nie żal, Kropeczko.

— To już bez znaczenia.

Ogień przetoczył się teraz na Anthony'ego. Coś schwyciło go za twarz, stał bezradny, pokonany.

— Jedź ze mną, Kropeczko... moja najmilsza Kropeczko. Proszę, pojedź ze mną. Nie mogę się z tobą rozstać...

Ze szlochom otoczyła go ramionami i wsparła się na nim, a tymczasem księżyc, w swym wiecznym trudzie skrywania niezdrowej cery świata, lał na senną uliczkę swój meliniarski miód.

Katastrofa

Początek września w Camp Boone w stanie Mississippi. Ciemność, rojąca się owadami, bez ustanku uderzała o moskitierę, pod osłoną której Anthony próbował pisać list. Z sąsiedniego namiotu dobiegał nieustanny szmer głosów znad stolika pokerowego, a na zewnątrz ktoś przechadzał się między namiotami, wyśpiewując jakieś częstochowskie rymy o „K-K-K-Katy”.

Anthony z wysiłkiem uniósł się na łokciu i z ołówkiem w palcach popatrzył na czystą kartkę papieru. Potem, bez żadnych wstępów, zaczął:

Nie mam pojęcia, co się stało, Glorio. Od dwóch tygodni nie napisałaś do mnie ani słowa. Nic dziwnego, że się martwię...

Mruknął z niezadowoleniem, rzucił kartkę na ziemię i zaczął jeszcze raz:

Nie wiem, co mam o tym myśleć, Glorio. Twój ostatni list, taki krótki, chłodny, bez słowa czułości czy choćby najprostszego opisu tego, co robisz, dostałem dwa tygodnie temu. Trudno się dziwić, że zaczynam się niepokoić. Jeżeli twoja miłość do mnie jeszcze do końca nie umarła, mogłabyś przynajmniej mnie nie zamartwiać...

Znów zmiał kartkę i wyrzucił ją ze złością przez dziurę w namiocie; natychmiast pomyślał, że rano musi ją podnieść. Nie mógł

zmusić się do kolejnych prób. Mniej więcej od połowy lata zmiany w korespondencji z Glorią były coraz bardziej zauważalne. Z początku prawie ich nie dostrzegał. Tak przyzwyczał się do nic nie znaczących „najmilszy” i „kochanie”, tu i ówdzie rozrzuconych w jej listach, że nie zauważył potem ich braku. Dopiero ostatnie dwa tygodnie uświadomiły mu, że coś jest nie w porządku.

Pierwszy telegram wysłał jej, gdy przyjęto go na szkolenie oficerskie; pisał jej wtedy, że wkrótce wyjedzie do Georgii. Nie było odpowiedzi. Zatelegrafował jeszcze raz — drugi raz nie otrzymawszy odpowiedzi przypuszczał, że akurat nie ma jej w mieście. Wciąż powracała jednak myśl, że Gloria nigdzie nie wyjeżdżała, a wtedy wyobrażenia podsuwała mu rozmaite straszliwe podejrzenia. A jeśli znudzona, zdenerwowana Gloria znalazła sobie kogoś, tak jak on? Myśl ta przerażała go swym prawdopodobieństwem — tak pewny był dotąd jej osobistej uczciwości, że nigdy nie zaprzętał sobie nią głowy. A teraz rodziło się w nim zwątpienie; dawne gniewy, dawna rozpasana zaborczość powracały teraz tysiącokrotnie zwielokrotnioną chmarą. Czyż było jakieś prostsze wyjaśnienie niż to, że znów się zakochała?

Przypominała mu się Gloria twierdząca, że jeśli będzie miała na coś ochotę, zrobi wszystko, by to mieć; upierająca się, że ponieważ zamierza kierować się tylko własną przyjemnością, taki romans nie pozostawiłby na niej choćby śladu — że przecież liczy się nie sam fakt, lecz jego wpływ na nasz umysł, że ona sama zareagowałaby po męsku, a więc z uczuciem spełnienia i lekkiego niesmaku.

Takie rzeczy mówiła jednak tylko wkrótce po ślubie. Potem, gdy odkryła, że zdolna jest do zazdrości o Anthony'ego, wydawało się, jakby zmieniła zdanie. Na świecie nie istnieli dla niej inni mężczyźni; Anthony wiedział o tym aż za dobrze, a zorientowawszy się, że powstrzymuje ją dodatkowo wysoki poziom jej wymagań względem rodu męskiego, zaniedbał walki o wyłączność jej miłości — na czym przecież wspierała się cała ta konstrukcja.

Tymczasem przez całe lato utrzymywał Kropeczkę w pensjonacie w pobliskim miasteczku. W tym celu musiał porozumieć się z maklerem o sprzedaży kolejnych akcji. Kropeczka rozwiązała problem podróży na Południe opuściwszy dom na dzień

przed wyjazdem brygady; matce zostawiła wiadomość, że pojechała szukać szczęścia w Nowym Jorku. Następnego wieczora Anthony przyszedł, jak gdyby nigdy nic, w odwiedziny; zastał panią Raycroft w stanie kompletnej zapaści, a w małym saloniku jej domu — policjanta. Nastąpiło przesłuchanie; Anthony'emu z trudem udało się wymknąć.

We wrześniu, wraz z narastaniem podejrzeń względem Glorii, towarzystwo Kropeczki stało się najpierw męczące, potem wręcz nieznośne. Anthony był roztrzęsiony i poirytowany z niewyspania, chory na duszy, przerażony. Trzy dni wcześniej poszedł do kapitana Dunninga z prośbą o urlop, ale spotkał się tylko z dobroduszną odmową. Dywizja miała wkrótce wyjechać do Europy, więc urlopy należały się teraz żołnierzom, a nie takim jak Anthony, którzy jechali tylko na szkolenie oficerskie.

Po tej rozmowie Anthony skierował się do urzędu telegraficznego. Chciał zadepeszować do Glorii, by przyjechała na Południe, ale dotarł do drzwi i cofnął się w rozpacz, dostrzegłszy kompletną niepraktyczność takiego kroku. Wieczór spędził na męczących utarczkach z Kropeczką; wrócił do obozu smutny i zły na cały świat. Odbyła się nieprzyjemna scena, którą przerwał, pośpiesznie wychodząc. Nie zajmowało go zbyt, co ma z nią zrobić — był całkowicie zaabsorbowany niepokojącym milczeniem żony...

Na skrzydle namiotu ukazał się w tej chwili ciemniejszy trójkąt i na tle nocy pojawiła się ciemna głowa.

— Sierżant Patch? — Akcent był włoski; Anthony rozpoznał po pasie ordynansa sztabowego.

— Ktoś do mnie?

— Dziesięć minut temu jakaś pani telefonowała do sztabu. Mówiła, że musi z panem porozmawiać, i że to bardzo ważne.

Anthony odsunął moskitierę i zerwał się na równe nogi. Mógł być przekazany przez telefon telegram od Glorii.

— Prosiła, żeby pan przyszedł, bo zadzwoni jeszcze raz o dziesiątej.

— W porządku, dzięki. — Wziął czapkę i już za chwilę maszerował z ordynansem przez gorącą, duszącą niemal ciemność. W sztabowym baraku zasalutował zaspanemu oficerowi służbowemu.

— Siadajcie i czekajcie — zaproponował obojętnie porucznik — Tej dziewczynie strasznie zależało, żeby z wami rozmawiać.

Nadzieja prysła jak bańka mydlana.

— Bardzo dziękuję, panie poruczniku. — Wiedział już, kto dzwoni, jeszcze zanim ze ściany zajęczał telefon.

— To ja — dobiegi go niepewny głos Kropeczki. — Muszę się z tobą zobaczyć.

— Mówiłem ci, że przez najbliższe kilka dni nie dam rady przyjechać do miasta.

— Muszę się z tobą zobaczyć, i to jeszcze dziś. To ważne.

— Teraz jest za późno — odparł chłodno. — Jest już dziesiąta, a musiałbym wrócić do obozu na jedenastą.

— W porządku. — Zabrzmiało to tak żałośnie, że Anthony poczuł lekkie wyrzuty sumienia.

— Co się stało?

— Chciałam pożegnać się z tobą.

— Och, nie wygłupiaj się! — zawołał, ale humor natychmiast mu się poprawił. Jakby to było świetnie, gdyby rzeczywiście wyjechała, i to zaraz! Co za ulga! Powiedział jednak: — Poczekaj z wyjazdem choć do jutra.

Kątem oka dostrzegł, że oficer służbowy przypatruje się mu ze zdziwieniem. Potem zaś dosłyszał słowa, które nim wstrząsnęły:

— Nie chodzi o żaden wyjazd.

Dłoń Anthony'ego kurczowo zacisnęła się na słuchawce. Poczul, że drętwieją mu wszystkie nerwy, że upał nagle ulatuje z jego ciała.

— Co takiego?

Niemal równocześnie usłyszał jej oszalały, załamany głos:

— Żegnaj... Ach, żegnaj!

Stuk! Odłożyła słuchawkę. Anthony, wydawszy z siebie na wpół jęk, na wpół okrzyk, wypadł z budynku sztabu. Gdy znalazł się na zewnątrz, pod gwiazdami, opadającymi jak srebrne chwościki przez drzewa małego zagajnika, zatrzymał się, nie wiedząc, co począć. Czy ta mała idiotka zamierza się zabić? Ogarnęła go zapiekła nienawiść. Przy takim rozwoju wypadków wydało mu się niemożliwe, że mógł dopuścić do takiego związku, takiej awantury, takiego odrażającego połączenia bólu i strachu.

Po chwili zorientował się, że oddala się powoli od sztabu, potwarzając sobie w kółko, że i tak nic nie poradzi. Najlepiej zrobi, jeśli pójdzie do namiotu i prześpi się trochę. Potrzebuje snu. Boże! Czy kiedykolwiek uda mu się zasnąć? W jego umyśle panował chaos i zamęt; dotarł do drogi i nagle odwrócił się w panice. Ruszył biegiem, ale nie ku namiotom kompanii, lecz w przeciwną stronę. Żołnierze wracają właśnie z przepustek... na pewno znajdzie jakąś taksówkę. Po chwili zza zakrętu wyłoniło się dwoje żółtych oczu. Rozpaczliwie wybiegł im naprzeciw.

— Taksi! Taksi!... — Był to pusty ford. — Do miasta!

— Ale za dolara.

— W porządku, tylko szybko...

Minęła cała wieczność, nim wbiegł na schodki ciemnego, rachitycznego domku, nim wpadł we drzwi, omal nie przewracając olbrzymiej Murzynki przechodzącej akurat korytarzem ze świeczką w dłoni.

— Gdzie moja żona? — wrzasnął.

— Poszła spać.

Przeskakuje po trzy schody naraz, potem skrzypiące deski w korytarzu. W pokoju było ciemno i cicho; drżącymi palcami zapalił zapalniczkę. Z bezładnie porzuconej na łóżku sterty odzieży popatrzyło na niego dwoje szeroko otwartych oczu.

— Och, wiedziałam, że przyjdiesz — szepnęła żałośnie.

Anthony'emu zrobiło się zimno z gniewu.

— A więc to tak — powiedział. — Więc chodziło ci tylko o to, żeby mnie tu ściągnąć... żeby napytać mi biedy... Niech cię diabli, tym razem mam tego dość!

Patrzyła na niego błagalnie.

— Musiałam zobaczyć się z tobą. Nie przeżyłabym tego... nOch, tak chciałam zobaczyć się z tobą...

Usiadł na skraju łóżka i powoli pokręcił głową.

— Nie wolno tak — powiedział zdecydowanie, nieświadomie przemawiając tak, jak mówiłaby do niego Gloria. — Wiesz, to nie jest w porządku względem mnie.

— Przysuń się do mnie. — Cokolwiek by powiedział, Kropeczka nie posiadała się ze szczęścia. Troszczy się o nią. Udało się jej ściągnąć go do siebie.

— O Boże — powiedział bezradnie Anthony. Napłynęła wreszcie

nieunikniona fala znużenia, załala, zadusiła, zatopiła gniew. Ze słochem opadł na łóżko.

— Kochanie — prosiła. — Nie płacz! Proszę cię, nie płacz!

Przytuliła jego głowę do piersi, pocieszała go, mieszając własne łzy szczęścia z jego, pełnymi goryczy. Jej dłoń delikatnie bawiła się jego włosami.

— Jestem taka głupiutka — szeptała urywanie. — Ale tak cię kocham, a jak jesteś dla mnie taki chłodny, wydaje mi się, że w ogóle nie warto żyć.

A potem była cisza, cichy pokój, pachnący perfumami i pudrem, miękka dłoń Kropeczki, jak ciepły wiatr gładząca jego włosy, rytmiczne falowanie jej piersi — przez chwilę było tak, jakby była z nim Gloria, jakby spoczywał w słodszy, bezpieczniejszym domu niż te, których dotąd zaznał.

Minęła godzina; w korytarzu rozdzwonił się zegar. Anthony zerwał się na równe nogi i popatrzył na fosforyzujące wskazówki zegarka. Dwunasta.

Z trudem znalazł taksówkarza, który zgodził się zabrać go o tej porze do obozu. Popędzając go do szybszej jazdy zastanawiał się, jak najlepiej dostać się do namiotu. Spóźnił się już kilka razy; wiedział, że gdyby przyłapano go na tym jeszcze raz, zapewne zostałby skreślony z listy kandydatów na oficerów. Przez chwilę myślał, czyby nie odprawić teraz taksówki i, korzystając z ciemności, nie próbować wśliznąć się do obozu między wartownikami. Z drugiej strony po północy oficerowie często objeżdżali strażę...

— Stać! — Krótki okrzyk dobiegł z żółtej smugi, rzucanej przez reflektory taksówki na mieniącą się drogę. Taksówkarz zatrzymał wóz; pojawił się wartownik z karabinem. Pech chciał, że był z nim oficer warty.

— Co tak późno, sierżancie?

— Zatrzymano mnie, panie poruczniku.

— Trudno, muszę was spisać.

Gdy oficer czekał już z notesem i ołówkiem w dłoni, z ust Anthony'ego padło coś, co nie do końca zamierzał powiedzieć, coś zrodzone z paniki, zamętu, rozpaczy.

— Sierżant R. A. Foley — odpowiedział bez tchu.

— A wasza jednostka?

— Kompania Q, osiemdziesiąty trzeci pułk piechoty.

— W porządku. Ale stąd pójdziecie już piechotą.

Anthony zasalutował, pośpiesznie zapłacił kierowcy i ruszył biegiem w kierunku wymienionej przez siebie kompanii. Dopiero gdy znalazł się poza zasięgiem wzroku warty, zmienił kierunek i z bijącym sercem popędził do siebie, przekonany już, że oto popełnił fatalny w skutkach błąd.

Dwa dni później ten sam oficer rozpoznał go u fryzjera w miasteczku. Odprawiono go pod strażą do obozu, gdzie bez sądu zdegradowano go do szeregowego i na miesiąc zakazano przebywania poza obrębem własnej kompanii.

Cios ten wtrącił go w stan całkowitej depresji; już w tydzień później znów przyłapano go w miasteczku, gdzie włóczył się po pijanemu, z butelką czarnorynkowej whisky w kieszeni spodni. Tylko graniczącemu z obłędem zachowaniu podczas sądu zawdzięczał, że zamknięto go zaledwie na trzy tygodnie.

Koszmar

Na początku „odsiadki” zakorzeniło się w nim przekonanie, że ogarnia go szaleństwo. Wydawało mu się, że w jego umyśle żyje sobie mnóstwo mrocznych, choć wyraźnych osobowości — jedne znane, inne dziwne i okropne, wszystkie utrzymywane na wodzy przez maleńkiego nadzorcę, przyglądającego się im gdzieś z góry. Niepokoiło go to, że ów nadzorca jest chory, że z trudem trzyma się na nogach. Jeżeli podda się, jeżeli jego czujność osłabnie choćby na chwilę — tylko Anthony wiedział, jak straszliwa ogarnie go ciemność, jeśli to, co w nim najgorsze, zacznie bez przeszkód snuć się po jego świadomości.

Szalejący za dnia upał przekształcał się stopniowo, aż stał się błyszczącą ciemnością, przyniatającym ciężarem zalegającym nad nieznanym, spustoszonej krajem. Nad głową wirowały mu bez ustanku błękitne kręgi złowrogich, tajemniczych słońc, niezliczonych kół świetlnych, jakby leżał, wystawiony nieprzerwanie na gorące światło, w stanie gorączkowej śpiączki. O siódmej rano jakieś absurdalnie nierealne widmo, o którym wiedział, że jest jego własną, cielesną powłoką, wychodziło z siedmioma innymi więźniami i dwoma strażnikami do pracy na drogach wewnątrz obozu.

Jednego dnia załadowywali i wyładowywali całe taczki żwiru, rozrzucaли go i grabili, drugiego zalewali go beczkami rozpalonej do czerwoności smoły, tworzącej kruczoczarne kałuże płynnego żaru. W nocy, zamknięty w celi na wartowni, leżał bez myśli, bez sił, by zebrać myśli, wpatrując się w nierówne belki sufitu aż do trzeciej nad ranem; wtedy zapadał wreszcie w urywany, niespokojny sen.

Za dnia pracował w niespokojnym pośpiechu, w nadziei, że gdy ten przejdzie w parny, missisipiński zachód, on będzie tak zmęczony, że pozwoli mu to zapaść wieczorem w nareszcie głęboki sen... Potem, któregoś popołudnia w drugim tygodniu, wydało mu się, że gdzieś spoza pleców jednego z pilnujących go strażników wpatruje się w niego dwoje oczu. Ogarnęło go przerażenie. Odwrócił się do nich plecami i jeszcze gorliwiej wziął się do łopaty; przerwał dopiero, gdy musiał znowu przywieźć żwiru, a wtedy tamte oczy znów znalazły się w kręgu jego widzenia; jego nerwy, już i tak napięte, były teraz jak postronki. Oczy wpatrywały się w niego lubieżnie; z upalnej ciszy dobiegł go tragiczny głos, wołający jego imię; ziemia rozchwiała się w chaosie okrzyków i nawoływań.

Potem pamiętał dopiero, że znalazł się z powrotem w celi, i że inni więźniowie rzucali mu zaciekawione spojrzenia. Oczu już nie było. Minęło wiele dni, nim zrozumiał, że nawoływała go wtedy Kropeczka, że to ona była sprawczynią całego zamieszania. Uświadomił to sobie pod koniec wyroku, gdy uniosła się już z niego ta przytłaczająca chmura, pozostawiając go w stanie głębokiego, zobojętniałego letargu. Wraz z dochodzeniem do siebie nadzorcy, pilnującego tej przerażającej menażerii, Anthony stawał się coraz słabszy. Z trudem przetrwał ostatnie dwa dni harówki, a gdy wypuszczono go wreszcie pewnego deszczowego popołudnia, doszedł do namiotu i natychmiast zapadł w ciężką drzemkę; zbudził się przed świtem obolały i niewypoczęty. Przy pryczy leżały dwa listy; musiały czekać na niego już od jakiegoś czasu. Pierwszy, krótki i oschły, był od Glorii:

Sprawa wejdzie na wokandę pod koniec listopada. Czy udałoby ci się dostać przepustkę? Ciągle usiłuję pisać do ciebie, ale to tylko pogarsza sprawę. Muszę zobaczyć się z tobą w kilku sprawach, ale, jak sam wiesz, już raz nie pozwoliłeś mi przyjechać,

więc teraz nie mam ochoty jeszcze raz narażać się na odmowę. Jest jednak tyle spraw do omówienia, że musimy koniecznie się spotkać. Bardzo cieszę się z twojego awansu.

Gloria

Był zbyt zmęczony, by zrozumieć, o co chodzi — i by się tym przejąć. Użyte przez nią zwroty, jej intencje, należały do jakiejś odległej, niezrozumiałej przeszłości. Na drugi list ledwo spojrzął; był od Kropeczki — bezładny, skropiony łzami, stek tłumaczeń, czułości i żalów. Przebiegł wzrokiem stronę; potem wypuścił kartkę z bezwładnej dłoni i na nowo zapadł w chmurne wnętrze własnego ducha. Na pobudkę zbudził się już z wysoką gorączką, zemdłał, gdy próbował wyjść z namiotu — w południe odesłano go do izby chorych z ciężką gripą.

Wiedział, że choroba była dla niego wręcz darem niebios — ocalała go przed kolejnym napadem hysterii. Wyzdrowiał na czas, by pewnego deszczowego, listopadowego dnia wyruszyć ze swoją kompanią do Nowego Jorku; stamtąd mieli zostać wywiezieni naciągającą się w nieskończoność rzeź.

Gdy jednostka znalazła się w Camp Millis, na Long Island, jedynym pragnieniem Anthony'ego było jak najszybciej dostać się do miasta i zobaczyć z Glorią. Było już powszechnie wiadome, że zawieszenie broni zostanie podpisane w ciągu najbliższego tygodnia, ale krążyły uporzycywe plotki, że do ostatniej chwili wojska i tak będą nadal wysyłane do Francji. Anthony'ego przerażała wizja długiego rejsu, męczącego zejścia na ląd w jakimś francuskim porcie i, być może, spędzenia całego roku za granicą, gdyby musieli zmienić tam oddziały, które zdążyły jeszcze zaznać prawdziwej wojny.

Zamierzał wystarać się o dwudniowy urlop, ale obóz objęty był ścisłą kwarantanną z powodu epidemii grypy — nawet oficerowie mogli wychodzić tylko w sprawach służbowych; szeregowy nie mógł nawet o tym marzyć.

Sam obóz był smętny, błotnisty, smagany wichrem i obrzydliwie brudny brudem gromadzonym przez wiele stacjonujących tu dywizji. Pociąg, którym jechał oddział Anthony'ego, przyjechał

o siódmej wieczór; wszyscy musieli stać w szeregach, póki nie wyjaśniono mnóstwa zwykłych wojskowych nieporozumień. Wzdłuż szeregów biegali bez przerwy tam i z powrotem oficerowie, wykrzykując rozkazy i jeszcze powiększając ogólny harmider. Okazało się wreszcie, że wszystkiemu winien jest ich pułkownik, jako absolwent West Point pełen w tych dniach słusznego gniewu — oto wojna kończyła się akurat wtedy, gdy miał jej już posmakować! Gdyby rządy walczących państw zdawały sobie sprawę, ile serc starych weteranów z West Point krwawiło z żalu owego tygodnia, na pewno przedłużyłyby krwawą łaźnię o jeszcze jeden miesiąc. Jaka szkoda!

Spoglądając na bezkształtną masę namiotów, ciągnących się całymi milami na zdeptanym, topniejącym śniegu, Anthony postanowił oszczędzić sobie wędrówki w poszukiwaniu telefonu. Zatelefonuje do niej następnego dnia rano, przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Wyrwany ze snu bladym, przenikliwie chłodnym świtem stał na apelu porannym i słuchał wygłaszanej z pasją mowy kapitana Dunninga.

— Żołnierze, myślicie pewnie, że wojna się skończyła. No więc muszę wam powiedzieć, że wcale nie! Ci dranie na pewno nie podpiszą zawieszenia broni. To tylko ich kolejna sztuczka, a my bylibyśmy głupi, by z tego powodu pofolgować sobie tu, w naszej kompanii, bo, muszę wam powiedzieć, za tydzień stąd wypłyniemy i jeszcze sobie powalczymy. — Przerwał na chwilę, by do wszystkich dotarło w pełni znaczenie jego słów. Potem: — A jeśli komuś wyda się, że wojna już się skończyła, to niech pogada sobie z kimś, kto tam był, niech zapyta, czy według niego Niemcy mają dość. Wcale nie mają dość! Rozmawiałem z ludźmi, którzy się na tym znają i wszyscy oni mówią, że wojna pociągnie się jeszcze przez rok. Oni wiedzą, że ona jeszcze się nie skończyła. Żołnierze, żebyście przypadkiem nie ubzdurali sobie, że już jest po wszystkim.

Powtórzywszy to ostatnie ostrzeżenie nakazał wszystkim rozejść się.

W południe Anthony pobiegł do najbliższego telefonu. Zbliżając się do tego, co stanowiło centrum obozu, zauważył, że wokół biega wielu innych żołnierzy, a że ktoś tuż obok niego wyskoczył nagle w powietrze i piętami wyciął hołubca. Nagle wydało się, że wszyscy

biegają tam i z powrotem; żołnierze skupili się w małe, podniecone grupki i głośno wíwatowali. Zatrzymał się i wśluchał: nad zimną ziemią słychać było gwizdy; nagle dzwony kościołów Garden City rozległy się zwielokrotnionym przez echo głosem.

Anthony znów ruszył biegiem. Teraz okrzyki, wyraźne już i czyste, wznosiły się kłębamí zamarzniętych oddechów w mroźne powietrze:

„Niemcy poddali się! Niemcy poddali się!”

Pozorne zawieszenie broni

Jeszcze tego samego wieczoru, w nieprzejrzystym mroku godziny szóstej, Anthony wślizgnął się pomiędzy dwa wagony towarowe i przebywszy szczęśliwie tory kolejowe poszedł wzdłuż nich do Garden City, skąd pojechał kolejką elektryczną do Nowego Jorku. Istniało pewne ryzyko zatrzymania go przez żandarmów — wiedział, że często chodzą po wagonach i sprawdzają przepustki — ale miał nadzieję, że tego wieczoru nie będą tak skrupulatni. Zresztą nie miał wyjścia — telefonicznie nigdzie Glorii nie znalazł, a nie wytrzymałby jeszcze jednego dnia tego napięcia.

Pociąg to stawał, to ruszał bez widocznych powodów, co przypominało Anthony'emu noc sprzed roku, kiedy opuszczał Nowy Jork; wreszcie, na Pennsylvania Station, Anthony poszedł znaną już drogą do postoju taksówek; podając kierowcy własny adres czuł się dziwnie, groteskowo podniecony.

Broadway był jednym wielkim kłębowiskiem świateł, zapchany jak nigdy przedtem świętującym tłumem, brodzącym po kostki w zalegających chodniki konfetti. Tu i tam z zaimprovizowanych ze skrzyń i ławek trybun jacyś żołnierze przemawiali do całkowicie ignorującego ich tłumu, w którym każda twarz odcinała się od innych jasno i wyraziście w panującej wokół jasności. Anthony rozróżnił kilka postaci: pijany marynarz, przechylony do tyłu, prowadzony przez dwóch innych wilków morskich, wymachiwał czapką i wydawał z siebie dzikie okrzyki; rozwrzeszczani cywile nieśli na ramionach rannego żołnierza z kulą; ciemnowłosa dziewczyna siedziała po turecku, w zamyśleniu, na dachu zaparkowanej przy

chodniku taksówki. Tutaj zwycięstwo nadeszło wtedy, gdy było najbardziej potrzebne; opatrzność niebieska nie omyliła się nawet o minutę. Wielki, bogaty kraj toczył triumfalną wojnę, cierpiał akurat tyle, by czuć się wielkim, ale nie tyle, by ulec rozpaczy — i stąd to święto, ta radość, ten triumf. W jasnym świetle iluminacji lśniły twarze ludów, które dawno odeszły w przeszłość, których cywilizacje dawno już upadły — ludzi, których przodkowie słuchali wieści o zwycięstwie w Babilonie, Niniwie, Bagdadzie, Tyrze, o sto pokoleń wcześniej; ludzi, których przodkowie przypatrywali się ukwieconym i zdobnym niewolnikom pochodom w cesarskim Rzymie, za którymi ciągnął się sznur brańców...

...wzdłuż Rialto, lśniącego frontonu hotelu „Astor”, iskrzącego się niczym diamentami przepychu Times Square... wspaniała ulicą świateł, wprost przed siebie... A potem — jakby całe lata później — płacił kierowcy przed białym domem na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Już hall — aha, to ten Murzyn z Martyniki, tak samo leniwy i nieruchawy, jak dawniej.

— Czy zastałem żonę?

— Dopiero co przyszedłem, psze pana — oznajmił windziarz tym zupełnie doń nie pasującym, brytyjskim akcentem.

— Na górę...

I jeszcze powolny szmer windy, i trzy kroki do drzwi, które otwarły się pod stukającą do nich dłonią...

— Glorio! — Głos mu drżał. Cisza. Z popielniczki unosiła się delikatna smużka dymu... Na stole leżał rozpostarty numer „Vanity Fair”...

— Glorio!

Wbiegł do sypialni, potem do łazienki. Nie było jej. Na łóżku rozłożona była bładoniebieska halka, pachniała ulotną, znajomą wonią perfum. Na krześle para pończoch i sukienka; na biurku rozdziawiała się otwarta puderniczka. Musiała co dopiero wyjść.

Nagle zadzwonił telefon. Anthony wzdygnął się — podnosząc słuchawkę miał wrażenie, że podszywa się pod kogoś.

— Halo! Czy zastałem panią Patch?

— Nie, sam jej szukam. Z kim rozmawiam?

— Tu Crawford.

— Tu Patch. Właśnie wróciłem, dość niespodziewanie, i nie wiem, gdzie ją znaleźć.

— Aha — Crawford sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego. — Jak to, powinna być na balu z okazji zawieszenia broni. Wiem, że się wybierała, ale nie przypuszczałem, że wyjdzie tak wcześnie.

— A gdzie jest ten bal?

— W „Astorze”.

— Dziękuję.

Anthony gwałtownie odłożył słuchawkę. Co to za jeden, ten Crawford? Z kim poszła na bal? Czy to już trwa od dawna? Dziesiątki razy zadawał sobie te pytania i na dziesiątki sposobów sam na nie odpowiadał; jej bliskość doprowadzała go do obłądu.

W szale podejrzenia biegał po mieszkaniu, wszędzie szukając śladów mężczyzny, otwierał szafkę w łazience, gorączkowo przeszukiwał szuflady biurka. Wreszcie znalazł coś, co sprawiło, że zatrzymał się nagle i usiadł na jednym z łóżek w sypialni; kąciki ust opadły mu jak do płaczu: oto w rogu jej szafki, przewiązane cienką, błękitną wstążką, leżały wszystkie listy i telegramy, które wysłał jej tego roku. Zalała go fala szczęśliwego, sentymentalnego wstydu.

— Nie jestem godny jej dotknąć — zawołał głośno ku czterem ścianom. — Nie jestem godny dotknąć jej dłoni,

Mimo to wyruszył na poszukiwania.

W „Astorze” znalazł się natychmiast w tak gęstym tłumie, że z trudem posuwał się naprzód. Pytał o salę balową kilku osób, nim otrzymał trzeźwą, wyraźną odpowiedź. Wreszcie, po długim oczekiwaniu, udało mu się oddać do szatni wojskowy płaszcz.

Była dopiero dziewiąta, ale bawiono się już na całego. Widok był zadziwiający. Kobiety, wszędzie kobiety — dziewczęta, pijane na wesoło, swym piskliwym śpiewem usiłujące przekrzyczeć szum wspaniałego, zasypanego śniegiem konfetti tłumu; dziewczęta w mundurach kilkunastu państw; grube kobiety padające bez krztyny godności na parkiet, usiłujące zachować jej resztki krzycząc „Niech żyją Alianci!”; trzy siwowłose damy tańczące w kółeczko wokół marynarza, wirującego w miejscu aż do zawrotu głowy, przyciskającego do serca pustą butelkę po szampanie.

Anthony z zapartym tchem patrzył na tancerzy, przyglądał się badawczo twarzom, przesuwającym się gęsiego wśród stolików, przyglądał się każdej z dmących w trąbki, całujących się, kaszlących, śmiejących się, wznoszących toasty grupek pod wielkimi, rozkwitłymi pękami flag, pochylających się swymi lśnącymi barwami nad tym tłumem i tym zgiełkiem.

I wtedy zobaczył ją. Siedziała przy dwuosobowym stoliku po drugiej stronie sali. Czarna suknia, nad nią jej żywa twarz, najcudowniejszej różowa, tworzyła na tej sali, wydało mu się, plamkę czystego piękna. Serce skoczyło mu w piersi jak do nowego tańca; przepchnął się ku niej przez tłum i w chwili, gdy zawołał jej imię, szare oczy spojrzały w górę i odnalazły go. W tej chwili, gdy ciała ich spotkały się i zlały w jedno, cały świat, cały bal, cały głuchy jęk muzyki ścichł do pełnego rozkoszy szmeru nie głośniejszego od piosenki pszczoł.

— Och, Glorio! — zawołał.

Jej pocałunek był jak chłodny strumyk, płynący wprost z serca.

2. Sprawa estetyki

Tego samego wieczora, gdy przed rokiem Anthony wyjechał do Camp Hooker, to, co pozostało z pięknej Glorii Gilbert — jej zewnętrzna powłoka, jej młode, piękne ciało — ruszyło szerokimi, marmurowymi schodami Grand Central Station w rytm lokomotywy, huczącej w jej uszach niczym sen, wydostało się z dworca na Vanderbilt Avenue, gdzie rozpościerała się nad ulicą wielka bryła hotelu „Biltmore”, gdzieś na samym dole, przy wejściu, wsysając do swego wnętrza wielobarwne pelerynki cudownie strojnych dziewcząt. Przystanęła na chwilę przy postoju taksówek i patrzyła na nie, rozmyślając, że zaledwie kilka lat temu była jedną z nich, wiecznie wyruszających do jakiegoś promiennego Gdzieś, wiecznie gotowych na tę najważniejszą, najnamiętniejszą przygodę, dla której to ich pelerynki były tak delikatne i tak ślicznie obszywane futrem, policzki umalowane, a serca krążące wyżej niż szczyt pałacu rozkoszy, który miał wchłonąć je za chwilę doszczętnie, wraz z ich fryzurami, strojami, ze wszystkim.

Pochłodziła; mężczyźni podnosili kołnierze płaszczy. Ta zmiana była dla niej dobra; byłaby jeszcze lepsza, gdyby wszystko mogło się zmienić: pogoda, ulice i ludzie, gdyby mogła ulecieć stąd i obudzić się w jakiejś przestronnej, świeżo pachnącej sypialni, zupełnie sama, posągowa w duszy i na ciele, jak w swej dziewiczej, barwnej przeszłości.

W taksówce rozplakała się bezsilnymi łzami. Nie liczyło się już, że przez ostatni rok nie była z Anthonym szczęśliwa. Ostatnio jego obecność miała dla niej tylko takie znaczenie, że budziła w niej

wspomnienia owego pamiętnego czerwca. Anthony, taki jakim był teraz — rozdrażniony, słaby i biedny — działał na nią tylko tak, że i ona była rozdrażniona, rozdrażniona i znudzona wszystkim prócz świadomości, że w swej jakże pomysłowej i wymownej młodości połączyła ich rozkoszna orgia uczucia. Właśnie dla tego wspomnienia, żywego u obojga, uczyniłaby dla Anthony'ego więcej niż dla jakiegokolwiek innej istoty ludzkiej — i dlatego, wsiadłszy do taksówki, płakała tak rzewnie, dlatego z trudem powstrzymywała się, by głośno nie przyzywać jego imienia.

Żałosna i samotna jak zapomniane dziecko, zasiadła w domu za biurkiem i napisała list pełen pomieszanych uczuć:

...Prawie widzę tory, prawie widzę, jak jedziesz nimi, ale bez ciebie, najmilszy, najmilszy, nic nie widzę, nie słyszę, nie czuję, nie myślę. Rozłąka, Anthony — cokolwiek stało się z nami i cokolwiek jeszcze się stanie — to jak błagać o litość burzę, to jak starość. Tak pragnę cię całować — w kark, tam, gdzie zaczynają się twoje czarne włosy. Dlatego, że cię kocham; a cokolwiek robimy lub mówimy sobie nawzajem, albo kiedyś zrobiliśmy i mówiliśmy, czujesz chyba, jak bardzo cię kocham, jaka jestem bez życia, gdy cię nie ma. Nie umiem nawet nienawidzić obmierzłej obecności LUDZI, tych ludzi na dworcu, którzy nie mają prawa żyć — nawet im nie mogę mieć tego za złe, choć paskudzą nasz świat, tak bardzo cię pragnę.

Nawet gdybyś mnie nienawidził, nawet jeśli byłbyś pokryty ranami, jak trędowaty, nawet gdybyś uciekł z inną, głodził mnie, bił — jak absurdalnie to wszystko brzmi — i tak bym cię kochała, i tak bym cię kochała. WIEM to, kochanie.

Jest już późno — otwarłam wszystkie okna, powietrze na zewnątrz jest łagodne jak wiosną, a przy tym jakby młodsze i delikatniejsze niż na wiosnę. Dlaczego zawsze przedstawia się wiosną jako młodą dziewczynę, dlaczego przez całe trzy miesiące to złudzenie płąsa i wyśpiewuje, jak mu się tylko podoba, w wołającej o pomstę do nieba jałowości świata? Wiosna to wychudzona, stara szkapka, na której można policzyć żebra — to sterta gnoju na polu, złowrogo wypolerowanego przez słońce i deszcz.

Za kilka godzin obudzisz się, moje kochanie — i będzie ci źle, i będziesz miał dość życia. Będziesz w Delaware, w Karolinie czy jeszcze gdzie indziej, i tak mah będziesz znaczył. Me wierzę, że ktokolwiek na świecie potrafi przyznać się, że jest czymś nietrwałym, zbytkiem, niekoniecznym złem. Bardzo niewielu spośród ludzi, którzy mówią o bezsensie życia, potrafi powiedzieć głośno o bezsensie tego, że sami istnieją. Może myślą, że głosząc zło życia w jakiś sposób ratują z tej ruiny coś własnego — ale nikomu to się nie uda, nawet nam...

...Ciągle mam cię przed oczyma. Nad drzewami, które mijasz, unosi się błękitna mgielka, zbyt piękna, by zasłonić niebo. Nie, najczęściej napotkasz leżące odlogiem kwadraty ziemi — będą słać się wzdłuż torów jak schnące na słońcu brudne, szorstkie, brązowe prześcieradła, żywe, mechaniczne, obrzydliwe. Natura, ta niechlujna, stara baba, spała na nich z każdym chłopem, Murzynem i przybłądą, który tylko tego chciał...

Widzisz teraz, że gdy odjechałeś, splodziłam list pełen pogardy i rozpaczy. A to, Anthony, oznacza po prostu, że cię kocham, kocham cię wszystkim, czym może jeszcze kochać cię twoja

Gloria

Zaadresowawszy list podeszła do łóżka i położyła się na nim, obejmując ramionami poduszkę Anthony'ego, jakby chciała samą siłą uczucia przemienić ją w jego ciepłe, żywe ciało. Jeszcze o drugiej w nocy leżała tam, nie uroniwszy jednej łzy, wpatrzona w ciemność z nie gasnącym, nieubłaganym smutkiem, wspominając, bezlitośnie wspominając, winiąc siebie za setki urojonych przykrości, czyniąc z Anthony'ego umęczonego, przeistoczonego Chrystusa. Przez chwilę myślała o nim dokładnie tak, jak on sam w chwilach, gdy szczególnie roztkliwiał się nad sobą.

Jeszcze o piątej nie spała. Wiedziała, która godzina, bo oznajmił jej to tajemniczy, zgrzytliwy halas, który rozlegał się co rano w okolicy. Potem usłyszała dzwonek budzika i zobaczyła kwadratową, żółtą plamę światła na wyimaginowanej, pustej ścianie po drugiej stronie ulicy. Gdy podjęła mglistą decyzję, by natychmiast jechać

do niego na Południe, jej smutek stał się bardziej odległy, mniej rzeczywisty, zaczął oddalać się od niej, jak ciemność oddala się na zachód — usnęła.

Gdy obudziła się, widok pustego łóżka obok odnowił w niej żal, który jednak wkrótce uciekł przed nieczułym, jasnym porankiem. Choć jeszcze nie uświadomiła sobie tego, znacznie łatwiej jadło się śniadanie bez zmęczonej, zmartwionej twarzy Anthony'ego z drugiej strony stołu. Będąc sama, straciła chęć do narzekania na jedzenie. Pomyślała, że na śniadanie może teraz jadać, co chce — napić się lemoniady, zjeść kanapkę z pomidorem zamiast wiecznego jaja na bekonie i grzanek.

Mimo to w południe, gdy zatelefonowała do kilku koleżanek, w tym również do bojowej Muriel, i dowiedziała się, że wszystkie są już umówione na lunch, oddała się milczącemu żalowi nad sobą i swą samotnością. Zwinięta w kłębek na łóżku ułożyła następny list do Anthony'ego.

Pod wieczór nadszedł list polecony, wysłany z jakiejś miejsciny w New Jersey, a zawarte w nim dobrze znane zwroty, słyszalna niemal obawa i niezadowolenie, były jej tak dobrze znane, że pocieszyły ją nieco. Kto wie? Może wojskowa dyscyplina zahartuje Anthony'ego, może oswoi go z myślą o pracy, Gloria wierzyła święcie, że wojna skończy się, zanim Anthony zdąży jej zaznać, a tymczasem wygrają proces i będą mogli zacząć od nowa, tym razem na innych zasadach. Inne będzie przede wszystkim to, że urodzi dziecko; już teraz samotność była wprost nie do zniesienia.

Minął tydzień, nim potrafiła spędzić dzień w mieszkaniu nie uroniwszy ani jednej łzy. Nic, co oferowało miasto, nie cieszyło jej teraz. Muriel przeniesiono do szpitala gdzieś w New Jersey, z którego przyjeżdżała do Nowego Jorku nie częściej niż co dwa tygodnie; opuszczona w ten sposób Gloria uświadomiła sobie, jak niewielu przyjaciół dały jej wszystkie lata spędzone w Nowym Jorku. Znani jej mężczyźni byli w wojsku. „Znani jej mężczyźni?” — zawsze wydawało się jej, że przyjacielem może nazwać każdego, kto kiedyś kochał się w niej. Każdy z nich twierdził przecież kiedyś, że za jej względy oddałby życie, ale gdzie są oni teraz? Przynajmniej dwóch nie żyło, kilku pożeniło się, reszta rozsiana od Francji po Filipiny. Zastanawiała się, czy którykolwiek z nich myśli o niej czasem, i jak często, i jak. Dla większości z nich musiała być

przecież wciąż tą samą, siedemnastoletnią, dojrzewającą dopiero nimfą sprzed dziewięciu lat.

Dziewczęta również rozjechały się po świecie. W szkole nigdy nie cieszyła się szczególną sympatią swej płci — była na to zbyt piękna, zbyt leniwa, nie dość świadoma zaszczytu uczęszczania do najlepszej szkoły żeńskiej, nie dość świadoma, że jest chowana na Przyszłą Żonę i Matkę, wiecznie pisaną wielkimi literami. Przy tym dziewczęta, które nigdy nie całowały się z chłopcami, czyniły delikatne aluzje z wyrazem oburzenia na swych prostych, choć nie-szczególnie czystych buziach, że Gloria owszem. Potem dziewczęta te powędrowały na wschód, zachód czy południe, wyszły za mąż i zostały „kims”, przepowiadając, jeśli akurat przepowiadały przyszłość Glorii, że źle skończy — nie wiedziały, że nie ma złych końców, że i one, podobnie jak Gloria, nie są bynajmniej paniami własnego losu.

Gloria wyliczała sobie wszystkich, którzy odwiedzali ich w Marietcie. Wtedy wydawało się, że ciągle mają gości — chętnie myślała wówczas, że odtąd wszyscy ci ludzie mają względem niej jakiś dług wdzięczności; że każde z nich jest jej winne moralne dziesięć dolarów, więc kiedy ona znajdzie się w potrzebie, będzie mogła liczyć na ich wymyśloną gotówkę. Ale oni rozplynęli się, rozwiali jak dym, tajemniczo, subtelnie zniknęli, niektórzy tylko z jej życia, inni — całkiem.

Około Bożego Narodzenia Glorię ponownie ogarnęło przekonanie, że musi jechać do Anthony'ego — tym razem nie było to przeletne uczucie, lecz ciągła potrzeba. Już miała zawiadomić go, że przyjeżdża, ale postanowiła poczekać jeszcze trochę, a to za radą mecenasa Haighta, który niemal co tydzień spodziewał się wejścia ich sprawy na wokandę.

Pewnego dnia na początku stycznia, idąc Piątą Aleją, rozjaśnioną teraz mundurami i obwieszoną flagami dobrych państw, spotkała Rachael Barnes, której nie widziała od prawie roku. A że nawet Rachael, za którą ostatnio nie przepadała, była jakimś ratunkiem przed nudą, poszły obie na podwieczorek do hotelu „Ritz”.

Po drugim koktajlu opanował je entuzjazm. Lubiły się. Opowiadały sobie o swych mężach; Rachael przemawiała tonem tak ulubionym przez żony, dającym do zrozumienia, że publicznie musi

szczyć się swym mężem, ale ma swoje prywatne zastrzeżenia.

— Rodman jest już we Francji, w kwaterymistrzostwie. Koniecznie chciał iść na wojnę, a obawiał się, że gdzie indziej go nie przyjmą.

— Anthony jest w piechocie. — Słowa te, w połączeniu z koktajlem, przydawały Glorii pewnego blasku. Każdy łyk przybliżał ją do ciepłego, pocieszającego patriotyzmu.

— A tak przy okazji — powiedziała pół godziny później Rachael, gdy już wychodziły. — Nie przyszlabyś jutro wieczór do mnie na kolację? Zaprosiłam dwóch przesłodkich oficerków, którzy zaraz potem płyną do Europy. Chyba powinnyśmy im to jak najbardziej umilić, prawda?

Gloria zgodziła się chętnie. Zapisała adres — poznała po numerze, że to modny budynek mieszkalny na Park Avenue.

— Jak miło było cię znowu zobaczyć, Rachael.

— Było cudownie. Od dawna o tym marzyłam.

Tymi trzema zdaniem zatarły pamięć o pewnym wieczorze sprzed dwóch lat w Marietcie, gdy Anthony i Rachael byli sobą nieco zbyt zajęci — Gloria przebaczyła Rachael, Rachael przebaczyła Glorii. Gloria przebaczyła też przyjaciółce, że była świadkiem największej katastrofy w życiu państwa Patchów...

Czas płynie, na każdym kroku zawierając nowe kompromisy z tym, co było kiedyś.

Szelmostwa kapitana Collinsa

Dwaj oficerowie okazali się kapitanami tej powszechnie lubianej broni, jaką są karabiny maszynowe. Przy kolacji z wyszukaniem znużeniem nazywali samych siebie członkami „Klubu Samobójców” — w tamtych dniach każda z mniej znanych branż wojska mówiła o sobie w ten sposób. Jeden z kapitanów — ten należący do Rachael, jak zauważyła Gloria — był wysokim, trzydziestoletnim koniarzem o miłym wąsie i brzydkich zębach. Drugi, kapitan Collins, był puciołowaty, różowiutki; za każdym razem, gdy widział, że Gloria na niego patrzy, śmiał się do rozpuku. Wyraźnie spodobała mu się od pierwszego wejrzenia; przy kolacji obsypywał ją deszczem komplementów. Po drugim

kieliszku szampana Gloria uznała, że po raz pierwszy od wielu miesięcy bawi się naprawdę znakomicie.

Po kolacji padła propozycja, by poszli w czwórkę gdzieś potańczyć. Obaj oficerowie zaopatrzyli się w zapas alkoholu z barku Rachael — sprzedaż trunków wojskowym była; zakazana — i tak wyposażeni odbyli nieskończoną liczbę fokstrotów w kilku lśniących przybytkach tańca na Broadwayu, sprawiedliwie zmieniając partnerów — Gloria śmiała się coraz głośniejsze i coraz bardziej bawiła różowego kapitana, z którego twarzy nawet na chwilę nie zniknął już dobroduszny uśmiešek.

O jedenastej ze zdziwieniem przekonała się, że jest jedyną osobą z całego towarzystwa, która chce jeszcze zostać na dancingu. Reszta upierała się, by wrócić do mieszkania Rachael — jak mówili, po alkohol. Gloria nie dawała się przekonać; twierdziła, że butelka kapitana Collinsa jest wypita dopiero do połowy — widziała ją przed chwilą. Spostrzegła jednak porozumiewawcze mrugnięcie Rachael; myśląc niejasno, że przyjaciółka chce w ten sposób pozbyć się oficerów, zgodziła się wsiąść z pozostałą trójką do taksówki.

Kapitan Wolf siedział po lewej stronie samochodu, trzymając Rachael na kolanach. Środkowe miejsce zajął kapitan Collins; gdy sadowił się wygodnie, jego ręka powędrowała za ramię Glorii, spoczęła tam przez chwilę bezwładnie, a potem zacisnęła się jak imadło. Pochylił się nad nią.

— Jest pani szalenie ładna — szepnął.

— Jaki pan dobry. — Nie była ani zadowolona z komplementu, ani urażona. Przed Anthonym robiło to samo tyle rąk, że był to dla niej jedynie prosty, sentymentalny, lecz pozbawiony znaczenia gest.

Na górze, w długim salonie Rachael, jedynymi źródłami światła były mały ogieniek w kominku i dwie lampki osłonięte abażurami z pomarańczowego jedwabiu — rogi pokoju tonęły w głębokim, rozspanym cieniu. Gospodyni, poruszając się po pokoju w ciemnej luźnej sukni z luźnego szyfonu, potęgowała jeszcze mocno zmysłową atmosferę. Przez chwilę siedzieli wszyscy razem, kosztując kanapki, przygotowane na stoliku do herbaty, a potem Gloria znalazła się sam na sam z kapitanem Collinsem na kanapie przy kominku; Rachael była z drugim oficerem po drugiej stronie pokoju, skąd dochodziły ich przyciszone głosy.

— Jaka szkoda, że jest pani mężatką — odezwał się Collins. Jego twarz dość niezdarnie usiłowała przybrać wyraz „z całą powagą”.

— Dlaczego? — uniosła swą szklanke, by przyjąć w nią kolejną whisky z wodą sodową.

— Proszę już nie pić. — Zmarszczył brwi.

— Dlaczego?

— Będzie pani jeszcze miłsza.

Gloria zrozumiała nagle, o co chodzi w tej uwadze, jaki nastrój stara się wytworzyć. Zachciało jej się śmiać — ale wiedziała, że nie ma z czego. Spędziła miły wieczór, nie miała najmniejszej ochoty wracać do domu — a równocześnie duma jej cierpiała z powodu tak banalnego flirtu.

— Niech mi pan jeszcze doleje — nalegała.

— Proszę już nie...

— Niechże się pan nie wygłupia! — zawołała z rozdrażnieniem.

— Doskonale. — Ustąpił, choć niechętnie.

A potem jego ręka znów znalazła się wokół jej ramion, i znów nie protestowała, ale gdy różowy policzek znalazł się tuż przy jej twarzy, odchyliła się od niego.

— Jaka pani słodka — powiedział machinalnie.

Zaczęła nucić pod nosem; miała nadzieję, że cofnie rękę. Nagle wzrok jej padł na intymną scenę na drugim końcu pokoju — Rachael i kapitan Wolf pogrążeni byli w długim pocałunku. Gloria zazdrzała lekko — sama nie wiedziała, dlaczego... Różowa twarz przysunęła się znowu.

— Nie powinna pani na nich patrzeć — szepnął. Niemal równocześnie objął ją też drugą ręką., na policzku czuła jego oddech. Znowu poczucie absurdalności tego wszystkiego przezwyciężyło odrazę; jej śmiech był bronią której nie trzeba było wyostrzyć słowami.

— A ja myślałem, że pani jest fajna.

— A co pan rozumie przez „fajna”?

— No, ktoś, kto lubi... lubi się zabawić.

— A czy całować się z panem to takie zabawne?

Przerwała, bo stanęli nad nimi Rachael i kapitan Wolf.

— Zrobiło się późno, Glorio — powiedziała Rachael; miała wypieki na twarzy i rozburzoną fryzurę. — Najlepiej będzie, jeśli zostaniesz u mnie na noc.

Przez chwilę Gloria myślała, że przyjaciółka daje w ten sposób do zrozumienia obu oficerom, że powinni już sobie pójść. Potem zrozumiała, o co chodzi, a zrozumiawszy to wstała, starając się, by wyglądało to jak najbardziej naturalnie.

Rachael dodała z lekkim niedowierzaniem:

— Możesz spać w sąsiednim pokoju. Pożyczę ci, co tylko będziesz potrzebować.

Oczy Collinsa patrzyły na nią błagalnie, psio; kapitan Wolf obejmował poufale kibić Rachael; czekali.

Ale pokusa rozwiązłości, barwna, obca, pokrętna, nawet nieco woniejąca, zatęchła, bynajmniej Glorii nie pociągała. Gdyby miała na to ochotę, zostałaby bez chwili wahania, bez najmniejszych wyrzutów sumienia; dlatego też mogła z całym spokojem stawić czoło trzem parom wrogich, urażonych oczu, które odprowadziły ją przez hall wśród wymuszonych grzeczności i pustych słów.

On nie był nawet na tyle „fajny”, by nalegać, że mnie odwiedzie do domu — pomyślała w taksówce. I z wzbierającą nagle urazą: — Jakie to prostackie!

Rycerskość

W lutym przytrafiło się jej coś zupełnie innego. Do Nowego Jorku przyjechał ze swym korpusem lotnictwa Tudor Baird, jej dawna miłość, młody człowiek, którego kiedyś zupełnie na serio zamierzała poślubić. Złożył jej wizytę. Byli potem kilka razy w teatrze i, ku wielkiej radości Glorii, nie minął tydzień, a Tudor znów kochał się w niej jak dawniej. Sprowokowała to całkowicie świadomie; że zrobiła źle, zorientowała się za późno. Doszło już do tego, że gdy wychodzili gdzieś razem, cały czas siedział pogrążony w żalonym milczeniu.

Będąc w Yale członkiem najlepszych bractw studenckich, posiadał odpowiednią powściągliwość „porządnego faceta”, odpowiednio wpojona rycerskość i poczucie *noblesse oblige* — oraz, oczywiście i niestety, odpowiednie uprzedzenia i ogólnie przyjętą bezideowość — a więc cechy, którymi pogardzać zawsze uczył ją Anthony, a które, mimo to, wciąż w jakiś sposób podziwiała. Jednak w odróżnieniu od innych ludzi tego pokroju, nie nudził jej;

był przystojny, subtelnie dowcipny; w jego towarzystwie czuła, że z powodu posiadanej przezeń szczególnej cechy — głupoty, wierności, czułości, a może czegoś mniej od tych trzech wyrazistego — zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by sprawić jej przyjemność.

Powiedział jej to i wiele innych rzeczy, oczywiście z wielkim szacunkiem i szalenie po męsku, co miało skrywać prawdziwe cierpienie. Nie kochając go ani trochę, litowała się jednak nad nim i któregoś wieczoru pocałowała się z nim z czystego sentymentalizmu, właśnie za to, że był taki grzeczny, że był reliktem ginącego pokolenia, żyjącego pruderyjnymi a wdzięcznymi złudzeniami, ustępującego miejsca mniej rycerskim głupcom. Potem cieszyła się z tego pocałunku, bo następnego dnia, gdy jego samolot spadł na ziemię z wysokości tysiąca pięciuset stóp w Mineola, rozerwany fragment silnika wbił mu się prosto w serce.

Samotność Glorii

Gdy mecenas Haight oświadczył, że do rozprawy dojdzie najwcześniej jesienią, Gloria postanowiła dostać się do filmu bez wiedzy męża. Gdy zobaczy, jak świetnie jej poszło, tak z aktorskiego, jak i finansowego punktu widzenia, gdy przekona się, że może Bleockmanowi narzucić swą wolę, nie dając nic w zamian, na pewno Anthony wyzbędzie się tych głupich uprzedzeń. Pół nocy nie spała, planując w szczegółach swą karierę, ciesząc się na zapas swymi sukcesami, i następnego ranka zatelefonowała do „Films Par Excellence”. Pan Bleockman był w Europie.

Tym razem jednak myśl ta opanowała ją do tego stopnia, że postanowiła obejść wszystkie agencje zatrudniające aktorów do filmu. Jak często dotąd bywało, jej dobrym chęciom działał na przekór zmysł powonienia. Już u pierwszego agenta śmierdziało tak, jakby nie żył od dłuższego czasu. Przyglądając się swym nieprzyjacielskim rywalkom wytrzymała całe pięć minut — po czym wyszła stamtąd zdecydowanym krokiem w najgłębsze otchłanie Central Parku; była w parku tak długo, że aż nabawiła się kataru — usiłowała wywietrzyć smród agencji z kostiumu, który miała na sobie.

Wiosną zaczęła domyślać się z listów Anthony'ego — nie z jednego, konkretnego, lecz wszystkich, razem wziętych — że on nie chce, by przyjechała do niego na Południe. W listach pojawiały się z freudowską regularnością podejrzenia powtarzające się wymówki, które samego Anthony'ego musiały męczyć swą błahością; umieszczał je w każdym nowym liście, jakby w obawie, że zapomniał o nich w poprzednim, jakby chciał rozpaczliwie wpoić je w nią raz na zawsze. Rozwodnienie ich pieszczotliwymi zdrobnięciami było coraz bardziej mechaniczne i wymuszone — wydawać by się mogło, że po napisaniu każdego listu czytał go jeszcze raz i upychał je tam na siłę, jak Oscar Wilde epigramaty w swych sztukach. Powzięła najoczywistsze podejrzenie, odrzuciła je, co złościło ją i przygnębiało na przemian — wreszcie z dumą zignorowała je, a w swoich listach coraz mniej siła się na czułość.

Potem znalazła sobie wiele zajęć. Odwiedzało ją kilku lotników, których poznała przez Tudora Bairda; pojawiło się też dwóch innych, byłych adoratorów, zakwaterowanych teraz w Camp Dix. Każdy z tych mężczyzn, wyjeżdżając za ocean, przekazywał ją jakby swym kolegom. Jednak po kolejnym, dość nieprzyjemnym zajściu z naśladowcą kapitana Collinsa, przy kolejnej prezentacji dawała natychmiast do zrozumienia, że nie może być najmniejszych złudzeń co do jej stanu cywilnego i osobistych zamiarów.

Na początku lata nauczyła się, podobnie jak Anthony, przegłądać spisy poległych oficerów, czerpiąc swoistą, melancholijną przyjemność z wiadomości o śmierci kogoś, z kim kiedyś odtańczyła jednego kotyliona, z rozpoznawania po imieniu młodszych braci dawnych zalotników — Paryż wciąż był zagrożony, więc myślała sobie, że oto świat zmierza ku nieuniknionej i zasłużonej zagładzie.

Miała teraz dwadzieścia siedem lat. Urodziny minęły niemal niezauważenie. Kilka lat wcześniej przestraszyła się, gdy skończyła dwadzieścia, trochę — gdy dwadzieścia sześć, ale teraz spoglądała w lustro ze spokojnym samozadowoleniem na widok angielskiej świeżości swej cery i figury, jak dawniej chłopięcej i szczupłej.

Starala się nie myśleć o Anthonym. Czula się tak, jakby korespondowała z nieznanym. Pochwaliła się przyjaciółkom, że

został kapralem i poczuła się urażona, że nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia. Którejś nocy płakała z żalu nad nim — gdyby był w swych listach choć trochę czulszy, pojechałaby do niego pierwszym pociągiem — cokolwiek się z nim działo, potrzebował duchowej opieki; wiedziała, że nawet teraz byłaby do tego zdolna. Pozbawiona jego ciągłego pasożytnictwa na jej morale, czuła cudownie odradzającą się w niej na nowo siłę. Przed wyjazdem Anthony'ego skłonna była pod jego wpływem roztrząsać wszystkie zaprzepaszczone szanse — teraz powróciła do swego naturalnego stanu umysłu: silnego, dumnego, cieszącego się każdym dniem. Kupiła sobie lalkę, przebierała ją w coraz to nowe stroje; jednego tygodnia płakała nad „Ethanem Frome”, drugiego zaczytywała się Galsworthym, którego lubiła za dar odtwarzania w wiosennym mroku owej złudnej, młodzieńczej, romantycznej miłości, której kobiety wiecznie oczekują i którą wiecznie wspominają.

W październiku listy Anthony'ego stały się coraz częstsze i coraz bardziej gorączkowe — a potem nagle przestały nadchodzić. Przeżyła miesiąc niepokoju, kiedy to musiała z całych sił powstrzymać się przed natychmiastowym wyjazdem do Missisipi. Wreszcie nadszedł telegram donoszący, że był w szpitalu i że może spodziewać się go w Nowym Jorku w ciągu dziesięciu dni. Wrócił w jej życie jak postać ze snu, biegnąc przez salę balową owego listopadowego wieczoru — i przez długie godziny wypełnione dobrze znaną radością czuła bicie jego serca przy swoim, ciesząc się złudzeniem szczęścia i bezpieczeństwa, których nie spodziewała się już nigdy zaznać.

Zawiedzeni generałowie

Po tygodniu jednostka Anthony'ego powróciła do Missisipi, gdzie miała zostać rozwiązana. Oficerowie zamknęli się w swym wagonie i pili zakupioną w Nowym Jorku whisky, a i żołnierze starali się upić u siebie — udając na każdej stacji, na której się zatrzymali, że właśnie wracają z Francji, gdzie zadali ostateczny cios wojskom niemieckim. A że wszystkim wydano już mundury amerykańskich wojsk ekspedycyjnych we Francji, wystarczyło tylko

łgać, że nie mieli czasu przyszyć złotych belek, by robiło to wielkie wrażenie na okolicznym pospółstwie. Sypały się pytania, jak tam było w okopach, na co odpowiadali „Ech, co tu gadać!”, głośno mlaskając i kiwając głowami. Ktoś nagryzmolił na wagonach słynne „Wygraliśmy wojnę — teraz do domu”; oficerowie śmiali się i nie kazali zmasać napisu. Wszyscy pokrywali butą hańbę powrotu.

Gdy pociąg toczył się powoli ku obozowi, Anthony obawiał się, że na stacji spotka oczekującą go cierpliwie Kropeczkę. Odetchnął z ulgą, gdy nikt mu o niej nawet nie wspomniał; przekonany, że gdyby była w mieście, na pewno usiłowałaby skontaktować się z nim, uznał, że wyjechała — dokąd, nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Pragnął jednego — wrócić jak najszybciej do Glorii, odrodzonej, cudownie żywej Glorii. Gdy wreszcie zwolniono go z wojska, opuścił obóz na pace ogromnej ciężarówce z tłumem kolegów, pobłażliwie, wręcz sentymentalnie wiwatujących na cześć oficerów, szczególnie kapitana Dunninga. Kapitan ze swej strony ze łzami w oczach wygłosił przemówienie, w którym mówił i o przyjemności, i o pracy, i o nie zmarnowanym czasie, i o obowiązku względem ojczyzny. Było to wszystko bardzo nudne i bardzo ludzkie; wysłuchawszy, Anthony, którego umysł doszedł już do siebie w Nowym Jorku, powziął na nowo głęboką odrazę względem zawodu żołnierza i wszystkiego, co się z nim łączy. W swych dziecinnych serduszkach dwóch na trzech z oficerów zawodowych uważało, że to wojna jest dla armii, a nie armia dla wojny. Z satysfakcją przyglądał się, jak generał i oficerowie, nagle pozbawieni podwładnych, szwendają się bez celu po opustoszałym obozie. Z satysfakcją słuchał też, z jaką pogardą jego koledzy z kompanii potraktowali czule namowy, by pozostać w wojsku, które miało ich ponoć posłać do „szkół”. Już on wiedział, co to za „szkoły”.

W dwa dni później był już w Nowym Jorku — z Glorią.

Kolejna zima

Pewnego wieczoru w lutym Anthony wszedł do mieszkania i szukając po omacku drogi w hallu, zupełnie ciemnym w zimowym mroku, odnalazł Glorię siedzącą przy oknie. Gdy wszedł, odwróciła się ku niemu.

— I co Haight? — zapytała bez większych nadziei.
— Nic — odpowiedział — jak zwykle. Może w przyszłym miesiącu.

Przypatrzyła się mu uważnie; jej słuch, przyzwyczajony do brzmienia jego głosu, wychwycił w owym „nic” ledwie zauważalny fałszywy ton.

— Pileś — zauważyła obojętnie.
— Trochę.
— Aha.

Ziewnął w fotelu; przez chwilę panowała między nimi cisza. Potem zapytała nagle:

— A byłeś w ogóle u niego? Mów prawdę.
— Nie. — Uśmiechnął się słabo. — Prawdę mówiąc nie miałem czasu.
— Tak właśnie myślałam... Telefonował, żebyś do niego przyszedł.

— Mam to gdzieś. Mam dość wiecznego wyczekiwania w jego biurze. Myślałby kto, że to on robi mi łaskę. — Popatrzył na Glorię, jakby oczekując moralnego wsparcia, ale ona powróciła już do obserwacji niepewnego, nieprzystępnego świata za oknem.

— Jestem dziś trochę zmęczony życiem — spróbował znowu. Milczała. — Spotkałem jednego faceta, poszliśmy pogadać do baru w „Biltmore”.

Mrok pogłębił się nagle, ale żadne z nich nie ruszyło się z miejsca, by włączyć światło. Zaprzątnięci Bóg wie jakimi rozważaniami, siedzieli nie mówiąc nic, póki obłok płatków śniegu nie wyrwał z piersi Glorii ciężkiego westchnienia.

— Co robiłaś? — zapytał, bo od długiego milczenia zrobiło mu się nieswojo.

— Czytałam jakiś tygodnik — pełny idiotycznych artykułów bogatych autorów o tym, jakie to okropne, że biedacy kupują sobie jedwabne koszule. A czytając o tym potrafiłam myśleć tylko o jednym, że mam wielką ochotę na futro z wiewiórek i że nas na to nie stać.

— Stać nas, stać.
— Ależ nie.
— Ależ tak! Chcesz, to je sobie kup.

Jej głos, dochodzący z ciemności, miał już w sobie odrobinę pogardy.

— Aha, znowu sprzedasz akcje?

— Jak będzie trzeba... Nie chcę, żeby ci czegoś brakowało. Tylko że od mojego powrotu wydaliśmy już tyle...

— Och, zamknij się! — powiedziała ze złością.

— Dlaczego?

— Bo mam już serdecznie dość twojego gadania o tym, ile wydaliśmy i cośmy robili. Wróciłeś dwa miesiące temu i od tego czasu prawie co wieczór się bawimy. Oboje mieliśmy na to ochotę, więc bawimy się. Czy ja narzekam? Za to ty jęczysz tylko, jęczysz i jęczysz. Mnie już nie obchodzi, co robimy, co z nami będzie i przynajmniej jestem w tym konsekwentna. Ale nie zniosę twoich narzekań i kasandrycznych przepowiedni...

— Wiesz, czasem i ty bywasz mało przyjemna.

— Bo nie muszę. Ty nie robisz nic, żeby było inaczej.

— Ależ robię!

— Akurat! Już to chyba słyszałam. Dziś rano kłąłeś się na wszystko, że nie weźmiesz do ust ani kropli alkoholu, nim nie znajdziesz sobie jakiejś porządnej pracy. Nie stać cię nawet na to, żeby iść do Haighta, gdy o to prosi.

Anthony dźwignął się z fotela i zapalił lampę.

— Wiesz co? — krzyknął, mrużąc oczy od światła. — A ja mam dość tego twojego ostrego jęczyczka.

— No i co z tego?

— Myślisz, że mnie jest z tym przyjemnie? — ciągnął, puściwszy jej pytanie mimo uszu. — Myślisz, że nie wiem, że powinniśmy się zmienić?

W jednej chwili Gloria znalazła się tuż przy nim. Drżała.

— Nie zniosę tego dłużej! — wybuchnęła. — Nie będę wysłuchiwać tych nauk. Ty i twoje cierpienia! Jesteś po prostu żałośnie słaby, zawsze taki byłeś!

Stali idiotycznie naprzeciw siebie, niezdolni nawet do kłótni, wszechogarniająco, boleśnie znudzeni. Wreszcie ona weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Powrót Anthony'ego wywołał znów na scenę wszystkie ich przedwojenne zmartwienia. Niepokojąco rosły ceny, gdy tymczasem, jakby przewrotnie, dochody ich zmniejszyły się niemal o połowę. Miało w tym udział i słone honorarium mecenasa Haighta,

i fakt, że akcje, kupowane po sto, teraz były po trzydzieści czy czterdzieści; były i inne inwestycje, nie przynoszące zgoła nic. Poprzedniej wiosny Glorii dano do wyboru: albo opuści mieszkanie, albo podpisze roczną umowę na czynsz dwieście dwadzieścia pięć miesięcznie. Podpisała. Teraz, gdy sytuacja wymagała od nich oszczędności, przekonali się, że są do tego zupełnie niezdolni. Przyjęli starą politykę wykrętów: znużeni własną nieudolnością gawędzili o tym, co zrobią — och, już, zaraz, od jutra — o tym, jak to „przesaną być”, jak Anthony pójdzie do pracy. Ale z nastaniem ciemności Gloria, przyzwyczajona wychodzić co wieczór, nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Niespokojnie krążyła po mieszkaniu, stawała w drzwiach sypialni, zawzięcie ssąc palec i szukając wzroku Anthony'ego, gdy ten unosił głowę znad książki. Potem dzwonek telefonu; wtedy rozluźniała się i biegła odebrać ze źle skrywaną skwapliwością. Ktoś zamierzał „wpaść dosłownie na minutkę” — a potem, ach, ta nużąca pretensjonalność, i wino, i nagle odżycie skwaszonych humorów — a potem przebudzenie, niczym w środku bezsennej nocy, w której zdawali się wędrować.

Gdy zima przeszła defiladą powracających wojsk na Piątej Alei, zorientowali się, że od powrotu Anthony'ego ich wzajemne stosunki zmieniły się nie do poznania; po ponownym rozkwicie czułości i namiętności każde powróciło do swego samotnego snu, do którego drugie nie miało wstępu, a czułe gesty i słowa wymieniały między sobą ich puste serca, oznajmiając echem odejście tego, co, jak teraz wiedzieli już na pewno, odeszło na zawsze.

Anthony znów obszedł wszystkie gazety Nowego Jorku i znów został pozbawiony wszelkich złudzeń przez tłum gońców, telefonistek i redaktorów. Wszędzie słyszał: „Wszystkie wolne miejsca trzymamy dla naszych pracowników, którzy jeszcze służą we Francji”. Kiedyś, pod koniec marca, jego wzrok padł na ogłoszenie w porannej gazecie, dzięki czemu znalazł przynajmniej pozory zajęcia.

UMIESZ SPRZEDAWAĆ!!!

CHCESZ ZAROBIĆ I ZDOBYĆ NOWY FACH?

NASI AKWIZYTORZY ZARABIAJĄ OD 50 DO 200

DOLARÓW TYGODNIOWO.

Pod spodem widniał adres na Madison Avenue i godzina spotkania, pierwsza po południu. Gloria, spojrzawszy mu przez ramię po jednym z ich — jak zwykle — późnych śniadań, zauważyła, że Anthony bezmyślnie przygląda się temu ogłoszeniu.

— Może byś spróbował? — zaproponowała.

— E, to na pewno jakaś bzdura.

— Może nie. Przynajmniej dowiesz się czegoś.

W końcu udało się jej go namówić. O pierwszej znalazł się w gęstym tłumie, złożonym z mężczyzn każdego wieku i powierzchowności, od chłopca na posyłki, najwyraźniej trwoniącego tu godziny pracy, po starca o poskręcany ciele i równie poskręcanej laseczce. Niektórzy byli brudni, o zapadłych policzkach i podkrążonych, zaczerwienionych oczach, inni bardzo młodzi, zapewne jeszcze w wieku licealnym. Po kwadransie takiego ścisku, kiedy spozierali jedni na drugich z apatyczną podejrzliwością, pojawił się młody człowiek, elegancki, w dopasowanym garniturze, który z miną mistrza ceremonii poprowadził ich po schodach do sporego pokoju, nieskończoną liczbą ławek przypominającego salę szkolną. Tu przyszedli akwizytorzy usiedli — i czekali dalej. Po jakimś czasie podwyższenie na końcu sali zajęło kilku poważnych, lecz energicznych mężczyzn, którzy, z wyjątkiem jednego, usiedli w półkolu twarzą do publiczności.

Wyjątkiem tym był człowiek sprawiający wrażenie najpoważniejszego, najbardziej energicznego i najmłodszego z tej grupki, który podszedł teraz na skraj podwyższenia. Publiczność przyglądała mu się z nadzieją. Był dość niski i dość ładny, urodą handlową raczej, nie klasyczną. Spod prostych, jasnych, krzaczastych brwi wyglądały niemal nieprzyzwoicie uczciwe oczy; gdy dotarł do krawędzi swego podium, wydawało się, że rzuca te oczy w publiczność, równocześnie wyciągając rękę z dwoma uniesionymi palcami. Przez chwilę kołysał się, by złapać równowagę, a tymczasem na sali zapadło pełne wyczekiwania milczenie. Młody człowiek świetnie radził sobie ze słuchaczami; gdy przemówił, robił to z wielką pewnością siebie, według zasady „prosto z mostu”.

— Panowie! — zaczął i urwał. Słowo przebrzmiało długim echem na końcu sali; wszystkie twarze z malującą się na nich nadzieją, cynizmem, czy znużeniem, wpatrzyły się w niego z jednokowym natężeniem; sześćset oczu uniosło się lekko w górę, a

młody mówca rozpoczął swój wykład równym, pozbawionym wdzięku głosem, przypominającym Anthony'emu huk toczących się ku kręglom kul.

— Dziś, tego jednego słonecznego ranka, wzięliście do ręki waszą ulubioną gazetę i znaleźliście w niej zwykłe, nieozdobne ogłoszenie, namawiające was, byście sprzedawali. Tylko tyle — ani „co”, ani „jak”, ani „dlaczego”, jedynie to zapewnienie, że ty i ty, i ty — tu oczywiście wskazywał palcem poszczególnych słuchaczy — wszyscy umiecie sprzedawać. Ja nie chcę uczynić z was ludzi sukcesu, bo każdy człowiek ma w sobie tego zadatki od urodzenia, czasem tylko sam wpędza się na straconą pozycję; ani nauczyć was przemawiać, bo każdy jest z natury mówcą, czasem tylko zamyka się w swej skorupie jak ślimak; ja chcę was przekonać, ale tak, abyście mi uwierzyli raz na zawsze — chcę przekonać was, że ty i ty, i ty, że wszyscy jesteście spadkobiercami bogactwa i dobrobytu, który tylko czeka, by po niego sięgnąć ręką.

Tu jakiś ponury Irlandczyk podniósł się z ławki na końcu sali i wyszedł.

— Ten pan myśli, że znajdzie je w piwiarni za rogiem. (Śmiech). Ale się myli. Dawno, dawno temu ja też ich tam szukałem (śmiech), ale to było jeszcze, zanim zrobiłem to, co możecie zrobić wy wszyscy, młodzi i starzy, biedni i bogaci (lekki szmerek ironicznego śmiechu). Było to, zanim odnalazłem — siebie!

Nie wiem, czy ktoś z was wie, co to są „Szczere rozmowy”. „Szczere rozmowy” to seria małych książeczek, w których jakieś pięć lat temu zacząłem spisywać wszystkie, jak sądzę, główne przyczyny powodzenia i niepowodzenia w życiu — na podstawie dziejów takich ludzi jak pan Rockefeller, wcześniej pan Napoleon (śmiech), a jeszcze wcześniej wielu innych, aż dojdziemy do czasów, gdy Abel wyzbył się ojcowizny za miskę soczewicy. Istnieje już sto tych książeczek. Ci z was, którzy są szczerzy, których interesuje nasza propozycja, a przede wszystkim ci, którzy chcą odmienić swój los, dostaną jeden egzemplarz do domu, gdy będziecie wychodzić przez te oto drzwi.

Mam tu w kieszeni cztery listy o moich „Szczerych rozmowach”, które właśnie otrzymałem. Zostały podpisane przez ludzi, których nazwiska znane są w każdym amerykańskim domu. Proszę posłuchać — ten przyszedł z Detroit:

Szanowni; panie Carleton!

Pragnę zamówić jeszcze trzy tysiące egzemplarzy „Szczerych rozmów”, które zamierzam rozprowadzić wśród moich akwizytorów i sprzedawców. Książki te skuteczniej podnoszą wydajność pracy niż jakiegokolwiek premie. Sam czytam je bez przerwy. Pragnę serdecznie panu powinszować tak unikliwego spojrzenia na najbardziej palący problem, przed którym staje dziś nasze pokolenie — problem sprzedaży. To sprzedaż jest tą opoką, na której wspiera się nasz kraj. Jeszcze raz gratulując załączam serdeczne ukłony,

Henry W. Terral

Mówca odczytał podpis trzema triumfalnymi, donośnymi okrzykami, wydłużając pauzy między każdym z nich, by uwydatnić ich magiczne znaczenie. Potem odczytał dwa inne listy, jeden od producenta odkurzaczy, drugi od prezesa Great Northern Doily Company.

— A teraz — ciągnął — przedstawię wam w paru słowach moją propozycję, która ustawi tych, co podejda do niej z odpowiednim nastawieniem. Mówiąc najprościej brzmi ona tak: istnieje spółka „Szczerze rozmowy”, która zajmuje się rozprowadzaniem tych broszur między wszystkie większe przedsiębiorstwa, wszystkich sprzedawców, wszystkich, którzy wiedzą — nie powiedziałem: „którym się zdaje”, powiedziałem: „którzy wiedzą”, że umieją sprzedawać! Rzucamy na rynek część akcji koncernu „Szczerze rozmowy”, a w celu zapewnienia jak najszerszej dystrybucji i przede wszystkim po to, by mieć żywy, konkretny, z krwi i kości przykład, czym jest sprzedaż, czy raczej, czym może być, by tym spośród was, którzy są dobrzy, dać szansę sprzedaży naszych akcji. Nie interesuje mnie, czy już kiedyś coś sprzedawaliście i jak. Nie interesuje mnie, ile macie lat, czy jesteście starzy, czy młodzi. Interesuje mnie tylko to: po pierwsze, czy chcecie, żeby wam się w życiu powiodło, i po drugie, czy chcecie na to zapracować.

Nazywam się Sammy Carleton. Nie „pan” Carleton, ale zwyczajnie, Sammy. Jestem prosty człowiek, kieruję się zdrowym rozsądkiem, niczym więcej. Mówcie mi Sammy.

Tyle na dziś. Chciałbym, żeby ci, którzy dobrze to sobie przemyśla i przeczytają „Szczerze rozmowy” (egzemplarze rozdamy przy

drzwiach), wrócili tu jutro o tej samej porze, i wtedy dokładnie zajmiemy się moją propozycją, a ja wytłumaczę wam, na czym według mnie polega powodzenie; sprawię, że poczujecie, że ty i ty, i ty, że wszyscy umiecie sprzedawać!

Głos Carletona odbijał się przez chwilę echem po sali, potem ucichł. Wśród tupotu setek stóp Anthony wypchnął się z tłumem na zewnątrz.

Dalsze przygody ze „Szczerymi rozmowami”

Anthony opowiedział Glorii o swej przygodzie z handlem, akompaniując sobie ironicznym śmiechem, ale ona bynajmniej nie była rozbawiona.

— Czyli znowu się poddajesz? — zapytała zimno, gdy skończył.

— Jak to, nie spodziewasz się chyba, że...

— Nigdy niczego nie spodziewałam się po tobie.

Zawahał się.

— No cóż... Nie sądzę, żeby dał ci coś taki głupi śmiech. A jest to przynajmniej coś nowego.

Potrzeba było ze strony Glorii zupełnie niezwykłej energii moralnej, by zastraszyć go do tego stopnia, by poszedł na drugie spotkanie, a gdy pojawił się na nim, nieco przygnębiony lekturą wyświechtanych banałów, wdzięczących się z kart „Szczerych rozmów”, zobaczył na sali tylko pięćdziesięciu słuchaczy z poprzednich trzystu, oczekujących pojawienia się żywego, przekonywającego Sammy'ego Carletona. Żywość i zdolność przekonywania pana Carletona zostały tym razem użyte w celu wyjaśnienia tego wspaniałego tematu do rozmyślań — jak sprzedawać. Okazało się, że należy przedstawić swą propozycję, a następnie powiedzieć nie „To co, kupuje pan/pani?” — w żadnym wypadku — nie, nie!; należy przedstawić swą propozycję i doprowadziwszy przeciwnika do stanu wycieńczenia, stwierdzić kategorycznie: „Proszę pana/pani! Wytłumaczenie panu/pani tego wszystkiego zajęło mi mnóstwo czasu. Zgodził/zgodziła się już pan/pani z moimi stwierdzeniami, więc pytam o jedno: ile pan/pani chce?”

W miarę wysuwania przez Carletona coraz to nowych argumentów Anthony zauważył z pewnym niezadowoleniem, że zaczyna mu

wierzyć. Facet wyraźnie wiedział, o czym mówi. Widać było, że jest człowiekiem zamożnym, który może teraz poświęcać się uczeniu innych. Anthony nie pomyślał, że typ człowieka, który umie dorobić się na handlu, bardzo rzadko wie, dlaczego i jak do tego doszedł, a jeżeli usiłuje to określić — jak na przykład stary Adam Patch — robi to zwykle w sposób niedokładny i absurdalny.

Anthony zauważył, że z licznych starszych ludzi, którzy przyszli na pierwsze spotkanie, pozostało teraz tylko dwóch, i że wśród trzydziestki, która pojawiła się na trzecim posiedzeniu, poświęconym konkretnym instrukcjom, była już tylko jedna siwa głowa. Ale wśród tych trzydziestu byli już sami gorliwi neofici; ruchami warg naśladowali ruchy warg Carletona; entuzjastycznie kiwali się na krzesłach, a gdy on przerywał na chwilę, wymieniali między sobą pełne aprobaty szepty. Mimo to wśród tych nielicznych wybranych, którzy, według słów Carletona, „pewną ręką sięgną po to, co im się słusznie należy”, tylko paru łączyło w sobie choćby odrobinę miłego wyglądu z wielkim darem kupieckiej natarczywości. Usłyszeli jednak, że każdy z nich ma w sobie tę natarczywość — chodzi o to, by wierzyć z jakąś dziką pasją w to, co się sprzedaje. Carleton namawiał ich nawet, by sami zainwestowali w te akcje, by w ten sposób zwiększyć jeszcze swą szczerłość.

Wreszcie piątego dnia Anthony wyszedł na ulicę z uczuciem dobrze znanym osobom poszukiwanym przez policję. Działając zgodnie z instrukcjami wybrał sobie wysoki biurowiec; miał wyjechać windą na najwyższe piętro i schodzić coraz niżej, zatrzymując się w każdym biurze, na którego drzwiach zobaczy tabliczkę. Jednak zawahał się w ostatniej chwili — być może praktyczniej byłoby przyzwyczaić się do chłodnego przyjęcia, z jakim, jak przeczuwał, spotka się w biurowcu, próbując najpierw gdzie indziej, powiedzmy na Madison Avenue. Wszedł więc do budynku wyglądającego na średnio elegancki i ujrawszy tabliczkę z napisem „Percy B. Weatherbee, architekt”, bohatercko otworzył drzwi i wkroczył do środka. Wykrochmalona młoda kobieta spojrzała na niego pytająco.

— Chciałbym zobaczyć się z panem Weatherbee. — Zastanawiał się, czy nie drży mu głos.

Wyczekująco położyła dłoń na słuchawce telefonu.

- Jak godność, proszę?
- Moje nazwisko... ee... nic mu nie powie, moje nazwisko nic mu nie powie.
- A w jakiej sprawie? Pan jest agentem ubezpieczeniowym?
- Ależ skąd, nic takiego! — zaprzeczył pośpiesznie Anthony.
- Nie, nie, to... to sprawa osobista. — Nie wiedział, czy powinien był to powiedzieć. Wszystko wydawało się tak proste, kiedy Carleton tłumaczył swojej trzodzie: „Nie dajcie się wyrzucić za drzwi! Okażcie im, że jesteście zdecydowani rozmawiać z nimi za wszelką cenę, to was wysłuchają”.

Dziewczynę przekonała jednak przyjemna, melancholijna twarz Anthony'ego i za chwilę drzwi do wewnętrznego pomieszczenia otwarły się. Stał w nich wysoki mężczyzna o krzywych nogach i zaczesanych do tyłu włosach; podszedł do Anthony'ego z nieskrywaną niecierpliwością.

- Chciał się pan widzieć ze mną w sprawie osobistej? Anthony skurczył się ze strachu.
- Muszę z panem pomówić — odparł wyzywająco.
- O czym?
- To chwilę potrwa.
- No więc o co chodzi? — Ton pana Weatherbee wskazywał narastającą irytację.

Anthony zaczął wreszcie swoje przemówienie, starannie akcentując każde słowo i każdą sylabę:

- Nie wiem, czy słyszał pan o serii broszur z serii „Szczere rozmowy”...
- O rany! — zawołał Percy B. Weatherbee, architekt. — Chcę mnie pan wzruszyć?
- Ależ nie, to zwykły biznes. Rzucamy na rynek część akcji koncernu „Szczere rozmowy”...

Jego głos stopniowo słabł pod pogardliwym spojrzeniem, jakie utkwiała w nim jego niedoszła ofiara. Męczył się jeszcze przez następną minutę, coraz bardziej zażenowany, coraz bardziej płacząc się we własne słowa. Pewność siebie opadała z niego wielkimi, bolesnymi strupami, niby kawałami jego własnego ciała. Percy B. Weatherbee, architekt, zlitował się wreszcie i zakończył rozmowę:

- O rany! — wybuchnął. — I pan nazywa to sprawą osobistą!
- Odwrócił się na pięcie i odmaszerował do gabinetu, zatrząskując

za sobą drzwi. Nie śmiać podnieść oczu na sekretarkę, Anthony opuścił pokój jakimś haniebnym, niezrozumiałym sposobem. Obficie spływając potem stał w hallu, zastanawiając się, dlaczego nikt go dotąd nie aresztował; w każdym rzucanym mu w przelocie spojrzeniu wyczuwał nieskrywaną pogardę.

Po godzinie, z pomocą dwóch whisky, zmusił się do drugiego podejścia. Wszedł do warsztatu hydraulika, ale ten, dowiedziawszy się, co Anthony'ego sprowadza, zaczął pośpiesznie nakładać płaszcz, mrużąc pod nosem, że właśnie wychodzi na obiad. Anthony odrzekł grzecznie, że rzeczywiście nie warto próbować sprzedać coś człowiekowi głodnemu; hydraulik bardzo ochoczo przyznał mu rację.

To zdarzenie podniosło jednak Anthony'ego na duchu; hydraulik wysłuchałby go na pewno, tylko że akurat spieszył się na obiad.

Minąwszy skromnie kilka błyszczących, dostojnych magazynów wszedł do sklepu spożywczego, gdzie gadatliwy właściciel oznajmił, że przed kupieniem akcji musi zorientować się, jak zachowa się giełda po podpisaniu zawieszenia broni. Anthony uznał to niemal za chwyt poniżej pasa: w handlowej utopii pana Carletona przyszli kupujący używali zawsze jednej i tej samej wymówki, gdy nie chcieli nabyć akcji — że wątpią, czy jest to dobra inwestycja; a wtedy stawali się śmiesznie łatwymi ofiarami, które ustrzeliwało się odpowiednim zastosowaniem odpowiedniej taktyki handlowej. Ale ci tutaj... Przecież oni w ogóle nie chcieli nic kupować!

Anthony musiał pokrząć się kilkoma drinkami, nim odważył się na czwarty atak, tym razem na pośrednika w handlu nieruchomościami; tu jednak został natychmiast znokautowany ciosem pewnym niczym sylogizm; pośrednik wyznał, że jego trzech bracia są maklerami giełdowymi. Anthony poczuł się jak człowiek rozbijający ogniszko domowe, przeprosił i wyszedł.

Po kolejnym płynnym pokrząpieniu wpadł na genialny pomysł oferowania akcji barmanom we wszystkich lokalach przy Lexington Avenue. Zajęło mu to kilka godzin, bo przecież w każdym z barów trzeba było wypić parę szklaneczek, by zapewnić sobie przychyłność właściciela. Niestety, barmani jak jeden mąż zapewniali, że gdyby mieli pieniądze na akcje, nie byłiby barmanami — zupełnie

jakby się umówili. Im bardziej zbliżała się ciemna, deszczowa pięta, tym częściej, ku irytacji Anthony'ego, zbywali go żartem.

Wreszcie, o piątej, straszliwym wysiłkiem woli postanowił wprowadzić w swe działania większą różnorodność. Wybrał więc średniej wielkości sklep z delikatesami i wszedł do środka. Natchnienie podpowiedziało mu, że dobrze będzie oczarować nie tylko sklepikarza, lecz również klientów — może, kierowani instynktem stadnym, jego zaskoczeni i całkowicie przekonani słuchacze zaczną kupować wszyscy naraz.

— Dziedobry — zaczął głośno i nieco bełkotliwie. — Mam dla szampaństwa... eee... małą propozycję.

Jeśli chodziło mu o to, by wszyscy umilkli, odniósł całkowity sukces; kilka klientek i siwy weteran ćwiartujący kurczaki spojrzeli na niego w niemych podziwiewie.

Anthony wyciągnął plik papierów z otwartej aktówki i pomachał nimi wesoło.

— Kupujcie akcje! — zaproponował. — Pewne jak... eee... pożyczka wojenna! — Tak spodobał mu się ten zwrot, że postanowił go rozwinąć. — A nawet... eee... lepsze. Każda z moich... eee... akcji to jak... eee... dwie pożyczki wojenne. — Tu zrobił pauzę i przeszedł do ułożonej z góry przemowy, którą wygłosił z wszystkimi przepiślowymi gestami, nieco utrudnionymi przez konieczność podpierania się o ladę jedną albo i dwojgiem rąk. — Proszę państwa! Tłumaczenie... eee... państwu... eee... zajęło mi... czasu. Nie interesuje mnie... eee... czemu nie chcecie... eee... ode mnie kupić. Interesuje mnie... eee... dlaczego. Więc pytam o jedno: ile państwo chcecie?

W tym momencie powinni byli podejść do niego z książeczkami czekowymi i wiecznymi piórami w dłoniach. Instynkt aktorski Anthony'ego zapewnił go, że nie wszystko do nich dotarło, więc powtórzył cały finał jeszcze raz.

— Proszę... eee... państwa! Tłumaczenie... eee... państwu... eee... zajęło mi... czas. Słuchaliście, co? I zgadzacie się... eee... z moim ro-zu-mo-wa-niem? No to pytam się ostatni raz: ile na pożyczkę wojenną?

— Proszę pana! — włączył się nowy głos. Zza szklanego przedzierzenia na końcu sklepu wyszedł postawny mężczyzna o twarzy

ozdobionej symetrycznymi pasmami złotych włosów i sunął wprost na Anthony'ego. — Proszę pana!

— Ile? — powtórzył uparcie nowo kreowany akwizytor. — Tłumaczenie...

— Słuchaj no, ty! — krzyknął właściciel. — Bo zawołam policję!

— Akurat! — odparł dzielnie Anthony. — Pytam... eee... ostatni raz: ile?

Z kilku miejsc w sklepie podniosły się małe obłoczki komentarzy i oburzenia.

— Coś takiego!

— Przecież to wariat!

— Pijany jak bela!

Właściciel chwycił go gwałtownie za ramię.

— Wynoś się pan, albo zawołam policjanta.

Kierując się resztkami rozsądku, Anthony skinął głową i niezgrabnie poupychał akcje do teczki.

— Ile?

— Ilu będzie trzeba, choćby całą komendę! — zagrzmiął przeciwnik z groźnie drżącym wąsem.

— To każdy... eee... kupi u mnie... eee... akcje...

Tu Anthony odwrócił się, skłonił się poważnie byłym słuchaczom i wytoczył ze sklepu. Na rogu napotkał taksówkę, więc kazał się wieźć do domu. Tu zasnął na kanapie i w takim stanie znalazła go Gloria; jego oddech napełniał pokój nieprzyjemnym odorem, a dłoń wciąż zaciskała się na otwartej aktówce.

Gdy Anthony nie pił, zakres jego odczuć stawał się węższy niż u zdrowego starca; gdy w lipcu wprowadzono prohibicję, zauważył, że ci, których na to stać, piją jeszcze więcej niż przedtem. Gdy przychodziło się do kogoś w odwiedzinę, gospodarz wyciągał butelkę pod byle pretekstem. Ta nowa moda na alkohol była przejawem tego samego instynktu, który każe mężczyźnie obsypywać żonę biżuterią — posiadanie alkoholu było teraz oznaką pozycji majątkowej i towarzyskiej.

Anthony budził się rano zmęczony, zdenerwowany i zmartwiony. Nie pociągały go ani cukierkowe, letnie zachody słońca, ani purpurowy chłód poranków. Jego umysł już tylko na chwilę zwracał się każdego dnia ku połyskliwym marzeniom o przyszłych

rozkoszach — wspólnemu dziedzictwu szczęśliwych i przeklętych — i to wyłącznie pod wpływem ciepła i budzonego na nowo życia zawartych w pierwszej od rana whisky z wodą sodową. Chwile te były jednak bardzo krótkie. Pił coraz więcej, aż zmieniał się w zagubione widmo, poruszające się po starych szczelinach jego mózgu, pełnych niespodziewanych pułapek, w najlepszym razie brutalnie haniebnych, sięgających bagnistych, rozpaczliwych głębin. Któregoś wieczoru, jeszcze w czerwcu, pokłócił się gwałtownie z Maurym. Poszło o jakąś drobnostkę — jeśli Anthony dobrze pamiętał nazajutrz — o stłuczoną butelkę szampana. Maury powiedział mu wtedy, żeby przestał pić; Anthony obraził się i usiłując zachować godność, na wpół wyprowadził, na wpół wypłoszył Głorię do taksówki, zostawiając Maury'ego z trzema zamówionymi kolacjami i biletami do opery.

Takie tragicomiczne wybryki weszły mu w zwyczaj do tego stopnia, że gdy się przytrafiały, nawet nie próbował potem naprawiać sytuacji. Jeżeli Gloria protestowała — a ostatnio wołała pograżać się w pełnym pogardy milczeniu — Anthony albo bronił się gwałtownie, albo z ponurą miną wychodził z mieszkania. Od czasu incydentu na peronie w Redgate nigdy już nie podniósł na nią ręki — choć powstrzymywał go często jedynie instynkt, który sam z siebie przyprawiał go o wściekłość. Zależało mu na niej jak na żadnej innej istocie na świecie i równocześnie nienawidził jej coraz bardziej i coraz częściej.

Sędziowie apelacyjni długo zwlekali z decyzją, lecz po długiej zwłoce potwierdzili wreszcie decyzję sądu niższej instancji, przy dwóch głosach sprzeciwu. Przeciwno Edwardowi Shuttleworthowi skierowano kolejną apelację, tym razem już ostatniej szansy; Anthony i Gloria zostali skazani na kolejne, nie kończące się oczekiwanie: sześć miesięcy, może rok. Cała sprawa stała się dla nich straszliwie nierealna, odległa i niepewna jak niebo.

Przez całą poprzednią zimę drobnym, lecz bezustannym punktem zapalnym była sprawa szarego futra dla Glorii. Właśnie w tamtym okresie idąc Piątą Aleją co kilka kroków można było napotkać kobiety owinięte w długie futra z wiewiórek i tym samym przypominające kształtem dziecinne bączki. Wyglądały w nich grubo i

nieprzyzwoicie; skrywanym bogactwem i samiczą zwierzęcością stroju przypominały utrzymanki Ale — Gloria marzyła o takim futrze.

Po dyskusjach w tej sprawie — czy raczej po kłótniach, bo jeszcze bardziej niż w pierwszym roku małżeństwa wszelkie ich dyskusje przeradzały się w zażartą kłótnię pełną zwrotów takich jak „nie ma dwóch zdań”, „co za kompletna bzdura”, „a właśnie, że tak” i ultraostatecznego „mimo wszystko” — uznali, że ich nie stać; za to futro stało się z wolna symbolem rosnących kłopotów finansowych.

Dla Glorii spadek ich dochodów był zjawiskiem zupełnie niezwykłym, niewyjaśnionym i dotąd nie spotykanym — a że doszło do tego w ciągu pięciu zaledwie lat, wydawało się jej zamierzonym okrucieństwem, zaplanowanym i dokonany przez jakiegoś sardonicznie uśmiechniętego Boga. Gdy pobierali się, siedem i pół tysiąca rocznie sprawiało wrażenie sumy aż nazbyt wysokiej dla młodego małżeństwa, tym bardziej że dochodziły do tego widoki na miliony Adama Patcha. Gloria nie rozumiała, że suma ta malała nie tylko matematycznie, lecz również w sile nabywczej; uświadomiła jej to dopiero, jakże nagle i jakże boleśnie, konieczność opłacenia honorarium mecenasa Haighta — piętnastu tysięcy dolarów. Gdy Anthony szedł do wojska, obliczyli, że dochody ich wynoszą trochę ponad czterysta miesięcznie, przy ciągłym spadku wartości dolara; po powrocie Anthony'ego do Nowego Jorku zorientowali się, że jest jeszcze gorzej. Dywidendy z akcji dawały im teraz już tylko cztery i pół tysiąca rocznie. I choć proces o spadek unosił się przed nimi jak uporeczywa fatamorgana, a dno finansowe było coraz bliżej, stwierdzili, że nie potrafią żyć za taką sumę.

I tak Gloria musiała obejść się bez futra z wiewiórek. Codziennie, krocząc Piątą Aleją, nie potrafiła zapomnieć, jak znoszony, jak krótki, jak beznadziejnie niemodny jest jej stary lampart. Co parę miesięcy sprzedawali trochę akcji, ale po zapłaceniu rachunków całą resztę pochłaniały żarłocznie codzienne wydatki. Anthony obliczył, że kapitału starczy im na około siedem lat. Serce Glorii przepełnione było goryczą, tym bardziej że kiedyś, gdy po długim, histerycznym pijaństwie Anthony'ego naszedł kaprys, by zrzucić z siebie marynarkę, kamizelkę i koszulę w jakimś teatrze, co spotkało

się z natychmiastową i brutalną reakcją obsługi, wydali dwa razy więcej, niż kosztowałyby wymarzone futro.

Był listopad, takie babie lato, ciepła, niepotrzebnie bardzo ciepła noc, bo lato spełniło już swoją powinność. „Dzieciak” Ruth po raz pierwszy pobił rekord okrążeń, a w Ohio Jack Dempsey złamał Jessowi Willardowi kość policzkową. Za morzem, w Europie, znów tyle samo dzieci miało opuchnięte z głodu brzuszki, podczas gdy dyplomaci prowadzili swe zwykłe dzieło przygotowywania świata do nowych wojen. W Nowym Jorku „doprowadzano do porządku” proletariat, a na Harvardzie stawiano zwykle pięć do trzech. Prawdziwie nastał pokój, początek nowych dni.

W sypialni mieszkania na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy Gloria leżała na łóżku i przewracała się z boku na bok, co chwila siadając, by zrzucić kolejne przykrycie. Poprosiła leżącego obok Anthony'ego, by przyniósł jej szklankę wody z lodem. — Tylko koniecznie z lodem — nalegała — bo z kranu leje się ciepła.

Patrząc przez cienkie zasłony widziała nad dachami zaokrąglony księżyc, za nim zaś, wysoko na niebie, żółty blask Times Square — i spoglądając tak w te dwa, jakże różne światła, zmagala się w myśli z uczuciem, czy raczej ze skomplikowanym kłębkim uczuć, które nie dawały jej spokoju przez cały poprzedni dzień, i jeszcze poprzedni, i jeszcze, aż do czasu, kiedy po raz ostatni myślała o czymś w ten sposób, czyli jeszcze przed powrotem Anthony'ego.

W lutym skończy dwadzieścia dziewięć lat. Miesiąc ten nabierał złowrogiego, nieuniknionego znaczenia — zmuszał ją w takich właśnie, mglistych, gorączkowych chwilach do zastanowienia, czy przypadkiem nie zmarnowała swej nieco już przygasłej piękności i czy w ogóle przydają się na coś cechy prześladowane bezlitosną, nieuniknioną śmiercią.

Wiele lat temu, gdy miała lat dwadzieścia jeden, pisała w pamiętniku: „Piękno istnieje po to tylko, by je podziwiać — zbierać je troskliwie, a potem rzucić wybranemu jak płatki róż. Wydaje mi się, o ile tylko mam w tej sprawie jasny osąd, że na to właśnie przyda mi się moja uroda...”

Ale teraz, przez cały ten listopadowy dzień, przez cały ten smętny dzień, Gloria myślała pod brudnobiałym niebem, czy przypadkiem nie myliła się wtedy. Wierna uczciwość swego pierwszego

daru przestała szukać miłości, a gdy przyćmił się pierwszy płomień, gdy odeszła pierwsza rozkosz, ona pozostała wierna — czemu? Aż zdziwiła się, że nie wie, czemu właściwie jest wierna — sentymentalnemu wspomnieniu czy jakiemuś głębokiemu, pierwotnemu poczuciu honoru. Wątpiła teraz, czy w tym, jak starała się żyć — iść przez życie beztrąsko i bez żalu, najweselszą z możliwych dróg, a przy tym czerpać dumę z bycia sobą i czynienia piękna — jest jakakolwiek moralna wartość. Od pierwszego chłopczyka w kołnierzu z Eton, który uważał ją za swoją „dziewczynę”, po ostatniego z mijanych na ulicy nieznanym, którego oczy na jej widok stały się czujne i pełne uznania, wystarczała jedynie ta niezrównana szczerość, którą potrafiła nadawać spojrzeniu lub ubrać w niedokończone zdanie — bo zawsze przemawiała urywanymi zdaniami — by tworzyć wokół siebie niezliczone złudzenia, niezmiernie głębokie, niezgłębianą światłość. By stwarzać w mężczyznach dusze, by stwarzać prawdziwe szczęście i prawdziwą rozpacz, musi pozostać dumna — dumna swym nieskalaniem, dumna też, że jest tak uległa, tak namiętna i tak posiadana.

W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że nigdy nie chciała i nie zechce mieć dzieci. Przerażała ją rzeczywistość, przyziemność, niezdolny sentymentalizm rodzenia, zagrożenie, jakie niesie ono urodzie. Chciała istnieć wyłącznie jako kwiat, świadomy tego piękna i przedłużający je w nieskończoność. W bardziej czułościowych chwilach mogła żywić w duszy jakieś złudzenia, ale ta sama ironiczna dusza podpowiadała jej, że macierzyństwem obdarzone są też pawianice. Śniła więc o dzieciach, ale tylko o tych nierealnych, o tych pierwszych, doskonałych symbolach swej pierwszej, doskonałej miłości do Anthony'ego.

W końcu przecież tylko piękno jej nie zawiodło. I nie spotkała jeszcze piękna, które dorównywałoby jej pięknu; jego etyczne czy estetyczne znaczenie bladło przy cudownej konkretności jej różowobiałych stóp, czystej doskonałości ciała i dziecinnych warg, tego materialnego symbolu pocałunku.

W lutym skończy dwadzieścia dziewięć lat. Noc bladła, a Gloria była coraz bardziej przekonana, że ona i jej piękno zrobią z tych trzech miesięcy dobry użytek. Z początku nie wiedziała, jaki, lecz stopniowo problem rozwiązał stary pociąg do kina. Tylko że tym

razem zdecydowała się naprawę. Ta obawa pchała ją ku temu skuteczniej niż jakiegokolwiek niedostatki materialne. Anthony już się nie liczy, Anthony, ubogi na duchu, ten słaby, załamany człowiek o przekrwionych oczach, dla którego miała jeszcze czasem trochę czułości. Trudno. W lutym skończy dwadzieścia dziewięć lat — zostało jej jeszcze sto dni. To tak dużo; jutro pójdzie do Bleockmana.

Decyzja przyniosła jej ulgę. Pocieszało ją, że piękno można utrzymać, a nawet zachować na zawsze, na celuloidzie, nawet gdy zniknie ono z rzeczywistości. A więc — jutro.

Następnego dnia czuła się słaba i chora. Usiłowała wyjść na zewnątrz, ale przy skrzynce na listy zachwiała się i omal nie upadła. Windziarz z Martyniki pomógł jej wrócić do mieszkania, gdzie doczekała powrotu Anthony'ego nie mając nawet dość energii, by rozpiąć stanik.

Przez pięć dni chorowała na grypę, która, właśnie gdy miesiąc skręcił za róg, w zimę, rozwinęła się w obustronne zapalenie płuc. W gorączce wędrowała po domu pełnym niewyraźnych, nie oświetlonych pokoi, na próżno szukając matki. Pragnęła tylko jednego: być na nowo małą dziewczynką, którą zajęłaby się sprawnie jakaś uległa, choć wyższa moc, głupsza od niej, a bardziej stanowcza. Było tak, jakby jedynym kochankiem, jakiego kiedykolwiek pragnęła, był kochanek ze snów.

„Odi profanum vulgus”

Pewnego dnia podczas choroby Glorii przydarzył się dziwny incydent, który potem jeszcze przez wiele dni nie dawał spokoju siostrze McGovern, zawodowej pielęgniarce. Było południe, ale pacjentka leżała w cichym, zaciemnionym pokoju. Siostra McGovern stała nie opodal łóżka, przyrządzając jakąś miksturę, gdy nagle pani Patch, która sprawiała dotąd wrażenie smacznie śpiącej, usiadła na łóżku i przemówiła gwałtownie:

— Miliony ludzi — powiedziała — kłębią się jak szczury, piszczą jak małpy, śmierdzą jak cholera... małpy! Albo wszy. Za jeden naprawę wspaniały pałac... na przykład na Long Island... a choćby i w Greenwich... za jeden pałac, pełny obrazów ze Starego Świata

i pięknych bibelotów — z alejami drzew, zielonym trawnikiem i widokiem na błękitne morze, i na ślicznie ubranych ludzi... oddałabym sto tysięcy, oddałabym milion. — Z wysiłkiem uniosła dłoń i pstryknęła palcami. — Nic mnie nie obchodzi, rozumiesz?

Wzrok, który po tej przemowie utkwiała w siostrze McGovern, był dziwnie nieziemski, dziwnie przenikliwy. Potem jeszcze wydała z siebie krótki, cichy, lśniący pogardą śmiech i opadłszy na poduszki znów zapadła w sen.

Siostra McGovern nie wiedziała, co o tym myśleć. Zastanawiała się, czego sto tysięcy pani Patch oddałaby za pałac. Pewnie chodziło o dolary... choć mówiła to tonem takim, jakby wcale nie o dolary chodziło.

Świat filmu

Był luty, siedem dni do urodzin, a wielki śnieg, który wypełnił precznie jak brud szpary w podłodze, odprowadzany był teraz jako błoto wężami przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Wiatr wiejący obojętnie, lecz ani trochę mniej przenikliwie, wpadał przez otwarte okna salonu, wnosząc do środka mętne tajemnice podwórka i swą posępną wędrówką wywiewając z mieszkania Patchów zatechły dym.

Gloria, otulona w ciepłe kimono, weszła do chłodnego pokoju, podniosła słuchawkę i zatelefonowała do Josepha Bleockmana.

— Czy chodzi o pana Josepha Blacka? — zapytała telefonistka „Films Par Excellence”.

— O Bleockmana, Josepha Bleockmana. B... L... D...

— Pan Black nie używa już tego nazwiska. Mam łączyć?

— No... tak... — Przypomniała sobie ze zdenerwowaniem, że kiedyś przeżywała go, i to w żywe oczy, „Blockheadem”.

Jednak zanim połączono ją z jego gabinetem, musiała rozmawiać jeszcze z dwoma innymi kobiecymi głosami; drugi z nich należał do sekretarki, która zapytała ją o nazwisko. Dopiero gdy usłyszała w słuchawce jego znany, choć lekko bezosobowy ton, uświadomiła sobie, że nie widzieli się już od trzech lat. I jeszcze ta zmiana nazwiska...

— Czy mogłabym się z panem zobaczyć? — zapytała ze swobodą. — Tak naprawdę to mam do pana mały interes. Bo widzi pan, zamierzam, jeśli się uda, oczywiście, dostać się do filmu.

— O, to świetnie. Wiedziałem, że prędzej czy później zdecyduje się pani.

— Czy da mi pan szansę? — zapytała z pewnością siebie właściwą wszystkim pięknym kobietom, wszystkim kobietom, które choć raz w życiu uważały się za piękne.

Zapewnił ją, że wystarczy, jeśli sama naznaczy termin. Wszystko jedno? W takim razie on zadzwoni później i wtedy umówią się na konkretny dzień. Rozmowa zakończyła się konwencjonalnym pustosłowiem z obu stron — po czym, od trzeciej do piątej, Gloria prawie nie ruszała się od telefonu, ale bez skutku.

Za to następnego dnia rano przyszedł list, który ucieszył ją i podniecił:

Droga Glorio!

Tak się szczęśliwie składa, że mam coś w sam raz dla Pani. Uważam, że powinna Pani zacząć od czegoś, co od razu zwróci uwagę. Z drugiej strony, gdyby piękna dziewczyna, taka jak Pani, pojawiła się od razu jako partnerka kogoś z ogranych gwiazdorów, jakich pełno we wszystkich wytwórniach, plotkom nie byłoby końca. Na szczęście trafia się taka dość „podlotkowa-ta” rola w filmie, który robi Percy B. Debris; byłaby w sam raz dla Pani i zwróciłaby na Panią uwagę. Willa Sable gra z Gastonem Mearsem, i jest tam, zdaje się, rola jej młodszej siostry.

Tak czy inaczej Percy B. Debris, reżyser filmu, powiedział, że może zorganizować zdjęcia próbne pojutrze, w czwartek. Jeżeli odpowiada Pani dziesiąta, spotkajmy się na planie.

Życzę szczęścia.

Zawsze wierny

Joseph Black

Gloria postanowiła nie mówić nic Anthony'emu aż do czasu, gdy będzie pewna, że otrzyma tę rolę; dlatego ubrała się i wyszła

z domu, nim jeszcze się obudził. Miała wrażenie, że lustro powiedziało jej mniej więcej to samo, co zwykle. Zastanawiała się, czy przypadkiem choroba nie pozostawiła po sobie jakichś śladów. Nadal miała pewną niedowagę; kilka dni wcześniej wydawało się jej nawet, że policzki są jakby lekko wychudłe — uznała to jednak za przemijający objaw, i że tego dnia wygląda już równie świeżo jak dawniej. Kupiła i przygotowała sobie nowy kapelusz, a że dzień był ciepły, lampart mógł zostać w domu.

Zgłosiwszy się w wytwórni „Films Par Excellence” usłyszała, że pan Black już idzie. Zaczęła rozglądać się wokół siebie. Mały grubasek w marynarce z kieszeniami na wylot oprowadzał dwie dziewczyny; jedna z nich wskazywała właśnie na piętrzącą się na dwadzieścia stóp wzdłuż ściany stertę cienkich kopert, sięgającą jej niemal do piersi.

— To poczta wytwórni — wyjaśnił grubas. — Same zdjęcia gwiazd pracujących w „Films Par Excellence”.

— Och!

— Każde z autografem Florence Kelly, Gastona Mearsa albo Macka Dodge'a — mrugnął porozumiewawczo. — A przynajmniej tak się wydaje każdej naiwnej w jakiejś Pipidowie.

— A to tylko taka pieczętka?

— No pewnie. Przez cały dzień nawet połowy tego by nie podpisali. Podobno Mary Pickford wydaje na same znaczki pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

— Naprawdę?

— No pewnie. Pięćdziesiąt tysięcy. Ale nie ma lepszej reklamy...

Gloria nie słyszała już, co mówili, bo pojawił się Bleockman — Bleockman, śniady dżentelmen o nienagannych manierach, z wdziękiem dobiegający czterdziestki — który powitał ją z ciepłą uprzejmością, zapewniając, że przez te trzy lata nie zmieniła się ani trochę. Poprowadził ją przez wielką halę, rozmiarami przypominającą fabryczną, wśród tętniących gorączkową pracą planów filmowych i dziwnych, oślepiających świateł. Każdy z planów oznaczony był wielkimi, białymi literami „Gaston Mears”, „Mack Dodge” lub po prostu „Films Par Excellence”.

— Była już pani kiedyś w wytwórni filmowej?

— Ani razu.

Podobało się jej to wszystko. Nie było tu przytłaczającej wszechobecności szminki czy woni brudnych, tandetnych kostiumów, które wiele lat temu wydały się jej tak odrażające za kulisami teatru rewiewego. Tutaj pracowano w czyste poranki; dekoracje były bogatsze, piękniejsze, nowsze. Na jednym z planów, wesoło udekorowanym mandżurskimi makatkami, odgrywał swoją scenę stuprocentowy Chińczyk, posłusznie wykonując dawane mu przez megafon polecenia, w rytm szmeru wspaniałej, połyskliwej maszyny, mruczącej swą odwieczną, moralną baśń ku zbudowaniu narodu.

Podszedł do nich jakiś rudzielec i zagadnął Bleockmana, który odpowiedział:

— Cześć, Debris. Chciałem, żebyś poznał się z panią Patch... Pani Patch chciałaby dostać się do filmu, wiesz, wspominałem ci... No to dokąd idziemy?

Debris — wielki Percy B. Debris, pomyślała Gloria — wprowadził ich na plan przedstawiający wnętrze biura. Z przodu stała już kamera, wokół niej kilka krzeseł. Usiedli.

— Była już pani kiedyś w wytwórni filmowej? — zapytał Debris, rzucając jej spojrzenie będące niewątpliwie kwintesencją bystrości. — Nie? W takim razie wyjaśnię, co się tu będzie działo. Zrobimy pani, jak to nazywamy, próbne zdjęcia, żeby przekonać się, czy jest pani fotogeniczna, czy dobrze czuje się pani na scenie i czy potrafi pani korzystać ze wskazówek reżysera. Nie ma się czego bać. Każę kamerzyście nakręcić z panią kilkaset stóp taśmy w epizodzie, który tu zaznaczyłem na scenariuszu. To powinno nam wystarczyć.

Wziął do ręki długi arkusz zapisanego na maszynie papieru i zaczął tłumaczyć jej, o co chodzi w scenie, którą miała odegrać. Pewna pani, Barbara Wainwright, została potajemnie żoną jednego ze wspólników firmy, której biuro było tu przedstawione. Pewnego dnia wchodzi do pustego biura zainteresowana, co naturalne, miejscem pracy męża Dzwoni telefon, ona waha się przez chwilę, po czym podnosi słuchawkę. Dowiaduje się, że jej mąż wpadł właśnie pod samochód i zginął na miejscu. Barbara nie wie, co robić, najpierw nie zdaje sobie sprawy z tego, co zaszło, potem dociera to wreszcie do niej, więc pada zemdlona na podłogę.

— I już — zakończył Debris. — Ja stanę sobie tutaj i będę pani mówił, co ma pani robić, oczywiście tylko ogólnie, a pani niech gra,

jakby mnie tu nie było, proszę robić wszystko po swojemu. Proszę się nie obawiać, że będziemy dla pani zbyt surowi. My chcemy tylko dowiedzieć się czegoś o tym, jak pani realizuje się na ekranie.

— Rozumiem.

— W tym pokoiku za planem dadzą pani kosmetyki do makiażu, tylko proszę z tym nie przesadzać, najwyżej troszeczkę różu.

— Rozumiem — powtórzyła Gloria i skinęła głową. Nerwowo zwilżyła wargi końcem języka.

Próba

Gdy znów pojawiła się na planie, zamykając za sobą prawdziwe, drewniane drzwi, dręczyło ją nieprzyjemne uczucie, że nie jest zadowolona ze swego stroju. Powinna była kupić sobie na tę okazję coś bardziej „panieńskiego” — nadal było jej dobrze w takich sukienkach, które podkreśliwszy jej powiewną młodość, mogły okazać się dobrą inwestycją.

Głos reżysera, dobiegający gdzieś z przodu, z ogromnej plamy światła, sprawił, że powróciła do rzeczywistości, w której ważyły się jej losy.

— Rozgląda się pani wokół, szuka pani męża... Tak... Nie ma go... Ciekawi panią jego biuro...

Usłyszała regularny dźwięk kamery. Rozpraszał ją. Bezwiednie spojrzała w jej stronę i zaniepokoiła się, czy dobrze umalowała sobie twarz. Potem zmusiła się, by grać — nigdy dotąd nie czuła, że ruchy jej ciała mogą być tak banalne, tak sztuczne, tak pozbawione wdzięku i dystynkcji. Przechadzała się po biurze, tu i tam podnosząc jakieś przedmioty i wpatrując się weń bezmyślnie. Potem oglądnęła jeszcze sufit, podłogę i szczegółowo obejrzała nie posiadający żadnego znaczenia ołówek, leżący na biurku. Wreszcie, ponieważ nie wiedziała, co robić, a tym bardziej, co wyrazić, zmusiła się do uśmiechu.

— W porządku. A teraz dzwoni telefon. Dzyń, dzyń, dzyń! Waha się pani, potem podnosi słuchawkę.

Zawahała się więc — a potem, za szybko, jak się jej zdawało, podniosła słuchawkę.

— Halo.

Jej głos brzmiał głucho i fałszywie; słowa odbijały się od dekoracji pustego planu jak próżne westchnienia widma. Przeraziła ją absurdalność tego, czego od niej wymagano — czy oni naprawdę oczekują od niej, że tak od razu wczuje się w tę sztuczną, zupełnie sobie nie znaną postać.

— Nie... nie... Jeszcze nie! Teraz proszę słuchać: „John Summer wpadł pod samochód i zginął na miejscu!”

Gloria pozwoliła, by jej dziecięce usta rozchyliły się powoli. Zaczekała potem:

— A teraz proszę odłożyć słuchawkę! Z trzaskiem!

Zrobiła, co mówił, po czym, chwyciwszy się oburącz krawędzi stołu, patrzyła przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. Poczowała przypływ optymizmu; stała się bardziej pewna siebie.

— O Boże! — zawołała. Pomyślała z satysfakcją, że głos ma dobry. — O, mój Boże!

— A teraz proszę zemdleć.

Padła do przodu na kolana, rzuciła się na ziemię i leżała bez oddechu.

— W porządku — zawołał Debris. — Wystarczy, dziękuję. Całkowicie wystarczy. Proszę wstać, wystarczy.

Gloria wstała, usiłując zachować godność i otrzepując spódnicę.

— Okropne — powiedziała ze śmiechem, choć serce waliło jej jak młot. — To było okropne, prawda?

— Prawda, że to nic trudnego? — zapytał Debris z grzecznym uśmiechem. — Prawda? Teraz nic jeszcze nie umiem powiedzieć. Muszę dopiero oglądnąć film.

— Oczywiście — zgodziła się, usiłując wydobyć z jego słów jakieś szczególne znaczenie, ale bez skutku. Na pewno nie brzmiało to zbyt zachęcająco.

Po chwili znalazła się poza wytwórnię. Bleockman obiecał, że dowie się wyniku próby w ciągu kilku dni. Zbyt dumna, by domagać się bardziej konkretnej oceny, musiała radzić sobie z dziwaczną niepewnością: dopiero teraz, gdy już uczyniła ten krok, zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia myśli o karierze aktorskiej zaprzętała ją skrycie przez ostatnie trzy lata. W nocy usiłowała wyliczyć sobie wszystkie za i przeciw. Czy użyła dość makijażu, czy

jak na rolę dwudziestoletniej dziewczyny nie była może nieco zbyt poważna? Była zupełnie niezadowolona ze swej gry aktorskiej. Wejście miała okropne — tak naprawdę grać zaczęła dopiero przy telefonie, a wtedy właśnie przestali ją filmować. Gdyby tylko wiedzieli...! Jaka szkoda, że nie może spróbować jeszcze raz. Opanowała ją szaleńcza myśl, by rano zatelefonować do Bleockmana i poprosić o drugą próbę — i równie szybko zniknęła. Prosić Bleockmana o kolejną przysługę nie byłoby ani grzecznie, ani bezpiecznie.

Trzeci dzień oczekiwania upływał jej w straszliwym zdenerwowaniu. Tak długo obgryzała wnętrze ust, aż krwawiło i bolało, a gdy przepłukiwała je płynem odkażającym, piekło nieznośnie. Pokłóciła się z Anthonym tak, że wyszedł z domu w zimnej furii. Zastraszony jednak jej niezwykłym chłodem, zatelefonował po godzinie, przeprosił ją i zapowiedział, że kolację zje w „Amsterdam Club”, jedynym, do którego jeszcze należał.

Było już po pierwszej; śniadanie zjadła o jedenastej, więc teraz postanowiła obejść się bez obiadu i wyszła do Parku. O trzeciej przynoszą pocztę — wtedy wróci do domu.

W powietrzu czuło się przedwczesną wiosnę. W Parku schły na alejkach kałuże, a pod wychudłymi drzewami małe dziewczynki poważnie prowadziły przed sobą białe wózki dla lalek; za nimi snuły się parami znudzone opiekunki, dzielące się między sobą tymi straszliwymi sekretami właściwymi opiekunkom do dzieci.

Złoty zegareczek na jej ręce wskazywał drugą. Przydałby się nowy, z platynową bransoletą, wysadzany diamentami — ale taki kosztuje jeszcze więcej niż futro z wiewiórek, więc nie stać jej teraz na taki luksus, na żaden luksus — chyba że, oczywiście, list, który przyjdzie, będzie taki, jakby chciała... przyjdzie za godzinę... dokładniej mówiąc, już za pięćdziesiąt osiem minut. Dziesięć minut drogi, czyli jeszcze czterdzieści osiem... teraz nawet czterdzieści siedem...

Dziewczynki poważnie pchają swe wózekki wilgotnymi, słonecznymi alejkami. Ich opiekunki roztrzásają swe niezgłębione sekrety. Tu i tam na pokrytych gazetami, szybko schnących ławkach siedzą obdarci mężczyźni, należący nie do tego promiennego, rozkosznego dnia, lecz do brudnego śniegu, który śpi teraz, wy-czerpany, w ciemnych zakamarkach, oczekując Ostatecznego Rozwiązania...

Minęły całe wieki, nim w ciemnym hallu zobaczyła windziarza z Martyniki, stojącego nie wiedząc czemu w świetle padającym do wewnątrz przez witraż.

— Są dla nas jakieś listy? — zapytała.

— Już odniesione, psze pani.

Tablica rozdzielcza windy zapiszczała przeraźliwie; Gloria czekała, aż windziarz skończy manipulować przy telefonie. Wreszcie winda ruszyła w górę z jękiem, odbijającym się głośnym echem w duszy Glorii — kolejne piętra mijały jak wieki, złowrogie, oskarżycielskie, ważne. I wreszcie list, biała plama trądu na brudnych kafelkach hallu...

Kochana Glorio!

Wczoraj po południu oglądaliśmy Pani próbne zdjęcia. Zdaje się, że Debris wolałby kogoś młodszego. Powiedział, że grała Pani nieźle, i że ma nawet odpowiednią rolę jakiejś dumnej, bogatej wdowy, i że wydamy mu się, iż Pani...

Gloria z rozpaczą uniosła wzrok, aż padł na przeciwległą ścianę podwórka. Ale ona nie widziała jej, bo szare oczy napęłniły się łzami. Przeszła do sypialni, kurczowo zaciskając list w dłoni, i padła na kolana przed długim lustrem w garderobie. Dziś kończy dwadzieścia dziewięć lat — a świat rozplywa się jej w oczach. Próbowała wmawiać sobie, że to ten makijaż, ale uczucia jej były zbyt głębokie, zbyt potężne, by mogło ją to pocieszyć.

Wytężyła wzrok aż do bólu skroni. Tak... Policzki leciutko zapadły, kąciki oczu pełne drobniutkich zmarszczek. I oczy też zmienione, tak, zmienione!... I nagle dostrzegła, jak bardzo zmęczone ma oczy.

— Och, moja śliczna buzio! — szeptała zdjęta żalem. — Och, moja śliczna buzio! Och, nie chcę bez niej żyć! Och, co się ze mną stało?

A potem podsunęła się jeszcze bliżej do lustra i, podobnie jak w tamtej scenie, padła na twarz na podłogę — i leżała tak, zanosząc się szlochem. W jej całym życiu był to pierwszy pozbawiony wdzięku ruch.

3. Nie ma sprawy!

Nim minął następny rok, Anthony i Gloria stali się podobni do aktorów, którzy pogubili kostiumy, a nie mają dość godności, by dalej grać swą tragedię — więc gdy pewnego wieczoru ich znajome, panie Hulme z Kansas City, matka i córka, udały, że ich nie widzą w hotelu „Plaza”, stało się tak dlatego tylko, że panie Hulme, tak jak większość ludzi, nie potrafiły spojrzeć w lustro swej atawistycznej natury.

Nowe mieszkanie państwa Patch, za które płacili osiemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie, znajdowało się na Claremont Avenue, o dwie przecznice od rzeki Hudson, wśród mrocznych ulic o numerach powyżej setki. Mieszkali tam już od miesiąca, gdy pewnego wieczoru odwiedziła ich Muriel Kane. Anthony wylegiwał się na kanapie, spoglądając wzdłuż Sto Dwudziestej Siódmej Ulicy ku rzece, przy której dostrzegł jeszcze jedną jedyną plamę soczystozielonych drzew, zapewniających tandetną cienistość Riverside Drive. Za rzeką leżały Palisades, ukoronowane obrzydliwymi rusztowaniami lunaparku — choć wkrótce, po zapadnięciu mroku, te same żelazne pajęczyny staną się cudownym widowiskiem na tle nieba, zaczarowanym pałacem, górującym nad gładką połyskliwością tropikalnego kanału.

Anthony zdążył już przekonać się, że ulice w pobliżu ich mieszkania należą do tych, na których bawią się dzieci — były trochę przyjemniejsze niż te, które mijał kiedyś jadąc do Marietty, ale tej samej kategorii, upstrzone tu i tam katarzyniarzami; a w chłodne wieczory do sklepu na rogu szły parami młode dziewczęta na wodę

sodową i lody, śniąc bezkresne sny pod nisko zawieszonym niebem.

Teraz na ulicy jest już prawie całkiem ciemno, na dole bawią się dzieci, wykrzykując nieskładne, radosne słowa, zamierające tuż pod otwartymi oknami — i jest Muriel, która przyszła w odwiedziny do Glorii, a teraz mówi do niego z drugiego końca pokoju tonącego w nieprzejrzyście mroku.

— Może zapalmy światło, dobrze? — zaproponowała. — Robi się tu tak jakoś dziwnie.

Znużonym ruchem wstał i zrobił, o co prosiła; szare szyby okien zniknęły. Przeciągnął się. Był teraz cięższy, brzuch obciążał mu bezwładnie talię; jego ciało było oklapłe, rozrosłe. Miał trzydzieści dwa lata i smętny, rozbity wrak umysłu.

— Może drinka, Muriel?

— Dziękuję, już nie piję. A ty co porabiasz ostatnio, Anthony? — zapytała ciekawie.

— No, mam sporo zachodu z tym procesem — odpowiedział obojętnie. — Sprawa jest teraz w sądzie apelacyjnym; wszystko powinno wyjaśnić się do jesieni. Był problem, czy sąd apelacyjny jest władny rozpatrywać takie rzeczy.

Muriel cmoknęła niecierpliwie i przechyliła głowę na bok.

— Powinieneś powiedzieć im coś do słuchu! Nigdy nie słyszałam, żeby coś ciągnęło się tak długo!

— Zawsze tak jest, gdy chodzi o testament — wyjaśnił bez przekonania. — Podobno rzadko się zdarza, żeby takie sprawy załatwiono szybciej, niż w cztery czy pięć lat.

— Och — Muriel śmiało zmieniła linię ataku — to czemu nie pójdziesz do pracy, ty leniu!

— Ale gdzie? — zapytał szybko.

— No, gdziekolwiek. Przecież ciągle jesteś młody.

— Dzięki za dobre słowo — odparł sucho, a potem, nagle znużony: — Tak cię drażni, że nie chcę iść do pracy?

— Mnie nie... ale mnóstwo ludzi, którzy twierdzą, że...

— O, Boże! — jęknął. — Czuję się, jakbym od trzech lat nie słyszał na swój temat nic innego tylko same bzdurne plotki albo szlachetne napomnienia. Mam tego dość. Nie chcesz się z nami widywać, to daj nam święty spokój. Ja nie niepokoję moich dawnych „przyjaciół”, ale nie potrzebuję też miłosierdzia ani krytyki,

ukrytej pod płaszczkiem dobrych rad... — Potem dodał przeproszająco: — Przykro mi, że to mówię, Muriel, ale naprawdę nie musisz przemawiać do mnie jak dama bawiąca się w dobroczynność, nawet jeśli przychodzisz w odwiedziny do niższej klasy średniej. — Przekrwione oczy patrzyły na nią z wyrzutem — oczy, niegdyś tak czysto, głęboko niebieskie, teraz zaś słabe, napięte i zniszczone czytaniem po pijanemu.

— A ty czy musisz gadać takie okropności? — zaprotestowała. — Mówisz tak, jakbyście rzeczywiście należeli do klasy średniej.

— A co, może nie? Po co mam udawać? Nie cierpię ludzi, którzy zgrywają wielkich arystokratów, kiedy nie stać ich nawet na zachowanie pozorów.

— Czyli według ciebie arystokratą jest się tylko wtedy, gdy ma się pieniądze?

Muriel, zgorzozona demokratka!

— No pewnie! Być arystokratą to po prostu przyznawać, że pewne cechy powszechnie uważane za dodatnie — odwaga, honor, piękno i tak dalej — rozwijają się najlepiej w korzystnym środowisku, czyli nie zniekształcone biedą czy ignorancją.

Muriel zagryzła dolną wargę i pokręciła zamaszycie głową.

— Ja tam uważam, że każdy, kto pochodzi z dobrej rodziny, jest w porządku. I właśnie na tym polega kłopot z wami. Wydaje się wam, że skoro wam ostatnio nie idzie, wszyscy starzy znajomi zaraz się od was odwrócą. Jesteście zbyt drażliwi...

— Szczerze mówiąc — przerwał jej Anthony — to nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówisz. Chodzi mi wyłącznie o własną godność, a w tym akurat przypadku Gloria ma na tyle rozumu, że zgadza się ze mną, byśmy nie chodzili tam, gdzie czujemy się niepożądanymi gośćmi. Stanowimy dla wszystkich zbyt jaskrawo negatywny przykład.

— Bzdura! Nie uda ci się wtłoczyć swego pesymizmu do mojego słonecznego pokoiku! Uważam, że powinieneś dać sobie spokój z tymi posepnymi rozmyślaniami i pójść do pracy.

— Mam teraz trzydzieści dwa lata. Założmy, że wezmę się za jakieś idiotyczne interesy. Jeśli będę miał szczęście, za dwa lata będę zarabiał pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, oczywiście jeżeli w ogóle dostanę jakąś pracę — przecież bezrobocie szaleje. I co, myślisz, że będę przez to choć trochę szczęśliwszy? Myślisz, że jeśli nie odzyskam pieniędzy po dziadku, życie w ogóle będzie do wytrzymania?

Muriel uśmiechnęła się pobłażliwie.

— No cóż — powiedziała — może to i brzmi ładnie, ale niezbyt rozsądnie.

W kilka minut później przyszła Gloria, wnosząc ze sobą do pokoju coś jakby ciemnego, nieokreślonego, niepospolitego. Cicho ucieszyła się na widok Muriel, a Anthony'ego powitała zdawkowym „Cześć!”

— Wiodłam z twoim mężem filozoficzną dyskusję — zawołała niepowstrzymana panna Kane.

— Tak, zajmowaliśmy się najbardziej podstawowymi problemami — dodał Anthony z bladym uśmiechem na bladych policzkach, pod dwudniowym zarostem jeszcze bledszych niż zwykle.

Puściwszy tę ironiczną uwagę mimo uszu, Muriel powtórzyła jej swe argumenty. Gdy skończyła, Gloria powiedziała cicho:

— Anthony ma rację. Wcale nie jest miło pokazywać się, gdy przez cały czas ma się świadomość, że ludzie patrzą na nas w pewien szczególny sposób.

Anthony wtrącił żałośnie:

— Nie uważasz, że jeśli nawet Maury Noble, niegdyś jeden z moich najlepszych przyjaciół, teraz już w ogóle nas nie odwiedza, najwyższy czas przestać narzucać się innym?

— Z Maurem skończyło się tak z twojej winy — powiedziała chłodno Gloria.

— Nieprawda.

— Prawda, prawda.

Muriel przerwała pośpiesznie.

— Niedawno spotkałam koleżankę, która zna Maury'ego. Mówiła, że całkiem przestał pić i że w ogóle zrobił się piekielnie porządny.

— Całkiem nie pije?

— Prawie całkiem. I zarabia stopy pieniędzy. Podobno to wojna tak go odmieniła. Żeni się z jakąś dziewczyną z Filadelfii, z jakąś krezuską... Przynajmniej tak się mówi w mieście.

— Ma trzydzieści trzy lata — myślał na głos Anthony — ale jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że się żeni. Zawsze wydawało mi się, że jest taki błyskotliwy.

— Bo był — mruknęła Gloria — na swój sposób.

— Ale przecież ludzie błyskotliwi nie stają się biznesmenami? A może tak? A jeśli nie, to co się z nimi dzieje? I co dzieje się z wszystkimi, których kiedyś się znało, z którymi miało się kiedyś tyle wspólnego?

— Rozchodzą się ludzkie drogi — podsunęła Muriel z odpowiednio rozmarzonym spojrzeniem.

— Ludzie zmieniają się — powiedziała Gloria. — Wszystkie cechy, których nie wykorzystują na co dzień, powoli zarastają pajęczyną.

— Gdy rozmawiałem z nim po raz ostatni — wspominał Anthony — powiedział, że weźmie się do pracy, żeby zapomnieć, że nie ma nic, dla czego warto by pracować.

Muriel natychmiast skorzystała z okazji.

— I ty powinienesz zrobić dokładnie to samo! — zawołała triumfalnie. — Oczywiście nie uważam, że większość ludzi pracuje z tego akurat powodu, ale przynajmniej miałbyś coś do roboty. A w ogóle, to co wy teraz robicie? Nie pokazujecie się ani w „Montmartre”, ani... ani gdzie indziej. Oszczędzacie?

Gloria zaśmiała się pogardliwie, patrząc na Anthony'ego kątem oka.

— No i z czego się śmiejesz? — zapytał.

— Już ty wiesz, z czego — odparła chłodno.

— Z tej skrzynki whisky?

— No właśnie. — Zwróciła się ku Muriel. — Wczoraj wydał siedemdziesiąt pięć dolarów na skrzynkę whisky.

— No i co z tego? W ten sposób wychodzi taniej, niż gdy kupować po butelce. I nie udawaj, że jej nie tkniesz.

— Ja przynajmniej nie piję za dnia.

— Też mi różnica! — zawołał, zrywając się na równe nogi w bezsilnej złości. — A poza tym przestań mi to wywlekać co pięć minut!

— Kiedy to prawda!

— Wcale nie! I mam dość tego, że wieszcznie krytykujesz mnie przy gościach! — Doprowadził się do takiego stanu, że ramiona i ręce wyraźnie mu drżały. — Pomyślałby kto, że to wszystko moja wina. Pomyślałby kto, że nie namawiałaś mnie na wydawanie pieniędzy... i że nie wydawałaś na siebie znacznie więcej niż ja na siebie.

Teraz Gloria zerwała się z łóżka.

— Nie pozwolę, żebyś tak do mnie mówił!

— No to wcale nie musisz, do diabła, nie musisz!

Wybiegł z pokoju, jakby go ktoś gonił. Obie usłyszały jego kroki w hallu, potem trzaśnięcie drzwi. Gloria opadła z powrotem na łóżko. Jej twarz, oświetlona lampą, była śliczna, opanowana, nieprzenikniona.

— Och!... — zawołała przerażona Muriel. — Co mu się stało?

— Nic takiego. Po prostu jest pijany.

— Pijany? Ależ skąd, był zupełnie trzeźwy. Rozmawiał ze mną...

Gloria pokręciła głową.

— Teraz tego tak po nim nie widać, póki trzyma się na nogach i mówi zupełnie normalnie, póki się nie zdenerwuje — a nawet lepiej niż gdy jest trzeźwy. Pił dziś od rana, z krótką przerwą na pójście na róg po gazetę.

— To straszne! — Muriel była szczerze wzruszona. Oczywiście napęłniły się łzami. — Czy to często?

— Co, czy często pije?

— Nie, czy często tak wychodzi?

— O, tak, całkiem często. Wróci koło północy, będzie wtedy płakał i prosił, żebym mu przebaczyła.

— A ty mu przebaczasz?

— Nie wiem. Żyjemy jakoś dalej, i już.

Siedziały obie w świetle lampy i patrzyły na siebie, każda na swój sposób bezradna w obliczu tego, co się stało. Gloria wciąż była ładna, ładniejsza, niż kiedykolwiek później — policzki miała zaróżowione, na sobie zaś nową sukienkę, kupioną — nieroztropnie — za pięćdziesiąt dolarów. Miała nadzieję, że Anthony zabierze ją gdzieś wieczorem, do restauracji, a może nawet do jednego z tych wielkich, wspaniałych kin, w których będą się za nią oglądać, a i ona mogłaby wtedy przypatrywać się innym bezkarnie. Pragnęła tego, bo wiedziała, jak różowe ma dziś policzki, jak nowa i zachwycająco delikatna jest jej nowa sukienka. Zapraszano ich teraz tak rzadko... Przed Muriel nie zdradziła się jednak ani słowem.

— Glorio, kochanie, tak bym chciała zjeść dziś z tobą kolację, ale obiecałam jednemu... a już jest wpół do ósmej. Muszę lecieć.

— Trudno, zresztą i tak nie mogę wyjść. Cały dzień źle się czuję. Nie przelknęłabym ani kęsa.

Odprowadziwszy Muriel do drzwi Gloria wróciła do pokoju, zgasiła lampę i opierając łokcie o parapet wyjrzała na park Palisades, gdzie jaśniejące, obracające się koło diabelskiego młyna sprawiło wrażenie drżącego zwierciadła, odbijającego żółty blask księżyca. Na ulicy było już cicho; dzieci dawno wróciły do domu — po drugiej stronie ulicy widziała całą rodzinę przy kolacji. Z daleka wydawało się, że co chwila wstają i chodzą wokół stołu bez celu i bez sensu, że bez sensu jest też wszystko, co robią, niczym marionetki pociągane nieostrożnie przez niewidoczne, uwieszone u sufitu sznurki.

Zerknęła na zegarek — była ósma. Część dnia — wczesne popołudnie — spędziła całkiem przyjemnie, spacerując po tym Broadwayu Harlemu, czyli Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, gdzie w jej nozdrza uderzała cała gama woni, a umysł rozjaśniał się od niezwyklej urody niektórych włoskich dzieci. Ta ulica miała na nią dziwny wpływ — tak jak kiedyś Piąta Aleja w czasach, gdy spokojnie pewna swego piękna uważała, że wszystko, co tam jest, należy do niej; że każdy sklep i wszystko, co zawiera, każda zabawka dla dorosłych, błyszcząca na wystawie, może być jej, jeśli tylko tego zechce. Tutaj, na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, widziała orkiestry Armii Zbawienia i otulone widmowymi chustami starsze panie, i słodkie, lepkie cukierki w brudnych rączkach lśniącowłosych dzieci — i zapóźnione słońce, padające na ściany wysokich czynszówek. Wszystko było tu obfite, żywe i pełne smaku, zupełnie jak danie przygotowane przez zapobiegliwego, francuskiego szefa kuchni, którym nie sposób się nie delectować, choć wiadomo, że cały surowiec to najprawdopodobniej odpadki...

Gloria wzdrygnęła się nagle, gdy nad dachy przyleciała z jękiem znad rzeki syrena statku; odchyliła się w tył, aż zasłony, jak duchy, opadły z jej ramion; włączyła lampę elektryczną. Robiło się późno. Pamiętała, że ma w portmonetce trochę drobnych, więc zastanawiała się, czy zejść na dół, na kawę i bułeczki, tam gdzie uwolnione nagle spod ziemi metro zmienia Manhattan Street w wypełnioną jego rykiem jaskinię, czy zostać w domu i zjeść w kuchni kanapkę z przysmażoną szynką. Decyzję podjęła za nią portmonetka: było w niej dokładnie siedem centów.

Po godzinie cisza w pokoju stała się nie do wytrzymania; zauważyła, że unosi wzrok znad czasopisma i spogląda ku sufitowi, wpatrując się weń bezmyślnie. Wstała nagle, zawahała się przez chwilę, gryząc palec — potem poszła do spiżarki, zdjęła z półki butelkę whisky i naląła jej sobie do szklanki, którą dopełniła piwem imbirowym. Wróciła na fotel i dokończyła przerwanej lektury. Był to artykuł o ostatniej wdowie czasów rewolucji amerykańskiej, która, jako młoda dziewczyna, poślubiła starego weterana armii powstańczej, a zmarła w roku 1906. Glorii wydało się dziwne, choć i romantyczne, że ta dziewczyna była jej rówieśnicą.

Odwróciła stronę i dowiedziała się, że jeden z kandydatów do Kongresu został oskarżony przez rywala o ateizm. Zdumienie Glorii zniknęło, gdy przeczytała, że oskarżenie było fałszywe. Kandydat powiedział tylko, że cud z rozmnożeniem chleba i ryb drugi raz się nie powtórzy; naciskany przyznał, że w stu procentach wierzy w chodzenie po wodzie.

Gloria skończyła pierwszego drinka i naląła sobie drugiego. Nałożywszy delikatną haleczkę i rozsiadłszy się wygodnie na tapczanie, uświadomiła sobie, że jest jej smutno i że po jej policzkach płyną łzy. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie lituje się nad sobą i z całych sił chciała powstrzymać płacz, ale zbyt przygnębiało ją to życie bez nadziei, bez radości; trzęsła głową z boku na bok, z kącikami warg drżąco ściągniętymi w dół, jakby przeczyła komuś czy czemuś. Nie wiedziała, że ten gest jest starszy niż historia, że nieznośny, uporczywy smutek setek pokoleń ludzkich objawiał się w takim właśnie geście przeczenia, skargi, zdumienia względem czegoś, co głębsze i potężniejsze niż to, co Bóg uczynił na podobieństwo człowieka, względem czego i sam Bóg, gdyby istniał, byłby równie bezradny. Na tym właśnie polega tragedia, że ta siła nigdy nic nie tłumaczy, nigdy nie odpowiada — ta siła nieuchwytna jak powietrze, bardziej konkretna od śmierci.

Richard Caramel

Na początku lata Anthony porzucił swój ostatni klub, „Amsterdam”. Ostatnio i tak nie odwiedzał go częściej niż dwa razy do roku, a składki były dla niego coraz większym ciężarem.

Wstąpił do niego po powrocie z Włoch, po pierwsze dlatego, że należeli do niego przedtem i ojciec, i dziadek, po drugie dlatego, że do tego klubu wstępował każdy, kto tylko miał ku temu okazję — Anthony zawsze jednak wołał „Harvard Club”, bo przecież należeli tam Dick i Maury. Teraz jednak, gdy fortuna odwróciła się od niego, coraz trudniej było mu utrzymać się w klubie... I wreszcie odrzucił go, nie bez żalu...

Dostał się teraz w dziwne towarzystwo. Część poznał w lokalu pod nazwą „U Sammy'ego” na Czterdziestej Trzeciej Ulicy; najpierw trzeba było zastukać do drzwi, jakieś oczy wpatrywały się pilnie przez judasza, po czym, jeśli oględziny wypadły pomyślnie, klient mógł zasiąść do wielkiego, okrągłego stołu i popijać całkiem niezłą whisky. Tu właśnie poznał Parkera Allisona, najgorszego z możliwych harwardzkich typów, który wydawał swą zbitą na drożdżach fortunę tak szybko, jak tylko się dało. Dla Parkera Allisona oznaką pozycji społecznej było jeździć po Broadwayu hałaśliwym, czerwono-żółtym samochodem wyścigowym w towarzystwie dwóch dziewcząt o drapieźnych oczach. Należał do mężczyzn, którzy woleli iść na kolację z dwiema dziewczynami niż z jedną — wyobraźni miał tyle, że nie potrafił nawet podtrzymać rozmowy.

Oprócz Allisona bywał „U Sammy'ego” Pete Lytell, wiecznie w szarym meloniku zsuniętym na bok głowy. Ten zawsze miał pieniądze i był zwykle w dobrym humorze, więc Anthony wiódł z nim bezcelowe, długie rodaków rozmowy przez wiele letnich, a potem jesiennych wieczorów. Zauważył po pewnym czasie, że Lytell nie tylko mówi, lecz również myśli wyłącznie utartymi zwrotami. Cała jego filozofia była ich jednym wielkim ciągiem; gromadził je to tu, to tam, przez całe swe czynne, bezmyślne życie. Powtarzał więc w kółko te same slogany o socjalizmie — te nieśmiertelne; i o istnieniu osoby boskiej, i o wypadku kolejowym, w którym brał udział, i o problemie irlandzkim, i o tym, jakie kobiety szanuje, i o bezcelowości prohibicji. W rozmowach wznosił się ponad poziom tych mętnie powiązanych frazesów, którymi interpretował najbardziej nawet zagmatwane wydarzenia w życiu nadzwyczaj pełnym wydarzeń, ale tylko wtedy, gdy dotyczyły one szczegółowo najbardziej zwierzęcych aspektów jego egzystencji: był subtelnym znawcą jałła, napojów i kobiet.

Był przy tym najbardziej pospolitym i najbardziej wyszukany produkt cywilizacji. Był jednym z dziewięciu na dziesięciu ludzi mijanych na ulicy — pozbawioną owłosienia małpą, wyuczoną kilkunastu sztuczek. Był bohaterem tysiąca romansów z życia i ze sztuki — i kompletnym debilem, grającym uparcie, lecz bezsensownie całą serię skomplikowanych i nieskończenie zaskakujących epepei przez swoje sześćdziesiąt lat życia.

Z takimi to ludźmi, jak ci dwaj, pił i dyskutował, pił i kłócił się Anthony Patch. Lubił ich za to, że nic o nim nie wiedzą, bo ich życie stanowiło otwartą księgę, bo żyli bez bladego pojęcia o ciągłości życia. Z nimi siedziało się nie na filmie, zarejestrowanym na kilku kolejnych taśmach, ale nad staroświeckim odczycie o podróży, w którym wszystkie wartości podane są jak na dłoni, przez co tworzył się kompletny zamęt wszelkich znaczeń. Ich samych jednak to nie dotyczyło, bo nie było w nich nic, co mogłoby podlegać temu zamętowi — oni frazesy zmieniali z miesiąca na miesiąc, jak krawaty.

Anthony, dworny, subtelny, przenikliwy Anthony, upijał się teraz codziennie — z takimi ludźmi u „Sammy'ego”, w domu nad książką, najczęściej dobrze znaną, i czasem, coraz rzadziej, z Gloria, która zaczęła w jego oczach nabierać niezaprzeczalnych cech kłótlivej, głupiej baby. Nie była to już, o nie, ta Gloria z dawnych dni, ta sama, która, gdy chorowała, wolała zatruwać życie całemu otoczeniu, niż przyznać się, że sama potrzebuje współczucia i opieki. Teraz upadła tak nisko, że narzekała i rozczulała się nad sobą. Co wieczór, gdy szła spać, smarowała twarz coraz to innymi masekami, które, jak naiwnie wierzyła, miały przywrócić blask i świeżość jej ginącemu pięknu — Anthony wyśmiewał ją wtedy, jeśli akurat był pijany. Na trzeźwo bywał grzeczny, czasem wręcz czuły, wykazując przez kilka krótkich godzin swe dawne zrozumienie, zrozumienie tak dogłębne, że uniemożliwiające mu wręcz czynienie jej wyrzutów — czyli najlepszą ze swoich cech, tę właśnie, która szybko i skutecznie doprowadziła go do ruiny.

Ale teraz nie cierpiał być trzeźwy. Zaczynał wtedy dostrzegać otaczających go ludzi, z ich walką o byt, ich niezaspokojonymi ambicjami, ich nadziejami, nikczemniejszymi nawet od rozpacz, z ich nie kończącymi się wzlotami i upadkami, widocznymi

najlepiej w każdej metropolii właśnie w mało ustabilizowanej klasie średniej. Nie mogąc dłużej żyć wśród bogatych, wołały już stoczyć się na samo dno nędzy; wszystko było lepsze niż ten kielich potu i łez.

Poczucie bezkresnej panoramy życia, nigdy szczególnie silne u Anthony'ego, przygasało w nim teraz tak, że niemal przestało istnieć. Od czasu do czasu cieszyło go czasem jakieś wydarzenie, jakiś gest Glorii — ale przez większość czasu żył niczym w żałobie. Starzał się, wszystko wokół blakło — zostawał tylko alkohol.

Alkohol był litościwy — dawał mu swoiste, nieokreślone poczucie blasku i przepychu, niejasne wspomnienie ulotnych, wyblakłych wieczorów. Po kilku whisky z wodą sodową z wysokich, rozświetlonych tysiąca i jednej nocy gmachu Bush Terminal padał czar: jego wierzchołek stawał się niebotycznym szczytem, lśniącem złotem pod niedostępnym niebem. A pospolita, banalna Wall Street stawała się na nowo triumfem złota, przepyszny, pełny uczucia spektaklem; miejscem, w którym wielcy władcy gromadzą pieniądze na swe wojny...

...Owoc młodości czy winorośli, ulotny czar krótkiej wędrówki z ciemności w ciemność — odwieczne złudzenie, że prawda i piękno są w jakiś sposób związane.

Któregoś wieczoru, gdy stał przed „Delmonico” zapalając papierosa, zobaczył dwie dorożki, czekające tuż przy chodniku w nadziei złapania kursu z jakimś pijaczkiem. Staroświeckie te powozy były sfatygowane i brudne — lakierowana skóra marszczyła się jak twarz starca, poduszki spłowiwały na kolor brązu i lawendy, stareńkie i zmęczone były nawet konie i siwowłosi dorożkarze, z wysokości kozła strzelający biczami w żalostnej parodii zuchowatej dziar-skości. Dawnych wspomnień czar.

Anthony Patch ruszył gwałtownie przed siebie w nagłym przy-
pływie przygnębienia, rozmyślając o tym, jak gorzkie są takie
wspomnienia; nic chyba nie psuje się tak szybko jak przyjemność.

Któregoś popołudnia spotkał na Czterdziestej Drugiej, po raz
pierwszy od wielu miesięcy, Richarda Caramela, którego twarz

rozrastała się na boki, chcąc dorównać rasowemu, bostońskiemu czołu.

— Wróciłem w tym tygodniu znad morza. Chciałem was odwiedzić, ale nie mam waszego nowego adresu.

— Przeprowadziliśmy się.

Richard Caramel zauważył, że Anthony ma na sobie niezbyt czystą koszulę, że mankiety jego rękawów są lekko, lecz wyraźnie przetarte, że oczy ma osadzone w półksiężycach koloru dymu z cygar.

— Tak właśnie się domyśliłem — powiedział, wbijając w przyjaciela swe jaskrawożółte oko. — Ale gdzie Gloria, i jak ona się ma? O, Boże, Anthony, słyszałem o was zupełnie nieprawdopodobne historie, i to nawet w Kalifornii — po czym wracam do Nowego Jorku, a wy jakby zapadliście się pod ziemię. Weźcież się w garść!

— Słuchaj no — z Anthony'ego wylał się cały potok niepewnych słów. — Nie będę ci tu robił całego wykładu. Pieniądze rozsły się nam na sto sposobów, no i oczywiście te plotki... ale to przez ten proces. W zimie wszystko się skończy, jestem tego pewny...

— Nie mów tak szybko, nie mogę się połapać — przerwał spokojnie Dick.

— Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia — obraził się Anthony. — Chcesz, to nas odwiedź, nie chcesz, to nie!

To rzekłszy odwrócił się na pięcie i ruszył w tłum, ale Dick dogonił go natychmiast i chwycił za ramię.

— Słuchaj no, Anthony, czemu zaraz się obrażasz? Wiesz przecież, że Gloria to moja kuzynka, a ty jesteś moim starym kumplem, więc chyba nic dziwnego, że obchodzi mnie trochę, kiedy schodzisz na psy i ciągniesz ją za sobą.

— Nie mam ochoty wysłuchiwać kazań.

— Nie, to nie. A może zaszedłbyś do mnie na drinka? Właśnie się urządziłem, a poza tym kupiłem od poborcy podatkowego trzy skrzynki ginu Gordona.

Gdy szli razem, zapytał w przypływie złości:

— No a co z tymi pieniędzmi dziadka? Dostaniesz je czy nie?

— No cóż — odpowiedział z urazą Anthony — ten stary idiota Haight jest chyba dobrej myśli, tym bardziej teraz, kiedy ludzie

mają dość stróżów moralności; no, wiesz, któryś z sędziów może sobie pomyśleć, że to przez Adama Patcha trudniej mu teraz kupić alkohol.

— Bez pieniędzy daleko nie zajdziesz — powiedział sentencjonalnie Dick. — Próbowałeś coś pisać... ostatnio?

Anthony w milczeniu pokręcił głową.

— Wiesz, to dziwne — powiedział Dick. — Zawsze wydawało mi się, że ty i Maury prędzej czy później zostaniecie pisarzami, a tymczasem z niego zrobił się zakichany arystokrata z wężem w kieszeni, a ty...

— A ja stałem się chodzącym ostrzeżeniem dla potomności.

— Ciekawe czemu?

— Tobie zapewne wydaje się, że wiesz — podsunął Anthony, usiłując się skoncentrować. — I upadek, i powodzenie wierzą święcie, że mają doskonale wyważony punkt widzenia; powodzenie dlatego, że mu się powiodło, upadek dlatego, że nie. Ktoś, komu się powiodło, może mówić swoim dzieciom, by uczyły się na jego powodzeniu, a ktoś, kto upadł, może mówić swoim dzieciom, by uczyły się na jego błędach.

— Nie zgadzam się z tobą — odezwał się autor „Golibrody we Francji”. Słuchałem, co ty i Maury mieliście do powiedzenia za młodu, i robiło to na mnie wrażenie, bo byliście konsekwentnymi cynikami, ale teraz... no, bo kto z nas w końcu, na Boga, żyje jeszcze życiem intelektualnym? Nie chcę się przechwalać, ale ja. Zawsze wierzyłem, i zawsze będę wierzyć, w wartości moralne.

— No cóż — sprzeciwił się Anthony — nawet jeśli z tym się zgodzę, wiesz chyba, że w praktyce życie nigdy nie stawia przed nami tak ściśle określonych problemów, prawda?

— Nieprawda. Są zasady, których nie złamałbym za nic w świecie.

— A skąd niby masz wiedzieć, że akurat je łamiesz? Możesz się tego jedynie domyślać, jak wszyscy. Oceniasz wartości z perspektywy czasu; dopiero wtedy kończysz portret, domalowujesz szczegóły i cienie.

Dick pokręcił głową z górnolotnym uporem.

— Nic się nie zmieniłeś, jesteś takim samym beznadziejnym cynikiem jak dawniej — powiedział. — W ten sposób tylko roztkliwiasz się nad sobą. I nie ruszysz palcem — więc dla ciebie i tak nic się nie liczy.

— Owszem, to prawda, że roztkliwianie się nad sobą świetnie mi idzie — przyznał Anthony. — I nie twierdzą też, że jest mi w życiu tak dobrze jak tobie.

— Mówisz, a przynajmniej zawsze mówiłeś, że w życiu liczy się tylko szczęście. Myślisz, że taki pesymizm wiele cię uszczęśliwił?

Anthony mruknął coś gniewnie. Rozmowa przestała go bawić. Był zdenerwowany, musiał się napić.

— Do diabła! — zawołał. — To gdzie ty w końcu mieszkasz? Zajdziemy chyba na koniec świata.

— Aha, więc twoja wytrzymałość jest wyłącznie wymiaru umysłowego, co? — odparował Dick. — Waśnie jesteśmy na miejscu.

Skręcił w bramę domu na Czterdziestej Dziewiątej, a po kilku minutach siedzieli już w wielkim, nowym pokoju z kominkiem i czterech ścianach całkowicie założonych książkami. Ciemnoskóry kamerdyner podał im gin z miętą; następna godzina minęła im uprzejmie wraz z powolnym opadaniem poziomu płynu w szklankach, w blasku lekkiego, śródjesiennego płomienia.

— Sztuka strasznie się zestarzała — powiedział po chwili Anthony. Po kilku szklankach napięcie jego nerwów ustąpiło; czuł, że znów może myśleć.

— Która?

— Wszystkie, ale pierwsza umrze poezja. Prędzej czy później wchłonie ją proza. Na przykład piękno słów, barwnych, pełnych blasku słów, i piękno porównań, stały się teraz atrybutem prozy. Poezja, jeśli chce zostać zauważona, musi odwoływać się do słów niezwykłych, surowych, przyziemnych słów, które nigdy dotąd nie były piękne. Piękno rozumiane jako suma kilku pięknych cząstek osiągnęło swój szczyt u Swinburne'a. Nic więcej już nie osiągnie — może poza powieścią właśnie.

Dick przerwał mu ze zniecierpliwieniem:

— A wiesz, że nudzą mnie te nowe powieści? Boże! Gdzie się nie pokażę, zaraz jakieś głupie dziewczę pyta mnie, czy czytałem „Po tej stronie raju”*. Czy naprawdę to właśnie im się podoba? Bo jeśli to ma być „jak w życiu” — w co zresztą nie wierzę — to następne

pokolenie schodzi na psy. Mam powyżej uszu tego żalostnego realizmu. Literaturze potrzeba teraz romantyków.

Debiutancka, poprzedzająca niniejszą powieść Fitzgeralda (przyp. tłum.).

Anthony usiłował przypomnieć sobie, jaką książkę Dicka czytał ostatnio. „Golibroda we Francji”, powieść „Ziemia silnych ludzi” i kilkadziesiąt opowiadań, które były jeszcze gorsze... Młodym, inteligentnym krytykom weszło już w nawyk nie wspominać Richarda Caramela, „pana” Richarda Caramela, jak go nazywali, inaczej jak z uśmiechem pogardy. Jego trupa wleczono ku pohańbieniu w każdym dodatku literackim; wypominano mu, że zbił majątek na tandetnej pisaninie dla kina; mody literackie zmieniły się i Dick stał się niemal symbolem tego, co w literaturze najgorsze.

Myśli te kłębiły się w głowie Anthony'ego; tymczasem Dick wstał i jakby się wahał.

— Mam tu trochę książek — odezwał się wreszcie.

— Widzę.

— To bardzo wyczerpujący zbiór dobrych pisarzy amerykańskich, i starych, i nowych. Z tym, że to nie to, co zwykle, wiesz, Longfellow i Whittier, tylko głównie współczesne.

Podszedł do jednej ze ścian. Anthony, widząc, że gospodarz tego po nim oczekuje, również wstał i ruszył za nim.

— Patrz!

Pod wydrukowaną nalepką z napisem „Americana” znajdowało się sześć długich rzędów książek, starannie oprawionych i najwyraźniej równie starannie dobranych.

— A tu masz pisarzy współczesnych.

Nareszcie Anthony zrozumiał. Pomiędzy Markiem Twainem a Dreiserem dostrzegł osiem obcych w tym towarzystwie i zupełnie doń nieprzystających tomów dzieł Richarda Caramela — była wśród nich oczywiście „Diabelska kochanka”, ale też siedem innych książek, okropnych, pozbawionych i szczerości, i wdzięku.

Anthony spojrział mimowolnie w twarz Dicka i zobaczył na niej lekkie zmieszanie.

— Oczywiście dołożyłem tu moje książki — powiedział pośpiesznie Richard Caramel — choć niektóre są może trochę nierówne — zdaje się, niestety, że pisałem trochę za szybko, kiedy

podpisałem umowę z tym czasopismem. Ale jestem przeciwnikiem fałszywej skromności. Prawda, od kiedy zostałem uznany jako pisarz, krytycy już tak się mną nie zajmują, ale to przecież nie krytycy się liczą — to bydło.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Anthony poczuł względem przyjaciela odrobinę dawnego, przyjemnego lekceważenia. Richard Caramel ciągnął dalej:

— Wiesz, moi wydawcy reklamują mnie jako amerykańskiego Thackeraya, wiesz, z powodu moich nowojorskich powieści.

— Tak, tak — Anthony stanął na wysokości zadania. — Tak, masz wiele racji.

Wiedział, że nie ma prawa go lekceważyć; wiedział, że bez chwili wahania zamieniłby się z Dickiem; sam przecież próbował kiedyś z całych sił pisać tak, jak on, nie to, co naprawdę myśli. No cóż, czy łatwo odwrócić się od pracy całego życia?...

I gdy później tego samego wieczora Richard Caramel zawzięcie tworzył kolejne dzieło, co chwila przyciskając niewłaściwy klawisz i wyężdżając zmęczone, różnokolorowe oczy, biedząc się nad swym kiczem przez długie smętne godziny, gdy dogasa ogień w kominku, a w głowie szumi od długiej koncentracji, Anthony, pijany w sztok, leżał na tylnym siedzeniu taksówki, wiozącej go do mieszkania przy Claremont Avenue.

Lanie

Wraz ze zbliżaniem się zimy w Anthony'ego wstąpił szal. Budził się rano tak zdenerwowany, że Gloria czuła, jak dygocze, nim udało się mu zebrać dość sił, by dowlec się do spiżarki i nalać sobie drinka. Na trzeźwo był teraz zupełnie nie do zniesienia; gdy tak upadał w oczach i tracił ogłade, Gloria odsuwała się od niego coraz bardziej i duszą, i ciałem. Gdy nie wracał do domu na noc — zdarzyło mu się to już kilka razy — nie tylko nie martwiła się tym, lecz czuła wręcz coś na kształt ponurej ulgi. Następnego dnia bywał skruszony i przyznawał wymuszenie, z wisielczym humorem, że chyba pije trochę za dużo.

Całymi godzinami przesiadywał teraz w wielkim fotelu, pozostałości jeszcze z pierwszego, kawalerskiego mieszkania, jakby

pograżony w transie — przestały go bawić nawet ulubione książki; a choć swarzyli się między sobą bez przerwy, był jeden temat, na który wiedli jeszcze prawdziwe rozmowy — proces o spadek. Trudno stwierdzić, jakie nadzieje żywiła Gloria w mrocznych zakamarkach swej duszy, czego spodziewała się po tym wielkim majątku. Okoliczności sprawiły, że zaczynała powoli przypominać prawdziwą kurę domową: ona, która jeszcze trzy lata temu nie zaparzała nawet kawy, teraz, bywało, przygotowywała po trzy posiłki dziennie. Popołudnie spędzała na długich spacerach, wieczorami czytała książki i czasopisma — wszystko, co jej wpadło w ręce. Jeśli pragnęła teraz dziecka, choćby dziecka Anthony'ego, który przychodził do jej łóżka pijany do nieprzytomności, ani słowem, ani w żaden inny sposób nie ujawniała swego zainteresowania dziećmi. Wątpliwe, czy była w ogóle zdolna wyjawić komukolwiek, czego chce, czy choćby czego mogłaby chcieć — ta samotna, piękna kobieta, teraz już trzydziestoletnia, skrywała się coraz bardziej za jakimś psychicznym hamulcem zrodzonym z jej urody i na zawsze z nią związanym.

Pewnego popołudnia, gdy śnieg znów zabrudził się wzdłuż Riverside Drive, Gloria, wracając ze sklepu, zastała Anthony'ego chodzącego tam i z powrotem po pokoju w stanie jeszcze większego niż dotychczas zdenerwowania. Rozgorączkowane oczy, które popatrzyły na nią z jego twarzy, poprzecinane były drobnymi, różowymi nitkami, przypominającymi jej rzeki na mapie. Przez chwilę miała wrażenie, że postarzał się nagle i ostatecznie.

— Masz trochę forsy? — zapytał ją niecierpliwie.

— Co? O co ci chodzi?

— O to, co powiedziałem. O forszę! Forszę! Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?

Minęła go bez słowa i poszła do spizarki, by odłożyć bekon i jaja do lodówki. Gdy pił szczególnie dużo, zawsze potem był w takim nastroju. Tym razem jednak podążył za nią i stanąwszy w drzwiach spizarki powtórzył pytanie.

— Nie słyszałaś, co do ciebie mówię? Masz trochę forsy?

Odwróciła się od lodówki i stanęła z nim twarzą w twarz.

— Chyba do reszty zwariowałeś! Wiesz przecież, że nic nie mam, może dolara drobnymi.

Wykonał szybki w tył zwrot, wrócił do salonu i znów chodził po nim tam i z powrotem. Widać było, że coś się stało, i że chce, by ona go o to zapytała. W chwilę później i ona weszła do salonu, usiadła na kanapie i zaczęła rozczesywać włosy. Nie obcinała ich już krótko; przez ostatni rok zmieniły kolor z intensywnego, połyskującego czerwono złota na matowy jasny brąz. Kupiła właśnie szampon, zamierzała je umyć; zastanawiała się, czy by nie przepłukać ich wodą utlenioną.

— No? — zapytała bez słów.

— Ten cholerny bank! — Głos mu drżał. — Miałem u nich konto przez ponad dziesięć lat... Dziesięć lat! Wyciągnęli jakiś przepis, że trzeba mieć u nich co najmniej pięćset dolarów. Kilka miesięcy temu dostałem od nich list, że jestem na minusie. Raz podpisałem dwa czeki bez pokrycia — pamiętasz, wtedy u Reisenwebera — ale zaraz następnego dnia wpłaciłem im, ile trzeba. I obiecałem przecież staremu Halloranowi, bo to on jest tam kierownikiem, stary sknera, że będę uważał. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku, że wpłacam całkiem regularnie. No i idę dziś, żeby zrealizować czek, a tu wychodzi do mnie Halloran i mówi, że musieli zlikwidować moje konto, że było za dużo czeków bez pokrycia, że rzadko kiedy miałem na nim więcej niż pięćset, i to najwyżej przez parę dni. A niech go! A wiesz, co powiedział na koniec?

— Co?

— Powiedział, że najwyższy czas było to zrobić, bo nie mam u nich ani centa!

— A nie masz?

— Tak się okazało. Dałem tym od Bedrosa czek na sześćdziesiąt za tą ostatnią skrzynkę whisky, a na koncie miałem akurat czterdzieści pięć dolarów. Ci od Bedrosa dołożyli piętnaście od siebie i wybrali wszystko do końca.

Glorii ignorancja w tych sprawach podsunęła jej natychmiast widmo więzienia i hańby.

— E, do tego się nie posuną — uspokoił ją. — Przymyt alkoholu jest teraz cholernie ryzykowny. Nie, najwyżej przyślą mi rachunek na piętnaście dolarów, to im zapłacę.

— Aha. — Zastanawiała się przez chwilę. — No to zawsze możemy znowu sprzedać jakieś akcje.

Zaśmiała się szyderczo.

— Oczywiście, tak jest najłatwiej. Kiedy te, z których mamy jeszcze jakieś dywidendy, warte są między pięćdziesiąt a osiemdziesiąt centów na dolarze. Za każdym razem, gdy sprzedajemy akcje, wyrzucamy połowę ich wartości w błoto.

— To co jeszcze możemy zrobić?

— No cóż, jak zwykle będziemy musieli coś sprzedać. Papieru mamy na osiemdziesiąt tysięcy. — Znów zaśmiał się nieprzyjemnie. — Dostalibyśmy za niego jakieś trzydzieści.

— Nigdy nie miałam zaufania do tych inwestycji na dziesięć procent.

— Akurat! — odparł. — Udawałaś tylko, żeby móc zatruć mi życie, jeśli coś poszło nie tak, ale zaryzykować miałaś taką samą ochotę jak ja.

Milczała przez chwilę, jakby zastanawiała się nad czymś; potem:

— Anthony — zawołała nagle — dwieście na miesiąc to lepsze niż nic. Sprzedajmy wszystkie akcje i włóżmy te trzydzieści tysięcy do banku, a jeśli przegramy proces, przeżyjemy za to trzy lata we Włoszech, a potem po prostu umrzemy. — Podniecona tą myślą uświadomiła sobie, że ogarnęła ją lekki przyływ uczucia, pierwszy od wielu dni.

— Trzy lata — powiedział nerwowo — trzy lata! Zwariowałaś. Jeżeli przegramy, Haight weźmie znacznie więcej. Myślisz, że pracuje za dobre słowo?

— Zapomniałam.

— ...No i jest sobota — ciągnął — a ja mam wszystkiego dolara i trochę drobnych, a musimy jakoś przeżyć do poniedziałku, bo dopiero wtedy mogę iść do maklera... A w domu nie ma nawet nic do picia — dodał po chwili.

— Nie możesz zatelefonować do Dicka?

— Już to zrobiłem. Służący powiedział mi, że wyjechał do Princeton. Ma przemawiać w jakimś klubie literackim czy czymś takim. Wróci dopiero w poniedziałek.

— To pomyślmy... Nie znasz nikogo, kto mógłby nam pożyczyć do poniedziałku?

— Już próbowałem, ale nikogo nie zastałem. Teraz żałuję, że nie sprzedałem tego listu Keatsa. A już się za to zabierałem w zeszłym tygodniu...

— A ci faceci, z którymi grywasz w karty „U Sammy'ego”?

— Nie sądzisz chyba, że zwrócę się do nich? — W jego głosie zabrzmiało święte oburzenie. Gloria skrzywiła się. Wolał, żeby ona cierpiała niedostatek, niż zwrócić się do kogoś z prośbą o przysługę. — Myślałem o Muriel — zaproponował.

— Jest w Kalifornii.

— No, a ci faceci, z którymi bawiłaś się tak świetnie, kiedy ja byłem w wojsku? Można by się spodziewać, że z rozkoszą oddadzą ci drobną przysługę.

Spojrzała na niego z pogardą, ale on nie zwrócił na to uwagi.

— Albo twoja stara przyjaciółka Rachael... albo Constance Merriam.

— Constance nie żyje od roku, a Rachael nie poproszę za nic w świecie.

— No to może ten pan, który kiedyś tak bardzo chciał ci pomóc, że aż nie mógł wytrzymać, ten Bleockman?

— Och! — Wreszcie udało mu się ją zranić; był jeszcze dość spostrzegawczy i uważny, by to dostrzec.

— No, czemu nie on? — nalegał okrutnie.

— Bo... bo on mnie już nie lubi — wykrztusiła z trudem, a potem ponieważ Anthony nadal nic nie mówił, tylko przyglądał się jej cynicznie: — No dobrze, chcesz, to ci powiem. Rok temu umówiłam się z nim — zmienił nazwisko na Black — i poprosiłam, żeby wkręcił mnie do filmu.

— Umówiłaś się z nim?

— Tak.

— Czemu mi o tym nie powiedziałaś? — zapytał z niedowierzaniem, a uśmiech powoli zniknął z jego twarzy.

— Bo pewnie akurat gdzieś piłeś. Załatwił mi próbne zdjęcia, i uznali, że jestem już za stara, chyba że do ról charakterystycznych.

— Charakterystycznych?

— No, wiesz, „kobieta w wieku balzakowskim” czy coś w tym rodzaju. A ja wcale się tak nie czułam...

— A niech go szlag! — wrzasnął Anthony, paradoksalnie dodając jej ducha tym okrzykiem. — Co za...

— I dlatego teraz nie mogę zwracać się do niego.

— Co za bezczelność! — Anthony nie mógł się uspokoić. — Co za bezczelność!

— Anthony, to już nie ma znaczenia. My musimy przeżyć jakoś do poniedziałku, a w domu mamy tylko bochenek chleba, pół funta bekonu i dwa jajka na śniadanie. — Wręczyła mu całą zawartość portmonetki. — Patrz, tu jest siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, o, dolar piętnaście. Z tym, co ty masz, mamy razem dwa i pół, правда? Anthony, jakoś nam wystarczy. Przecież jedzenia można za to kupić tyle, że i przez dwa dni tego nie zjemy.

Pokręcił głową, dzwoniąc bilonem w dłoni.

— Nie, muszę się napić. Jestem taki podenerwowany, że aż się trzęsę. — Olśniła go nagła myśl. — A może Sammy przyjmie czek? Wtedy zaraz w poniedziałek pobiegnę do banku z pieniędzmi.

— Przecież zlikwidowali już twoje konto.

— Racja, racja, zapomniałem. Wiesz co? Pójdę do „Sammy'ego”, może ktoś mi tam trochę pożyczy. Chociaż naprawdę nie chciałbym ich prosić... — Pstryknął w palce. — Wiem już. Zastawię zegarek. Dostanę za niego dwadzieścia dolarów, a w poniedziałek odbiorę go dopłacając najwyżej sześć centów. Już raz go zastawiałem, jeszcze w Cambridge.

Był już w płaszczu, rzucił jej pośpiesznie „do widzenia” i pobiegł niemal korytarzem w stronę drzwi frontowych.

Gloria zerwała się na równe nogi. Wiedziała już, gdzie zapewne pójdzie przede wszystkim.

— Anthony! — zawołała za nim. — Może lepiej zostaw tu te dwa dolary? Przecież ty potrzebujesz tylko na taksówkę...

Ale drzwi już trzasnęły — udał, że nie słyszy. Stała przez chwilę patrząc za nim; potem poszła do łazienki, między swe tragiczne maści, i zaczęła przygotowywać się do mycia włosów.

„U Sammy'ego” Anthony znalazł Parkera Allisona i Pete'a Lytella, siedzących samotnie przy stole i popijających whisky z cytryną. Było tuż po szóstej; Sammy, a właściwie Samuele Bendiri, gdyż tak nazwano go na chrzcie, upychał miotłą zamiecione niedopałki papierosów i potłuczone szkło w róg sali.

— Cześć, Tony! — zawołał Parker Allison. Czasem nazywał go Tony, czasem Dan; dla niego wszyscy mężczyźni imieniem Anthony istnieli pod jednym z tych dwóch zdrobnień.

— Siadaj. Czego się napijesz?

Jadąc metrem Anthony przeliczył pieniądze i odkrył, że ma prawie cztery dolary. Stać go było na dwie kolejki po pięćdziesiąt

centów za drinka — czyli wypije ich sześć. Potem pójdzie na Szóstą Aleję, gdzie zamieni zegarek na dwadzieścia dolarów i kwit z lombardu.

— No, dranie — powiedział jowialnie — jak leci?

— Leci, leci — odpowiedział Allison. Mrugnął do Pete'a. — Masz pecha, że jesteś żonaty, bo my mamy niezły towar na po jedenastej, jak skończą się seanse. Ehe! Tak, tak, masz pecha, że jesteś żonaty... Nie, Pete?

— 'Sz pecha.

O wpół do ósmej, po spodziewanych sześciu kolejkach, Anthony zaczął powoli zmieniać plany. Był teraz bardzo szczęśliwy i radosny — bawił się wprost świetnie. Anegdotka, którą właśnie kończył opowiadać mu Pete, była niezwykle i głęboko humorystyczna; znów, jak zwykle o tej mniej więcej porze dnia, dokonywał odkrycia, że jego kumple to „niech to, naprawdę porządni goście!”, którzy zrobią dla niego więcej niż wszyscy inni znajomi razem wzięci. Lombardy są w sobotę otwarte do późna w noc; czuł, że jeszcze jedna kolejka, i uda mu się spojrzeć na życie przez czarodziejskie, różowe okulary.

Udał, że szuka czegoś w kieszonkach kamizelki, wyciągnął z nich dwie ćwierćdolarówki i popatrzył na nie jakby w zdumieniu.

— No, niech to! — zawołał z udawanym smutkiem. — Patrzcie, wyszedłem z domu bez portfela.

— Potrzebujesz forsy? — spytał zaraz Lytell.

— Zostawiłem pieniądze w domu, na szafce w przedpokoju. A tak chciałem postawić wam jeszcze jednego.

— E, daj spokój — Lytell lekceważąco machnął ręką. — Stać nas przecież, żeby postawić takiemu kumplowi, ile tylko zechce. To co, jeszcze raz to samo?

— Wiecie co? — zaproponował Parker Allison. — A może by tak posłać Sammy'ego naprzeciwko po kanapki, to będziemy mieli kolację z głowy?

Dwaj pozostali zgodzili się.

— Dobry pomysł.

— Ej, Sammy, mamy dla ciebie fuchę...

Tuż po dziewiątej Anthony dźwignął się z trudem na nogi i rzuciwszy współbiesiadnikom niewyraźne „Dobranoc”, chwycił podszedł do drzwi, po drodze wręczając Sammy'emu jedną

z ćwierćdolarówek. Stanąwszy na ulicy zawahał się przez chwilę, po czym ruszył w stronę Szóstej Alei, gdzie, jak pamiętał, często mijał kilka lombardów pod rząd. Przeszedł obok kiosku i dwóch drogerii — i wtedy uświadomił sobie, że oto stoi już przed poszukiwanym przez siebie przybytkiem, ale ten jest zamknięty, i to nie tylko na klucz, lecz i na kratę. Poszedł dalej, niewzruszony; następny, w połowie drogi do kolejnej przecznicy, też był zamknięty, podobnie jak dwa inne, po drugiej stronie ulicy, i piąty na skrzyżowaniu. W tym ostatnim zobaczył słabe światelko, więc zaczął dobijać się do przeszklonych drzwi; zrezygnował dopiero na widok wynurzającego się z głębi lombardu stróża, który gniewnym gestem nakazał mu, by sobie poszedł. Coraz bardziej zniechęcony i coraz bardziej zdezorientowany jeszcze raz przeszedł przez jezdnię i ruszył z powrotem ku Czterdziestej Trzeciej. Na rogu przy lokalu Sammy'ego zatrzymał się, nie wiedząc, co począć — jeżeli teraz wróci do domu, tak jak domagał się jego organizm, wystawi się na ostre wymówki; z drugiej strony nie wiedział, skąd wziąć pieniądze, skoro lombardy są już zamknięte. Postanowił wreszcie poprosić jednak o pożyczkę Parkera Allisona, ale gdy doszedł do Sammy'ego, drzwi były tam zamknięte, światła — pogaszone. Popatrzył na zegarek; wpół do dziesiątej. Ruszył przed siebie.

Dziesięć minut później zatrzymał się bez powodu na rogu Czterdziestej Trzeciej i Madison Avenue, na przeciwległym rogu w stosunku do jasnego, lecz niemal opustoszałego wejścia do hotelu „Biltmore”. Stał tam przez chwilę, po czym usiadł ciężko na wilgotnej desce pośród resztek jakiegoś rusztowania. Odpoczywał tak przez około pół godziny; przez ten czas jego umysł stanowił zmieniający się układ najprostszych myśli, wśród których dominowało przekonanie, że musi skądś zdobyć pieniądze, a potem wrócić do domu, nim całkiem straci orientację.

Spojrząwszy jeszcze raz ku „Biltmore” dostrzegł tuż pod jedną z lamp portalu hotelowego mężczyznę stojącego obok kobiety w gronostajach. Patrzył, jak para przesuwają się na skraj jezdni i przywołuje taksówkę. Z pewnością, jaką dać mogą tylko długie lata znajomości, Anthony rozpoznał sposób chodzenia Maury'ego Noble'a.

Zerwał się na równe nogi.

— Maury! — zawołał.

Maury popatrzył w jego kierunku, po czym znów odwrócił się do dziewczyny; taksówka właśnie zajęchała. Ogarnięty bezładną myślą pożyczania dziesięciu dolarów Anthony popędził ile sił w nogach na ukos przez Madison Avenue, a potem wzdłuż Ulicy Czterdziestej Trzeciej.

Gdy podbiegł pod „Biltmore”, Maury stał już przy szeroko otwartych drzwiczkach taksówki. Jego towarzysza odwróciła się i patrzyła na Anthony'ego ze zdziwieniem.

— Cześć, Maury! — powiedział, wyciągając dłoń. — Jak się masz?

— Dziękuję, w porządku.

Ich dłonie opadły; Anthony zawahał się. Maury nawet nie próbował go przedstawić; stał tylko, wpatrując się w niego w nieprzeniknym, kocim milczeniu.

— Chciałem się z tobą zobaczyć... — zaczął Anthony niepewnie. Nie wypadało mu jakoś prosić o pożyczkę w obecności tej dziewczyny, więc odsunął się lekko i zbytnio tego nie kryjąc skinął na Maury'ego, by do niego podszedł.

— Dość się teraz spieszę, Anthony.

— Wiem... Ale czy mógłbyś, czy mógłbyś... — Znów się zawahał.

— Może kiedy indziej — powiedział Maury.

— To ważne.

— Przykro mi, Anthony.

Zanim Anthony zdecydował się wyjawić mu swą prośbę, Maury spokojnie odwrócił się ku dziewczynie, pomógł jej wsiąść do samochodu i z grzecznym „do widzenia” usiadł obok niej. Skinął głową, a Anthony'emu wydało się, że przez cały czas wyraz twarzy Maury'ego ani trochę się nie zmienił. Taksówka ruszyła przed siebie z niecierpliwym zgrzytem. Anthony został sam na rześście oświetlonym podjeździe.

Wszedł do środka hotelu, sam nie wiedział, po co; dlatego tylko, że akurat stał przy wejściu. Przebywszy szerokie schody znalazł wolny stolik. Świadomość, jak został przed chwilą potraktowany, doprowadzała go do wściekłości; był urażony i rozgniewany tak, jak tylko to możliwe w stanie, w którym się znajdował. Mimo to nie przestawała prześladować go uporczywa myśl, że nim pójdzie do domu, musi gdzieś zdobyć pieniądze, i po raz kolejny policzył na

palcach wszystkich znajomych, do których mógłby zwrócić się w tak nagłej potrzebie. Wreszcie wpadł na pomysł, by zatelefonować do Howlanda, swego maklera, do domu.

Po dłuższym oczekiwaniu okazało się, że i pana Howlanda nie ma. Wrócił do telefonistki i pochylił się nad jej biurkiem, obracając w palcach ćwierćdolarówkę, jakby postanowił nie ruszyć się stąd, dopóki nie osiągnie celu.

— Proszę mnie połączyć z panem Bleockmanem — powiedział nagle. Zdumiał się na dźwięk własnych słów. Nazwisko to zjawilo się na jego ustach zupełnie nie wiadomo skąd.

— Jaki numer, proszę pana?

Sam nie wiedząc, co robi, Anthony zaczął szukać Josepha Bleockmana w książce telefonicznej, ale bez rezultatu. Już miał zamknąć książkę, gdy olśniło go, że Gloria wspomniała o zmianie nazwiska. Kwestią jednej minuty było odnalezienie Josepha Blacka — Anthony czekał w kabinie, podczas gdy w centrali wykręcano numer.

— Halo? Zastąłem pana Bleockmana... to jest pana Blacka?

— Nie, wyszedł. Czy mam coś przekazać? — Zaciągający z cockneyowska głos przypominał mu pełne szacunku dźwięki wydawane przez Boundsa.

— A gdzie teraz jest?

— Przepraszam, a z kim mam przyjemność?

— Tu Patch. To sprawa życia i śmierci.

— No... Jest na jakimś przyjęciu w „Boul' Mich”, proszę pana.

— Dzięki.

Anthony porwał pięć centów reszty i popędził do „Boul' Mich”, popularnego dancingu na Czterdziestej Piątej Ulicy. Dochodziła już dziesiąta, ale chodniki były jeszcze puste, jeszcze przez godzinę, nim teatry i kina wyrzucą z siebie swą mierzwę. Anthony znał ten lokal; bywał tam z Gorią w ciągu poprzedniego roku; pamiętał, że wstęp jest tam tylko w strojach wieczorowych. No to wcale nie musi wchodzić do środka, tylko wysłać boya po Bleockmana i zaczeka na niego w dolnym hallu. Przez chwilę nie wątpił nawet, że cała sytuacja jest całkowicie naturalna; w jego chorej wyobraźni Bleockman stał się nagle jednym ze starych znajomych.

W hallu wejściowym „Boul' Mich” było bardzo ciepło; nad grubym, zielonym dywanem świeciły wysoko żółte światła; z samego środka dywanu prowadziły na parkiet białe schody.

Anthony podszedł do boya.

— Chciałbym zobaczyć się z panem Bleockmanem... z panem Blackiem — oznajmił. — Jest tam, na górze, proszę go wywołać.

Boy pokręcił głową.

— U nas się tego nie robi. Wie pan, przy którym jest stoliku?

— Nie, ale koniecznie muszę się z nim zobaczyć.

— Proszę poczekać, zawołam kelnera.

Po krótkiej chwili pojawił się starszy kelner, niosąc arkusz z rezerwacjami. Rzucił Anthony'emu cyniczne spojrzenie, zupełnie jednak przez niego nie zauważone. Razem pochylili się nad kartką i bez trudu odnaleźli właściwy stolik — na osiem osób, zarezerwowany przez samego pana Blacka.

— Proszę mu powiedzieć, że czeka Patch. To bardzo, bardzo ważne.

I znów czekał, opierając się o poręcz i wsłuchując się w przytłumione takty „Chorych na jazz”, spływające w dół po schodach. Stojąca opodal szatniarka podśpiewywała sobie:

W jazzowym sanatorium

Leczą się chorzy na jazz

W jazzowym sanatorium

Zamknęli moją Ress

Na śmierć się zatańczyła

Chcę, by się wyleczy ta...

Nagle dojrzał zstępującego po schodach Bleockmana. Posunął się o krok do przodu, by się przywitać.

— Chciał pan widzieć się ze mną? — odezwał się głośno były Bleockman.

— Tak — odpowiedział Anthony skinąwszy głową. — W sprawie osobistej. Może przejdziemy tu na bok, co?

Przyglądając mu się bacznie spod oka, Bleockman ruszył za nim ku zakrętowi schodów, gdzie znaleźli się poza zasięgiem wzroku i słuchu ludzi wchodzących lub wychodzących z restauracji.

- No więc? — zapytał.
- Muszę z panem pogadać.
- O czym?

Anthony zaśmiał się tylko; wypadło to dość głupio, choć miało zabrzmieć swobodnie.

— No więc, o czym chciał pan ze mną mówić? — powtórzył Bleockman.

— Co się tak śpieszysz, stary? — Próbował klepnąć go przyjacielsko po ramieniu, ale Bleockman odsunął się lekko. — Jak się masz?

— W porządku, dziękuję... Proszę pana, jestem tu ze znajomymi. Źle sobie o mnie pomyślą, jeżeli zaraz do nich nie wrócę. W jakiej sprawie chciał pan zobaczyć się ze mną?

Po raz drugi tego wieczora umysł Anthony'ego wykonał nagły skok; wcale nie chciał powiedzieć tego, co powiedział.

— Podobno wywaliłeś pan moją żonę z filmu.

— Co takiego?! — Czerstwa twarz Bleockmana pociemniała równoległymi płaszczyznami cienia.

— To, co mówię.

— Panie Patch — powiedział Bleockman spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy. — Jest pan pijany. Jest pan obrzydliwie, odrażająco pijany.

— Ale nie na tyle, by z panem nie gadać — napierał na niego Anthony z wyzywającym uśmiechem. — Po pierwsze, nic pan nie masz do mojej żony. Rozumiesz pan? Nic a nic!

— Niechże pan zamilknie! — rozgniewał się Bleockman. — Wydawało mi się, że szanuje pan żonę na tyle, by nie mieszać jej do rozmów w takich okolicznościach.

— Już pan się nie martw, jak ja pilnuję mojej żony. Zostaw pan ją w spokoju, rozumiesz pan? Idź pan do diabła!

— Proszę pana, pan chyba zwariował — zawołał Bleockman. Postąpił dwa kroki do przodu, jakby zamierzał odejść, ale Anthony zastąpił mu drogę.

— Nie tak szybko, parszywy Żydzie.

Przez chwilę stali patrząc na siebie, Anthony kiwając się lekko z boku na bok, Bleockman niemal drżąc z furii.

— Proszę się liczyć ze słowami! — zawołał zduszonym głosem.

Anthony powinien w tym miejscu przypomnieć sobie spojrzenie, które Bleockman rzucił mu wiele lat temu w hotelu „Biltmore”. Ale teraz nie pamiętał już nic, nic...

— Chcesz, to powiem to jeszcze raz, ty par...

Wtedy właśnie Bleockman zamachnął się całą siłą ramienia dobrze zbudowanego, czterdziestopięcioletniego mężczyzny, zamachnął się i uderzył Anthony'ego prosto w zęby. Ten zatoczył się na schody, ustał i pijackim, bezładnym ciosem usiłował trafić przeciwnika, ale Bleockman, wysportowany dzięki codziennym ćwiczeniom i znający się co nieco na boksie, z łatwością sparował i umieścił na twarzy Anthony'ego dwa szybkie, potężne haki. Anthony stęknął lekko i przewrócił się na zielony, puszysty dywan; na ziemi zorientował się, że usta ma pełne krwi i jakby dziwnie zmiękłe z przodu. Dźwignął się na nogi sapiąc i spluwając, i gdy znów rzucił się ku Bleockmanowi, stojącemu o kilka kroków dalej z zaciśniętymi, lecz opuszczonymi pięściami, jak spod ziemi wyrosli przy nim dwaj kelnerzy i pochwycili go za ręce; teraz mógł tylko szamotać się bezradnie. Z tyłu, nie wiadomo jak i kiedy, zdążyło już zgromadzić się kilkanaście osób.

— Zabiję go! — wrzeszczał Anthony, wyrывая się i rzucając to w jedną stronę, to w drugą. — Puście mnie, ja go zabiję...

— Wyrzucie go stąd — Bleockman dopiero teraz stracił zimną krew; przez tłum przepchnął się ku niemu drobny człowieczek o ospowatej twarzy.

— Jakies kłopoty, proszę pana?

— Ten kloszard chciał mnie szantażować — powiedział Bleockman, a potem, głosem uniesionym w nieco wyższy ton dumy: — Ale dostał już, na co zasłużył!

Człowieczek zwrócił się do jednego z kelnerów.

— Proszę wezwać policjanta! — zarządził.

— Nie, nie trzeba — pośpiesznie wtrącił się Bleockman. — Nie chcę żadnego rozgłosu. Wyrzucie go po prostu na ulicę... Uff! Co za bezczelność! — Odwrócił się i z wystudiowaną godnością ruszył w stronę toalety. Tymczasem sześć krzepkich dłoni pochwyciło Anthony'ego i powlokło go do drzwi. Tu „kloszard” został potężnie pchnięty na chodnik, na którym wylądował na czworakach z idiotycznym kłapnięciem, po czym powoli upadł na bok.

Uderzenie o bruk ogłuszyło go; przez chwilę leżał bez ruchu, w ostrym, przeszywającym całe ciało bólu. Potem nieprzyjemne doznania skoncentrowały się w żołądku i odzyskał przytomność na tyle, by zorientować się, że naciska go jakaś duża stopa.

— No, spływaj stąd, pijaku! Rusz się!

Był to głos dużego portiera. Przy krawężniku zatrzymała się taksówka, pasażerowie wysiedli — ściślej mówiąc, dwie kobiety stały wciąż na stopniu, czekając w urażonej delikatności, aż usunie się z ich drogi tę obrzydliwą przeszkodę.

— Rusz się, bo jak nie, to ja ci pomogę!

— Poczekaj pan, ja go stąd zabiorę.

Ten głos był nowy; Anthony'emu wydało się, że jest nieco bardziej przychylny i ogólnie znacznie lepiej do niego usposobiony, niż ten pierwszy. Znow poczuł na sobie czyjeś ręce, które na wpół zaniósły, na wpół zawlokły go w przyjemny cień cztery domy dalej i oparły o kamienną fasadę sklepu modniarskiego.

— Śliczne dzięki — wymamrotał słabo Anthony. Ktoś wepchnął mu na głowę jego miękki kapelusz; Anthony skrzywił się z bólu.

— Siedź spokojnie, koleś, zaraz będzie ci lepiej. Dali ci popalić, i to nieźle.

— Wróć tam zaraz i zabiję tego parszywego... — Próbował wstać, ale znow opadł na ścianę.

— Dziś już nikomu nie dołożysz — odezwał się znow ten sam głos. — Może kiedy indziej. Dobrze mówię, co? Dawaj, pomogę ci...

Anthony skinął głową.

— I najlepiej zrobisz, jak teraz pójdziesz do domu. Koleś, wiesz, że straciłeś dziś ząbek?

Anthony sprawdził tę informację macając językiem wewnątrz ust. Potem z trudem uniósł dłoń i znalazł puste miejsce.

— A teraz, koleś, jazda do domu. Chodź, pomogę ci. To gdzie mieszkasz...

— Jak Boga kocham! Jak Boga kocham! — przerwał Anthony, ze złością zaciskając pięści. — Już ja im pokażę! Chodź pan ze mną, zapłacę panu. Mój dziadek to Adam Patch z Tarrytown...

- Kto?
- Adam Patch, jak Boga kocham!
- Chcesz teraz jechać aż do Tarrytown?
- Nie.
- No to gadaj, gdzie chcesz jechać, koleś, a ja złapię taksówkę.

Anthony spostrzegł teraz, że jego Samarytanin to niski, barczysty jegomość w dość wytartym ubraniu.

- No, gadajże wreszcie, gdzie mieszkasz, co?

Choć pijany i oszołomiony, Anthony pomyślał sobie, że jego adres nie będzie zbyt zachęcającym potwierdzeniem jego przechwałek o dziadku.

- Wołaj pan taksówkę — zażądał, macając się po kieszeniach.

Podjechał samochód. Anthony znów próbował wstać, ale noga zgięła mu się w kostce, jakby składała się z dwóch odrębnych części. Chcąc nie chcąc, Samarytanin musiał mu pomóc, a potem wsiąść za nim do taksówki.

— Słuchaj no, koleś — rzekł — jesteś wstawiony i do tego spowiewierany. Nie trafisz do domu bez pomocy, więc jadę z tobą, ale liczę, że mi się to opłaci. Gdzie mieszkasz?

Anthony niechętnie podał adres. Potem, gdy tylko samochód ruszył, wsparł głowę na ramieniu wybawcy i zapadł w ciemne, bolesne odrętwienie. Gdy się zbudził, był już na zewnątrz taksówki przed domem na Claremont Avenue, a Samarytanin usiłował postawić go na nogi.

- Ujdziesz?

— Tak, chyba... Lepiej, żeby pan ze mną nie wchodził. — Znów pomacał się bezradnie po kieszeniach. — Tylko, widzi pan — dodał przepraszająco, kiwając się niebezpiecznie na nogach — niestety nie mam przy sobie ani centa.

- Co?!

- Jestem splukany.

— Ach ta-a-ak?! To po coś obiecywał, że mi zapłacisz? A kto zapłaci za taksówkę? — Odwrócił się ku kierowcy, by ten potwierdził jego słowa. — Słyszał pan przecież, jak mówił, że zapłaci. I to, co wygadywał o tym swoim dziadku?

— Prawdę mówiąc — wtrącił niezbyt ostrożnie Anthony — pan mówił przez cały czas; ale gdyby jutro zaszedł pan do mnie...

Tu z taksówki wychylił się kierowca i rzucił drapieźnie: — A przywalże mu pan raz a dobrze! Widziałeś pan, jaki sknera! Myślisz pan, że wyrzuciliby go stamtąd, gdyby nie był włóczęgą?

Idąc za tą radą pięść Samarytanina wystrzeliła jak z procy i posłała Anthony'ego na kamienne schody przed bramą; leżał tam już tylko, a wysokie budynki kołysały się wokół niego to w jedną, to w drugą stronę...

Po dłuższej chwili ocknął się i stwierdził, że znacznie pochłodziło. Usiłował poruszyć się, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Z niewiadomych powodów chciał koniecznie zerknąć na zegarek, ale gdy sięgnął do kieszonki, nie znalazł w niej nic. Mimowolnie jego usta złożyły się w ten wyświechtany zwrot:

— Co za wieczór!

Co dziwne, był teraz niemal całkiem trzeźwy. Nie poruszając głową uniósł wzrok tam, gdzie księżyc stał na kotwicy na środku nieba, świecąc wprost w Claremont Avenue, niczym w głąboką, niezbadaną otchłań. Jedynym znakiem życia był ciągły szum w uszach; po chwili jednak Anthony złamał milczenie wyraźnym, szczególnym dźwiękiem; dźwiękiem, który na próżno usiłował wydać z siebie tam, w „Boul' Mich”, gdy stał z Bleockmanem twarzą w twarz — dźwiękiem, którego nie sposób pomylić z jakimkolwiek innym: ironicznym śmiechem, jaki na jego poszarpanych, okrwawionych wargach brzmiał jak żalosne wymioty duszy.

Proces skończył się w trzy tygodnie później. Niemordowana jak dotąd machina biurokratyczna, pracująca bez wytchnienia przez cztery i pół roku, nagle zakrzuszyła się i stanęła. Anthony i Gloria, a z drugiej strony Edward Shuttleworth i cała zgraja spadkobierców składali zeznania, łgali i łamali wszystkie inne zasady pożycia społecznego z różnym natężeniem chciwości i rozpacz. Pewnego marcowego poranka Anthony obudził się ze świadomością, że o czwartej tego dnia zostanie ogłoszony wyrok; z tą myślą wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Z krańcowym zdenerwowaniem mieszał się niczym nie uzasadniony optymizm co do wyniku procesu. Świącie wierzył, że decyzja sądów niższej instancji zostanie uchylona, choćby tylko dzięki podnoszącej ostatnio głowę

reakcji przeciwko stróżom moralności i ich reformom, jaka pojawiła się pod wpływem drakońsko wprowadzonej prohibicji. Bardziej niż na czysto prawne aspekty sprawy liczył na osobiste ataki, jakie przypuścili na Shuttlewortha.

Gdy już się ubrał, nalał sobie whisky, po czym wszedł do pokoju Glorii, która też już nie spała. Od tygodnia nie ruszała się z łóżka, dogadzając sobie, jak twierdził Anthony, choć doktor uważał, że nie należy jej niepokoić.

— Dzień dobry — szepnęła bez uśmiechu. Jej oczy sprawiały tego dnia wrażenie niezwykle wielkich i pociemniałych.

— Jak się czujesz? — zapytał niechętnie. — Trochę lepiej?

— Tak.

— Dużo lepiej?

— Tak.

— Na tyle dobrze, żeby iść dziś ze mną do sądu?

Skinęła głową.

— Tak. Bardzo bym chciała. Dick mówił wczoraj, że jeżeli będzie ładna pogoda, przyjedzie po mnie i zabierze mnie na przejażdżkę do Central Parku — i widzisz, cały pokój jest w słońcu.

Anthony machinalnie popatrzył w okno, a potem usiadł na łóżku.

— Boże, jaki jestem zdenerwowany! — zawołał.

— Nie siadaj tu — powiedziała szybko.

— Dlaczego?

— Czuć od ciebie whisky. Nie znoszę tego.

W zamyśleniu wstał i wyszedł z pokoju. Chwilę później zawołała go znów; wyszedł do delikatesów i przyniósł jej trochę sałatki ziemniaczanej i kawałek kurczaka na zimno.

O drugiej zajechał pod dom samochód Richarda Caramela i gdy ten oznajmił swój przyjazd domofonem, Anthony zwiózł Glorię windą i odprowadził ją do krawężnika.

Powiedziała kuzynowi, jak to miło z jego strony, że tak się nią zajmuje. — Nie wygłupiaj się — odpowiedział lekceważąco Dick. — Przecież to drobiazg.

Ale, co dziwne, wcale tak nie myślał. Richard Caramel wielu ludziom wybaczał ich winy, ale nigdy nie przebaczył swej kuzynce,

Glorii Gilbert, pewnej uwagi, którą uczyniła tuż przed swym ślubem, siedem lat temu. Powiedziała wtedy, że nie zamierza przeczytać jego książki.

A Richard Caramel pamiętał takie rzeczy — i pamiętał to przez siedem długich lat.

— O której mam się was spodziewać? — zapytał Anthony.

— Już tu nie wrócimy — odpowiedziała. — Spotkamy się o czwartej w sądzie.

— W porządku — mruknął. — To do zobaczenia.

Wróciwszy na górę zastał pod drzwiami list. Była to powielona ulotka, napisana pogardliwie potocznym językiem, wzywająca „chłopców”, by płacili składki Legionu Amerykańskiego. Niecierpliwie wyrzucił ją do kosza i usiadł z łokciami wspartymi o parapet, wpatrując się tępo w słoneczną ulicę.

Włochy — jeżeli orzeczenie będzie po ich myśli, natychmiast wyjadą do Włoch. Słowo było teraz dla niego niczym talizman; ten kraj, w którym wszystkie troski życia opadną z niego jak stare ubranie. Najpierw pojedą do wód, by tam, wśród jaskrawo barwnego tłumu, zapomnieć o szarych atrybutach rozpaczy. Cudownie odświeżony, znów przechadzać się będzie o zmroku przez Piazza di Spagna, płynąc wśród morza śniadych kobiet, obdartych żebraków i surowych, bosonogich mnichów. Myśl o kobietach z Włoch podnieciła go lekko — z ciężką kieszą przyciągnie może do siebie i miłość, romantyczną miłość błękitnych kanałów Wenecji, złotozielonych wzgórz Fiesole po deszczu i kobiet, wciąż zmieniających się kobiet, rozpływających się w powietrzu i w inne kobiety, odpływające z jego życia, lecz wiecznie piękne, wiecznie młode.

Po chwili uznał, że teraz wszystko musi się zmienić. Wszystkim nieszczęściom, jakich dotąd zaznał, wszystkim smutkom i cierpieniom, jakie stały się jego udziałem, winne były kobiety. Na różne sposoby działały tak na niego, nieświadomie, niemal od niechcenia — być może, przekonawszy się, jaki jest słaby i pełen obaw, zabijały w nim wszystko, co zagrażało ich niepodzielnej władzy.

Odwróciwszy się od okna stanął twarzą w twarz ze swym odbiciem w lustrze i z niechęcią popatrzył na bladą twarz o ziemistej cerze, na oczy, pokryte siatką linii przypominających smugi zaschniętej krwi, przygarbioną, sflaczałą sylwetkę, wyraźniej niż

cokolwiek innego świadcząca o letargu, w którym się pogрузzył. Ma lat trzydzieści trzy — wygląda na czterdzieści. No, teraz wszystko się zmieni.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka. Anthony poderwał się gwałtownie, jak zdzielony obuchem. Opanował się, przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi. Stała w nich Kropeczka.

Walka

Cofając się przed nią dotarł aż do salonu, rozumiejąc tylko co poniektóre słowa w powolnym strumieniu zdań, które płynęły jej z ust, jedno po drugim, nużąc i monotownie. Ubrana była przyzwyczajenie, choć tandetnie — jakiś żalony kapelusik, zdobny w różowo-niebieskie kwiatki, zakrywał jej ciemne włosy. Z tego, co do niego dotarło, zrozumiał, że kilka dni wcześniej przeczytała w gazecie artykuł o procesie i wydobyla jego adres od jakiegoś urzędnika w sądzie. Telefonowała, ale kobieta, której nie podała swego nazwiska, powiedziała jej, że nie ma go w domu.

Stał w salonie przy drzwiach i wpatrywał się w nią ogłupiałym, przerażonym wzrokiem, a ona ciągnęła swoje... Jego głównym odczuciem było w tej chwili, że cała otaczająca go cywilizacja i wszelkie konwencje stały się nagle zdumiewająco nierzeczywiste... Mówiła, że pracuje u modystki na Szóstej Alei, że czuje się tam bardzo samotna, że gdy wyjechał z Camp Mills, długo chorowała, że mama przyjechała po nią i zabrała z powrotem do Karoliny... że przyjechała do Nowego Jorku po to, by go odnaleźć.

Była wstrząsająco szczerą. Fiołkowe oczy zaczerwienione były od łez, miękką intonacją wstrząsał cichy, urywany szloch.

To wszystko. Nic się nie zmieniło. Pragnie go tak bardzo, że jeśli nie będzie należał do niej, ona umrze, na pewno umrze...

— Wynos się — odezwał się wreszcie; mówił z pełnym napięciem wysiłkiem. — Nie mam już dość zmartwień, i to nawet bez ciebie? O Boże! Wynos się stąd!

Opadła ze szlochem na krzesło.

— Kocham cię! — krzyknęła. — Mów sobie, co chcesz! Ja cię kocham!

— Mam to gdzieś! — wrzasnął niemal. — Wynoś się! Ach, wy-
noś się! Nie dość mnie skrzywdziłaś? Nie — dość — mnie —
skrzywdziłaś?

— Bij mnie! — błagała go dziko, bezsensownie. — Och, bij
mnie, a ja będę całować rękę, którą mnie uderzysz!

Krzyczał teraz głośniejszym głosem, jak tylko mógł.

— Zabiję cię! Wynoś się stąd, bo jak nie, to cię zabiję! Zabiję!

Z oczu strzelił mu szal, ale nieustraszona Kropeczka wstała i
posunęła się o krok ku niemu.

— Anthony! Anthony!...

Zgrzytnął lekko zębami i cofnął się, jakby gotując się do skoku
— potem zmienił zamiar i zaczął rozglądać się dziko po ścianach i
podłodze.

— Zabiję! — mrucał teraz krótkimi, urywanymi sapaniami.
— Zabiję! — Wydawało się, że obraca w ustach to słowo pragnąc,
by się zmaterializowało. Nareszcie zaniepokoiła się; nie postąpiła
już do przodu, lecz cofnęła się o krok w stronę drzwi. Anthony
miał teraz po pokoju, wciąż powtarzając swój okrzyk-
przekleństwo. W końcu znalazł, czego szukał: solidne, dębowe
krzesło stojące za stołem. Wydawszy z siebie dziki, urywany
wrzask, chwycił je oburącz, uniósł nad głowę i puścił je całą mocą
swego szaleństwa wprost w białą, przerażoną twarz na drugim
końcu pokoju... i wtedy zsunęła się na niego gęsta, nieprzenikniona
ciemność, gasząc wszystko razem, myśli, wściekłość i szal... I w
jednej chwili, ze słyszalnym niemal trzaskiem, oblicze świata od-
mieniło się w jego oczach...

Gloria i Dick zjawili się o piątej, z daleka nawołując go po imie-
niu. Nie było odpowiedzi, więc weszli do salonu, w którego
drzwiach natrafili na roztrzaskane krzesło; zauważyli też, że w
pokoju panuje dziwny nieład: przekrzywione dywany, przewrócone
zdjęcia i bibeloty na stole w środku pokoju. W powietrzu unosił się
mdły zapach tanich perfum.

Znaleźli Anthony'ego siedzącego w plamie słońca na podłodze
jego sypialni. Przed nim leżały trzy wielkie klasery; gdy weszli,
przesiewał właśnie między palcami wielki stos znaczków, które
wytrząsnął z jednego z albumów. Gdy podniósł wzrok i zobaczył

ich dwoje, przekrzywił z niezadowoleniem głowę i nakazał im gestem, by wyszli.

— Anthony! — krzyknęła z napięciem Gloria. — Wygraliśmy! Uchylili wszystkie poprzednie decyzje!

— Nie wchodźcie tu — powiedział cicho — bo mi je pomieszacie. Właśnie je segreguję i wiem dobrze, że zaraz mi na nie nadejdziecie. Zawsze tak jest.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał Dick ze zdumieniem. — Zdziecinniałeś na stare lata czy co? Nie rozumiesz, że wygraliście proces? Że uchylili decyzję sądów niższej instancji? Że jesteś teraz wart trzydzieści milionów?

Anthony tylko popatrzył na niego z wyrzutem.

— I zamknijcie za sobą drzwi. — Mówił jak uparte dziecko.

W oczach Glorii zaczął budzić się strach. Przyglądnęła się mu uważniej...

— Anthony! — zawołała. — Co się stało! Co ci się stało? Cemu nie przyszedłeś... Co z tobą?

— Słuchajcie no — odparł cicho. — Wynoście się stąd oboje, bo jak nie, to powiem dziadkowi.

Uniósł w górę garść znaczków i wypuścił je z dłoni, by opadły w dół niczym liście, różnobarwne i jasne, wirujące i krzykliwe rozedrgane w zalanym słońcem powietrzu, znaczki z Anglii i Angoli, Wenezueli i Hiszpanii, i Włoch...

Wśród wróbli

Ta sama niebiańska ironia, która rządzi odejściem w cień tylu pokoleń wróbli, niewątpliwie notuje najdrobniejsze nawet wypowiedzi pasażerów takich okrętów jak „Berengaria”. Niewątpliwie zatem przysłuchiwała się, gdy młodzieniec w czapce w szkocką kratę przemierzył szybko pokład i przemówił do ładnej dziewczyny w żółtej sukience.

— To on — powiedział, wskazując na opatuloną postać siedzącą na wózku inwalidzkim przy nadburciu. — To Anthony Patch. Pierwszy raz na pokładzie.

— Tak? Ten?

— Aha. Podobno od kiedy odzyskał tę forszę, cztery czy pięć miesięcy temu, ma trochę nie pokładane pod sufitem. Wiesz, ten

drugi, ten pobożny, Shuttleworth, ten, który przegrał proces, zamknął się w pokoju w jakimś hotelu i strzelił sobie w łeb...

— Naprawdę?

— Ale Anthony'ego Patcha chyba niewiele to obeszło. W końcu dostał swoje trzydzieści milionów. Teraz ma tu ze sobą osobistego lekarza, na wypadek, gdyby było mu z tym źle. A ona? Była już na pokładzie? — zapytał.

Ładna dziewczyna w żółtej sukience rozglądnęła się ostrożnie na wszystkie strony.

— Dopiero co, przed chwilą. Miała na sobie futro z rosyjskich soboli, które musiało kosztować majątek. — Zmarszczyła brwi i dodała z przekonaniem: — Wiesz, nie cierpię jej. Sprawia wrażenie takiej... takiej umalowanej i nieczystej, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Są ludzie, którzy sprawiają takie wrażenie, czy słusznie, czy nie.

— Wiem, wiem— zgodził się młodzieniec w czapeczce. — Ale ładna to ona jest. — Milczał przez chwilę. — Ciekawe, o czym on teraz myśli. Pewnie o tych pieniądzach, a może ma wyrzuty sumienia z powodu tego Shuttlewortha.

— Pewnie tak...

Ale młodzieniec w czapeczce całkowicie się mylił. Anthony Patch, siedząc przy nadburciu i spoglądając na morze, nie myślał ani o pieniądzach, bo w życiu dobra materialne tak naprawdę rzadko go zaprzętały, ani o Edwardzie Shuttleworth, bo na życie najlepiej patrzeć od jak najlepszej strony. Nie — on zaprzętnięty był teraz całym łańcuchem wspomnień, podobnie jak generał rozpamiętuje zwycięską kampanię i analizuje każde ze swych zwycięstw po kolei. Rozmyślał o trudach, o straszliwych próbach, jakim został poddany. Chciano ukarać go za grzechy młodości. Poddano go okrutnej biedzie, pokarano nawet za pragnienie miłości, przyjaciele opuścili go — nawet Gloria odwróciła się od niego. Został sam, sam — przeciw wszystkiemu.

Jeszcze parę miesięcy wstecz namawiano go, by się poddał, by pogodził się z przeciętnością, by poszedł do pracy. Ale on wiedział od samego początku, że ma rację, żyjąc tak, jak żył — i wytrwał. Przecież nawet ci ze znajomych, którzy byli dla niego tak niedo-
brzy, przekonali się, że muszą go szanować, że to on miał rację.

Przecież na tydzień przed wyjazdem przyszli odwiedzić jego i Głorię w „Ritz-Carlton” i Lacy'owie, i Meredithowie, i Cartwright-Smithowie.

Wielkie łzy stanęły mu w oczach.

— Pokazałem im wszystkim — mówił do siebie drżącym głosem. — Było ciężko, ale nie poddałem się i zwyciężyłem!

Od tłumacza

Piękni i przekłęci, piękna i przekłeta czy piękny i przekłety?

W roku 1916 Fitzgerald „odpadł” z Princeton (potem przez lata dręczył go zawód, że nie dostał się do futbolowej reprezentacji uczelni) i patriotycznie poszedł do wojska, ale nie zdążył na wojnę do Europy. Armię poznał tylko z obozu w Montgomery w stanie Alabama — oczywiście Anthony Patch przechodzi ten sam szlak bojowy. W Alabamie Fitzgerald poznaje Zeldę Zayre, którą można uważać za połączenie — jeśli postać ze świata rzeczywistego może być połączeniem dwóch postaci fikcyjnych — Glorii (pochodzenie społeczne, „romantyczne” narzeczeństwo) i „Kropeczki” (romans wojskowego z mieszkanką amerykańskiego Południa).

Jeden z najsłynniejszych związków w historii (nie tylko literatury) miał okazać się trudny i tragiczny. Najpierw Zelda odczekała z powiedzeniem „tak”, dopóki Fitzgerald nie będzie sławny i majątny — i dlatego Francis musiał dokonać spektakularnego debiutu, publikując w 1921 roku *Po tej stronie raj*, która to powieść przyniosła mu i sławę, i majątek. Ślub odbył się w tydzień po ukazaniu się książki. Doskonale świadczy to o ówczesnym amerykańskim przemyśle wydawniczym. Potem „imprezowy” tryb życia w Nowym Jorku wtrącił młodą parę w kłopoty. Towarzyskie — za dużo kontaktów z podejrzanymi sferami nowo-gangstersko-bogackimi, trochę jak w *Wielkim Gatsby*: finansowe — życie ponad stan, jak w *Pięknych i przeklętych*; i zdrowotne (początki choroby umysłowej i/lub alkoholizmu u Zeldy, początki kłopotów; z sercem i/lub alkoholizmem u Francisca — znowu podobnie, jak w historii Glorii i Anthony’ego). Z tych trzech powodów w roku 1924 Fitzgeraldowie uciekli do Europy, żeby żyć zdrowiej i oszczędniej. Wybór Paryża, w którym roilo się wówczas od przedstawicieli „straconego pokolenia” — Zeldy i Francis poznali tam Hemingwaya, Pounda i Gertrudę Stein — a potem Riwiery, nie był chyba najszcześniejszy, jeśli chodzi o oszczędzanie sił i środków.

Zyskał tylko francuski przemysł turystyczny, bo to właśnie Fitzgeraldowie zaprowadzili modę na spędzanie lata na Lazurowym

Wybrzeżu. Przedtem głównym gośćmi tych sympatycznych stron — arystokracjom całego świata — ani śniło się zostawać tam po końcu sezonu zimowego. „Imprezy” z udziałem wesołych „Amerykanów z Paryża” trwały dalej w wynajętej połowie zamkniętego po sezonie „Hotel du Cap” (zostawał tylko kucharz i pokojówka), whisky z wodą sodową lały się strumieniami, szalał jazz. Długi rosły — znowu prawie jak w *Pięknych i przeklętych*. Tyle tylko, że półwysep pod Cannes to bądź co bądź przyjemniejsze miejsce niż szary dom w Marietcie.

I podobnie jak w *Pięknych i przeklętych* przyszło załamanie nerwowe — Zeldy, nie Francisca-Anthony'ego. W 1931 Fitzgeraldowie musieli wrócić do Stanów, bo Zeldę trzeba było umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych; w instytucjach tego typu przebywała już niemal aż do śmierci w 1947 roku. Sytuacja materialna małżonków była opłakana. Po *prosperity* szalonych lat dwudziestych *American dream* załamał się w Wielkim Kryzysie; co gorsza, właśnie dlatego zbyt „europejska”, oddalona od amerykańskich realiów Depresji *Czuła jest noc* nie spotkała się w Ameryce ze zbyt życzliwym przyjęciem. Przytłoczony rosnącymi wydatkami Fitzgerald trwoniał talent na niezliczone i bardzo nierówne opowiadania, a wreszcie sprzedał się Hollywood. I kiedy po paru latach zaczął podnosić się z upadku, w roku 1940 zmarł na atak serca w wieku czterdziestu czterech lat.

Słowem, historia jak z którejś powieści Fitzgeralda — może najbardziej jak z *Pięknych i przeklętych* właśnie. A więc autobiografia? Jeżeli tak, to bardzo ciekawa, bo chyba „natchniona duchem proroczym”: w 1922 roku, kiedy cała tragedia była jeszcze przed Anthonym i Glorią... przepraszam, Francisem i Zeldą. Ciekawa, bo pierwszy rok małżeństwa, zwykle najpiękniejszy w każdym związku, miały zapowiadać to wszystko, co potem nastąpiło. Ciekawa też choćby przez wspomniane już połączenie dwóch postaci kobiecych w jedną, żywą Zeldę.

Plotkarska historia literatury zna już podobne przykłady. W *Bądźmy poważni na serio* Oscar Wilde proroczo tworzy (podwójnie) fikcyjną postać brata marnotrawnego, który umiera w podejrzanych okolicznościach w podejrzanym hoteliku w Paryżu — dokładnie tak jak autor tej najśmieszniejszej z komedii w pięć lat po jej napisaniu. Również sam motyw niezależnej od dwojga ludzi przemiany ich miłości w koszmar bynajmniej nie jest czymś oryginalnym w literaturze — warto wspomnieć choćby o jednej z jego

realizacji, powstałej pod niewątpliwym wpływem twórczości ery jazzu, a może i samych *Pięknych i przeklętych*: o *Pianie złudzeń* Borisa Viana. I wreszcie powieści Fitzgeralda.

Fitzgerald napisał ich cztery i pół. Bez wątpienia najlepszą, naj-słynniejszą (i najkrótszą) jest *Wielki Gatsby* (1925), historia ame-rykańskiego Wokulskiego, zniszczonego przez amerykańską Izabe-łę Łęcką, a opowiadana przez amerykańskiego Rzeckiego; Nick Carraway podobnie wpatrzony jest w *self-made mana* Gatsby'ego jak pan Ignacy w swego Stacha. W dziewięć lat po swym najwięk-szym dziele Fitzgerald wydaje *Czula jest noc*. A tam zdolny psy-chiatra zakopuje swoje talenty w małżeństwie z piękną i bogatą pacjentką i równie źle kończy. Wniosek: według Fitzgeralda por-ządnych mężczyzn gubią pieniądze, ale jeszcze bardziej gubią ich piękne, bogate kobiety.

W wywiadzie dla „New York Evening World” (też z 1922 roku) Fitzgerald powiedział przerażonej (zapewne) dziennikarce, że:

NASZE, AMERYKAŃSKIE KOBIETY TO PIJAWKI. TO KOMPLETNIE BEZ-
UŻYTECZNE POKOLENIE ROZMIENIA NA DROBNE OSIĄGNIĘCIA SWYCH
PRABABEK-PIONIEREK. ICH JEDYNĄ FUNKCJĄ JEST DOMINACJA NAD
MĘŻCZYZNĄ-AMERYKANINEM¹.

¹ Broccoli M., Bryer J., (red.) *F. Scott Fitzgerald in His Own Time: A Mis-
cellany*. The Kent State University Press, Kent, Ohio 1971.

Nieźle. W dodatku te kobiety często mają od nich więcej pie-
niędzy (nic dziwnego, skoro spijają tę krwawicę jak pijawki). Nie-
trudno odnieść wrażenie, że „w prozie i umyśle Fitzgeralda miłość
i pieniądze są ze sobą niemal nierozzerwalnie związane”².

² Donaldson S., *Fool for Loue: F. Scott Fitzgerald*. Congdon and Weed,
Inc., New York 1983.

Rzeczywiście: Dick sprzedaje się Nicole czy raczej jej bogatej
rodzinie, która potem pozbywa się go jak byle pracownika jednej
ze swych firm. Gatsby walczy o Daisy pieniądzem, i to pieniądzem
brudnym, bo bootleggerowskim. A Anthony i Gloria osuwają się w
koszmar miłości i nienawiści po równi pochyłej oczekiwania na
śmierć dziadka — żyją *a conto* ogromnego spadku, wykazując roz-
brajającą niedojrzałość życiową. Są piękni, delikatni, a więc prze-
kłęci. Próby Anthony'ego podjęcia pracy, kiedy jest już bardzo źle
(akwizytorstwo kończące się pijackimi burdami), są tragikomiczne;

natomiast aktorskie niepowodzenia Glorii to już wyłącznie tragedia, gdyż do niepowodzenia finansowego dołącza się świadomość, że młodość i uroda, dwie rzeczy, z których była w życiu najbardziej dumna, zaczynają przemijać. To bardzo ważny moment powieści: widać wtedy wyraźnie, że Gloria dojrzewa — również w pozytywnym sensie tego słowa. Fiasko kariery aktorskiej zawdzięcza Anthonyemu, który nie zgadzał się na żadne, a już na pewno zawodowe kontakty z Bleockmanem. Gloria, próbując — w tajemnicy przed mężem, który nie potrafi zapewnić jej poziomu życia odpowiedniego ich warstwie społecznej — ratować byt ich obojga, zaprzecza wprost słowom swego stwórcy. „To Gloria pojawia się w sądzie na ogłoszenie wyroku, to ona przynosi wiadomość o odziedziczeniu milionów starego Patcha swemu rozpitemu, rozhisteryzowanemu, umysłowo niezrównoważonemu mężowi”³. W nagrodę staje się znienawidzoną pielęgniarką dziecienniałego chorego.

³ Fryer S., *Fitzgerald's New Women*. UMI Research Press, Ann Arbor 1988.

Można więc odczytać postać Glorii i w ten sposób: Gloria od początku nie ma wyboru. Decydując się na związek z Anthonym wpada w zakłęty krąg ograniczeń stawianych przez ówczesne czasy i jej własną sferę kobiecie-lalce (jakie to podobne do losów Daisy Buchanan; może jeszcze wyraźniejsza jest analogia do tragicznej przeciwieści postaci panny Łęckiej) i właśnie przez swoją urodę jest z góry skazana na los, jaki zgotuje jej autor. Autor, który może wcale nie chciał uczynić jej tak „pozytywną” w gruncie rzeczy bohaterką, wyraźnie sympatyczniejszą niż „pijawki” w jego dwóch największych powieściach. A kiedy dodamy do tego kompletnie niefitzgeraldowską scenę z Pięknem i Głosem, widzimy, że sopran, choć jest w tej operze bez najmniejszych możliwości manewru, mimo to śpiewa inaczej, niż każe mu autor-dyrygent.

Przemiany zachodzące w Anthonym są łatwiejsze do opisanie. Ten świetnie — może nie wykształcony, lecz — ukształtowany młody człowiek z wykwiutnego, wilde'owskiego niemal dandysa staje się alkoholikiem i chorym umysłowo, po drodze zniżając się do takich zbrodni, jak przemoc fizyczna względem ubóstwianej Glorii — przemoc, która jest wynikiem własnych frustracji. Los to znacznie gorszy od tego, który spotyka jego późniejsze wersje z *Wielkiego Gatsby'ego* — ten przynajmniej umiera — i *Czuła jest noc*. On też, jak Gloria, skazany jest na potępienie, ale trochę inaczej niż jego żona. U Anthony'ego jest to sprawa nie braku możliwości, lecz

braku woli. I tym różni się od Gatsby'ego i Divera, ponieważ ci, jeśli grzeszą, to nie zaniedbaniem raczej, ale czynem. Można powiedzieć, że choć Fitzgerald nie zmienia swojego głównego motywu, to jednak w pierwszej z trzech wspomnianych powieści prowadzi swych bohaterów nieco inaczej — i może trochę bardziej wymykają mu się oni spod kontroli. Nic dziwnego: Fitzgerald z roku 1922 jest przecież młodszym, znacznie mniej doświadczonym pisarzem niż Fitzgerald z roku 1925 i następnych. Późniejsze powieści — w opowiadaniach (było ich razem 178) bywa różnie — są dojrzałsze, bo Fitzgerald dojrzał jako pisarz przez czas pisania *Pięknych i przeklętych*. I może tak właśnie należy czytać tę książkę — jako ważny etap w rozwoju jednego z największych pisarzy pierwszej połowy dwudziestego wieku. Powinno wystarczyć.

Jan Rybicki

Spis treści

Księga pierwsza

1. Anthony Patch 9
2. Portret nimfy 32
3. Zławca pocałunku 69

Księga druga

1. Godzina szczęścia 119
2. Biesiada 171
3. Złamana lutnia 230

Księga trzecia

1. Sprawa kultury 273
2. Sprawa estetyki 313
3. Nie ma sprawy! 351

Od tłumacza 389

